

Sally Beaman

Krajobraz Miłości

Z angielskiego przełożyła Anna Dobrzańska-Gadowska

Świat Książki

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału THE LANDSCAPE OF LOVE

Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka

Redakcja Barbara Skalska

Redakcja techniczna Julita Czachorowska

Korekta: Jadwiga Piller, Elżbieta Jaroszek

Copyright (c) 2005 by Sally Beaman 2005

All rights reserved

Copyright (c) for the Polish translation by Anna Dobrzańska-Gadowska, 2007

12143723

Świat Książki

Warszawa 2007

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Joanna Duchnowska

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Póssneck

ISBN 978-83-247-0087-5

Nr 5373

Opis z okładki.

Tajemnicza i romantyczna historia trzech sióstr.

W budynku starego klasztoru mieszkają z matką i dziadkiem trzy siostry.

Julia jest rodzinną piękną, Finn - intelektualistką, najmłodsza - Maisie - ma problemy z porozumiewaniem się z ludźmi. Z nastolatkami przyjaźni się młody Cygan imieniem Daniel. Latem 1967 roku siostry przeżywają coś niezwykłego, co na zawsze zmienia ich życie...

Sally Beauman pracowała jako dziennikarka w magazynie "New Yorker" w Stanach Zjednoczonych oraz w "Daily Telegraph" i "Queen" w Wielkiej Brytanii. Jej książki Kochankowie i kłamcy, Destiny, Dark Angel stały się bestsellerami, przetłumaczono je na ponad dwadzieścia języków. Po polsku ukazała się też Opowieść Rebeki, będąca kontynuacją słynnej powieści Daphne du Maurier.

[www.swiatksiazki.pl](http://www.swiatksiazki.pl)

Dla Finlaya i jego rodziców, Jamesa i Lucy.

Część Pierwsza.

MAISIE W LECIE, 1967.

Kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy do Opactwa, padało przez całe pięć dni. Bez przerwy. Słyszałam, że coś takiego może zdarzyć się w Anglii wiosną i latem, ale nie wierzyłam w to. Codziennie rano siadaliśmy w milczeniu do śniadania. Dziadek ukrywał się za gazetą, moje siostry wpatrywały się w swoje talerze, a mama w przestrzeń. Musieli podkładać mi trzy poduszki, żebym mogła sięgnąć do blatu stołu. Za oknami czyhał szary, pogrążony w smutku świat.

Krzewy laurowe przy domu nie były jeszcze przycięte i ociekały ciężkimi, czarnymi łzami. Dalej widać było róg starego klasztoru z gargulcem, który pluje deszczem z paszczy i oczu. Trawnik wrócił do pierwotnego stanu, przeistaczając się w łąkę, i trawy pokornie chyliły mokre głowy, podobne do zgromadzenia wstydliwych penitentek. Angielskie powietrze miało głęboki, niepowtarzalny odcień fioleto. Wiatr zawodził głucho, ziemia w jesionowej alei pokryta była połamanymi gałęziami. Rozpoznałam odrąbane ramię, gigantyczną kość udową i okropny konar głowy, nierówny i owinięty bluszczem. Głowa miała dwoje oczu, które przyglądały się uważnie, jak smutek przenika do domu. Te oczy szacowały natężenie wilgoci, która oślizgłymi palcami obmacywała mury, i liczyły kapiące z sufitu krople - tylko w jednym pokoju musieliśmy ustawić trzy wiadra. Wiatr wzdychał i jęczał w kominie, okna grzechotały.

9

- No, dzieci, dzisiaj raczej nie uda nam się wybrać na spacer - oznajmiła Stella suchym tonem, który nieodmiennie

zwiastował kłopoty.

Powtarzała tę uwagę mniej więcej o tej samej porze przez pięć dni. Szóstego schroniła się w swojej sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Próbowaliśmy wywabić ją zwykłymi sposobami, przynosząc kwiaty, książki i jedzenie. Julia zniosła na górę tacę, Finn stos książek, a ja bukiet dzwonków (*Hya cinthus non scriptus*), które Finn pomogła mi zebrać w Lesie Zakonnice. Co parę godzin sprawdzałyśmy, czy nasze dary zniknęły, ale trzy dni później wszystkie nadal leżały pod drzwiami.

W końcu zza chmur wychynęło słońce. Stella nie chciała spać w dużym pokoju, tym samym, gdzie kiedyś spała z Tatą, i wybrała sobie małe pomieszczenie na strychu, który dawno temu podzielono na cele dla mniszek. Długie korytarze były duszne, ciemne i pachniały pleśnią. Woda w słoiku po dżemie, do którego wstawiłam dzwonki, wyparowała, a kwiatki zgięły się wpół i zwiędły. Paczka papierosów pozostała nieotworzona, przeznaczona na wyjątkowe okazje mała butelka jacka danielsa nietknięta, a trójkątne tartinki wyschły na sucharki. Finn policzyła książki i sprawdzała, czy któreś nie brakuje - Małe kobiety, Mansfield Park, Jane Eyre, Tajemniczy ogród i Wielkie nadzieje były na miejscu, ale szósta (chyba Porwany za młodu) zniknęła.

- To już jakiś postęp - powiedziała Finn. Przycisnęła ucho do zamkniętych drzwi i nasłuchiwała, a my z zapartym tchem razem z nią. Jak już mówiłam, powietrze w

tym domu było dziwne, ciężkie i jakby gęste, przytłaczające - wtedy, na początku, czułyśmy to znacznie wyraźniej, bo jeszcze nie zdążyłyśmy do niego przywyknąć. Tak więc, gdy nasłuchiwałyśmy, nie mogłyśmy oprzeć się wrażeniu, że powietrze przysłuchuje się nam z drugiej strony drzwi,

i to było niesamowite.

Po chwili Finn oświadczyła, że chyba słyszy szelest kartek.

10

Co za ulga! Zbiegłyśmy na dół i zajęłyśmy się zwiedzaniem domu. Obejrzałyśmy bibliotekę, która wtedy była siedliskiem moli, jeszcze większym niż teraz. Dziadek powiedział, że dawno temu była tam kaplica. Ciekawe, prawda? Zajrzałyśmy także do sławnego schowka z judaszem i odkryłyśmy, że nadal działa. Za pierwszym razem nie zorientowałyśmy się, co jest w nim takiego dziwnego. Potem wyruszyłyśmy na zwiedzanie ogrodu, lasu i wioski, poszłyśmy nad jezioro i Czarny Rów...

- A ty słyszałaś szelest kartek? - pyta Lucas, przerywając mi w połowie zdania.

Podnosi głowę znad szkicownika i ołówka. Pośpiesznie zerkam na leżącą przed nim kartkę papieru o gęstej, przyjemnej konsystencji. Pokryta jest labiryntem kresek, prostych i zakrzywionych, oraz cieni, które Lucas tworzy, rozcierając niektóre linie kciukiem. Z tych czarnych i białych płaszczyzn rodzą się ja, Maisie.

Nie powinnam patrzeć na niedokończony portret. Lucas przyłapuje mnie na podglądaniu i ustawia szkicownik pod takim kątem, żebym nic nie widziała. Zaczynam się zastanawiać nad jego pytaniem. Trudno mi sobie przypomnieć, czy słyszałam szelest, ponieważ działo się to przed ponad dziesięciu laty. Byłam wtedy jeszcze małym dzieckiem. Strata ojca jest naprawdę szczególnym przeżyciem, ale ja nie do końca zdawałam sobie sprawę, że rzeczywiście go straciłam - za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, spodziewałam się, że ujrzę go w progu.

Tak czy inaczej, wszystkie wydarzenia tamtego pierwszego lata w Opactwie zatarły się w mojej pamięci. Zapamiętałam pewne obrazy i widzę je dość dokładnie, jak ilustracje na rewersie kart, ale gdy próbuję przyjrzeć im się z bliska, budzą we mnie niepokój. Mam uczucie, że niektórych kart brakuje, zupełnie jakby rozdawał je magik, który schował część talii w rękawie. Magik wspaniale tasuje, nie gorzej niż babcia Dana, ale ja widzę, że w jakiś sposób oszukuje.

11

Skupiam myśli na zamkniętych drzwiach i wyschniętych kanapkach, czuję intensywny zapach jacka danielsa. Finn i Julia przykucnęły z mojej prawej i lewej

strony. Uwięziona mucha głośno bzyczy, objijając się o okno, którego nikt od dawna nie otwierał. Wydaje mi się, że w końcu słyszę jakiś szelest - może to być przewracanie kartek, chociaż równie prawdopodobne, biorąc pod uwagę miejsce, w którym się znajdujemy, i charakter tego domu, że słaby dźwięk ma zupełnie odmienne źródło. Zakonnice, które kiedyś mieszkały w Opactwie, nadal tu są, przypominam Lucasowi. Przechadzają się korytarzami, gromadzą na schodach, stukają paciorki ich różańców, a długie habity... Ależ tak, habity szeleszczą! Kiedy ktoś przechodzi obok nich, siostry obserwują go cierpliwie i uważnie, jakby czekały, by się do nich przyłączył i pewnie wierzą że nie będą czekały zbyt długo....

Umarły i odeszły stąd osiemset lat temu, lecz to nie jest dla nich żadną przeszkodą. Dlaczego nie spoczywają w spokoju, jak przystało zmarłym? Ciekawe, dlaczego prześladują mnie właśnie one, podczas gdy inni, których obecność byłaby mi całkiem miła - na przykład mój ojciec - nigdy mi się nie pokazują...

- Och, daj spokój, Maisie - mówi Lucas. - Przestań opowiadać głupstwa. Wszystkich to denerwuje i nudzi. Nie ma żadnego życia po śmierci, nie ma nieba ani piekła, Podziemnego Świata, Boga, diabła, aniołów, demonów ani duchów... A co najważniejsze, z całą pewnością nie ma wałęsających się po tym domu zmarłych zakonnic, powtarzam ci to po raz setny. Jesteś rozsądnym dzieckiem i doskonale o tym wiesz. Przestań fantazjować i siedź spokojnie.

Lucas w nic nie wierzy, ale co on tam wie... Mówi jednak dość ostrym tonem, więc uświadamiam sobie, że go zirytowałam - Lucas szybko się nudzi. Aby go ułagodzić, siedzę cicho i spokojnie jak polna myszka (*Micromys minutus*) i po mniej więcej piętnastu minutach wyętej pracy w kompletnym milczeniu Lucas się rozpogadza. Wiedziałam, że tak będzie.

12

Lucas lubi moje historie. Poza nim wszyscy w Opactwie są zwykle zbyt zajęci, żeby słuchać. Nie teraz, Maisie, mówią i uciekają lecz Lucas uwielbia historyjki, można powiedzieć, że jest od nich uzależniony, a ja naprawdę dobrze opowiadam, więc tworzymy idealnie dopasowaną parę. W przeciwieństwie do Stelli, mówię prawdę; w przeciwieństwie do dziadka, trzymam się głównego wątku; w przeciwieństwie do Finn i Julii, nie ścinam niewygodnych rogów i nie pomijam najlepszych kawałków. Jeżeli ktoś chce się dowiedzieć czegoś o tym domu i rodzinie, a Lucasowi niewątpliwie na tym zależy, powinien zwrócić się właśnie do mnie. Odsłaniam sekrety, których z pewnością tu nie brakuje. Jestem dzieckiem, to prawda, ale niezwykle spostrzegawczym dzieckiem, i Lucas ma tę świadomość. Mów tak, jak jest, powtarza Julia i ja zawsze trzymam się tej zasady, naprawdę. Naprawdę.

- Więc kiedy Stella ostatecznie odzyskała równowagę? -pyta Lucas, jak zwykle leniwym, kpiącym tonem. - Czy Julia zawsze była piękna? A Finn wyniosła? Kiedy poznałyście Dana? Kto zastrzelił tego lwa z biblioteki? Pamiętasz, jak było w Ameryce? Lubisz kawę z mlekiem czy ze śmietanką?

Lucas ziewa, podnosi wzrok i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek, dokonując błyskawicznych pomiarów mojej twarzy i przenosząc ją na papier. Dwie szybko nakreślone linie, kilka pociągnięć kciukiem. Lubię Lucasa, a on odwzajemnia moją sympatię. Myślę, że woli mnie od moich sióstr, chociaż mogę się mylić. Tak czy inaczej, świetnie się rozumiemy i obojgu nam jest z tym dobrze. Lucas rzuca mi jeden ze swoich skąpych uśmiechów.

- No, dalej, nie daj się prosić - mówi zachęcającym tonem. - Chcę wiedzieć wszystko. Opowiadaj dalej.

Lubię być jego Szeherezadą i naturalnie nie boję się, że każe mnie zabić, kiedy skończę. Obawiam się tylko tego, że go znudzę i ten lęk nigdy mnie nie opuszcza, dlatego staram się nie dawać mu tego, czego pragnie. Moje siostry także powinny

13

się tego nauczyć, i to jak najszybciej. Poza tym jego pytania tylko pozornie są zupełnie niewinne. Czasami wydaje mi się, że Lucasowi chodzi o jakąś konkretną informację, chociaż na pewno nigdy by się do tego nie przyznał. Podejrzewam, że dzisiaj chce dowiedzieć się czegoś o Danie, dlatego postanawiam dać mu coś prawą ręką a lewą zabrać - już dawno zorientowałam się, że jeżeli utrzymuje się Lucasa w stanie zaciekawienia, jeśli wyprzedza się go o kilka kroków, nie traci się jego zainteresowania.

Udaję więc, że staram się wydobyć jakieś szczegóły z pamięci i zongluję obrazami wydarzeń. Nagle na powierzchnię mojego umysłu rzeczywiście wypływa pewne wspomnienie, samo z siebie, mówię więc, że opowiem mu o babce Dana, czyli złej czarownicy, pseudo Manczkin (ten przydomek nadała jej Julia - trąci to okrucieństwem, ale babcia Dana naprawdę jest malutka).

- Opowiem ci, jak przepowiedziała nam przyszłość z kart -  
zaczynam.

Nagle zaczynam się wahać. Czuję, że mam w sobie coś zimnego i twardego, jakbym usiłowała połknąć za duży kamyk, który utknał mi w gardle i nie chce się ruszyć, ani w górę,  
ani w dół.

Lucas nie spuszcza wzroku z mojej twarzy. Przygląda mi się łagodnie, chociaż nikt nie powiedziałby o nim, że jest człowiekiem łagodnym. Czasami mam wrażenie, że lituje się nade mną być może nie bez powodu - tkwię w tym domu z dziadkiem, który starzeje się z dnia na dzień, ze Stellą, przebywającą na jakiejś odległej planecie, no i z dwiema siostrami, słynącymi z urody i inteligencji. Ludzie współczują mi, ale wcale nie chcą mnie słuchać. Gdyby siostry zakonne odmówiły mi swego towarzystwa i przestały się ze mną komunikować, umarłabym z głodu rozmowy. Jestem dziewczyną która zawsze siedzi w kącie, taką, którą wszyscy ignorują. Tak, w konkursie na osobę godną największej litości na pewno miałabym duże szanse.

14

- Babka Dana postawiła wam trzem karty? Słyszałaś, co powiedziała Finn i Julii?

- Słyszałam.

- Wróżyła wam w obecności Dana?

- Tak.

- Ile miałyście wtedy lat?

- Zaraz, chwileczkę...

Marszczę czoło i udaję, że liczę, chociaż doskonale wiem, kiedy to było. Jestem najmłodszym dzieckiem w rodzinie, efektem ostatniej próby spłodzenia chłopca, więc między mną i moimi siostrami istnieje spora różnica wieku. Ja miałam wtedy siedem lat, Finn prawie czternaście, a Julia szesnaście.

- Było to w urodziny Julii - podejmuję. - Właśnie dlatego poszliśmy do babci Dana - żeby poprosić wróżkę o radę. Dzień urodzin to najbardziej odpowiedni moment na przepowiednię, poza tym tamtego dnia księżyc był w pełni.

- Co za znaczący zbieg okoliczności... - Lucas delikatnie rozmazał następną kreskę na kartce.

Jeżeli dalej tak pójdzie, cała będę złożona z rozmazanych cieni! "I choćbym kroczył mroczną doliną, zła się nie ulękne", dobiega mnie nagle znajomy głos. "Bo ty jesteś ze mną", odpowiadam cicho.

- Siedź spokojnie - karci mnie Lucas. - Nie wierć się! I ściąga brwi.

Obok mnie pojawia się uśmiechnięta matka przełożona. Za parę tygodni Isabella skończy dwadzieścia trzy lata. Ma zielone jak szkło oczy, a w ręku ściska cenny różaniec z jadeitu. Musi sprostać wielu obowiązkom, ale zawsze znajduje dla mnie

czas. Dotyka mego ramienia, przykładając palec do warg, spogląda na Lucasa i cichutko odchodzi. Lucas, ten niedowiarek, oczywiście niczego nie dostrzega. Za oknem świeci słońce. Od paru tygodni nie padał deszcz, mamy złote lato, najpiękniejsze, jakie pamiętam. Zanim dobiegnie końca, zostanę przeistoczona, jestem tego pewna. Przeszanę być dziewczyną i stanę się kobietą. Wyłonię się z poczwarki z wciąż jeszcze

15

wilgotnymi, lecz tęczo barwnymi skrzydłami, nowa Maisie, Maisie odmieniona, Maisie po transformacji! Lucas czeka.

- No, dobrze... - odzywa się w końcu. - Jest środek lata, księżyc w pełni... Idziecie do wioski i córka Ocean stawia wam karty. Ciekawe, co takiego ta stara wiedźma obiecała trzem siostrą? Ukochanego? Spadek? Podróż? Założę się, że wywróżyła wam ukochanego, nieznanego, wysokiego bruneta, kogoś takiego jak ja...

- Nic z tych rzeczy.

- W takim razie musiała być nietypową wróżką - rzuca sucho.

Sprawia wrażenie pochłoniętego czymś innym, ale ja wiem, że przykułam jego uwagę. Znowu przesuwając szkiełko, żebym nic nie widziała.

- Możesz mówić dalej, tylko staraj się nie zmieniać kąta ustawienia głowy - instruuje. - To oświetlenie jest po prostu idealne... Przesuń głowę odrobinę w lewo i odepnij guzik pod szyją... Doskonale! Bystra dziewczynka. Mów, słucham z zapartym tchem...

Słucham i obserwuję, i rozmyślam, patrząc na Lucasa, który ma kilkanaście par oczu, rozmieszczonych dookoła głowy. Nawet gdyby któreś z nich na moment się zamknęło, pozostałe czuwałyby dalej, niezmordowane i uważne. Dobrze jest pamiętać o tym, kiedy ma się do czynienia z Lucasem.

Usiłuję się rozluźnić w narzuconej pozycji, skupić się i przywołać przeszłość. W zaimprovizowanym studiu Lucasa panuje przyjemny chłód i spokój. Ten duży pokój ma kamienną podłogę i wysokie sklepienie. Budynek wzniosła w trzynastym wieku Isabella, później, na początku piętnastego wieku, kiedy Opactwo znalazło się w szczytowej fazie rozkwitu i sławy, przebudowano go i rozbudowano. Właśnie tutaj znajdował się refektarz, połączony korytarzem ze skrzydłami,

16

w których umieszczono cele, oraz główną część klasztoru; w okresie reformacji



przejścia zlikwidowano i teraz ta część budynku jest praktycznie odizolowana od reszty, dzięki czemu zawsze jest tu cicho i spokojnie. Z oddali dobiegają jedynie odgłosy muzyki - to Julia znowu puszcza tę płytę Jefferson Airplane - lecz słyszę je wyłącznie dlatego, że moja siostra ma zwyczaj podkręcania dźwięku na cały regulator. Gdyby nie to obce dudnienie i jęczenie, słyszałabym tylko to, co kojarzy mi się z Anglią: bzyczenie pszczół, szelest liści topoli i beczenie urodzonych w tym roku jagniąt (są już nieźle podtuczone i lada dzień trafią do rzeźni).

Sześć wysokich, zwieńczonych łukami okien refektarza wychodzi na pola, sady i rozpościerającą się dalej dolinę. Dawniej Stella chętnie przesiadywała w tym pokoju. Mówi, że próbowała się odnaleźć, a ta piękna, wypełniona spokojem przestrzeń idealnie się do tego nadaje. Co prawda, w zimie zawsze było tu więcej niż chłodno, ale dla osoby wychowanej w Kanadzie angielskie zimy po prostu nie mogą być straszne - są krótkie i raczej bezśnieżne, więc co za problem... Dopiero po pewnym czasie Stella ponownie odkryła angielską wilgoć, a konkretnie wschodnioangielską wilgoć, która przenika człowieka aż do kości. Troszkę później zorientowała się, co się dzieje, kiedy wschodni, wiejący prosto z Syberii wiatr niesie tu trudne do opisania zimno.

W dawnym refektarzu nadal można znaleźć dowody wszystkich poszukiwań Stelli, wszystkich jej krótkotrwałych powołań. Są tu wyschnięte farby akwarelowe, pozostałość po wiosnie, kiedy uległa fascynacji malarstwem; maszyna do szycia, porzucona pod koniec lata, w czasie którego próbowała projektować i szyć suknie; aparat fotograficzny i obiektywy z okresu namiętnej miłości do fotografii oraz zmęczona maszyna do pisania z epoki tworzenia opowiadań. Ta ostatnia faza trwała najdłużej i zakończyła erę poszukiwań. Może Stella znalazła wreszcie samą siebie, kto wie (ciekawe, jak to się

17

robi...), a może przestała szukać. Tak czy inaczej, obecnie raczej unika refektarza.

Teraz pokój wziął w posiadanie Lucas, który razem z Danem właśnie przyjechał z Cambridge. Przetrwali końcowe egzaminy i zjawili się w Opactwie paskudnie skacowani, dzień po majowym balu.

- To nasze ostatnie długie wakacje - oznajmił Dan - więc musimy się postarać, żeby stały się godne zapamiętania.

Dan często nocuje teraz w Opactwie - mógłby mieszkać z ojcem i babcią w wiosce, ale woli tutaj. Rozbił obóz w swoim pokoju w głównej części domu i chyba zostanie do końca wakacji. Lucas odwiedzał nas już wcześniej, lecz nigdy na długo (nie

wyobrażam sobie, aby gdziekolwiek dłużej zagrzał miejsca), więc ta wizyta jest trochę zaskakująca. Nie wydaje mi się, żeby ktoś go zaprosił, chyba że zrobiła to Finn. Tak więc Lucas zostanie u nas na czas nieokreślony, może na całe lato, może krócej, może dłużej. Lucas nigdy nie robi planów, a jeżeli je robi, to nikomu o nich nie mówi - przyjeżdża, kiedy przyjdzie mu na to ochota, i znika bez ostrzeżenia i pożegnania. Przyjmuję to, ponieważ Lucas i ja doskonale się rozumiemy, ale Finn i Julii dużo trudniej jest zaakceptować jego zachowanie.

Lucas nie szuka wygód. Śpi na wysłużonej, zapadającej się kanapie w kącie, pod starym wojskowym kocem, parzy sobie kawę na malutkiej kuchence na olej parafinowy, kiedy chce się wykapać, idzie popływać w rzece, a gdy jest głodny, co nie zdarza się często, schodzi do kuchni, czaruje Stellę i robi najazd na spizarnię.

Stella jest świetną kucharką i uważa Lucasa za geniusza, on zaś, jak mi się wydaje, bynajmniej nie próbuje wyprowadzić jej z błędu. Na stoliku pod oknem widzę przykryte chroniącą przed muchami gazą najświeższe dary, jakimi Stella obsypała przebywającego u nas z wizytą artystę - spory kawałek ciasta z wielkimi rodzynkami i trochę krzywy krążek złocistej zapiekanki z wieprzowiną, już nadgryzionej.

18

Obok stolika, oparty na sztalugach, zwrócony przodem do ściany i ukryty za parawanem, stoi portret, który Lucas jakoby maluje - zapłata za lato, które zamierza tu spędzić, za mieszkanie i wyżywienie. Jest to gigantyczny obraz, przedstawiający Julię, Finn i mnie. Dan twierdzi, że będzie to magnum opus, wielkie dzieło Lucasa, w każdym razie na ten rok. Lucas chce zatytułować go "Siostry Mortland" - nudny, głupi tytuł. Odnoszę wrażenie, że pracuje nad nim raczej rzadko, chyba że robi to nocą, nie wiem.

Nie śpiam zbyt dobrze. Czasami przeszkadzają mi zakonnice, kiedy indziej sny. Raz czy dwa, kiedy nie mogłam zasnąć, wstałam i zeszłam do ogrodu, i wtedy widziałam, że w refektarzu pali się światło. Lucas zasuwa żaluzje, ale niezbyt szczelnie, bo ziemię pod każdym oknem przecina sześć jasnych pasków, które wyglądają trochę jak długie sztabki złota. Niewykluczone, że szkice, które w tej chwili robi, mają służyć do wykończenia portretu, lecz równie dobrze mogą być tylko sposobem spędzania czasu. Mam ochotę zapytać Lucasa, czy naprawdę będą mu potrzebne i do czego, ale wiem, że i tak mi nie odpowie. Jest bardzo tajemniczym człowiekiem. Pozna swój swego, jak mawia Bella - w tym wypadku ma całkowitą słuszość, bo ja także jestem skrytą, tajemniczą osobą.

Myszę jednak, że szkice muszą mieć jakieś znaczenie, ponieważ Lucas zapowiada, że zrobi co najmniej cztery. Jestem pewna, że jest to swoiste wyróżnienie - znaczy to, że

mam w sobie coś, co go interesuje. Pierwszy rysunek, "Maisie wiosną", został wykonany w czasie przerwy wielkanocnej, teraz Lucas pracuje nad "Maisie latem", a we właściwym czasie naszkicuje "Maisie jesienią" oraz "Maisie zimą". Nie wolno mi obejrzeć żadnego z nich, dopóki Lucas nie skończy wszystkich czterech. Nie mogę też choćby rzucić okiem na "Siostry Mortland", zresztą temu zakazowi musiały też podporządkować się Julia i Finn. Kilka razy próbowałam coś podejrzeć, ale bez skutku. Kiedy Lucas wychodzi, starannie zamyka okna

19

i drzwi, kupił nawet nową kłódkę, żeby nikt nie dostał się do środka bez jego wiedzy.

- Paranoja nie zna granic - mówi Julia.

Julia niedawno wróciła z rocznych podyplomowych studiów w Berkeley w Kalifornii i nie da się ukryć, że pobyt w Stanach wywarł duży wpływ na jej styl ubierania się oraz wyrażania. "Paranoja" to teraz jedno z jej ulubionych słów.

- Obudź się, Maisie! - odzywa się Lucas. - Dosyć tych snów na jawie, porozmawiaj ze mną, bo twarz ci zupełnie steżała. Szkic się nie uda, jeżeli będziesz taka nadęta...

- Wcale nie jestem nadęta - odpowiadam.

Słyszę jednak ostrzegawczą nutę irytacji w jego głosie i znowu się koncentruję. Zaczynam żałować, że zdecydowałam się opowiedzieć mu właśnie o tym wydarzeniu, ale już nie mogę się wycofać. Okrągły, zimny kamyk wciąż tkwi w gardle. Marszczę brwi, Lucas czeka, z ołówkiem znieruchomiałym tuż nad kartką papieru i - jak zwykle posłuszna jego życzeniom - wracam do przeszłości.

Widzę, jak tamtego popołudnia wyruszamy do wioski. Idziemy ścieżką przez las, chociaż zwykle wybieramy inną drogę. Julia ma nową białą sukienkę - nylonowe półhalki a la Brigitte Bardot sprawiają, że spódnica stoi sztywno i układa się w kształt dzwonu. Dekolt sukienki obszyty jest taśmą z angielskim haftem. Julia z dnia na dzień przeistoczyła się w kobietę i jest tak oślepiająco piękna, że aż mnie oczy bołą. Moja siostra Finn jak zwykle ubrała się w stare ciuchy - znoszone, sprane spodnie, pogniecioną bluzkę i sandały. Finn jest smukła i prosta jak młoda brzoza. Wiem, o czym myśli Julia - zawsze o sobie, naprawdę nietrudno zgadnąć - lecz w przypadku Finn nie jest to takie oczywiste. Finn jest skomplikowana, jak węzeł, którego nie umiem rozplątać.

Moje siostry idą przodem i sprzeczą się, ja podążam za nimi. Włożyłam brązowe lniane szorty, brązowe sandały na grubej gumowej podeszwie i białą gimnastyczną koszulkę,

z której Finn zdążyła już wyrosnąć. W tajemnicy czytam książkę z serii "Sławna Piątka" (te książki znajdują się na pierwszych miejscach listy literatury zakazanej, którą ułożyła Stella) i, podobnie jak nieśmiertelna George z Wyspy Kirrin, chcę być chłopcem. Gwiżdżę na psa, którego nie widzi nikt poza mną - tamtego lata przeżywaliśmy okres "między psami", tak jak teraz. Wkładam ręce do kieszeni i szuram podszwami po ziemi, liczę mijane drzewa i nadaję im imiona. Chyba jestem zadowolona z życia - radość to zaraźliwe uczucie. Po chwili Finn i Julia przestają się kłócić, i Finn, która ma śliczny, słodki głos, zaczyna śpiewać, najpierw jakąś prostą piosenkę, a potem, podskakując, tańcząc i śmiejąc się, Blue Suede Shoes Elvisa.

Wychodzimy z lasu i gorące słońce uderza w nas ze zdwojoną siłą. Rozciągająca się przed nami dolina jaśnieje jak płynne złoto. Pękate krzaczki uginają się pod jagodami, trzydzieści wiązków tworzy długą linię. W sadach dojrzewają jabłka, na polach pszenica. Na Acre Field Bóg symetrycznie ustawił złożone z czterdziestu jeden krów stado. Wysoko, tak wysoko, że nie sposób ich dojrzeć, latają skowronki. Słyszę ich dźwięczne głosy, słyszę, jak napełniają przestwór nieba rozedrganą pieśnią. Głęboko wciągamy angielskie powietrze, które przyjemnie wibruje w płucach i sprawia, że serce bije szybciej i radośniej. Finn bierze mnie za rękę, nawet Julia uśmiecha się pogodnie. Zaczynamy tańczyć, podskakując, zbiegamy w dół zbocza.

U stóp wzgórza czeka na nas Dan, tak jak się umówiliśmy. Nagle uświadamiam sobie, że ostatni raz widziałam go przed ponad rokiem i że od tego czasu bardzo wyrósł. Dawniej codziennie przychodził do Opactwa, teraz wyraźnie unika tych wizyt - jeżeli ta dziwna powściągliwość ma jakąś przyczynę, to nikt mi o tym nie powiedział, jak zwykle. Tak czy inaczej, Dan i Finn nadal są sobie bliscy. Finn już wiele razy była w domu Dana, lecz dla Julii i dla mnie jest to terytorium nieznane - Dan nigdy nie zaprosił nas do siebie, a nawet starał

się zniechęcać nas do odwiedzin. Przechodzimy przez wioskę, pogrążoną w ciszy upalnego popołudnia. Przy drodze trzynaście kur dziobie podeschniętą trawę.

Nic nie zmieniło się tu od wieków, co bardzo mi się podoba. Julia uważa, że brak zmian to potworne nudziarstwo. Stary, pochylony z jednej strony ku ziemi domek, w którym mieszka Dan, jest ostatni po lewej stronie drogi, z oknami wychodzącymi na południe. Stoi dokładnie czterysta kroków za stawem. Frontowe wejście jest zwykle zamknięte, więc okrążamy dom dookoła i wchodzimy od cieniściego podwórka, przez otwarte na oścież drzwi.

Korytarzyk jest niski, wyłożony starymi kamieniami. Dan, Finn i Julia muszą pochylić głowy. Wchodzę za nimi i nagle, po jasnym blasku słońca, czuję się kompletnie oślepią. Przed oczami mam gęstą ciemność.

Rozdział Drugi.

## CHŁOPIEC W LUSTRZE.

Finn powiedziała mi, że domek składa się z czterech pokoi. Frontowa izba na dole musi być zawsze wysprzątańa i czysta, ponieważ tu odbywa się czuwanie przy zwłokach i stypy. Matka Dana, Dorrie, leżała w trumnie właśnie tutaj, ubrana w białą satynową suknię ślubną, z białą książeczką do nabożeństwa w dłoniach. Od Finn wiem także, że babcia Dana oprowiła depeszę kondolencyjną, którą przysłał nasz Tata, i powiesiła ją w najbardziej godnym miejscu, nad kominkiem, w którym nigdy nie rozpala się ognia.

Ta straszna śmierć - Dorrie skończyła dopiero dziewiętnaście lat - nastąpiła pod koniec wojny. Wynika z tego, że pokój na dole jest praktycznie nieużywany od czternastu lat, a więc naprawdę długo, zwłaszcza jak na tak ciasny dom, ale Finn mówi, że takie panują tu zwyczaje. Poza tym babcia Dana bywa przesądna, ulega atakom pesymizmu i uważa, że kolejny zgon może zdarzyć się w każdej chwili, więc lepiej nie dać się zaskoczyć. Mam wielką ochotę obejrzeć żałobny pokój i wiszącą nad kominkiem depeszę Tatusia, lecz drzwi są zamknięte.

Jesteśmy w kuchni z tyłu domu, tam, gdzie rodzina gotuje, zmywa, pierze, je i żyje. Wąskie schody prowadzą do dwóch sypialni na pięterku, w których muszą się pomieścić ojciec Dana, jego babcia i Dan. Zanim przyszłyśmy, zapytałam Finn,

23

gdzie oni wszyscy sypiają, i usłyszałam, że Dan śpi w pokoju razem z ojcem, bo niby gdzie miałby spać. Kiedy wypytywałam ją dalej, zaczerwieniła się, wpadła w złość, nazwała mnie wścibskim bachorem i powiedziała, że to nie moja sprawa, i że nie wszyscy mogą mieszkać w wielkich jak stodoły domiszczach z dwudziestoma sypialniami. Dwudziestoma sypialniami, z których większość jest nieumeblowana, pełna mysich gniazd i kompletnie niezdatna do zamieszkania, mogłam odpowiedzieć, ale zmilczałam. Zorientowałam się, że zdaniem Finn, moje pytania mogą w jakiś sposób godzić w Dana, i że Finn stara się go chronić. Tak czy inaczej, jestem bardzo

ciekawa, jak oni sobie radzą. Dan jest wysoki, a jego ojciec olbrzymi i potężny, chociaż łagodny - ciekawe, czy śpią w jednym łóżku (może w małżeńskim łożu, w którym kiedyś sypiała nieszczęsna Dorrie), a jeżeli tak, to czy kładą się obok siebie, czy też na waleta...

Ciekawi mnie też, gdzie się myją, bo wydaje mi się, że poza kuchennym zlewem w domku nie ma żadnej innej umywalki, i gdzie załatwiają swoje potrzeby. Finn mówi, że wygodka znajduje się w ogrodzie, za chlewem, i że doskonale spełnia swoje zadanie. Wiem, że wszystkie czynszowe domy w wiosce zostały w ten sposób zbudowane, ale nigdy wcześniej w żadnym nie byłam. Kobiety z wioski nie przepadają za nami, kiedy przechodzimy, szepczą sobie coś na ucho i nazywają nas "dziwnymi siostrami", co oczywiście jest bardzo nieuprzejme, dlatego nigdy nie miałam okazji wysiusiać się w małej kamiennej komórce. Zamierzałam skorzystać z okazji i odwiedzić wygodkę Dana, ale Finn odgadła moje intencje. Mam nie siusiać podczas tej wizyty, i tyle. Ma mi się nie chcieć siusiu i nawet nie wolno mi myśleć o siusianiu. Wyprawa do kibelka jest po prostu wykluczona, uprzedziła mnie Finn. Byłoby to upokarzające dla Dana i niebezpieczne dla mnie, a poza tym pociągnęłoby za sobą konsekwencje w postaci kary. Dobrze wiem, że Finn wymierza szybkie, ostre i bolesne kary, więc nie mam zamiaru ryzykować.

24

- Zaparzyłam herbatę - mówi babcia Dana, chociaż od naszego wejścia minęło najwyżej dziesięć sekund.

Czuję wzrok Finn na mojej twarzy.

- Maisie nie będzie piła herbaty, wystarczy jej mała szklaneczka wody - odpowiada pośpiesznie.

- Tak, poproszę odrobinę wody, pani Nunn - potwierdzam, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

Po herbacie zawsze chce mi się siusiu.

Wszyscy stoimy wokół stołu i grzecznie czekamy, aż Bella Nunn usiądzie jako pierwsza. Moje oczy przyzwyczyły się już trochę do braku światła i kuchnia przybiera wyraźniejsze kształty. Jest tak dziwna i cudowna, jak obiecywała Finn, no i uderzająco brudna. To ostatnie wcale mnie nie dziwi, ponieważ babcia Dana sprząta u nas w Opactwie i miałam okazję poznać jej metody. Na popękany linoleum zalegają zwalkowane kurze i brud, w zlewie piętrzą się nieumyte naczynia, a stół jest tłusty w dotyku. Widzę, że Julia niepokoi się o swoją białą sukienkę - na jej twarzy maluje się słabo skrywane obrzydzenie. Waha się chwilę, zanim w końcu decyduje

się usiąść, bo krzesła także wyraźnie się lepia, i jednym udreńczonym spojrzeniem ogarnia zastawiony stół. Jest tu półmisek tłustej, grubo pokrojonej szynki, która przyciąga wielkie, ociążałe muchy niczym magnes opiłki żelaza, miska krwawej kiszki, obficie polana śmietaną zielona sałata, buraki w salaterce oraz kawałek zapiekanki, którą bez trudu rozpoznaję -babcia Dana musiała ściągnąć ją z naszej spiżarni mniej więcej przed tygodniem. Obok pyszną się wielkie kromki chleba z margaryną, nienaturalnie żółte ciasto, mocno podeschnięte, śliski stos jajek na twardo, przybrany gałązkami wędnącej natki pietruszki, a honorowe miejsce zajmuje różowy zakalcowaty biszkopt w kształcie zamku, otoczony fosą miniaturowych cząstek pomarańczy z puszkii. Jest trzecia po południu.

- Och, pani Nunn, zadała pani sobie tyle trudu... - odzywa się Julia słabym głosem. - Nie trzeba było, naprawdę... Dopiero zjadłyśmy lunch...

25

- Bzdury, ja konam z głodu. - Finn rzuca Julii groźne spojrzenie. - Wszystko wygląda tak smakowicie...

Zerkam w stronę drzwi, gdzie nadal stoi Dan. Przyłapuję na jego twarzy wyraz tak dojmującej rozpacz i wstydu, że serce ściska mi się z bólu. Dan odwraca się i z wystudiowanym zainteresowaniem ogarnia wzrokiem podwórko, zupełnie jakby nigdy wcześniej go nie widział. Dopiero teraz zauważam, że chociaż są wakacje, Dan ma na sobie swój najlepszy garnitur, ten sam, który kupił, kiedy udało mu się dostać do szkoły średniej. Wyrósł już z niego i spod krawędzi rękawa marynarki wystaje co najmniej pięć centymetrów mankietu koszuli z białego nylonu, świeżo wypranej. Sznurwane buty są starannie wypolerowane, włosy ostrzyżone. Kiedy widziałam Dana ostatni raz, miał na głowie przylizane brylantyną długawe kosmyki, ale taka fryzura wzbudziła pewnie obiekcje dyrekcji szkoły, więc teraz włosy są króciutkie, zwłaszcza z tyłu głowy i po bokach, co nadaje mu wygląd chłopaka z sierocińca. Skóra na szyi obsypana jest drobnymi krostkami, może wysypką. Finn mówi, że Dan zaczął się golić, ale najwyraźniej jeszcze nie opanował tej umiejętności.

- Babcia specjalnie upiekła ciasto - mówi Dan, odwracając się twarzą do nas, ale nie patrząc na nas. - Może panie

usiądną...

Nagle uświadamiam sobie, że wcześniej nie odezwał się ani słowem. Jego głos zmienił się równie drastycznie, jak jego wygląd - załamuje się na wysokich tonach, ni to chrypliwy, ni to zgrzytliwy, a samogłoski brzmią dziwnie płasko. Odgaduję, że Dan ćwiczył to okropne zaproszenie oraz drewniane gesty, które mu towarzyszą.

Stara się wyrzucić Suffolk ze swojego głosu i uśmiercić ten nieco dziwny, lecz pełen uroku akcent, którego jako dziecko nauczył się od Ocean, akcent, który dało się wyraźnie słyszeć, gdy był podekscytowany lub ucieszony. W rezultacie tych wysiłków powstała smętna mieszanka wywodzącej się z cockneyu intonacji jego babki i ugrzecznionej wymowy rodem ze szkoły średniej. Może Dan usiłuje naśladować

26

swojego przyjaciela Nicholasa Marlowa, który teraz uczy się w Winchester, albo matkę Nicka, która rezyduje w Starej Plebanii, kieruje Kołem Kobiet i, jak mówi Julia, potrafiłaby protekcjonalnie poklepać po ramieniu samego Boga.

Bella Nunn stawia na stole duży brunatny czajnik. Siada. Wszyscy siadamy. Nie protestuję, kiedy Bella nakłada mi na talerz wielkie porcje jajek na twardo, szynki, zapiekanki, polanej śmietanowym sosem firmy Heinz sałaty i wreszcie buraczków - wszystkiego, czego nienawidzę. Nie znoszę zjadać zwierząt. Buraczki krwawią. Wbijam wzrok w swój zakrwawiony talerz, ozdobiony sceną koronacji królowej Elżbiety II -Bella jest zacieklą monarchistką i dałaby się posiekać za rodzinę królewską. Talerz ma na brzegu herb Windsorów, jest pozłacany i wyszczerbiony.

Dan, co się z tobą stało, myślę.

To ja pierwsza zobaczyłam Dana, chociaż nikt z rodziny nie chce przyjąć tego do wiadomości. Twierdzą, że byłam wtedy za mała, aby cokolwiek zapamiętać, że to tylko jeszcze jedna z moich nużących opowiastek. Finn, która jest potwornie zazdrosna o więź, jaka łączy ją z Danem, w szczególnie ostry i kwaśny sposób komentuje moje wynurzenia. Julia, która nie znosi i nigdy nie znosiła Dana, a w każdym razie lubi udawać, że tak jest, mawia:

- Dobry Boże, Maisie, ależ z ciebie mała fantastka! I kogo to obchodzi, kto pierwszy zobaczył Dana? To uczeń Manczkin, jej wnuk, który dostał nam się razem z Opactwem, podobnie jak ona! Zawsze kręcił się w pobliżu domu, więc co za różnica...

To nieprawda. Zobaczyłam Daniela w dzień pogrzebu Taty, a takich okazji raczej się nie zapomina, prawda? Jak mogłabym pomylić ten dzień z jakimkolwiek innym?

Oczywiście w gruncie rzeczy nie był to prawdziwy pogrzeb, chociaż wtedy tego nie rozumiałam. Mój ojciec był bohaterem. Mając dziewiętnaście lat, latał na samolotach typu Spitfire. Przeżył Bitwę o Anglię i później umarł w Nowym

27



Meksyku, w Stanach Zjednoczonych, dokąd w wyniku nalegań Stelli pojechaliśmy, aby podleczył płuca. Wrócił z nami do Anglii statkiem, w malutkiej urnie, umieszczonej w pudełku o specjalnie wzmocnionych ściankach, z wypisaną ręką Stelli karteczką: "Niepotrzebne w czasie podróży". Kiedy przyjechałyśmy do Opactwa, na "śmietnik przodków", jak ponuro mówi Dziadziuś, urna na wiele miesięcy zamieszkała na komodzie w pokoju Stelli. Wokół urny powstało mnóstwo zamieszania, ponieważ trzeba było ustalić, gdzie ją umieścić i jaką ceremonię zaaranżować. Początkowo miała stać w niszy w kościele, obok niezliczonych innych sławnych i szacownych Mortlandów, a niszę miał zasłonić kamień wyrzeźbiony przez jednego z zaprzyjaźnionych ze Stellą artystów (prawie wszyscy przyjaciele Stelli są artystami).

Później okazało się, że dużo bardziej stosowna będzie pamiątkowa tablica w takim samym stylu jak ta, która znajduje się naprzeciwko, wmurowana ku czci pra pra pra Mortlanda, poległego w jakiejś odległej, dawno zapomnianej wojnie. Jeszcze później urna miała spocząć na cmentarzu, potem na specjalnie wydzielonym placu na Acre Field, w miejscu, które Tata uwielbiał jako dziecko. Pojawiła się też propozycja umieszczenia urny w lasku, w którym kwitną dzwonki, ponieważ oczy Tatusia, zdaniem Stelli, miały dokładnie taki odcień jak te wdzięczne kwiatki. I wreszcie, kiedy Dziadek stanął okoniem i oświadczył, że jego syn nie będzie leżał na polance, na której grzebie się psy, zdecydowali się na kościół. Niestety, budżet zdążył się już poważnie skulić, a wraz z nim kamień nagrobny, więc imponująca, barokowa inskrypcja powstała w wyobraźni Stelli przeistoczyła się w malutką, prostokątną tabliczkę z napisem: "Guy Mortland, bohater wojenny, uczestnik Bitwy o Anglię. 1920-1955".

Tamtego wielkiego dnia, kiedy urna miała wreszcie spocząć na właściwym miejscu, całą procesją wyruszyliśmy do kościoła - przodem Dziadziuś i Stella, po nich Julia i Finn, na końcu Bella Nunn i ja. Bella, która doglądała Opactwa w czasie

28

naszego pobytu za granicą, została awansowana i teraz była gospodynią, sprzątaczką, powiernicą oraz opiekunką do dziecka w jednej osobie. Bella darzyła serdecznym uczuciem mojego ojca, wzięła więc udział w ceremonii, aby oddać mu cześć, a także ze względu na mnie - miała dopilnować, żebym nie zakłóciła uroczystości, wierząc się i kręcąc, siakając nosem czy przynosząc rodzinie wstyd w jakikolwiek inny sposób, choćby najmniej zauważalny.

W kościele odśpiewaliśmy ulubiony hymn Taty, Orzemy pola i rzucamy dobre ziarno w ziemię, potem zaś proboszcz pomodlił się, a Stella odczytała swój własny bardzo

długi wiersz, "doszlifowany" przez pewnego szacownego literata, oczywiście jej przyjaciela. Literat obiecał, że przyjedzie na ceremonię złożenia urny, ale jakaś bardzo ważna sprawa zatrzymała go w Londynie. Mieszkańcy wioski zostali wprawdzie zaproszeni, lecz Dziadzius był tak zdenerwowany i rozstrojony, że wypisał na kartkach z czarną otoczką niewłaściwą datę, a poza tym działo się to w czasie żniw i wszyscy zajęci byli pracą w polu. Kościół rozbrzmiewał echem kroków i głosów, był pusty i wyziębiony, a ławki okazały się potwornie niewygodne. Byłam dość pulchnym dzieckiem i miałam jeszcze zbyt krótkie nóżki, aby oprzeć stopy na klęczniku, nie mówiąc już o podłodze. Bella pachniała naftaliną i mocno ścisnęła moją rękę. Siedziałam obok niej i starałam się wspominać Tatusia, zgodnie z zaleceniami Dziadka. Wspomnienia wymykały mi się i mieszały, i w rezultacie wyławiałam z pamięci tylko oderwane obrazy i wrażenia - wyciągnięte do mnie ramiona, zapach jego skóry, grzechotliwy odgłos głębokiego kaszlu, widok krwi na chusteczce do nosa i łez na policzkach Stelli. Niewykluczone, że te ostatnie obrazy pochodziły z mojej wyobraźni, nie z pamięci, być może nie tylko ostatnie, ale wręcz wszystkie. Kiedy Tata umarł, miałam niewiele ponad rok. "

Po pewnym czasie zaczęłam się nudzić. Uważnie przyjrzałam się dziwnym butom Belli, porządnym i czarnym, ze

29

szkarłatnymi sznurowadłami. Obejrzałam jej płaszcz, obsyty futrem jakiegoś martwego zwierzęcia, które wydawało się na mnie powarkiwać. Popatrzyłam na jej pierścionki (całe mnóstwo) i czarne korale na szyi (kilka sznurów). Chłonełam wzrokiem jej dziwaczny kapelusik, ozdobiony wetkniętym za czarną wstążkę pawim piórem. Bawiłam się książeczką do nabożeństwa, przeciągałam się i kręciłam tak długo, aż w końcu Bella straciła cierpliwość i mocno uszczypnęła mnie w rękę. Dopiero wtedy znieruchomiałam i umilkłam, podniosłam wzrok i rozejrzałam się po kościele. Przez parę chwil nie odrywałam oczu od malowidła przedstawiającego "Dzień Sądu Ostatecznego", na którym rozdokazywane diabły widłami wrzucały tłum nagich ludzi w przepaść i piekielny ogień, potem przeniosłam spojrzenie na marmurowego krzyżowca z rodu Mortlandów, pogrążonego w wiecznym śnie na swoim grobowcu, i na mosiężną płytę, wmurowaną ku czci ukochanej żony innego Mortlanda, żyjącego za panowania Tudorów. Płyta była chyba często czyszczona i polerowana, bo rysy twarzy nieodżałowanej małżonki uległy prawie zupełnemu zatarceniu. Przyjrzałam się też witrażowemu oknu z tablicą ku czci pra pra pra Mortlanda, poległego w dawno zapomnianej wojnie, a później najbliższemu oknu, w które na pewno wmontowano by tablicę ku czci Tatusia, gdyby w ostatnich latach nie zrobiło się tak krucho z pieniędzmi.

Okno złożone było z szybek w ołowianych ramkach. W szybcie, która znajdowała się najbliżej mnie, ujrzałam ślicznego chłopca. Miał potarganą grzywę czarnych włosów, czarne oczy, prosty nos, szerokie usta i białe, bardzo białe zęby. W jego uchu błyszczał mały złoty kolczyk, na twarzy malował się surowy, oskarżycielski wyraz. Wydawało mi się, że nie ma ciała, ponieważ nie widziałam ani jego szyi, ani korpusu, ani kończyn. Na moment zajrzał do środka przez szybkę i zniknął, lecz później pojawił się jeszcze trzy razy.

- Kiedy wrócę do domu, zamorduję tego chłopaka... -wymamrotała Bella, gdy wychodziliśmy z kościoła.

30

Chłopiec, nadal z mocno urażonym wyrazem twarzy, ale teraz również z szyją, rękami i nogami oraz całą cielesną resztą, właśnie wyłonił się zza nagrobka.

- Złoję mu skórę - dorzuciła moja opiekunka, widząc, jak winowajca hušta się na gałęziach wiązu.

Po raz ostatni dał o sobie znać już po naszym powrocie do Opactwa.

Niespodziewanie zobaczyłam jego twarz, przyciśniętą do okna biblioteki i oczy, mierzące nas ostrym, surowym spojrzeniem. Stella serwowała właśnie malutkie kanapki, Dziadek nalewał sherry do kieliszków, Julia i Finn bawiły się na leżącej na podłodze lwiej skórze, a Bella rozniecała ogień w kominku. Tylko ja go widziałam. Biblioteka znajduje się na pierwszym piętrze, okno od kamieni dziedzińca dzieli mniej więcej dziesięć metrów. Chłopiec i ja wpatrywaliśmy się w siebie przez kilka minut. Coś mu przeszkadzało - uniósł brudną rękę i przetarł oczy. Potem mrugnęłam, a kiedy znowu spojrzałam w okno, już go nie było.

To był Dan. Dziś wiem, że musiał wspiąć się po rynnie do okna, chociaż on utrzymuje, że podfrunął. Ostatnio domyśliłam się w końcu, co mu przeszkadzało, ale on upiera się, że tylko wyobraziłam sobie łzy w jego oczach. Tak czy inaczej, te detale nie mają żadnego znaczenia. Od tamtego dnia obraz Dana na zawsze utrwalił się w mojej pamięci i świadomości. Dan jest dla mnie chłopcem za szybą i chociaż pod wieloma względami bardzo się zmienił, w moich oczach pozostaje dzikim chłopcem, który od razu wydał mi się dziwnie bliski -chłopcem, który przygląda się innym z zewnątrz, zza szyby, zza bariery. Kiedy go widzę, zawsze mam ochotę zawołać: "Wpuście go do środka! Otwórzcie okno! Otwórzcie drzwi!"

Rozdział Trzeci.

## CÓRKA OCEAN STAWIA KARTY.

- Jeszcze trochę krwawej kiszki, panno Julio? - zagaduje Bella i nakłada wielką łyżkę potrawy na talerz mojej siostry, zanim ta zdążyła zaprotestować.

Julia, o której obrzydzeniu do kaszanki wiedzą wszyscy obecni, także Bella, z trudem powstrzymuje grymas niechęci. Bella rzuca jej wesołe, choć złośliwe spojrzenie. Jej małe czarne oczka płoną rozbawieniem.

- Wypijcie herbatę, dziewczęta - mówi. - A ty pij powoli, małymi łyżkami, Maisie. Zacznę od wróżenia z fusów...

- Może lepiej zajrzeć najpierw do kryształowej kuli? -

odzywam się.

Od początku tęsknym wzrokiem przyglądam się kuli, która stoi na komodzie, przykryta białą jedwabną chustką.

- Nie - odpowiada Bella. - Wszystko należy robić we właściwym porządku - najpierw fusy, potem kryształowa kula, a na końcu karty...

Nie ma sensu spierać się z Bellą, która jest apodyktyczna i uparta; łatwo traci też cierpliwość - wiem, że jeśli ją zdenerwujemy, w ogóle nie będzie nam wróżyć, a przecież wszystkim nam strasznie na tym zależy, nawet Julii, chociaż ona udaje, że to zwyczajne bzdury. Bella ma Dar - powtarza nam to tak często, podobnie jak Dan, że całkowicie wierzymy w jej niezwykle umiejętności. Dar jest dziedzictwem po cygańskich przodkach Belli.

32

- Niektórzy otrzymują w spadku dom albo garb - mawia Bella. - Inni dostają książęcy tytuł lub hemofilię, tak jak ci rosyjscy książęta. A ja odziedziczyłam Dar. Ile dzieci miała Ocean?

- Czternaścioro - odpowiadam bez wahania, ponieważ znam tę historię na pamięć.

- Ile z nich odziedziczyło Dar?

- Tylko ty. Dar wybrał właśnie ciebie...

- Dar wybrał właśnie mnie... - powtarza Bella z naciskiem. - Więc lepiej miej się na

baczności, Maisie! Mnie nie oszukasz, skarbie, ja widzę przez ściany i drzwi...

Teraz Bella nalewa do filiżanki trochę czarnej herbaty, mniej więcej na grubość palca od dna, i podaje mi naczynie. Herbata jest gęsta od liści. Popijam powoli, pod baczym spojrzeniem Finn. Obiecałam Stelli i Dziadkowi, że ze szczegółami opiszę im siedzibę czarownicy, więc podczas gdy Julia z trudem przełyka kaszanke, a my czekamy, aż skończy, uważnie rozglądam się dookoła.

Bardzo mi się tu podoba. Mój podziw i zachwyt budzi dosłownie wszystko - mrok i połyskliwe powierzchnie, szkarłatne róże, które Bella namalowała na belkach sufitu, odbijające i zniekształcające zewnętrzny świat lustra w błyszczących metalowych ramach, wiszące w głębokich okiennych niszach, najrozmaitsze drobiazgi i kolorowe wstążki, zdobiące haczyki na kredensie, lśniące mosiężne garnki i rondle oraz poduszki, tak, cała góra poduszek na ławie przy okopconym kuchennym piecu, poduszek w poszewkach w kwiaty, paski i kropki, czerwonych i jasnożółtych, złocistych jak słoneczniki w pełnym rozkwicie, zielonych i malinowych; mój wzrok zawsze wędruje ku jednej w drobne gwiazdki z cekinów. Najbardziej podoba mi się jednak ściana przodków, obok której usiadłam, żeby móc jej się swobodnie przyjrzeć.

Przypomina mały ołtarz, z półką obitą czerwoną flanelą i olejową lampką płonąca przed fotografiami i oświetlająca je w taki sposób, że twarze uwiecznionych na nich osób wydają

33

się żywe. W samym centrum, na honorowym miejscu, stoi zdjęcie matki Belli i prababki Dana, sławetnej Ocean Jones. Ocean siedzi na sepiowych schodkach drewnianego wozu, takiego, jakiego nigdy nie widziałam, ale w jakim zamierzam zamieszkać. Wóz ma wygięty dach, ogromne koła, wysoki metalowy komin z rury i malowany żłób dla pasącego się w pobliżu łaciatego kuca. W drzwiach widać Ocean we własnej osobie, w paradnym cygańskim stroju. Ocean robi imponujące wrażenie, co do tego nie ma cienia wątpliwości. Po pierwsze, jest gruba; po drugie, szeroka i przysadzista; po trzecie, ma ciemne, bardzo ciemne oczy, utkwione gdzieś w przestrzeń. Ubrana jest w długie, haftowane spódnice, pięć, może nawet sześć warstw spódnic, luźną bluzkę z bufiastymi rękawami, kamizelkę, kilkanaście naszyjników (to po niej Bella dziedziczy upodobanie do tyłu ozdób), na głowie ma turban z chustki, obszyty monetami i nasunięty nisko na czoło. Siwe włosy (fama głosi, że nigdy ich nie obcinała, podobnie jak Bella, ponieważ przynosi to pecha) zaplotła w warkocz gruby jak koński ogon, przewieszony przez ramię i sięgający do pasa. Na nogach nosi męskie buty, a w ręku trzyma męską fajkę - na zdjęciu widać kilku mężczyzn, którzy stoją po obu stronach schodków, ale osobowość Ocean całkowicie ich przytłacza.

Wydaje mi się, że nikt nie może wątpić, kto rządzi tym klanem, i po raz pierwszy rozumiem znaczenie słowa matriarchat, którego Finn użyła w odniesieniu do Ocean.

Ocean zmarła w 1949 roku, kiedy Dan miał cztery latka -wiem o tym z częstych opowiadań Belli. Przepowiedziała własną śmierć i starannie się do niej przygotowała. W tamtych latach Cyganie nadal co roku przyjeżdżali jeszcze do tej części Suffolk, zwykle w porze zbiorów, bo wtedy ludzie zlecali im rozmaite dorywcze prace. Rozbijali obóz w pobliżu stawu Black Ditch i czasami zostawali tam aż do zimy. Ruszali w drogę dopiero wiosną - na północ, południe, wschód albo zachód. Cała Anglia należała do nich. Odwiedzali miasta -Bella mówi, że zawsze "zarabiali" w miastach, ale woleli sypiać w polu,

34

pod gwiazdami. Wyprawiali się daleko na północ, aż do Yorkshire, którego mieszkańcy słyną ze skąpstwa, i daleko na południe, aż do Dorset, gdzie ludzie znacznie chętniej sięgają do portfela. Jeździli na wszystkie targi, jak kraj długi i szeroki. Robili patchworkowe kołdry, narzuty i dywaniki, narzędzia i ozdoby, które wszędzie cieszyły się powodzeniem. Zatrudniali się przy wykopkach ziemniaków w Lincolnshire, zbierali przeznaczone na złom metalowe przedmioty i raz na rok urządzali zjazd Cyganów w londyńskim East Endzie. Bella o mały włos nie poślubiła Króla Perłowego, Króla tak czarującego i wygadanego, że owinął ją sobie dookoła małego palca. Poznała go w Epsom, na wyścigach. Na królewskim garniturze miał naszytych trzydzieści tysięcy perłowych guzików, na plecach marynarki wyhaftowane Oko Opatrzności, na klapach słońce i księżyc. Bella spojrzała na niego i straciła głowę, lecz Ocean nie podobał się krój koszuli Króla, więc ostatecznie Bella odzyskała rozsądek i wyszła za dziadka Dana. Dziadek Dana był normalnym, odpowiedzialnym mężczyzną, a właśnie takiego, zdaniem Belli, potrzebuje każda kobieta. Dziadek Dana spełniał te wymagania, podobnie jak jego ojciec.

Ocean pragnęła umrzeć tutaj, na polu w pobliżu Black Ditch. W szczególny sposób czuła się związana z Wykenfield i miała tam wielu przyjaciół, nie wspominając o córce, Belli, która poślubiła nieCygana, ale którą Ocean bardzo kochała. Stało się jednak inaczej. Zgromadziwszy wokół siebie dziewięćdziesięciu sześciu członków najbliższej rodziny, umarła dokładnie o północy, niedaleko Scunthrope (moim zdaniem mogła wybrać sobie lepsze miejsce). Zgodnie z romskim zwyczajem, wóz palono tylko po śmierci głowy rodu płci męskiej, lecz w wypadku Ocean, biorąc pod uwagę towarzyszący jej przez całe życie Dar, siłę woli i osobowości, uczyniono wyjątek. To właśnie ten uwieczniony na zdjęciu wóz, podpalony parę godzin po śmierci Ocean, stał się, w pewnym sensie, jej pogrzebowym stosem.

Niestety, nie istnieje żadna fotografia, upamiętniająca ten rytuał. Muszą mi wystarczyć zdjęcia Ernesta Jonesa, męża Ocean, jednego z legendarnych romskich Jonesów, różniącego się od innych, przeciętnych ludzi tego nazwiska, jak wyjaśniła mi Bella. Patrząc na grupkę córek Ocean i staram się znaleźć wśród nich Bellę. I patrząc na synów Ocean, chłopców o dzikich oczach i bosych stopach, ubranych w szmaty i wyposażonych przez Matkę Naturę w iście książęce, zachwycające rysy. Trudno mi uwierzyć, że są dziećmi tego wieku... Cóż, wszystkie te fotografie zostały wykonane przed wojną, a lata przedwojenne, jak mówi Dziadek, to inny świat. Ciekawe, gdzie są teraz ci ciemnowłosi książęta... Czy jeszcze żyją? Czy nadal są Cyganami? Czy dalej wędrują? Mam nadzieję, że tak. Patrząc na ich niestrzyżone loki, smukłe kończyny i czarne oczy - każdy z nich mógłby być Danielem, którego wydawało mi się, że znam, Danielem, którego oplakuję.

Zastanawiam się, gdzie są zdjęcia krewnych Belli z Suffolk, także prowadzących plemienne życie. W najbliższej wiosce nadal żyje czworo członków rodziny Nunn, dalekich kuzynów Belli, a na naszym cmentarzu spoczywa piętnaście (Finn i Dan kiedyś policzyli nagrobki) osób tego nazwiska. Nigdzie nie widzę też fotografii tego odpowiedzialnego, normalnego mężczyzny, Bartholomew Nunna, nieżyjącego małżonka Belli, ani biednej Dorrie, ich jedynej córki. Nie ma również zdjęcia Joego Nunna, ojca Dana. (Dorrie poślubiła kuzyna - jak mówi Dziadek, najczęściej ponurym tonem, w okolicy zawsze zawierano mnóstwo małżeństw między kuzynami). Wydaje się nawet, że w tym pokoju nie ma żadnych śladów istnienia ojca Dana - jest to królestwo Belli i tylko Belli. Na ścianie wisi wprawdzie osiem starannie oprawionych dyplomów dla Josepha Nunna za kolejne zwycięstwa w Dorocznych Zawodach Orania Pługiem organizowanych w Suffolk dla regionu Anglii Wschodniej (to wielkie osiągnięcie, w każdym razie tak twierdzi Dan), ale co z tego... Na półce leży strzelba, lecz ta równie dobrze może stanowić

własność Belli, która już jako młoda dziewczyna polowała na króliki i zastawiała na nie wnyki (w przeciwieństwie do mnie, Bella nie ma szczególnego szacunku dla zwierząt - w jej oczach są pożywieniem, niczym więcej). Jeśli kura się starzeje lub zaczyna dziwnie zachowywać, Bella pozbywa się jej siekierką. "Odrąbię łeb i do garnka!", woła. Widziałam raz, jak zabiła jedną z kur Stelli i wciąż nie mogę tego zapomnieć. Krew tryskała z pozbawionej głowy szyi i kura dobre dwie minuty miotła się po podwórku. Nazywała się Miranda i jadła mi ziarno z ręki. Dan chrząka głośno.

- Pospiesz się, Babciu - mówi tym swoim okropnym nowym głosem.

Potem niby od niechcienia wyjmując z kieszeni paczkę papierosów i częstuje nas. Jest czerwony jak burak, a ręka mu lekko drży. Ciekawe, na kim próbuje zrobić wrażenie... Może na Finn? Julia obrzuca paczkę papierosów Woodbines pełnym litości spojrzeniem.

- Nie, dziękuję, my nie palimy - odpowiada najbardziej panienkowskim tonem, na jaki ją stać.

- Bzdury! - warczy Finn i bierze papierosa.

Dan przechyla się przez stół i podaje jej ogień. Przez chwilę widzę płomyk w zdumiewających oczach Finn. Ona i Dan wymieniają spojrzenie. To spojrzenie działa jak nóż - odcina ich od nas, tworzy wokół nich przestrzeń, w której mogą przebywać sami, tylko we dwoje. Jestem wstrząśnięta, poruszona, chociaż nie wiem, dlaczego. Czuję się tak, jakbym zajrzała przez dziurkę od klucza, jakbym uchyliła zamknięte drzwi i zobaczyła coś, czego nie powinnam widzieć. Nie podoba mi się to. Zaczynam się denerwować i czuję, że zaraz zachce mi się siusiu, a przecież o tym nie wolno myśleć. Mam wrażenie, że Julia także dostrzega potęgę tego spojrzenia, ale reaguje tylko Bella, posyłając Julii jeden ze swoich małych, złośliwych uśmiezków.

Niebieskawy dym zwija się w powietrzu nad stołem i wydaje się lśnić.

37

Piec kuchenny grzeje, więc w kuchni robi się coraz bardziej gorąco i duszno. Zaczyna mi brakować tchu, robi mi się słabo, chyba z podniecenia. Bella dostojnie podnosi się z krzesła, emanując godnością córki Ocean, i idzie po kryształową kulę oraz karty.

Bella uwielbia ceremoniał i teraz, kiedy jestem starsza, widzę, że całe to spotkanie miało w sobie coś z teatralnego spektaklu. Musiała zbudować napięcie, więc na początku bawiła się z nami trochę, oglądając nasze dłonie, przesuując palcem po liniach, potrząsając głową, mamrocząc pod nosem i zagadkowo marszcząc brwi.

- Tutaj widzę jednego męża i pół! - mówi, uważnie badając dłoń Julii.

- Kto by pomyślał! - woła, oglądając rękę Finn. - Tajemnicza z ciebie osóbka, nie ma co!

- A dla ciebie same róże i przyjemności, kochanie - dodaje szybko, ujmując moją dłoń. - Widzisz ten krzyż tutaj, na środku? To znak szczęścia na całe życie!



Ani Julia, ani Finn nie mają krzyża. Jestem z siebie dumna. Marszczę dłoń, żeby znak stał się bardziej widoczny - nie ma cienia wątpliwości, wyraźnie widać krzyż.

Później Bella wróży nam z herbacianych fusów. Każda z nas musi chwilę pokręcić filiżanką i przelać resztę płynu, która jeszcze w nich została, do specjalnej białej porcelanowej miseczki. Po kolei podajemy filiżanki Belli, a ona przygląda im się uważnie. I tym razem robi z tego ekscytujące przedstawienie - patrzy w fusy z jednej, drugiej i trzeciej strony, mruży coś pod nosem. I właśnie wtedy, jak później dochożę do wniosku, coś zaczyna się dziać nie tak. Albo Bella nie potrafi czytać z fusów, albo nie podoba jej się to, co w nich widzi. Raz po raz podnosi i odstawia filiżanki, porównuje układy herbacianych listków tak długo, że umieram z napięcia.

- Niejasne - oznajmia w końcu. - Nie chcą mówić, stawiają opór. Spróbujemy popatrzeć w kryształową kulę. Gdzież

38

nasza urodzinowa księżniczka? Panienska pierwsza, panno Julio. Proszę tu podejść.

Obie z Julią siadają przy drugim końcu stołu. Jest mi strasznie gorąco i niedobrze po tym okropnym jedzeniu, ciągle mam w ustach siarkowy posmak jajek, nieco gorzkawy buraków i kaszanki. Wiele bym dała, żeby choć na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem. Gdybym chociaż trochę mniej bała się gniewu Finn, zaproponowałabym wizytę w kamiennej wygódce w ogrodzie, ale nie śmiem tego zrobić. Próbuje skupić wzrok na fotografiach Ocean i ołtarzyku ku czci zmarłych, lecz obrazy zaczynają pływać przed moimi oczami i łączyć się. Tylne drzwi są szeroko otwarte, ale nie dostaje się przez nie ani trochę świeżego powietrza, w każdym razie takie mam wrażenie. Bella mruży i wzdycha. Dan zapalił następnego papierosa i ostry dym unosi się nad stołem. Wydaje mi się, że wędruje w moją stronę i nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, bo w tej przerażającej duchocie powietrze jest kompletnie nieruchome.

- No, dostanie panienska wszystko, czego pragnie panienski serce - słyszę wreszcie i Julia z triumfalnym wyrazem twarzy wraca na swoje miejsce.

Teraz kolej Finn, która pochyla się nad kryształem, zasłaniając go włosami niczym woalem. Jest to bardzo frustrujące - widzę tylko szczupłe, opalone ramię Finn i grzywę złocistych jak ziarno pszenicy włosów, którym dobrze zrobiłoby krótkie spotkanie z grzebieniem. Kręcę się na krześle, ale mimo wszelkich starań nadal nie mogę dostrzec, co się tam dzieje. Nie widzę nawet twarzy Belli, chociaż słyszę jej głos. Córka Ocean mamrocze i pomrukuje, i wygląda na to, że jest coraz bardziej podekscytowana. Najwyraźniej kula coś jej pokazuje. W kuchni robi się ciemniej i

gorącej, powietrze wibruje i drga. Jakby ktoś trącił jakąś potężną strunę, fale rozchodziły się w powietrzu. Podobne wrażenie odnoszę, kiedy w korytarzach naszego domu obwieszczają swoją obecność zakonnice. Wiem, że nie wyobraziłam sobie tego, bo widzę,

39

że Dan także wyczuł coś niezwykłego - jest biały jak prześcieradło.

- Widzę poświęcenie... - mówi Bella czystym, donośnym głosem.

Słyszę w nim zdumienie, całkowite zaskoczenie, może nawet strach. Znowu zaczyna mamrotać niezrozumiałe słowa, chyba w języku romskim. Nagle z jej ust wydobywa się dziwny, bzyczący dźwięk. Coś podobnego można czasem usłyszeć, kiedy Dziadziuś kręci gałką radia - pół zdania, dwa tony muzyki, kilka słów piosenki, wszystko to ukryte w falach radiowych. Jednak Bella szuka jednej konkretnej stacji, czuję to, i wreszcie ją znajduje.

- Drugi będzie pierwszym - obwieszcza pełnym bólu głosem.

Zaraz potem traci falę, albo może zakłócenia stają się zbyt nachalne, ponieważ gwałtownym ruchem odpycha Finn i zasłania uszy dłońmi. Finn patrzy na nią niepewnym wzrokiem, chyba trochę przestraszona i Bella odzyskuje równowagę.

- I mnóstwo podróży - dodaje głucho. - Widzę podróże. Przepłyniesz wiele mórz, lecz w końcu dotrzesz do bezpiecznego portu...

- Najlepiej od razu zarezerwuj sobie miejsce na statku... -szepcze Julia, kiedy Finn siada obok niej.

Julia się uśmiecha - zawsze zazdrości Finn i wiem, że teraz jest zachwycona, iż przyszłość siostry wydaje się mniej obiecująca niż jej własna. Finn nie zwraca na Julię uwagi, jej twarz jest poważna i skupiona. Czy w ogóle słyszała słowa Julii? Czy widziała coś w magicznej kuli? Bardzo chcę się tego dowiedzieć, ale nie mogę pytać, ponieważ właśnie jest moja kolej.

- Teraz ty, mój skarbeńku - mówi Bella.

Kiedy podnoszę się z krzesła, zaczyna mnie mdlić. Staję obok Belli. Wszystko wydaje mi się nierealne, jakbym śniła. Bella każe mi się schylić, tak żeby nikt poza nami dwiema nie widział kryształowej kuli. Przeciera jej powierzchnię białą jedwabną chustką

40

bardzo dokładnie, jakby polerowała kłamekę, i szybkim ruchem zdejmuję jedwab z kuli. Spoglądam na jej twarz, która wydaje mi się dziwna, wcale niepodobna do normalnej twarzy Belli. Spod na w pół przymkniętych powiek widać tylko białka oczu. Ciągłe przekrzywia głowę, jakby ktoś szeptał jej do ucha. Patrzę na kulę.

- Głębiej, głębiej... - mamrocze Bella. - Zajrzyj głęboko, Maisie, w samo serce...

Patrzę i patrzę. Spodziewam się zobaczyć jakąś scenę z mojej przyszłości, króciutką, coś w rodzaju sceny z filmu. Kryształ pokaże mi fragment historii albo może twarz... Może zobaczę mężczyznę, którego poślubię, bo przecież kiedy przestanę być chłopcem, chyba wyjdę za mąż - co innego miałabym zrobić? Może ujrzę swoje dzieci, kto wie... Chciałabym je zobaczyć. Najchętniej urodziłabym całe mnóstwo dzieci, jak Ocean. Jeżeli już muszę je mieć, to chcę urodzić całą gromadkę...

Zaczynam się zastanawiać, czy moje dzieci odziedziczą po mnie oczy, tak jak Dan odziedziczył oczy po Ocean. Mam nadzieję, że tak będzie, ponieważ wtedy Tatuś żyłby wiecznie. Jednak chociaż patrzę bardzo uważnie i koncentruję się ze wszystkich sił, widzę tylko swoje odbicie - rozmazaną Maisie. Wokół mnie i wewnątrz mnie jest szkło, czyste, przejrzyste szkło z dziwnym pęknięciem w głębi mojego kryształowego serca. To skaza w kształcie łzy, dużej łzy. Ma hipnotyzujące działanie, bo nie mogę oderwać od niej wzroku. Odkrywam, że łza może zmieniać kształt niczym chmura. Przyglądam się i widzę, jak wydyma się i rośnie, jak gromadzi dookoła siebie inne chmury i wchłania je. Robi się coraz większa, coraz bardziej opasła. Kryształ zaczyna zasnuwać się mgłą i w końcu widzę tylko jedną wirującą białą kulę...

Finn zrywa się z miejsca, w każdym razie wydaje mi się, że to Finn. Słyszę, jak nogi jej krzesła zgrzytają o podłogę.

- Co się dzieje, Maisie? - woła. - Dan, przerwij to! Maisie źle się czuje!

41

Słyszę jej słowa bardzo wyraźnie i w tym momencie (choć wiem, że jest to surowo zabronione) wyciągam rękę, żeby dotknąć kryształu. Kula podrywa się na spotkanie mojej dłoni, a potem spada. Jak z oddali dobiega mnie stłumiony dźwięk tłukącego się szkła.

Zaraz potem sama także zaczynam osuwać się na ziemię. Ten upadek trwa bardzo długo. Przytomność odzyskuję na zewnątrz, na małym ciemnym podwórku za domem. Siedzę w dziwacznej pozycji, z głową między kolanami. Julia i Finn kręcą się nade mną, a Dan podaje mi szklanek wody. Wypijam ją chciwie, jednym haustem. Mój żołądek zwija się w kulę i nagle błyskawicznie się rozwija, wyrzucając z siebie

krwawą miazgę z buraków i brunatnoróżowawej kaszanki.

Od razu robi mi się lepiej. Wymiotowanie w obecności innych jest upokarzające, ale szczerze mówiąc, akurat teraz niewiele mnie to obchodzi. Czuję się oczyszczona. Julia jęczy z obrzydzeniem, oczywiście, i kłopotce się o swoją nową białą sukienkę. Trzyma się na odległość, ale Finn i Dan są bardziej praktyczni. Finn przynosi miskę z zimną wodą i ściereczkę, a Dan obmywa mi twarz i szyję.

- No, wszystko w porządku, Maisie - mówi. - Jesteś czyściutka i znowu masz zarumienione policzki. Zawsze lepiej zwrócić to, co ci zaszkodziło, niż trzymać w środku...

Jestem mu wdzięczna za pogodę, spokój i rzeczowość, ale martwię się kulą. Wiem, że ją stłukłam.

- Nie przejmuj się - szepcze Dan. - Wypadki się zdarzają. Babcia ma ich więcej, w kredensie przechowuje jeszcze dziewięć, tak na wszelki wypadek...

Znowu mówi normalnym głosem. Obejmuje mnie, co sprawia mi przyjemność, lecz nie jestem pewna, czy mu wierzę. Niezależnie od tego, ile kryształowych kul ma Bella, nie mam cienia wątpliwości, że zabicie tego magicznego przedmiotu przynosi pecha. Dan podnosi mnie i niesie do kuchni, abym pożegnała się z Bellą. Jest serdeczny i opanowany, ale nie patrzy mi w oczy.

42

- Myślę, że na dziś wystarczy, Babciu! - woła, kiedy wchodzimy, razem z Finn i Julią.

Jednak jest już za późno. Na linoleum leżą szklane drzazgi, rozbity czajnik spoczywa na podłodze, lecz Bella siedzi przy stole. Rozłożyła talię tarota. Jest tak skoncentrowana, że nawet nie podnosi wzroku. Przesuwa karty w tę i w tamtą stronę z gorączkową prędkością, bierze je do ręki, tasuje, rozkłada od nowa. Te karty są bardzo potężne, potężniejsze od kryształowej kuli, Bella tłumaczyła mi to wielokrotnie. Patrząc na stół z doskonałego punktu obserwacyjnego, zza szerokich ramion Dana. Uwielbiam te karty, ozdobione pięknymi, tajemniczymi obrazkami, ale aby je odczytać, trzeba wyjątkowej umiejętności i mądrości. To, co wydają się mówić i co rzeczywiście mówią, to bardzo często dwie zupełnie różne treści.

Bella używa talii Raider Waite, swojej ulubionej. Rozłożyła karty w celtycki krzyż. Widzę niektóre z najważniejszych znaków - Kochanków i Wieżę (kartę, która może zwiastować niebezpieczeństwo).

I jeszcze Wisielca - jestem pewna, że były to właśnie te karty, chociaż widziałam je w odwróconej pozycji. Odwrócona Cesarzowa, wzmocniona, o, zgrozo, Pięcioma

Pucharami. Nagle Bella z całej siły wali pięścią w stół. Rozpościera palce, zbiera karty i rzuca je na podłogę, wszystkie siedemdziesiąt osiem. Rozsypują się tęczą kolorów, wielkim kręgiem. Kiedy spadają, widzę, że wszystkie lądują obrazkami do podłogi. Wszystkie, wszyściuteńkie, poza jedną.

W milczeniu wpatrujemy się w tę kartę. Czuję, że Finn i Julia są przerażone. Wyczuwam napięcie Dana. Sama czuję się trochę dziwnie, lekka i wolna od trosk. Wsłuchuję się w czekający na zewnątrz świat.

Z oddali dobiega warkot traktora. Jakieś dziecko woła matkę. Mój słuch jest bardzo wyostrzony. Słyszę jęk pni wiązów i skowronki śpiewające w odległości kilometra, nad Acre Field.

Finn schyla się i, zanim Bella zdąży ją powstrzymać, wyciąga rękę

43

po tę jedną, jedyną kartę, która spadła obrazkiem do góry.

- Nie dotykaj jej... - szepcze Julia. - Och, Finn, zostaw... Finn ignoruje ostrzeżenie i odwraca kartę, żebyśmy dłużej

nie patrzyli na budzący lęk znak. Potem prostuje się, odwraca do Dana - i znowu wymieniają to spojrzenie. Przez sekundę wydaje mi się, że Dan zaraz ją pocałuje, ale nie robi tego. Finn bierze mnie w ramiona.

- Chodź, Maisie - mówi łagodnie. - Jesteś zmęczona, czas wracać do domu...

W tym momencie Bella wraca do rzeczywistości. Widzę, że wymaga to od niej ogromnego wysiłku. Szybko podnosi się z krzesła, przywołuje swoją codzienną, energiczną osobowość i opuszcza kurtynę. Nie jest już córką Ocean, ale Babcią Dana, osobą, która uwielbia wszystko wiedzieć i mieszać się do wszystkich spraw w Opactwie. Każe Danowi wziąć zmiotkę i szufelkę, zaczyna go poganiać. Mówi, że przydałaby jej się krótka drzemka, że zmęczyliśmy ją, że na dziś ma dosyć tych bzdur i czarów marów...

- Wszystkiemu winna opiekunka - rzuca, spoglądając na mnie spod oka. - Od początku wydawała mi się jakby trochę nieświeża...

Szczypie mnie w ramię i odsyła nas do domu.

A tam czekają już na mnie siostry. Po raz pierwszy widzę je bardzo wyraźnie. "Witaj, siostro", mówi Isabella i pozwala mi wziąć do ręki swój różaniec. Pięć dziesiątek paciorków z malachitu, porozdzielanych srebrnymi koralikami na Ojczy nasz,

wydobytych w kopalniach dalekiego Orientu i spotężniałych od modlitw.

Idealnie pasują do mojej dłoni - koraliki świetnie mieszczą się w samym środku skrzyżowanych linii.

Rozdział Czwarty.

PARY MIESZANE.

Moja godzina dobiega końca.

- Coś takiego... - mówi Lucas, odkładając ołówek.

Uważnie wysłuchał tej części naszej historii, nie jestem jednak przekonana, czy zrozumiał, o co w niej chodziło, i czy mu się to podobało. Możliwe, że czuje się niezadowolony, ponieważ jako niedowiarek nie traktuje takich wydarzeń poważnie, a to duży błąd, przynajmniej moim zdaniem. Podejrzewam, że najmniej przypadł mu do gustu jeden aspekt mojej opowieści. Byłam niemądra, wspominając o tym spojrzeniu, tak, z pewnością nie wykazałam się rozwagą. Czasami wydaje mi się, że Lucas, mimo wszystkich darów, jakie otrzymał od losu i swego domniemanego geniuszu, zazdrości Danowi. Są przyjaciółmi, ale ich przyjaźń ma w sobie dziwny cień, coś, czego nie rozumiem.

Poznali się w czasie pierwszego semestru w Cambridge, bo dostali pokoje na tej samej klatce schodowej w Trinity, i od tamtej pory są jak bracia. W czasie swego pobytu w Newnham Julia znalazła się na marginesie tej małej grupki, głównie dlatego, że była rok wyżej i nigdy nie awansowała do rangi tak bliskiej przyjaciółki jak Finn. Lucas i Dan adoptowali Finn z chwilą jej przybycia do Girton. Zyskali sławę jako "Banda Trojga", "Nieświęta Trójca" i stali się nierozłączni. Tak czy inaczej, Lucas na pewno zazdrości Danowi jego

45

barwnych, wspaniałych przodków, bo kto by mu ich nie zazdrościł... Mnie także czasami ogarnia zazdrość.

- I tylko jedna karta spadła obrazkiem do góry? - upewnia się Lucas, zamykając szkicownik, żebym nie mogła zerknąć. - Chyba potrafię zgadnąć, która to była...

- Jasne! - odpowiadam ironicznie.

Nie lubię, kiedy ludzie nie doceniają moich historii - trąci to irytującą pobłażliwością. Dlatego mówię mu, że zgodnie z przepowiednią następnego dnia zdechł mój chomik. W rzeczywistości zdarzyło się to dwa tygodnie później, ale wróżby z kart wybiegają daleko (całe lata) w przyszłość, więc drobna korekta nie ma żadnego znaczenia. Tak czy inaczej, o ile wiem (a Lucas nie), karta Śmierci wcale nie przepowiada śmierci, w każdym razie nie takiej oczywistej. Finn mówi, że takie odczytanie karty jest bardzo prymitywne, niedojrzałe i głupie. Sęk w tym, że cały czas doświadczamy śmierci - na przykład śmierci miłości, śmierci nadziei czy niewinności i oczywiście śmierci serca.

Tak więc karta może zapowiadać wszelkiego rodzaju śmierci. Czy powinnam powiedzieć o tym Lucasowi? Dochodzę do wniosku, że nie. Opowieści wymagają symetrii i dobrego, zdecydowanego zakończenia.

- Miał na imię Hamish i skonał w męczarniach - dorzucam.

(To także nie jest prawda - Hamish po prostu przewrócił się na bok i zdechł, jak to chomik).

Lucas mówi, że to naprawdę niesamowite, widzę jednak, że tylko próbuje zrobić mi przyjemność. Ludzie często się tak zachowują, bywa to naprawdę męczące.

- Na razie wystarczy. - Lucas zerka na zegarek. - Idę popływać. Umawiamy się jutro o tej samej porze, zgoda?

- Jutro nie mogę - przypominam mu. - Wszyscy wybieramy się do Elde, do Żmii. To taka coroczna wizyta, mówiłam ci. Nie będzie nas przez cały dzień.

Lucas wzrusza ramionami. Jest pochłonięty jakąś myślą

46

i w ogóle nie interesuje go Żmija ani nasze rodzinne konflikty - pieniądze nic dla niego nie znaczą.

- W takim razie pojutrze - mówi obojętnie. - No, to biegnij, Maisie, bądź grzeczną dziewczynką...

Wszyscy proponują mi, żebym gdzieś biegła, co najmniej dwanaście razy dziennie.

- To fascynujące, Maisie - powiedział rano Dziadek, kiedy tłumaczyłam mu zasady związane z cyframi. - Wyjaśnisz mi to jutro, skarbie. Za chwilę zaczyna się mecz barażowy, więc teraz biegnij, dobrze? Stelli na pewno przyda się twoja pomoc w kuchni...

I miał rację, Stella faktycznie potrzebowała mojej pomocy. Stella zawsze w pełni docenia moje wysiłki; lubi wiedzieć, gdzie jestem i lubi mieć mnie w pobliżu. Obrałam pomidory -najpierw sparzyłam je i patrzyłam, jak skórka marszczy się na nich i pęka. Sprawnie obrałam osiemdziesiąt siedem sztuk, opowiadając Stelli historię Marsjasza, którego Apollo żywcem obdarł ze skóry. Stellę bolała głowa, wyglądała na niespokojną i zmęczoną.

- To potwornie okrutna opowieść, kochanie - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Dokończę obierać te pomidory, skarbie. Chyba już czas, żebyś poszła do refektarza. Nie każ Lucasowi czekać, biegnij...

Lucas stoi w drzwiach prowadzących do refektarza i patrzy, jak odchodzę. W zasadzie powinnam wrócić prosto do domu, taka jest reguła, okłamałam jednak Stellę, że Lucas będzie rysował mnie przez dwie godziny, nie jedną, i teraz mam do dyspozycji sześćdziesiąt minut wolności. Trzy tysiące sześćset sekund... Siostron nie bardzo się to podoba - z dezaprobatą kręcą głowami i cmokają. Małe dziewczynki nie powinny kłamać, a już przede wszystkim w żadnym razie nie powinny oszukiwać własnych mamus... Czy ten bunt, ta fatalna skłonność do kłamstw nie mają końca?

Prześlizguję się obok nich, starannie odwracając oczy.

47

Zmierzam w kierunku domu, lecz zaraz po przejściu za klasztorny mur, kiedy jestem pewna, że Lucas już mnie nie widzi, zawracam. Mam plan. Nasz dom i ogród są bardzo stare i kryją całe wieki tajemnych przejść - ta wiedza naprawdę przydaje się przy takich okazjach. Zdaniem Lucasa do jego studia wiedzie tylko jedna ścieżka, z obu stron osłonięta wysoką, nieprzeniknioną ścianą z tui i wysypana żwirem. Dalej ścieżka otwiera się na mały dziedziniec, także wyżyrowany i biegnie dalej, przez starą klasztorną bramę aż do pól, które zaczynają się w pobliżu zabudowań. Przecina głęboki rów, który kiedyś był fosą, i zbiega w dolinę, ku wiosce. Tak więc każdy, kto zbliży się do kryjówki Lucasa, wszystko jedno, z której strony, musi zostać zauważony i usłyszany - tak uważa Lucas, który zawsze czujnie nasłuchuje chrzęstu żwiru pod czyimiś stopami. Cóż, dziś nic nie usłyszy...

Siostry, które założyły klasztor, były bardzo pobożne, tak pobożne, że postanowiły zerwać kontakt ze światem zewnętrznym. Nie wierzę jednak, abym ja była jedyną buntowniczką -niektóre z nich musiały również sprzeciwiać się woli przeoryszy, a w każdym razie najwyraźniej były mniej pobożne, niż chciały się wydawać, ponieważ zbudowały tajne wejścia do swojej enklawy i dwa z tych wejść, a może wyjść, nadal istnieją. Jedno znajduje się w kącie kaplicy, którą później przerobiono na bibliotekę; jest wbudowane w boazerię i prowadzi do ukrytych schodów, natomiast drugie



umieszczono w odległym zakątku głównego budynku, i właśnie ku niemu teraz się kieruję.

Przystaję na moment, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie szuka i nie obserwuje, chociaż jest dopiero środek dnia i jestem pewna, że na razie nikomu nie przyjdzie do głowy niepokoić się moją nieobecnością. Stella jest w kuchni, gdzie przygotowuje lunch dla wszystkich, Dziadzius w bibliotece przy radioodbiorniku, który nadaje sprawozdanie z meczu barażowego. Bella na pewno skończyła już słać łóżka oraz zamiatać śmiecie pod dywany i teraz wraca do wioski. Wspinam się

48

na jedną z przypór, z której widzę cały dom i ogrody. Południowa część frontonu klasztornego budynku ma wysokość trzech pięter i dwadzieścia jeden okien, dwadzieścia jeden oczu, które połyskują mrocznie. Okna biblioteki, gdzie tamtego dnia pierwszy raz zobaczyłam Dana, są szeroko otwarte. Słyszę spokojny męski głos, który z emfazą wypowiada zdanie: "I D'Oliveira podchodzi do piłki..." Nie ulega wątpliwości, że Dziadziusia mam na razie z głowy. Stelli nigdzie nie widać i najprawdopodobniej będzie tak aż do pierwszej, a może i dłużej. Stella robi dziś na lunch tagliatelle, więc na pewno w tej chwili jest całkowicie pochłonięta rozwałkowywaniem ciasta na makaron i przepuszczaniem go przez swój ostatni genialny zakup, straszliwą maszynę do makaronu. A jeżeli jeszcze nie zajęła się ciastem, to oddaje się lekturze przy kuchennym stole, co jakiś czas mieszając w garnkach. Od paru dni po raz dwudziesty czwarty czyta Mansfield Park Jane Austen.

Patrząc na ogród, ponieważ moje plany są z nim bezpośrednio związane. Poza warzywniakiem i częścią, w której hoduje się miękkie owoce (te dosłownie kwitną pod opieką Stelli i Joego Nunna), ogród jest rozpaczliwie zaniedbany. Często wyobrażam sobie pergolę - wybrałam już róże, które pięłyby się po niej, a także trawnik z polnymi kwiatami i łączkę obsianą ziołami. Zamierzam zostać solidnie wykształconym ogrodnikiem i wiem, że w tym zawodzie niezbędna jest wizja, może nawet coś w rodzaju podwójnej wizji. Kiedy inni ludzie patrzą na ogrody Opactwa, widzą tylko rozszalałą przyrodę, dziczące róże, skarłate dziewicze lilie, popękane chodniki i tak dalej. Moje oczy są znacznie bystrzejsze i widzą uporządkowany Eden. Zamierzam zacząć tworzyć go tego lata, być może już w następnym tygodniu. Niedługo.

Ale gdzie są Julia i Finn? Odpowiedź: bezpiecznie zajęte grą na starym trawiastym korcie tenisowym, tuż pode mną. Rozgrywają debła z Danem i jego przyjacielem Nicholasem Marlowem. Nick jest młodym lekarzem i niedawno zaczął pracę w jednym z londyńskich szpitali, a teraz ma tydzień

urlopu i przyjechał do swoich rodziców, na Starą Plebanię, chociaż większość czasu i tak spędza tutaj. Nick gra z Julią, a Dan z Finn.

W tej sytuacji mecz na pewno nie potrwa długo, a jego wynik jest przesądzony. Pośpiesznie oceniam graczy: Nick ma silne, zdecydowane uderzenie, Julia ostry serw i bekhend oraz mocno zakorzenioną potrzebę rywalizacji, Dan momentami gra wręcz błyskotliwie, ale w przeciwieństwie do pozostałych jest samoukiem, co widać, natomiast Finn potrafi biegać jak Atalanta, lekko i wdzięcznie, aż miło na nią patrzeć, lecz nie ma żadnej motywacji - to tylko gra, mawia wyniośle, jakie znaczenie ma to, kto wygra.

Niewątpliwie ma to duże znaczenie dla Julii, która teraz wykonuje jeden ze swoich groźnych serwów, zdradliwie podkręcając piłkę, serw wymierzony prosto w raczej słaby bekhend Finn. Ku mojemu zaskoczeniu - sama ledwo widzę piłkę, która zwykle odbija się od tego kortu w kompletnie nieprzewidzianym kierunku - Finn dosięga piłki rakieta i uderza lobem, może przypadkiem, a może nie, bo z Finn nigdy do końca nie wiadomo, bardzo delikatnie i zręcznie. Piłka żeglujecie do góry powoli, wysokim, pięknym łukiem, przelatuje nad pędzącym do siatki Nickiem i nad Julią, która rozciąga ciało do granic możliwości, ale nie trafia. Na pewno wyjdzie na aut, myślę, ale dzieje się inaczej. Piłka w ostatniej chwili zatrzymuje się w powietrzu, jakby się wahała, i leciuteńko zmienia kierunek. Ląduje na świeżo odmalowanej linii, wzbijając obłoczek białego pyłu.

- Zero piętnaście! - krzyczy Dan.

- Dobry strzał, Finn! - woła wysoki, ciemnowłosy Nick Marlow.

Ma na sobie tradycyjny biały strój i chyba jest nazbyt sportowo nastawionym partnerem, bardziej, niż życzyłaby sobie tego Julia, która teraz marszczy brwi w ostrym słońcu i nic nie mówi. Przygotowuje się do następnego serwu - tym razem odbierającym będzie Dan.

Patrzę na Dana, który stoi nieruchomo, wpatrzony w uniesioną do góry piłkę. Ma nieco nonszalancki sposób zachowania. Dan bardzo zmienił się w Cambridge - zrobił dyplom w błyskotliwym stylu, otoczony podziwem i zazdrością. Zamierza zostać wielkim reżyserem filmowym. Nie sprawia już wrażenia wiecznie onieśmiałego i znowu jest olśniewająco przystojny. Julia chłodnym tonem mówi, że wygląda jak cygański książę albo gwiazdor rocka, ale ja nie dbam o to, co Julia myśli czy udaje, że myśli. W moich oczach Dan jest teraz znowu jednym z książątek z rodu Ocean.

Zapucił czarne włosy i cygańskie, zmierzwione loki dotykają brzegu kołnierzyka. Gra w tenisa w białej bawełnianej koszuli i podartych jasnych džinsach, jest wysoki, muskularny i silny. Nie nosi sportowych butów, jego brązowe stopy są bose. Wygląda na całkowicie rozluźnionego i gotowego na wszystko. Zmienił się także jego głos - nie ma w nim już nawet cienia akcentu z Suffolk, a samogłoski przestały być boleśnie spłaszczone. Teraz nie sposób umieścić go w żadnej z geograficznych, edukacyjnych czy klasowych kategorii, co niektórzy ludzie (na przykład Żmija) robią z ogromnym zapałem. Gdyby ktoś nie wiedział o jego romskich przodkach, na pewno by pomyślał, że Dan urodził się w Irlandii, obdarzony przez los typowym dla niektórych Irlandczyków urokiem. I gdyby ktoś mu o tym powiedział, Dan z pewnością nie sprostowałby tej opinii.

Julia marszczy brwi, unosi złociste ramię, wysoko podrzuca piłkę i wali nią prosto w środkową linię. Dan nawet nie porusza rakieta.

- Błąd stóp! - oznajmia rozleniwionym, prowokacyjnym tonem.

Julia popełnia ten sam błąd jeszcze dwa razy. Kiedy wpada we wściekłość, jej styl gry staje się bardziej agresywny, natomiast uderzenia mniej celne. Uświadamiam sobie, że sytuacja nie zawsze rozwija się tak, jak to sobie wyobrażam, i czasami (niezbyt często) zdarza się, że błędnie ją oceniam. Może ten

51

mecz potrwa jednak dłużej, niż zakładałam, i może jego rezultat wcale nie jest przesądzony...

Jeszcze parę sekund obserwuję moje długonogie siostry, a potem przypominam sobie o swoim planie. Zostało mi pięćdziesiąt minut wolności, więc naprawdę nie mogę sobie pozwolić na marnowanie czasu. Zeskakuję z przypory i przedzieram się przez gęste krzaki pod jej łukiem. Wydrążyłam tu sobie wąskie przejście, w którym kolce krzewów nie kłują tak mocno. Zadrapały mnie tylko w jednym miejscu i teraz szybko zlizuję krople krwi z wierzchu dłoni. Dwa metry dalej docieram do rozsypującej się części murów, gdzie kiedyś musiały znajdować się drzwi i tajemne schody. To niebezpieczna, mało uczęszczana część Opactwa - zawieszam się na rękach nad ostrym zboczem, w miejscu, gdzie dawniej była fosa. Po chwili rozluźniam uchwyt i spadam z wysokości trzech metrów. Łąduję na wilgotnej ziemi i przetaczam się po niej jak spadochroniarz. Nic mi się nie stało, wszystko w porządku. Przekradam się wzdłuż starej fosy, głębokiego rowu, wykopanego po zewnętrznej stronie klasztornych murów. Wydeptałam tu już ścieżkę, którą zasłania wysoka trawa, krzaki czarnego bzu i splątane gałązki janowca, i w końcu widzę swoją doskonałą wieżę obserwacyjną, potężną czarną jodłę (*Taxus baccata*), którą mój ojciec zasadził jako

mały chłopiec. Od jego śmierci nikt jej nie przycinał.

Pień ma ponad trzy metry średnicy i jest wysoki na prawie pięć metrów. Kiedy kładę się na ziemi pod czarnymi gałęziami, jestem niewidzialna i świetnie widzę refektarz ze wszystkimi oknami i drzwiami. Leżę tam, w upale i ciemności. Sosna pachnie mocno, intensywnie. Bella twierdzi, że drzewa tego gatunku szczególnie bujnie rosną na cmentarzach. Lubią bogatą, tłustą cmentarną glebę. Z oddali dobiega mnie odgłos wystrzału - ktoś poluje na króliki lub na gołębie. Ktoś poluje, czai się.

Kiedy byłam mała, Stella nauczyła mnie, że wiersze mogą

52

uspokajać nerwy. Chodzi o koncentrację, to oczywiste. "Chłopiec stał na płonącym pokładzie, skąd uciekli wszyscy oprócz niego", mamroczę. Potem przerzucam się na trudny tekst Pieśni o Hajawacie. Zaczynam od mojej ulubionej części, od Duchów. Rytm wiersza działa naprawdę kojąco.

Wówczas cienie, płacz wstrzymując, Tak mówią łagodnym głosem: "Jesteśmy duszami zmarłych, Tych, co niegdyś byli z wami, My z królestwa Czibiabosa Przyszliśmy, by was doświadczyć, Przyszliśmy tu, by was ostrzec\*"

H. W. Longfellow, Pieśń o Hajawacie.

[\* Przekład z ang. Roman Jacków, oprac. Stanisław Helsztyński, Warszawa 1960].

W końcu z refektarza wyłania się Lucas. Pod pachą niesie zwinięty ręcznik - wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście wybiera się popływać. Przystaje na żwirze i wystawia twarz na słońce. Jest chudy, jego ciało składa się z samych ostrych kątów, ma zaniedbane włosy i wąską twarz o czujnym wyrazie. Dziwne, jasnobrązowe oczy są zbyt blisko osadzone, przez co Lucas przypomina jastrzębia albo sokoła. Jest samotny, podobnie jak te drapieżne ptaki. Lucas unika ludzi, lubi być sam i lubi sam polować, w każdym razie tak mi się wydaje. Chciałabym wiedzieć, na co poluje i dlaczego.

Zamyka ciężkie drzwi refektarza i wsuwa żelazną sztabę w okucie. Wkłada klucz do kieszeni starych, poplamionych farbą spodni i skręca w kierunku doliny. Przechodzi pod olbrzymim kamiennym łukiem, w którym kiedyś osadzona była klasztorna brama. Wysokie mury, które wspierały ten łuk, dawno się już rozsypały. Lucas pokonuje mały mostek, przerzucony nad fosą i znika mi z oczu. Odliczam pięć minut, czyli dokładnie dwadzieścia osiem wersów.

53

Kiedy jestem już całkowicie pewna, że nic mi nie grozi, wyczołguję się spod sosny i pędzę do refektarza. Nie chce mi się wierzyć, aby Lucas pozamykał wszystkie okna, nie w tak upalny dzień. Potrzebna mi jest tylko maleńka szparka, tylko jedno niedomknięte okno z sześciu. Potrafię wejść do środka i wymknąć się w ułamku sekundy - chcę tylko sprawdzić, co Lucas naszkicował. Chcę zobaczyć Maisie widzianą jego oczami. Pragnę tego tak mocno, że aż brakuje mi tchu. Muszę zobaczyć jego wersję Maisie i "Sióstr Mortland".

Słońce pali moją głowę. Odrzutowiec z bazy amerykańskich sił powietrznych w Deepden z hukiem przelatuje nade mną, bardzo nisko. Grzmot silników wprawia powietrze w drgania, na skrzydle błyska światło. Sprawdzam wszystkie wysokie okna po kolei - każde zamknięte. Lucas zamknął nawet wewnętrzne okiennice. Sunę przy ścianie, pociągam i pcham framugi. Nagle ogarnia mnie niepokój. Co będzie, jeśli Lucas wróci? Przypuśćmy, że zapomniał czegoś zabrać... Lepiej się upewnić.

Przebiegam pod łukiem, patrzę w kierunku drogi, w stronę Acre Field. Tam jest mniej krzewów. Pan McIver, któremu Dziadek sprzedał farmy i prawie całą ziemię, przystąpił do tak zwanej "Racjonalizacji". Acre Field nadal jest łąką do wypasania krów, lecz dalej nie widać już ani jednej miedzy, ani jednego żywopłotu. Nuns, Grandage, Pickstone, Wellhead, Holy spring - cicho recytuję nazwy wielkich pól, których granice pozostawały niezmiennie od wieków, gdy tymczasem Angus McIver w ciągu jednego roku zlikwidował wszystkie i stworzył jedno gigantyczne, nieogrodzone, pięćdziesięcioakrowe pole, ogromną prerię, porośniętą pszenicą. Dzikie storczyki, które rosły na Wellhead, już nigdy nie zakwitną.

Jednak dzięki temu, że pan McIver wyrznął wszystkie krzewy, ogarniam wzrokiem dużo większą przestrzeń. Po prawej widzę lasek Nun Wood, położony między ruinami klasztoru i Holyspring - teraz przecinająca las ścieżka, która prowadziła do tajemniczego budynku, wzniesionego przez

54

zakonnice, jest zarośnięta, ale nadal jeszcze trochę ją widać. Po lewej widzę wijącą się w dolinie rzekę - nigdzie ani śladu Lucasa. Gdzież on się podział?

Mrużę powieki i jeszcze raz dokonuję przeglądu terenu. Dachy domów, trzy nowe bungalowy na obrzeżach wioski, rezydencja "The Pines", gdzie pułkownik Edwardes hoduje swoje świny rasy Heavy Hogs, ogrody Starej Plebanii, jabłkowe sady braci Doggett, stodoły Angusa McIvera, droga... Nadal ani śladu Lucasa. I wtedy wreszcie go dostrzegam. Postanowił popływać w Black Ditch, pewnie dlatego, że woda jest tam mniej zanieczyszczona niż w rzece (a jeszcze stosunkowo niedawno była zimna i czysta, lecz teraz jest ciemna i gęsta od błota i zanieczyszczeń). Poza tym Lucas nie

ma na sobie kąpielówkę, co stanowi dodatkowy powód - nad Black Ditch kręci się dużo mniej ludzi niż nad rzeką, gdzie jacyś głupi optymiści od czasu do czasu próbują nawet łowić ryby.

Patrząc, jak odległa, biała, naga sylwetka podnosi ramiona, skacze i ląduje w wodzie. Woda w Black Ditch jest lodowata, a ja czuję się teraz zupełnie bezpieczna. Znowu biegnę do okien i co odkrywam? Odkrywam, że Lucas popełnił błąd. Trzecie okno z lewej jest zamknięte, ale okiennica otwarta. Wdrapuję się na parapet i przyciskam ręce do szyby. W przestrzeni, jaką stwarza uchylona okiennica, widzę jasny kształt, wsparty na największych sztalugach. To portret, na pewno. Najwyraźniej Lucas pracował nad nim przed wyjściem, bo zdjął z ramy osłonę.

Przyciskam twarz do szkła, które parzy mnie w policzek. Nad uchem przelatuje duży żuk. Plamisty pająk, budujący pułapkę między dwiema łądygami, wycofuje się na środek sieci i obserwuje mnie błyszczącymi, nieprzeniknionymi oczami. Prawie mi się udało, jeszcze trochę wysiłku... Gdybym tylko spojrzała na obraz z lepszego kąta... Zmieniam pozycję na parapecie i próbuję znowu. Moje oczy stopniowo przystosowują się do panującej wewnątrz ciemności. Podnoszę ręce, aby słońce mi nie przeszkadzało. Chwieję się na parapecie, który

55

jest tak wąski, że trudno utrzymać równowagę. Teraz wreszcie wypracowałam idealny kąt. Mrużę powieki, żeby dokładniej zobaczyć.

Oparta o sztalugi, w miejscu, które Lucas musiał uznać za najlepiej widoczne, stoi duża, biała kartka brystolu, a na nim: IDŹ SOBIE, Maisie!

Zeskakuję na ziemię. Jest mi smutno. Kręci mi się w głowie. W lesie ktoś znowu strzela do królików albo gołębi. Słyszę też, jak Stella mnie woła. To zdrada. Lucas mnie zdradził. Mdli mnie z rozczarowania.

Wtedy podchodzi do mnie matka przełożona, jak zwykle w trudnych chwilach. Poruszająca się lekko, zielonooka Isabella staje u mego boku. Ujmuje moją gorącą, spoconą dłoń w swoją chłodną i gładką, i delikatnie ociera łzy z moich oczu. Chodzimy w tę i z powrotem, trzymając się za ręce. Odpłacę Lucasowi za tę zdradę, postanawiam. Nie wydobędzie już ze mnie żadnych tajemnic. I to on najwięcej na tym straci - teraz nigdy nie zdradzę mu największego sekretu, sekretu, którego strzegłam przez siedem lat.

Dziś rano prawie mu powiedziałam, ponieważ czasami strasznie mi to ciąży i pragnę podzielić się tym z kimkolwiek. Cieszę się jednak, że w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Dobrze mu tak, z tym jego: "Biegnij, Maisie", z jego zasuwami i tą

bezczelną kartką... Lucas nie zasługuje na prawdę, teraz dokładnie to widzę. Nigdy nie powiem mu więc, co zobaczyłam w kryształowej kuli Belli i dlaczego kula się stłukła. Moja tajemnica pozostanie na wieki bezpieczna - taką właśnie decyzję podejmuję ostatecznie.

Isabella pochyła głowę w geście milczącej aprobaty.

- Gdzie jesteś, Maisie? - woła Stella, teraz już z bliska. Słyszę jej szybkie, niespokojne kroki na ścieżce. Jest już

pierwsza.

- Jesteśmy tutaj! - odpowiadam. - Jestem tutaj...

Część Druga.

KOCHANKOWIE.

Wróciłam właśnie, Winifrido, z wizyty w domu mojego brata w Elde. On nadał wierzy, że uda mu się namówić mnie do odwołania ślubów zakonnych i wyjścia za mąż, więc dni upływały mi na słuchaniu zwykłych braterskich gróźb. Miałam nadzieję, że po powrocie znajdę list od Ciebie - czekałam na to jak głodujący na chleb i wino. Kiedy nie zastałam listu, ogarnął mnie lęk.

Na pewno będziesz ze mnie kpila i zapytasz, jakie praktyczne postępy poczyniłam. Cóż, Sostro, odpowiem, że zwolniłam pierwszą bandycką grupę kamieniarzy, że ci, których zatrudniłam w ich miejsce, wydają się pracowici, że uczę się na błędach i że budynki, które razem projektowałyśmy, zaczynają w końcu rosnać. Odpowiem też, że pracuję bez chwili wytchnienia.

I wyznam Ci, że jestem samotna, Winifrido. Wśród tutejszych sióstr nie brak dobrych kobiet, ale nie ma nikogo, przed kim mogłabym otworzyć serce. To przymusowe milczenie bardzo mi ciąży.

Napisz, błagam Cię - i, jeżeli mnie kochasz, Sostro, zrób to prędko.

"Listy Isabelli de Morlaix do Winifridy z Ely, 1257-1301"; wydane i przetłumaczone z łaciny, V.B.S. Taylor, 1913.

Moja najdroższa Stello, wszystko gotowe! Załatwiłem sprawę w magistracie, z kapelanem i Tata. I wiesz, co? Nie będziemy musieli odliczać długich tygodni, aż odbędą te bzdury z zapowiedziami, możemy pobrać się za specjalną licencją, już w najbliższy piątek, w kaplicy w naszej bazie. Nie jest to najbardziej romantyczne miejsce, kochanie, ale nas nic to nie obchodzi, prawda? Poślubię Cię na skale zanurzonej w Pacyfiku - gdyby trzeba było, przepłynąłbym Pacyfik, żeby cię zdobyć. Och, kochanie, mam nadzieję, że ucieszy cię to tak samo jak mnie... Nasza eskadra wylatywała dzisiaj dwukrotnie -zginęło dwóch nowych chłopców, jeden zaledwie osiemnastoletni, po dziewięciu godzinach szkolenia. Zestrzeliłem messerschmitta 109 - pilot wyskoczył, ale zaplątał się w linki spadochronowe i nie jestem pewny, czy przeżył. Dziś rano czuję się nieśmiertelny, a wszystko to dzięki Tobie, najdroższa. Jestem w stanie myśleć wyłącznie o naszej przyszłości i o tym, jak będzie wyglądało nasze życie w Opactwie po wojnie. Miejmy dużo dzieci, co Ty na to? Może na przykład sześć dziewczynek, prawie tak pięknych jak Ty, kochanie, i ze dwóch chłopców, podobnych do mnie? Najdroższa, znowu nas wzywają. Kocham Cię całym sercem - Guy.

Czterdziesty drugi list Tatusia do Stelli, data spisana ze stempla pocztowego - 30 lipca 1940 roku. Listy zebrane i uporządkowane dla Potomności w nowym, oprawnym w skórę albumie w 1962 roku przez M. Mortland, jego trzecią córkę, dziewięcioletnią.

Rozdział Piąty.

CZUWANIE.

W naszej rodzinie nie ma nikogo, kto lubiłby wizyty w Elde. Stella, która świetnie o tym wie, zawsze stara się zrekompensować nam to jakoś i w wieczór poprzedzający chociaż trochę nas rozweselić. Dlatego na dziś przygotowała specjalną kolację, a że wciąż panuje piękna, ciepła pogoda, więc zjemy na dworze.

Nicholas Marlow i Dan ustawili długi stół na klasztorным dziedzińcu, Stella przykrywa go jednym ze starannie wykrochmalonych adamaszkowych obrusów,



które zwykle wyciąga tylko na Boże Narodzenie, natomiast ja przygotowuję dekorację ze świeczek w szklanych osłonkach. Finn układa wielkie piramidy owoców na liściach winorośli, Dziadzius schodzi do piwniczki z Danem i (po długim poszukiwaniu) wyłaniają się stamtąd, niosąc kilka butelek. Dziadek mówi, że jedno z tych win, schowane właśnie na taką wyjątkową okazję, ma legendarne, magiczne właściwości. Na cześć tego trunku przynosimy z kredensu najlepsze kieliszki. W kuchni Stella i Julia przybierają pasztet z królika laurowymi liśćmi - Dan upolował wczoraj te króliki, aż trzy. W piecu piecze się kurczak i perliczka, zajęły się tym Celia i Rosalind. Pędzlem wysmarowały ptaki stopionym masłem, a później posypały je tymiankiem. Po całej kuchni rozchodzi się kuszący zapach, ale ja nie będę jadła ani kurczaka, ani perliczki, ponieważ jestem teraz wegetarianką - ktoś musi zająć zdecydowane stanowisko.

61

W piekarniku tkwi wielkie gliniane naczynie z papryką i bakłażanami, pomidorami i cukinią, wszystko z naszej własnej szklarni. Pachną naprawdę cudnie i świątecznie. Być może zapach smakowitego jedzenia dociera aż do refektarza, bo w ostatniej chwili na dziedzińcu pojawia się Lucas. Przystawiamy jeszcze jedno krzesło i znosimy wszystkie pyszności z kuchni. O ósmej, kiedy niebo jest wciąż ciepłe, ale widać już na nim pierwsze gwiazdy, a cienie robią się fioletowe, siadamy do stołu.

Siedzę po jednej stronie, między Dziadkiem i Stellą, na miejscu przeznaczonym dla niewidzialnej dziewczyny. Dan i Nick Marlow usiedli u dwóch szczytów stołu, naprzeciwko mnie, między moimi siostrami, siedzi Lucas.

- Mam nadzieję, że przyjemnie sobie popływałeś - mówię przy pierwszej okazji.

Staram się w żaden sposób nie sygnalizować, co zrobiłam i trzymać go w stanie niepewności. Widzę, że zastanawia się, czy przeczytałam jego wiadomość, czy też nie.

Julia zapala świece. Patrzę, jak płomyki chwilę migoczą niepewnie, lecz zaraz się uspokajają. Widzę też, jak powoli rozpala się jeszcze coś, coś podsycanego przez zmrok, wino i ciepłe, nieruchome powietrze wieczoru. To "coś" przechodzi z twarzy na twarz, z ręki do ręki dookoła stołu - jest to trudna do nazwania, ulotna rzecz. Może to zadowolenie, może coś wyjątkowo kruchego, jak nadzieja czy radość, a może coś niebezpiecznego, groźnego, na przykład duch rywalizacji. Czuję, jak przemyka obok mnie, muskając mnie lekko. Dostrzegam to na twarzach moich sióstr i trzech młodych mężczyzn. Nick jest najpoważniejszy, najbardziej milczący i opanowany; Lucas bezustannie obserwuje wszystko argusowymi oczami; Dan, który trochę się upił, zachowuje się najswobodniej z całej trójki - gada, spiera się, flirtuje, żartuje - po

prostu funduje nam pokaz fajerwerków.

Ten pokaz organizuje oczywiście ze względu na Finn -kładzie rękę na jej dłoni, żeby podkreślić łączącą ich więź.

62

Finn przenosi wzrok na jego twarz i w migotliwym blasku świec znowu widzę to spojrzenie. Jest bardzo krótkie, bo Finn chyba czuje się odrobinę nieswojo - przesuwa rękę i odwraca się. Obserwuję fruujące wysoko pod niebem jaskółki. Kiedy na stole pojawiają się owoce i sery, Dziadek wstaje i napełnia wysokie, smukłe kieliszki specjalnym winem - nawet ja dostaję odrobinę. Jest to historyczne wino, powstałe z winogron zebranych rok przed wybuchem drugiej wojny światowej.

- Wyśmienite, proszę pana - mówi Nick Marlow. - Rocznik 1938... To w tym roku moi rodzice przyjechali do Wykenfield.

- Doskonale pamiętam ten rok! - uśmiecha się Dziadziuś, unosząc kieliszek.

Nick ma świetne maniery i zawsze wie, jak namówić Dziadka na wspomnienia - to miłe, bo przy takich okazjach inni często zapominają o Dziadziusiu.

- Co zapamiętał pan z tamtego roku? - pyta Nick.

- Niewiele, jeśli mam być szczery - odpowiada Dziadek. - Trochę mi się już to wszystko zdążyło zatrzeć... Wydaje mi się, że większość czasu spędzałem z uchem przy radioodbiorniku. Wiedziałem, że zbliża się następna wojna i czekałem, aż ci przekłeci politycy wreszcie się ockną. Martwiłem się o Guya, bo zdawałem sobie sprawę, że zgłosi się na ochotnika natychmiast po wypowiedzeniu wojny. Ale... - Dziadziuś podnosi palec i kiwa nim znacząco - ale to samo pytanie zadałem sobie, kiedy razem z Danem znalazłem to wino, więc od razu odszukałem swój stary dziennik (nigdy nie wyrzucam takich rzeczy, naprawdę!) i proszę bardzo! 1938 rok... Popatrzmy, co wtedy robiłem...

Dziadek wyciąga z kieszeni niewielki notes w okładce z czerwonej skóry. Julia wzdycha i przewraca oczami. Dziadziuś przerzuca kartki - wszystkie są czyste, bo w przeciwieństwie do mnie nie należy do archiwistów amatorów i jeżeli w ogóle zapisuje sobie spotkania, robi to na odwrocie kopert lub innych skrawkach papieru, które zaraz potem gdzieś gubi.

63

Czysta strona, czysta strona, czysta strona i wreszcie jakaś notatka. Wyciągam szyję i czytam. "URODZINY GUYA!" Mój ojciec skończył wtedy osiemnaście lat. Dziadek

zamyka notes i odkłada go.

- Cóż, tamtego roku mieliśmy dobre zbiory - mówi pośpiesznie. - Akurat to dokładnie pamiętam. McIver dzierżawił moją ziemię od pięciu lat i wprowadził dużo udogodnień, osuszanie gruntów i tak dalej, więc plony były po prostu rekordowe. Zwiększyła się też produkcja mleka. Zastanawiałem się, czy nie zająć się hodowlą świń rasy Tamworth, na małą skalę. Świnie to interesujące zwierzęta, bardzo inteligentne, ale McIver był temu przeciwny. No, nieważne, wszystko to wydarzyło się dawno temu i was, młodych, pewnie raczej nudzi. Nie interesujecie się przeszłością, jesteście zbyt pochłonięci przyszłością, lecz w gruncie rzeczy właśnie tak powinno być, to naturalne. Miłość, życie, małżeństwo, praca, kariera...

- Właśnie! - Lucas wtrąca się tak niespodziewanie, że nerwowo podskakuje na miejscu. - Stoimy na krawędzi nowej ery, na brzegu życia! Pytanie tylko, czy popłyniemy w górę rzeki, czy w dół! Finn, Julia - jak myślicie? Skierujemy się w stronę oceanu czy w stronę źródła? Za którą opcją ty się opowiadasz, Dan? A ty, Nick? Jak sądzisz, co wybierzemy - płyciznę czy wodospady? - Lucas ściąga brwi. - Nie, nie odpowiadajcie... Nie musicie - potrafię przewidzieć, co powiecie. Wiem, co wybierze każde z was...

Szybko dochodzę do wniosku, że także jestem w stanie to przewidzieć, i to z większą dokładnością niż Lucas, który, podejrzewam, jest tak samo wstawiony jak Dan. Obrzucam go zimnym spojrzeniem. Nie podoba mi się ton, jakim mówi, ani sposób, w jaki przerwał Dziadziusiowi. A najbardziej nie podoba mi się, że wykluczył z rozmowy trzy osoby siedzące po mojej stronie stołu. Czyżbyśmy my nie mieli przyszłości? Czy my nie mamy wyboru? Nie możemy decydować, czy popłynąć w górę rzeki, czy z prądem?

- Nie wydaje mi się, aby było to takie proste, Lucas -

64

mówi Nick Marlow. - Pod powierzchnią niektórych rzek czyhają prądy i wiry, nie wolno o tym zapominać. Chyba powinieneś wkalkulować to w swoje obliczenia, zanim zaczniesz przepowiadać przyszłość...

Nick wypowiada tę uwagę cicho i spokojnie, ale spełnia ona swoje zadanie - Lucas marszczy czoło. Nie przypadło mu do gustu, że ktoś rzuca mu wyzwanie, zresztą samego Nicka także nie darzy zbyt dużą sympatią, w każdym razie tak mi się wydaje.

- Robisz się przerażająco mądry, Nick - replikuje teraz. - Podejrzewam, że to wina medycznych studiów, wszystkich tych godzin, które spędzasz ze zmarłymi, chorymi i szalonymi. Przestań być taki nudny i rozsądny, dobrze wiesz, że nie chodzi tu o żadne

wiry czy prądy, tylko o siłę woli...

- Daj spokój, Lucas - wtrąca się Finn. - Schowaj pazurki, dobrze?

- Finn ma rację - kiwa głową Dan. - Nie psuj atmosfery. I nie zaczynaj, stary...

Julia uśmiecha się szeroko. Nic nie sprawia jej takiej przyjemności, jak obserwowanie kłótni.

- Za przyszłość was wszystkich - zdecydowanym tonem odzywa się Dziadzius.

Czasami nie potrafi zareagować, ale spory przy stole to coś, czego nie zamierza tolerować. Widzę, że dopiero przed chwilą wrócił z podróży w czasie - od myśli o przeszłości, moim ojcu, innych uroczystych kolacjach, jakie się tu odbywały, o radosnych, wesoło obchodzonych okazjach, które miały przynieść zupełnie inną przyszłość.

Powoli sączę wino, które ma świeży, zielony zapach. Jest złociste i ciepłe. Płynięna czy wodospad, myślę. Źródła czy ocean? W którym kierunku wyruszę, kiedy nadejdzie mój czas? Patrzą w niebo, które stopniowo staje się srebrzysto szaro czarne. Jaskółki i wróble zniknęły, a malutkie nietoperze (*Pipistrellus pygmaeus*), mieszkające na strychu i w poszyciu dachu Opactwa, rozpoczynają właśnie polowanie na

65

owady. Przemykają tuż nad naszymi głowami i schodzą jeszcze niżej. Wkrótce zapadnie noc. W bukowej alei krzyczy sowa, a moje zakonnice, które wróciły już do swoich cel, mamrocą cicho i medytują. W końcu Stella zauważa, że w ogóle się nie odzywam i lekko dotyka mojego ramienia.

- Czas do łóżka, kochanie - mówi. - Jesteś zmęczona, oczy same ci się zamykają...

I zabiera mnie do domu. Wspinam się po schodach do mojego pokoju i od razu otwieram okno, bo noc jest upalna i parna. Niżej, na dziedzińcu Opactwa, wciąż migoczą palące się na stole świece, widzę też świetlikowe błyski papierosów. Dan otwiera następną butelkę wina, Lucas napełnia kieliszki. Dziadzius odszedł już od stołu, na pewno poszedł do biblioteki, żeby się upić. Zawsze wypija całą butelkę wina raz do roku, w noc przed wizytą w Elde. Teraz tamci pięcioro są wolni, mogą robić, co im się podoba. Julia idzie do salonu i nastawia płytę - nie za głośno, ale wystarczająco głośno. Tańczy wśród mrocznych cieni, unosi smukłe ramiona, porusza się w rytm muzyki.

- Mówimy o moim p... p... pokoleniu! - jąka się pełen gniewu, znany głos.

Stella wchodzi do mojego pokoju, niosąc szklanę ciepłego mleka.

Zaciąga zasłony i przykrywa mnie kocem. Wygodnie układam się na białej poduszce, pod białą pościelą, ubrana w białą nocną koszulę. Na dworze jest jeszcze jasno. Stella sadowi się na swoim starym miejscu, na krześle przy moim łóżku. Wie, że nie lubię jeździć do Elde tak samo jak ona, więc dzisiaj chce opowiedzieć mi coś na dobranoc, tak jak często robiła to, kiedy byłam mniejsza. Opiera głowę i przymyka powieki. Skórę dookoła jej oczu znaczą głębokie linie zmęczenia, w pięknych krótkich ciemnych włosach widać siwe nitki. Wiem, że martwi się tysiącem rzeczy - zawsze tak jest.

- Opowiedz mi, jak poznałaś Tatę - proszę. - Ale musisz zacząć od samego początku i niczego nie opuszczać...

66

I Stella spełnia moją prośbę. Opowiada, jak jej ojciec zabrał rodzinę do Kanady, kiedy ona miała zaledwie sześć miesięcy, i jak wychowała się na farmie w Ontario, marząc o Szkocji i Anglii, których nigdy nie widziała. Mówi, że jako dziecko była rzadko spotykanym mołem książkowym - po prostu pochłaniała książki, które były jej pożywieniem, podobnie jak teraz są pożywieniem Finn.

- Moim także... - mówię.

Ale Stella nie lubi tych samych książek co ja i jak zwykle nie słucha, tylko mówi dalej. Ojciec powtarzał jej, że przy stole nie wolno czytać, więc odkładała książkę, którą akurat miała przy sobie (Porwany za młodu, Jane Eyre albo Wielkie nadzieje) i później czytała dalej na podwórku, a jeszcze później pod kołdrą, przyświecając sobie latarką, przynajmniej przez pół nocy. Oczywiście nie znajdowała się wtedy w łóżku ani na podwórku, lecz w zupełnie innym świecie - uwięziona w wieży, czekała na ratunek, patrzyła, jak szalona pani Rochester drze na strzępy ślubny welon Jane lub jak pająki wyłazą z weselnego tortu panny Havisham.

- Te książki nadal dodają barw mojemu życiu... - wyznaje z westchnieniem. - Czy ja kiedyś zmądrzeję, Maisie? Książki, nic, tylko książki, uzależnienie od opowieści... Nikt nie powinien żyć w taki sposób. Wiem o tym, naprawdę, ale nie jestem w stanie się z tego wyleczyć...

Wcale nie chcę, żeby Stella wyleczyła się ze swojej miłości do książek. Poza tym, gdyby nie one, prawdopodobnie nigdy nie przyjechałaby do Anglii i nie poznałaby mojego ojca. Aż strach myśleć o konsekwencjach - gdyby nie książki, może w ogóle nie przyszedłbym na świat. Nie istniałabym. Na szczęście Stella nie zdołała się wyleczyć. Kiedy w wieku osiemnastu lat skończyła szkołę, rodzice podarowali jej

specjalny prezent, prezent, którego pragnęła. Ofiarowali jej roczny pobyt w Anglii. Miała pojechać do Anglii i - zatrzymując się u całej sieci ciotek, kuzynów oraz przyjaciół rodziców - wreszcie odwiedzić miejsca, o których śniła. Popłynęła do Europy

67

na pokładzie wielkiego liniowca, trzecią klasą, rzecz jasna. Zeszła na ląd w Liverpoolu i jeszcze tego samego dnia wsiadła do pociągu, jadącego do Edynburga. Działo się to jesienią 1938 roku, kiedy ten głupi słabeusz Chamberlain obiecywał pokój narodom Europy.

Stella spędziła tydzień w Morningside u dwóch ciotek, starych panien, potem zaś wyruszyła w wielką podróż. Uwielbiam szczegóły tej pielgrzymki i sposób, w jaki pomagają mi usnąć. Stella podróżowała na południe pociągami, autobusami i konnymi wozami; odwiedziła Waltera Scotta (Pogranicze), potem Wordswortha i Coleridge'a (Jeziora)... Zimą tego roku spacerowała po wrzosowiskach w Haworth z trzema siostrami Bronte, dziwnymi, niepokojącymi towarzyszkami - całe szczęście, że Stella, która znała ich powieści na pamięć, była przygotowana na te przygody. Odwiedziła Lawrence'a w Nottingham i Tennysona w Lincolnshire. Ramie w ramie z Dickensem chodziła ulicami Londynu, później zaś ruszyła na północ, na spotkanie z Szekspirem, do lasów Arden i Warwickshire. Tam na dłużej zatrzymała się u kolejnej ciotki, także starej panny. Wiosną odwiedziła Thomasa Hardy'ego i Dorset, a następnie (było to już pod koniec lata) Jane Austen w Bath. Pojechała za swoją ukochaną Austen do Lyme Regis i wreszcie do Hampshire. Pewnego wrześniowego dnia, kiedy czytała przy grobie Austen w katedrze Winchester, od lektury oderwał ją nagle głośny szmer, który przeszedł po całej nawie. Zamknęła swój egzemplarz Mansfield Park (czytany po raz piąty) i, zaciekawiona wyczuwalnym podekscytowaniem, które zapanowało wśród innych zwiedzających, wyszła na zewnątrz. Zbliżyła się do jednej z grupek na placu i spytała, co się stało. Powiedzieli jej, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom.

Umysł Stelli wciąż tak głęboko tkwił w świecie Austen, że długą chwilę nie rozumiała, co do niej mówią, lecz szybko wróciła do siebie. Kiedy wieczorem odebrała depezę od rodziców, którzy błagali, aby natychmiast zarezerwowała sobie miejsce na statku płynącym do Kanady, odmówiła. Już dawno

68

przestała widzieć Kanadę jako kraj rodzinny, a poza tym postanowiła pomóc siłom dobra w wysiłku wojennym. Ciotka stara panna wcale nie pragnęła pozbyć się jej towarzystwa, więc Stella została. Oczywiście, że została, myślę, zamykając oczy.

Stella musiała zostać, bo los chciał obdarzyć ją mężem, który znajdował się naprawdę niedaleko.

Potem nastąpił dość długi, nudny okres, w którym Stella miała się różnych prac w Londynie i na prowincji, starając się dopomóc Brytyjczykom w trudnych wojennych okolicznościach. Nie słucham tej części jej opowieści - nadal kreślę w myśli mapę literackiej pielgrzymki i po raz pierwszy zauważam, jak wiele ciotek pozostających w staropanieńskim stanie ma Stella. Dziwne, że ani jedna z tych kobiet nie pojawiła się w naszym życiu - nigdy nas nie odwiedzały, nigdy nie pisały, po prostu zniknęły. Teraz przychodzi mi do głowy, że może wszystkie poumierały, kto wie... Może wojna zmiotła wszystkie te stare panny z powierzchni ziemi... Zaczynam odpływać, niesiona falą myśli o pograżonych w staropanieństwie ciotkach Stelli, ale walczę ze snem, staram się zachować przytomność, bo właśnie teraz nudny okres w życiu mojej matki dobiega końca. Stella, córka farmera, wreszcie znajduje odpowiednie dla siebie wojenne zajęcie i zaczyna pracę w gospodarstwie rolnym, najpierw w Warwickshire (znowu Szekspir!), potem w Norfolk i w końcu w Suffolk, u niejakiego pana Angusa McIvera, mieszkańca Wykenfield.

- I tam, pewnego pięknego czerwcowego wieczoru, wybrałam się na spacer z doliny do Holyspring - mówi Stella. - Było już dość późno, a ja pracowałam od piątej rano, więc byłam zmęczona i na chwilę usiadłam na trawie pod Nun Wood. Zachwyił mnie spokój tego miejsca i cisza tak wielka, że zupełnie wyraźnie słyszałam szum płynącej daleko w dolinie rzeki. Wyciągnęłam się na trawie i zaczęłam obserwować jaskółki. Pamiętam warkot silników bombowców, startujących z bazy w Deepden. Odlatywały stamtąd co wieczór, a rano wracały...

69

- Co miałaś na sobie? - pytam.

Doskonale wiem, w co była ubrana, ale nawet już na skraju snu chcę usłyszeć to raz jeszcze.

- Cóż, nic szczególnie atrakcyjnego... - odpowiada Stella rozmarzonym głosem. - Ubranie, które nosiłam do pracy - solidne trzewiki, spodnie farmerki, starą koszulę w kratę... Byłam spocona i brudna, i pewnie miałam siano we włosach, bo tamtego dnia oporządzałam konie. Tak czy inaczej, odpoczywałam na polu w pobliżu Opactwa i z jakiegoś powodu postanowiłam wracać właśnie drogą, która biegła obok niego. Dom był wtedy zamknięty, zbyt zaniedbany i za mały, aby wojsku opłacało się go zarekwirować. Dziadzius był w Londynie - oczywiście wtedy nie myślałam o nim w ten sposób, wiedziałam tylko, że posiadłość należy do pana Mortlanda, który ma syna, pilota myśliwców, stacjonującego gdzieś w Sussex...

- A Sussex było daleko - dopowiadam. Kiwa głową.
- Dlatego nie sądziłam, że kogoś spotkam. Ruszyłam przed siebie ścieżką i przystanąłam pod starymi klasztorными murami, obok refektarza. Powoli zapadał zmrok. Wokół panował tak cudowny spokój, że z łatwością można było zapomnieć o wojnie, chociaż ja starałam się tego nie robić, bo przecież... Widzisz, te samoloty codziennie wieczorem przelatywały nam nad głowami, a następnego ranka nie wszystkie wracały do bazy...
- I nagle usłyszałaś kroki...
- Tak, nagle usłyszałam kroki na ścieżce od strony domu. Odwróciłam się i zobaczyłam młodego mężczyznę. Stał przy drzwiach refektarza i patrzył w niebo. Był bardzo wysoki, miał jasne włosy. Nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, chyba go trochę przestraszyłam. Spojrzał na mnie i zobaczyłam najbardziej niezwykle oczy, jakie kiedykolwiek widziałam - ciemnoniebieskie, prawie granatowe. Patrzyliśmy na siebie chwilę i...
- To była miłość od pierwszego wejrzenia...

70

- Coś w tym rodzaju.

Sen bierze mnie już w ramiona, słyszę jednak cień uśmiechu w jej głosie.

- Z całą pewnością było to coś niesamowitego, niespotykanego. Coś, czego nie doświadczyłam wcześniej, chociaż książki przygotowywały mnie na to przeżycie...  
Śpisz, Maisie?

Jestem pewna, że słyszę jej pytanie, ale nie jestem w stanie odpowiedzieć. Unosi mnie silny prąd i gdzieś z oddali dobiega odgłos cicho zamykanych drzwi. Śnię o letniej nocy w czasie wojny. Nasłuchuję kroków Tatusia na wyżwirowanej ścieżce i widzę, jak zbliża się do mnie, więc podnoszę się z łóżka, żeby go przywitać. Na palcach podchodzę do okna i ponieważ wiem, że jest blisko, odsuwam zasłony i czekam.

Jednak wtedy sen oddala się, już nie pierwszy raz. Słyszę muzykę i zaczynam śnić o moich siostrach. Julia, Finn i trzech młodzi mężczyźni, którzy im towarzyszą, nie śpią. We śnie widzę ogniki papierosów i słyszę bulgot rozlewanej do kieliszków wina. Śnię, że moja siostra Finn wypowiada zaklęcie - "krawędź życia, powtarza, krawędź życia". Nagle ktoś - może to Dan? - wstaje zza stołu w odpowiedzi na jej słowa. Zaczyna tańczyć i po jakimś czasie pozostali dołączają do niego. W moim śnie poruszają się rytmicznie w blasku księżyca - trzech mężczyźni, a między nimi moje



siostry, ich sukienki wyglądają jak barwne jedwabne nici, wplecione w ciemną tkaninę. Zwijam się w kłębek na parapecie. Muzyka wzdyma zasłony niczym podmuch wiatru, światło księżycy lśni jak ostrze noża.

Budzę się dokładnie o trzeciej trzydziści. Powietrze jest chłodne, podłoga zimna, a pokój pełen cieni. Dziedziniec opustoszał, muzyka ucichła. Przeciagam się raz i drugi, bo moje ciało wydaje mi się zeszywniałe i stare. Nagle ogarnia mnie lęk przed smugami głębokiego mroku, które spowijają pokój. Postanawiam pójść do Finn, która zawsze przyjmuje mnie i chroni w nocy. Opactwo wzdycha, lecz ja powtarzam sobie,

71

że bezsenność też ma swoje plusy. Cały dom pogrążony jest w ciemności, cały dom należy do mnie. Teraz jest czas Czuwania, więc mogę pójść wszędzie i wszystko obejrzeć. Dlaczego miałabym się bać duchów, skoro sama mogę być duchem?

Wychodzę na podest. W domu jest siedem klatek schodowych, po jednej na każdy dzień tygodnia.

Piętro niżej modlą się zakonnice. Zegar tyka głośno.

Najpierw odwiedzam Julię. Julia, Finn i ja mamy pokoje w tym samym korytarzu. Skradam się na palcach. Nawet mysz nie potrafiłaby zachowywać się ciszej - deski, których dotykam stopami, nie wydają ani jednego skrzypnięcia. Ostrożnie uchylam drzwi pokoju Julii. Ale bałagan! Julia nigdy nie zasłania okien i nigdy nie odwiesza ubrań na miejsce. Wszystkie jej kwieciste sukienki, skąpane w księżycowym blasku, leżą na meblach i podłodze jak jedwabne skóry, zrzucone przez jakiegoś niezwyklego węża. Czuję zapach jej ulubionych perfum L 'heure bleu i coś jeszcze, coś, co pachnie trochę jak kadzidło. Jest to tajemniczy aromat, zapach czegoś, co Julia pali, co przywozła z Kalifornii. Ta substancja, którą ukrywa przed Stellą i o której nie chce mi wiele powiedzieć, ma tajemniczą, magiczną moc - moja siostra mówi, że potrafi przenieść człowieka w inny świat.

Podkradam się do toaletki i w lustrze widzę Maisie. Zaskoczonym gestem podnoszę rękę do ust. Leżąca na szerokim łóżku za moimi plecami Julia porusza się lekko.

Odwracam się i patrzę na nią. Jest naga. Zrzuciła z siebie prześcieradło i koc, w świetle księżycy jej ciało wygląda jak wykute w marmurze. Patrzę na krągłe, rzeźbione piersi, na długi łuk bioder i ud. Księżyc rozjaśnił jej bursztynowe włosy, nadał im odcień najjaśniejszego złota. Jeden lok owinał się wokół jej gardła, a cała ich masa kłębi się na poduszce. Włosy Julii są zachwycająco gęste i długie, jej uśpiona twarz spokojna, nawet trochę ociężała od snu. Dałabym prawie wszystko,

żeby wyglądać jak Julia i wiedzieć to, co Julia z pewnością wie.

72

Na palcach wracam do toaletki i zaglądam do szufladki z prawej strony. Koronkowe pończochy, bielizna cienka i delikatna jak mgiełka - kto płaci za rzeczy, które pojawiły się w szufladzie Julii dopiero niedawno... Biała koronka, czarna koronka, a na dnie, tak jak ostatnim razem, gdy sprawdzałam, pigułki antykoncepcyjne. Jest też białe plastikowe pudełko w kształcie muszli, a w nim kapturek sprowadzony ze specjalnej kliniki w Londynie, ponieważ nasz lekarz, doktor Marlow, ojciec Nicka, nie chce przepisywać pigułek antykoncepcyjnych niezamężnym kobietom. Julia chwaliła się swoim kapturkiem, kiedy była w Cambridge, ale teraz już go nie potrzebuje. Uważnie przeliczam pastylki - poniedziałek, wtorek, środa... Tak, Julia umie o sobie dbać. Julia jest boginią (Venus toute entiere, "Wenus na wskroś", jak mówi Dan i chyba raczej nie jest to komplement), ale ta bogini ma wiele cech rozsądnej dziewczyny.

Porywcza i impulsywna jest Finn, chociaż wielu osobom nigdy nie przysłoby to na myśl, głównie z racji jej skrytości i pozornego spokoju. Cichutko biegnę do pokoju Finn i bardzo, bardzo ostrożnie, powolutku otwieram drzwi, ponieważ Finn, w przeciwieństwie do Julii, ma niezwykle lekki sen. Nawet kiedy coś jej się śni, jest czujna i budzi się na najcichszy dźwięk.

Ten pokój jest poznaczony pasami światła i cienia, i utrzymany w doskonałym porządku. Moje zakonnice pochwalają schludność Finn. Na podłodze leży materac bez stelażu, ściany zasłaniają półki pełne książek, lustro jest niewielkie, a toaletka naga. Pokój pachnie świeżym powietrzem, zasłony poruszają się jak duchy, bo okno, jak zwykle, jest otwarte na oścież. Wąski materac, nakryty białym prześcieradłem, jest pusty. Dochodzi czwarta rano. Gdzie przebywa o tej porze moja siostra Finn?

- Gdzie? - mówię głośno i podskakuję, przestraszona własnym pytaniem.

Gdzie, gdzie? Muszę ją znaleźć. Idę do końca korytarza,

73

zbiegam po schodach, wspinam się na kondygnację po drugiej stronie, przechodzę przez przedpokój i znowu jestem na podeście. Kiedy Dziadzius odnawiał dom, stworzył najprawdziwsze mrowisko, pocięte tysiącem przejść, korytarzy i korytarzyków. Raz jestem w średniowieczu, a po chwili w czasach współczesnych. Rury kanalizacyjne mruczą i podzwaniają, siostry zakonne mijają mnie w milczeniu. Matka przełożona pada na kolana w swojej celi. Gdzież ona jest, Maisie? Gdzie jest twoja siostra? Biegnę po stołek, ponieważ wiem, że na pewno mi się przyda - nie

jestem jeszcze dość wysoka, aby podglądać bez jego pomocy. Otwieram drzwi, które wyglądają jak drzwi kredensu, ale prowadzą do sekretnego korytarza, do tajemniczego świata Opactwa.

Ustawiam taboret, wspinam się na niego i przysuwam oko do małego, kwadratowego, wykonanego dawno temu otworu. Ten judasz jest bardzo sprytnym urządzeniem, tajemnicą architektoniczną i klasztorną. Oczywiście istnieją inne judasze - można spotkać ich całkiem sporo w kościołach, lecz zwykle wychodzą na ołtarz w głównej nawie, tymczasem tutaj mamy judasza w klasztorze, judasza, przez który da się popatrzeć na ołtarz. Dziwne... Wiem tylko, że zainstalowano go w połowie piętnastego wieku, kiedy klasztor liczył już ponad dwieście lat, i że Isabella cierpi z powodu jego istnienia. Ktoś z jakiejś przyczyny lubił przyglądać się zakonnicom w czasie, gdy się modliły. Ten ktoś musiał być wysoki - otwór znajduje się na wysokości stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów nad podłogą. Wiem, bo sama zmierzyłam.

Podchodzę ostrożnie i zaglądam w ciemność. Moje spojrzenie biegnie w dół malutkim tunelem przez ponad dwumetrowej grubości mur prosto do kaplicy Najświętszej Maryi Panny. Teraz znajduje się w niej biblioteka i moje zakonnice już się tam nie gromadzą. Widzę lampę stojącą na przywiezionym z Indii stole i podwiniętą lwią skórę. Na kanapie, podparty poduszkami, siedzi Dziadzius, pogrążony w głębokim śnie. Obok stoi do połowy opróżniona butelka whisky - perspektywa

74

złożenia wizyty w domu jego dzieciństwa podziałała na niego tak jak zwykle. Myślałam, że zobaczę także Finn, pochłoniętą rozmową z Dziadziusiem i próbującą go rozweselić, ale pomyliłam się. Rozglądam się uważnie, lecz Finn nie ma.

Nie ma jej też w kuchni, w salonie, jadalni, spiżarni ani pralni. Tylnymi schodami przebiegam do korytarza, z którego wchodzi się do pokoju Dana. Nie śmiem otworzyć drzwi, ale przyciskam ucho do desek. "Niezły z ciebie szpieg, Maisie", powiedział Dan, kiedy przyłapał mnie na podsłuchiwanie. Nie zaszczyciłam go odpowiedzią. Jestem dziewczynką która siedzi na rogu stołu, dziewczynką którą wszyscy się zajmują, i tą, na którą nikt nie zwraca uwagi. Nikt mi nic nie mówi. Gdybym nie szpiegowała, nie wiedziałabym nic, dosłownie nic. Żyję w labiryncie niewiedzy - labiryncie Maisie - i nienawidzę tego z całego serca. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Dan śpi. Nasłuchuję uważnie. Nasłuchuję z miłością. Jest sam i śpi - nie mam co do tego cienia wątpliwości. Przyciskam ucho do drzwi. Słyszę głęboki, regularny oddech

mężczyzny. Tutaj na pewno nie ma Finn.

Wracam na dół i wykradam się do chłodnego ogrodu. Zaglądam do budynków klasztornych i sprawdzam, czy nie ma jej w bukowej alei. Podchodzę też do okien refektarza, ale Lucas oczywiście nie pracuje o tej porze - przez szpary w okiennicach nie wydobywa się ani odrobina światła, nie słychać żadnego dźwięku. Wracam do domu alejką między tujami. Księżyc ukrył się za chmurą i ciemność wydaje mi się przerażająca.

Wszystkie cienie przepełnione są rozpaczą i udręką, dostrzegam kształty, które przywołują mnie bliżej. "Tędy, Maisie, tędy", szepczą. Kamienie w korytarzach tchną lodowatym chłodem pod moimi bosymi stopami i zmuszają mnie do myśli o zmarłych, o tych wszystkich zmarłych - całych pokoleniach zakonnic, dzierżawców, którzy kiedyś tu mieszkali i gospodarowali, ojcach i córkach, matkach i synach, o wszystkich tych, którzy na wieczność spoczęli pod ziemią.

75

Tędy, Maisie, tutaj, szepczą, wyciągając ramiona, ale ja nie chcę położyć się obok nich. Musi tam być strasznie zimno i ciemno... Nigdy więcej nie zobaczyć słońca, nigdy więcej nie odetchnąć czystym powietrzem - jakie to okropne... Albo zmienić się w proch, jak Tatuś... Moje serce ściska lęk.

Biegnę do domu i łapię oddech dopiero w jego murach, tam, gdzie czuję się bezpieczna.

Po chwili dołącza do mnie Isabella. Otula mnie swoim płaszczem i rozgrzewa dłonie w swoich. Benedicite, zaczyna, niech ci Bóg błogosławi, i jej błogosławieństwo osłania mnie jak tarcza. Tuż przed piątą niebo przybiera cieplejszą barwę i ptaki zaczynają śpiewać. W Nun Wood mieszka słowik, który całym sercem wita świt. Aromat róż staje się bardziej intensywny, ich płatki odzyskują kolory. Gdzieś w oddali szczeka lis. Kiedy słońce zaświeci mocniej, pąki rozchylą się w jego promieniach.

O szóstej zakonnice zaczynają modlitwę jutrzni, laudesy. Quicumque vult salvus esse, szepczą razem ze mną. O szóstej piętnaście, gdy przygotowują się do mszy świętej, słyszę ciche, ostrożne kroki na ścieżce prowadzącej do refektarza. Cofam się, widząc zbliżający się ku mnie blady kształt. Widywałam je już wcześniej, te cienie, te uciekinierki, po kryjomu wracające na poranne modlitwy. Jednak ten duch nie widzi mnie - przystaje na progu, waha się i czujnie rozgląda dookoła oczami, które mają zaledwie dwadzieścia jeden lat. Ta uciekinierka jest bosa, buty trzyma w ręku. Zerka przez ramię, znowu zamiera, robi krok do przodu, krok do tyłu i wreszcie, pod

wpływem nagle podjętej decyzji, wbiega do środka. Idę za nią do holu i widzę, że ten duch to moja siostra, Finn. Odgłos moich cichutkich kroków przestraszył ją.

- Kto tam jest?! - woła.

Boi się. Odwraca się gwałtownie i patrzy na mnie. Ja patrzę na nią. Mam już przygotowane wcześniej zdanie, zdanie oskarżające, ale gdy widzę, jak zamyka się w sobie, postanawiam zatrzymać je dla siebie. Jej twarz ucisza mnie w jednej

76

chwili. Wygląda na kompletnie ogłupiałą, ośleplą. Jest bardzo blada i szybko oddycha. Jej biała sukienka usiana jest delikatnymi szkarłatnymi kwiatkami i w tym świetle ten wzór robi zupełnie niesamowite wrażenie, jakby Finn krwawiła ze wszystkich żył. Delikatna bawełniana tkanina jest pognieciona, spódnica rozdarta. Cudowne włosy Finn są potargane, a na jej szyi widać znak, ciemnofioletowy siniak wielkości kciuka. Patrzymy na siebie w milczeniu, moja siostra i ja. Pośpiesznie odsuwam wszystkie pytania, jakie chciałabym jej zadać. Po co mam ją o cokolwiek pytać? I tak znam część odpowiedzi, wyczytałam ją w jej oczach. Finn była z Lucasem, który wcale jej nie malował. Lucas to dziwny człowiek, zdolny do wielu rzeczy, ale nawet on nie potrafi malować portretów po ciemku.

Tyle wiem, ale nic mi to nie mówi. Coś się stało i jest to coś, do czego nie mam dostępu. Finn mogłaby mi o tym opowiedzieć, lecz słowa nie pomogą tego przeżyć. Moja siostra zawędrowała do odległego kraju, którego języka nie znam.

- Och, Finn, co będzie, jeśli Dan dowie się o wszystkim? - wyrzucam z siebie.

Czekam na odwet, na nieunikniony wybuch gniewu Finn. Finn nie znosi, kiedy się ją szpieguje. Nienawidzi pytań. Nigdy mi tego nie wybaczy. Cofam się o krok, ale ku mojemu zdumieniu Finn ani się nie złości, ani mnie nie beszta. Z dziwnym westchnieniem osuwa się na kolana. Obejmuje mnie w pasie i mocno przytula. Kiedy unosi pobladłą twarz, wydaje się kompletnie odmieniona.

- Jestem taka szczęśliwa, Maisie... - szepcze. - Tak cierpię... I tak się boję...

Przyglądam się jej z powątpiewaniem. Wiem, że nie ma sensu prosić, aby mi to wyjaśniła, bo i tak nic bym nie zrozumiała. Finn podnosi się i chwyta mnie za ramię.

- Obiecuj, że nikomu nic nie powiesz! - mówi cicho. - Obiecuj mi, proszę! - nalega. - Podaj mi rękę...

Z całej siły ściskam jej dłoń i obiecuję. Nigdy nie zdradziłabym Finn,

a ona doskonale o tym wie. Mimo to przyrzekam, że będę milczała do grobowej deski.

Finn ściska mnie i całuje. Drży na całym ciele. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że pod cienką sukienką jest zupełnie naga. Jej twarz promienieje, ale oczy błyszczą od łez. Kołysze mnie w ramionach tak jak zaraz po naszym przyjeździe do Opactwa, kiedy z tęsknoty za Tatusiem męczyły mnie upiorne sny. Potem nagle wypuszcza mnie z objęć. Mam nadzieję, że zacznie mnie pocieszać i uspokajać, i może odprowadzi mnie do łóżka, lecz dziś Finn jest bardzo roztargniona i po prostu zapomina, że tu jestem. Dla mojej siostry nie istnieję, jestem osamotnionym dzieckiem. Finn jest skupiona na jakimś niewidzialnym geście, na jakimś ruchu powietrza, którego ja nie dostrzegam, i jej twarz ściąga dziwny spazm. Cicho jak duch odwraca się na pięcie i biegnie po schodach do siebie.

Zostaję w holu, którego posadzka przypomina wielką szachownicę. W kącie stoi duży szafkowy zegar z wahadłem i odważnikiem. Wiem, że zdarzyło się coś bardzo ważnego. Zegar tyka, odmierza minuty i wydzwania kwadranse. Za pięć godzin wyruszamy do Elde.

Rozdział Szósty.

GŁOSY PRZODKÓW.

Tuż przed wyjazdem zbieramy się przy stole w jadalni na doroczną naradę wojenną. W dole brzucha dźwigam tępy ból - zaczął się jeszcze przed śniadaniem i chociaż nic nie jadłam, nie chce mnie opuścić. Z początku ogarnęła mnie nadzieja; pomyślałam, że to może ten najbardziej znaczący ból, ale nic z tego. Trzy razy chodziłam do toalety, żeby sprawdzić, lecz na bieliźnie nie znalazłam ani kropelki krwi. Coś jest ze mną nie tak. Co się dzieje? Kogo mogłabym zapytać?

Moje siostry zakonne są poruszone. Martwią się o Finn, z niepokojem myślą o Elde - czyjaś dusza choruje, w powietrzu czuć odór grzechu. Ponownie schodzę na dół o dziewiątej, w porze tercji, trzeciej godziny dziennych modłów. W moich uszach brzmią psalmy i nawet Julia nie może ich zagłuszyć, chociaż stara się ze wszystkich sił. Julia dopiero wstała, chociaż wszyscy są już na nogach od paru godzin. Puszcza płytę zespołu "Grateful Dead" i wodę do wanny.

- Zamknij drzwi, bo ten piekielny hałas nas zabije, Maisie! - woła Dziadzius, kiedy wchodzi do jadalni.

Dziadzius cierpi na dorocznego kaca. Siedzi u szczytu stołu, Stella naprzeciwko. Postanowiła włożyć błękitną sukienkę, którą Tatus kupił jej tuż przed śmiercią. Sukienka ma więc już dwanaście lat.

- Ładnie ci w tym odcieniu - mówi zawsze Dziadzius, gdy Stella ją wkłada.

79

I chyba jest to słuszna pochwała, bo ten błękit wydobywa z cienia łagodną urodę Stelli. Sprawia, że moja matka znika, a jej miejsce zajmuje szczęśliwa, niefrasobliwa, śliczna dziewczyna.

Siadam na swoim miejscu przy stole, po lewej ręce Dziadziusia i naprzeciwko Finn. Piękne oczy Finn wpatrują się w przestrzeń. Finn nienawidzi tego dorocznego rytuału i stopniowo się wyłącza. Próbuję pójść za jej przykładem. Zatapiaj pan statek, panie Gunner, recytuję z pamięci. Zatapiaj pan, przełam go na pół! Lepiej, żebyśmy wpadli w ręce Boga niż Hiszpanii! To wzruszający utwór, ale dziś mało skuteczny. Próbuję innych metod. Staram się wyobrazić sobie, jaki był klasztor, kiedy go wybudowano, kiedy Isabella obserwowała pracujących kamieniarzy, a modlitwa wciąż miała wielką moc.

Próbuję wymazać całe wieki zmian i zrozumieć, dlaczego Dziadzius odnowił dom w taki dziwny, bezładny sposób. Co go napadło, żeby wykroić jadalnię, dzieląc na pół kaplicę Najświętszej Maryi Panny i niszcząc święte miejsce? Niszcząc miejsce o idealnych proporcjach i tworząc z niego dwa o proporcjach zakłóconych, zachwianych? Nad głową mam sztuczny, byle jaki sufit, fałszywe, belkowane sklepienie ozdobione tarczami herbowymi Mortlandów. Cały pokój jest po prostu paskudny, nawet okna, świetlice łukowate ozdoby kaplicy, zostały zeszpecone, ponieważ nowy sufit przeciął je w połowie. Z góry słychać głuchoe gulgocie w rurach - Julia zakończyła ablucje. Woda bulgocze w starożytnej sieci ołowianych rur, dociera do pęknięcia, które zrobiła w odległym rogu, i zaczyna kapać do ustawionego na podłodze wiadra.

Z piersi Dziadziusia wyrywa się cichy jęk.

- Widzicie?! - wybucha. - Widzicie? Jeżeli rury nie zostaną naprawione, jeżeli szybko nie zdobędę pieniędzy na naprawę dachu, ten dom po prostu pogrzebie nas pod swoimi murami. Belki gniją, mury gniją, korniki żrą wszystko, kto wie, co się może stać! Powiem to prosto w oczy Humphreyowi

i Violet. Sytuacja jest naprawdę ciężka, więc nie zamierzam przebierać w słowach! Domagam się jedynie sprawiedliwości! Trzy minuty! Trzy minuty, wyobrażacie sobie? Czy to jest sprawiedliwe, pytam?!

I tak się to zaczyna. Doroczna narada wojenna ma dwa etapy. Najpierw następuje recytacja dawnych żalów, potem, kiedy powtarzające się deklamacje przebrzmiały, przechodzimy do tegorocznej taktyki i planowania kampanii. Żale Dziadziusia sięgają daleko w przeszłość, aż do dnia jego przyjścia na świat, które to wydarzenie miało miejsce w Błękitnym Pokoju w Elde, 24 czerwca 1892 roku. Poród był łatwy, trwał zaledwie kilka godzin. Dokładnie o dwunastej w południe urodziło się pięknie zbudowane, energiczne dziecko płci męskiej. Dwie minuty po dwunastej, kiedy położna opatulą syna i dziedzica w jednej osobie miękkim kocykiem, jego matkę dopadł nowy, dziwny skurcz bólu. Chwyciła się za brzuch i jęknęła. Konsternacja! Noworodka pośpiesznie przekazano mamce, położna zaś schyliła się nad łóżkiem i wydała okrzyk zdumienia. Minutę później, dokładnie trzy minuty po dwunastej, na świat wyjrzało dziecko numer dwa. (Kiedy Dziadzius dociera do tego momentu pełnej żalu deklamacji, zawsze się zastanawiam, czy sztuka położnicza naprawdę mogła stać wtedy na aż tak niskim poziomie. Kim byli niekompetentni lekarze, którzy zajmowali się ciężarną? Jak to możliwe, że w ciągu dziewięciu miesięcy nikt się nie zorientował, iż nosiła bliźnięta? Lepiej nie zadawać takich pytań, jak mówi Julia).

Tym dzieckiem, także pięknie zbudowanym i pełnym sił witalnych, był mój dziadek. Identyczne bliźnięta, chłopcy podobni do siebie jak dwie krople wody. Z jedną różnicą, kompletnie niewidoczną dla oka. Dziecko urodzone dokładnie w południe, które otrzymało imię "Humphrey" (wszyscy Mortlandowie płci męskiej noszą imiona zaczynające się od "H", "G" lub "E"), miało odziedziczyć Elde i towarzyszący domowi pokaźny majątek. Jego bliźniaczy brat, urodzony trzy

minuty później, miał przed sobą niepewną przyszłość, zjawisko typowe dla większości młodszych synów w Anglii.

Henry, alias Dziadzius, zaakceptował swój los. Dziadzius zawsze podkreśla, jak bardzo kocha starszego o trzy minuty Humphreya i powtarza, że ani jako dziecko, ani jako dojrzały mężczyzna nigdy nie zazdrościł bratu majątku i nie miał do niego najmniejszego żalu. Zawsze poświęca tej części swojej ballady kilka pełnych uczucia wersów, a ja wierzę w jego słowa. Mój dziadek nie należy do światowców ani materialistów. Jest łagodny i przyjaźnie nastawiony do ludzi. Z wielką trudnością



przychodzi mu krytykowanie kogokolwiek, robi jednak wyjątek dla żony Humphreya, lady Violet, znanej także jako Żmija.

W 1914 roku, mając dwadzieścia dwa lata, obaj bracia zgłosili się na ochotnika do wojska w ciągu paru dni po przystąpieniu Anglii do wojny. Zostali umieszczeni w tym samym regimencie. Humphrey, wykazując się godnym uwagi i niezwykle silnym instynktem przetrwania, szybko zabezpieczył sobie stanowisko adiutanta przy sztabie generalnym i nigdy nie zobaczył frontowych okopów. Dziadzius węż przeciwnie. Najpierw wysłano go z oddziałem do Francji, do małego miasteczka Ypres, a następnie nad Sommę. Dość dobrze znam szczegóły bitew, które się tam rozegrały, ale nie mam pojęcia, co przydarzyło się Dziadziusiowi, ponieważ namówienie go na wojenne wspomnienia jest po prostu niemożliwe. Wiem tylko, że w 1918 roku wrócił z Francji kompletnie odmieniony i że zaraz po przyjeździe do Elde spalił swoje mundury. Ta ceremonia odbyła się publicznie.

Dziadzius ułożył wysoki stos z drewna na środku trawnika w Elde i rzucił tam wszystkie swoje mundury, obficie skropione parafiną. Stos płonął przez kilka godzin. Oczywiście można było liczyć, że rodzina zignoruje ten ekscentryczny gest, ale wieść rozniosła się po całej wiosce i dalej, i mogła zostać niewłaściwie zinterpretowana, dlatego trzeba było przekupić służbę, aby trzymała język za zębami. Rodzice Dziadziusia

82

zaniepokoił się, a po kilku pełnych napięcia miesiącach jego ojciec uświadomił sobie, że młodszy syn może mieć problemy z odnalezieniem swego miejsca w świecie. Nie mógł wkroczyć na żadną z tradycyjnych dróg kariery. Kościół był poza wszelką dyskusją- Dziadzius zdecydowanie odmawiał udziału w porannych modlitwach w rodzinnej kaplicy i konsekwentnie trwał w uporze, ponieważ, jeśli nie liczyć ślubów i pogrzebów, od 1918 roku jego noga nie postąpiła w kościele. Wojsko także nie wchodziło w grę; podobnie rzecz się miała z Ministerstwem Spraw Zagranicznych oraz Wewnętrznych, a także posadami w koloniach. Dziadzius nie zdradzał chęci służenia Królowi i Ojczyźnie w żadnej dziedzinie i na żadnym polu, a poza tym, sam szybko zdał sobie sprawę z jeszcze jednej trudności.

- Mam mały mózdzek - obwieszcza zawsze w tym punkcie opowieści. - Humphrey odziedziczył po przodkach inteligencję i spryt, ja nie. Mam fatalną pamięć i zwykle fatalnie wypadałem na egzaminach.

Na szczęście było jeszcze jedno rozwiązanie - majątek ziemski. Poza Elde rodzina posiadała kilka mniejszych posiadłości we wschodniej Anglii, wszystkie z przyjemnymi domami, jak najbardziej odpowiednimi dla człowieka o pozycji

Dziadziusia. Rodzice wysunęli wyżej wspomnianą sugestię, a Dziadzius ją zaakceptował. Spodobał mu się pomysł zostania ziemianinem, zaczął czytać książki o uprawie roli i żywo zainteresował się osiemnastowiecznymi metodami płodozmianów, warzywami oraz rzadkimi gatunkami drobiu i bydła.

Jednak majątki, które proponowała rodzina, nie wydały mu się interesujące - zdumionemu ojcu i zadowolonemu bratu oświadczył, że woli objąć Opactwo w Wykenfield. W skład tego majątku wchodziło tylko czterysta akrów oraz dwie oddane w dzierżawę farmy, a sam dom był na wpół zburzony, lecz Dziadzius chciał dostać właśnie Wykenfield. Było to bardzo piękne miejsce, miejsce, gdzie słyszał bicie serca Anglii. Gleba była gliniasta, jak to w Suffolk, lecz Dziadzius wiedział,

83

że przy odpowiednich staraniach będzie w stanie użyźnić ją i skłonić do obfitego rodzenia zbiorów, jeśli zaś chodzi o klasztorne zabudowania (w tym momencie Dziadzius zawsze podnosi wzrok, aby z dumą spojrzeć na dodatkowy, belkowany sufit), to dostrzegał w nich możliwości, jakich nie widziała czy nie chciała widzieć rodzina.

Poza tym, odkąd pewnego lata przed wojną odbył tam wycieczkę na rowerze, zawsze czuł, że z tym miejscem łączy go coś szczególnego. Podobało mu się także, że więzi między rodziną i Opactwem sięgają tak głęboko w przeszłość. Chociaż powiązania rodowe między Mortlandami i Isabellą, fundatorką Opactwa, są dość dyskusyjne, a zniekształcenie jej nazwiska "de Morlaix" na "Mortland" nigdy nie zostało w pełni wyjaśnione, Dziadzius od początku wierzył, że Isabella była jego odległą krewną. Oczywiście nie w linii prostej, biorąc pod uwagę jej powołanie, ale w niedalekiej, być może poprzez jednego z jej kilku braci. Co więcej, niezależnie od tego, czy byli spokrewnieni, czy nie, Isabella przemówiła do niego. Dziadzius usłyszał jej głos, kiedy przyjechał obejrzeć dom wiosną 1919 roku.

- I bynajmniej nie miałem wtedy żadnego przywidzenia -powtarza zwykle, gdy dociera do tej dramatycznej chwili. -Miewałem je czasami, to prawda, takie rzeczy przytrafiają się wielu osobom. Jednak tym razem było to coś zupełnie innego - stałem na zboczach w Holyspring, patrzyłem w dół, na dolinę i właśnie wtedy usłyszałem głos Isabelli. Usłyszałem go bardzo wyraźnie i muszę podkreślić, że był to naprawdę piękny głos...

- Co powiedziała, Dziadziusiu? - poganiam go zawsze w tym punkcie.

- Powiedziała: "Henry Mortlandzie, oto jest miejsce przeznaczone dla ciebie...", czy coś w tym rodzaju. Nie pamiętam słów, ale taki był sens...

- Skąd wiedziałeś, że to była Isabella? Przedstawiła ci się? Widziałeś ją?

84

- Cóż, to było trochę inaczej... Nie tyle ją zobaczyłem, ile raczej wyczułem jej obecność. Dobrze wiesz, Maisie, że takich przeżyć nie da się tak dosłownie opisać...

- Jak była ubrana? Miała na sobie zakonny habit? Welon? Bałeś się?

- W żadnym razie. Przez cały czas tego niesamowitego spotkania udało mi się zachować spokój i przytomność umysłu. I wydaje mi się, że nie miała na sobie habitu... Może to dziwne, ale mam wrażenie, że nosiła niebieską suknię...

W tym momencie rodzinnej ballady Dziadzius przerywa i rzuca mi pełne nadziei spojrzenie. Czeka, żebym pomogła mu starymi, rytualnymi dziecięcymi pytaniami, które zawsze sprawiały mi dużą przyjemność. Nie chcę go zawieść ani zranić, ponieważ to sprawia mi ból, ale nie potrafię się też zmusić do recytacji pytań o Isabellę, głos i cały dziwny incydent w Holyspring. Nie potrafię, bo już w to wszystko nie wierzę. Moim zdaniem do tego spotkania nigdy nie doszło. Isabella mówi do mnie, ale nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek odezwała się do Dziadziusia. Nie wierzę w niekompetentną położną i, gdyby nie potwierdzenie z ust samego Humphreya, nie dałabym także wiary opowieści o fatalnej trzyminutowej różnicy między bliźniakami. Wszystko to jest zagadką, przeszłość moich bliskich wydaje się mętna i niewyraźna. Nie jestem jedyną specjalistką od snucia opowieści w tej rodzinie - wszyscy jej członkowie mają skłonność do tego zajęcia. Wszyscy opowiadają rozmaite historie, dzień i noc.

I w przeciwieństwie do moich historii, których celem jest odkrycie prawdy, ich opowieści starannie ją maskują. Reszta mojej rodziny zamazuje jasno zarysowane linie i na dodatek nie robi tego zbyt dobrze. Spójrzcie tylko na to morze zmarnowanych możliwości... Kiedy ja opowiem Lucasowi o głosie w Holyspring, a będzie to już niedługo, zrobię z tego prawdziwy majstersztyk. Bo przecież ja dokładnie wiem, jak brzmi głos Isabelli i co Isabella nosi. Lepiej umiejscowię też to wydarzenie

85

w czasie - wybiorę wiosenną noc albo letni przedświt, nie zwyczajne popołudnie.

Biedny Dziadzius. Biedna Stella, której opowieści wypadają jeszcze gorzej niż opowieści Dziadziusia. Długa praktyka trochę je wygładziła i uatrakcyjniła w moich oczach, ale musiałam intensywnie pracować nad Stellą i zmuszać ją do powtarzania wielu rzeczy, aby osiągnąć ten cel. Zwykle Stella kompletnie gubi się w detalach i

ciągle zmienia temat; bez nalegania nigdy nie mówi, jak ubrani są bohaterowie jej historii i jak wyglądają, co moim zdaniem jest ogromnie ważne. Obydwoje, Stella i Dziadzius, są po prostu beznadziejni. Tak czy inaczej, upadek Mortlandów można zawrzeć w trzech zdaniach, trzech zgodnych z prawdą stwierdzeniach, zbyt bolesnych, aby wypowiedzieć je na głos i dlatego starannie ukrywanych przez rodzinę wewnątrz całej pajęczyny słów.

Po pierwsze: Dziadzius, chociaż dobry i kochany, w dziedzinie finansów porusza się jak pijane dziecko we mgle - pieniądze, których nie zmarnował, instalując dodatkowe sufity, przepierzenia i dziurawe rury, w zdumiewającym tempie stracił na gospodarce ziemią i giełdzie, szczególnie na nierozważnych amerykańskich inwestycjach. Po drugie: mój ojciec, który najprawdopodobniej odwróciłby zły los i odniósł jakiś wymierny sukces, stracił wszelkie szanse, aby to uczynić, częściowo za sprawą wojny, a częściowo gruźlicy, która nie poddała się ani leczeniu klimatem Nowego Meksyku, ani nowemu, cudownemu środkowi, streptomycynie, wielką nadzieją lekarzy z sanatorium oraz Stelli. Po trzecie: Stella, dzielna wdowa z trójką dzieci na głowie, ma jeszcze mniejsze pojęcie o finansach niż Dziadzius i marne wyczucie, jeśli chodzi o ludzi; mimo wielu znaków na niebie i ziemi, nadal wierzy, że Humphrey w głębi duszy jest uczciwym człowiekiem, że zlituje się nad naszą biedą i pomoże nam, zwłaszcza że jest przecież bardzo bogaty. Podnoszę głowę i słyszę, że Stella wygłasza właśnie swój punkt widzenia.

- Och, co za bzdury... - mamrocze Julia, która w końcu

86

raczyła zjawić się wśród nas, ciągnąc za sobą obłok perfum. -Co za potworne brednie...

Stella mówi dalej, a Julia siada obok milczącej, pochłoniętej własnymi myślami Finn. Oczywiście Julia ma całkowitą rację. Jeśli nawet Humphrey posiadał kiedyś jakąś fundamentalną rodzinną lojalność, uczciwość czy skłonność do niesienia pomocy, to jego żona, lady Violet, dawno temu wybiła mu z głowy te słabości. Humphrey ma teraz starannie wydrenowaną pamięć - zapomniał, jak zaraz po śmierci mojego ojca przysiągł, że zaopiekuje się Stellą, Julią, Finn i mną, zapomniał, że jego ojciec zawsze nosił się z zamiarem uczynienia dodatkowego zapisu w testamencie na rzecz Dziadziusia. Bezustannie kapiące krople pogardy, jaką Żmija żywi w stosunku do nas, dokładnie zmyły wszelkie ślady altruistycznych intencji Humphreya, który dziś prezentuje stanowisko swojej małżonki: po co wyrzucać pieniądze w błoto?

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego spodziewacie się, że Humphrey wyłoży jakieś pieniądze - oświadczyła Violet (podobno) w ubiegłym roku. Żmija jest kobietą, która

jasno formułuje myśli. - Z jakiego powodu miałby to zrobić? Sprzedaj ten cholerny dom, Henry. Bóg jeden wie, skąd ta uparta obsesja na jego punkcie. Utopiłeś w nim mnóstwo pieniędzy, od samego początku ciągnął cię na dno niczym kamień u szyi. A ty, Stello, spróbuj choć raz podejść do życia praktycznie, przepraszam cię bardzo... Poszukaj sobie pracy, przecież chyba nawet ktoś taki jak ty może znaleźć zajęcie, prawda? Naturalnie macie pewne problemy i szczerze współczuję wam z tego powodu, ale żadne trudności nie znikają ot, tak sobie, z dnia na dzień. Nie można bez przerwy siedzieć i czekać, aż pieniądze spadną z nieba, takie jest moje zdanie...

Wpatruję się w stół i wciąż powtarzam w myśli fragmenty tej jakże często cytowanej mowy. Nie potrafię ocenić, czy Żmija miała rację, czy nie. I o jakie właściwie "pewne problemy" jej chodziło?

Violet naświetliła swój punkt widzenia o trzeciej trzydzieści

87

po południu i w ten sposób szybko zakończyła rozmowę.

Dziadzius podniósł się z fotela, wyraźnie rozgniewany.

- Violet, sprzedałem połowę ziemi należącej do Opactwa, aby opłacić rachunki za leczenie mojego syna, a resztę na edukację Finn i Julii oraz na odpowiednie zabezpieczenie dla Maisie. Wszystko, co zostało, to dom i ogród. Co bym dostał, gdybym je teraz sprzedał? Jakaś marną sumę. Nie zrobię tego. Mój syn kochał ten dom i jego dzieci go odziedziczą, bo jest to jedyna spuścizna, jaką mogę im przekazać i z pewnością przekażę. A poza tym... (Dziadzius był z każdą chwilą coraz bardziej zdenerwowany) ...poza tym powinnaś się wstydzić swojej uwagi pod adresem Stelli, która wychowała trzy dziewczynki w niezwykle trudnych warunkach. Dała im miłość, czas, czułość - co tu dużo mówić, poświęciła im swoje życie! Musiała oszczędzać i walczyć o każdy kęs chleba, urobiła sobie ręce do łokci! Nie przestaje pracować ani na chwilę! Dziś rano, przed naszym wyjazdem do Elde, Stella wstała o szóstej. Posprzątała, przygotowała śniadanie i zmyła naczynia. Odbyla lekcję angielskiego z Maisie. Uprzątnęła kurnik, nakarmiła drób, wykopała warzywa, które sama hoduje, i przygotowała pożywną kolację, żebyśmy mogli coś zjeść po powrocie... - Dziadzius zmroził Żmiję gniewnym spojrzeniem.

Żmija westchnęła.

- A co ty zrobiłaś dziś rano, Violet? - zakończył Dziadzius pogardliwym tonem.

Przypuszczam, że wietrzył już w powietrzu zwycięstwo.

- Jak zwykle zjadłam śniadanie w łóżku, a potem wzięłam kąpiel - odparła Violet bez

cienia zmieszania (jak zauważyła później Julia, Żmija ma nerwy ze stali). - Potem ustaliłam z kucharką, co poda na lunch, i porozmawiałam z jednym z moich ogrodników o mszycach, które niszczą róże - oczywiście my nie zatrudniamy w Elde ludzi, którym nie chce się pracować. Później poszłam na mały spacer z moim uroczym wnukiem. Wszystko to były bardzo potrzebne zajęcia,

88

moim zdaniem, więc jeśli oskarżasz mnie o coś, Henry, to zdobądź się na odwagę i powiedz mi to prosto w oczy, ale najpierw sprawiedliwie oceń swoje własne warunki i możliwości. Humphrey i ja ostrzegaliśmy cię wielokrotnie, że twoja niechęć, by stawić czoło bolesnym faktom, pewnego dnia przyniesie tragiczne skutki...

- Wiedziałem, do czego zmierzała - mówi teraz Dziadzius, czerwieniąc się i nie odrywając wzroku od blatu stołu. - I nie miałem zamiaru tego słuchać. Popatrzyłem na nią z pogardą, co zawstydziłoby większość kobiet, i powiedziałem: "Nie mam pojęcia, dlaczego Humphrey ożenił się z tobą, Violet. Nie chcę dłużej słuchać tych podłych obelg i insynuacji. Jesteś żmija i zatrulaś jadem serce tej rodziny"...

- Wnuk? - odzywa się głos z progu. - Nie wiedziałem, że Humphrey i Violet mają wnuka...

Głos przerywa milczenie, jakie zapadło po ostatnich słowach Dziadziusia. Odwracam się i widzę wchodzącego Dana, który trzyma w ręku notatnik. Dan wita się ze wszystkimi obecnymi, ze wszystkimi poza Finn. Komplementuje strój Julii, która ma na sobie jeden ze swoich antycznych kaftanów, a na przegubach rąk nosi mnóstwo ciężkich bransolet, podzwaniających cicho i delikatnie przy każdym jej ruchu. Dan obdarza ją długim spojrzeniem, pełnym zachwytu i podziwu (dziwne, bo normalnie nie znosi Julii), i siada na krześle obok mnie, naprzeciwko Finn. Zachowuje się czarująco - ostatnio ciągle jest czarujący - ale ja wyraźnie czuję zapach jego gniewu. Finn nie podnosi wzroku, wciąż wpatruje się w stół. Powtarzam sobie, że Dan nie może przecież wiedzieć, gdzie była Finn ubiegłej nocy, niemożliwe, żeby wiedział.

- Poprosiłam Dana, żeby się do nas przyłączył - zaczyna pośpiesznie Stella. - Mam parę sugestii i przyszło mi do głowy... Przyszło mi do głowy, że co roku zastanawiamy się, robimy plany i nigdy ich nie realizujemy, nie wprowadzamy w życie. Dan praktycznie należy do rodziny, zna nas od wieków... Można powiedzieć, że jest naszym przybranym synem.

89

- Stella uśmiecha się lekko. - Jestem pewna, że jego punkt widzenia i ocena sytuacji okażą się pomocne. Dan może spojrzeć na nasze sprawy z innej strony niż my i...

- Powiedźcie mi coś więcej o wnuku Żmii - mówi przybrany syn, otwierając notatnik. Rysuje na kartce kilka linii i królika, którego ktoś wyciąga z kapelusza. - Resztę obsady tego filmu znam całkiem nieźle. Sporo wiem o Żmii i Humphreyu, i o ich synu - umarł młodo, prawda? Ale wnuk... Musiałem chyba zapomnieć, że mają wnuka, a to brzmi obiecująco. Wiek?

- Dwadzieścia siedem lat - odpowiada Julia. - I zanim zapytasz, tak, jeszcze się nie ożenił. Ma na imię Edmund. Wychowali go Violet i Humphrey. Tylko nie wyobrażaj sobie, że to ktoś w stylu pana Darcy'ego z Dumy i uprzedzenia, wyobraź sobie raczej tłustego wołu z trzema szarymi komórkami na krzyż, bo to jest bardziej prawdziwy obraz...

- Julio, jesteś za ostra - wtrąca Dziadziuś. - Edmund skończył Eton, Christ Church i Królewską Szkołę Rolniczą, więc określenie "wół z trzema szarymi komórkami na krzyż" zupełnie do niego nie pasuje!

- W takim razie nazwijmy go "dziwadłem" - Julia wzrusza ramionami. - Dziwadłem, które dostało się do Oksfordu po tym, jak jego dziadkowie pociągnęli za wszystkie możliwe sznurki, i skończył trzy lata studiów. Dziwadłem, które rok temu odziedziczyło ogromny majątek i teraz dysponuje nieobciążonym niczym dochodem o wysokości dwustu tysięcy funtów rocznie. To dziwadło jest oczkiem w głowie Violet i przyszłym dziedzicem Elde. Serce może człowiekowi pęknąć z bólu, co? Ale jeżeli wyobrażasz sobie, że... Co właściwie sobie wyobrażasz, Dan?

- Zapytajmy Finn - odpowiada Dan niebezpiecznym tonem. - Finn, co właściwie sobie wyobrażam? Zwykle wiesz, co mam na myśli.

- Nie tym razem - Finn podnosi głowę, a w jej głosie brzmi równie groźna nuta.

90

Obrzuca Dana długim, zimnym, zaczepnym spojrzeniem, ale on unika jej wzroku.

- Chyba wyobraziłem sobie, że apel do wnuka mógłby przynieść pożądane skutki, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że inne apele zawiodły - podejmuje Dan. - Dlaczego nie? Jest młodym mężczyzną i jeżeli apel wystosowałaby odpowiednia osoba, w odpowiedni sposób... Jakiż mężczyzna mógłby oprzeć się Julii? Chyba właśnie to sobie wyobraziłem, patrząc na Julię, która dzisiaj wygląda wprost olśniewająco...

Oczy Dana spoczywają na mojej starszej siostrze. Widzę, jak na policzki Julii wypełza rumieniec i po prostu nie mogę uwierzyć, że nabiera się na te pełne drwiny komplementy, zwłaszcza z ust Dana, bo przecież Julia na pewno wie, że Dan bardzo

jej nie lubi i sama twierdzi, że go nie znosi. Jednak Julia jest próżna, a Dan przystojny i jego skłonność do Finn zawsze drażniła Julię. Widzę, że Julia się waha, chociaż nadal zachowuje ostrożność, ponieważ zna Dana i wie, że być może ją podpuszcza - Dan potrafi być podstępny.

- Nie postawiłabym dużo na moją szansę... - Julia ściąga brwi. - Z przyjemnością wyciągnęłabym od Edmunda trochę gotówki, której ma aż za dużo, a która bardzo by nam się przydała, ale on wcale nie jest taki głupi.

Wstaję. Mamrocze pod nosem jakąś wymówkę, lecz nikt nie zwraca na mnie uwagi, nikogo nie obchodzi, czy siedzę przy stole, czy nie, nikomu nawet nie przychodzi do głowy, żeby zapytać mnie o zdanie. Niewidzialna i niezauważona, odsuwam krzesło i ruszam w stronę drzwi. Za plecami słyszę głos Stelli.

- Myślę, że Dan ma rację - mówi. - To całkiem sprytny pomysł, jeśli mam być szczerą. Tłumaczenie czegokolwiek Humphreyowi jest po prostu beznadziejne, bo Violet zawsze wtrąca się do rozmowy, ale jeżeli Julia mogłaby zamienić parę słów z Edmundem, wziąć go na bok i wyjaśnić mu, w czym rzecz... Nie chcemy dużo, poza tym teraz mamy konkretną propozycję biznesową... Oto mój pomysł, moim zdaniem

91

całkiem niezły i przyszłościowy. Zauważyliście pewnie, jaką popularnością cieszą się obecnie rozmaite szkoły gotowania, prawda? Pomyślałam, że wiele osób znacznie chętniej uczyłoby się gotować tutaj, w Opactwie, niż w jakiejś zapyziałej piwnicy w Londynie. Wyobraźcie sobie tylko - piękny ogród, świeże produkty, jajka od moich kur... Możliwe, że musielibyśmy wyremontować parę sypialni, bo chyba bardziej atrakcyjna byłaby szkoła stacjonarna, z możliwością noclegu, ale to na pewno nie kosztowałoby dużo... Przygotowałam... No, właśnie, przygotowałam projekt. Wydaje mi się, że moglibyśmy zacząć całkiem niedługo, ale potrzebny byłby nam kapitał, oczywiście tylko na początek, na rozruch. Dan policzył ze mną wszystkie potencjalne koszty i doszliśmy do wniosku, że tysiąc funtów... To znaczy, Dan uważa, że lepiej byłoby pożyczyć dwa tysiące, żeby można było rozreklamować szkołę, ale ja jestem przekonana, że nie trzeba nam aż tyle... Powiedzmy, że pożyczymy tysiąc pięćset. Musiałabyś wytłumaczyć Edmundowi, Julio, że chodzi tylko o pożyczkę, pożyczkę, którą naturalnie spłacimy z odsetkami, kiedy szkoła zacznie przynosić zyski...

- Stello, to twój najlepszy pomysł, bez dwóch zdań! - mówi szybko Dziadzius, rzucając spojrzenie w moim kierunku. - Jesteś doskonałą, niezwykłą kucharką. To mogłoby rozwiązać... Cóż, to mogłoby rozwiązać wszystkie nasze problemy. Dokąd się wybierasz, Maisie, mój skarbie?



- Do kuchni - odpowiadam. - Jestem głodna.

- Och, świetnie! - cieszy się Stella, która zawsze lubi mnie podkarmiać. - Jest mnóstwo owoców, kochanie, i świeży chleb... Tylko nigdzie nie odchodź, dobrze? Zaraz wyjeżdżamy.

W pokoju zapada cisza. Wszyscy przy stole patrzą na mnie wyczekująco.

- To wspaniały pomysł, Stello - podejmuje Dziadzius po krótkiej przerwie. - Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

92

Stella przetyka ślinę i patrzy na Dziadziusia z wyraźnym wahaniem. Wiem, dlaczego nie wspomniała o swoim pomysle Dziadziusiowi ani nikomu z nas - nie zrobiła tego, ponieważ w głębi serca jest przekonana, że ten projekt, podobnie jak wiele wcześniejszych, skazany jest na niepowodzenie. Nawet Stella nie potrafi być optymistką bez końca. Rzeczywiście jest doskonałą kucharką, to prawda, ale do prowadzenia firmy nadaje się mniej więcej tak samo jak nasze koty.

Cicho zamykam za sobą drzwi.

Rozdział Siódmy.

SZPAK.

Wycofuję się do holu. Po białych i czarnych kamiennych płytach poruszam się jak figura szachowa - czasami jak koń, kiedy indziej jak królowa, lecz dziś skaczę przed siebie po jednym polu, na ukos, jak pionek. Nasłuchuję głosów moich zakonnic, które pracują teraz w ogrodzie, oraz szumu odkurzacza, z którym Bella szaleje na piętrze. Słucham zlewających się w dziwaczny odgłos słów, dobiegających z jadalni i myślę o czekającej nas wizycie w Elde.

Dokładnie wiem, jak będzie wyglądać każda sekunda. W drodze Dziadzius i Stella zaczną się nawzajem zachęcać do przyjęcia optymistycznego punktu widzenia. Tym razem będzie inaczej, powiedzą zapewne, ale ten optymizm będzie stopniowo znikał od chwili, kiedy przejedziemy pod wysoką, żelazną bramą i zobaczymy przed sobą dom w całej jego zimnej, szarej świetności. Stella znowu pokaże nam przez okno jezioro oraz znajome obeliski i ogrodowe świątynie. Zachwyci się

dalekowzrocnością i zdolnością przewidywania Capability Browna, który zaprojektował park i zasadził imponującą aleję dębów, kiedy drzewka miały niewiele ponad metr wysokości. Nikt nie przypomni jej, że mówi to samo co roku, na tym samym zakręcie. Wszyscy będziemy już w tak złym humorze, że nie stać nas będzie na wygłoszenie jakiegokolwiek komentarza, a kiedy przekroczymy próg domu, nasz nastrój

94

pogorszy się jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Elde sprawia, że nasze serca ściska chłodny lęk.

Humphrey przyjmie nas serdecznie i pogodnie, a Żmija wyjdzie na powitanie ze swoimi słynnymi perłami na szyi. Przydzieli nam dwadzieścia minut na wypicie sherry, ewentualnie czegoś innego, i godzinę na lunch. Potem zniecierpliwiona Violet zagoni nas z powrotem do lodowato zimnego salonu. Tam Finn pograży się we wzgardliwym milczeniu, bo właśnie w ten sposób ukrywa ból, Julia zacznie zachowywać się buntowniczo i wyzywająco, a ja... No, właśnie, co zrobię ja?

Reszta rodziny zaraz po lunchu przystąpi do działań zaczepnych, kiedy to dwunastomiesięczne zawieszenie broni zostaje zerwane i wrogie uczucia wybuchają z nową siłą. Żmija będzie punktowała zawodników i mierzyła czas. Pozwoli im na półtoragodzinną walkę wręcz, potem dojdzie do wniosku, że nasza strona jest już wystarczająco pognębiona, poraniona i pozbawiona sił, więc podyktuje warunki poddania się. Warunki są proste - bezwarunkowa kapitulacja.

Nie chcę patrzeć na ten upokarzający proces, zresztą i tak nie wolno mi być świadkiem rozmów. Podobno jestem za młoda na udział w rodzinnych potyczkach (tak orzekł Dziadziuś), ale wystarczająco dorosła, aby w drodze powrotnej poznać wszystkie szczegóły i w ciągu następnych miesięcy wysłuchiwać gniewnych litanii żalów oraz pretensji.

Dlatego wyślą mnie na dwór. Przejdę przez marmurowe hole Elde i znajdę się w ogrodzie (ogromnym i stale pielęgnowanym przez dziewięciu ogrodników). Będę tam spacerować przez dziewięćdziesiąt minut. Czasami spaceruję pod eskortą.

Zwykle spaceruję pod eskortą.

Raz czy dwa udało mi się uciec i zmylić pogoń. Wtedy spacerowałam sama.

Powoli pokonuję szachownicę, ale nadal słyszę podniesione głosy z jadalni, więc uciekam do kuchni. Kiedy zamykam

95

drzwi, argumenty uczestników narady wojennej przestają do mnie docierać. Dziadzius, dzięki swym niezwykłym zdolnościom planowania, umieścił kuchnię w odległości kilkuset metrów od jadalni, podobnie jak jest to w Elde.

Straszliwy nieład, w którym zazwyczaj pograżony jest cały dom, nie ogarnia kuchni. Wszystkie inne pomieszczenia toną w fatalnym nadmiarze rzeczy, które, niezależnie od wysiłków Stelli, mniej więcej w dzień po sprzątaniu wracają na swoje poprzednie miejsca. Listy, gazety, czasopisma, magazyny, porzucone swetry, kalosze, tenisówki, fajki Dziadziusia, stroje Julii, książki Finn, kubki do kawy, szklanki, kieliszki, rękawice do prac ogrodowych, sekatory - wszystko to znajduje się w ciągłym ruchu, podlega niekończącemu się procesowi przemieszczania się, więc ledwo Stella uprzątnie jakiś pokój, a już znowu wdziera się tam wszechwładny chaos.

Jednak w kuchni każdy sprzęt i każda rzecz jest na swoim miejscu. Kuchnia jest czysta i zadbana, i chociaż Bella bardzo stara się zaprowadzić tam własne porządki, to Stella nieugięcie stoi na straży ładu. Kamienna podłoga jest starannie wyszorowana, miedziane rondle błyszczą, zawieszona na hakach nad piecem. Fajansowe naczynia na długiej czarnej półce stoją według wielkości, jak zawsze, i nie widać na nich choćby jednego źdźbła kurzu. Niżej stoi stary odbiornik radiowy - zawsze na swoim miejscu, od lat dziecięcych Tatusia. Na kuchennym stole piętrzy się stos szarych kopert, a w nich rachunki - one także leżą tam zawsze i niezależnie od tego, jak często Dziadzius sięga po książeczkę czekową, stos nigdy nie maleje. Można powiedzieć, że ten stan rzeczy w pewien sposób mnie uspokaja, ponieważ lubię porządek i nie znoszę zmian. Na blacie stoi też bukiet margerytek w pękatym niebieskim kubku, a obok leży notatnik Stelli, jej zaczytany egzemplarz Mansfield Park i pazurki do pielenia chwastów. Otwieram powieść, żeby sprawdzić, gdzie Stella przerwała lekturę. Dotarła do rozdziału dziesiątego.

W kuchni nie słyszę moich zakonnic. Siadam przy stole.

96

Nie jestem głodna; nigdy nie czuję głodu, ale może powinnam coś zjeść - może jedzenie uciszy ból w moim żołądku. Gdybym powiedziała Stelli, że boli mnie brzuch, może pozwoliłaby mi zostać w domu i nie jechać do Elde... Nie, nie zgodziłaby się, kiedyś już próbowałam tej sztuczki i się nie udało. Stella mówi, że jestem za mała, żeby zostać sama. Pożyczam sobie kartkę z notatnika Stelli i zaczynam szkicować pergolę, którą zamierzam zaprojektować. Spisuję listę pnących róż. Nigdy nie widziałam żadnego z tych gatunków, ale czytałam o nich, o ich zapachach, kolorach i układzie płatków. Piszę: "Panna młoda", "Dzień weselny"... Potem gnioję papier i drę go na drobnutki kawałeczki. Nie mam ochoty pracować.

W przeciwieństwie do Lucasa, nie umiem dobrze rysować. Moja pergola wygląda nieco dziwacznie, jakoś dziecinnie. Coś jest nie tak z perspektywą. Perspektywa jest skrzywiona.

Przeoglądam notatnik Stelli, ale nie ma w nim nic ciekawego. Całe strony zapisane obliczeniami, głównie dotyczącymi projektu szkoły gotowania. Te sumy, które się nie zgadzają, zapisane są ręką Stelli, te, które są w porządku, ręką Dana. Przyglądam się sporządzonej przez Stellę liście rzeczy do zrobienia (dwadzieścia punktów, tylko trzy skreślane) i postanawiam, że uwolnię ją od niektórych zadań. Nie mogę już tak dłużej siedzieć, to po prostu nieznośne... Jak długo potrwa jeszcze ta narada wojenna? O czym oni tam rozmawiają? Do wyjazdu pozostała jeszcze godzina. Biorę ogrodowe pazurki, koszyk na jajka i wychodzę do warzywniaka. Ojciec Dana, Joe Nunn, który w zamian za wykonaną pracę otrzymuje potrzebne mu produkty, podwiązuje długie szeregi groszku i fasoli. Jest mi gorąco i nie potrafię zapanować nad irytacją, lecz Joe udaje, że tego nie widzi. Pomaga mi wykopać trochę młodych ziemniaków, pysznych i pachnących, o najcieńszej skórce. Zrywamy też fasolę. Otwieram jeden pęczek strączek paznokciem - wewnątrz spoczywają ziarenka fasoli, tak delikatnie miękkie, że można jeść je na surowo, embriony fasoli, ukryte w aksamitnej białej macicy.

97

Próbuję zjeść jedno ziarnko, ale okazuje się gorzkawe i kiedy Joe Nunn odwraca się do mnie plecami, wypluwam je na ziemię.

- Zginęła następna kwoczek - mówi Joe. - Nie zapomnij powiedzieć o tym mamie, Maisie. Wykopałem starą siatkę i założyłem nową. Wpuściłem ją w ziemię na ponad pół metra, więc pan lis nieprędko się podkopie. Te kury są potwornie głupie, aż trudno uwierzyć. Ostrzegalem już twoją mamę, że mają mniejszy mózdzek niż świeżo wyklute kurczęta...

Zostawiam Joego i idę wzdłuż wigwamów z podpiętych tyczek fasoli i groszku. W siatkę, którą Joe osłania owocowe drzewa, złapał się młody szpak (*Sturnus vulgaris*). Rozpaczliwie bije skrzydłami. Uwalniam go. Odlatuje i chroni się wysoko na drzewie. Idę dalej.

W sadzie wybieram jajka z kurnika. Joe miękko wymawia spółgłoski i wydłuża samogłoski. Potrafię go naśladować, lecz nie jest to łatwe. Szkoda, że nie umiem mówić tak jak on. Dan też tak kiedyś mówił. Stella hoduje rude kury rasy Rhode Island. Znajduję osiem jaj, osiem ciemnobrązowych, usianych kropeczkami jaj. Są jeszcze ciepłe. Podsypuję kurom i kuropatwom trochę ziarna. Widzę miejsce, gdzie Joe wymienił ogrodzenie, widzę też dowody gwałtownej śmierci. Zginęła Jessica. Na trawie są ślady krwi, wszędzie dookoła leżą pióra, piękne, czarne jak heban,

kremowe i szare. Schylam się, żeby je pozbiierać. Joe ma rację, te kwoczki są bardzo mało inteligentne. Posiadają dość sprytu, aby w nocy chronić się na najniższych gałęziach drzew, ale gdy przychodzi świt i sfruwają na ziemię, nie sprawdzają, co kryje się w wysokiej trawie.

Zabieram koszyk i pazurki, i zawracam w stronę kuchni. Pszczoły brzęczą w lawendzie (*Lavendula augustifolia* "Munstead", lawenda karłowata, najlepszego gatunku). Narada wojenna pewnie się już skończyła. Zaczynam recytować wiersze.

- Teraz zasypia szkarłatny płatek, a teraz biały... - mówię na głos.

98

Docieram do trzeciej zwrotki.

- Teraz ziemia leży otwarta pod gwiazdami, a twoje serce otwiera się przede mną...

I właśnie w tej chwili kątem oka dostrzegam jakiś ruch. To Lucas idzie w dół podjazdu, pchając rower. Na ramieniu niesie niewielką zamszową torbę, która zastępuje mu walizkę, i jakaś dziwna ostrożność w jego ruchach podpowiada mi, że wolałby pozostać niezauważony. Ogląda się w stronę domu. Wychodzę zza dużego krzaka i zaskakuję go. Waha się chwilę i (cóż innego miałby zrobić, skoro zagradzam mu drogę) przystaje. Widzę, że nie jest zadowolony - nie wita się ze mną, nie zdobywa się nawet na uśmiech.

- To rower Julii - odzywam się.

- Naprawdę? Pożyczyłem sobie pierwszy z brzegu...

- Dokąd się wybierasz? - spoglądam na jego torbę. - Chyba nie wyjeżdżasz?

- Cóż to za mina, Maisie? Dlaczego miałbym nie wybrać się na przejażdżkę? Taki piękny dzień...

- Nie wierzę ci. Wyjeżdżasz, znowu uciekasz, dlatego skradasz się po podjeździe jak złodziej! Dokąd jedziesz? Czy... - przerywam.

- Czy co?

- Czy Finn wie? Powiedziałaś jej?

Lucas obrzuca mnie badawczym spojrzeniem.

- Czy Finn wie? - powtarza wyjątkowo irytującym tonem. - Raczej nie, a ściślej, na pewno nie, ponieważ zdecydowałem się dziesięć minut temu... Zresztą nie mam pojęcia, jakie to ma znaczenie. Wyszpiegowałaś mnie, więc powiesz jej, że

wyjechałem, prawda? Coś nie tak? Jest może jakiś problem, którego ja nie dostrzegam?

Nie odpowiadam.

- Możesz jej powiedzieć, że pojechałem na stację - podejmuje Lucas po chwili. - Na stacji wsiadę w pociąg do Cambridge. W Cambridge zatrzymam się u znajomych, których Finn nie zna. Zapamiętasz to wszystko?

99

- Czy to znajomi płci żeńskiej?

- Masz strasznie poważną minę, Maisie - mówi bardzo uprzejmym tonem. - Niestety, chyba muszę cię ostrzec, że to nie twój zasrany interes... Ani twój, ani Finn.

- Kiedy wrócisz? Jutro? Nie możesz przecież tak po prostu wyjechać, nie po tym, jak... - gryzę się w język, żeby nie wypowiedzieć imienia Finn. Odsuwam wspomnienie jej twarzy z ostatniej nocy, wspomnienie tego oślepego, zagubionego wyrazu oczu. Lucas czeka, prawdopodobnie trochę rozbawiony. - Po tym, jak się ze mną umówiłeś - uzupełniam pośpiesznie. - Obiecałeś, że jutro znowu będziesz mnie rysował.

- Naprawdę? Cóż, bardzo mi przykro, ale będziemy musieli przełożyć to spotkanie...

- A co z portretem? Przecież jeszcze nie skończyłeś!

- Portret może zaczekać. - Głos Lucasa staje się coraz chłodniejszy. - Kto wie, czy w ogóle go skończę... Atmosfera tego miejsca... - Spogląda na dom i marszczy brwi. - Atmosfera jeszcze nie jest taka, jaka powinna być... Dotyczy to także ciebie i twoich sióstr. Coś musi się wydarzyć, może powinienem przemyśleć niektóre sprawy... Jestem przekonany, że te problemy da się rozwiązać, że znajdę jakiś sposób. Zwykle mi się udaje. Do widzenia, Maisie. Życzę ci przyjemnego dnia w Elde.

Wsiada na rower i odjeżdża. Dlaczego nikt nigdy nie mówi mi prawdy? Lucas okłamał mnie co do roweru, to pewne. Wszystkie pozostałe rowery stoją w starej stodole i rzeczywiście mógł wziąć którykolwiek, ale nie rower Julii. Kiedy wyjechała do Kalifornii, jej rower schowano i zabezpieczono łańcuchem. Od tamtej pory nikt go nie używał, a klucz do kłódki leżał na toalecie Julii, w każdym razie był tam o czwartej nad ranem, widziałam go na własne oczy. Jak mogłaby dać go Lucasowi? Nie mogła, bo przecież spała, później przez pół ranka wylegiwała się w pachnącej pianie, a prosto z łazienki zeszła na naradę wojenną.

100

Może Lucas ukradł klucz z jej pokoju? Może już nie wróci... Jeśli nie wróci, to nigdy nie skończy "Maisie w lecie". Nigdy nie zacznie "Maisie jesienią" ani "Maisie w zimie"... Ta możliwość budzi we mnie lęk. Odwracam się i szybko, bardzo szybko biegnę do domu.

Docieram do drzwi jadalni. Są otwarte. Właśnie zamierzam je zamknąć, kiedy uświadamiam sobie, że rodzinna narada wojenna dobiegła końca i wszyscy się rozeszli - wszyscy poza Danem i Finn, którzy nadal są w pokoju, sami.

- To było niewybaczalne... - mówi Finn cichym, pełnym gniewu głosem. - Jak mogłeś tak podpuszczać Stellę? Po co budzisz jej nadzieje, skoro dobrze wiesz, co się stanie... Ten plan nie przyniesie niczego dobrego, podobnie jak wszystkie wcześniejsze. Flirtuj sobie z Julią, jeśli masz ochotę, przestało mnie to już obchodzić, ale nie próbuj bawić się kosztem Stelli i Dziadziusia! Wiesz, że są zrozpaczeni. Na dodatek zachowałeś się tak w obecności Maisie - to okrutne i podstępne. Dlaczego celowo starasz się mnie zranić?

- Ponieważ ty zraniłaś mnie - odpowiada Dan. Brzmiący w jego głosie ton sprawia, że serce ściska mi się z przerażenia.

- Zraniłaś mnie - powtarza. - Robisz to codziennie, ciągle, od wielu tygodni. Dlaczego nie miałbym się zemścić? Chcę, żebyś wiedziała, jak to smakuje. I nie wyobrażaj sobie, że przestanę, o, nie, to dopiero początek! Zamierzam przeprowadzić cię przez piekło! Za każdym razem, gdy mnie zdradzisz, ja zdradzę cię. Chcesz złamać mi serce? To łatwe, ale w odwecie ja zmiążdżę twoje...

- Nie mów tak, Dan, nie używaj takich słów...

W głosie Finn słyszę łzy i aż nie mogę uwierzyć, bo Finn nigdy nie płacze.

- Dlaczego nie potrafisz zrozumieć? Dlaczego jesteś taki zazdrosny? Wiesz, że to niepotrzebne... Gdybyś tylko mnie posłuchał... Staralam się ci wyjaśnić...

101

- On jest moim przyjacielem, na miłość boską! Spróbuj mi to wyjaśnić, słucham! Kiedyś nie potrzebowaliśmy wyjaśnień, ani ty, ani ja... Nienawidzę twoich wyjaśnień i twoich kłamstw, i tego cholernego wyrazu twojej twarzy! Tylko mnie nie dotykaj, do cholery!

Słyszę jakiś szmer, gwałtowny ruch, i cichy, nieartykułowany okrzyk Finn. Brzmi trochę tak, jakby się dusiła. Przychodzi mi do głowy, że może Dan ją dusi, może

zaciska dłoń na jej szyi... Sprawiał wrażenie rozwścieczonego, nieprzytomnego ze złości...

Boję się, ręce mi drżą. W powietrzu znowu pojawia się zapach spalenizny. Wciąż trzymam koszyki z jajkami i warzywami. Nie mogę oddychać, nie wiem, co robić. Czy powinnam wejść, czy pobiec po Stellę? Za drzwiami zapadła cisza, ale ta cisza przesiąknięta jest gorącymi, pośpieszonymi odgłosami. Uchylam drzwi i wsuwam głowę do środka. Dan obejmuje Finn, przyparł ją do stołu. Wsunął nogę między jej uda i wygiął ją do tyłu. Jej niebieska sukienka jest podwinięta. Finn trzyma go, przylgnęła do niego z całej siły, tak mocno, jakby tonęła. Dan jedną ręką podtrzymuje głowę Finn, kaskady jej włosów spływają spomiędzy jego palców. Oczy mają zamknięte, usta otwarte, złączone. Co on jej robi?

Co się dzieje w tym domu? Nic nie rozumiem.

Na palcach odchodzę spod drzwi. Do wyjazdu mam jeszcze pół godziny, więc przez kwadrans spaceruję korytarzami. Chodzę po domu pełnym rozpacz. Dziadzius siedzi nieruchomo w bibliotece, a Stella przy kuchennym stole, wpatrzona w obliczenia w notesie - patrzę, jak zakrywa twarz dłońmi. Nasłuchuję odgłosów domu; słyszę, jak belki przesuwają się i osiadają, pojękując ze starości. Myszy szeleszczą za boazerią. Moje zakonnice robią, co mogą - wszystkie blade siostry modlą się na kolanach. Wiedzą, że nasz świat dotknął kryzys. Słyszę, jak śpiewają psalmy i przesuwają w palcach paciorki różańca.

102

Szukam wzrokiem Isabelli, ale nie widzę jej, więc wracam do sypialni i się przebieram. Starannie wybieram potrzebny strój. Zawiązuję wstążkę we włosach, wsuwam małą białą chusteczkę do kieszonki sukienki. Jest jedenasta, 21 czerwca 1967 roku. Kiedy Stella woła mnie na dół, mam już gotowy plan.

Część Trzecia.

WIEŻA.

Co mogę powiedzieć o Elde?



Obecny dom stoi w tym samym miejscu co tudorowski dwór, zbudowany przez przodka mojego męża, sir Gervase 'a Mortlanda. Niestety, po tamtej budowli i jej średniowiecznym trzonie nie ma ani śladu. Gervase, wspaniały i dzielny człowiek, z niezachwianą wiernością służył królowi Henrykowi VIII, lecz po śmierci monarchy jego pozycja została podkopana przez zazdrośników i intrygantów. Podczas panowania zapamiętałej papistki, Marii Tudor, aresztowano go na podstawie sfabrykowanych oskarżeń, dotyczących jego rzekomego udziału w buncie zwanym Pielgrzymką Łaski; uwięziony w Tower, został tam ścięty w 1554 roku. Po jego śmierci pozycja rodu Mortlandów uległa poważnemu zachwianiu - skromny, lecz od wieków noszony tytuł został im odebrany, a rezydencja w Elde popadła w ruinę.

Krew okazała się jednak gęściejsza od wody. Dzięki lojalnej służbie dla króla i ojczyzny, prawowity prestiż pradawnego rodu w końcu przywrócono. Dwóch młodych Mortlandów zginęło w obronie tronu, walcząc z Cromwellem. Inni dzielnie zmagali się z rebeliantami w Irlandii i Szkocji. Guy (1650-91) uczestniczył w bitwie nad Boyne, Edmund (1670-1735) pod Glencoe. Edmund poślubił potem (w roku 1710) piątą córkę księcia Suffolk. To właśnie on był pomysłodawcą wielkiej odbudowy Elde. Projekt ten, opóźniony przez długotrwałą chorobę

107

żony Edmunda, został ostatecznie zrealizowany przez jego syna, Henry'ego (1712-1802).

Budowę domu w jego obecnym kształcie ukończono w 1770 roku. Jest to dokonana przez Wyatta adaptacja projektu Palladia. Niektórzy z krytyków nazywali Elde "dowodem próżności", inni twierdzili, że pod szarym niebem Anglii wygląda "obco" czy nawet "żałobnie". Wydaje mi się, że szkoda czasu na komentowanie tych opinii. Fasada domu w Elde, z jej dwudziestoma pięcioma wnękami i wyniosłymi korynckimi kolumnami, w moich oczach zawsze będzie symbolem wszystkiego, co angielskie.

Mój mąż przywiózł mnie tutaj pierwszy raz tego samego dnia, w którym poprosił mnie o rękę. Popatrzyłam na stojącego przede mną mężczyznę, potem na dom i znowu na jego właściciela, i w myśli oceniłam ich historię. Potem, niemal bez wahania (jestem znana z szybkiego podejmowania decyzji), powiedziałam sobie: "Violet, oto przyszłość, jakiej pragniesz". Nigdy nie zmieniłam zdania.

"Bardzo angielskie wychowanie: Pamiętnik". Violet Mortland, 1955.

## Rozdział Ósmy.

### W ELDE.

- Maisie, wyglądasz absolutnie uroczo - mówi lady Violet.

Schyła się i składa zmiłowaty pocałunek tuż obok mojego ucha.

- Czyż Maisie nie wygląda czarująco, moi drodzy? -zwraca się do Humphreya i Edmunda. - Jaka śliczna sukienka! To takie miłe - zobaczyć dziewczynkę ubraną odpowiednio do swojego wieku... Współczesne dziewczęta robią wszystko, żeby dorastać o wiele za wcześnie, niżby należało...

Jesteśmy w Elde - coroczne upokorzenie właśnie się zaczyna. Violet uwielbia technikę strzelania z dwóch dział, ponieważ wtedy jest w stanie ustrzelić dwa ptaszki jednocześnie. Zraniwszy mnie i co najmniej drasnawszy Finn oraz Julię, bierze na muszkę Dziadziusia, który razem ze swym bliźniaczym bratem Humphreyem stoi przed marmurowym kominkiem. Jeszcze dziś, a obaj za trzy dni skończą siedemdziesiąt pięć lat, trudno ich odróżnić. Na ścianie wisi portret ich obu w wieku dziecięcym - dwóch identycznych jasnowłosych chłopców patrzy na nas z ram obrazu z wyrazem nieświadomionej arogancji na twarzach. Obok nich siedzą dwa identyczne labradory, wszystko to na tle parku i chłodnej symetrii Elde. Nie lubię tego portretu. W ogóle nie znoszę portretów. Wprowadzają w błąd.

- No i który z nich to Henry, a który mój mąż? - pyta z uśmiechem Violet.

109

Zawsze przeprowadza nas przez ten rytuał. Uważa, że to bardzo zabawne. Całuje Humphreya, a potem, udając, że nagle zdała sobie sprawę z własnej pomyłki, Dziadziusia. Naturalnie doskonale umie ich odróżnić. Nikt by ich nie pomylił, chociaż mają bardzo podobne sylwetki i rysy. Humphrey emanuje zadowoleniem z siebie, tymczasem po Dziadziusiu widać, że odbył podróż na dno rozpaczy i z powrotem.

Pod pewnymi względami Elde zawsze jest takie samo. Jeden z tych aspektów to jedzenie - Żmija potwornie boi się marnotrawstwa, więc porcje są mizerne. Drugi to drinki. Humphrey podchodzi teraz do ogromnej srebrnej tacy z wygrawerowanym herbem naszej rodziny. Stoi na niej cały batalion butelek i karafek. W tym momencie Julia jak zwykle uśmiecha się złośliwie - oznacza to, że nie powinniśmy mieć zbędnych nadziei. Humphrey sięga po karafkę i nalewa do pięciu kieliszków ciepłąwą sherry. Te kieliszki, słynne ze swych rozmiarów, podaje następnie

wszystkim dorosłym. Kieliszki są małe.

Nie, nie małe, maleńkie. Miniaturowe. To kieliszki Calineczki, tak malutkie, że prawie nie sposób przytknąć ich do ust. Finn i Julia dostają lemoniadę, bez konsultacji i dyskusji. Ja także. Kuzyn Edmund przynosi mi szklanę i uważnie ogląda podziwianą przez Violet sukienkę z błękitnego kretonu w drobny biały wzorek, z szarfą w pasie, karczkiem i bufiastymi rękawami. Dostałam ją od Dziadziusia na jedenaste urodziny, a ponieważ jestem chuda, nadal na mnie pasuje. Tylko spódnica jest za krótka - trzeba ją będzie podłużyć. Mimo upału Edmund ma na sobie spodnie z grubego sztruksu, koszulę w kratę i marynarkę z drapiącego tweedu, do tego krawat, także w kratę. Jako że jest na wsi, na nogach ma trzewiki.

- Bardzo ładnie wyglądasz, Maisie - mówi. - Jak ci się żyje?

- Wyjątkowo przyjemnie - odpowiadam uprzejmie. - Mamy cudowne lato, najlepsze w moim życiu.

Edmund obrzuca mnie zaskoczonym spojrzeniem.

110

- Nieźle - zauważa. - Nie masz już żadnych problemów z zakonniceami?

Bardzo żałuję, że Julia powiedziała mi o moich zakonniceach. Wspomniała o tym kilka lat temu, ale oczywiście Edmund nigdy nie zapomniał jej uwagi. Uśmiecha się teraz do mnie i mruga znacząco. Naprzeciwko mnie Stella pod niebiosa wychwala geniusz Elizabeth David, a Dziadzius wylicza problemy z dachem Opactwa.

Informuję Edmunda, że ostatnio zakonnice zachowują się bardzo spokojnie, co wyraźnie go rozczarowuje.

W pokoju zapada cisza. Gospodarze Elde dają nam zawsze dokładnie dwadzieścia minut na wypicie czterech kropelek sherry - dziesięć z tych minut już minęło. Julia, która jest tego świadoma, przystępuje do ataku.

Wykonuje wspaniały, niezrównany manewr - szybko i z gracją wymija dwie duże kanapy i szeslong. Żmija próbuje ją powstrzymać, ale w pokoju wielkości dwóch kortów tenisowych jest to nieco skomplikowane, zresztą Julia ma refleks. Nie mam cienia wątpliwości, że wzięła sobie do serca sugestie Dana.

- Ach, Edmundzie! - woła, odciągając go ode mnie. - Tak dawno cię nie widziałam, całe wieki! Świetnie wyglądasz! Przepiękny krawat!

Gdyby moja siostra chciała skoncentrować na sobie uwagę jakiegokolwiek innego

mężczyzny, jej podejście byłoby dużo chłodniejsze i bardziej subtelne, lecz arogancka Julia ma Edmunda za wyjątkowego głupka, dlatego bez wahania stosuje taktykę brutalnego wpuszczania w maliny.

Dwoje złocistych ramion otacza szyję Edmunda, dwoje szafirowych oczu lśni zachwytem, różane wargi przywierają do jego policzka. Edmund cofa się, próbuje uwolnić ze szponów Julii.

- Chyba powinniśmy przejść już do jadalni - oznajmia Żmija. - Zadzwoń na służbę, Stello, kochanie, dobrze? Obawiam się, że będzie to dla ciebie mało ciekawy lunch, ale

111

Humphrey nie lubi zagranicznych nowinek na stole, zresztą ja także za nimi nie przepadam...

- Och, Boże, właśnie coś sobie przypominałam! - Stella podnosi dłoń do ust. - Strasznie przepraszam, Violet, powinnam była uprzedzić cię wcześniej, przez telefon... Maisie jest teraz wegetarianką...

- Naprawdę? Niesamowite! Cóż, kucharka przygotowała warzywa na zimno i łososia na parze, więc jest to pewien problem, ale pani Hunt na pewno coś zrobi, mimo że nie została uprzedzona... Zaraz ją zawiadomię. Powiedz mi, Maisie, skarbie... Nosisz buty ze skóry? Widzę, że tak. Moim zdaniem człowiek powinien być konsekwentny...

Wszystko to w drodze do jadalni.

- Henry, posadziłam cię obok siebie, naturalnie, a Stella usiądzie obok Humphreya, żebyście mogli sobie serdecznie pogawędzić, jak co roku... Finn siądzie tutaj, a Julia... Nie, nie z tamtej strony, moja droga, obok siostry! Obie wyglądacie imponująco modnie! Czy to są te minispódniczki, o których ciągle czytam, Finn? Bardzo oryginalne... Ty sprawiasz wrażenie, jakbyś należała do haremu wielkiego szejka, Julio... Maisie, siadaj obok Edmunda... Tak, tak, na tamtym krześle, kochanie...

I znowu siedzimy przy długim, długim stole. Kryształ lśni. Ostre noże połyskują. Cichy jak cień lokaj przemyka za naszymi plecami - podobnie jak wszyscy służący w Elde jest głuchy, niemy i ślepy. Wpatruję się w słynne stiuki Adama. Ściany mają kolor jasnej, dość intensywnej zieleni. Framugi drzwi wieńczą rogi obfitości, z których wysypują się owoce o anemicznym wyglądzie. Widzę białe ananasy, białe jabłka, białe winogrona i także gruszki. Nad kominkiem ogromne lustro w połączonych ramach - także dzieło Adama. Lustro zawieszona jest pod dziwnym,

niepokojącym kątem, odstaje od ściany tak mocno, że można mieć obawy, iż lada chwila runie na podłogę i roztrzaska się na drobne kawałki. Widzę w nim nas wszystkich, unieruchomionych w czasie, usadzonych

112

zgodnie z widzimisię Violet - niebezpieczne córki Stelli jak najdalej od ukochanego wnuka i spadkobiercy.

Patrzę na małą Maisie w sukience z Alicji w Krainie Czarów. Maisie je specjalne danie, które pojawia się na stole dopiero po dłuższym czasie (w każdym razie zjada jego część) - dwa cienkie plasterki sera oraz liść sałaty. Żuje i żuje. Pozostali jedzą gotowane ości i mięso martwej ryby. Maisie bierze do ust łyżeczkę chlebowego puddingu i, kiedy nikt nie patrzy, wypluwa na nią tłuste rodzynki sułtańskie. Humphrey uwielbia budynie i Edmund najwyraźniej podziela tę pasję. Edmund bierze drugą porcję puddingu i z satysfakcją klepie się po coraz bardziej wystającym brzuchu.

- Nie skusisz się na jeszcze odrobinę, kochanie? - pyta go babka.

Gdy Edmund z żalem potrząsa głową, Żmija posyła mu pełen czułości uśmiech. Julia opowiada o swoim pobycie w Kalifornii. Jej próby wciągnięcia do rozmowy Edmunda (przez kilka metrów błyszczącego mahoniowego blatu) zostały zauważone i teraz Julia ma otrzymać nagrodę za swoje wysiłki.

- Lato miłości? - Violet wysoko unosi brwi. - To bardzo interesujące, Julio... W twoich ustach brzmi zupełnie inaczej od doniesień prasowych... Miło jest dowiedzieć się o tych wydarzeniach z pierwszej ręki, rzecz jasna... Ciekawe, dlaczego tylko lato? Jeżeli te przemiany są tak radykalne, jak mówisz, można by mieć nadzieję, że przetrwają dłużej... Co będzie jesienią, moja droga? No, nieważne... A właśnie, skoro już rozmawiamy o miłości... Edmund ma dla nas wspaniałe wiadomości, prawda, kochanie?

Edmund zerka na mnie spod oka; nie wygląda na szczególnie zachwyconego faktem, że ma podzielić się z nami "wspaniałymi wiadomościami". Violet nie podziela jego niechęci.

- Edmund właśnie się zaręczył - ciągnie. - Znalazł wreszcie przeuroczą, przemiałą dziewczynę, najcudowniejszą pod słońcem... To wnuczka Lettice Rutland. Lettice i ja odbyliśmy

113

debiut towarzyski w tym samym roku i zawsze w głębi serca miałyśmy nadzieję,

że... Powiem więcej - raz czy dwa rozmawialiśmy o naszych wnukach i ich przyszłości. Młodzi mężczyźni miewają zmienne upodobania, Edmund zaś nie życzył sobie, aby ktokolwiek namawiał go na małżeństwo, chociaż było oczywiste, że wcześniej czy później sam o tym pomyśli, biorąc pod uwagę okoliczności... Na szczęście zawsze umiał zauważyć nieodpowiednie dziewczyny i intuicyjnie unikał pułapek, jakie na niego zastawiały...

Violet zawiesza głos. Przy stole zapada cisza. Policzki Julii oblewa rumieniec irytacji. Finn błądzi po jakiejś innej planecie, może jest na Wenus, a może na Marsie. Patrzy przez okno na ogromny trawnik, na którym Dziadziuś w 1918 roku spalił swoje mundury. Duży siniak (wielkości kciuka) na szyi zasłoniła apaszką, siedzi przy stole blada i milcząca.

- Chyba pójdę się przejść - mówi, kiedy wracamy do salonu i Violet zaczyna nalewać kawę.

Finn nie czeka na przyzwolenie Żmii, ale po prostu wychodzi i nawet się nie ogląda. Podchodzi do wielkiego francuskiego okna. Widzę, jak idzie przed siebie szybkim, bardzo szybkim krokiem, z pochyloną głową, wzdłuż sławetnych rabatki Violet, i po chwili znika za żywopłotem z tui.

- Jak ma na imię twoja przyszła żona? - zwracam się do Edmunda, który stoi obok mnie i niezbyt udolnie stara się podtrzymać rozmowę.

- Veronica - odpowiada.

Wymawia imię narzeczonej tępo, bez zauważalnej radości. Potem milknie.

- Może masz ochotę na spacer, Maisie - odzywa się po chwili. - Lubisz ogród, o ile pamiętam...

- Zamierzam zostać ogrodniczką - mówię.

Violet, dostrzegając szansę na oddzielenie wnuka od drapieżnej Julii, wita ten projekt z entuzjazmem, podobnie jak co roku. Wychodzimy z zimnego pokoju prosto w gorące promienie słońca

114

i idziemy między rabatami. Po paru krokach Edmund bierze mnie za rękę.

Spędzamy w ogrodzie pół godziny. Bawimy się. Edmund mówi, że da mi szylinga za każdą prawidłowo rozpoznaną roślinę. Szybko dokonuję wyboru: Lavandula spica; Geranium endressii; Aconitum niger (trujące!); Lilium regale oraz trzy dotknięte

chorobą róże, wszystkie nazwane na cześć królowych. Lilie tak naprawdę nie pochodzą z gatunku regale, to lilie Matki Boskiej, ale wiem, że Edmund i tak nie rozróżnia roślin, a poza tym jestem już znudzona.

- Jeszcze trzy i dostaniesz dziesięciofuntowy banknot - obiecuje Edmund, teraz już w znacznie lepszym humorze.

Patrzę na niego z pogardą, bez słowa. Plany ogrodnicze Violet, chociaż dość przyjemne, są całkowicie przewidywalne. Codziennie uczę się pięciu łacińskich nazw roślin, ptaków oraz ssaków, i to od lat, jestem więc w stanie bezbłędnie nazwać każdą roślinę na rabatkach Żmii, każdą spośród mniej więcej trzystu gatunków. Identyfikuję dwie nieznane odmiany gatunku clematis, co robi duże wrażenie na Edmundzie. Mówi, że jestem bardzo inteligentną dziewczyną i retorycznie pyta, jakim cudem pamiętam te wszystkie nazwy, do diabła.

- Spisuję je i zestawiam - odpowiadam, wpatrzona w ziemię pod moimi stopami.

Edmund wsuwa mi do ręki złożony brązowawy banknot i zaczyna chodzić w tę i z powrotem wzdłuż żywopłotu.

Pyta, jak idzie mi nauka. Wyjaśniam mu, że pastor nadal odwiedza Opactwo w czwartki i studiuje ze mną dzieła Hume'a, a pani Marlow przychodzi do nas dwa razy w tygodniu i udziela mi lekcji historii oraz geografii. Opowiadam Edmundowi, ilu arystokratów ścięto w pierwszych tygodniach Rewolucji Francuskiej; podaję mu długość najdłuższej rzeki świata (Nil, 4160 mil, licząc od Jeziora Wiktorii, gdzie rzeka bierze początek, aż do miejsca, gdzie wpada do morza). Nie mówię

115

ani słowa o Isabelli i moich zakonnicach, a także o lekcjach, jakich one mi udzielają. Wspominam, że dalej uczę się na pamięć trzech wierszy tygodniowo, że obecnie najwięcej uwagi poświęcam Miltonowi, a szczególnie odniesieniom biblijnym, co jest wręcz fascynujące. Zwierzam mu się ze swojego świeżego zainteresowania mitami greckimi i astronomią. Daję mu prezenty - Ifigenię w Aulidzie oraz zdumiewające Plejady, jedną gwiazdę po drugiej.

Edmund cofa się parę kroków i szuka wzrokiem horyzontu.

- Czyżbyś wybierała się we wrześniu do szkoły? - pyta. Nie odpowiadam. Zapada cisza. Edmund zadaje jeszcze

kilka standardowych, banalnych pytań. Potwierdzam, że Finn przez następny rok będzie studiowała na wydziale literatury angielskiej w Cambridge i że nie podjęła jeszcze decyzji, co będzie robić po uzyskaniu dyplomu. Edmund uważa, że kobiety,

które podejmują pracę po studiach, są ekscentryczkami, więc w odpowiedzi na moją uwagę z dezaprobatą marszczy brwi. Mówię, że Julia we wrześniu wyjeżdża do Londynu, gdzie zamierza podjąć pracę w redakcji gazety.

- Jako dziennikarka? - odyma wargi. - O czym będzie pisała? O sukienkach? O całej tej idiotycznej modzie? Bo jakoś nie wyobrażam jej sobie w roli reporterki, nie w tych ciuchach, które nosi...

To chyba żart, ponieważ Edmund śmieje się nienaturalnie. Znowu robi kilka kroków w jedną stronę, potem w drugą, zrywa kilka kwiatów lawendy i rozciera je w palcach. Z uwagą wpatruje się w mały, puszysty, nieruchomy obłoczek.

- No, dobrze, Maisie... - mówi w końcu. - Dokąd pójdziemy teraz?

Moglibyśmy znowu pójść do Dzikiego Ogrodu...

- Moglibyśmy - przytakuje Edmund i zerka na zegarek. -Chociaż z drugiej strony to dosyć daleko... Czy mamy jeszcze trochę czasu?

Ostatecznie dochodzi do wniosku, że czasu nam wystarczy.

116

Ruszamy szybkim krokiem Limonkową Aleją, przez Ogród Różany i zielnik. Upał bije od żwiru, powietrze przesycone jest zapachem majeranku i tymianku. Z oddali słyszę głosy ogrodników, Edmund także je słyszy.

- Chodźmy tędy, na skrót - mówi. - Będzie nam chłodniej, w słońcu jest chyba czterdzieści stopni...

Zbaczamy do brzozowego zagajnika. W cieniu moje ramiona pokrywają się gęsią skórą. Po plecach przebiega mi dreszcz. Droga do Dzikiego Ogrodu prowadzi przez wysoką żelazną bramę, ozdobioną herbem Mortlandów. Brama jest zamknięta, ale Edmund wziął ze sobą klucz. Przechodzimy przez bramę, którą Edmund starannie zamyka. Znajdujemy się teraz w sekretnym świecie Elde. Nikt nie kosi tu trawy - sięga mi aż do bioder, zapach wygrzanych słońcem łądyg i listków uderza do głowy.

- Mówiłem ci już, że twoja sukienka bardzo mi się podoba? - pyta Edmund, kiedy idziemy w kierunku jeziora.

Na brzegu jeziora stoi ławka. Jest tu także altana, na szczycie małego pagórka. Altana pełni rolę świątyni boginii Artemidy - Edmund przyprowadził mnie tu któregoś roku, lecz dziś wybiera ławkę nad jeziorem. Siadamy obok siebie. Ławka jest cała z żelaza i jej twarde, chłodne deszczułki uwierają mnie w pośladki. Trudno nazwać ją



wygodną, ale stoi w osłoniętym miejscu. Po paru minutach Edmund ociera spocone czoło. Potem wsuwa lewą rękę pod moją spódniczkę. Opiera wilgotną dłoń na moim kolanie, lecz po chwili przesuwa ją wyżej, na udo. Siedzę nieruchomo, podczas gdy jego dłoń skrada się coraz wyżej. Edmund patrzy na mnie z błagalnym wyrazem twarzy, więc po chwili zaczynam recytować zdania, których mnie nauczył.

- Dziś rano włożyłam czyste majteczki - mówię. - Białe majteczki. Lubię nosić białą bieliznę. Lubię być czysta...

Nie zwracam na niego najmniejszej uwagi. Czuję żar bijący od jego dłoni. Zastanawiam się, czy chce, abym zaprotestowała, tak jak za pierwszym razem, ale nic na to nie wskazuje.

117

Przyglądam się dzikiej kaczce, która płynie po nieruchomej, ciemnej wodzie, wiodąc za sobą stadko piskląt. Liczę je w milczeniu - jedno, dwa, pięć, dziewięć. Edmund wstaje gwałtownie i przechodzi za oparcie ławki. Wiem, że nie wolno mi patrzeć, dopóki Edmund mi nie pozwoli, więc nadal wpatruję się w jezioro. Widzę dziką kaczkę, dziewięcioro piskląt, jeszcze dwie kaczki i czapkę, a w oddali powoli sunącego w moją stronę łabędzia.

Zza ławki dobiegają dźwięki, w jakiś sposób podobne do odgłosów, które rankiem słyszałam w jadalni. Jest w nich nuta pośpiechu, gwałtowności, może nawet desperacji.

- Popatrz na mnie... - odzywa się Edmund zdławionym głosem. - Popatrz na mnie... Odwróć się...

Odwracam się. Stoi za moimi plecami, w odległości pół metra. Twarz ma purpurową, usta rozchylone, obwisłe, oczy szeroko otwarte. W ręku trzyma to coś. Wygląda to jak gruba łodyga rabarbaru, ale jest żywe i się porusza. Edmund pociera tę rzecz i potrząsa nią, trochę jakby mi wygrażał. Udaję, że obserwuję go przez minutę czy dwie, potem wyjmuję z kieszeni małą białą chusteczkę i podaję mu ją. Nigdy wcześniej nie zrobiłam czegoś takiego. Edmund gubi rytm, ale zaraz znowu zaczyna pocierać to coś, jeszcze szybciej niż poprzednio. Miałam nadzieję, że tak właśnie będzie, ponieważ chętnie zakończyłabym już to wszystko. W zeszłym roku cała operacja trwała aż trzy minuty dziesięć sekund i Edmund chciał, żebym go dotknęła.

Nie chciałam. Nie znoszę oślizgłych rzeczy.

Widzę coś białego, czerwonego i znowu białego. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, Edmund szybko kończy. Całym jego ciałem wstrząsa potężny dreszcz, Edmund zgina

się w pół, jakby ktoś wymierzył mu silny cios w brzuch, i wydaje jęk. Chwilę później drżącymi palcami zapina guziki. Podnoszę się z ławki. Zdecydowanym krokiem wracamy, wysoka trawa rozstępuje się przed nami. Kiedy znowu wchodzimy w cienisty brzozy zagajnik, przeżywam chwilę wahania. Zamierzałam

118

naświetlić Edmundowi naszą obecną sytuację i plany Stelli, ale nagle czuję, że wcale nie mam na to ochoty. Przystaję.

- Należą mi się dwa tysiące funtów, Edmundzie - mówię.

W pierwszej chwili myśli, że się przesłyszała. Potem przychodzi mu do głowy, że żartuję, drażnię się z nim. Patrzy na mnie jak zranione zwierzę, zaczyna błagać i nalegać. Gdy uświadamia sobie, że nic to nie da, traci cierpliwość. Zaczyna obrażać moją rodzinę i mnie samą, ubliża mi. Pyta, kto mi uwierzy, bo przecież on wszystkiemu zaprzeczy. Staram się zapamiętać jego uwagi.

- Moje słowo przeciwko twojemu - mówi. - Nietrudno zgadnąć, kto wyjdzie z tego na tarczy, prawda? Wszyscy uważają cię za wariatkę, ot, mała Maisie, która lunatykuje i rozmawia z nieżyjącymi zakonnikami, dziewczynka, która nie rośnie, dziewczynka, która nie ma żadnych przyjaciół, którą rodzina boi się wysłać do szkoły... Dalej bierzesz te leki, Maisie? Może w końcu zaczęły działać, co? Humphrey mówi, że jesteś nieprzytomna od tych wszystkich lekarstw i dlatego prawie zawsze zachowujesz się, jakbyś była w transie. Violet nie zgadza się z nim, ale jej zdaniem jesteś po prostu cofnięta w rozwoju. Nawet twoja matka zdaje sobie sprawę, że jesteś kompletnie nienormalna! Oni wszyscy umierają ze strachu, że wyrośniesz na kogoś takiego jak twój ojciec! Mają świra na punkcie pieniędzy z twojego powodu, rozumiesz?! Kto zaopiekuje się Maisie, co będzie z Maisie... To dlatego gadają tam teraz o pieniądzach! Jezu, gdyby oni wiedzieli... Nie mówisz jak normalna osoba, nie myślisz jak normalny człowiek, ale jesteś sprytna i przebiegła, widzę to dokładnie! I jesteś kłamczuchą, wstrętną małą kłamczuchą! Na szczęście dla mnie wszyscy wiedzą, że ciągle kłamiesz, więc kto ci uwierzy, co?

- Nie przewiduję żadnych problemów - odpowiadam uprzejmie i wyciągam z kieszeni mokrą, wymiętą chusteczkę.

Chusteczka wydziela kwaśny, charakterystyczny zapach.

119

Rzucam ją wysoko w powietrze i chwytam. Edmund ryczy gniewnie i próbuje mi ją wyrwać, ale jestem za szybka dla niego. Uciekam. Edmund nie ma szans - jest zbyt

powolny i ociężały. Biegnie za mną, ciężko łomocąc nogami. Zatrzymuję się dopiero przy liliach Matki Boskiej, dziesięć metrów od wejścia do salonu, ponieważ wiem, że nic mi już nie grozi. Kiedy Edmund w końcu mnie dopędza, jestem spokojna i opanowana.

- Proszę cię, Maisie... - krztusi się.

Oddycha szybko i płytko, z trudem łapie powietrze.

- Posłuchaj mnie... Myślałem... Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi... Wybacz mi, wcale nie miałem na myśli, że... Straciłem głowę, to wszystko. Przecież wiem, że nie nie możesz poradzić na to, że jesteś, jaka jesteś. To nie twoja wina. Pod wieloma względami jesteś inteligentna, masz refleks i poczucie humoru. Lubię z tobą rozmawiać, zawsze lubiłem i ty doskonale o tym wiesz. Wiesz, jak się tu czuję - muszę znosić Violet i jej uwagi na temat tego, z kim powinienem się ożenić i dlaczego, kim jestem, jakie noszę nazwisko, jaka ciąży na mnie odpowiedzialność i tak dalej... Nie mam wyboru, potrafisz to zrozumieć? Lubię cię, Maisie, naprawdę, jestem do ciebie głęboko przywiązany... Nigdy nie zamierzałem wyrządzić ci krzywdy... Gdybym tylko mógł...

Jego czoło jest mokre od potu, głos brzmi tak, jakby Edmund się dusił. Nie mogę tego dłużej znieść; wszystko to jest takie żałosne, takie przewidywalne. W innym świecie mogłabym okazać litość Edmundowi, ponieważ dobrze rozumiem odmieńców, ale teraz przebywam tutaj.

- Wystaw czek na Stellę, bardzo proszę - mówię. - I daj mi go przed naszym wyjazdem. Wiesz, co zrobię, jeżeli okaże się bez pokrycia.

Ku mojemu zdumieniu, jako że nie byłam pewna, czy mój plan się powiedzie, Edmund robi to, co mu kazałam. Gdy wsiadamy do samochodu Dziadziusia, aby wyruszyć w podróż powrotną, Edmund podchodzi do mnie i wciska mi do

120

ręki złożoną kopertę. Widzę błysk strachu w jego oczach i kiwam głową, żeby wiedział, że jest bezpieczny i że na pewno dotrzymam umowy. Potem zajmuję miejsce między Julią i Finn.

Droga do domu trwa długo. Zasypiam i śnię. Śni mi się, że wszystko jest dobrze - dach jest naprawiony, szkoła gotowania Stelli kwitnie, Finn i Dan znowu są razem, pogodzeni i szczęśliwi, a obcy ludzie nie patrzą na mnie dziwnie i nie szepczą za moimi plecami. W moim śnie Lucas skończył portret. Pokazuję "Siostry Mortland" Tacie - to dobry, cudowny sen, w którym Tatuś wrócił do domu, już na zawsze.

Trzymając się za ręce, długo stoimy w przyjemnej ciszy refektarza i przyglądamy się portretowi. Tatuś musiał chyba przyjechać prosto z wojskowego lotniska w Sussex, bo ma na sobie skórzaną kurtkę pilotkę i wygląda bardzo młodo, młodziej niż moje siostry, młodziej niż Dan. Jego oczy mają niezwykły odcień błękitu i Tatuś wygląda na człowieka, który niczego się nie boi. Pytam go, co miał na myśli Edmund, dlaczego powiedział, że moje podobieństwo do Taty może budzić lęk Mamy i Dziadziusia.

Pytam, ile razy wylatywał i ile nieprzyjacielskich samolotów dzisiaj zestrzelił. Nigdy dotąd w historii tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu, mówię mu. Jestem przekonana, że usłyszał, ale moje słowa odbijają się echem w refektarzu, obiegają go dookoła i nagle tracę pewność, że Tatuś mnie słyszy, bo nie odpowiada...

Jest cudowny letni wieczór: powietrze pachnie świeżo zżętym sianem, jaskółki przemykają po angielskim niebie. Znowu słyszę wszystko ostro i wyraźnie, tak jak tamtego dnia u Belli.

Słucham, jak dojrzewa pszenica. Długo wpatrujemy się w "Siostry Mortland", mój ojciec i ja.

Wydaje mi się, że Tatuś jest pod wrażeniem dzieła Lucasa, że portret naprawdę go poruszył. Z jego piersi wyrywa się

121

westchnienie. Moje najdroższe dziewczynki, mówi tak cicho, że nawet ja ledwo go słyszę. Portret jest bardzo wierny i do oczu Taty napływają łzy.

Na zakończenie pokazuję mu cztery szkice mojej sylwetki i twarzy - Maisie wiosną, latem, jesienią i zimą. Maisie przeistoczona. Na tych portrecikach wyglądam na dorosłą osobę, jestem wysoka i elegancka, wcale nie nienormalna, wcale nie dziwna. Tatuś z bliska przygląda się szkicom, a potem chwyta mnie w ramiona i mocno przytula. Ach, Maisie, mówi, nie płacz. Rozumiem. Naprawdę rozumiem.

Część Czwarta.

RETROSPEKCJA.

Rozdział Dziewiąty.

## KORESPONDENCJA.

5 sierpnia 1989, 2.15 w nocy.

Faks od Daniela Nunna (Bangkok, Oriental Hotel) do Jonathana Aske (Londyn, Akademia Królewska). Jonathan - ależ tak, doskonale pamiętam Cię z Cambridge. Kto mógłby Cię zapomnieć? Minęło dwadzieścia parę lat, lecz pamięć ma się dobrze. Przykro mi, że musiałeś pisać aż cztery razy, i aż tyle, ale ciągle jestem w ruchu, ponieważ pracuję nad kilkunastoma kampaniami jednocześnie. Wiem, że zależy Ci na szybkiej odpowiedzi, więc wysyłam faks.

Oto odpowiedź na przynajmniej niektóre z Twoich pytań: tak, Lucas wspominał mi o retrospektywnej wystawie, nie zdawałem sobie jednak sprawy, że to właśnie Ty zajmujesz się jej organizacją. Nie miałem też pojęcia, że wystawa ma zawierać aż tyle jego wczesnych obrazów. "Siostry Mortland" także muszą się tam znaleźć, to oczywiste. Portret stał się przedmiotem tylu kontrowersji, plotek i przypuszczeń, że nie możesz go pominąć. Ja ze swej strony nie mogę uwierzyć, że Lucas zgodził się wystawić pochodzące z 1967 roku szkice, przedstawiające Maisie, Julię i Finn. Czy to jego ostateczna decyzja? Nigdy dotąd nie zgodził się pokazać ich publicznie.

Mówisz, że uważasz to za "osiągnięcie". Nie widzę tego w ten sposób. Tamto lato w Opactwie zakończyło się źle i wolałbym nie wracać do tamtych chwil. Nie chcę wtrącać się w smutne przeżycia Mortlandów ani ich pomnażać, i nie ma

125

dla mnie znaczenia, czy wszystko to wydarzyło się dwadzieścia dwa lata temu, czy dwieście. Dlatego nie mogę pomóc Ci w uzyskaniu tła dla tej części wystawy i nie odpowiem na stawiane przez Ciebie pytania. Jeżeli Lucas zamierza wystawić te rysunki, to ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Jeśli chodzi o "Potrójnego Daniela": tak, rysunek wykonany jest ołówkiem i kredą - są to trzy połączone, nakładające się na siebie portrety, coś w rodzaju tryptyku, w każdym razie tak mawiał Lucas. Narysował go zaraz po egzaminach końcowych w 1967 roku, w przeddzień naszego wyjazdu do Opactwa, bardzo szybko, w ciągu paru godzin. Szkicował mnie w moim mieszkaniu w Whewell Court, w Trinity\* - nazwa college'u była jedynym powodem nadania portretowi właśnie takiej nazwy.

[\* Gra słów: Trinity - Trójca, ale także nazwa jednego z najsłynniejszych college'ów Cambridge (przyp. tłum.)].

Nic nie wiem o jakiejś innej przyczynie - czy ktoś sugerował Ci, że chodziło o coś innego? I niby dlaczego?

Tak, jestem właścicielem tego portretu - Lucas mi go podarował. W tej chwili jestem jednak w trakcie przeprowadzki, a obraz przebywa w magazynie i prawdopodobnie pozostanie tam jeszcze jakiś czas, ponieważ Bóg jeden wie, kiedy ostatecznie wprowadzę się do nowego domu. Tak czy inaczej, nie jestem pewny, czy chciałbym wypożyczyć go na wystawę.

Jutro wyjeżdżam do Tajlandii, więc wszelkie próby skontaktowania się ze mną tutaj czy gdziekolwiek indziej nie mają sensu. Do Anglii wrócę za parę miesięcy.

Na Twoim miejscu poważnie zastanowiłbym się nad włączeniem tamtych szkiców do ekspozycji.

Daniel Nunn.

5 sierpnia 1989. List od Daniela Nunna (Bangkok, Oriental Hotel) do Lucasa Felda (Notting Hill, Londyn).

Drogi Lucasie,

Ty draniu, o co chodzi z tą retrospektywą, co? Nie wspomniałeś mi

126

o tym ani słowem. Jakiś kustosz, niejaki Jonathan Aske czy Arse, urządza sobie na mnie polowanie - czy to Ty spuściłeś go ze smyczy? Twierdzi, że studiował z nami w Cambridge. Nie pamiętam go, zresztą to jakiś totalny skurwiol, pijawka i pompatyczny, zły człowiek. Dostałem od niego sześć listów. Zgubiłem dwa pierwsze i zignorowałem cztery następne, ale on nadal mnie prześladowuje. W zeszłym tygodniu osiem razy dzwonił do mojego agenta w Londynie. Zdobył ten numer i teraz wydzwaniania tutaj. Dzwonił już dwa razy, na szczęście nie było mnie w hotelu, bo miałem zdjęcia. Właśnie wysłałem mu faks z uprzejmą prośbą, żeby się odczepił.

Napisał niby z pytaniem, czy wypożyczyłbym "Potrójnego Daniela" na wystawę - taką sobie wymyślił wymówkę. Kiedy uznał, że to wystarczy, abym jadł mu z ręki, zaczął zadawać pytania na temat tamtego lata w Opactwie, wszystkie szalenie delikatne i odnoszące się do, jak to nazwał, "tragicznych wydarzeń". Nie odpowiedziałem na nie. Nie jestem w stanie myśleć o tamtych zdarzeniach. To było takie niezwykle lato - mieliśmy przyszłość w ręku i nagle, zupełnie jak w tej scenie ze Straconych zachodów miłości, wszedł Mercade, posłaniec śmierci. Nie przeczuwałem, że coś takiego się stanie, a powinienem był. Może Ty zdawałeś sobie

sprawę, że wisi nad nami fatum.

Przepraszam - jest trzecia nad ranem i nie mogę zasnąć. To jedna z tych nocy, w które przeszłość dyszy nam za plecami. Musiałem zadzwonić do Taty, jak co tydzień; ostatnio nie czuje się dobrze, więc nie była to łatwa rozmowa. Potem musiałem jeszcze pozbyć się tego całego Aske. Wiem, że nie ma co dzwonić do Ciebie, bo i tak natknę się tylko na tę cholerną maszynę, dlatego piszę. Żałuję, że nie mogę z Tobą pogadać; Aske twierdzi, że zgodziłeś się wystawić szkice przedstawiające Finn, Maisie i Julię, a ja po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Chryste, jestem strasznie przygnębiony. Nie znoszę Bangkoku,

127

tego pieprzonego, żalostnego miasta, pełnego tłustych turystów pedofili. Na zewnątrz jest czterdzieści stopni, wilgotność powietrza 100 procent. Palę te cholerne kadzidelka, które mają odstraszać komary, ale są całkowicie nieskuteczne - nie mogę oddychać i jestem fatalnie pogryziony. Żyły mam pełne jadu, przez sześć dni z rzędu pracowałem po piętnaście godzin. Ten nowy modny reżyser to prawdziwy wrzód na dupie. Przekroczyliśmy budżet, produkcja reklamy wymyka się spod kontroli, a ja nie jestem w stanie tego powstrzymać - przypomina mi się najgorszy kac po haju, jakiego kiedyś miałem. Jutro kręcimy ze statystami, ale dziś mieliśmy prostą część spota, praktycznie jedno ujęcie samolotu TAA na lotnisku. "Cudowny dzieciak" wściekał się przez cały ranek, zmieniał oświetlenie, kąty ustawienia kamer, i tak dalej. W końcu zrobiliśmy zdjęcie, którego wykonanie powinno zająć maksimum godzinę, natomiast nasz geniusz uzyskał je po trzydziestu pięciu próbach.

Dwadzieścia lat temu sprzedałbym duszę diabłu, żeby wziąć udział w tak wielkiej kampanii; dwadzieścia lat temu chyba rzeczywiście sprzedałem duszę... Teraz ugania się za mną za dużo ludzi. Mam dosyć samolotów, pokoi hotelowych, rozbuchanych ego i pieprzonej, oczywistej głupoty - bez trudu wyobrazisz sobie efekt końcowy, jestem tego pewny. No i najprawdopodobniej piję za dużo brandy. Tajaska brandy smakuje okropnie, ale na początku pomagała mi zasnąć.

Przyślij jedną z Twoich kartek - powinna poprawić mi nastrój. Wyślij ją do hotelu Lutetia w Paryżu, bo w przyszłym tygodniu będę tam pracował. I napisz, że z tej retrospektywy nic nie będzie, że zatrzymasz obrazy w domu, tam, gdzie zwykle wiszą, że zostawisz je w spokoju. Nie mogę znieść myśli, że będą wystawione na widok publiczny, że gapić się na nie będą hordy ludzi pełnych obrzydliwej ciekawości. Napisz, że... Och, sam już nie wiem, co. Napisz, że nic nie mogliśmy zrobić, że nie można było przewidzieć, co się stanie, że to nie była nasza wina.

128

Napisz, że żyjesz - może to przypomni mi, że ja także żyję.

Dan.

10.8.1989. Kartka od Lucasa Felda (Londyn) do Daniela

Nunna (hotel Lutetia, Paryż).

Mój drogi, co się z Tobą dzieje, na miłość boską?

1) Doskonale pamiętasz Jonathana Aske. Grał Laertesa w tym brechtowskim Hamlecie, którego wyreżyserowałeś w Cambridge. Nie wiem, czy faktycznie jest pijawką i wcale mnie to nie obchodzi. Jest użyteczny, to wszystko.

2) Retrospektywna wystawa ma moje błogosławieństwo. Wypożyczam organizatorom "Siostry Mortland" oraz wszystkie ukończone rysunki, przedstawiające Maisie, Julię i Finn. Zależy mi, żeby wystawili także "Potrójnego Daniela", więc przestań robić trudności.

3) Wydarzenia tamtego lata są dziś nieistotne. Moje obrazy wręcz przeciwnie.

4) Niczego wtedy nie przeczuwałem, podobnie jak ty. Skąd mogliśmy wiedzieć, co się stanie? Gdybyśmy potrafili przewidywać wypadki, nie byłyby one wypadkami, n'est ce pas!

5) Żyję, i to na pełnym gazie. Ty także. Powinieneś tylko znaleźć sobie inną pracę. Jakim cudem właściciele agencji reklamowych mają czelność nazywać je "kreatywnymi" i patrzeć ludziom prosto w oczy? Przecież to bluźnierstwo. I nie mów, że Cię nie ostrzegałem.

Lucas.

12 sierpnia 1989. Pocztówka od Daniela Nunna (Paryż) do Lucasa Felda (Londyn).

Przepraszam Cię, Lucasie. Nie martw się, ja tylko machałem, żeby przyciągnąć uwagę, wcale nie tonąłem. Jeżeli uda mi się wykopać spod stosu rzeczy "Potrójnego Daniela", zastanowię się, czy go wypożyczyć, ale powiedz Askemu, żeby się odpiardolił.

129

Jutro będę w Nowym Jorku, potem w Los Angeles, następnie w Tokio. Skontaktuję



się z Tobą po powrocie. To "nieistotne" było koszmarne, lecz Ty przecież dobrze o tym wiesz.

Dan.

27 grudnia 1989. Kartka od Lucasa Felda do Daniela Nunna (Highbury Fields, Londyn N5).

Dan, gdzie jesteś? Nie kontaktujesz się z nikim od ładnych paru miesięcy. Przecież już chyba dawno skończyłeś te reklamówki TAA. Próbowałem złapać Cię w domu, bezskutecznie. Tydzień temu spotkałem na przyjęciu damę, która powiedziała, że jesteś w Tokio; ktoś inny zapewniał, że pracujesz w Nowym Jorku. W końcu zadzwoniłem do Twojej agencji, ale nie chcieli mi nic powiedzieć, nie podali nawet adresu do korespondencji. Posłuchaj, jest okres Bożego Narodzenia, więc może wpadłbyś, żeby wznieść ze mną toast za nowy rok i nową dekadę? Dryndnij, jeżeli jesteś w Londynie. Umówimy się sami, bez żadnych byłych żon, obiecuję.

Lucas. PS Chyba nie jesteś na mnie zły, co? Nie wściekaj się. Zbyt długo jesteśmy przyjaciółmi.

1 stycznia 1990. List od Joego Nunna (Suffolk, Wykenfield, 29, The Street) do Daniela Nunna (Highbury Fields, Londyn N5).

Kochany Synu,

Nasza wczorajsza rozmowa sprawiła mi wielką radość. Miło mi wiedzieć, że niezadługo wrócisz do domu i że w samiusieńkiego sylwestra znalazłeś czas, żeby pomyśleć o swoim starym ojcu. Nie martw się o mnie, bo jestem zdrowy jak ryba. Siedzę teraz przy kominku w nowych kapciach, którym dostał od Ciebie na Gwiazdkę. Pasują jak ulał. Po południu był u mnie Hector McIver. Codziennie robi się coraz to bardziej i bardziej podobny do swojego ojca Angusa, no i jest

130

specem od elektryki, więc nowy telewizor już działa, podłączony. Hector mówi, że nigdy nie widział takiego wielkiego ekranu. W miasteczku wszyscy gadają o moim telewizorze, mówię Ci. Jak Ci się udało go tu przysłać, i na dodatek jeszcze kapcie, skoro jesteś na drugim końcu świata? Nie mam pojęcia, słowo daję. A jeszcze wczoraj słyszałem Cie tak wyraźnie, jakbyś siedział w pokoju obok, a nie w japońskim hotelu w Tokio. Po prostu ani rusz nie mogę w to uwieżyć. Szkoda, że Babcia nie może tego usłyszeć i zobaczyć.

Mój gwiazdkowy prezent dla Ciebie jest zapakowany i gotowy ale Hector poradził mi go nie wysyłać. Trochę się tym denerwuję, chociaż Hector chyba ma rację, bo Ty się pszcież teraz przeprowadzasz, więc lepiej zaczekam aż do Twojego następnego przyjazdu do Wykenfield, co nastąpi wkrótce, mam nadzieję. Każdy dzień, kiedy Cie widzę kochany synu to dla mnie prawdziwe święto, chyba o tym wiesz.

Nie mam dużo wiadomości. Nic specjalnego się u nas nie dzieje, jak to zwykle - na wschodnim froncie spokój i cisza, jak to dawniej mówiłeś. Hector zastanawia się, czy nie posiać rzepaku na olej na Acre Field, ale jeszcze się nie zdecydował. Plotki o wynajęciu Opactwa wcale się nie potwierdziły. Dom jest zamknięty i podobno obraca się w ruinę, podobnie jak i mój stary warzywniak. Nie wychodzę, bo pogoda pod psem i zanoszą się na śnieg. I to chyba tyle - ja nie mogę nażekać i strasznie się cieszę z tego nowego telewizora, słowo daje. Zgodnie z Twoimi wskazówkami czekałem na te Reklamę o której pisałeś. Dali ją po wiadomościach. Dla mnie to trochę późno, ale warto było czekać, bo ubawiłem się jak rzadko kiedy. Zawsze umiałeś opowiadać dowcipy. Jestem bardzo dumny z mojego syna. Nie wiem, po kim jesteś taki łebski, jak mówiła Babcia.

Modlę się, żeby ten nowy rok był dla Ciebie radosny i dobry i żeby przyniósł Ci wszystko, na co masz nadzieję. Zaczyna się nowe dziesięciolecie, a niedługo nowy wiek i nowe tysiąclecie. Kto by pomyślał, co? Pozdrow ode mnie Twojego

131

starego przyjaciela Nicka Marlowa kiedy go zobaczysz. Często o nim myślę. Zawsze był dla Ciebie dobrym i wiernym kumplem.

Wszystkie serdeczności dla mojego kochanego syna. Daj mi znać, czy będziesz mógł przyjechać, ale nie niepokuj się i nie denerwuj, bo ja przecierz wiem, jaki jesteś zajęty. Teraz idę już spać. List wysłałem rano.

Twój kochający Tata.

30 maja 1990. List od Jonathana Aske (Akademia Królewska, Londyn) do Daniela Nunna (Highbury Fields, Londyn N5).

Drogi Danielu,

Wczoraj dostarczono mi przesyłkę, w której - ku mojemu wielkiemu zdumieniu - znalazłem tryptyk Lucasa z 1967 roku. Listu nie znalazłem (najwyraźniej zapomnieliś go włożyć), ale zakładam, że paczka przyszła od Ciebie. Czy wolno mi także przyjąć, iż oznacza to Twoją zgodę na wystawienie portretu na retrospektywie? Jeśli tak, to wspaniale, lecz mimo wszystko potrzebne jest mi pisemne zezwolenie.

Wiem, że nie znosisz papierkowej roboty, więc dla ułatwienia załączam potrzebne formularze. Byłbym wdzięczny, gdybyś odesłał je jak najszybciej. Wystawę otwieramy za parę miesięcy, ale musimy przygotować się do niej z dużym wyprzedzeniem - tak to już jest z tą biurokracją, niestety!

Mam nadzieję, że faktycznie zgadzasz się na wystawienie portretu; jest to jeden z najlepszych rysunków Lucasa z wczesnego okresu jego twórczości, a poza tym, w pewnym sensie intrygujące uzupełnienie portretu sióstr Mortland. Lucas dostrzegł i utrwalił rozmaite aspekty Twojej osobowości -to doprawdy fascynujące, zwłaszcza że jego umiejętność szkicowania zasługuje na najwyższy podziw. Patrząc na ten potrójny portret, poczułem się tak, jakbym nagle znowu znalazł się w Cambridge w latach sześćdziesiątych. Byłeś wyjątkowo przystojnym rozrabiaką, no i oczywiście założycielem Towarzystwa Filmowego!

132

Ach, te demonstracje przeciwko wojnie w Wietnamie, które organizowałeś - cóż to były za wspaniałe czasy!

Jednak rok 1967 okazał się tragiczny także i dla Ciebie, jak sądzę. Nie chciałbym okazać się natrętny, ale chętnie poznałbym bliżej okoliczności towarzyszące tamtym wydarzeniom w Opactwie - w ostatnim liście chyba wspominałem, że byłoby to dla mnie dużą pomocą. Finalizuję właśnie prace nad biograficznym i krytycznym wstępem do katalogu wystawowego, i świetnie zdaję sobie sprawę z faktu, że ma on sporo luk. Jak wiesz, Lucas nigdy nie udzielał wywiadów ani nie dyskutował o swojej twórczości. Jego przeszłość to zamknięta księga, a ja w pełni to respektuję, rzecz jasna. Lucas nie zabronił mi jednak prowadzenia poszukiwań i drobnych "dochodzeń" na własną rękę; udało mi się uzyskać sporo nowych i niezwykle ciekawych informacji o latach siedemdziesiątych. Dwie z jego byłych żon (muszę przyznać, że byłem tym zaskoczony) udzieliły mi nieocenionej pomocy, opowiadając o swoich portretach.

Jednak w odniesieniu do "Sióstr Mortland" nie udało mi się natrafić na żadne informacje. Jest to głęboko frustrujące. Portret ma kluczowe znaczenie dla twórczości Lucasa - obraz pozwolił artyście wypłynąć na szerokie wody i od początku w niezwykle sposób działał na wyobraźnię krytyków i przeciętnych odbiorców. Być może wiesz, że "Siostry Mortland" stały się przedmiotem intensywnych badań naukowych i zyskały wiele interpretacji, z których żadna, moim zdaniem, nie wyjaśnia szczególnego uroku obrazu ani niepokojącego wrażenia, jakie robi na oglądającym. Portret był także punktem wyjścia dla całkowicie wulgarnych przypuszczeń i dociekań, lecz w zaistniałych okolicznościach jest to w zasadzie

nieuniknione. Nie muszę Cię chyba zapewniać, że nie zamierzam rozważać takich plotek czy odwoływać się do nich w moich opracowaniach.

Nawiązałem kontakt z innymi osobami, które tamtego lata

133

mieszkały w Opactwie lub tylko tam gościły (za wiedzą Lucasa, pragnę podkreślić). Dziadek sióstr już nie żyje - szkoda, bo z opowiadań wynika, że był sympatycznym staruszką i wspaniałym gawędziarzem, chociaż może niekoniecznie wybitnie inteligentnym. Stella Mortland chętnie by mi pomogła, ale mówi, że rozmowa o tamtych wydarzeniach byłaby dla niej zbyt bolesna. Spotkałem się z nią i chwilę rozmawialiśmy; zrobiła na mnie wrażenie osoby dziwnej, nieco chwiejnej emocjonalnie i prześladowanej przez przeszłość - nie ulega wątpliwości, że przeżyła tragedię, z której nigdy do końca się nie otrząśnie. Trochę mnie to zirytowało, bo odbyłem ostatecznie dość długą podróż samochodem do Kornwalii (Stella Mortland mieszka z jakimś malarzem w pobliżu St Ives) tylko po to, aby usłyszeć delikatną odmowę. Mogła wyjaśnić mi sytuację przez telefon, a już na pewno oszczędzić oglądania naprawdę okropnych bohomazów swojego ukochanego, ale nieważne. Była wzruszająca w swojej gotowości zaprezentowania mi tych wątpliwych "arcydzieł"; obawiam się, że przypuszczała, iż może zdołam "coś dla niego zrobić". Uciekałem, ile sił, jak łatwo możesz sobie wyobrazić.

Skontaktowałem się również z Nicholasem Marlowem. Jest lekarzem, więc jego profesjonalna ocena tamtych wydarzeń byłaby dla mnie nieoceniona, on jednak uważa, że ten epizod należy do przeszłości i nie należy do niego wracać. Poza tym, z powodu nawалу pracy nie mógł się ze mną spotkać, niestety. Julia Mortland (ta kobieta to prawdziwy żywioł, naprawdę!) pomogła mi, chociaż nie jestem do końca pewny, w jakim stopniu wiarygodne są informacje, jakich mi udzieliła. Jej siostra - cóż, powiedzmy, że jej siostra nie okazała chęci współpracy.

Zostajesz więc tylko ty. Twoja sytuacja jest absolutnie wyjątkowa. Znałeś wszystkie trzy siostry od dziecka, przyjaźniłeś się z Lucasem, w Opactwie byłeś jednocześnie domownikiem i kimś z zewnątrz, zaangażowanym w sprawy rodziny, lecz będącym w stanie zachować obiektywny punkt widzenia.

134

Dlatego zawsze wydawało mi się, że Twoje wspomnienia są cenniejsze od jakichkolwiek innych. Gdybyśmy mogli porozmawiać (może pozwoliłbyś zaprosić się na lunch albo kolację?), bardzo by mi to pomogło. I oczywiście zapewniam Cię, że w moim opracowaniu nie wspomnę o żadnych drażliwych sprawach. Przy

ustalaniu, czy jakąś rzecz ujawnić, czy zachować w tajemnicy, kierować się będę wyłącznie Twoją opinią. Na sercu leży mi jedynie zapewnienie tła, które mogłoby rzucić światło na te niezwykle szkice oraz "Siostry Mortland", moim zdaniem jeden z najwybitniejszych obrazów Lucasa, dzieło o znaczeniu przełomowym.

Nie chcę ożywiać rozważań, czy tamten upadek był wypadkiem, czy samobójczą próbą, a już na pewno nie jest moim zamiarem przywoływanie widma dawnych romansów. Dostyc już było spekulacji na te tematy. Nie ulega wątpliwości, że ludzie przejawiają niezdrową fascynację związkiem Lucasa z siostrami; ja mogę tylko powiedzieć, że nie powinno interesować to nikogo poza samymi zainteresowanymi. (Muszę jednak przyznać, że sam nie do końca umiem stłumić ciekawość - siostry Mortland to niezwykle istoty, prawda?)

Tak więc potrzebne mi są przede wszystkim Twoje wrażenia związane z Opactwem, z metodami pracy Lucasa, dotyczące rodziny Mortlandów i tak dalej. Gdybyś zechciał podzielić się ze mną swoją wiedzą na temat tego, co nazywam "dynamiką międzyludzką", miałoby to dla mnie ogromne znaczenie. Pomogłoby mi też klarowniejsze ustalenie chronologii wydarzeń tamtego lata. O ile mi wiadomo, Lucas zaczął pracę nad szkicami sióstr i samym portretem w połowie czerwca, kiedy przyjechałeś razem z nim do Opactwa. Ukończył szkice w lipcu i 21 wyjechał na kilka dni do Cambridge. Po powrocie skupił się na portrecie. Skończył go na początku sierpnia i pokazał rodzinie na tydzień przed tragedią.

To umiejscowienie w czasie dało sporo argumentów krytykom z kręgów feministycznych - szczerze mówiąc, te baby są nie do wytrzymania. Pojawiły się oskarżenia, że portret odegrał

135

rolę katalizatora, wywołując smutne zdarzenia tamtego lata; spekulacje tego rodzaju zrodziły się, rzecz jasna, wśród osób z marginesu wspomnianego ruchu. Nie mam cierpliwości do takich głupich, nieodpowiedzialnych wypowiedzi. Moim zdaniem wyrażenia typu "męskie spojrzenie", "męski punkt widzenia" i tak dalej pachną slangiem. Niemniej wystawa może ożywić te kontrowersje, dlatego chętnie skorzystam z możliwości uciszenia ich raz na zawsze. Właśnie dlatego jaśniejsze zrozumienie sekwencji wydarzeń byłoby tak bardzo pomocne.

Lucas, kiedy pyta się go o konkretne daty, unika odpowiedzi, jak to ma w zwyczaju, więc wszelkie informacje, wyjaśnienia i potwierdzenia, jakie mógłbym usłyszeć od Ciebie, na pewno okażą się po prostu bezcenne. Jestem ciekaw, czy przypadkiem nie prowadziłeś wtedy dziennika, Ty, a może ktoś inny.

Wybacz mi wszystkie te pytania. Nie będę Ci już zajmował czasu. Piszę, ponieważ przesyłka ze szkicem Lucasa wprawiła mnie w stan ekscytacji i dodała odwagi oraz zachęty do szukania odpowiedzi i wyjaśnień.

Skontaktuj się ze mną, bardzo proszę. Minęło już dziesięć miesięcy, odkąd się odezwałeś, i naprawdę nie sposób się dowiedzieć, gdzie jesteś i co się z Tobą dzieje. Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku.

Serdecznie pozdrawiam,

Jonathan.

18 grudnia 1990. List Nicholasa Marlowa (Duncan Terrace, Londyn NI) do Daniela Nunna (29, The Street, Wykenfield, Suffolk). Drogi Danie,

Właśnie dotarła do mnie wiadomość o śmierci Twojego ojca, która głęboko mnie poruszyła i zasmuciła. Był to najlepszy, najmiłszy człowiek, prawdziwa opoka mojego dzieciństwa

136

- zawsze darzyłem go największym szacunkiem i sympatią. Nie wiedziałem nawet, że chorował. Ostatni raz kontaktowałem się z nim przed ostatnim Bożym Narodzeniem (zawsze wymienialiśmy kartki z życzeniami), a widziałem się z nim w czasie mojego ostatniego pobytu w Suffolk, czyli ładne parę lat temu. Trudno mi tam wracać - za dużo wspomnień, i tak dalej. Dziś żałuję, że nie przemogłem tej niechęci. Był z Ciebie taki dumny. Łączył nas z naszą przeszłością, był prawym, dobrym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie Wykenfield bez niego.

O jego śmierci dowiedziałem się w taki sposób: gdy mój ojciec przeszedł na emeryturę, rodzice sprzedali Starą Plebanię, pamiętasz? Nadal mieszkają w domu, który kupili w Irlandii, ale mama utrzymuje kontakt ze starymi przyjaciółmi z Wykenfield (wiele tych osób już nie żyje albo przeprowadziło się gdzie indziej, podobno miasteczko bardzo się zmieniło). O śmierci Twojego ojca napisała do mamy wdowa po Angusie McIverze Flora, a mama natychmiast do mnie zadzwoniła. Wiem od niej, że od maja mieszkałeś w Wykenfield i że przez ostatnie sześć miesięcy stale opiekowałeś się ojcem.

Dan, szczerze żałuję, że nie odezwałeś się do mnie - dlaczego? Lucas i ja, podobnie jak wszyscy Twoi przyjaciele w Londynie, od roku martwimy się, co się z Tobą dzieje. Byłeś w Tokio i zaraz potem zniknąłeś bez śladu. Dopiero teraz wiem, że nie przebywałeś za granicą, jak wszyscy sądzili, ale w Wykenfield, ostatnim miejscu na ziemi, gdzie próbowalibyśmy Cię szukać.

Zdaję sobie sprawę, jak trudne musiały być dla Ciebie te ostatnie miesiące. Flora McIver napisała, że był to rak - nic więcej nie wiem. Dlaczego nie dałeś mi znać, na miłość boską? Wiesz, że to moja dziedzina - nawet jeżeli stan był już beznadziejny, mogłem pomóc i zrobiłbym to, natychmiast, chyba nie wątpił? Przyjechałbym też na pogrzeb. Nie umiem powiedzieć, jak bardzo żałuję, że nie było mnie przy Tobie - to samo czuje Finn. Zadzwoiła akurat dzisiaj, więc

137

jej powiedziałem. Myślałem, że wie, byłem pewny, że się z nią kontaktowałeś, chociaż mam świadomość, że nie jest to proste, bo przecież Finn bezustannie podróżuje. Bardzo się zdenerwowała. Przesyła Ci najserdeczniejsze ucałowania. Uwielbiała Joego, podobnie jak ja, i boi się myśleć, jak przeszedłeś przez to wszystko sam, bez pomocy i wsparcia.

Coś jest nie tak, prawda? I trwa to od dawna, dłużej niż ostatni okres choroby Twojego ojca, mam rację? Docierają do mnie rozmaite plotki i pogłoski - Julia przynosi je z telewizji. Ludzie mówią, że w agencji doszło do swoistego puczu, że rozchorowałeś się czy przeżyłeś coś w rodzaju załamania. Gadają mnóstwo bzdur, ale ja ich nie słucham. Jesteś moim najdawniejszym i najbliższym przyjacielem. O tym, co się stało, chcę usłyszeć od Ciebie. Powiedz mi, jak mogę pomóc, jeżeli pomoc jest Ci potrzebna.

Lucas twierdzi, że kłopoty zaczęły się z chwilą podjęcia decyzji o tej przeklętej retrospektywnej wystawie. Uważa, że ożywiło to wspomnienia tamtego lata w Opactwie, myśli, że nadal obwiniasz się o to, co spotkało Maisie. Nie mam pojęcia, skąd ten pomysł. Przecież to nie była Twoja wina, nikt z nas nie ponosi za to odpowiedzialności, chyba że mielibyśmy sobie zarzucać, iż za późno dostrześliśmy starannie ukrywane cierpienie.

Cóż, tym razem nie zamierzam być ślepy. Masz trzy dni na odpowiedź na mój list. Jeśli się nie odezwiesz, przyjadę do Wykenfield i znajdę Cię.

Jeszcze jedno (śpieszę się, żeby zdążyć na pocztę) - kiedy widziałem Cię ostatni raz, brałeś pigułki na sen i pigułki na przebudzenie. Ostrzegałem Cię wtedy, jakie są niebezpieczne. Jeżeli nadal je łykasz, pozbądź się ich jak najszybciej, od razu. I wszystkich innych, którymi się podpierasz.

Jeśli Ci się nie uda, pomogę Ci.

Nick.

138

25 grudnia 1990. List Daniela Nunna (29, The Street, Wykenfield) do Nicholasa Marlowa (Londyn NI).

To był dobry list, Nick - zachowam go w sercu. Dawniej nienawidziłem takich określeń, jak "zachować w sercu", wydawało mi się, że brzmią jak z taniej telenoweli, pamiętasz? Jednak w ostatnich miesiącach odkryłem ich prawdziwe znaczenie. Dziś "zachowuję w sercu" wszystko, co się da, ale jest już za późno, cholera. Dzwoniłem do ojca co niedzielę, wieczorem, niezależnie od tego, gdzie akurat byłem. Pytałem, jak się czuje, a on nieodmiennie odpowiadał: "Nie mogę narzekać". No i faktycznie, nigdy nie narzekał. Nie skarżył się, że stracił moją matkę, że opiekował się Bellą przez jej pięć lat alzheimera, że harował jak wół za marne grosze, że spędził całe życie w zrujnowanej ruderze, która nie była nawet jego własnością, chociaż przez pięćdziesiąt lat skrupulatnie płacił czynsz. Nie narzekał na syna, który się go wstydził i starał się trzymać jak najdalej od Wykenfield. Nie narzekał też, że umiera.

Po prostu żył, i już. Trudno mi o tym myśleć. Trudno mi powstrzymać łzy. Płacę z różnych powodów, w najdziwniejszych momentach. Na pogrzebie nie uroniłem ani jednej łzy, ale następnego dnia rozplakałem się nad paczkami z płatkami kukurydzianymi w supermarkecie w Deepden - dlaczego? Trudno mi to wszystko zanalizować, wiem jednak, że oplakuję Joego. I - tak, masz rację - oplakuję też Maisie. Nie wiem nawet, dlaczego - moje ostatnie przeżycia przypominają jedną długą pieprzoną retrospektywę. Wszystko to na darmo, wiem. W tej chwili nie bardzo nadaję się do towarzystwa, więc proszę Cię, żebyś jeszcze tu nie przyjeżdżał.

Muszę spędzić trochę czasu sam. Proszę, pozwól mi. Flora McIver i jej najstarszy syn, Hector (na pewno go pamiętasz), byli bardzo dobrzy dla Taty i mnie także okazali mnóstwo serca. Mówią, że nie muszę jeszcze zwalniać domu i mogę zostać tu na pewien czas, jeśli tego potrzebuję. Na razie nie jestem w stanie zabrać się do przeglądania i porządkowania

139

rzeczy Taty i Belli. Ze wszystkich sił starałem się namówić go na przeprowadzkę - chciałem kupić mu domek w miasteczku i dwa lata temu pojawiła się taka możliwość - ale on w ogóle nie brał tego pod uwagę. Tak więc wszystko jest tu jak dawniej, tak jak zapamiętałeś: fotografie Ocean, karty tarota, dyplomy, które Joe dostał za mistrzostwo w oraniu ziemi, dziewięć kryształowych kul w kuchennym kredensie. Patrzę na to i nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Dużo mi przyszło z przewidywania przyszłości - przez większą część życia byłem po prostu ślepy, cholera. Trudno jest mi siedzieć tutaj wśród tych rzeczy, nikomu niepotrzebnych



drobiazgów bez żadnej wartości, nic niewartych dla wszystkich poza mną, oczywiście.

Możliwe więc, że zostanę tutaj i zabiorę się do porządków, albo na jakiś czas pojedę do Londynu i później znów wrócę do Wykenfield -jeszcze nie podjąłem decyzji. Na razie, zgodnie z Twoim poleceniem, wyrzuciłem wszystkie pigułki. Daję Ci słowo, zrobiłem to, wsypałem całe to gówno do zlewu i spłukałem. Przyszło mi to tym łatwiej, że już od paru miesięcy próbowałem się odzwyczaić od tych środków.

Niedługo skontaktuję się z Tobą. Przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej, ale i tak nie mógłbyś nic poradzić. Nowotwór był w ostatnim stadium, nikt nie był w stanie pomóc Tacie. Chodziło już tylko o opiekę terminalną - na pewno znasz to określenie, chociaż ja nie miałem pojęcia, co ono naprawdę oznacza.

Z przyjemnością się z Tobą zobaczę, Nick. I chętnie pogadam, tak jak dawniej. Chciałbym porozmawiać o Tacie, o Maisie, o tym, jak to się stało, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Porozmawiać o tamtym lecie, kiedy wszystko potoczyło się w złym kierunku. Czuję, że prawda kryje się gdzieś tam i że jest to coś, co przeoczyliśmy. I kto wie, może razem zdołamy ją znaleźć.

Pamiętasz dzień, kiedy zostaliśmy braćmi krwi? Miałem chyba sześć lat, a ty pewnie osiem albo dziewięć i łowiliśmy

140

ryby w jeziorze w Opactwie. Ty łowiłeś płotki - płotek było tam mnóstwo. Ja miałem nadzieję złowić rekina. Plus ca change... W każdym razie tak mi się czasami wydaje.

Gdyby Finn znowu zadzwoniła, serdecznie pozdrów ją ode mnie, dobrze? Przesyłam też pozdrowienia dla Twojej rodziny, dla Fanny, która pewnie jest już prawie dorosła i dla małego Toma - pamięta mnie jeszcze? Często myślę o nich i o Tobie.

Dla Ciebie pozdrowienia od brata krwi i wyrazy szczerzej wdzięczności.

Dan.

Część Piąta.

Wisielec.

W tym tygodniu.

GORĄCA LINIA gości na gorącym krzeselku wybitnego twórcę reklam, Dana Nunn. Dan dopiero przed godziną zszedł z pokładu concorde'a i chętnie by się ogolił, ale cóż, tak wygląda życie w reklamie... GL: Na czym polega sekret najcelniejszej reklamy? DN: Na zwięzłości. Najwyżej dziesięć słów. No i oczywiście ciekawe zdjęcia, obowiązkowo cycków. HL: Hej, bez dowcipów! Jak trafiasz do docelowej widowni? DN: Zawsze warto wrócić do Biblii. Obudzić pożądanie, chciwość, obżarstwo, zazdrość lub strach. To zawsze działa. HL: Niezłe! Co daje ci w pracy największą satysfakcję? DN: Nie można mówić o większej albo mniejszej satysfakcji. Albo się ją ma, albo nie.

HL: No, no, ależ z ciebie zasadniczy facet! Wyluzuj trochę! Co jest najgorsze?

DN: Kapitalizm. Choćbyś stworzył najciekawszą, najbardziej błyskotliwą reklamę, wyrzucają do kosza, jeśli nie podniesie zysków ze sprzedaży. HL: Klasyka! Plany na przyszłość?

DN: Wypać się. Nie spałem od czterech dni, więc trochę snu dobrze by mi zrobiło.

GORĄCA LINIA, "Media Today", Metro Radio, maj 1988

145

Chodzą plotki, że najwybitniejszy człowiek świata reklamy poczynając od lat sześćdziesiątych, Dan Nunn, rozstał się z Nunn Loewe Ridley Fletcher Wally, agencją, którą założył w 1986 roku. Pogłoski o kłótniach na spotkaniach zarządu firmy krążyły już od wielu miesięcy. Nunn, zdobywca rekordowej liczby nagród D&AD, był mózgiem takich kampanii reklamowych jak Nicey Spicey (telewizja), która podniosła zyski ze sprzedaży produktu o 250 procent w ciągu sześciu miesięcy i podbiła majątek GFT do 80 milionów funtów. To on stworzył słynne reklamy "That way/This way" oraz wyśmienity telewizyjny spot "Handful of Dust" (emitowany również w kinach), a także plakat do tejże reklamy, za który otrzymał Nagrodę Prezesa D&AD w 1988 roku. Nunn, który obecnie finalizuje w Tokio kampanię reklamową (10,5 m funtów) TAA, nie komentuje wiadomości o swoim odejściu z agencji. "Rozstali się w przyjaźni", twierdzi nasz anonimowy informator z Loewe Ridley, Fletcher Wally. Czekajcie na nasze informacje!

"Inside Track", Campaign, 1 maja 1990.

NEKROLOGI.

19 listopada 1990 roku odszedł z tego świata JOSEPH JOHN NUNN z Wykenfield w Suffolk. Zmarł w domu, po długiej, spokojnie znoszonej chorobie.

Pogrzeb odbędzie się w kościele St Etheldredy w Wykenfield, 23 listopada o 11.00. Kwiaty prosimy przysyłać do firmy pogrzebowej Messers Paternoster&Gladhall, 5, The Street, Deepden. Wszelkie ofiary pieniężne prosimy przekazywać Fundacji Badań nad Rakiem.

West Suffolk Clarion, 20 listopada 1990.

Rozdział Dziesiąty.

POTRÓJNY DANIEL.

Dziś piątek, dzień bez piątek, jak mawiała Julia. Co gorsza, jest piątek trzynastego.

Babcia powiedziała mi (i to kilka razy), że w tak źle zapowiadający się dzień lepiej zostać w domu, lecz ja, Daniel Nunn, znowu jestem w Londynie, a ponieważ postanowiłem kompletnie się zmienić, zacząłem prowadzić dziennik, w którym jak na razie zapisałem, co następuje:

PONIEDZIAŁEK: Nic się nie zdarzyło.

WTOREK: Wydaje mi się, że nic się nie zdarzyło - przespałem prawie cały dzień.

ŚRODA: Ogromna aktywność. Dzwoniłem do piętnastu osób.

CZWARTEK: Czternaście osób nie oddzwoniło. Oddzwonił bank.

Mam wrażenie, że moje zapiski pozostawiają wiele do życzenia, podobnie jak aktywność. Dlatego, z niewielkim wsparciem chemii (przepraszam, Nick, ale przeżyłem regres i dlatego nie wywaliłem wszystkich pigułek do zlewu), wybrałem się na miasto. I gdzie się znalazłem, w ten dzień bez piątek? W najgorszym miejscu z możliwych. W narożnym biurze na dwudziestym piątym piętrze lśniącego szkłem budynku, w gabinecie człowieka, którym gardzę, o czym właśnie sobie przypominałem, ale na ucieczkę jest już za późno. Z okien gabinetu

roztacza się isticie biblijny widok, zapewniający uczucie władzy nad Londynem. Widzę wieże, kopuły, obłoki spalin i dziwną mgiełkę. Ta mgiełka może mieć coś wspólnego z problemami z widzeniem, jakie ostatnio stały się moim udziałem, albo ze wspomaganiami chemicznymi, o którym już napomykałem... Ale na pewno w dużej części jest to po prostu spalinowy smog.

Siedzę w tym gabinecie już od pewnego czasu, ale dopiero w tej chwili przyszło mi do głowy, że patrzę przez okno zbyt długo lub ze zbyt dużym skupieniem, więc odwracam głowę ku wielkiemu jak lotniskowiec biurku. I wtedy zauważam datę, wydrukowaną na kartce potężnego notatnika. Potrafię czytać do góry nogami z godną podziwu prędkością, dlatego nagle dostrzegam, że obok notatki "D. Nunn" wraz z godziną spotkania 16.15, widnieje dopisek "15 MINUT", podkreślony grubym flamastrem. Nie zwiastuje to niczego dobrego. Muszę się streszczać.

Zdaje się, że nie mam dużo czasu, zwłaszcza że co najmniej pięć minut zostało już zużytych na fałszywe serdeczności i okropne okrzyki w rodzaju: "Gdzież ty się podziewałeś Dan?", "Naprawdę strasznie się cieszę z naszego spotkania!". Kolejne dwie (mam pewne problemy z oceną upływu czasu, ale tak sędzę) upłynęły mi na obserwacji zdumiewającej, zjadliwie zielonej muszki, jaką przywdział człowiek, z którym przyszedłem się zobaczyć. W tej sytuacji, zgodnie z moją upośledzoną oceną, mam jeszcze mniej więcej osiem minut na przedstawienie swojej sprawy. Nie ma problemu. No hay problema. Jestem królem zawierania umów, prawdziwym mistrzem, słynę z tej umiejętności. Kiedyś dobijałem targu w ciągu dwóch minut.

Podchodzę do biurka, kładę na nim teczkę i siadam. Włącz odrzutowe przyśpieszenie, myślę. I już mam przyśpieszyć, gdy nagle widzę, że człowiek, którym gardzę, trzyma coś w rękach -jest to magazyn, jeden z tych ilustrowanych dodatków do gazet. Pokazuje mi coś. Dedukuję to z szybkością

godną Sherlocka, ponieważ podtyka mi to coś pod nos i dźga palcem w zdjęcie na okładce.

- Trochę wypadłeś z obiegu, ale chyba to widziałeś, co? -pyta.

Widzę "Siostry Mortland" i artykuł o retrospektywnej wystawie Lucasa. Nie, nie widziałem tego wcześniej. Jest to prawdziwe osiągnięcie, które wymagało wielkiego poświęcenia i starania z mojej strony, ponieważ wystawa cieszy się ogromną popularnością i stale piszą o niej w prasie. Teraz nie mogę już uniknąć kontaktu z tym wydarzeniem. W milczeniu patrzę na najślawniejszy portret Lucasa. Opactwo,

ostatnie lato w Opactwie. Julia, Finn i biedna, ciężko ranna Maisie. Dwadzieścia trzy lata temu i wczoraj, tak to czuję. Kiedy w nocy nie mogę spać, w ciemności widzę tylko to, nic więcej.

Oczywiście to nie koniec. Ręka faceta, którego nie znoszę, przerzuca kartki, słyszę też głos.

- Chwileczkę, sekundkę, gdzie ja to widziałem... Tak, gdzieś tutaj... O, mam! Czyżbyś to był ty, Danny, drogi chłopcze? Żartuję, żartuję, nie obrażaj się...

Czuję się jak u Wilde'a; co więcej, mój rozmówca doskonale wie, że nie znoszę takich żartów. Podążam wzrokiem za jego tłustym paluchem i widzę samego siebie, potrójnie. "Potrójny Daniel", kreda i ołówek, w moim pokoju w Whewell Court w Cambridge, Trinity College, w dzień po ostatnich egzaminach sesji letniej trzeciego roku. Słońce świeci, na niebie ani jednej chmurki, świat cudowny. Mam dwadzieścia dwa lata, jestem ambitny, beztroski, utalentowany i wolny od wszelkich życiowych zabezpieczeń. Czasami nadmiernie pewny siebie, czasami wredny - inni być może już to zauważyli, ale ja jeszcze nie. Potrzeba mi trochę czasu...

Tak, jestem w Whewell, obok mieszkania, które kiedyś zajmował Wittgenstein i za parę miesięcy, po długich letnich wakacjach, zamierzam przystąpić do zrewolucjonizowania światowego kina - Truffaut, Godard, uważajcie, bo już nadchodzę... Planuję dostać się do filmu przez reklamę: w jednym

149

tygodniu będę reżyserował reklamę telewizyjną, a w następnym rzucę sobie Hollywood do stóp. Mniej więcej tak to widzę, a ponieważ mam dwadzieścia dwa lata, nie dostrzegam żadnych minusów tego planu. Na razie leżę na dywanie, otoczony notatkami z wykładów, i kiedy tylko Lucas skończy skrobać w szkicowniku, pójdziemy spotkać się z Finn. We troje (nierozłączna Nieświęta Trójca, jak nazwała nas uczelniana gazeta) wybierzemy się nad rzekę i może popływamy łódką. Zamierzamy upić się do słodkiej nieprzytomności, tak jak należy po egzaminach. A kiedy Lucas pójdzie gdzieś sobie ze szkicownikiem w rękę, wezmę Finn w ramiona. Będziemy leżeć na brzegu Cam, w chłodnym zielonym cieniu wierzb, i...

Facet przewraca kartkę. Pośpiesznie odwracam wzrok, ale nie jestem dość szybki i kątem oka dostrzegam jeszcze jedną reprodukcję - "Maisie w lecie", 1967. Ten rysunek miał być jednym z czterech. Teraz wiem, że już nigdy nie będzie "Maisie jesienią" ani "Maisie w zimie". I już nigdy nie wyreżyseruję filmu. Czas mija.

- Smutne... - zauważa mężczyzna, do którego przyszedłem, odkładając gazetę.

Naturalnie zna całą historię. Znają ją niemal wszyscy, w pewnym zakresie, ponieważ Lucas jest znany na całym świecie, a "Siostry Mortland" są obrazem, na którego punkcie ludzie wpadają w obsesję. Reprodukcje "Sióstr" można znaleźć wszędzie, studenci kupują je i wieszają na ścianach pokoi w akademikach.

- Siostry Rozkoszne... - ciągnie facet po drugiej stronie biurka i wybucha śmiechem.  
- Czy nie taki przydomek nadano im w Cambridge? I widać, dlaczego. Julia dalej robi niesamowite wrażenie, ale mnie intryguje ta średnia. W jej twarzy jest coś, co... Nigdy nie miałem okazji jej poznać, więc gdybyś mógł rzucić patyk we właściwym kierunku, polecę za nim bez tchu... To ta z dziwnym imieniem, prawda?

- Finisterre - odpowiadam.

Tyle chciałbym dodać, czuję, jak wzbiera we mnie wielka,

150

potężna fala szczegółów... Chciałbym powiedzieć, że dostała to imię, ponieważ kiedy Stella była z nią w ciąży, mieszkała w Szkocji, niedaleko jednego z sanatoriów, gdzie próbowano wyleczyć jej męża. Wody odeszły jej pewnego wieczoru, gdy była sama i słuchała prognozy pogody dla rybaków. Że Stella, ponieważ była Stellą, nie widziała nic dziwnego w tym, że dziecko będzie nosiło takie imię, bo Finisterre to dzikie, przepiękne miejsce, więc samo znaczenie słowa było dla niej nieistotne. Nieistotne okazało się również to, że nikt nigdy nie pisał skróconej wersji imienia poprawnie, że nikt nie zwracał się do Finn pełną wersją imienia - nikt poza mną. Kiedyś używałem go, gładząc ją po włosach, gdy leżeliśmy obok siebie w wysokiej trawie. *Ou sont les neiges d'antan, Danny boy?* Gdzież te śniegi, gdzie? Dawno stopniały. Już dawno ich nie ma.

Facet naprzeciwko mnie nadaje i nadaje, co jakiś czas powtarzając słowo "retrospektywa". Kiedy zaczyna gadać, że musi zdążyć obejrzeć wystawę, bo za dwa dni ją zamykają, wracam do rzeczywistości i zaczynam pojmować, co się dzieje. Facet zerka na zegarek, ściąga brwi i wreszcie spogląda na mnie, naprawdę patrzy i widzi mnie, pierwszy raz od mojego wejścia do jego gabinetu. I co dzieje się za tą zblazowaną maską, ozdobioną okularami w modnych oprawkach? Cóż, nie ulega wątpliwości, że toczy się tam jakaś walka. Z jednej strony niewykluczone, że moje akcje poszły w górę, bo jestem przyjacielem Lucasa, zostałem przez niego narysowany, a wspomniany portret wystawiono na, Jezu, zmiłuj się, retrospektywie, którą koniecznie trzeba zobaczyć. Z drugiej strony facet na pewno słyszał krążące w środowisku plotki, bo jest ich tyle, że nie sposób zliczyć.

Zastanawiam się, które z nich do niego dotarły - te rozprzestrzeniane przez moich

wrogów, czy przez przyjaciół... Jedne i drugie są podobne, zresztą w reklamie pozostało mi niewiele przyjaciół. Może słyszał więc wersję "utalentowany ale niezrównoważony +pogrążony w żalobie +przepracowany

151

+załamany +wszystko to razem bardzo smutne", a może tę "arogancki kutas wiecznie na haju +totalnie wypalony +zawsze wyglądało że źle skończy". Prawie na pewno zna tę drugą, którą i tak wolę od pierwszej. Ciekawe, czy dolicza mi dawne przysługi - w chwili maniackiego uniesienia dałem mu jego pierwszą pracę... Zawsze dobrze traktujcie ludzi, którzy dopiero wchodzą na drabinę sukcesu, bo na pewno spotkacie ich, kiedy sami będziecie z niej schodzić...

Czy byłem dla niego miły? Trudno mi sobie przypomnieć, jak to było, ale nie mogę wykluczyć, że kiedyś wywaliłem go na zbity pysk. Jeśli tak, to moje szanse na dostanie kampanii Wunderbar nie wyglądają zbyt dobrze. Ubiegam się o nią wyłącznie dlatego, że szef reklamy, który miał ją robić, w ostatniej chwili padł ofiarą jakiegoś nieszczęścia, kompletnie nieprzewidzianego i niemożliwego do przewidzenia. Na przykład grypy, świerzbu, ataku terrorystycznego, domiaru podatku dochodowego, rozstrzelania przez pluton egzekucyjny lub... Dosyć, mówię sobie. Wchłonąłem połowę mojej stale zmniejszanej działki koki, dwie pastylki amfetaminy, cztery tabletki przeciwbólowe, dwie tabletki rennie, pół butelki syropu na kaszel, kieliszek wódki i cztery kawy z ekspresu, żeby dotrzeć do tego gabinetu, i sposób, w jaki wszystko to razem podziało na mój mózg, okazał się trochę inny, niż oczekiwałem. Niesamowita mieszanka nie zaostriła mojej percepcji, lecz zatopila moje zmysły, wszystkie bez wyjątku. Nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje. Patrzę na faceta za biurkiem i nie mam już pewności, czy rozmawiać z nim o kampanii Wunderbar. Nie można wykluczyć, że chodzi o coś zupełnie innego. Wpatruję się w tę gładką twarz, szukając jakichś wskazówek. O jakiej reklamie mówimy? Skody? Koncernu ubezpieczeniowego Life Insurance? Partii Pracy? Tampaksów? Tego nowego gazowanego napoju pomarańczowego?

Nie, okazuje się, że trafiłem w dziesiątkę za pierwszym razem - chodzi o Wunderbar. Gówniana czekolada, gówniana reklama, ale facet za biurkiem widzi to zupełnie inaczej. Instynkt podpowiada mi,

152

że TRZEBA ZMIENIĆ POZYCJĘ PRODUKTU NA RYNKU. A osoba, która ma tego dokonać, to bynajmniej nie ja, mimo moich sukcesów, niewątpliwego talentu, licznych i w pełni zasłużonych nagród oraz wielkiego, niezmiernego szacunku, jakim darzy mnie mój rozmówca... Oto wersja po przekładzie: ten skurwiel ściągnął

mnie tutaj tylko po to, żeby powiedzieć mi: "całuj mnie w dupę!". Czy przyzna się do tego? W żadnym razie.

Mówi, że stawał na głowie. Że przedyskutował sprawę z zarządem. Że naciskał, nalegał, niedwuznacznie proponował korzyści, przypominał o przysługach, które komuś kiedyś zrobił, robił, co mógł i dokładał starań, aby chłopcy z Wunderbar popatrzyli na sprawę z jego punktu widzenia, ale oni nie chcieli. Mówi, że wie, co z nich za ziółka - to urodzeni konserwatyści, ludzie o ptasich mózdkach i wąskich horyzontach, z węzem w kieszeni i alergią na ryzyko.

- Poza tym, Dan, spójrzmy prawdzie w oczy - mówi, zniżając głos o oktawę. - W tej chwili rzeczywiście przedstawiasz pewne ryzyko. Czy zrobiłbyś reklamę, nie przekraczając budżetu? Czy byś się nie buntował? Czy w ogóle zabrałbyś się do roboty? Z ręką na sercu, Dan, i z bólem w sercu muszę przyznać, że wcale nie jestem tego pewny. Szczerze mówiąc, zawsze zachowywałeś się trochę jak primadonna, tyle że dopóki dopinałeś kampanie na ostatni guzik, nikt nie miał nic przeciwko twoim kaprysom. Ale teraz? Całkiem możliwe, że nagle pójdziesz w tygodniowy cug, wciągniesz kilo koki albo kompletnie zgłupiejesz, tak jak podobno w Tokio, czy dwa dni po rozpoczęciu zdjęć polecisz sobie do Honolulu. Szczerze mówiąc, ludzie uważają, że teraz jesteś zdolny do wszystkiego i...

Kilo koki? Gdyby to była prawda... Może powinienem mu powiedzieć, że te scenariusze nie należą do prawdopodobnych, ponieważ od roku nie pracuję i jestem kompletnie spłukany, szczerze mówiąc... I może powinienem dodać, że gdybym nie był spłukany, zniszczony, przeżuty i wypluty, nie

153

siedziałbym tutaj i nie rozmawiał z nim, a już na pewno nie rozmawiałbym o tej głównianej, groszowej kampanii Wunderbar... Czy mam mu powiedzieć, że tak, zajęło mi to trochę czasu, ale wreszcie kapuję, w czym rzecz - to jego zemsta, wcale nie miał zamiaru dać mi tej roboty i naprawdę ściągnął mnie tutaj tylko po to, żebym oberwał prztyczka w nos? Czy mam mu zademonstrować, do jakiego stopnia jestem zdesperowany? Załamać się albo zaproponować, że będę się czołgał po podłodze? Bo widzę, że właśnie na to czeka. Że to wprawiłoby go w doskonały humor na co najmniej miesiąc.

Nic z tego, szczerze mówiąc. Facet jest - i zawsze był - pieprzonym, pompatycznym, żalonym, sfiksowanym na punkcie władzy durniem. Jest niewybaczalnie tępy, nie owijajmy w bawełnę. To leniwy ignorant, reakcjonista i lizus, mściwe beztalencie, pięciogwiazdkowy wrzód na dupie. Gównojad, wielbiciel Thatcher, idiota, kretyn. Zero. Skurwysyn. Zbędna litera alfabetu. Imbecyl, który nie umie odróżnić dobrej



reklamy od byle pierdnięcia, szczerze mówiąc.

I właśnie dlatego wywaliłem go na zbity pysk, przypomniałem sobie. Z powodu głupoty i tych idiotycznych muszek. Podnoszę się z krzesła.

Przez jedną sekundę napawam się radością, ekstazą, joyce'owskim szaleństwem, jakie ogarnęłyby mnie, gdybym powiedział mu to wszystko. Mam te cudowne słowa na czubku języka, ale nie wypowiadam ich. Nie wypowiadam, ponieważ mój wzrok pada na potężny, rozległy blat jego biurka i na leżącą na nim gazetę. Patrzę na "Siostry Mortland", one patrzą na mnie i nagle dociera do mnie wspianiała prawda: Nie muszę tu być. Powinienem być tam, w Opactwie, w świecie wiecznego lata, powinienem wrócić tam jak najszybciej, natychmiast.

I już mnie nie ma. Chwytam teczkę i wybiegam z gabinetu. Zjeżdżam na dół ekspresową windą. Szybko wychodzę na ulicę, wsiadam do taksówki. Każę kierowcy jechać na Piccadilly. Kiedy już wejdę do galerii i stanę przed obrazem, całe

154

moje życie nabierze sensu. Zamykam oczy. Wszędzie korki. Zima w Londynie. Na ulicach jest już ciemno.

Ta amfetamina wyrabia cuda z pulsem. Serce bije najpierw szybko, potem wolno, w jakimś dziwnym perkusyjnym rytmie. Finisterre, finisterre, Finisterre, finisterre... Przyjemna, zwięzła mantra. Przez całą drogę do Akademii powtarzam ją sobie cicho.

Rozdział Jedenasty.

JUDASZ.

Pod galerią dzieje się ze mną coś dziwnego. Stoję na chodniku po drugiej stronie ulicy, cały nagrзany, i nagle, kompletnie bez ostrzeżenia, tracę orientację i wolę działania. Hamletowski moment. Dwubiegunowy moment. Podejrzewam, że wszystko to wina tego syropu na kaszel - Bóg wie, co w nim było.

Czy mam rozważnie pokonać przejście na pieszych czy po prostu rzucić się pod nadjeżdżający autobus? Czy może lepiej by było wrócić do domu, gdzie mógłbym skończyć ze sobą bez bryzgów krwi? Pokusa zakończenia życia narasta we mnie od pewnego czasu. Zacząłem kolekcjonować staromodne brzytwy - bardzo trudno jest je

kupić, musiałem nieźle nabiegać się po sklepach. Nie mogę się jednak zdecydować: poderznąć sobie gardło, co jest krokiem szybkim i ostatecznym, ale jednak brutalnym i nieprzyjemnym, czy żyły na przegubach dłoni, aby skonać powoli i z namysłem, jak prawdziwy stoik, szlachetny Rzymianin... Mam też kilka zwojów solidnego sznura, dość mocnego, aby utrzymać ciężar mojego ciała. Ograбіłem rynek z pigułek nasennych i mam duży zapas ogólnie dostępnych środków przeciwbólowych, na wypadek gdybym stchórzył i stracił serce do brzytwy lub sznura. Przyznaję, że jak na razie nie zdobyłem się nawet na tyle odwagi, aby wybrać drogę tchórza, chociaż późno w nocy pokusa jest czasami naprawdę ogromna. Tak więc skup się, Danielu - przejść czy nie przejść?

156

Nad ulicą olbrzymie bannery reklamujące retrospektywną wystawę wydymają się i powiewają, poruszone powiewem po przejeżdżającym autobusie. Znajoma, jastrzębia twarz Lucasa marszczy się i opada luźno. Zaczyna padać; ludzie rozkładają parasole; dookoła mnie wre charakterystyczna dla późnego popołudnia gorączka końca dnia pracy. Stoję nieruchomo, z oczami utkwionymi w chodniku po drugiej stronie, gdzie tysiąc obcych osób idzie, przechodzi, przystaje i przepycha się. Patrzę na nich z uczuciem sennego oderwania od rzeczywistości, które właśnie mnie ogarnęło - uczucie to może być efektem ubocznym mojego stanu wygnania i bezrobocia, działania tabletek rennie albo po prostu życia. Nagle jedna z postaci odrywa się od grupy i staje rozpoznawalna. To Nicholas Marlow, mój najdawniejszy przyjaciel, człowiek, z którym obiecałem się skontaktować sześć tygodni temu, do którego prawie zadzwoniłem ze sto razy, ale nigdy jednak nie dotrzymałem obietnicy.

Nicholas ma na sobie ciemne palto i idzie szybkim krokiem. Skręci do galerii? Chyba niemożliwe, żeby właśnie teraz też tam się wybierał... Ale wybiera się. Patrzę, jak wchodzi pod łuk bramy i wbiega po schodach. Nie waha się, nie zerka na plakaty, kieruje się prosto do wejścia. I to okazuje się zbawienne - nieszczęsny książę w stanie czarnej depresji wreszcie podejmuje decyzję. Zapala się czerwone światło, taksówka hamuje z piskiem opon. Z teczką pod pachą lawiruję między samochodami, wpadam do bramy, biegnę po schodach, tupię po marmurze, potem po parkiecie. Wiem, w której galerii znajdę Nicka i faktycznie, gdy minąwszy kilkaset korytarzy i kilka tysięcy przejść, wchodzę do sali, zastaję go tam. Siedzi na ławce przed "Siostrami Mortland", odwrócony do mnie plecami obleczonymi w czarne palto. Nie rozgląda się, jest całkowicie zaabsorbowany i nawet w moim rozchwianym stanie zadaję sobie pytanie, co on tu widzi. To, co ja, czy coś zupełnie innego? Jak odczytuje te postaci, kolory, znaki, te kobiety, te kształty?

157

Powoli, niechętnie, podnoszę oczy na portret. Znam go tak dobrze, a jednak za każdym razem, gdy na niego patrzę, odkrywam w nim jakieś zmiany. Obraz nie chce pozostać ciągle taki sam; zachowuje paskudną zdolność budzenia lęku, zdumienia, niepokoju, radości, podniecenia i olśnienia. Jest bardzo duży - postaci są prawie naturalnej wielkości. Trzy siostry, dwie nadal żyjące, jedna dawno zaginiona. Błękitne, przejrzyste spojrzenie trzech młodych dziewcząt napotyka moje i jest to przerażające doświadczenie. Zamykam oczy, bo nie mogę tego znieść. Jakiś cień ich wzroku parzy moją siatkówkę. Finisterre, mówię do siebie w myśli, a kiedy fala wibrującej paniki w cichej sali opada, podchodzę do mojego przyjaciela i dotykam jego ramienia.

- Nick... - mówię. - To ja. Wróciłem.

Nick odwraca się gwałtownie i dostrzegam na jego twarzy wyraz, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. Nie wiem, gdzie Nick przebywa (pewnie w jakimś odległym Timbuktu umysłu), ale musi to być potwornie samotne, przepelnione rozpaczą miejsce. Ucieka z niego z wysiłkiem, potem podnosi się z ławki z pogodną twarzą i ciepłymi oczami, i mocno chwyta moją rękę. Minęło tyle czasu, odkąd ktokolwiek ucieszył się na mój widok, że trudno mi sobie z tym poradzić - dobroć i przyjaźń pozbawiają mnie sił, dokonuję tego, czego nie dokonałyby złość i wrogość. Robi mi się ciemno przed oczami, chwieję się.

Nick otacza mnie ramieniem, pomaga usiąść na ławce.

- Siądźmy na chwilę - odzywa się w końcu. Niewątpliwie dokonał już szybkiej oceny mojej osoby

z medycznego punktu widzenia - mój marny stan po prostu rzuca się w oczy. Nagle uświadamiam sobie jednak, że, sądząc po wyrazie twarzy, z jakim go zaskoczyłem, Nick także nie ma się zbyt dobrze. Jest to dziwne, ponieważ Nick ma wszystko - dobry, szlachetny zawód, zasłużony szacunek ludzi, dom, dzieci i żonę - podczas gdy ja... Ja nie mam pracy, rodziców, dzieci ani żony, mam natomiast debet na koncie,

158

zszarganą reputację i bardzo, bardzo niewiele czynników rekompensujących tę sytuację. Dziś nawet seks jest... Cóż, lepiej nie poruszajmy tego tematu.

Dzielące nas różnice znikają, kiedy siadam obok niego. Nie mają znaczenia, są kompletnie nieważne. Nick zawsze posiadał dar uciszania niepokoju -jego przyjaźń jest tak mocnym oparciem, że wracam do siebie i to dziwaczne rozczłonkowanie, wrażenie istnienia w wielu kawałkach, rozwiewa się, Bogu niech będą dzięki. Siedzimy obok siebie w milczeniu, które wcale nam nie przeszkadza. Znowu

podnoszę wzrok na obraz Lucasa. Patrzę na trzy siostry; jednej z nich nie lubiłem, jedną lubiłem, jedną kochałem. Lucas obdarzył je pełnym napięcia bezruchem, zupełnie jakby lada chwila miały zejść z płótna i przemówić. Patrzę na podobną do Walkirii Julię, na Finn i na Maisie, która wydaje się mała, drobniutka, wręcz skarłała obok starszych sióstr. Cóż, Maisie naprawdę była niska jak na swój wiek... Była szczupłym, poważnym, niepokojącym dzieckiem. Moja babka powróżyła jej raz z kryształowej kuli.

- Co zobaczyłaś w kryształach, Maisie? - spytałem. Wiedziałem, że coś zobaczyła, bo zrzuciła kulę na podłogę, rozbiła ją.

- To jest sekret, którego nigdy nie ujawnię - odparła. Zawsze mówiła w dziwny sposób, rytmicznie odmierzając

słowa. Przypominało to tykanie bomby zegarowej albo odgłosy wydawane przez automat. I dotrzymała słowa. O tym, co zobaczyła, nie powiedziała nikomu, nawet Finn - wiem, bo pytałem, już po wypadku.

Jaki był ten twój sekret, Maisie, myślę, patrząc na namalowane przez Lucasa dziecko. Maisie trzyma w ręku małe nożyczki - nigdy nie zwróciłem uwagi na ten szczegół. Tak, małe nożyczki. Za nią, na tle niesamowitego, nierównomiernie rozlewającego się światła, widzę jakiś kształt, chyba jest to jakaś istota. Malowane przez Lucasa kształty zawsze są sugestywne, płynne i nieokreślone, ale to chyba jest ptak. Jestem

159

prawie pewny, że to jaskółka. Nożyczki i chyba jaskółka na tle chyba angielskiego, chyba burzowego chyba nieba za głową Maisie.

Zastanawiam się, kiedy ostatni raz widziałem jaskółkę. I, dzięki panującej w galerii ciszy, a może pewności, jaką daje mi bliskość Nicka, a może tym nieprzewidywalnym pigułom, a może denerwującemu, przenikliwie błękitnemu spojrzeniu trzech par oczu, zostaję uwolniony. Jest to proces tak szybki, że początkowo w ogóle nie zdaję sobie sprawy, co się dzieje. W jednej chwili jestem w galerii, na ławce, a w następnej w nieograniczonej przestrzeni mojego angielskiego dzieciństwa. Siedzę na brzegu stawu Black Ditch razem z Nickiem; buduję z nim zapórę w Nun Wood; obserwuję, jak mój ojciec orze pole, a Bella mówi: "To prawdziwa sztuka, naprawdę". Potem Bella chwyta mnie za rękę i prowadzi korytarzami Opactwa, które do złudzenia przypominają labirynt, aż w końcu otwieramy jakieś drzwi (wyglądają jak drzwi kredensu) i widzimy ustawioną drabinę. "No, wchodź na górę", szepcze Bella. "Obiecałam przecież, że ci pokażę, prawda?"

Pomaga mi wspiąć się po szczeblach i nagle widzę małą kwadratową kliteczkę z małym kwadratowym otworem w ścianie. "To coś niezwykłego", mówi Bella.

Przyglądam się temu z powątpiewaniem. "Coś niezwykłego" jest strasznie stare, kamień i wapno dookoła kruszą się, w mrocznych zakamarkach czyhają pająki, jestem tego pewny, a ja potwornie boję się i brzydzę pajaków. Tych włochatych, tych czarnych i tych małych, z woreczkami jadu pod ośmioma króciutkimi nogami. Pająki potrafią poruszać się bardzo szybko; niektóre umieją skakać. Zupełnie możliwe, że jest ich tam całe gniazdo i wszystkie bacznie obserwują moje zbliżające się oko. Ciach, ciach - czy pająki mają zęby? Czuję drżenie tych małych, wygłodniałych otworów gębowych, które tylko czekają, żeby wyssać galaretkę z mojej gałki ocznej. Wyobrażam sobie siebie ślepego, pozbawionego oka... "Dalej, przestań się namyślać", mówi Bella. "Nie zamierzam

160

stać tu cały dzień, to tylko małe pomieszczenie, nie ma się czego bać", ponagla. Wyczuwam w jej głosie zniecierpliwienie i sarkazm. "Urodziłeś się tutaj, wiesz? O, tu, przy tym środkowym oknie, opowiadałam ci o tym tyle razy... Wtedy wydawało mi się, że jesteś chłopcem, ale chyba się myliłam. Wychodzi na to, że trzymałam na rękach dziewczynkę, i to strasznie tchórzliwą..." I, aby jeszcze podkreślić tę obelgę, mocno szczypie mnie w łokieć.

To załatwia sprawę. Przytykam sześćioletnie oko do tego "czegoś niezwykłego". "Coś niezwykłego" ma nazwę. To judasz.

Strasznie się boję, że zobaczę zakonnice. Może szkielety w habitach - zakonnice pełne paskudnej żywotności, choć przecież nieżyjące od kilkuset lat. Rok wcześniej, w moje piąte urodziny, w Opactwie pojawiła się ekipa archeologów. Mieli pisemne pozwolenie od Mortlandów, którzy wtedy przebywali w Meksyku, na rozpoczęcie prac wykopaliskowych. Zaczęli kopać na terenie dawnego klasztoru, ale nie znaleźli dużo. Rozkopali fosę i znaleźli gówno, zgodnie z przewidywaniami Belli. Potem skupili uwagę i wysiłki na zagajniku Nun Wood. Odślonili tam fundamenty małego okrągłego budynku, znaleźli ślady istnienia paleniska, skorupy glinianych naczyń i resztki sprzętów, lecz nie odkryli ołtarza, żadnej kapliczki ani niczego takiego, co zdaniem szefa ekipy było dziwne, ponieważ, według dokumentów, ta budowla, wzniesiona poza murami klasztoru w połowie piętnastego wieku, pełniła rolę miejsca medytacji, modlitwy i odosobnienia.

Nick i ja szybko przestaliśmy interesować się wykopaliskami. Mieliliśmy nadzieję, że archeolodzy znajdą coś niezwykłego, zresztą samo ich pojawienie się było pewnego rodzaju rozrywką, bo przecież w Wykenfield wszystko, co nowe i odbiegające od

codziennosci, wywoływało ogromną ekscytację. Jednak prace wykopaliskowe trwały i trwały, kopanie było żmudne i powolne, a potem archeolodzy przesiewali ziemię

161

i pędzelkami omiatali kawałki skorup, które dawno temu były nie wiadomo czym. Kręciliśmy się w pobliżu, pełni nadziei na coś naprawdę okropnego, ale w końcu się poddaliśmy. I wtedy, w ostatnim tygodniu prac w Nun Wood, naukowcy zrobili jeszcze jeden wykop, pod kątem prostym do odkrytych fundamentów. Trochę ponad pół metra w głąb natrafili na kamień. Pod kamiennymi płytami - były tam trzy kamienne płyty o wygładzonych krawędziach, małe, prawie owalne - znaleźli...

Znaleźli to, czego teraz tak się strasznie boję. Trzy dziecięce szkieleciki. Trzy maleńkie, dawno pogrzebane kościotrupki z różańcami w kościstych małych rączkach, z dobrze zachowanymi grubymi rzemieniami wokół kościstych małych szyjek. Nick i ja byliśmy tam, przerażeni i płonący ciekawością, kiedy ekipa miękkimi pędzlami usuwała ziemię z malutkich oczodołów. Jedno dziecko miało gniazdo robaków w klatce piersiowej. Szef archeologów zaklął, a jego zastępczyni powiedziała: "Nie do wiary, przecież zakonnice nie mogły... Dobry Boże, patrzcie, jakie maleńkie, to noworodki! Chyba ich nie zadusiły, to niemożliwe, prawda?" Później zaczęło się zamieszanie, naukowcy odbyli szeptem konferencję i wyprosilili mnie i Nicka poza teren. Wszystko to zdarzyło się przed rokiem, a ja nadal nic nie rozumiem, bo chociaż nie wiem dużo o zakonnicach, to ponad wszelką wątpliwość wiem jedno: zakonnice nie są jak inne kobiety i nie mogą mieć dzieci.

Więc czyje były tamte noworodki? Kto je zabił i dlaczego? Zadawałem te pytania wszystkim i dalej nie znam odpowiedzi. Podejrzewam, że Nick, który jest trzy lata starszy ode mnie (i ma ojca lekarza), może wiedzieć, w czym rzecz. Jestem pewny, że Bella wie, co się stało, i mój tata także, ale milczą jak zakłęci. Szkoda. Możliwe, że gdyby wszystko mi wytłumaczyli, ta trójka dzieci z klasztoru przestałaby nawiedzać moje sny, przestałaby pojawiać się przede mną noc w noc, ledwo zamknę oczy. Nie mam cienia wątpliwości, że zobaczą je także i teraz, w tym judaszu. Zobaczą te białe twarzyczki

162

o niewidzących oczach i luźno opadających dolnych szczękach, z wątlutkami, podobnymi do rybich ości kręgosłupami i mocno zaciśniętymi na paciorkach różańca popękanyimi kośćmi paluszków - oto, co zobaczą na dnie wąskiego, ciemnego tunelu. Ponieważ noszę takie nazwisko, jakie noszę\*, myślę o nich jako o braciach i siostrach: czuję ich zapach i tę kwaśną niemowlęcą złość, wznoszącą się ku mnie tunelem judasza.

[\* Nunn - wymawia się identycznie jak rzeczownik "nun" - zakonnica (przyp. tłum.)].

Mocno zaciskam powieki (Bella tego nie widzi) i nie zamierzam ich unieść, dopóki nie będę miał jakiegoś rodzaju ochrony. Może wystarczyłaby modlitwa, ale ja nie pokładam zbyt wielkiej wiary w modlitwie - żadne modły nie zwróciły mi mojej matki, Dorrie, a przecież modliłem się o to praktycznie bez przerwy. Próbuje więc rzucić zaklęcie. To cygańskie zaklęcie, nauczyła mnie go Ocean, syczące i świszczące, węzowaty zwój słów, które tylko w połowie znam i rozumiem; wypowiadam je szybko, najcichszym szeptem, trzy razy, bo było tam troje zamordowanych dzieci i dopiero wtedy otwieram oczy.

Okazuje się, że podziałało. Nie ma żadnych zakonnicy, żadnych noworodków. Moje zdumione spojrzenie mknie tunelem, który działa trochę jak odwrócony peryskop. Widzę zupełnie zwyczajny pokój, bibliotekę Mortlandów. Dobrze znam wszystkie szczegóły tego pomieszczenia i nie ma w tym nic dziwnego, bo jakieś dziesięć minut wcześniej byłem tam z Babcia, pomagałem jej odkurzać nieużywane stoliki, strzepywać białe prześcieradła, okrywające pękate fotele i poprawiać papierowy ekran, zasłaniający czarny od sadzy kominek. Bella ma zwyczaj spluwać na srebrne ramki fotografii, a później poleruje je rękawem swetra. Te zabiegi nie przywracają metalowi połysku i nawet ja widzę, że Babcia coraz mniej się stara, ale jakie ma to znaczenie? Mortlandów nie ma, wyjechali z Suffolk pod koniec wojny, kiedy Guy Mortland został

163

z powodu choroby zwolniony ze służby w RAFie. Od tamtego czasu ciągle wędrują - stary ojciec, syn, jego żona i podobno dwie córki (tak mówi Bella), Julia oraz Finn. Byli już na Wyspie Wight, w Szkocji, Szwajcarii, a ostatnio w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. W żadnym z tych miejsc nie zdołano wyleczyć Guya Mortlanda, który ma chore płuca - i nie tylko, jak mówi Babcia, ciężko wdychając. Kto wie, kiedy (i czy w ogóle) rodzina wróci do Opactwa...

Czy teraz widzę coś, co miałoby ścisły związek z Mortlandami? Widzę leżącą na podłodze skórę martwej lwicy, która szczyrzy połamane zęby. Wypchaną kobrę, przęcającą się pod tacą z brązu, na której dziadek Mortland lubił stawiać wychylaną wieczorem szklaneczkę whisky. Wielkie, przycupnięte kształty mebli, przywiezionych z Elde Hall, rodzinnego domu starego pana Mortlanda; są to tak zwane "porządne" meble, które Bella ma polerować woskiem. Widzę drewniane panele na ścianach (jeden z nich przesuwają się i odsłania wąską klatkę schodową, którą niestety nie można dostać się do żadnego fascynującego miejsca) i szeregi książek o spleśniałych miejscami skórzanych okładkach (od czasu do czasu wolno mi

omiatać je miotełką z piór, ale jeszcze nie wolno czytać). Judasz ma pewien kąt nachylenia i dlatego nie widzę najważniejszej części biblioteki - marmurowego kominka, wmurowanego we wschodnią ścianę, gdzie kiedyś zakonnice miały ołtarz, jak mówi Bella. Nie widzę też moich ulubionych przedmiotów, tych, których pożądam całym sercem, zajmujących honorowe miejsce na okapie kominka.

Są to trzy wydrążone w środku kule z kości słoniowej, wykonane przez jakiegoś chińskiego rzemieślnika czarodzieja, który wyrzeźbił na ich powierzchni kulisów, smoki i dżonki, a we wnętrzu każdej zamknął siedem, osiem, dziewięć mniejszych kul. Wszystkie, nawet ta najmniejsza, maluteńka, wielkości groszku, pokryte są wyrzeźbionymi figurkami, i wszystkie się obracają. Jak udało się ich twórcy zrobić coś takiego, skoro każda kula została wyrzeźbiona z jednego kła

164

i żadnej z nich za żadne skarby świata nie da się otworzyć?

Próbuję spojrzeć przez judasza z innego punktu, ale chociaż bardzo się staram, nie jestem w stanie zobaczyć tamtej części pokoju. Patrzą więc na dowody istnienia Mortlandów - lubię patrzeć na ich rzeczy, ponieważ historia tej rodziny jest tak bogata i tak mi znajoma. Jej fragmentów słuchałem od najwcześniejszych lat, odkąd pamiętam. Lubię zestawiać ich historię z należącymi do nich przedmiotami i obserwować, jak do siebie pasują. W domu mamy różne fragmenty Anglii, różne pamiątki z okresu, kiedy Babcia była młodą dziewczyną i jeszcze podróżowała; mamy pamiątki po Ocean; mamy dyplomy, które ojciec dostał za mistrzowskie osiągnięcia w oraniu, cenne dla mnie, ponieważ przypominają mi, że te umiejętności są dziedziczne - te same pola uprawiał dziadek Joego i dziadek jego dziadka. Jeżeli będę miał szczęście, także odziedziczę te zdolności; tymczasem często zachodzę porozmawiać z moimi milczącymi przodkami, którzy spoczywają na przykościelnym cmentarzu. Lecz tutaj... Tutaj cały świat znajduje się w jednym pokoju, tak, cały świat. Czuję się trochę tak, jakbym patrzył na wielką mapę, wiszącą na ścianie w szkole, i widział różowe Imperium Brytyjskie, różowe Indie i różową Afrykę. Tu leży skóra lwicy, którą jakiś wuj upolował w Botswanie, stół z kobrą, kupiony przez innego wuja na bazarze w Kalkucie oraz magiczne kule z kości słoniowej, które jeszcze inny, trudniący się handlem krewny przywiózł z wojen opiumowych (czymkolwiek one były). Wszystko to w jednej bibliotece, plus przycupnięte pod prześcieradłami "przyzwoite" meble, od dziesięcioleci, od setek lat pielęgnowane woskiem przez podobne do mojej Babcia istoty... Zdaję sobie sprawę, że w porównaniu z tym nasz domek, nawet z tarotem i dyplomami za oranie, wydaje się nieco ciasny i ograniczony.



W tej chwili widok biblioteki z tego kąta naprawdę mnie ciekawi. Pokój kojarzy mi się z domkiem dla lalek - mogę

165

ustawić lalki Mortlandów tam, gdzie pasują. Dziadek, który zdaniem Angusa McIvera nie ma zielonego pojęcia o uprawie ziemi, powinien siedzieć na kanapie i w nieskończoność popijać whisky. Guy, ten, który teraz choruje, ale dawniej był wielką nadzieją swego ojca, pasuje do kolekcji miniaturowych kijów do krykieta. Starsza dziewczynka, Julia, śliczna jak obrazek i dumna jak księżniczka (tak mówi Bella), ma siedzieć przed lustrem na przeciwnej ścianie: ma złociste włosy i marzy o księciu (może o mnie), który pewnego dnia przybędzie do Opactwa i uratuje ją. Młodsza, Finn, to najprawdziwszy mól książkowy. Nic więcej o niej nie wiem, więc ustawiam ją obok półek z książkami. Matka, Stella, jakoś nie pasuje do tego pokoju, ale Bella mówi, że świetnie gotuje, dlatego postanawiam szybko przenieść ją do kuchni. Teraz muszę umieścić gdzieś jeszcze syna... Mortlandowie nie mają jeszcze męskiego potomka, ale starają się o niego.

I myśląc o synu, którego na razie nie ma (jaki będzie, jak będzie wyglądał), zastanawiając się, czy rodzina kiedykolwiek wróci do domu i czy uda mi się z nimi zaprzyjaźnić (jedynym moim przyjacielem jest Nick; w szkole dzieciaki szarpią mnie za włosy i nazywają "brudnym Cyganem"), w końcu zatrzymuję wzrok na oknach. Okna są przecięte w połowie wysokości podłogą, którą zainstalował dziadek Mortland, ale mimo tego nadal wydają się ogromne, trzy, może cztery razy wyższe ode mnie, zakończone ostrymi łukami i rzeźbami aniołów o macierzyńskich twarzach. Szklane tafle osadzone są w ołowianych ramkach, które przystosowano do codziennego użytku tak, aby można było je uchylać i otwierać. Na gładkiej powierzchni parapetów i kamieni po obu bokach okien widać, tak, widzę je, chociaż muszę mocno wytężyć wzrok, znajome ślady po kulach.

I to właśnie z tymi śladami, które uwielbiam dotykać, przesądnie pocierać i w które lubię wpasowywać palce, wchodzę do tego pokoju ja. Wchodzę w wielkim stylu, prawdziwie

166

dramatycznym. Mając sześć lat, nadałem tej tragedii piękny tytuł: "Danny w jaskini lwa".

Te rowki po pociskach, cztery na parapecie, pięć na kamieniach po bokach, to ślady po ostrzale z działka messerschmitta. Była wojenna wiosna. W jednej chwili dookoła panował senny angielski spokój, a Babcia i jej córka Dorrie ścierały kurz z mebli w

bibliotece Mortlandów, lecz już w następnej ciszę zakłócił warkot silnika myśliwca. Na tle nieba nad odległą częścią doliny pojawiła się srebrzysta iskierka i mój ojciec, który pracował na zewnątrz, oparł się na trzonku łopaty i zmrużył oczy, próbując zidentyfikować samolot. To nie spitfire, pomyślał, sięgając po paczuszkę z nasionami marchwi, które on, człowiek do wszystkiego, miał zasiać na świeżo skopanej grządce. Nie jeden z naszych, uświadomił sobie. Wyprostował się i patrzył, jak iskierka staje się insektem, potem ptakiem i zbliża się coraz bardziej.

W końcu dostrzegł żółty, stożkowaty nos maszyny i skrzydła o stępionych krawędziach. Messerschmitt, pomyślał albo może krzyknął, kiedy samolot zaczął schodzić w dół, umykając spod słońca i sunąc tuż nad sadami. Jeżeli rzeczywiście krzyknął, ryk silnika zagłuszył jego głos, więc nie mógł już nic więcej zrobić; stał tylko, z niedowierzaniem patrząc, jak nieprzyjacielska maszyna otwiera ogień i ostrzeliwuje główny budynek Opactwa, a dokładnie południową ścianę z wieloma oknami. W jednym z okien widział sylwetkę mojej ciężarnej matki, Dorrie, która właśnie w tamtej chwili, w tej nieszczęsnej, naznaczonej palcem fatum chwili, odłożyła ścierkę do kurzu, odwróciła się i wychyliła przez otwarte okno, być może po to, aby zawołać męża.

Oczami sześciolatka patrzę na ten katastrofalny, tragiczny moment. Dobrze wiem, co zdarzyło się później. Cud. Kule ominęły Dorrie. Ominęły i mnie, wygodnie ułożonego do snu w jej macicy, cieszącego się leniwym spokojem ostatnich dwóch tygodni przebiegającej bez najmniejszych problemów

167

ciąży. Niemiecki pilot samolotu, który Babcia z uporem nazywa Mister Smidem, miał mniej szczęścia. Zawrócił, bezskutecznie próbował odzyskać wysokość i, błędnie oceniwszy szybkość oraz kąt nurkowania albo po prostu nie wytrzymał napięcia, walnął w stado krów pasących się na Acre Field. Tam spłonął w kabinie, zabiwszy cztery krowy, które także spłonęły. Całopalenie to przez całe dwa dni obserwowali mieszkańcy wioski, prawie wszyscy (oczywiście nie przez cały czas) z wyjątkiem doktora Marlowa, jego żony i malutkiego synka Nicholasa. Wszyscy oni, jak mówi Babcia, wyrazili całkowitą i zdecydowaną dezaprobatę wobec tego upodobania do makabry, ale czegoż można było spodziewać się po doktorze i doktorowej z Cambridge - zadzierali nosa i demonstrowali to przy każdej okazji.

Ten werdykt wydaje mi się trochę surowy. Tak czy inaczej, na razie musimy wziąć pod uwagę konsekwencje wspomnianego ostrzału. Bo co zdarzyło się chwilę później? Dorrie zaczęła rodzić, oto, co się zdarzyło - dwa tygodnie za wcześnie, a wszystko ze strachu, mówi Babcia. Wody odeszły jej tam, gdzie stała, między lwia

skórą i środkowym oknem. Obserwuję znajomą scenę: oto matka, której nie znam, osuwa się na podłogę; słycać krzyki i wrzaski; mój ojciec biegnie po pomoc; Bella z poważną, skupioną twarzą klęka między rozłożonymi nogami córki; i wszystko powinno być dobrze, ponieważ Bella jest jednym z czternaściorga dzieci, była obecna przy co najmniej sześciu porodach swojej matki, i proces rodzenia nie ma dla niej żadnych tajemnic. Jednak ten poród nie przebiega według ustalonych reguł, przeciwnie, zaczyna je łamać. Jest to pierwsze dziecko Dorrie, która sama jest smukła i drobna, więc Bella od początku przewidywała długi poród, ale temu noworodkowi bardzo śpieszy się na świat i po niecałych piętnastu minutach widać już jego (moją) główkę. Jeszcze chwila i dziecko energicznie wydobywa się z kanału rodnego - małeńka obca istota wymyka się z pułapki.

Bella mocno trzyma śliskiego małego Marsjanina. Dziecko

168

jest śliskie od krwi, której w ogóle jest bardzo dużo, za dużo. Bellę ogarnia strach. Wypuszcza mnie z rąk, ląduję na lwiej skórze. Podobno nowo narodzony Daniel wyglądał przerażająco i imponująco - czarne cygańskie włosy, umięśnione ramionka, purpurowa buzia, ściągnięta bólem i oburzeniem, zakrwawione rączki, mocno ściskające grubą, fioletową linę pępownicy.

Próbuję wykonać niemożliwą do wykonania sztuczkę -wspiąć się po pępowninie z powrotem do macicy, a kiedy mi to nie wychodzi, daję wyraz frustracji w sposób, który Bella będzie mi zawsze wypominała. Najpierw otwieram oczy - klik! - zupełnie jakby ktoś otworzył obiektyw aparatu fotograficznego. Potem rozchyłam usta, szerokie, uzbrojone w różowe dziąsła i tragiczne. Nie trzeba potrząsać mną ani wymierzać mi klapsa - sam z siebie wydaję okrzyk, jeden pełen bólu epicki okrzyk, tylko jeden. Bella nigdy nie słyszała czegoś takiego. Krzyk dziecka odbija się echem od ścian ogromnego domu, który kiedyś był klasztorem, i ten dźwięk ścina krew w żyłach Belli. Natychmiast wyczuwa obecność sił nadprzyrodzonych. Obecność Daru, który z żeńskiej linii rodu, z Ocean i Belli, przeszedł na mnie. Ten cygański noworodek wie, że jego matka, bezsilnie leżąca na podłodze, jest zajęta umieraniem. Jego żałosny okrzyk ma charakter prorocstwa. Malec wie, że zabił własną matkę.

W tym momencie, sprowadzony tak szybko, jak było to możliwe, ale za późno, na scenie pojawia się wspomniany "obcy z Cambridge", doktor Marlow. Zajeżdża pod dom swoim fordem, wioząc ze sobą mojego bladego jak ściana ojca i pędem wbiega po schodach do biblioteki, która kiedyś była kaplicą Najświętszej Maryi Panny. Przecina pępowninę, zawija mnie w halkę Belli i próbuje zatamować krwotok. Bezskutecznie. Moja matka umiera bez słowa, a ja wciąż nie wiem, gdzie rozstała się

z tym światem. Nie wiedziałem tego, kiedy oczami sześciolatka zaglądałem przez judasza do biblioteki i nie wiem dalej, kilkaset lat później, może nawet kilka tysięcy

169

lat później, w każdym razie tak mi się wydaje, gdy siedzę na ławce w londyńskiej galerii obok syna doktora Marlowa.

Czy Dorrie wykrwawiła się na śmierć na podłodze czy w drodze do wiejskiego szpitala w Deepden, czy może w szpitalnej sali, po paru godzinach? Wiem, że ją zabiłem, ale chciałbym się dowiedzieć, gdzie to się stało. Bella powtarzała mi: "W szpitalu, głuptasie. Trzymała w ręku tę małą białą książeczkę do nabożeństwa, którą jej dałam, tę w skórzanej okładce, nie chciała się z nią rozstać. A kiedy odeszła, Joe i ja ubraliśmy ją w ślubną suknię. Dla twojego ojca było to bardzo trudne. Nie znoszę patrzeć na płaczących mężczyzn, ale oni dwoje kochali się od dziecka, a suknia miała niecały rok, uszyliśmy ją z satyny, poświęciliśmy na nią wszystkie nasze kartki. Wystawiliśmy ciało w salonie na parterze i wszyscy ludzie z miasteczka przyszli pożegnać się z nią i złożyć nam kondolencje, a kiedy Mortlandowie dowiedzieli się o jej śmierci (Joe do nich napisał), przysłali telegram, który oprawiłam w ramki i powiesiłam na ścianie. Biedna Dorrie, zawsze tak ich lubiła i podziwiała... Na pewno chciałyby zachować tę depezę".

Ale czy uwierzyłem Babci? Czy wierzę w jej słowa? W dzieciństwie ciągle szukałem Dorrie w jej sukni z białej satyny. Sądziłem, że jeżeli bardzo cichutko zakradnę się do biblioteki, zaskoczę ją tam i z jej własnych ust dowiem się, co naprawdę się stało. Miałem nadzieję, że powie mi, że mi wybaczyła. Że wyjaśni, dlaczego mnie zostawiła. Jednak nigdy niczego mi nie wytłumaczyła, a fakty także nie przyszły mi z pomocą. Urodziłem się w dniu zakończenia wojny - to akurat jest pewne, poza wszelką dyskusją, datę wyraźnie wypisano na akcie urodzenia. Historyczny dzień i historyczne urodziny, urodziny wojny i pokoju, jak mawiała Babcia, próbując mnie pocieszyć. To była wina messerschmitta, nie moja, muszę o tym pamiętać. Gdyby nie samolot, poród przebiegłby całkowicie normalnie i Dorrie nie zostawiłaby swego synka. Przestań użalać się nad sobą, powtarzała Babcia, szczypiąc

170

mnie lekko. Pomyśl lepiej, ile dzieci ma szczęście urodzić się na lwiej skórze, co?

Piękna opowieść. Lepiej tylko zignorować bardziej dociekliwe pytania, na przykład: co w ten majowy dzień robił nad polami Suffolk niemiecki myśliwiec... I dlaczego temu Szwabowi (według Babci niemiecki pilot miał na głowie hełm) miałyby tak zależeć na wyprawieniu na tamten świat dziewiętnastoletniej Angielki w

zaawansowanej ciąży, która z czułością obserwowała przez okna swego męża, zajętego wtykaniem w ziemię nasion marchewki (podobno firmy Cotter - za dużo szczegółów; to właśnie ten detal pierwszy wzbudził we mnie podejrzenia)? Jaką misję miał ten zapóźniony kamikadze? Wojna w Europie była już przecież zakończona. Co więcej, w historii moich narodzin przy każdej okazji pojawiały się jakieś nieścisłości, podobnie jak w wielu opowieściach Belli. Czasami Mister Smid zmieniał oblicze - raz okazał się dornierem, nie messerschmittem.

- Sprawdziłem, jak to było - rzucam teraz głośno, prosto w panującą w galerii senną ciszę.

A może tylko mi się wydaje, że odezwałem się na głos, bo Nick nie reaguje. Nie reaguje także starszawy strażnik, który siedzi przy wejściu do sali. Poza nami nie ma tu nikogo, pewnie dlatego, że za parę minut galeria będzie już zamknięta.

Tak czy inaczej, rzeczywiście sprawdziłem. Miałem wtedy piętnaście lat i byłem uczniem szkoły średniej. Udałem się do archiwum lokalnej gazety i zasiadłem nad starymi, pożółkłymi i woniejącymi stęchlizną kartkami. Rezultat: potwierdzenie wszystkich moich podejrzeń. Incydent z messerschmittem faktycznie miał miejsce, myśliwiec naprawdę ostrzelał Opactwo serią z pokładowego karabinu maszynowego. Nie wiadomo dlaczego - niektórzy przypuszczali, że leciał nad bazę bombowców w Deepden i zaczął strzelać ot, tak sobie. Moim zdaniem nie jest to prawdopodobne. Możliwe, że Niemiec, który w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach oddzielił się od swego batalionu, wpadł w panikę. Szczerze mu współczuję,

171

bo zginął naprawdę okropną śmiercią, uwięziony w płonącym samolocie na Acre Field. Sęk jednak w tym, że incydent wydarzył się cztery lata przed zakończeniem wojny, dwa lata przed ślubem moich rodziców i czterdzieści osiem miesięcy przed dniem moich urodzin, kiedy to wylądowałem na lwiej skórze.

- Chcę dowiedzieć się prawdy - oznajmiłem Belli po powrocie z archiwum.

Rzuciła mi jedno ze swoich oceanicznych spojrzeń - bezdenna mądrość starej Cyganki, oczy utkwione w wieczności, i tak dalej, i tak dalej. Nie dałem się nabrać.

- No, Babciu, co naprawdę się zdarzyło? - zapytałem. No i dowiedziałem się: tak, wszystko to prawda - miejsce

zdarzenia, nagły poród, okno, nasiona marchwi firmy Cotter, lwia skóra. Jedyńm ozdobnikiem był messerschmitt - Babcia dorzuciła go, kiedy byłem mały i bez przerwy zasypywałem ją pytaniami. W pewien sposób i messerschmitt mógł zresztą

być prawdziwy, ponieważ kiedy moja matka stała przy tym oknie w dawnej kaplicy, rzeczywiście coś zobaczyła.

Jeśli chodzi o to, co zobaczyła, to Babcia nie mogła mieć, biorąc pod uwagę wspomniane okoliczności, żadnej pewności. Niewykluczone, że było to widmo tamtego nieszczęsnego samolotu, wykonujące powtórny lot w tym samym miejscu po czterech latach od katastrofy. Równie dobrze mogło to być coś zupełnie innego, lecz niezależnie od tego, co to było, Dorrie, która nigdy wcześniej nie zdradzała oznak posiadania Daru, zobaczyła coś niesamowitego, coś, na co ślepa pozostała nawet obdarzona Darem Babcia, coś przerażającego. Na tyle przerażającego, że od razu zaczęła rodzić.

Wstaję. W galerii panuje cisza. Nick nie oddycha. Ja także. Myślę o mojej przeszłości, o mojej winie. Jako dziecko miałem duże trudności z zaakceptowaniem historii moich narodzin; później wyhodowałem sobie grubszą skórę. Odkryłem, że tłoczące się w tle poczucie winy i wstydu można skutecznie stłumić, wręcz unicestwić, jeśli będzie się umiejętnie podkreślać

172

ich przedmiot. Tak więc, w Cambridge (gdzie zdarzało się spotkać jednego i drugiego snoba, w sumie na pewno ponad tysiąc) podkreślałem moje cygańskie pochodzenie, subtelnie chwaliłem się Ocean, Bellą oraz ojcem oraczem. Tak jest, byłem Cyganem i wsiakiem, ale nie byłem głupi: wiedziałem, że nie ma sensu ukrywanie pochodzenia, a poza tym studiowałem w latach sześćdziesiątych, kiedy egzotyka klasy pracującej niekoniecznie musiała być minusem - wręcz odwrotnie, podana w odpowiednim sosie, mogła okazać się najmocniejszą kartą.

Kiedy już raz zacząłem, nie mogłem przestać. Gloryfikowałem i upiększałem, a tamtego lata w Opactwie, gdy Lucas namalował portret, krwawą historię moich narodzin miałem już naprawdę dobrze opracowaną. Raczyłem nią ludzi niczym wysokogatunkowym alkoholem; jedną z osób, którą uraczyłem tym trunkiem, była Maisie. Był ciepły wieczór kilka dni po dorocznej wizycie w Elde i wszyscy siedzieliśmy w bibliotece.

Podszedłem z Maisie do okna i pokazałem jej ślady, gdzie krew Dorrie i moja pozostawiła plamy na parapecie.

- Zobaczyła coś strasznego? - Maisie ściągnęła brwi. - Zakonnice? Czy tych troje martwych dzieci?

Ponieważ wcześniej, Boże miej litość nade mną, opowiedziałem jej także o zaduszonych noworodkach.

- Przerazającego - sprostowałem, pełen animuszu po kilku kieliszkach wina. - Zobaczyła coś przerażającego...
- Jesteś pewny, że to było środkowe okno?
- Zdecydowanie, środkowe.
- W tym oknie zobaczyłam ciebie - powiedziała z charakterystyczną powagą. - Zobaczyłam cię jako pierwsza osoba z naszej rodziny. Było to w dniu pogrzebu Tatusia, chociaż oczywiście nie był to taki prawdziwy pogrzeb. Dlatego jesteśmy przyjaciółmi.
- Tak...-mruknąłem.-Masz rację... I wróciłem do Nicka, Finn oraz Julii.

173

Trzy tygodnie później Maisie poszła do biblioteki, kiedy nikogo tam nie było, otworzyła to samo okno, stanęła na parapecie i skoczyła. Skoczyła z wysokości ponad dziesięciu metrów, na kamienne płyty klasztornej dziedzińca. Naturalnie istnieje także szkoła rozumowania (stworzyła ją Stella), zgodnie z którą Maisie nie skoczyła, tylko po prostu poślizgnęła się na parapecie.

Nie należę do zwolenników tej szkoły.

To ja znalazłem Maisie.

Nie mogę o tym myśleć.

- Za sekundę wracam... - mówię do Nicka, oddalając się pośpiesznie. - Muszę tylko... Zaraz wracam...

Szybciej! Wypadam z sali i jestem dziesięć kilometrów dalej, zanim Nick się orientuje, co się stało.

- Pomocy! - mówię do pierwszego umundurowanego, na jakiego wpadam.

Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby mnie zamknął, ale nie, to dobra duszyczka, ten strażnik galerii. Ujmuje mnie za ramię, wskazuje jakieś schody i - faktycznie - po wykonaniu kilku okrążeń tego piekła w końcu znajduję właściwe drzwi. Wchodzę do środka i jestem sam, na szczęście, tylko moje lustrzane odbicia i ja, potrójna wersja Daniela w męskiej toalecie.

Rozdział Dwunasty.

PATRZ UWAŻNIE.

Chcę, aby było to całkowicie jasne: wszystkiemu, co wydarzyło się później - wszystkiemu - winne są dwie minuty dwadzieścia sekund, które spędziłem w tej chłodnej, cichej, wyłożonej białymi kafelkami przestrzeni.

Otworzyłem drzwi, zamknąłem je za sobą, zobaczyłem w lustrze koszmarnie widmo, jakim się stałem, i w jednej chwili zrozumiałem, co muszę zrobić. Muszę wytrzeźwieć, przestać brać i na dobre odzwyczaić się od prochów. Muszę wyrzucić resztę zapasów prochów - sześć tygodni wcześniej obiecałem Nickowi, że to zrobię, ale nie dotrzymałem słowa.

Muszę wziąć się w garść. Muszę się zmienić. Muszę zacząć teraz. Natychmiast.

Jeżeli w przeszłości popełniłem jakieś błędy, to nie będę marnował energii na ich roztrząsanie. Co się stało, to się nie odstanie, dlatego nie ma sensu katować się wewnątrz, załamywać się czy biegać po sklepach z artykułami przemysłowymi i aptekach, gromadząc zapasy noży, staromodnych brzytw Gillette i paracetamolu. Komu to pomoże? Nikomu, a już z pewnością nie mnie. Nie będę więc myślał o Finn, Maisie, straconej miłości, winie, nieudanej karierze, zmarnowanym talencie i zdradzonym ojcu. Wszystko to razem jest zwyczajnie zbyt starotestamentowe, do cholery! Zamierzam zostawić te melodramaty daleko za sobą. Ruszę teraz przed siebie, zdecydowanym krokiem. Zrobię to, co robi każdy

175

rozsądny człowiek: zadowolę się tym, co trochę gorsze, przestanę gonić za tym, co naj, naj, naj.

Jaki będę za pięć lat, powiedzmy? Jak to widzę? Do głowy przychodzi mi określenie: typowy przedstawiciel klasy średniej. Tak, przykładowy mieszkaniec Islington, ojciec rodziny, być może, o ile ten gatunek jeszcze nie wyginął. Widzę to tak: skromny dom, skromny letni domek na wsi, "Guardian" na stole obok śniadania, ekologiczny samochód i wózgi kompostowy w ogródku. Regularne przekazywanie znoszonych rzeczy charytatywnej firmie Oxfam, dzieci (2,4 - przeciętna liczba na rodzinę), rozsądna żona, plan emerytalny; weekendowe spacer, trzytygodniowe wakacje w uroczym miejscu; zapach świętości, pocieszenie, jakie dają sztywno ustalone reguły, pewność siebie i nadzieja na zmartwychwstanie... Och, i jeszcze całkowity brak poczucia winy! Nie mogę się już doczekać!



Podchodzę do umywalki. Mój umysł mruczy jak gotowy do drogi silnik, jestem zdecydowany, zdeterminowany, po prostu boski. I nagle...

Nagle coś we mnie pęka. Kurek nie chce się odkręcić, a kiedy w końcu odnoszę sukces, nie mogę go zakręcić, kurwa mać. Najpierw z kranu ledwo kapie, a następnie wali najprawdziwszy wodospad Niagara. Światła wydają się zbyt jasne, potem zbyt przyciemnione i już nie wiem, co się dzieje. Zmarnowane lata wracają, wypełniają całe pomieszczenie i odbijają się echem od jego ścian, wyją mi nad uchem i pokazują figę.

W tej sytuacji robię to, co od początku zamierzałem zrobić. Nie mogę znieść tego potwornego braku radości. Stały, nieustępliwy brak radości - nikt nie ostrzegł mnie, że coś takiego może mi się przydarzyć. Na tysiącach zadrukowanych kartek, jakie przeczytałem w tym roku na temat takich niezbadanych i ośmieszanych zjawisk jak kryzys męskiego wieku średniego, żaloba, poczucie winy i depresja, nie znalazłem ani słowa o zaniku zdolności do tego, by przeżywać radość. Żaden guru, mądry lekarz, psychoanalityk ani szarlatan nie wspomniał

176

o istnieniu czegoś takiego. Nikt nie opisał podstępного sposobu, w jaki brak radości opanowuje nas powoli, stopniowo; że podpełza jak wąż i pełźnie tak przez wiele, wiele lat, i dlatego w ogóle nie zauważamy go do chwili, w której dopada nas i zaczyna dławić w godnym anakondy uścisku. Nikt też nie wymienił nazwy leku na tę chorobę, ale akurat to jest bez znaczenia, bo przecież ja mam w kieszeni panaceum na wszystkie smutki.

Mam nawet nie jedno, ale kilka. Na wszelki wypadek wybieram trzy. Jest to upokarzające i niegodne, i ręce trzęsą mi się tak mocno, że prawie wysypuję połowę cudownego leku do odpływu Niagary, lecz w końcu jednak mi się udaje. Zagarniam bezcenną linijkę najlepszej boliwijskiej koki i wciągam ją spragnionym nozdrzem. Miażdżę zębami dwie tabletki amfetaminy i przetykam. Zapalam marlboro i dmucham gorącym, buntowniczym dymem prosto w umieszczone na suficie czujniki. Czekam na reakcję - czerwone, pulsujące światło, alarm, włączenie spryskiwaczy, a przynajmniej interwencję ochrony i... I co, jak myślicie? Nic. Nie dzieje się nic, dosłownie nic. Z zepsutego kranu nadal leci woda, świat nadal się kręci. Moje odbicia dzielą się i pękają. I nagle ogarnia mnie ulga, uczucie pewności i euforyczna nadzieja, jakie potrafią dać tylko środki chemiczne. Powrót szaleństwa, spokój. Znowu jestem wolny. Lekkim krokiem wychodzę z toalety i wracam do galerii.

Nick nawet się nie poruszył. Nie reaguje na mój powrót, co mnie dziwi, biorąc pod uwagę lata świetlne, jakie minęły od mojego wyjścia, a także galaktyki, które w tak

zwanym "międzyczasie" odwiedziłem. Cóż, nieważne, jest tu dużo rzeczy do obejrzenia i niejednego można się dowiedzieć. Dzięki pomocy chemii dysponuję usprawnioną, ulepszoną zdolnością postrzegania i patrzę na wszystko nowymi oczami. Zaczynam przechadzać się po sali. Poruszam się szybko, najpierw wzdłuż jednej ściany portretów, potem wzdłuż drugiej.

Na ścianie za plecami Nicka wiszą prace Lucasa z ostatniego okresu,

177

jego osławione nowe dzieła. Nie podobają mi się. Światło jest bezlitosne, oko Lucasa także. Dwie z jego żon, kilka kochanek. Wszystkie sprawiają wrażenie bladych, pozbawionych krwi i sił witalnych, zupełnie jakby wampiryczny Lucas przytknął usta do ich żył, wysał całą krew, a następnie sięgnął po pędzel i pośpiesznie namalował ostatnie męki ofiar.

Są żałośnie spokojne. Widać, że śmierć przerwała im w pół... W pół czegokolwiek, co akurat robiły. Jedna czytała książkę, druga trzymała na rękach dziecko, trzecia sączyła kieliszek wina, czwarta uprawiała seks, piąta paliła papierosa... I nagle ktoś lekko zapukał do drzwi. "Wszyscy na pokład", usłyszały. Podróż, w którą właśnie ruszają musnęła cieniem ich oczy, ich jasne, martwe oczy, które nagle napełniły się rezygnacją z pogranicza świata żyjących i nieżyjących. W ich oczach widać też błysk zjadliwości, złośliwości, jakby chciały powiedzieć nam, że my także wsiądziemy, wcześniej czy później, do tego samego pociągu, że zostaniemy stłoczeni w tych samych wagonach. Co więcej - i to szczególnie mi się nie podoba - w oczach tych kobiet czytam sugestię, że nasza podróż nie będzie długa. Tylko jedna stacja - Hades. Wszyscy tam wysiadamy, już za chwilę.

Dzięki, Lucasie, ale chyba nie skorzystam z propozycji. Nie chcę patrzeć na te odarte z ubrań, nagie kobiety - Lucas maluje prawie wyłącznie kobiety. Nie chcę też patrzeć na szkice portretów Maisie, na rysunki na sąsiedniej ścianie, na których Maisie wygląda na zrozpaczoną i upośledzoną. Przystaję przed najwcześniejszymi portretami Finn. "Finn w sadzie" - śliczna dziewczyna z książką w ręku, leżąca na trawie pod drzewem, wśród jabłek. "Finn nad Black Ditch" - podobna do nimfy dziewczyna nad ciemnym owalem wody, nad Styksem. "Finn pod Nun Wood", "Finn uśpiona" (z zamkniętymi oczami), "Finn śniąca" (z otwartymi oczami). Finn, wszędzie Finn - dopiero teraz dociera do mnie, że jest tu z dziesięć, dwanaście, piętnaście szkiców Finn, więcej, niż dotąd

178

widziałem, więcej, niż podejrzewałem, o wiele, wiele więcej, niż Lucas mi

kiedykolwiek pokazał.

Ogromna mnogość czarno białych Finn, które zaczynają mnie oslepić. Kiedy on zrobił te wszystkie rysunki, myślę. Jakim cudem znalazł czas, tamtego lata, żeby naszkicować ich aż tyle? Gdzie byłem, kiedy nad nimi pracował, kiedy Finn do nich pozowała? Przecież byłem z nią wtedy prawie bez przerwy, spędzałem z nią każdą godzinę każdego dnia...

Chciałbym móc tak powiedzieć, ale to nieprawda. Tamtego lata Finn wymknęła mi się całkowicie, tamtego lata ją straciłem. Myślę: "To mój przyjaciel, spróbuj mi to wyjaśnić, Finn!", i możliwe, że jest to zdanie, które kiedyś wypowiedziałem, nie mogę sobie jednak przypomnieć, czy wypowiedziałem je tylko w myśli, czy na głos, a jeśli tak, to gdzie i w jakich okolicznościach; wiem tylko, że czułem zazdrość, tak jak czuję ją teraz, zazdrość i żal. Stoję i patrzę na różne Finn, których nie znałem, rozmaite Finn, których istnienia nawet nie podejrzewałem, Finn, które tańczą w jakimś tunelu przeszłości i w tym tańcu oddalają się coraz bardziej i bardziej.

Ostatni rysunek to zbliżenie jej twarzy - "Finn ostatnia". Finn osłania oczy dłońmi i na jej palcu widać ślubną obrączkę. Ślubną obrączkę Lucasa, ponieważ Finn, niestety, była pierwszą z kilku żon sławnego artysty. Tego szkicu, bez daty, także nigdy nie widziałem. Wpatruję się w niego w skupieniu, zbyt intensywnie, tak intensywnie, że sens szkicu zaczyna się kruszyć, łamać, aż w końcu staje się chaotycznym zbiorem kresek i rozmazanych plam, pozbawionym formy i sensu. Kiedy Lucas to narysował? Po nieprzyjemnym zakończeniu ich krótkiego małżeństwa czy wcześniej? A może w dniu ślubu? Pół godziny po wyjściu z Urzędu Stanu Cywilnego w Cambridge - oto moja sugestia. "Finn ostatnia" - tak, wyobrażam to sobie. Lucasa mogło zafascynować perwersyjne połączenie "witaj" i "żegnaj". Cóż, Lucas jest utalentowanym artystą a wielcy artyści mają swoje dziwactwa. Bałagan i niepokój, jakie Lucas wytwarza wokół siebie, są krwią serdeczną

179

jego obrazów, zresztą Lucas nawet nie zauważa, że robi coś nie tak, bo pod tym względem jest ślepy jak kret.

Rzucił Finn; rzucił Julię - kilka razy, jeśli wierzyć plotkom (ich romanse zawsze trwały krótko, jak twierdzą obserwatorzy, i zdarzały się tylko wtedy, kiedy mogły spowodować największe szkody). Tak więc Lucas zaliczył dwie z trzech sióstr Mortland i niewątpliwie w innych okolicznościach, później, zabrałby się również do Maisie. Jeszcze parę lat i ta perspektywa na pewno by go skusiła. I wtedy, moim zdaniem, okazałoby się, że wreszcie trafiła kosa na kamień. Odwracam się, patrzę na portret i przypominam sobie Maisie, którą znałem, tę Maisie, której nie można opisać

ani wyjaśnić takimi terminami, jak "forma autyzmu", "anormalne zachowanie" czy "ześwirowanie", jak mawiano w miasteczku. Tę Maisie, która przypominała minę przeciwpiechotną śmiertelnie niebezpieczny niewybuch, porzucony na polu bitwy, antyczny mechanizm w doskonałym stanie - Maisie niewinną i groźną.

Moje spojrzenie napotyka nieodgadnione, błękitne spojrzenie dziecka. Patrzymy na siebie przez salę, przez minione dekady. I właśnie w tej chwili, dokładnie w tej chwili (Nick powie później, że był to moment, kiedy narkotyki zaczęły działać) uświadamiam sobie, że to małe, zagubione dziecko usiłuje uciec z ram, w których zamknął ją Lucas, i że koniecznie chce mi coś powiedzieć.

Ruszam w stronę obrazu z niewyraźną świadomością, że gdzieś po prawej stronie Nick zrywa się z ławki i coś mi proponuje, najprawdopodobniej, żebyśmy wyszli. Jednak ja nie mogę nawet przystanąć, żeby go wysłuchać, czy choćby na niego spojrzeć, ani na siedzącego przy drzwiach strażnika, który także podnosi się szybko. Nie, muszę skoncentrować się wyłącznie na Maisie, na tym, co mówi i co stara się mi pokazać. "Patrz uważnie", odzywa się cichy, znajomy głos. Nie, wcale sobie tego nie wyobrażam, nie jestem naćpany, w niczym nie przypomina to tych chwil, które ostatnio przeżywałem, kiedy alkohol, prochy i rozpacz sprawiały, że widziałem niewidzialne.

180

"Patrz uważnie", mówi głos. "Patrz uważnie".

Więc patrzę. Patrzę na Maisie w błękitnej sukience, na malutkie, częściowo tylko widoczne nożyczki, które trzyma w ręku. Ona, stojąca w centrum, jest źródłem atmosfery napięcia, którą emanuje obraz - bez trudu wyczuć można wibracje przebiegające między nią i jej siostrami. Finn mocno trzyma ją za rękę, Julia położyła dłoń na jej ramieniu, niebo w tle jest rozświetlone. Wszystkie trzy, połączone niedostrzegalną wulkaniczną siłą wydzielają prąd, który zapala iskry na płótnie. Iskry są fluorescencyjne i czuję, jak wnikają we mnie swoją jasnością. Jest to niepokojące. Obraz wydaje się jednocześnie nowoczesny i stary jak świat. Staram się zdystansować, zwrócić uwagę na malarskie odniesienia, o których mówią wszyscy znawcy, związki choćby z "Pannami z Awinionu" czy "Otwarcie piątej pieczęci Apokalipsy". Tak, patrząc ich obeznanymi i krytycznymi oczami, widzę te echa i subtelne kpiny; widzę, że pozy siostr przypominają Gracje Botticellego, chociaż jednocześnie bardzo się od nich różnią-ale to nic mi nie mówi. Trzy Gracje, trzy Prządki, trzy Sybille, trzy Wiedźmy... Patrzę na dziwny kąt, pod jakim twarze wszystkich trzech siostr zwrócone są w stronę patrzącego, głowy wyraźnie przekrzywione, jakby wpatrywały się w coś niewidzialnego. Zauważam zakłóconą

perspektywę, jaką daje to obrazowi, efekt El Greca. Wpatruję się w tło, o ile można tu mówić o tle. Prawdopodobnie jest to jakiś pokój, ale ja przyjąłem już dawno temu, że Lucas stworzył na płótnie coś w rodzaju postmodernistycznego nigdzie-wszędzie, przerażającą, wydestylowaną esencję pogorzelska, jakim stał się dwudziesty wiek.

Widzę abstrakcyjne, płynne, a miejscami rozplywające się kształty, które skutecznie dają odpór wszelkiej interpretacji, i nic poza nimi. Naprawdę widzę tylko zagadkowy niepokój, dzieło Lucasa. Próbuję odszyfrować tę dziwną perspektywę, ten nienaturalny realizm, tę przejrzyistość ostatnich dni.

181

W powietrzu wisi coś ważnego, wielkiego, co wkrótce ma się wydarzyć, po prostu wзира to z farby, krzyczy, nie potrafię jednak określić, czy zdarzenie to ma być radosne, czy przytłaczające. Na co patrzą trzy siostry? Na zmartwychwstanie czy na jakąś ostateczną katastrofę?

"Patrz uważnie", ostatni raz powtarza cichy głos i chociaż za swoimi plecami wyczuwam jakieś poruszenie, patrzę. Podchodzę blisko, tak blisko, że widzę żyły pod namalowaną skórą i lekkie jak muśnięcie powietrza ślady pędzla. I wtedy wreszcie doznaję oświecenia. Rozmazane, niewyraźne kształty nagle przestają być przypadkowe czy wyobrażone - zaczynam je rozpoznawać. Ta ciemna, lwiołowa smuga koloru po lewej stronie, na przykład - czyż nie jest mi znajoma? Ten groźny węzowaty kształt, unoszący się w cieniu za Finn, ta serpentyna, która wywołała tyle dyskusji wśród krytyków -przecież ją znam. A te trzy rozplywające się kule nad głowami sióstr, kule, które wydają się unosić w powietrzu, kule, w których niektórzy dopatrywali się księżycowej symboliki, czyniąc z nich małą konstelację uwieczoną w galaktyce sióstr, na zawsze unieruchomioną potrójną siłą przyciągania - przecież to wcale nie księżyce, nic z tych rzeczy. Uświadamiam sobie, że patrzę na miejsce, które rozpoznałbym nawet z zawiązanymi oczami. Ta ciemnopłowa smuga to lwia skóra. Serpentyna to noga wulgarnie paskudnego stolika, przywiezionego z bazaru w Kalkucie przez jednego z wielu kolonizujących świat Mortlandów. Domniemane trzy księżyce to kule z kości słoniowej, które dawno temu tak mnie fascynowały, te, których w dzieciństwie gorąco pożądałem.

Patrzę uważnie i widzę, że jesteśmy w bibliotece w Opactwie. W niegdysiejszej kaplicy. A dokładnie mówiąc, zaglądamy do biblioteki przez judasza, cudowne średniowieczne urządzenie, osadzone w murze na wysokości głowy mężczyzny w budynku zamieszkanym wyłącznie przez kobiety.

Przez świątobliwe kobiety. I to jest zaskakujące. Możliwe, że wyjaśnia to, dlaczego twarze sióstr są nieco uniesione i dlaczego

obraz powoduje wielokrotnie opisywane uczucie zachwiania równowagi lub, jak piszą inni, podglądania namalowanej sceny. A jednak, o ile mi wiadomo, Lucas nie miał pojęcia o istnieniu judasza. Rzadko spędzał czas w głównym budynku Opactwa. Nie interesowała go ani jego historia, ani architektura. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek tam szkicował - zawsze pracował na dworze albo w refektarzu. I kiedy w końcu tamtego pamiętnego dnia wszyscy poszliśmy do refektarza, aby obejrzeć odsłonięty obraz, Lucas nie wspomniał ani słowem o bibliotece, kaplicy czy judaszu - jestem tego absolutnie pewny. Czy naprawdę jestem pewny?

- Gdzie nas umieściłeś? - zapytała Maisie po długiej chwili milczenia. - Gdzie jesteśmy?

To ona odezwała się pierwsza. W refektarzu śmierdziało terpentyną.

- W mojej wyobraźni - odparł spokojnie Lucas. - I tam zostaniecie - dodał.

Ktoś musiał pokazać mu judasza. Kto to zrobił - gdzie, dlaczego i w jakich okolicznościach? Nagle wszystkie prochy, które wchłonałem, dają mi potężnego kopa i czuję się tak, jakbym zatankował wysokooktanowe paliwo. Mój umysł startuje i pędzi jak szalony. Boże, ależ jest szybki! Gna jak chart, jak ogar, podąża za zapachem tamtych letnich tygodni. Wbiega na schody, węszy w korytarzach, w przedpokojach. Od nowa bada labirynt wewnątrz Opactwa, z wielką dokładnością ustala pozycję trzech sióstr i po raz pierwszy zauważa, że niesamowite światło, padające na ich włosy, pochodzi ze źródła, które rozpoznaję, a mianowicie z jednego z okien w kaplicy. Z okna środkowego, tego, obok którego przyszedłem na świat. Z okna, przez które (jeśli wierzyć Belli, co może być dość trudne) moja matka ostatni raz spojrzała na świat i zobaczyła coś przerażającego. Z okna, z którego skoczyła Maisie, albo na którego parapecie się poślizgnęła, albo, czego także nie da się do końca wykluczyć, z którego została wypchnięta i z wysokości ponad dziesięciu metrów runęła na kamienne płyty dziedzińca.

- Co się stało? - mówię głośno. - Muszę wiedzieć, co się stało...

Wydaje mi się, że wypowiadam te słowa, ale może to tylko iluzja, bo nagle, bez ostrzeżenia, wszystkie cząsteczki powietrza postanawiają wypowiedzieć posłuszeństwo prawom fizyki i zaczynają gonić się w kółko, przez co w sali zrywa się coś w rodzaju wiatru. Mam możliwość przyjrzeć się z bliska teorii chaosu.

- Proszę nie dotykać płótna! - słyszę głos. - Proszę się cofnąć!

Odwracam się i widzę umundurowanego strażnika galerii, który zbliża się do mnie zdecydowanym krokiem. Nie ulega wątpliwości, że nie jest zadowolony. Ma zaczerwienioną, pełną oburzenia twarz, ale -jakie to dziwne! - im szybciej biegnie ku mnie ten troglodyta, tym mniejszą odległość pokonuje, więc nie posuwa się do przodu, tylko się cofa, aż w końcu znika w mrocznym, dziwnym tunelu. Przyglądam mu się chwilę, a potem, kiedy uświadamiam sobie, że w sali panuje nieznośny, piekielny upał, kiedy już mam zamiar przenieść się do jakiejś chłodnej, ciemnej, przyjemnej pustki, czuję, jak Nicholas Marlow, lekarz i syn lekarza, chwytą mnie za ramię i wyciąga z odmiennej rzeczywistości.

Jakiś czas później: odkrywam, że jestem na zewnątrz, w rozkołysanym mieście, na rozchwianym chodniku. Wciągam ogromne hausty wielkomiejskiego tlenku węgla. Siedzę na schodach, z głową między kolanami. Nick trzyma moją teczkę i pochyła się nade mną. Prostuję się. Nie mogę się doczekać, kiedy mu to wytłumaczę, wyjaśnię mu wszystko dobitnie i szczegółowo. Słowa nie chcą się ustawić we właściwym porządku, więc na pewno sprawiam wrażenie trochę rozemocjonowanego i zdenerwowanego, ale jestem prawie pewny, że udaje mi się wyrzucić z siebie coś o judaszu i kaplicy. Zacinam się na "perspektywie", lecz całkiem gładko wychodzi mi "samobójstwo".

184

Nagle milknę. Dopiero teraz widzę, że na twarzy Nicka maluje się wyraz lekkiego zażenowania, niepokoju oraz irytacji.

- Oddychaj, powoli - mówi Nick. - Lepiej ci już? Dobry Boże, co ty w siebie ładujesz, Dan? Kiedy ostatni raz spałeś? Kiedy ostatnio jadłeś?
- Nie pamiętam.
- Skup się!
- Przypominam sobie kebaba, z papryką chilli. I z cebulą.
- Jadłeś go niedawno?
- Raczej niedawno. Pięć dni temu? Sześć? Kogo to obchodzi? Nick, słuchaj, to ważne...

Nick nie chce słuchać, chociaż chwytam go za kłapy palta i bełkoczę gorączkowo. Bardzo długo patrzy mi w oczy, niewątpliwie oceniając stopień rozszerzenia źrenic i raczej nie jest zadowolony z wyników badania. Podnosi rękę i chwilę później siedzimy już w taksówce.

Chwilę szlocham żałośnie - zdarza mi się to, przywykłem do tego, nie ma się czym martwić. Tracę poczucie rzeczywistości i wracam do siebie gdzieś w okolicy Euston Road. Domagam się wyjaśnienia, dokąd jedziemy.

- Zabieram cię ze sobą do domu - odpowiada Nick. - Zamierzam cię nakarmić, a potem spróbuję nalać ci trochę oleju do głowy...

- Do domu? - powtarzam z przerażeniem i już sięgam do klamki. - Do twojego domu? Nie ma mowy! Chyba żartujesz! Wypuść mnie stąd!

Nick wzdycha.

- Wszystko w porządku - mówi nieskończenie zmęczonym głosem. - Julii nie ma.

- Przysięgasz?

- Przysięgam. Nie wróci przed północą, jest na jakiejś ceremonii rozdania nagród.

Rozdział Trzynasty.

W PAŁACU JULII.

Na piętrze pali się światło; złocista mgiełka sączy się z okna nad wejściem; frontowe drzwi zostały przemalowane na połyskliwą czerń i zostały wyposażone w mosiężną kołatkę w kształcie delfina i... Czy to możliwe? Ależ tak! Na parapetach pyszną się skrzynki na kwiaty. Nie ulega wątpliwości, że od mojej ostatniej wizyty zaszły tu spore zmiany. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że nie mam prawa wstępu do tego domu i nie byłem w nim od... Od jak dawna? Od dziewięciu lat. W tym jednym, jedynym wypadku stać mnie na dokładność.

Byłem tutaj dziewięć lat wcześniej, na przyjęciu z okazji chrztu drugiego dziecka Nicka i Julii, Toma. Byłem ojcem chrzestnym Toma (ten wybór to dowód wielkiej odwagi Nicka, który nie ugiął się wobec gwałtownego oporu ze strony Julii). Matką chrzestną była Finn. Dziewięć lat temu. Zaraz potem Finn wyjechała do pracy za granicą i od tamtej pory nie widziałem jej ani razu. Przysyła mi kartki z życzeniami z okazji Bożego Narodzenia. Na ostatniej był gil.

Stoję na schodach i czekam, aż Nick zapłaci za taksówkę. Silnik samochodu stęka i krztusi się, nad tą tak obecnie modną częścią Islington unosi się dziwna, kłębiasta



mgła. Witajcie w pałacu Julii.

Kiedy Nick otwiera drzwi, słyszę, jak na górze ktoś ćwiczy gamę na skrzypcach. Pies, także na górze, wydaje głębokie

186

szczeknięcie na powitanie, ale się nie pojawia. Ostatni raz widziałem Toma, kiedy miał pięć lat - Nick zaaranżował to spotkanie, podobnie jak wszystkie inne. Zabraliśmy Toma do zoo. Musieliśmy udawać, że wpadliśmy na siebie przypadkiem, na wypadek, gdyby Julia przepytала syna i dowiedziała się, kto kupił mu lody i kto oglądał pingwiny razem z nim i z jego tatą.

Naprawdę bardzo długo nie widziałem mojego syna chrzestnego, chociaż bardzo go lubię. Tom jest melancholijnym małym chłopcem i światowym ekspertem od dinozaurów. Dawniej zasypywałem go plastikowymi dinozaurami, szukałem nowych figurek we wszystkich londyńskich sklepach z zabawkami.

Od naszego ostatniego spotkania minęły już cztery lata, lecz najwyraźniej i tym razem nie będzie mi dane go zobaczyć. Mały jest na górze, z nianią, i przygotowuje się do snu. Nick zajrzy tam tylko na chwilę i powie mu dobranoc, a potem zejdzie do mnie do kuchni. Mówiąc to, Nick wstydzi się spojrzeć mi w oczy. Stoimy w holu, zażenowani i niepewni. Współczuję Nickowi i wcale go za to wszystko nie winię. Nie chcę narobić mu kłopotów, a kiedy Julia dowie się, że byłem w domu, rozpęta się piekło. Poza tym nagle przypominam sobie, że wyglądam jak włóczęga albo szaleniec, więc tylko przestraszyłbym Toma. Nie, lepiej dać chłopcu spokój.

Powoli schodzę na dół. Tutaj także zaszły pewne zmiany -kuchnia, czyli świątynia, zajmuje teraz cały najniższy poziom domu, wielkości... Cóż, wielkości skromnej sali balowej. Podłoga wyłożona kamiennymi płytami, system oświetlenia tak nowoczesny i skomplikowany, że można by bawić się nim godzinami. Włączam kilka halogenów i ściemniaczy. Nie mam cienia wątpliwości, że znajduję się w królestwie Julii - świadczy o tym przede wszystkim ta potworna wystawność.

Nick nie każe mi długo na siebie czekać. Szybko wraca, już bez palta i marynarki, bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami. Teraz już w nieco mniejszym

187

stopniu przypomina wybitnego onkologa, a w większym mojego dawnego przyjaciela, z którym dzieliłem mieszkanie zaraz po przyjeździe do Londynu. Nick zawsze miał cechy, których mi brakowało - był na przykład zdyscyplinowany,

trzymał się zasad, zachowywał dystans do ludzi i wydarzeń, a także zmysł praktyczny. Ta ostatnia cecha z pewnością pomaga mu przetrwać małżeństwo z Julią, w każdym razie tak mi się wydaje.

Obiecany posiłek jest już w drodze. Nick każe mi usiąść przy ogromnym stole, podaje szklankę drogiej wody mineralnej, najlepszej, jaką kiedykolwiek piłem, i zabiera się do przygotowania jedzenia.

Otwiera lodówkę, olbrzymią, wielkości chłodziarki w kostnicy. Wyjmuje superużyteczny plastikowy pojemnik z przyklejoną kartką. Pojemnik zawiera domową zupę Julii, och, jejuniu... Przelewa pożywną zupę do rondla ze specjalnie uzdatnianej, szlachetnej stali z domieszką kryptonu, stawia go na kuchni. Z drewnianego pojemnika wyjmuje - nie do wiary! - trzy rodzaje chleba: okrągły, w stylu włoskim, z rozmarynem i czosnkiem; podłużny, nierówny, chyba irlandzki; i na koniec specjal nad specjalą - wielki, pachnący drożdżami bochen o chrupiącej skórce. Zdrowa, ekologiczna trójca, którą Julia najprawdopodobniej kupiła w jakimś cholernie drogim sklepie, albo nawet może upiekła, kto wie, i jakoś zmieściła to zajęcie między odgrywaniem roli idealnej żony i matki, rządzeniem swoim imperium oraz przyjmowaniem najnowszej nagrody dla niezrównanej samicy alfa świata telewizji.

Nick wyczuwa moje spojrzenie, spoczywające na wielkim bochnie zdrowiusieńkiego chleba. Niewykluczone, że podejrzewa kpinę, a może po prostu przypomniał sobie, że moim ulubionym gatunkiem pieczywa jest naszpikowany konserwantami biały chleb z torebki, do kupienia w każdym supermarkecie i osiedlowym sklepiku, cudowny chleb, którego pleśń nie ima się przez miesiąc, nawet w mojej kuchni.

- Pełnoziarnisty - odzywa się Nick, a w jego głosie brzmi

188

przepraszająca nuta. - Specjalność Julii. Dobrze ci zrobi. Z organicznej mąki, z ziarna ręcznie mielonego w kamiennych żarnach...

Och, na pewno, mój przyjacielu. Wiem nawet, skąd wzięło się ziarno na ten chleb - z Arkadii, z pól Suffolk naszego dzieciństwa, oto skąd. Deszcz, który nawodnił pola, w żadnym razie nie był kwaśny, a ziemia, która wykarmiła żyto i pszenicę, zasilana była naturalnym nawozem, nie sztucznym. Od wiatru osłaniały zboże stare, wysokie żywopłoty, dające schronienie małym ptakom, zwierzętom i motylom. Było żęte ręcznie, kosą, nie jakimś okropnym kombajnem z benzynowym silnikiem. Stało w snopach i suszyło się w promieniach słońca dobrego Boga, a później mój ojciec, dziadek i pradziadek zwozili je do stodoły i młócili. Babcia zmiatała słomę,

śpiewając piosenkę jak z poezji Wordswortha, i założę się, że szyla worki dla młyna, w którym młynarz jak z opowieści Chaucera sprawdzał, czy zmielona mąka ma odpowiednią grubość. Ten bochen chleba to Anglia. To moja przeszłość - Nick i ja jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może powiedzieć coś takiego. Jako dzieci patrzyliśmy na koniec Arkadii, której już nie ma i nie będzie.

Przygnębiająca myśl. Cóż, trudno, młodzi jakoś sobie z tym poradzą, myślę. Zawsze mogą poczytać Hardy'ego albo - jeżeli okaże się, że czytanie powieści Hardy'ego wymaga za dużo wysiłku, a pewnie tak właśnie będzie - pooglądać w telewizji programy o gotowaniu, które reżyseruje wielka Julia.

Patrzę, jak Nick ubija jajka, i zastanawiam się, jak można żyć u boku absolutnej doskonałości. Co by pomyślał, gdybym zaprosił go do siebie, do tego innego Londynu, który od jego domu dzieli odległość najwyżej dwóch kilometrów? Co by pomyślał na widok dwutygodniowych resztek kebabów, masali i hamburgerów, gnijących w nieopróżnianym pojemniku na śmieci w mojej kuchni, oraz zlewu pełnego brudnych naczyń (zmywarka skołała na zawał wieki temu)? Jak zareagowałby, widząc skwaśniałe mleko i spleśniały chleb (tak, nawet

189

ten supergatunek z konserwantami w końcu pleśnieje)? Co by powiedział, gdyby zobaczył półki szafek, uginające się pod słoikami z sosami Nicey Spicey (przygotowywałem ich kampanię i za karę dostałem tyle przepysznych produktów, że na pewno wystarczy mi do końca życia) i przyprawami do wszystkiego, złożonymi głównie z soli i konserwantów? Czy doszedłby do wniosku, że ja także jestem przedatowany, podobnie jak one? Czy raczej rzuciłby się na stary fotel, przyjął szklaneczkę czegoś mocnego, zjadł podanego na gazecie dorsza i frytki, rzucił mi ten dawny, cudowny uśmiech i zaczął rozmawiać? Rozmawialibyśmy bez końca, do północy, do drugiej, trzeciej nad ranem i obaj bylibyśmy absolutnie szczęśliwi, tak jak kiedyś, w epoce przedjuliańskiej.

Przyglądam mu się uważnie. Napełnił pożywną, wspaniale pachnącą zupą dwie eleganckie miseczki i teraz stawia na stole talerze ze smakołykami - łososia, który nigdy nie widział hodowlanej zagrody, nie był karmiony różową farbą i pływał wolno w niezanieczyszczonych wodach oceanu, jajka od szczęśliwych kur (tych Stelli, które karmiłem razem z Finn), ser od Flory McIver, sałatę z warzywniaka dogładanego przez mojego Tatę i szynkę z radośnie taplającego się w błocie i swobodnie spacerującego po sadzie świńskiego ksiączęcia, może jednego z tych ważących po 130 kilo wieprzków, które w nieistniejącej już krainie mojego szczęśliwego dzieciństwa hodował pułkownik Edwardes (kiedyś służył w armii

brytyjskiej w Indiach, później emerytowany).

Prawdziwa uczta. Wszystko to razem jest wspaniałe i tragiczne zarazem. Ponieważ, gdy tak patrzę na sprawnie i szybko nakrywającego do stołu Nicka, widzę, jaki wyraz mają jego oczy i - nie jest w stanie ukryć tego przede mną, za dobrze go znam - i wreszcie dociera do mnie, że on także dotknięty jest brakiem radości. Cierpi tak jak ja, a świadomość tego wstrząsa mną i sprawia ból. Kiedy to się stało? Kiedy Nick się zmienił, kiedy życie starło z jego twarzy optymizm naszej młodości jak równanie ze szkolnej tablicy?

190

Odpowiedź jest oczywista: gdybym przez ostatnie dwadzieścia lat nie uganiał się za sukcesami, dostrzegłbym to dawno temu - Nick stracił radość życia jakieś dziesięć minut po ślubie z wielką Julią.

- Jesteś szczęśliwy? - pytam go mniej więcej w połowie uczyty.

Nie wiem, skąd właściwie wzięło się to pytanie. Zamierzałem zapytać go o Finn, powoli zbierałem się, aby to zrobić - wiem, że ona utrzymuje kontakt z Nickiem i swoją siostrą. Co za durne pytanie: czy jesteś szczęśliwy... Przecież chyba nikt nigdy nie odpowiedział na nie naprawdę szczerze...

- Czasami - odpowiada Nick, dosyć ucziwie, a już na pewno ucziwiej, niż zrobiłbym to ja.

Gdyby mnie zapytał, odrzekłbym: "Jasne, ostatnio miałem trudny okres, ale problemy mam już za sobą i teraz wszystko zmierza w dobrym kierunku", albo coś równie idiotycznego. Mam skłonność do okłamywania ludzi, kiedy pytają o moje samopoczucie. Nikt nie wydobędzie ode mnie deklaracji, że czuję się marnie, nie mówiąc już o czymś gorszym. Depresja, głęboko zakorzeniony smutek, ciężkie przygnębienie, brak pewności siebie, bezsenność, uzależnienie od alkoholu, paląca świadomość porażek i głupich wyborów, przerażające i trwałe poczucie bezsensu istnienia, dziwna fascynacja prochami, linami, brzytwami i środkami uspokajającymi? Nie, proszę państwa, mnie to nie dotyczy. Jedne drzwi się zamykają, a drugie otwierają- oto moje motto.

- Kiedy miałeś pewność, że jesteś szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy, Nick? - pytam.

Ku mojemu zaskoczeniu - spodziewałem się, że zmieni temat - Nick zamyśla się, zupełnie jakby ostatnio sam zadawał sobie to pytanie. Siada naprzeciwko mnie: mężczyzna tuż przed pięćdziesiątką, ciemnowłosa, przystojny, poważny, spokojny, niewylewny, dobry, zawsze myślący o innych, uprzejmy, doskonale wychowany. Na

skroniach ma siwe włosy, co

191

tylko podkreśla jego typ męskiej urody. Dobry człowiek, dobry tekarz; wyobrażam sobie, jaką ulgę czują jego pacjenci, gdy widzą go pierwszy raz. Kobiety na pewno są nim zainteresowane, zawsze tak było. Najważniejsze jest jednak to, że niezależnie od stopnia zaawansowania choroby, Nick swoim zachowaniem i podejściem do drugiego człowieka budzi nadzieję. Nawet jeśli nie byłby w stanie kogoś wyleczyć, pacjent wiedziałby, że zaopiekuje się nim najlepiej, jak to możliwe, aż do samego końca, który nadszedłby łagodnie i w atmosferze godności.

Nick ściąga brwi.

- Cóż... - zaczyna. - Jako dzieci obaj byliśmy szczęśliwi, to chyba nie podlega dyskusji...

Nie podlega dyskusji... Nie reaguję. Nick wychował się w dużym, ładnym domu, gdzie mieszkał z kochającymi, czułymi, kulturalnymi rodzicami. Zdobył stypendium w znakomitej szkole i szybko dowiedział, że w pełni na nie zasługuje. Kolejne stypendium otrzymał w londyńskim Imperial College, którego wydział medyczny ukończył z pierwszą lokatą. Zawsze miał czyste ubranie, czyste włosy. Jego ojciec leczył chorych. Matka przewodniczyła lokalnej komórce partii torysowskiej i radzie parafialnej. Słuchali koncertów muzyki poważnej w radiu. Mieli książki. Znali i rozumieli różnicę między tym, co dobre, a tym, co złe. Pani Marlow, na przykład, wiedziała, że zakochany po uszy czternastolatek nie powinien dawać Finn Mortland wody toaletowej od Woolwortha w prezencie urodzinowym, ponieważ byłoby to niewłaściwe. Nie, czternastolatek musiał dokonać właściwego wyboru, kupić dziewczynie coś bezosobowego i odpowiedniego. Posłuchałem jej rady i kupiłem Finn zniżkowy kupon na zakup książki. Minęło trzydzieści lat, a ja nadal tego żałuję.

Rodzice Nicka nie pili żadnego alkoholu poza szklaneczką sherry albo wina w uroczyste dni i święta. W przeciwieństwie do Babci, nie przygotowywali jedzenia na zapas i nie wierzyli w kary cielesne, ponieważ uważali, że są one upokarzające

192

dla obu stron. Myśleli innymi kategoriami i żyli w innym, lepszym świecie: nie odkładali pięciu funtów tygodniowo na przyzwoity pogrzeb, nie wydawali połowy tygodniówki, obstawiając konie na wyścigach, nie kupowali na krechę, nie musieli skąpic ani oszczędzać; Nick nie miał wszechwładnej, tyranizującej Babci ani smutnego, pogrążonego w wiecznej żałobie, odizolowanego ojca; nie miał wszy, tasiemca, nie konał ze wstydu z powodu swojego akcentu, ubrań, zachowania przy

stole...

Czy powinienem przypomnieć Nickowi, że jego i moje dzieciństwo, chociaż we wspomnieniach cudowne, jednak trochę się różniło? Milczę. Nick jest dla mnie jedną z najbliższych osób. Jest lojalny, zawsze taki był. Wracam myślami do dni, kiedy siedzieliśmy nad jeziorem na terenie Opactwa, Nick z nadzieją złowienia kilku płotek, ja rekina. Tak, Nick, byliśmy wtedy szczęśliwi. Byliśmy szczęśliwi.  
Zdecydowanie.

- Byłeś "szczęśliwy" w Cambridge, a ja na medycynie, chociaż to bardzo zdewaluowane słowo - Nick nadal myśli o straconych dziesięcioleciach, ściąga mocniej brwi. - I później, kiedy mieszkaliśmy razem... W pracy... Cóż, zawsze pracowałem z...

Z poświęceniem - oto określenie, którego szuka. Nie kończy zdania, z typową dla siebie skromnością wzrusza ramionami.

- Praca pomaga - mówi niepewnie (Nick nie lubi rozmawiać o sobie, zresztą przy Julii na pewno najnormalniej w świecie odzwyczaił się od tego). - To, co robię, odmienia ludziom życie, w każdym razie czasami. Kiedy pracuję, jestem tym całkowicie pochłonięty i nie może być inaczej, więc uczucie osobistego szczęścia czy smutku nie ma w gruncie rzeczy znaczenia...

Nie mogę patrzeć mu w twarz. Wpatruję się w stół. Czy to, co robię, odmieniło komuś życie? Nie ulega wątpliwości, że napisałem słowa, które utkwily w ludzkich umysłach, słowa,

193

których nie da się wyrzucić z głowy. Tak, tkwię tam, w schowkach umysłów, razem z chwytliwymi cytatami z Szekspira, fragmentami sprośnych piosenek, odzywkami z seriali, narcyzami Wordswortha i wynikami futbolowych meczów; razem z Elvisem, Fab Four i "My Way", tą ohydą; z zajawkami filmów, kłamstwami polityków, hasłami wyborczymi, scenami z pornosów i skandalami królewskiej rodziny. Przykro mi, ale nikt, kto raz usłyszał motyw muzyczny reklamy sosów Nicey Spicey, nie zapomni go do końca życia, choćby bardzo tego pragnął, a spróbujcie zgadnąć, kto napisał ten nieśmiertelny tekst... Media Markt - nie dla idiotów, z podpaskami Always zawsze czujesz się bezpiecznie, do zakochania jeden krok, dajmy ludziom szansę, a ja na to jak na lato, małe jest piękne, i tak dalej, i tak dalej...

Tak, razem z moimi współczesnymi ugotowałem coś w rodzaju zupy kulturowej, a na dodatek sprzedałem mnóstwo produktów, napędzając globalną ekonomię. Kto ustawia konsumenta na właściwym miejscu w konsumpcyjnym świecie? Kto pomaga

wam kupować aż do śmierci? Kto rozpala wasze pragnienia, żeby przypadkiem nie obumarły? Ja. A w każdym razie robiłem to do chwili, kiedy zrozumiałem, że dłużej już nie mogę, bo potwornie mi wstyd, że wciskam ludziom takie gówno.

- Ale kiedy byłeś szczęśliwy poza pracą? - pytam. Muszę zająć czymś jego uwagę, bo jeśli przestanie mówić,

zacznie wypytywać mnie. W żadnym razie nie chcę, żeby tak się stało.

- Kiedy brałem ślub - odpowiada Nick, podnosząc się i sięgając po owoce. Odwraca głowę, żebym nie widział jego twarzy, jego oczu. - Gdy rodziły się moje dzieci...

Siada. W kuchni zapada cisza. Między dwojgiem dzieci Nicka istnieje różnica wieku, która może mieć istotne znaczenie, ale może również go nie mieć. Jego córka Fanny przyszła na świat siedem miesięcy po ślubie i teraz musi mieć koło dwudziestki. Z Fanny były jakieś problemy, nie znam jednak

194

szczeółów. Rzuciła studia w Oksfordzie po roku, wyjechała za granicę, odnalazła się w Sudanie czy może na Jukatanie (taką tendencję mają obecnie młodzi ludzie) i wróciła na uniwersytet. Tak, teraz studiuje na jednej z tych uczelni, które kobiety takie jak Julia uważają za bezpieczne substytuty Oksfordu i Cambridge, w Durham czy Edynburgu. No, i jest jeszcze dziewięcioletni Tom. Dlatego nie bardzo wiem, czy uwaga Nicka znaczy, że ostatni raz był szczęśliwy dziewięć lat temu, czy też nie znaczy nic? Dość szybko rozprawił się z tematem swego małżeństwa, ale akurat to wcale mnie nie dziwi. Niewątpliwie Nick kierował się istotnymi powodami, żeniąc się z Julią, jestem jednak absolutnie pewny (zawsze miałem tę pewność), że wśród tych powodów próżno byłoby szukać miłości.

Biorę jabłko ze stojącej przede mną miski i wbijam w nie zęby. Natychmiast zalewa mnie potężna fala melancholii. Owoc ma słodki zapach, to maxton, stary gatunek, a ja jestem jednym z niewielu ludzi, którzy bez trudu go rozpoznają. Nie wygląda szczególnie efektownie, ale pachnie i smakuje jak jabłko, które dawno temu zbierałem w sadach braci Doggett, starych kawalerów, którzy nie żyją już od ponad dwudziestu lat. Lubiłem ich. Nie ma też już drzew, które sadzili, nawozili, przycinali i leczyli - były za duże, rodziły zbyt wolno, nieekonomicznie. Poza tym podobno teraz na owocach nie da się zarobić. Trudno zdobyć dopłaty na sady, ponieważ nie ma wystarczającego popytu na owoce - wszyscy z wyjątkiem Julii kupują importowane. Minał cały dzień - dwóch ludzi musiało poświęcić na to cały dzień - zanim udało się wykarczować stare jabłonie i spalić je.

Dawno temu wykonywałem różne prace dla braci Doggett, którzy zawsze byli dla

mnie bardzo dobrzy i mili. Pomagałem im smołować drzewa zimą, zbierać owoce późnym latem i układać je na pochyłych półkach w szopach, gdzie zapach jabłek był tak intensywny, tak mocny, że czuję go jeszcze dziś, przy tym stole. Finn pracowała razem ze mną. Wiosną,

195

kiedy jabłonie zaczynały kwitnąć, wdrapywaliśmy się na jedną, zawsze tę samą, naszą ulubioną. "Finn w sadzie"... Jezu Chryste, nie mogę znieść tych wspomnień...

- Można zerwać jabłko we właściwy sposób albo w niewłaściwy... - mówię martwym głosem, z akcentem nieżyjących braci, akcentem, który kiedyś nadawał barwę i moim słowom. - Pamiętasz, Nick?

- Pamiętam.

Nick wyciąga rękę i kładzie ją na moim ramieniu w geście solidarności, pocieszenia. I nagle ogarnia mnie uczucie zmęczenia, niezwykłego zmęczenia. Czuję się tak zmęczony, że chyba nie dałbym rady zrobić ani jednego kroku.

- Przepraszam... - mówię. - Nic mi nie jest, naprawdę, za chwilę wszystko będzie w porządku... Jestem tylko zmęczony. Może to przez to jedzenie... Odzwyczałem się od takich dobrych rzeczy. No i to nasze spotkanie... Takie niespodziewane, przed tym portretem...

Waham się. Chciałbym powiedzieć mu o głosie Maisie, o odkryciu, którego dokonałem, a które szybko traci swój blask. Staje się niezrozumiałe, mgliste, szare. Więc Lucas namalował w tle obrazu sprzęty z biblioteki? I co z tego? Jestem głupi i przyjmuję niektóre rzeczy zupełnie dosłownie, oto, co z tego. Wydawało mi się, że słyszę głos Maisie? Można przypisać to ekscytacji po kokainie, można nazwać odlotem. Nick mógłby powiedzieć, że to halucynacje. Nick jest lekarzem, a lekarze mają skłonność do przypisywania ludziom rozmaitych dolegliwości. Czy chcę skończyć w centrum rehabilitacyjnym, w jakimś modnym ośrodku leczniczym, poddać się złożonemu z dwunastu kroków programowi? Nick opłaciłby koszty leczenia (nie mam co do tego cienia wątpliwości), a ja kręciłbym się w codziennym cyrku razem z anorektycznymi modelkami, gwiazdami seriali, które popadły w alkoholizm, i aktorami, których dopadła depresja... Czy chcę tego?

Nazywam się Daniel i jestem...

Raczej nie. Lepiej zmienić taktykę.

196



- Dlaczego przyszedłeś do galerii, Nick? - pytam. - Dlaczego siedziałeś właśnie przed tym obrazem?

- Bez powodu - Nick odwraca wzrok. - Wystawa kończy się za kilka dni. Zamierzałem wybrać się wcześniej, ale byłem bardzo zajęty. Nie poszedłem nawet na imprezę z okazji otwarcia, Julia była, ja nie mogłem. Dziś zajrzałem tam chyba pod wpływem impulsu... Byłem w pobliżu i...

Nic z tych rzeczy, myślę.

- Siedziałeś przed tym obrazem bez końca, nawet nie spojrzaleś na inne. Zawsze zachowujesz się tak na wystawach?

- Chyba nie, ale twoje poczucie czasu jest chwiejne, Dan. Siedziałem tam z dziesięć minut, najwyżej piętnaście. Zresztą, ten obraz wart jest piętnastu minut życia każdego człowieka, nie sądzisz?

- Wyszedłem z sali, poszedłem do kibla, wróciłem, a ty nawet tego nie zauważyłeś!

- Skupiłem się, myślałem o przeszłości. W ostatnim liście do mnie napisałeś coś o... Napisałeś o tamtym lecie, podczas którego wszystko zaczęło się źle układać. Myślałem o tym. O nas dwóch, o tym, jak tamtego dnia znaleźliśmy Maisie na kamiennych płytach... I o tym, co wydarzyło się później, o wszystkim. O tym, jak życie kpi sobie z nas...

Cisza. Czy powinienem sprostować? Bo to ja znalazłem Maisie. Nick przybiegł chwilę później, lecz ta chwila we wspomnieniach wydaje się długa jak wiek. Milczę. Sprostowanie jest zbędne, niczemu by nie służyło. Poza tym właśnie zauważyłem coś ważnego - Nick się waha. Teraz patrzy mi prosto w oczy i czytam w nich prośbę o pomoc - coś, czego nigdy nie spodziewałbym się ze strony Nicka. Trudno mi w to uwierzyć, ale tak, mój radar odbiera właśnie taki sygnał. Czuję, że Nick chce mi coś powiedzieć, więcej, że Nick musi mi się z czegoś zwierzyć. To dziwne uczucie - nagle mam wrażenie, że siedzący naprzeciwko mnie człowiek jest moim bratem bliźniakiem. Wcale nie jest opanowanym, chłodnym

197

przyjacielem, za którego go miałem; nie, Nick jest taki jak ja, on także tańczy na linie i patrzy w przepaść.

Czuję niepokój, troskę, dumę i oszołomienie. Może i nie jestem pierwszym, którego bierze się pod uwagę, kiedy ktoś wpada w kłopoty, ale Nicka nie zawiodę. Odwdzięczę mu się za długie lata lojalności, dam mu wszystko, czego będzie potrzebował - radę, współczucie, zrozumienie, pociechę, pomoc. Będę przy nim. Ale

o co chodzi? O co może chodzić, na miłość boską? Uważnie badam wzrokiem jego twarz. Nie mówi ani słowa, lecz ja już odgadłem, czym może być ten problem, o którym Nickowi tak trudno mówić, już wiem. Niewierność. Oto jedyne wytłumaczenie jego wahania, wstydu i bólu, które widzę w jego oczach. Dobry Boże, Nick w końcu kogoś spotkał, w końcu mu się udało, myślę. Spadło na niego olśnienie i teraz przyszedł czas adwokatów. Dzięki za miłe wspomnienia, ciao, Julia!

Nie będziemy po niej płakać, o, nie... Oczywiście mówię tu za siebie. Nie należę do fanów Julii i nigdy nie byłem w stanie pojąć, jakim cudem zdołała wbić w Nicka swoje szpony. Nick zasługiwał na kogoś o niebo lepszego i kandydatek nie brakowało. O jego względy zabiegały kobiety inteligentne, piękne (cóż, muszę przyznać, że Julia posiada obie te cechy), dobre, ciepłe, lojalne, wierne i szlachetne (a to już nie są cechy Julii).

Oczywiście po narodzinach Fanny Nick znalazł się w pułapce. Pułapka zatrzasnęła się do końca, kiedy na świecie pojawił się Tom. Nick w żadnych okolicznościach nie zostawiłby dzieci, więc dzielnie kroczył przed siebie, żył z tą anomalią przez dwadzieścia lat i te dwie dekady kosztowały go... No, teraz na własne oczy widzę, ile go kosztowały. Małżeństwo z kobietą, której się nie szanuje, to kosztowne doświadczenie.

Ale Tom ma dopiero dziewięć lat, więc jaka kobieta mogłaby sprawić, aby Nick zmienił zdanie... Musiałaby to być osoba niezwykła, wyjątkowa. Kiedy i w jakich okolicznościach

198

ją poznał? Może to ktoś, kogo spotkał w pracy, w jednym ze szpitali, gdzie przyjmuje? Nick ma także prywatną praktykę, więc może ona też, jak on, ma gabinet na Harley Street... Koleżanka po fachu, onkolog? Kardiochirurg? Kim jest ten wzór cnót, na Boga?

Nie mogę się doczekać, kiedy mi powie. Czuję przyływy zrozumienia i wielkiej sympatii, chociaż uczucia te nie są tak czyste, jakbym tego pragnął, nie do końca altruistyczne, przyznaję. Czai się w nich pewien tani triumfalizm: pieprzyć cię, Julio, najwyższy czas, szkoda, że tak późno. Budzi się we mnie także plotkarska ciekawość, którą gardzę, ale cóż, daleko mi do świętości. Może te niskie pobudki odbijają się na mojej twarzy i może Nick je widzi, bo niecierpliwie oczekiwane wyznanie nie następuje. Już ma coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje. Znowu wkłada maskę wstrzemięźliwości, a ja wiem, że go zawiodłem.

Nick zaczyna teraz mówić o mnie i zadaje mi całą serię pytań. Co biorę? Od jak

dawna? Stale czy tylko od czasu do czasu? Czy pracuję? Czy skończyłem już porządkować rzeczy ojca, czy wracam jeszcze do Suffolk, aby zakończyć to trudne zadanie? Co z moim domem w Londynie? Czy nadal zamierzam go sprzedać? Czy mam pieniądze? Czy ciągle rozmyślam nad wypadkiem Maisie? Czy jakiś lekarz przepisał mi środki antydepresyjne? Czy w ogóle szukałem pomocy lekarza? Czy biorę pod uwagę rozpoczęcie jakiejś formy terapii?

- Dan, byłem wstrząśnięty, kiedy cię zobaczyłem - mówi Nick z wielką łagodnością i uprzejmością. - Mam sobie za złe, że nie pojechałem do Wykenfield sześć tygodni temu. Nie powinienem był czekać, ale prosiłeś mnie, żebym nie przyjeżdżał, więc cię usłuchałem i to był błąd. Nie możesz tak dalej żyć. Może chciałbyś ze mną porozmawiać, co? Nie chcesz?

I gdybym miał jeszcze chwilę do namysłu, pewnie powiedziałbym mu, co się ze mną dzieje. Wyrzuciłbym z siebie to wszystko, ponieważ w życiu każdego człowieka przychodzi moment, kiedy samotność staje się morderczą i wyznań nie da

199

się powstrzymać. I jakże bym tego żałował, może godzinę, może dwie później. Nie lubię otwierać się przed nikim. Kiedy człowiekowi zostaje tylko дума, absolutna szczerłość jest niepożądana.

Ratuje mnie niania, która w kluczowym momencie woła do Nicka ze schodów. Tom miał zły sen, naprawdę przerażający i niania nie może go uspokoić. Gdyby Nick mógł zajrzeć do małego... Nick wstaje, na jego twarzy maluje się niepokój i poczucie winy.

- Tom ostatnio źle sypia - mówi. - Przechodzi trudny okres, wydaje mi się, że chodzi o szkołę. Julia dużo pracuje poza domem, ja wracam zwykle bardzo późno, a to nie pomaga... Zaczekasz chwilę, Dan? Zaraz wrócę i zaparzę świeżą kawę, dobrze?

- Wszystko w porządku, naprawdę. Chętnie napiję się kawy. Uściskaj ode mnie Toma.

Nick robi kilka kroków w kierunku schodów, przystaje, lecz ostatecznie wchodzi na górę i znika. Jestem pod wrażeniem. Stolik przy oknie dosłownie ugina się pod ciężarem butelek wódki, dżinu, whisky i wina. Nick nie kazał mi trzymać się od nich z daleka, nawet nie zerknął w tamtą stronę, chociaż ja kilkakrotnie posyłałem tam tęskne spojrzenia.

Nie przywykłem do oznak tak wielkiego zaufania. Od razu czuję się silniejszy. Patrzę na zegarek. Jest dziewięta trzydzieści, a Julia ma wrócić dopiero koło północy.

Możemy rozmawiać jeszcze co najmniej godzinę.

Zastanawiam się (ze smutkiem), który z nas pęknie pierwszy, który pierwszy wyzna swoje grzechy -ja czy Nicholas...

Rozdział Czternasty.

REFLEKSJE.

Tak więc Nick znalazł miłość, myślę. Cieszę się, że komuś się to udało, ale nie zamierzam rozmyślać o miłości ani o jej mrocznym bracie, seksie, bo jeśli zacznę, na pewno opróżnię butelkę wódki.

Nie, mojej uwagi wymagają teraz nieco pilniejsze sprawy. Nick był "wstrząśnięty" moim wyglądem. Nakarmiony zdrową żywnością, napojony czystą wodą, postanawiam dowiedzieć się, co było powodem tego szoku.

Lustro, tak, potrzebne mi lustro. Przeprowadzam konieczną rewizję, w jej trakcie trafiam do obszernej garderoby z boku ogromnej kuchni. Wchodzę do środka, zdeterminowany i twardy jak stal, gotowy zmierzyć się ze swoim odbiciem. Kiedy ostatni raz stałem przed lustrem? Najwyraźniej jakiś czas temu, bo teraz w lśniącej tafli widzę obcego człowieka. To nieogolone widmo ma martwe oczy, dziko zmierzwiłone włosy i londyńską bladość skóry. Facet z lustra jest przeraźliwie chudy, zupełnie jakby chorował na anoreksję, ubrany w wygnieciony czarny garnitur (dlaczego ubrałem się w garnitur, na miłość boską?).

Koszulę ma brudnobiałą, nieświeżą, za paznokciami żałobę, ale najgorsze, najbardziej przygnębiające wrażenie robi złoty kolczyk, który ten przerażający osobnik nosi w uchu. Skąd wziął się ten kolczyk, do diabła? Czy kiedyś nie byłem dosyć przystojny? Oczywiście nie wybitnie, ale jednak. Nie

201

tak przystojny jak Nick, lecz raczej nie szpetny. Patrząc na siebie i myśląc, że oto wracam do korzeni. Znowu jestem Cyganem, moje miejsce jest w marnym namiocie albo wozie z taboru, moje cygańskie geny wyłażą na wierzch.

Szybko przystępuję do działania. Przeczesałem cygańskie włosy, szoruję paznokcie, myję twarz gorącą wodą i mydłem, przywracając policzkom odrobinę koloru.

Wyjmuję z ucha okropny kolczyk. I przetrząsam kieszenie, tak jest, dokładnie i stanowczo, bo tym razem naprawdę zamierzam to zrobić. Wyciągam ostatnią działkę koki i speedu, wygrzebuje jakieś białe, kruszące się pigułki, które mogą być aspiryną, ale niekoniecznie. Mówię do widzenia dwóm niebieskim pastylkom (trudne do zidentyfikowania - prawdopodobnie ekstazka), kilku czerwonym (może witaminy, a może uspokajający temazepam) i na końcu wyjmuję - co to takiego? - przejrzystą kapsułkę. Dziewczyna, która mi ją dała (która?), no, jakaś laska poznana w klubie albo na dawno zapomnianej imprezie, zarzekała się, że jeżeli otworzę ją i wciągnę proszek nosem we właściwym momencie, przeżyję najdłuższy i najbardziej intensywny orgazm w życiu. Trochę mi szkoda pozbyć się takiej szansy... Może mógłbym... Może powinienem... Ostatecznie nigdy przecież nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać... Nie! Tym razem wyrzucam wszystko, naprawdę wszystko! Wszystkie prochy wrzucam do toalety.

Spuszczam wodę i (nie do wiary!) okazuje się, że piguły nie chcą się rozpuścić. Spuszczam jeszcze raz. Nadal nie znikają. Złośliwość przedmiotów martwych jest po prostu niewiarygodna, kurwa mać! Przykrywam pigułki kilkoma kawałkami białego papieru toaletowego, znowu spuszczam wodę i w końcu uciekam stamtąd w popłochu.

Nicka jeszcze nie ma. Wracam do kuchni i zaczynam się rozglądać. Trochę się denerwuję i, żeby oderwać się od widoku tych wszystkich butelek z alkoholem, otwieram kuchenne szafki wielkiej Julii. Ze świecą szukać by tu produktów z konserwantami,

202

co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Pięć rodzajów octu balsamicznego; osiem rodzajów oliwy z pierwszego tłoczenia; kilkanaście słoiczków z anchovies; kilkanaście puszek tuńczyka w sosie własnym; szesnaście paczek makaronu o różnych kształtach; dziewięć rodzajów suszonej fasoli i soczewicy, wszystkie w szklanych słojach, ze starannie wypisaną datą zakupu (Jezu Chryste!); wędzona papryka; pasta laksa; wanilia w strączkach, prosto z Madagaskaru; suszone grzyby; dżem z owoców morwy; kapary; oczy dorsza; jaja rekina; marynowany mózdzek zająca -jeśli coś jest bardzo, bardzo drogie, bardzo, bardzo wyrafinowane albo bardzo, bardzo modne, wielka Julia musi to mieć. Z drugiej strony warto zauważyć, że zwykle to właśnie ona sprawia, iż coś staje się modne.

Kiedyś, w niewyobrażalnie odległej przeszłości, gdy wielka Julia jeszcze ze mną rozmawiała, zrobiłem z nią kampanię, która nosiła tytuł "Tak/Inaczej". Był to klasyczny spot reklamowy z gatunku "przed" i "po", ale zaprawiony szczyptą

postmodernistycznej ironii (w każdym razie tak sobie powtarzaliśmy, bo ten argument pomaga odbić się od każdego artystycznego dna). We fragmencie "przed" młoda, tandetnie ubrana i umalowana dziewczyna wrzucała do paskudnego garnka jakąś ohydę z puszki; stworzyliśmy image kuchni z piekła rodem - brudne linoleum, poplamiony blat z taniego plastiku, przy stole rozwrzeszczane bachory i otyły mążulek, kopający papierosa i zajęty "lekturą" pornograficznej gazety. Ta kobieta jest byle jaką żoną i byle jaką matką; mąż za parę lat dorobi się zawału, dzieciaki lada chwila zaczną strzelać i kraść, a wszystko to dlatego, że mamusi nie chce się nakarmić ich czymś trochę lepszym, że żal jej tych marnych paru groszy -oto, jaką treść udało nam się przekazać, jak sądzę. W kawałku "po" do kuchni wkracza walkiria - piękna Julia, promienna i spokojna. Złociste włosy spływają na cudowne ramiona, kuchnia lśni blaskiem nierdzewnej stali, w tle kręci się mąż w eleganckim garniturze z kamizelką oraz dwoje grzecznych,

203

ślicznych dzieci w szykownych mundurkach, a na kuchence stoi drogi już na pierwszy rzut oka garnek, do którego Julia przekłada Produkt Żywnościowy, wyjmując go z kartonowego, ekologicznego pudełka. Produkt jest pochodzenia organicznego - to widać. Należy tu dodać, że Julia oświadczyła, iż to nie żaden produkt pochodzenia organicznego, ale potworne gówno i że wzięła mnóstwo forsy za udział w reklamie, potwierdzając w ten sposób wszystkie nieprzychylne plotki o swoim charakterze.

"Możesz robić to w ten sposób", rozlegał się słynny głos Julii, podczas gdy kobieta flejtuch ze skazanym na zawał mężem wygrzebywała z puszki resztki obrzydliwego jedzenia, "albo w ten", mruczał na tle pięknej, nowoczesnej kuchni. "Wybieraj sama", dodawała Julia, podczas gdy małżonek z wyraźną rozkoszą wdychał zapach Produktu, a potem obejmował ramieniem smukłą talię Julii i całował jej boską szyję. Julia, która do perfekcji opanowała sztukę ironicznego flirtu przed obiektywem kamery, rzuciła widzom znaczące spojrzenie spod rzęs, dając im jasno do zrozumienia, że wieczorem przystojny mąż dostanie znacznie więcej niż tylko przepyszna kolację z pudełka.

Julia zagrała obie role - siebie samą i flejtucha. Zespół charakteryzatorów wspiał się na szczyty swoich możliwości i w rezultacie nawet dobrzy znajomi Julii rozpoznawali ją we flejtuchu dopiero w czasie trzeciej albo czwartej projekcji reklamy. Wszystkim strasznie się to spodobało, napisano tysiąc artykułów na temat tego, jak, na miłość boską, udało nam się do tego stopnia odmienić wielką Julię.

Dochody ze sprzedaży Produktu błyskawicznie poszły w górę. Trafiliśmy we

wszystkie czułe punkty - seks, snobizm, satyrę i poczucie winy kobiet, świętą czwórkę, w którą wcale niełatwo trafić, niezależnie od tego, co niektórzy mówią. Ta reklama uczyniła Julię gwiazdą. Wcześniejsze występy w telewizji przyniosły jej sporą popularność i zapewniły pewne zainteresowanie ze strony magazynów mody, czemu

204

nie należy się dziwić, biorąc pod uwagę jej urodę, zawsze jednak sprawiała wrażenie zbyt wyrafinowanej. Wszyscy widzieli w niej młodą kobietę z klasy wyższej, a ten wizerunek nie mógł zagwarantować prawdziwej sławy. Dopiero po spocie z flejtuchem w roli głównej ludzie kompletnie oszaleli na punkcie Julii. To prawda, że jej wrogowie rozwodzili się nad tytułem reklamy i jego znaczeniem w kontekście życia prywatnego Julii, ale w niczym jej to nie zaszkodziło - doskonale wiadomo, że skandal i plotki zapewniają zainteresowanie mediów, więcej, dziś bez skandalu nikt nie staje się idolem. Publicznie Julia przyjmowała dowcipy na swój temat z przymrużeniem oka, a ludzie z zachwytem mówili, że naprawdę jest cudowna - nie tylko piękna, ale i obdarzona poczuciem humoru, skoro potrafi śmiać się z samej siebie. Prywatnie wcale się nie śmiała, prywatnie szalała z wściekłości - wiem coś o tym, ponieważ złość Julii spadła właśnie na mnie. W jakiś sposób doszła do wniosku, że reklama została tak wyreżyserowana, aby ją ośmieszyć, i uznała, że to ja puściłem w obieg dowcipy na jej temat oraz plotki dotyczące jej skłonności i przeszłości. Może faktycznie raz czy dwa zażartowałem z Julii, lecz jeśli chodzi o drugi zarzut, byłem czysty jak łza. Jako przyjaciel Nicka, nigdy nie pozwoliłbym sobie na szerzenie plotek o jego żonie. Jednak dla Julii nie miało to znaczenia, w jej oczach byłem winny i zasłużyłem na karę. Może to dziwne, lecz dziś, patrząc wstecz, widzę, że ta reklama była punktem zwrotnym - straciłem prawo wstępu do domu przyjaciela i wiarę w siebie, sukcesy zyskały gorzki smak, natomiast Julia rozkwitła jak róża.

Julia nigdy nie byłaby szczęśliwa w roli gwiazdy telewizyjnych programów o gotowaniu, nigdy nie zgodziłaby się pozostać jedną z tych wszystkich Antonii czy Olivii - weszła w ten świat w zasadzie przypadkiem. Po latach wydawania przyjęć dla ustosunkowanych przyjaciół, prowadzenia kilku programów i udziale w serialu stała na progu sukcesu. Kiedy spowodowana reklamą sława zapewniła jej bezpieczną bazę,

205

Julia zmieniła kierunek. To ona jako pierwsza użyła w mojej obecności określenia "styl życia". Bez wahania wyruszyła na podbój tego ulotnego świata i odniosła wielkie zwycięstwo. Dziś, jeśli ktoś ma kilkaset tysięcy funtów na zbyciu, może

zatrudnić jedną z firm Julii do zaprojektowania i urządzenia domu. Jeżeli ktoś nie należy do tej ligi, ma inne rozwiązanie -może kupić produkowane przez Julię tkaniny czy nakrycia stołowe. Istnieje ogromny wybór firmowanych przez Julię Mortland garnków, rondli, sztućców i tak dalej, a najubożsi mogą pozwolić sobie na farbę do malowania ścian ze znaczkiem "JM" (na rynku jest siedemdziesiąt pięć odcieni bieli tej firmy). Krótko mówiąc, rozmiary imperium Julii dosłownie rzucają na kolana.

Przyglądam się ścianom. Julia jest dziś arbitrem, jeśli chodzi o "styl życia". Jej aprobata i wsparcie warte są wiele tysięcy. Sama Julia warta jest wiele milionów. Wszystkie jej farby noszą interesujące nazwy, na przykład "Pióro gila" czy "Skrzydło czapli". O ile się nie mylę, ten odcień nazywa się "Skowronek".

Ile skowronków śpiewało nad polami mojego dzieciństwa? Było ich mnóstwo, pamiętam doskonale. Dziś skowronków już nie ma. Wyginęły, zupełnie jak ptak dodo. W ciągu kilku miesięcy, które spędziłem w Wykenfield, opiekując się moim ojcem, nie widziałem ani jednego. Nie mają już gdzie zakładać gniazd? Środowisko jest zbyt mocno zatrute? Znam ten problem. Ubiegłego lata Hector McIver pięć razy spryskiwał pestycydami swoje zbiory w czasie cyklu wzrostu... Z drugiej strony, toksyny bywają użyteczne. Poklepuję się po kieszeniach. Patrzę na pełną owoców misę. Czy zdobędę się na odwagę, żeby zjeść brzoskwinię? Zapalić papierosa? Czuję, że po prostu muszę zapalić, nawet tutaj, w królestwie Julii. Niespokojnie chodzę po kuchni, z każdą chwilą coraz bardziej zdenerwowany, i za każdym razem mijam te cholerne butelki. Wyjmuję paczkę marlboro. Dzięki Bogu, że przynajmniej ich sienie pozbyłem... Zaciągam się głęboko i już czuję się lepiej.

206

Robię jeszcze jedno okrażenie i odkrywam prawdziwy skarbiec.

Na ścianie znajduję dużą korkową tablicę z przyklejonymi karteczkami. Wszystkie kartki ozdobione są napisem "DO WYKONANIA". Czytam: Perpetuo, zaprowadź Toma na kółko matematyczne!; Uporządkuj rzeczy w jego szafkach!; Juanito, wypoleruj podłogę!; Odnieś ubrania do pralni chemicznej!; Zrób pranie!; Zadzwoń do weterynarza!; Załatw mycie okien!

Dodaję własną karteczkę. Piszę: Julio, strzeż się! Twój mąż zastanawia się, czy cię nie zostawić! Przyklejam ją u samej góry, w najbardziej widocznym miejscu, lecz zaraz rozmyślam się, zdejmuję kartkę i gniotę ją w kulkę. Jak pozbyć się tego dowodu winy? Może go zjeść? Ostatecznie umieszczam go na dnie czyściuteńkiego, wyłożonego plastikową torbą ze środkiem dezodoryzującym kosza na śmieci, pod skorupkami jajek. Potem wracam do tablicy, ponieważ są tam nie tylko kartki z poleceniami, ale także fotografie. Oglądam je uważnie: jest tu kilka zdjęć Nicka i



Toma, ewidentnie nie nowych; parę fotek Fanny, chyba sprzed ładnych paru lat, bo córka Nicka wygląda na nich mniej więcej tak jak dziewięć lat temu, kiedy widziałem ją ostatni raz - robi wrażenie bystrej, bardzo krytycznie nastawionej do świata i ludzi, a na nosie ma okulary.

- Cześć, Fanny, jak życie? - zagadnąłem wtedy, na przyjęciu z okazji chrzcin Toma.

Spośród ponad czterdziestu zaproszonych osób widziałem tylko olśniewającą Finn, która stała niedaleko, pogrążona w rozmowie z Nickiem i Lucasem, swoim byłym mężem.

- Lepiej niż twoje - odparła Fanny. - To twój piąty kieliszek wina w ciągu pół godziny. Liczyłam.

Właśnie tego teraz mi trzeba, pomyślałem. Spozrzegawcza jedenastolatka, cholera ciężka.

- Masz rację - przyznałem. - Ale trochę się denerwuję, nic na to nie poradzę.

207

- Zawsze się denerwujesz. Daj sobie spokój z tą obsesją na punkcie Finn i porozmawiaj ze mną. Bardzo podobała mi się reklama Nicey Spicey, zwłaszcza ten tańczący goździk. To było naprawdę świetne.

- Dziękuję, Fanny. Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy, że mam obsesję na punkcie Finn. Jak tam w szkole?

- Boże, nienawidzę cię! - rzuciła zimno. - Palant z ciebie, wiesz?

I tyle. Na tym zakończyły się moje kontakty z Fanny. Czasami w okresie dojrzewania z ludźmi dzieją się naprawdę dziwne rzeczy.

Tępy wzrokiem wpatruję się w tablicę. Mnóstwo zdjęć Julii, w tym jedno z Lucasem, z otwarcia retrospektywnej wystawy... I wreszcie klejnot, którego szukałem. Przypięte w rogu, prawie zupełnie zasłonięte karteczkami postit zdjęcie Finn.

Wiedziałem, że gdzieś tu musi być, ostatecznie ona i Julia są siostrami. Patrzę na kobietę, którą stała się Finn. Ścięła piękne włosy - to pierwszy szok. Teraz nosi króciutką, chłopięcą fryzurę, rozjaśnioną afrykańskim słońcem. Ma na sobie luźne szorty khaki i koszulkę, jej długie gołe nogi są opalone; jest szczuplejsza niż Finn, którą pamiętam, a przecież tamta Finn była bardzo smukła. Czy wygląda starzej? Nie umiem powiedzieć, ponieważ połowę jej twarzy zasłaniają ciemne okulary.

Dookoła niej kłębi się grupa czarnoskórych dzieci, których oczy utkwione są w obiektywie. To Botswana, Mozambik, Etiopia albo jakieś inne miejsce, gdzie w tej chwili przebywa Finn. Kiedy Finn wyszła za Lucasa, rzuciła studia na wydziale literatury w Cambridge. Po stracie dziecka i rozwodzie wróciła na uniwersytet. Zrobiła dyplom, a potem doktorat, z ekonomii rolniczej. Od wyjazdu z Anglii (dziewięć lat temu) pracuje dla jakiejś organizacji o skomplikowanych inicjałach; nie jestem w stanie zapamiętać tego skrótu, mózg mi się blokuje, ale niewykluczone, że chodzi o WHO.

208

Jest ekspertem od problemów, których nie rozumiem, na przykład irygacji, oczyszczania wody, programów szczepień, uzyskiwania pomocy z funduszków ONZ oraz polityki rolnej krajów Trzeciego Świata. Świetnie sobie radzi. Pracuje w krajach, w których nigdy nie byłem, nie wyszła powtórnie za mąż i przysyła mi kartki z gilami z okazji Bożego Narodzenia. Nie wiem, gdzie ani kim jest i ten wymuszony brak wiedzy (nie bierze się on z mojej winy, to Finn nie odpowiada na moje listy) boli, naprawdę boli. Rani moje serce. Patrząc na fotografię i z trudem łapię oddech - nagle odkrywam, że miłość i strata rzeczywiście uderzają prosto w serce, stąd to uczucie dławienia. Miłość i strata ściskają aortę - muszę pamiętać o tym, gdy następnym razem wdam się w rozmowę z cynikami.

Mojej Finn już nie ma - jej zdjęcie w końcu mi to uświadamia. Kiedy myślę o Finn, gdy o niej marzę i śnię, kiedy czasami budzę się z płomiennych snów i miłych wyobrażeń, i przez chwilę w ciemności łudzę się, że ona jest przy mnie, że mogę jej dotknąć, najzwyczajniej w świecie obcuje z duchem. Bo przecież wyobrażam sobie Finn, widzę ją taką, jaką była przed dwudziestu laty, złotą dziewczynę, która nie bała się niczego, tymczasem dziś Finn jest kobietą z doktoratem, krótkimi włosami i innym dowodem tożsamości. Ona poszła naprzód, ja się cofnąłem. Nic dziwnego, że nie odpowiada na moje listy, choć oczywiście są one ostrożne i jak najbardziej właściwe - po co miałyby reagować na błagania czternastolatka w średnim wieku...

Chowam zdjęcie do kieszeni. Nie wierzę, aby ktoś zauważył jego zniknięcie, zresztą i tak mam to gdzieś. Ta fotografia znacznie bardziej potrzebna jest mnie niż Julii.

Pośpiesznie wracam do kuchni, ale ponieważ Nicka nadal nie ma (co on robi, na miłość boską?), postanawiam zaparzyć kawę. W żadnej szafce nie znajduję mojej ukochanej, życiodajnej kawy rozpuszczalnej, udaje mi się jednak zlokalizować ekspres. Jestem technofobem, mam wrodzony wstręt do

209

urządzeń technicznych, więc zbliżam się do niego ostrożnie, z wahaniem. Ekspres Julii ma więcej przycisków, guziczków i pokręteł niż maszyna podtrzymująca funkcje życiowe, a także międzynarodowe instrukcje, przedstawione za pomocą rysunków, które powinny wystarczyć nawet przeciętnie inteligentnemu trzylatkowi. Mnie łatwiej przyszłoby chyba odszyfrować kod Enigmy, ale w końcu jakoś daję sobie radę z tym cholerstwem. Napelniam wodą jeden obiecujący zbiornik, do drugiego sypię organiczną, ekologiczną, zbieraną o świcie (żeby była jeszcze lepsza i zdrowsza) kawę. Przyciskam kilka guziczków i coś zaczyna się dziać. Coś zachęcająco zasysa, bulgocze i gulgocze, lecz nagle, w tle tych w sumie dość miłych odgłosów, słyszę i inne - coś warkocze pod domem, a potem, kurwa mać, zgrzyta w zamku i frontowe drzwi się otwierają.

Nick także usłyszał zatrzymującą się na ulicy taksówkę, to oczywiste, i zanim Julia zdążyła wyjąć klucz z zamka, zbiegł na dół. Samica alfa wróciła do domu wcześniej, niż zapowiadała. Zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku. Nie musimy nic do siebie mówić, obaj jesteśmy świadomi, że wpadliśmy jak śliwka w kompot.

- Julia zaczyna jutro nowy serial - mówi cicho Nick, a ja, niczym dobrze wyszkolony agent wywiadu, przykucam i w tej pozycji zaczynam przemieszczać się w stronę schodów. - Będzie kręcić w terenie, kierowca przyjedzie po nią o szóstej. Zadzwonię do ciebie zaraz potem. Wyjeżdżam do szpitala koło szóstej trzydzieści, nie obudzę cię?

Bez słowa kręcę głową.

- Tylko nie bierz żadnych pigułek, Dan - ciągnie Nick, sprawdzając, czy schody są bezpieczne - żadnych prochów, żadnego alkoholu, po prostu nic. Jutro z samego rana zastanowimy się, co robić. Dajesz słowo?

- Daję słowo, jasne. Przysięgam, zresztą i tak nie mam już zapasów.

Nick i ja, dwaj faceci w trakcie niebezpiecznego zadania.

210

Chyba powinniśmy jednak zachować całkowitą ciszę, jak przystało na wzorowych agentów. Czy Julia mogła wychwycić szmer naszych przyciszonych głosów? Jasne, że mogła. Julia to nie tylko samica alfa, Julia to także żywy wykrywacz wszystkiego, po prostu wszystkiego.

Do spotkania dochodzi w holu. Jest krótkie. Julia uśmiecha się olśniewająco i całuje mnie w policzek.

- Dan, co za wspaniała niespodzianka! - woła. - Chyba jeszcze nie wychodzisz, co?

Idealna celność strzału, prosto w twarz. Pięć sekund i już jestem za progiem. Uśmiech ani na chwilę nie zniknął z twarzy Julii.

Drzwi się zamykają. Odchodzę, przyglądając się innym domom przy tej zamożnej ulicy. Kiedy Nick i ja dzieliliśmy mieszkanie w pobliżu, były tu walące się slumsy, teraz wszystkie latarnie i przemyślnie zainstalowane reflektory wydobywają z mroku uszlachetnione rezydencje. Jestem w połowie drogi do głównej ulicy, kiedy przypominam sobie, że zostawiłem u Nicka teczkę.

W holu czy w kuchni? Zawracam. Na schodach ogarnia mnie wahanie. Całe wieki patrzę trochę ironicznie na dwa laurowe krzewy w donicach, chyba trochę zmarniałe (słabo się starasz, Julio, przynajmniej w tym jednym, jedynym wypadku). W końcu mobilizuję energię i odwagę, i już mam zapukać do drzwi, gdy nagle, gdzieś pode mną, z gwałtownym trzaskiem otwiera się okno i razem z falą ciepłego powietrza oraz nikotynowych oparów dociera do mnie głos Julii.

- Zostawiłeś go samego? - pyta ze złością. - Zwariowałeś?! Nie mogę tu oddychać, do cholery! W całym domu cuchnie papierosami, poczułam to od razu! Serdeczne dzięki, Nick! Na pewno zaglądał wszędzie, otwierał moje szafki, o, i poprzesuwał kartki na tablicy! Jak mogłeś sprowadzić tego człowieka do mojego domu? Mam nadzieję, że przynajmniej Toma trzymałeś od niego z daleka...

211

- Nawet nie widział Toma. Musiałem porozmawiać chwilę z Tomem i dlatego zostawiłem Dana samego. Tom znowu miał zły sen, zresztą byłem na górze najwyżej dziesięć minut. Uspokój się, to po prostu śmieszne...

- Gdzie go spotkałeś? Nie wierzę w takie przypadki, cholera jasna! Umówiłeś się z nim?

- Nie, wpadłem na niego na Piccadilly. Wyszedłem ze szpitala i chciałem jeszcze wpaść do księgarni Hatcharda, po książkę, która jest mi potrzebna...

Interesujące, myślę, przewieszając się przez poręcz schodów i chciwie podsłuchując. A więc Nick potrafi kłamać... I to nieźle - lekkie odejście od prawdy, ani cienia wahania. Dlaczego nie chciał powiedzieć Julii, że był na retrospektywie Lucasa? Dlaczego okłamał ją tak gładko? Chyba honorowy Nick nie oszukuje Julii stale i wciąż... W tej chwili uświadamiam sobie, że przecież mnie także nie powiedział prawdy co do tej wizyty w galerii.

- Ale dlaczego przyprowadziłeś go tutaj? Jak mogłeś, Nick? Doskonale wiesz, jaki on jest! Wszystko niszczy, brudzi i zatrzuwa...

- Dan ostatnio ma potwornego pecha, nie pracuje, umarł mu ojciec, a na dodatek jest chory. Nie jadł od paru dni i chyba nie spał, sądząc po jego wyglądzie. Co miałem zrobić?

- Och, ja też nie czułabym się najlepiej, gdybym codziennie pakowała w siebie kokę! Dam głowę, że opowiedział ci jakąś łzawą historyjkę, to jego specjalność! Dlaczego nie widzisz, jaki jest naprawdę? Zawsze był kłamliwym, dwulicowym sukinkotem! To okropny człowiek, zawsze taki był! Chodził za Finn jak pies, podlizywał się Dziadkowi i Stelli, mieszkał w tej ohydnej ruderze z babką, cholerną wiedźmą! Oboje bez przerwy podglądali nas i podsłuchiwali, a ona na dodatek podkradała różne rzeczy - jedzenie, ubrania, papier do pisania, co chcesz... Była po prostu bezczelna! Ciągle przyglądała się książkom, raz przyłapałam ją w bibliotece z całym naręczem... I wiesz, jak miała czelność się tłumaczyć?

212

Powiedziała mi, że Dziadzius pozwolił jej je pożyczyć! Wyobrażasz to sobie?! Ta cholerna baba nie umiała nawet mówić po angielsku, nie mówiąc już o czytaniu!

- To się nazywa bieda, Julio! I nie możesz winić Dana za wady jego babki!

- Jasne, jasne, ale lepiej sprawdź, czy nie zniknęło kilka srebrnych sztuczków i czy masz jeszcze alkohol w barku! Możesz być absolutnie pewny, że nie wyszedł stąd z pustymi kieszeniami! Zwinął coś, nie mam cienia wątpliwości! Och, widzę, że go nakarmiłeś! Świetnie! No, wspaniale, słowo daję! Lepiej zachowuje się przy stole, czy nadal trzyma nóż jak długopis i gada z pełnymi ustami?

- Ciszej, na miłość boską! Znowu obudzisz Toma!

- Jestem wściekła, kurwa mać! Niedobrze mi się robi na samą myśl, że był tutaj! Ostrzegam cię, dobrze się zastanów, zanim następnym razem postanowisz zagrać dobrego samarytanina! I nie pozwól Danowi wleźć do swojego życia, bo on wszędzie zostawia za sobą chaos i cierpienie! Zawsze tak było i zawsze tak będzie! Zapytaj Finn. Pomyśl o Maisie. Gdyby Maisie nie spędzała tyle czasu na rozmowach z Danem, gdyby nie napełnił jej głowy swoimi tanimi historyjkami, nigdy nie doszłoby do tego wypadku!

- To idiotyczny argument! To, co stało się z Maisie, nie miało nic wspólnego z Danem! Maisie była chora, spójrz prawdzie w oczy, Julio!

- Na pewno dla ciebie nie ma także znaczenia, że zrobił ze mnie pośmiewisko, prawda? Pamiętasz tamtą kampanię reklamową? To był doskonały przykład, jak działa nasz kochany Dan! Ten skurwiel po prostu mnie wystawił! Ludzie śmiali się ze

mnie przez parę miesięcy! Na dodatek zaczął rozpuszczać okropne, złośliwe plotki na mój temat...

- Plotki o tobie zaczęły krążyć dużo wcześniej, bądźmy uczciwi!
- Więc bądź uczciwy także w ocenie tego faceta, bo gdybyś nie był ślepy jak kret, zobaczyłbyś go takim, jakim naprawdę jest!

213

To podstępny, wyszczekany kłamca i oszust, obrzydliwy drań! Wpędza ludzi w kłopoty i épa! Nie pozwolę, żeby kręcił się w pobliżu mojego syna! To moje ostatnie słowo!

Jest ojcem chrzestnym Toma. I moim przyjacielem. Moim najdawniejszym przyjacielem.

- Najwyższy czas, żebyś zerwał z nim wszelkie kontakty! Wszyscy inni już dawno to zrobili!
- Może to oznaka słabości, ale wolę nie pędzić razem ze stadem - odpowiada Nick chłodnym tonem. - Zostawmy ten temat, dobrze?

W kuchni zapada pełne napięcia milczenie.

- Chryste, jesteś potwornie świętoszkowatym dupkiem! -warczy Julia. - Co to za dźwięk? - pyta szybko, z nową nutą przestachu i podejrzliwości.

Rzeczywiście, dopiero teraz wyraźnie słyszę ten świszczący, syczący, grzechotliwy odgłos, który przez cały czas narastał w tle małżeńskiej kłótni. Jest już zbyt donośny, aby go zignorować. Przez otwarte okno kuchni wydostają się dźwięki świadczące o poruszeniu i panice. Julia wydaje okrzyk przerażenia. Dobiega mnie godne Wezuwiusza gulgotanie. Houston, mamy problem...

Ekspres do kawy wybucha. Tak, naprawdę wybucha. Eksplozja jest bardzo głośna. Chwilę czekam na schodach, chcąc się upewnić, że nie ma ofiar ani rannych, potem uciekam, pełen smutku i gorzkości.

Dochodzę do wniosku, że nie ma sensu wracać po teczkę. I tak była tylko rekwizytem, w środku kompletnie pustym.

## KOMPLIKACJE MIŁOSNO SEKSUALNE.

Ze spuszczoną głową wracam do domu. Powoli idę wzdłuż Upper Street, oplakując w duchu Babcie, która dla mnie podkradała jedzenie i książki. W domu mieliśmy tylko jedną- Biblię. W bibliotece Opactwa było dwa tysiące tomów, przeliczyliśmy je kiedyś, ja i Maisie. Muskam palcem fotografię Finn, którą ukryłem w kieszeni. Przechodzę na drugą stronę ulicy na rondzie Highbury Islington. To wprost idealne miejsce, jeśli ktoś chciałby się wpakować pod dziesięcotonową ciężarówkę, zresztą nawet przechodniom pozbawionym samobójczych zamiarów trudno jest uniknąć tego losu.

Highbury Fields, Pola Highbury, w niczym nie przypominają pól mojego dzieciństwa. Kiedyś rzeczywiście były tu rozległe łąki, lecz te na przestrzeni wieków skuliły się do rozmiarów niewielkiego, słabo oświetlonego miejskiego parku, pociętego splekanymi asfaltowymi ścieżkami. Trawniki przypominają pola minowe, bo dosłownie na każdym kroku można tu wdepnąć w psie gówno. Średnio co dwa metry rozstawiono znaki, zabraniające ludziom rozmaitych rzeczy - nie wolno tu jeździć na deskorolce ani na rowerze, nie wolno spuszczać psa ze smyczy ani zostawiać po nim kup (próżne wezwania!). Jeszcze trochę i na pewno pojawią się tablice z napisami: "Nie mordować, nie napadać, nie gwałcić".

Na rogu pod moim domem stoi grupka młodocianych bandziorów w dresach i kurtkach z kapturami.

Stoją tu zawsze. Czasami jest ich więcej, czasami mniej,

215

czasami zmieniają skład osobowy, ale zawsze tu są. Trudno powiedzieć, jakie mają zamiary, chociaż w ostatnich tygodniach poświęciłem sporo czasu na obserwację ich działań. Przyglądałem im się, kiedy tylko nie wydzwaniałem do ludzi, którzy i tak nie oddzwonili, nie podziwiałem swojej kolekcji brzytwy i nie przepisywałem CV, bo przecież nie mam nic do roboty. Najprawdopodobniej handlują prochami, ale całkiem możliwe, że po prostu tak sobie stoją. Jeden z nich, pewnie przywódca, szef gangu - chyba nazywa się Malc - ostatnio sprawił sobie telefon z antenką, tak zwany komórkowy, taki, jakim posługują się ci wszyscy młodzi bankierzy. Komórka jest wielkości cegły i Malc praktycznie bez przerwy trzymają przy uchu. Ciekawe, z kim on rozmawia?

W moich stosunkach z Malkiem zaszły korzystne zmiany. Mój uliczny status znacznie się poprawił. Jeszcze niedawno Malc usiłował zamordować mnie wzrokiem,

teraz tylko patrzy. Tego popołudnia, będąc w optymistycznym nastroju, w drodze na zakończone fiaskiem spotkanie w sprawie Wunderbar, podniosłem rękę w geście pozdrowienia.

- Cześć, Malc - powiedziałem.

W odpowiedzi Malc uniósł pięść w górę.

- Joł, men - odparł.

Pierwszy raz dał wyraz, że zauważa moje istnienie. Był pierwszą osobą, która zwróciła się do mnie w ciągu ostatnich pięciu dni. Poczulem wdzięczność.

Zawsze szybko się uczyłem.

- Joł, men... - chrypię, zbliżając się do niego bokiem, jak krab, w sinym świetle latarni.

Cały czas zastanawiam się, czy Malc i Spółka nie postawią mnie w sytuacji, dzięki której sznur i kolekcja brzytw staną się zbędne. Malc wydaje jakiś nieco zwierzęcy odgłos, a jego zakapturzeni kumple - myśl o nich jako o mnichach, powtarzam sobie - prostują się powoli. Zaczynają poklepywać się po otwartych dłoniach, wykonywać sprośne, pseudozabawne gesty i śmiać się na całe gardło.

216

- Msz gcia - mówi Malc.

Udaje mi się odszyfrować ten tekst, ale trochę to trwa. Wreszcie łapię, o co chodzi - mam gościa.

Bardzo śmieszne, Malc. Na szczęście, chociaż ciągle ktoś domaga się mojego towarzystwa, a życie to jedna długa imprezka, jakoś ostatnio nie mam wielkiej ochoty na spotkania z gośćmi, którzy zjawiają się późną nocą; całkowicie wystarczają mi wizyty mleczarza oraz śmieciarzy (raz na tydzień). Akurat w tej chwili najchętniej wsadziłbym głowę do piecyka i odkręcił gaz. Julia wprawiła mnie w taki nastrój. Popełniłem duży błąd, podsłuchując (było to do przewidzenia!), ponieważ usłyszałem same złe rzeczy o sobie, przypomniano mi, jakim jestem nieokrzesanym burakiem i brudnym ćpunem, którego nikt nie chce i nie potrzebuje. Chciałbym tam wrócić, zapukać do jej drzwi i powiedzieć, że się zmieniłem, ale byłoby to nierozważne, więc idę dalej, czując znajomy już ból w klatce piersiowej.

Pokonuję kilka metrów, które dzielą mnie od domu. Mojego bardzo dużego domu, kupionego w chwili rozkwitającego pod wpływem speedu szaleństwa; mojego



zaniedbanego domu, za który zapłaciłem za dużo, ponieważ osiem sekund wcześniej rynek nieruchomości zaczął stawać na głowie; mojego od dawna nieodnawianego domu, który przed dwoma laty był przedmiotem ogólnego pożądania; mojego domu - pięciopoziomowego wyrzutu sumienia z powodu rozrzutności. Kredyt hipoteczny wielki jak zadłużenie krajów Trzeciego Świata; spiętrzające się odsetki, między innymi za opóźnienia w spłacaniu. Bank grozi zajęciem, co przynajmniej pozbawiłoby mnie kłopotów. Stoję w obliczu bankructwa, ale to mi specjalnie nie przeszkadza. Zbankrutowałem już na wiele ważniejszych sposobów, więc bankructwo finansowe nie napawa mnie lękiem.

Jeszcze rano przy furtce wisiała najnowsza tablica z napisem "SPRZEDAM". Jeden z wielu mieszkających w sąsiedztwie maniaków nie toleruje takich tablic i prowadzi przeciw

217

nim krucjatę. Ledwo ktoś je postawi czy powiesi, a już ich nie ma. Ta wytrzymała dwadzieścia cztery godziny i jest to rekord, jednak kat musiał dopaść ją w czasie mojej nieobecności, bo teraz już nie wisi, ale leży pod płótem. I... Zaraz, zaraz, cóż to takiego? Naprawdę mam gościa! Przystaję, zagapiony i niedowierzający własnym oczom. Na murku, bynajmniej nie wystraszona takimi zagrożeniami nocnego Londynu, jakimi są Malc i Spółka, siedzi młoda kobieta. Dziewczyna, ładna i atrakcyjna dziewczyna, w każdym razie tak wydaje mi się w tym świetle. Ubrana jak egzotyczny miejski wojownik czy rycerz. Zachowuje się skromnie i spokojnie.

- No, wreszcie! - odzywa się, wstając. - Czekam na ciebie od ponad godziny, Dan.

Sprawia wrażenie lekko zasmuconej. Nigdy w życiu nie widziałem tej dziewczyny. Czyżbym się z nią umówił? Niemożliwe. Jeśli nie liczyć konferencji z lekarzami, pogrzebów i spotkań w sprawie kampanii Wunderbar, to moje życie w ciągu ostatniego roku było całkowicie wolne od takich okazji. Dziewczyna wchodzi za mną po schodach. Zamykam je, odcinając się od gwizdów i kpiących okrzyków, wydawanych przez Malca i Spółkę, zapalam światło w holu i przyglądam jej się uważnie.

Odpowiada bezbronnym spojrzeniem krótkowidza. Nie okazuje chęci, aby mi pomóc, lecz w końcu, bardzo powoli i z oporami, z mętnych odmetów mojej pamięci wyłania się wspomnienie, niewyraźne i nieco niepokojące. Ostatni raz byłem w klubie czy na imprezie ze sto lat temu. Pamiętam skaczące jak w ataku padaczki światła, wódę i kokę w nieograniczonych ilościach. Trans i techno. Odnoszę nieprzyjemne uczucie, że ludzie tańczyli, i jeszcze bardziej nieprzyjemne, że i ja tańczyłem. Dziewczyna była wtedy ubrana jak nimfa, dzisiaj wygląda jak erotyczny sen o kickbokserze, lecz

mimo tego udaje mi się ją rozpoznać. To ta od superorgazmicznych prochów w kapsułce.

Czy ta czarodziejka, ta Kirke, która dała mi magiczny środek

218

na osiągnięcie superorgazmu, ma jakieś imię? Przypominam sobie, że było nieco chłopięce i bardzo przyzwoite, z tradycjami. No, już mam - Frankie.

- Frankie... - zaczynam, usiłując za nią nadażyć. - Frankie, to chyba nie jest najlepszy moment...

Dziewczyna ma tempo, natomiast nie ma zahamowań -już jest w salonie, już ogląda pamiątki na okapie kominka. I w ogóle mnie nie słucha. Uważnie przygląda się moim prywatnym rzeczom - chińskiej kuli z kości słoniowej i leżącemu obok niej zniżkowemu kuponowi na zakup książki. Bierze je do ręki i patrzy na mnie badawczo. Moje słowa docierają do niej dopiero po dłuższej chwili.

- Błąd - odpowiada. - To jest właściwy moment, Dan. Rozłożyłam dzisiaj talię tarota i karty przekazały mi jakby zupełnie jednoznaczną wiadomość...

Popeliła dwa grzechy w jednym zdaniu. Istnieją dwa nowoczesne manieryzmy, których najzwyczajniej w świecie nie znoszę: pierwszy to ta kretyńska amerykańska intonacja, zgodnie z którą zdania wymawia się tak, jakby były pytaniami, a druga to natrętne powtarzanie słowa "jakby". Wiem, że wiele osób weźmie mnie za pedancika, staroświeckiego, smętnego czepialskiego, ale przecież ja piszę, kurwa mać, a w każdym razie kiedyś pisałem. Posługuję się słowami, obcuję z nimi i one szczerze mnie obchodzą. Dlatego tkwiący we mnie purysta językowy powinien pokazać tej dziewczynie drzwi, najlepiej jakby od razu. Z drugiej strony, widzę, że dziewczyna tłumy uśmiech, a jej oczy lśnią rozbawieniem, więc nie mogę wykluczyć, że użyła tych manieryzmów celowo - może próbuje mi coś przypomnieć albo drażni się ze mną, żartuje sobie. A jeżeli naprawdę tak jest, to znaczy, że musi wiedzieć o moich pedantycznych zбочzeniach i to ja musiałem jej o nich powiedzieć.

Nagle ogarnia mnie prawdziwy niepokój. Co jeszcze jej powiedziałem? Co jeszcze zrobiłem? Pamięć podpowiada mi, że nasze spotkanie było krótkie, ograniczone do klubu i parkietu,

219

ale na mojej pamięci nie można już polegać, zwłaszcza że na dodatek bywa litościwa i ma tendencję do redagowania i upiększania wspomnień. Możliwe więc, że nasze spotkanie trwało dłużej, niż mi się teraz wydaje. Może ta dziewczyna i ja poszliśmy

gdzieś, gdzie doszło między nami do wymiany intymności... Może zwierzyłem jej się ze swoich purystycznych skłonności, na przykład, albo bez umiaru gadałem o nieżyjącej babce i tarocie, kto wie...

Wszystko to razem bardzo mi się nie podoba. W jaki sposób przeszliśmy od puryzmu i tarota do środków podniecających? Skąd wynikł temat orgazmu? Z pewnością nie... Chyba nie... Niemożliwe, żebym... Ta dziewczyna jest młoda, trudno określić, jak bardzo młoda, ale dość młoda, by pozostać poza zasięgiem kogoś takiego jak ja. Robi wrażenie lolitki, lecz ja w niczym nie przypominam Humberta Humberta. Może ma szesnaście, może osiemnaście lat... Jestem w marnym stanie i moje słabe zdolności percepcyjne nie pozwalają mi na szybką ocenę problemu. Nie pomaga mi też fakt, że dziewczyna nosi na twarzy tonę makijażu, ale wydaje mi się, że śmiało mogłaby być moją córką, a przecież nawet w okresie przedtajlandzkim, przedtokijskim, w którym musiało się zdarzyć nasze spotkanie, nawet wtedy, gdy staczałem się w dół niczym śnieżna kula po zboczu, nawet wtedy trzymałem się pewnych zasad... Tylko czy na pewno?

Pokój powoli zasnuwa się mgłą. Czas zwalnia bieg, tak jak w czasie wypadku samochodowego. Usiłuję wyczytać coś z jej twarzy, lecz nie mogę się skupić. Jej twarz i jej figura... Dziewczyna ma wspaniałą figurę oraz inteligentną twarz, więcej, ma także niezwykle, szacujące mnie bystrym spojrzeniem oczy, które coś mi mówią. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te zielone źrenice jak szalone nadają coś kodem, nie Morse'em, ale jakimś innym.

Nie masz chyba na myśli tego, co podejrzewam, że masz na myśli, odpowiadam tym samym szyfrem. Och, tak, jak najbardziej, odbieram.

220

Wpatruję się w dziewczynę przez całe wieki. Patrzę na rzeczy, które trzyma w ręku. Wyraz jej twarzy i gestów jest wielce wymowny - trzyma w dłoni moją przeszłość, przeszłość, która woła do mnie. Byłem już w takiej sytuacji, uświadamiam sobie. Dwa lata wcześniej potrafiłem sobie z tym poradzić, teraz nie umiem. Dwa lata wcześniej zdarzało mi się budzić o czwartej rano w obcym pokoju; zbierałem wtedy rozrzucone części ubrania, na palcach opuszczałem mieszkanie kobiety, z którą spędziłem noc, i zostawiałem ją śpiącą. A potem nie było żadnych listów, żadnych telefonów i żadnych konsekwencji poza przyswojeniem nowej definicji uprzejmości, odrobiny wstydu i bliżej nieokreślonym, lecz trwałym kontaktem z cierpieniem.

Tak, to ponura kraina, to królestwo komplikacji miłosno erotycznych. Byłem tam, widziałem wszystko, co można zobaczyć, dostałem koszulę z nadrukiem "Koszty duchowe" i za nic na świecie nie zgodziłbym się tam wrócić.

Nie ma mowy, przykro mi, przesyłam odpowiedź i widzę, jak coś umiera w jej oczach. Delikatnie wyjmuję moje pamiątki z jej dłoni i odstawiam na miejsce. Dziewczyna, młoda kobieta, milczy. Odsuwa się ode mnie.

Kładę kupon na parapecie nad kominkiem. Jest pognieciony i wyblakły, ale wypisane w środku słowa pozostały czytelne. Patrzę na życzenia, które nastoletni chłopak spędził w pocie czoła. "Wszystkiego najlepszego w dniu 14. urodzin, Finn! Proszę, wykorzystaj to na zakup naprawdę świetnej książki. Z serdecznymi pozdrowieniami, Daniel Nunn".

Tamten chłopiec miał krągły, nieuformowany charakter pisma. W tamtym czasie wciąż jeszcze kończyłem litery zawiniętymi pętelkami, tak jak nauczono mnie w wiejskiej podstawówce. Co mi wpadło do głowy, żeby napisać "Z serdecznymi pozdrowieniami" i podpisać się imieniem i nazwiskiem?

- Co chcesz dostać na urodziny, Finn? - zapytałem wiele tygodni wcześniej.

221

- Najbardziej chciałabym dostać wodę toaletową - odparła. - Nazywa się "Taboo" i można ją dostać u Woolwortha.

Czy Finn po prostu zlitowała się nade mną, ponieważ wiedziała, że mam bardzo mało pieniędzy, choć oszczędzałem od miesięcy? Ale może, myślę, naprawdę chciała dostać tanią wodę "Taboo", pachnącą seksem i dorosłością. Tak czy inaczej, nie kupiłem jej - matka Nicka wyperswadowała mi ten pomysł. Nie było to trudne, bo żyłem w stałym, potwornym lęku, aby nie zachować się prostacko i nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, aby nie wyszło na jaw, że jestem... Cóż, że jestem zwykłym burakiem, zgodnie z określeniem Julii. Dlatego posłuchałem pani Marlow i kupiłem ten "bezosobowy i odpowiedni" prezent, a później nie mogłem się zdobyć na odwagę, aby wręczyć to Finn, ponieważ wydawało mi się, że w jakiś sposób ją zdradziłem.

Opieram kupon o ścianę nad kominkiem, obok stawiam chińską rzeźbioną kulę z kości słoniowej i podpieram krążkiem taśmy klejącej. Umieszczone wewnątrz półkule kręcą się, kiedy ją podnoszę. Oto jeszcze jedna rzecz, którą Babcia ukradła i wyniosła z Opactwa - dała mi ją, gdy miałem siedem lat, na kilka tygodni przed przyjazdem Mortlandów z Nowego Meksyku.

- Kto by tam zauważył, że jej nie ma, Danny... Jeżeli zapytają, powiem, że się stłukła. Uważaj, schowaj ją w bezpieczne miejsce...

Spełniłem polecenie Babci. Do dziś nikt nie wie, że mam tę kulę, ani Finn, ani Julia, ani Nick, a przede wszystkim Lucas. Lucas namalował przedmioty z biblioteki w tle

słynnych "Sióstr Mortland", ale z całą pewnością nigdy nie widział trzech kul z kości słoniowej nad kominkiem, tam, gdzie niegdyś znajdował się ołtarz kaplicy Najświętszej Maryi Panny, jako że tamtego lata były tam tylko dwie kule. Trzecia znajdowała się w bezpiecznej kryjówce, i to od ładnych paru lat -leżała w skrytce, gdzie przechowywałem święte pamiątki po Finn, pod obluzowaną deską w podłodze pokoju, który dzieliłem

222

z ojcem, w starym, zniszczonym, powoli obracającym się w ruinę domku Nunnów.

I to byłoby tyle, jeśli chodzi o moje teorie; to byłoby tyle, jeśli chodzi o zaostrzane prochami, podsycane bezsennością stany podwyższonej świadomości emocjonalnej. Odwracam się, podejrzewając, że dziewczyna od kapsułki na ostry orgazm okaże się równie nieuchwytna jak i one, ale nie, ta cała Frankie należy do świata realnego i nadal jest u mnie. Przeszła w drugi koniec długiego pokoju; okna wychodzą tam na róg ulicy z Maikiem i Spółką, z tej strony przez szyby widać zarośnięty ogródek na tyłach domu.

Tak, chodzi z kąta w kąt, ogląda pudła i skrzynie, których jeszcze nie zdążyłem rozpakować, oraz jedyny mebel, jaki stoi w salonie, czyli dużą, nowoczesną i bardzo prostą kanapę - kupiłem ją w Mediolanie, między jednym lotem a drugim. Kupiłem i kazałem wysłać do Londynu - tak wtedy robiłem. Nie mogę sobie przypomnieć, co mnie do tego skłoniło, pamiętam tylko, że byłem w sklepie, zobaczyłem kanapę i natychmiast wyobraziłem sobie, jaką rolę odegra w mojej przyszłości. Pomyślałem, że będę na niej siadywał z żoną i dziećmi, szczęśliwy ojciec rodziny, zajętej rodzinnymi zajęciami. Jakimi? Ach, tak, mieliśmy rozpakowywać zabawki na choinkę...

Dobry Boże, a co później? Co jeszcze? Może wyobrażałem sobie, że będziemy śpiewać kolędy... Patrzę na białą kanapę w ascetycznym, minimalistycznym stylu i widzę, że nie jest to mebel przyjazny dzieciom. Nie mam też pojęcia, dlaczego spodobała się tamtemu Danielowi. Frankie patrzy na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Bada ją wzrokiem i powoli rusza w jej stronę. Dopiero teraz zauważam, że dziewczyna troszeczkę chwieje się na nogach.

Siada na kanapie.

- Więc nadal obozujesz? - odzywa się. - Jeszcze się nie rozpakowałeś?

To „jeszcze” budzi we mnie pewien niepokój. Jestem prawie zupełnie pewny, że Frankie nigdy tu nie było, ale jednak...

Jeżeli poszliśmy gdzieś tamtego wieczoru, to chyba nie przyprowadziłem jej tutaj, prawda? Powiedz, że tego nie zrobiłem, myślę i nagle rodzi się we mnie niezachwiane przekonanie, że nie muszę się obawiać. Nie zrobiłem tego, to po prostu niemożliwe. Zgodnie ze spisaną u notariusza umową byłem już wtedy właścicielem domu, ale wprowadziłem się do niego dopiero wiele miesięcy później, po powrocie z tamtego strasznego pobytu w Tokio. Wprowadziłem się, tego samego dnia odebrałem telefon od McIverów i natychmiast wyjechałem do Wykenfield, do obłożnie już chorego ojca.

- Jeszcze? - powtarzam. - Co właściwie masz na myśli?

Kimże ona jest, ta dziewczyna? Dlaczego do mnie przyszła? Jest ładna, taka Kirke w stylu punk. Ma gęste, lśniące włosy, ufarbowane na nienaturalny, buntowniczy rudy blond, nastroszone żelazem i popodpinane błyszczącymi wsuwkami. W uszach kilka srebrnych kolczyków, w lewym nozdrzu mały kamyczek w srebrnej oprawie. Zielone oczy umalowała a la Nefertiti, na policzki położyła za dużo różu, na piegowaty nos za dużo pudru. Na przegubie dłoni nosi kilkanaście srebrnych bransoletek, które podzwaniają przy każdym ruchu. Polakierowane na fiolet paznokcie są poobgryzane. Smukłość długich nóg podkreślają obcisłe, wysprejowane dzinsy i buty w kick bokserkim stylu. Pod kurtką z luksusowo miękkiej skóry ma coś w rodzaju edwardiańskiego gorsetu. Nie umiem zidentyfikować jej akcentu, pewnie dlatego, że mówi podobnie jak wszyscy młodzi, leciutko rozciągając samogłoski. Czyżby pracowała jako rzecznik prasowy? Tak, to możliwe, chyba reprezentowała ten rapowy zespół, który nagrał muzyczny motyw do jednej z moich reklam. "Pokazać ci lęk w garści prochu?" Nie, nie do tej reklamy, do innej...

- Mówiłeś, że się przeprowadzasz - zauważa. - Mniej więcej piętnaście miesięcy temu, kiedy poznaliśmy się na tym przyjęciu. To chyba dość czasu na rozpakowanie rzeczy... - ściąga brwi. - Po co ci ten sznur? I to aż tyle? To jakieś dzieło sztuki czy coś?

- Nie, zamierzam powymieniać sznurki w roletach - mówię. - Wszystkie są postrzępione. Trzeba je wymienić, więc...

Przerywam. Nagle uświadamiam sobie, że niepotrzebnie się tłumaczę i mówię o szczegółach. Kiedy człowiek kłamie, powinien unikać szczegółów.

- Frankie, nie wiem, co cię tu sprowadza ani skąd masz mój adres, ale jest już późno, a ja mam za sobą męczący dzień - podejmuję spokojnie. - Więc niezależnie od tego,

jaką wiadomość przekazały ci karty tarota, uważam, że powinnaś już pójść...

- Nie wiesz, dlaczego tutaj jestem? - Wyraz zawodu i urazy na jej twarzy zaczyna mnie przerażać. - No, wspaniale, wielkie dzięki, Dan! Dopiero teraz czuję się naprawdę mile widziana, nie ma co! Trudno, dobra, powiem ci: jestem tutaj, bo mnie zaprosiłeś. Powiedziałeś: "Frankie, za trzy godziny muszę złapać samolot do Bangkoku, co w tej chwili potężnie mnie wkurwia, ponieważ znalazłem cię i wcale nie mam ochoty się z tobą rozstawać. Wyjeżdżam na parę miesięcy, ale nie zapomnę tego wieczoru. Nie zapomnę o tobie. Kiedy tylko wrócę do domu, musimy spotkać się i znowu pogadać". A potem dałeś mi to...

Frankie wsuwa rękę do kieszeni kurtki, wyciąga wizytówkę i podaje mi ją. Cóż, nie da się zaprzeczyć, że to moja wizytówka, z dopisanym moim charakterem pisma nowym adresem. Nie da się też zaprzeczyć, że choćbym nawet był naćpany do nieprzytomności, i tak nigdy nie wygłosiłbym takiego przemówienia, jak to zacytowane. Patrzę na dziewczynę niepewnie, ponieważ mimo pożywnego posiłku, podanego przez Nicka, i tej wspaniałej, oczyszczającej z toksyn wody, wciąż nie jestem pewny, czy jednak nie jest zjawą. Nadal mam nadzieję, że istnieje tylko w mojej wyobraźni, że jest efektem ubocznym działania prochów. I wtedy widzę, że dziewczyna istnieje naprawdę, że chociaż ostatnio halucynacje to u mnie nic niezwykłego, to Frankie żyje i reaguje w nieprzewidywalny sposób. Jej oczy napełniają się łzami, zaczyna płakać.

225

- Nie pamiętasz... - mówi. - Oto, ile dla ciebie znaczyłam... Pamiętasz moje imię i nic więcej. Nie pamiętasz naszej rozmowy, a przecież ja nigdy w życiu z nikim tak nie rozmawiałam! Nie mogę uwierzyć, że jakby zapomniałeś! Powiedziałam ci tyle rzeczy, i ty mnie także! O twoim dzieciństwie w Suffolk, i że twoja mama umarła, a babcia była Cyganką i miała zdolność przewidywania przyszłości - nazywa się to "Dar"... Widzisz, ile pamiętam? Każdy szczegół! I nic dziwnego, bo myślałam o naszym spotkaniu przez cały rok! Myślałam o tobie, dzień w dzień! O tym, jaki jesteś przystojny, totalnie seksowny i smutny... I jaki umiesz być zabawny, jakby poważny i śmieszny... Po co mam to ukrywać? Kocham cię!

Łzy płyną jej po policzkach, dłonie o wzruszających, poobgryzanych paznokciach drżą. Widzę, że mówi szczerze, albo wierzy, że mówi szczerze, co w gruncie rzeczy sprowadza się do tego samego. Widzę, że jest bardzo młoda, za młoda, by posiadać kilka ochronnych warstw skóry, dość młoda, aby bez zmrużenia oka narażać się na śmieszność. I widzę też coś, co powinienem był zauważyć na samym początku - Frankie nie jest trzeźwa. Albo golnęła sobie kielicha dla kurażu, żeby wygłosić tę

mowę, w trakcie której język trochę jej się plątał, albo jest solidnie naćpana. Patrzę na nią i nie wiem, co robić. Nigdy bym nie przypuszczał, że czyha na mnie jeszcze jakieś poczucie winy, a tu proszę...

- Frankie, przykro mi, ale nie pamiętam tego wszystkiego - zaczynam łagodnie. - Zaraz ci powiem, dlaczego. Otóż wtedy nie byłem w dobrej formie, podobnie jak dziś...

- Myślisz, że nie wiem? - Niepokojąco szybko podnosi się z kanapy. - Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Dlatego tutaj przyszedłem - żeby ci pomóc. Mogę ci pomóc, mogę cię wyleczyć! W porządku, to nie musi być od razu miłość, możliwe, że jeszcze nie jesteś na to gotowy, rozumiem... Możemy się po prostu kochać, uprawiać seks, dobra? Gdzie ta kapsułka, którą ci wtedy dałem? Przyrzekłeś, że ją zatrzymasz na... No, wiesz...

226

I na moich zdumionych oczach Frankie zrzuca skórzaną kurtkę, potem zaczyna rozpinąć uwodzicielski czarny gorsecik. Gorsecik ma haftki z przodu, a Frankie ma piękne ramiona, olśniewające piersi, jej bransoletki podzwaniają... Otrząsam się z wrażenia i robię parę kroków do tyłu.

- Natychmiast zapnij gorset, no, już! - mówię zdecydowanym tonem. - I wkładaj kurtkę! Usiądź i weź się w garść. Zaraz zaparzę kawę i od razu poczujesz się lepiej. Posiedzimy sobie spokojnie i porozmawiamy, a potem zamówię ci taksówkę. Wrócisz do domu, prześpisz się i zapomnisz, że coś takiego w ogóle ci się przydarzyło. To najlepsze, co możemy zrobić, wierz mi. Mam w tych sprawach pewne doświadczenie...

I tak dalej, i tak dalej. Moje przemówienie nie jest aż tak płynne i aż tak trywialne, ale mniej więcej taka jest jego główna treść. Kiedy nie wywiera spodziewanego efektu, powtarzam je raz, drugi i trzeci, w trochę innej wersji. W końcu osiągam zamierzony cel - Frankie uspokaja się i zapina gorset. Oczywiście natychmiast pojawiają się nowe problemy: odkrywam, że postarzałem się o dwa tysiące lat, że Frankie jest uparta i zaborcza.

- Mam wracać do domu? - odzywa się, patrząc na mnie smutnymi oczami. - Ja jakby nie mam domu... Ostatnio spałam na podłodze u tego faceta, ale jakby się pokłóciliśmy i wyrzucił mnie na zbity pysk. Nie mam dokąd pójść. Jeśli każesz mi się zmywać, będę całą noc chodziła po ulicach... Och, Dan, to wszystko jest takie dziwne, jest mi tak strasznie źle... Moje życie to jeden wielki żalony pierdzielnik. Masz coś do jedzenia, bo jestem jakby głodna?



Przez gęstą mgłę zmęczenia odzywiają się alarmowe dzwonki. Powoli dociera do mnie, że Frankie może być niezłą manipulantką, ale jestem znużony, wyczerpany, ledwo trzymam się na nogach.

Zaczynam podejrzewać, że Frankie ma pewne problemy emocjonalne (10%), ale przede wszystkim wpuszcza mnie

227

w maliny (90%), boję się jednak, że proporcje mogą być odwrócone. A jeżeli nie mam racji? Nie mogę przecież rzucić naćpanej dziewczyny na pastwę Malca i Spółki, prawda? Co więcej, ostatnio dużo myślałem o dziewczynach z problemami natury emocjonalnej, a ta trudna dziewczyna przypomina mi kogoś, kogo dawno temu znałem... Jestem pewny, no, prawie pewny, że chodzi o Maisie. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego - nie łączy je żadne podobieństwo fizyczne, nie mają podobnego głosu ani sposobu wystawiania się, wyczuwam jednak obecność pewnego duchowo lustrzanego odbicia, podobnego niezrównoważenia. Nie chcę spowodować żadnej więcej szkody, choćby przypadkiem. Nick napisał w liście, że byliśmy ślepi na cierpienie...

I tak, po jeszcze paru fontannach łez i błagań, w końcu się poddaję. Uzgadniamy, że Frankie może spędzić tę noc, tę jedną, jedyną noc, na mojej mediolańskiej kanapie. Idę na to jedno, jedyne ustępstwo, poza tym jestem twardy jak skała. To zdumiewające, samemu trudno mi w to uwierzyć, ale ogarniają mnie całkiem ojcowskie uczucia. Tak, przeistaczam się w tego ojca rodziny, którym kiedyś zamierzałem zostać. To najlepsze, co ostatnio zrobiłem, powtarzam sobie, zalewając rozpuszczalną kawę gorącą wodą i szukając jakichś niezupełnie wyschniętych ciasteczek, wchodząc na górę i znosząc do salonu koce oraz poduszki. Kiedy Frankie wreszcie układa się na kanapie, gaszę światło, każę jej iść spać i z odległym poczuciem heroizmu i zwycięstwa nad sobą skradam się na palcach do drzwi. Jestem tak zmęczony, że mam wrażenie, jakbym przeszedł na drugą stronę lustra, do kompletnie nierzeczywistego świata. Przez cały długi dzień pchałem pod górę ciężki głaz, lecz teraz nie zamierzam pchać go ani chwili dłużej.

- Byłeś w niej zakochany, prawda? - odzywa się Frankie smutnym, stłumionym głosem. - W tej dziewczynie od kuponu książkowego? Dalej ją kochasz?

- Idź spać, Frankie - mówię.

228

Nie słucham jej. Stoję w progu, wpatrzony w snujące się po holu cienie. Czuję, że jestem stary, niewiarygodnie stary -jestem Tyrezjaszem. Nad dachami krąży

helikopter, najpewniej policyjny, przeszukujący ulice Londynu, pełne złodziei, gwałcicieli, morderców.

- Finn... Dziwne imię. Kim ona była, ta cała Finn?
- Kimś, kogo kiedyś znałem - odpowiadam i uświadamiam sobie, że wcale nie mijam się z prawdą. - Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy w tej samej wiosce. Finn była jedną z trzech sióstr...
- Dlaczego mówisz o tym z takim smutkiem? Czy ona umarła? Straciłeś ją?
- Nie, nie umarła... - Patrzę w ciemność i słucham warkotu silnika helikoptera, który teraz patroluje ulice z mniejszej wysokości. - Ale zdarzył się wypadek, straszny wypadek...
- Finn miała wypadek?
- Nie, najmłodsza z sióstr, Maisie. Wypadła z okna na piętrze.
- Zabiła się?
- Nie. Chyba byłoby dla niej lepiej, gdyby zginęła, lecz ona nadal żyje, oczywiście jeśli można to tak nazwać...
- To straszne! Czy... Czy ona jest w domu opieki?
- Tak, w bardzo dobrym domu, prowadzonym przez siostry zakonne. Opiekują się nią zakonnice.

Jakie to smutne... Odwiedzasz ją?

- Nie. Już nie... Idź spać, Frankie.
- Nie powiesz mi, co się stało?
- Śpij dobrze - odpowiadam i zamykam drzwi.

Wchodzę po schodach do mojego pokoju. Zamykam drzwi na klucz. Nie ufam Frankie i nie mam ochoty na nocne odwiedziny. Przedostające się przez cienkie zasłony światło ulicznych latarni maluje ściany w więzienne kraty. Kładę się na łóżku, zbyt zmęczony, żeby się rozebrać. Miniony dzień faluje w mojej głowie jak morze - cierpliwie czekam na chwilę, kiedy

229

wzburzone fale wreszcie się uspokoją. Fale cichną, lecz nad dachami wciąż krąży helikopter.

Na komodzie naprzeciwko łóżka stoi zaplombowane drewniane pudełko, kwadratowe, o boku długości mniej więcej osiemnastu centymetrów. Mieszczą się w nim prochy Joego. Mój ojciec miał metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu, więc kiedy odebrałem szkatułkę, na widok jej wielkości ścisnęło mi się serce, a jej waga, jej lekkość przeraziła mnie do głębi. Muszę zawieźć te prochy do Wykenfield. Zrobię to, co powinienem był zrobić wiele tygodni wcześniej, i zrobię to już niedługo, obiecuję sobie. Oddam Joemu ostatnią synowską posługę: pogrzebię jego prochy na polach albo w lasach, które tak kochał, a może w ogrodzie Opactwa, gdzie hodował warzywa. Ogród Opactwa zarósł chwastami i krzewami, kompletnie zdiczał - tak skarżył mi się Joe w jednym z listów, które tylko przebiegałem wzrokiem, w jednym z listów, teraz znanym mi na pamięć. Nauczyłem się czegoś, tyle że jest już za późno.

Zamykam oczy. W końcu jestem sam i w przestrzeni wypełnionej spokojem i ciszą wracam myślami do ostatniego lata w Opactwie. Nie jestem jeszcze zupełnie czysty, lecz z pewnością mniej zatruty prochami niż w ciągu kilku minionych tygodni. Mam wrażenie, że mój umysł jest świeżo umyty, przejrzysty i lśniący. Prawie dotarłem już do tego białego miejsca, które czeka po drugiej stronie wyczerpania.

Wciąż słyszę ostatnie pytanie Frankie. Helikopter wciąż terkocze. Pamięć jest przypadkowa, okrutna, ulotna i kłamliwa.

Wstaję i podchodzę do biurka w okiennej niszy. Sięgam po czystą kartkę papieru i długopis. Myślę: Co wydarzyło się tamtego ostatniego dnia, Dan? Czy naprawdę nie zapowiadało katastrofy? Co się zdarzyło? Opowiedz mi, co się zdarzyło...

Część Szósta.

CESARZOWA, ODWRÓCONA.

Opactwo Wyken, siedziba naszej Szkoły Kucharskiej, znajduje się w jednym z najpiękniejszych, najspokojniejszych i najmniej skażonych zakątków Suffolk, w otoczeniu jabłoniowych sadów, pradawnych lasów i sieci pól, które nie zmieniło się od czasów średniowiecznych. Chociaż pobliska wioska Wykenfield jest mała i na mapie może wydawać się odległa, komunikacja działa tu zaskakująco sprawnie. Z Londynu do Ipswich regularnie jeżdżą pociągi, a dodatkowa linia dociera do Deepden, skąd do naszej wioski można dotrzeć kursującym dwa razy w tygodniu autobusem.

Większość produktów potrzebnych na zajęcia w naszej szkole pochodzić będzie z pięknych i rozległych ogrodów, należących do Opactwa. Staramy się utrzymać najwyższą jakość - wszystkie nasze warzywa, zioła i owoce są hodowane organicznie, bez sztucznych nawozów i pestycydów. Jajek i drobiu dostarczą nasze własne kurniki, a mięso miejscowi farmerzy, którzy hodują zwierzęta w humanitarny sposób.

Opactwo Wyken to zabytek umieszczony na liście historycznych obiektów pierwszej klasy, związany z naszą rodziną od powstania klasztoru, który w 1257 roku założyła Isabella de Morlaix. Opactwo ma barwną historię i zachowało atmosferę niezwykłego spokoju, stworzoną przez siostry zakonne, które mieszkały tu, modliły się i pracowały przez całe trzy wieki. Średniowieczny refektarz, budynek mieszkalny oraz

233

kaplica Najświętszej Maryi Panny pozostały w nienaruszonym stanie, choć dziś są częścią naszego rodzinnego domu. W okolicy krąży wiele romantycznych legend o Opactwie -niektórzy utrzymują nawet, że mieszkają tu duchy!

Wszystkie kursy (patrz dalej) odbywają się na miejscu, a uczestnicy mają zapewnione mieszkanie w historycznych budynkach klasztornych. Kładziemy nacisk na klasyczne, tradycyjne metody gotowania. Każdego wieczoru rodzina i studenci będą zbierać się przy stole, aby spożyć potrawy przygotowane w ciągu dnia. Dołożymy wszelkich starań, żeby kolacje odbywały się w spokojnej, radosnej i rodzinnej atmosferze.

Dobre gotowanie nie ma nic wspólnego ze skomplikowanymi prezentacjami czy bogatym przystrajaniem potraw, w czym specjalizują się wykwintne restauracje. Dobra kuchnia to umiejętność użycia organicznie czystych składników najwyższej jakości, wyhodowanych czy przygotowanych z czułą starannością lecz według rygorystycznych zasad. Dobre gotowanie to sztuka, którą udało nam się osiągnąć i której arkana postaramy się wam przekazać.

Stella Mortland, Wstęp do prospektu Szkoły Kucharskiej w Opactwie,

1 sierpnia 1967.

Winifrido, to ostatni list, jaki do Ciebie wysyłam. Wiem, że nie odpowiesz, zresztą, gdybyś to nawet zrobiła, po długich latach milczenia, i tak nie otrzymam tej wiadomości. Umieram; jest to męczące zajęcie, ale jestem już prawie u kresu.

Pisanie bardzo mnie męczy, więc nie będzie to długi list. Muszę odbyć ostatnią spowiedź. Nie chcę prosić o rozgrzeszenie księdza, który przyjeżdża do nas z

Deepden, więc powierzam swoje wyznania Tobie, moja najdroższa siostrze. Dawno temu, w czasie mojego nowicjatu, powiedziałaś mi, że miłość, jaką czułam do Ciebie, była światowa i nieczysta, była

234

oszustwem szatana, a ja Ci uwierzyłam. Nalegałaś, abym wyrzuciła tę złą miłość ze swojego serca, więc usłuchałam Cię, wyjechałam i przybyłam tutaj. Przez wszystkie te lata wmawiałam sobie, że twoje milczenie i moje modlitwy z czasem ugaszą płomień tamtej miłości. Stało się inaczej.

Dziś jestem stara i kiedy tak leżę tu w samotności długie dni i noce, dochodzę do wniosku, że bardzo się myliłyśmy. Czy jakakolwiek miłość naprawdę może być zła? Moja miłość do Ciebie, miłość matki do dziecka, mężczyzny do przyjaciela czy kraju - czyż nie można powiedzieć, że każda miłość zapala świecę w naszym sercu, świecę, której blask oświeca nasze życie i prowadzi ku temu wiecznemu światłu, Miłości Boga oraz Niebiosom, które przepelnia ta Miłość?

Pewnego lata, dawno temu, pocałowałaś mnie, a ja odwzajemniłam Twój pocałunek; byłyśmy wtedy bardzo młode i niewątpliwie głupie. Gdy dziś myślę o tamtym czułym uścisku, wcale nie czuję się winna i niczego nie żałuję. Niewątpliwie już niedługo zostanę osądzona za tę herezję.

Za murami klasztoru leży niewielki ciemny las, Winifrido. Uważam, że to niebezpieczne miejsce, lecz wiem także, że jeśli ktoś szuka mądrości, może ją tam znaleźć. Chodząc po tym lesie, trzeźwo zastanawiałam się nad naturą miłości i nieoczekiwanymi sposobami jej manifestacji; obawiam się, że kiedy spotykamy miłość, nie zawsze ją rozumiemy i rozpoznajemy. Jednak jeżeli nawet kiedyś byłam ślepa, to dziś odzyskałam wzrok. Od pierwszej do ostatniej chwili byłaś dla mnie niewypowiedzianą radością najmiłszą Siostrze, i teraz, przy końcu mojej podróży, szczerze Cię za to błogosławię.

Isabella.

Listy Isabelli de Morlaix do Winifridy z Ely 1257-1301, wydane i przełożone z łaciny, V.B.S. Taylor, 1913.

Rozdział Szesnasty.

CZEKANIE NA GODARDA.

To ten ostatni dzień. 7 sierpnia 1967 roku. Pogodny ranek.

Deszczu nie było od miesiąca i zbiory niszczy susza. Daniel, Dan, którym kiedyś byłem, budzi się wcześnie w swojej sypialni w Opactwie. Obserwuję go z zamkniętymi oczami, z miejsca przy biurku w domu na Highbury. Dan słyszy jednostajny warkot nowego kombajna zbożowego McIverów, który pracuje w pobliżu domu, na polach zwanych przez Dana Grandage, Pickstone, Nuns, Wellhead i Holyspring. Jest siódma. Patrząc, jak podchodzę do okna i odsuwam zasłony. Przed moimi oczami roztacza się znajomy widok: budynki klasztorne, więzy, las, kościelna wieża i obfita, cudownie zielona trawa na cmentarzu... Za parę tygodni wyjeżdżam do Londynu. Stoję na progu nowego życia i dzięki tej świadomości widok z okna wydaje mi się naprawdę piękny. Jest to bardzo intensywne doznanie. Teraz mogę kochać to miejsce bez zahamowań, ponieważ wiem, że wkrótce stąd ucieknę.

Już teraz patrzę na dolinę oszukańczym okiem nostalgii. Szeroko otwieram okno i napełniam płuca świeżym angielskim powietrzem. Czuję się tak, jakbym wdychał czysty optymizm.

Wszystko jest możliwe. Mam dwadzieścia dwa lata. Jestem zakochany. Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę Finn, kiedy z nią porozmawiam - to mój jedyny cel. Kiedy myję się, golę i wciągam dzinsy, nie nawiedza mnie żadne cygańskie

237

złe przeczucie, żaden głos nie szepcze mi, że ten dzień zakończy się upadkiem. Jeżeli nawet faktycznie odziedziczyłem Dar, czyli zdolność przewidywania przyszłości, jak wciąż powtarza Babcia, to tego dnia ta szczególna umiejętność kompletnie mnie opuściła.

Jestem sam, nie wspomagają mnie żadne moce nadprzyrodzone.

Jestem sam i muszę wziąć pod uwagę fakt, że tamten Daniel jest kimś, kogo z trudem rozpoznaję. Kim on był? Kim byłem? Wiem jedno - tamtego lata zaślepiło mnie kino. Doznałem objawienia, jak Paweł na drodze do Damaszku. Byłem wtedy zanurzony w kinie aż po czubek głowy, oszalały na punkcie języka filmowego, gramatyki filmu. W Cambridge mnóstwo czasu poświęciłem na oglądanie filmów, na nabożną kontemplację dzieł Bergmana, Vigo i Kurosawy, Truffauta, Antonioniego i Godarda; tyle godzin spędziłem w zadymionych salach kinowych, tyle godzin słuchałem szmeru projektorów, rozwijających taśmę 16 mm z nagranyymi filmami studyjnymi, że życie rozgrywało się dla mnie na ekranie. Czas nie mijał, czas się przewijał; mogłem dowolnie przewijać go naprzód albo do tyłu, mogłem dodawać ujęcia,

kadrować je i montować.

Miałem władzę nad narracją życia. Łatwo było wsunąć celuloidową taśmę pod gilotynę, wyciąć coś lub rozdzielić; usuwasz dwie klatki, jedno wydarzenie i zmieniasz sens - tej operacji można było poddać nie tylko film, ale i życie. Co z tego, że wczoraj tkwiłem w jakimś horrorze, uwięziony na martwej wyspie, pochłonięty szukaniem kogoś, kto wcale nie chciał zostać odnaleziony, kogoś, czyje zniknięcie na zawsze pozostanie niewyjaśnione? W nocy nakręciłem nowe sceny i dziś żyję w technikolorze, w przyjemnym filmie romantycznym -wszyscy, nawet ja, widzą wyraźnie, że Finn nadal kocha Dana. Jeszcze parę ujęć i w tej popieprzonej hollywoodzkiej historii odezwą się weselne dzwony.

A jeżeli nie podoba mi się ten styl, zawsze mogę zmienić

238

go na europejski, o wiele bardziej wyrafinowany. Na ziarnistej, czarno białej taśmie, z jazzowym motywem muzycznym w tle, wśród ostro, błyskotliwie zmontowanych ujęć, Finn i ja także odnajdujemy się mimo wszystko, tyle że, oczywiście, trwa to nieco dłużej. Najpierw musimy wykończyć negatywnych bohaterów. Musimy rozważać rozmaite aspekty życia, filozofować i palić jednego gauloise'a za drugim. Oczywiście rozdziela nas nieporozumienia, otrzemy się o tragedię i zestarzejemy się trochę, bo przecież nie gramy w idiotycznym, kretyńskim romansidle, ale w inteligentnym, gorzko słodkim filmie, który tak czy inaczej zakończy się pocałunkiem. Tak to widzę, naprawdę. To mój film, moja przyszłość. Ja jestem reżyserem i autorem, ja podejmuję decyzje i już wiem, że na końcu umieszczę długą przesiąkniętą niepokojem scenę; potem biore Finn w ramiona i... stop klatka, koniec - oto najlepsze z możliwych zakończeń historii miłosnej, o wiele lepsze od powoli wygasającego obrazu.

Mam tyle możliwości, że bogactwo wyboru przyprawia mnie o zawrót głowy. Śnią mi się długie ujęcia, bo tak wygląda dzień w moich oczach, a gdy trochę się napalę, to dzień przypomina długą podróż, wielkie pasmo wibrujących, znaczących wydarzeń. Myślę krótkimi klatkami, takimi, które podpatrzyłem w filmach mojego nowego boga, Godarda. Jakże podziwiałem jego żelazną, nieugiętą pogardę dla normalnego, tradycyjnego toku narracji... Zafascynowany filmową "nową falą", brzydziłem się pojęciem powiązania wydarzeń, podobnie jak religią. Oglądając po raz pięćdziesiąty piąty Karabinierów, siedziałem w gęstej ciemności i myślałem: "Trafiłeś w sedno, Jean Luc, trzeba mówić prawdę. Życie to zbiór niepowiązanych ze sobą zdarzeń, wszystko jest dziełem przypadku. Nie ma Boga i nie ma głównego wątku. Komu potrzebne te zmęczone stare łgarstwa?".

Tak, właśnie tak patrzyłem wtedy na rzeczywistość. Teraz, w Londynie, słuchając łomotu śmigieł helikoptera, czuję, że wszystko się zmieniło. Po pierwsze, nie wierzę już, że mam

239

władzę nad tym filmem, nad moim życiem. Na przestrzeni minionych lat w jakiś sposób zostałem przesunięty z miejsca za kamerą przed kamerę, tylko kiedy to się stało... Dziś jestem tylko marnym aktorem, a reżyser - nazwijcie go Bogiem, Losem, Allahem, Eisensteinem czy Clintem Eastwoodem - okazał się nieprzewidywalnym skurwysynem. Trudno powiedzieć, jakie ma plany na następny dzień zdjęciowy, może to być naprawdę cokolwiek, w każdym razie nie ma co liczyć na to, że zdradzi mi swoje zamiary. Ma też bardzo długą pamięć, paskudną pamięć i niczego nie zapomina.

Słuchaj, mówię, dlaczego robię akurat coś takiego? Jak to się stało, że Dan zachowuje się właśnie w taki sposób? To do mnie nie pasuje. Te krótkie klatki są bez sensu. W jednej chwili jestem człowiekiem sukcesu, stoję na szczycie świata, radosny jak szczypiołek na wiosnę, a już w następnej kamera pokazuje zbliżenie twarzy Dana, na której maluje się, co tu kryć, prawdziwe przerażenie. Dlaczego? Co się dzieje? Co takiego zrobiłem? Co się stało? Ten scenariusz to jedno wielkie gówno. Chaos. Dzieło przypadku.

Wydaje ci się, że to dzieło przypadku, odpowiada faszysta siedzący na krześle reżysera. Ależ oczywiście! Z drugiej strony, pamiętasz może trzydziestą szóstą klatkę z drugiej rolki? Pamiętasz, co wtedy powiedziałeś, co wtedy zrobiłeś? Sądziłeś, że to nieistotne? Błąd, smutnie. W tym filmie konkretne działania pociągają za sobą określone konsekwencje, w każdym razie czasami, bo w ostatecznym rozrachunku i tak zależy to od mojego nastroju...

I ziewa.

Oczywiście nie pamiętam trzydziestej szóstej klatki z drugiej rolki. Druga rolka to w mojej pamięci jeden wielki kłęb mgły. Myślałem, że została pocięta i spoczywa na podłodze w jakiejś niebiańskiej montażowni, przygotowana do wyrzucenia do śmieci, tymczasem dowiaduję się, że ona istnieje i ta informacja wprawia mnie w wielkie przygnębienie. Będę musiał znowu przewijać taśmę, sięgać w mroki pamięci, a czy ja

240

w ogóle mogę ufać swojej pamięci? Mniej więcej w takim stopniu, w jakim można ufać jadowitej kobraze...



Wszystkie te taśmy pamięci, wylewające się z puszek, wszystkie te celuloidowe, toksyczne odpady... Jak mam zdecydować, których klatek brakuje i które ujęcia są ważne? Stary celuloid, podobnie jak pamięć, jest łatwopalny - skład chemiczny sprawia, że jest to materiał podatny na samozniszczenie. Tak czy inaczej, spróbuję. Przede mną leży biała, pusta kartka. W końcu znalazłem się w tym białym miejscu i muszę zrobić, co do mnie należy.

Przyrzekam sobie, że zrobię to metodycznie, bardzo starannie. Obejrzę cały ostatni dzień, klatka po klatce. Przyjrzę się człowiekowi, jakim wtedy byłem, sprawdzę, gdzie, kiedy i dlaczego przebywali główni aktorzy. Przesłucham dialogi, do których mam naprawdę świetną pamięć. Kto co powiedział i do kogo. Kiedy powiedzieli jedno, ale mieli na myśli coś innego - częste zjawisko, które nie umknie moim nowym, cierpliwym, wszystkowiedzącym oczom. A potem może to moje przenikliwe, boskie spojrzenie pozwoli mi w końcu zrozumieć, dowiedzieć się, jak to było i wreszcie będę wolny. Będę mógł powiedzieć: Oto, dlaczego Maisie skoczyła. Oto, co tamtego lata poszło nie tak, jak pragnęliśmy.

Helikopter wciąż krąży nad tą częścią Londynu. No, dobrze, zaczynajmy, myślę. Jestem zdeterminowany, ale czy jestem optymistą? Cóż, czytelniku... Gdyby ktokolwiek miał to kiedyś przeczytać, do czego nie dojdzie, co jest niemożliwe, ponieważ spalę te zapiski, gdy tylko zakończę podróż w przeszłość, lecz jednak, na wszelki wypadek... Cóż, mój czytelniku hipokryto, mój bracie, mój towarzyszu... Czy jestem optymistą, czy mam nadzieję na sukces?

A co ty byś czuł, gdybyś był na moim miejscu?

Cięcie. Schodzę na dół, jestem w chłodnej kuchni Opactwa, wdycham smakowity zapach smażonego bekonu. Bekon dostarcza nam pułkownik Edwardes (kiedyś w armii brytyjskiej

241

w Indiach, dziś emerytowany) - kiedy jego wieprzki rasy Heavy Hogs trafiają do rzeźni, gruby pasek bekonu zawsze przysyłany jest do Opactwa. Stella uśmiecha się do mnie, chyba jeszcze trochę zaspana, a może rozmarzona, rzuca na patelnię jeszcze trzy plastry bekonu i sadza na nich jajko.

- Kolejny piękny dzień, Dan - odzywa się Dziadek, kiedy siadam do stołu razem z nim i Finn.

Leciutko całuję puszyste włosy Finn. Mogę sobie na to bezpiecznie pozwolić, bo Stella jest odwrócona plecami do nas, siedząca przy drugim końcu stołu Maisie nawet nie podnosi wzroku znad książki, a Dziadek pograżył się w myślach -mógłbym

posiąść Finn na podłodze, a on i tak nie zwróciłby na to uwagi.

Finn robi kwaśną minę i odgania mnie jak natrętną muchę. Siadam naprzeciwko niej. Finn i ja wypracowaliśmy coś w rodzaju zawieszenia broni. Uzgodniliśmy, że ja przestanę być podejrzliwy i zazdrosny o Lucasa, natomiast Finn przysięgła, że nie ma żadnych powodów, abym miał być zazdrosny. Jeden Daniel wierzy, lecz drugi węszy jakiś lingwistyczny podstęp w jej przysiędze i tylko czeka, kiedy Finn zacznie wyjaśniać mu, że chociaż nadal go kocha, to jednak jej miłość jakoś się skurczyła i teraz jest miłością przyjacielską, siostrzaną. Trzymam tego drugiego, mrocznego Daniela, mojego Mister Hyde'a, drugie oblicze doktora Jekylla, w ukryciu, pod kluczem. Tego ranka twarz Finn ma ten wyraz, który boli mnie i gniewa. Jej rysy są nieco rozmyte, mniej wyraźne, lekko obrzmiałe, jakby przez całą noc śniła o kochanku, a ciemnoniebieskie oczy niewidzące, ślepe jak u nowo narodzonego kociaka. Pomimo jej zapewnień, fizycznych i werbalnych, jakoś nie mogę uwierzyć, że to ja jestem mężczyzną, który oślepił ją w ten sposób.

- To lato zostanie zapisane w księgach rekordów - mówi Dziadek, grzebiąc w stosie papierów i broszur, piętrzącym się obok jego talerza. - Słuchaj, Dan, chciałbym poznać twoje zdanie... Spójrz na listę win, którą przygotowałem, i powiedz mi, co o tym myślisz. Jest dość szeroka, w każdym razie taką

242

mam nadzieję, ale musimy być przygotowani na wszelkie ewentualności...

Przełądam listę, jedząc jajka na bekonie. Moja niewiedza na temat win jest ogromna i Dziadek dobrze o tym wie, lecz lubi przeprowadzać konsultacje. Lubi czuć się zajęty i użyteczny, i teraz ma pierwszą taką możliwość od wielu lat. Nie przypuszczałam, że szkoła gotowania Stelli będzie wymagała tego rodzaju męskiej wiedzy, męskiego wkładu. Myślałem, że chodzi o produkty żywnościowe, i kropka, tymczasem Dziadek patrzy na to z innej perspektywy. Wydaje mu się, że to przedsięwzięcie przeistoczy się w domowe przyjęcie sprzed pierwszej wojny światowej, ponownie przeżywa dni swojej młodości w Elde.

Przebiegam wzrokiem długą listę rozmaitych bordeaux i burgundów, zerkam na katalog win, który dostaliśmy z Londynu. W katalogu są ceny, na liście Dziadka ich nie ma. Patrzy na mnie tak błagalnie, że nie mam serca się czepiać.

- Zdumiewające - mówię. - Robi wrażenie.

Twarz starszego pana jaśnieje jak żarówka o mocy trzech tysięcy watów.

- Bardzo się cieszę, że tak uważasz, Dan. Nie wiem tylko, co z winami deserowymi i

tymi do puddingów. Te dziewczyny będą ciężko harowały przez cały dzień, więc przy kolacji może chętnie wypilyby kieliszek sauterne, nie sądzisz? Jeżeli upieką szarlotkę, na przykład - i mówi, że jabłka i sauterne tworzą niezrównaną kombinację smaków...

- Obejdą się bez sauterne, Dziadziusiu, naprawdę - odzywa się Finn. - To za drogie wina. Te dziewczyny mają się tutaj nauczyć gotować, nie możemy ich tak psuć...

- Kiedy dzieci zachowują się niegrzecznie, mówimy, że są rozpuszczone albo zepsute - włącza się Maisie, podnosząc wzrok znad książki. - Nieświeże jedzenie określamy jako zepsute. Używamy też czasownika zwrotnego, "psuć się", "zepsuć się". Ciekawe, Dan, prawda?

Zgadzam się, przytakuję bez chwili wahania. Przy stole zapada cisza.

243

Biedna Maisie, myślę. Jest z nią gorzej, stan jej umysłu staje się coraz bardziej oczywisty. Cztery lata wcześniej istniała nadzieja na poprawę, Stella znowu zaczęła wspominać o szkole, o specjalnej szkole, gdzie nauczyciele chcieliby sobie poradzić z dzieckiem o inteligencji Maisie, jego potrzebami i szczególnymi wymaganiami. Po poprzednich doświadczeniach - każdy szkolny epizod trwał najwyżej trzy tygodnie, ponieważ skazana na szkołę Maisie nie chciała jeść, spać ani rozmawiać - postanowiono poczekać. Teraz znowu temat formalnej edukacji znalazł się na liście rzeczy zakazanych. Po zakończeniu wakacji wróci stary porządek: Stella będzie uczyła Maisie angielskiego i francuskiego, różni święci pomocnicy - doktor Marlow, jego żona (bezużyteczny dyplom) i pastor (doktorat z filozofii i teologii) - zostaną zaproszeni do współpracy. Będą zachęcać Maisie do nauki historii, geografii, religii, mitologii, metafizyki i matematyki, a Maisie będzie chłonać wiedzę jak gąbka, oczywiście pod warunkiem, że przedmiot ją zainteresuje. Jeżeli przedmiot nie przypadnie jej do gustu, zignoruje go, a kiedy Maisie postanawia coś zignorować, drżycie narody... Wyobraźcie sobie granitową ścianę, która zbliża się do was z prędkością trzystu kilometrów na godzinę - oto nasza Maisie.

Maisie ma IQ 155. Uwielbia listy spisy. Czasami, gdy jestem zbyt miły lub zbyt słaby, aby uciec, recytuje mi je. Ma w zanadrzu listy roślin, ptaków i ssaków, ze szczególnym uwzględnieniem gatunków miniaturowych. Ma listę ludzi, straconych w czasie Rewolucji Francuskiej, z imionami, nazwiskami, tytułami i datami. Stworzyła listę zagrożonych gatunków zwierząt - ta codziennie się wydłuża. Istnieje lista rzek na świecie, ułożona alfabetycznie albo, czasami, według długości (ta jest naprawdę przerażająca). Lista kości w ludzkim ciele oraz mięśni - dziesięć milionów, bagatelka. Lista pierwiastków chemicznych, z uwzględnieniem wartościowości. Lista greckich

bogów, bogiń, herosów i wyroczni, z kompletnymi danymi

244

dotyczącymi ich niezliczonych potomków i skomplikowanych związków kaziurodczych, a w tym miesiącu lista gwiazd, obowiązkowo - nazwy wszystkich gwiazd we wszystkich znanych galaktykach. Kiedy Maisie recytuje tę ostatnią, słuchacz modli się o szybką śmierć.

Recytuje też wiersze, i to jest dopiero trudne przeżycie, ponieważ często są marnie, a zawsze bardzo długie. Opowiada historie, które ciągną się bez końca i mają puentę niewidoczną dla wszystkich poza Maisie. No i zakonnice - nie chcę nawet myśleć o zakonnicach. Gdy Maisie raz zacznie mówić na ten temat, może mówić i sto lat. Wymienia wszystkich świętych razem z dniami, które przydzielono im w kalendarzu, uroczystości, święta, ceremonie, rytuały, różne rodzaje grzechów, słowa ostatniego namaszczenia, psalmy, modlitwy, akty wiary, akty strzeliste, kantyki, i tak dalej, i tak dalej... Budzi to litość, współczucie i wzruszenie, ale jest także po prostu nie do zniesienia.

Wiem, w jaki sposób Maisie skłoniła bogatego kuzyna Edmunda do wypisania tego czeku na dwa tysiące funtów, myślę, patrząc na jej jasną buzię o twardym, zaciętym wyrazie. Wszyscy byli ogromnie zdziwieni: "Co takiego mu powiedziałaś, Maisie? Jak go namówiłaś? Dał ci czek, ot, tak, jak gdyby nigdy nic?". Naiwni, myślę sobie. Moim zdaniem Maisie najzwyczajniej w świecie wyrecytowała kilka list. Pół godziny dla gwiazd, pół godziny dla Zeusa i Kalliope, dziesięć minut dla poematu Pieśń o Hajawacie oraz (najnowszy konik) Samson Agonistes i każdy błagałby o litość, każdy. Biorąc pod uwagę, jak bardzo nadziany jest Edmund i jak bardzo musiało mu zależeć na ucieczce, dziwię się, że nie dał więcej.

Wiem, że Maisie jest jak krab, głęboko wciśnięty w obcą skorupę i rozpaczliwie biegający po brzegu morza w poszukiwaniu pożywienia. Wiem, że Maisie nie może nic poradzić na to, że ma skłonność do tworzenia list - klasyfikacja to dla niej jedyny sposób wprowadzenia porządku w świecie, którego

245

chaos ją przeraża, jak mi się wydaje. Wiem, że żaden z leków, które ciągle są zmieniane, nie pomaga. Teraz lekarze postanowili podać jej hormon wzrostu, ale to także nie działa. Wiem, że powinienem więcej słuchać, więcej pomagać, być na każde zawołanie i traktować ją z bezkresną cierpliwością. Nie potrafię. Uciekam przed tym. Jej listy i recytacje są tak potwornie nudne, że człowiek zaczyna myśleć o samobójstwie.

I jest coś jeszcze: czasami, starając się naprawdę słuchać tych dziwnych, pozbawionych sensu, jednostajnych historii, zwykle najeżonych drobnymi detalami, czułem, że moja własna percepcja świata zaczyna się zmieniać, że tracę kontakt z rzeczywistością. Jeśli słucha się Maisie wystarczająco długo, w pewnym momencie wszystko staje na głowie. Człowiek zaczyna myśleć: hej, może ona faktycznie widzi coś, czego ja nie widziałem, to wcale nie jest takie głupie, może powinienem spojrzeć na świat jej oczami... I już wpadłeś, bracie -drzwi percepcji otwierają się, tracisz wzrok, wpadasz w szaleństwo i kompletnie przestajesz rozumieć, co się dzieje wokół ciebie.

Nie pozwolę, aby znowu mi się to przydarzyło. Serdeczne dzięki, Maisie, mam dobry wzrok. Wierzę własnym oczom i swojemu sposobowi obserwacji, dlatego nie dam wciągnąć się w dyskusję o dziwnej naturze języka angielskiego czy o tym, ile aniołów może zatańczyć polkę na główce szpilki. Pomogę Stelli pozmywać, a potem znikam, bo czeka na mnie praca. Po co miałbym tu siedzieć, skoro Finn wkrótce wyjeżdża. Dziś Maisie opiekuje się Dziadek. Stella i Finn, wyposażone w listy sprzętu kuchennego oraz produktów spożywczych, jadą na cały dzień do Londynu, na wielkie zakupy dla Szkoły Gotowania.

Cięcie. Muszę uważać na kolejność wydarzeń. Jesteśmy na podjeździe za domem, mniej więcej pół godziny później.

- Pojedziemy do Soho, zajrzemy do wszystkich tych fantastycznych

246

francuskich i włoskich sklepów spożywczych -mówi Stella, podchodząc do prehistorycznego samochodu marki Wolseley.

Minęło wiele lat od czasu, kiedy była w Londynie, a jeszcze więcej - gdy miała pieniądze na zakupy, nie należy się więc dziwić, że jest bardzo podekscytowana, prawie drży z podniecenia.

- Fortnum i Mason - kiwa głową Dziadek, pomagając im wsiąść. - Ostrożnie ze sprzęgiem, Stello, kochanie... Lubi płatać figle.

- Cześć, Finn, szczęśliwej drogi! -wołam.

Samochód wykonuje gwałtowny skok do przodu. Siedząca obok Stelli Finn odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Jej twarz została na zawsze w mojej pamięci, promienna twarz, którą widziałem tamtego bezchmurnego poranka. Nie ma w niej ani cienia zakłamania, jest szczerą i pełną radości, rozświetloną oczekiwaniem.

Ciemnoniebieskie oczy Finn nie unikają mojego spojrzenia. Posyła mi całusa i macha

ręką. Moja własna "Finn ostatnia" -już nigdy nie zobaczę jej tak pogodnej, tak beztroskiej.

Za moimi plecami w prowadzących do holu drzwiach stoi Maisie. Ona także macha. Na jej twarzy maluje się wyraz skupienia i czujności. Czy już wtedy zamierzała zrobić to, co zrobiła po południu tego samego dnia? Czy zaplanowała to już wcześniej, czy wybrała ten dzień, bo Stelli miało nie być w domu, co zdarzało się niezwykle rzadko? A może planowała to w czasie, gdy samochód oddalał się od domu?

Poprawiam ostrość. Maisie wydaje się słuchać czegoś, czego ja nie słyszę. Targam jej włosy nad czołem i, ogarnięty wyrzutami sumienia, podchodzę, aby ją uściskać. Cofam się w ostatniej chwili - Maisie nie lubi, kiedy się ją obejmuje, nawet jeżeli robi to Stella.

- Słuchasz, co mówią zakonnice? - pytam. Najprawdopodobniej tak właśnie jest. Te jej siostrzyczki

247

na pewno akurat się modlą, dam głowę, że właśnie mamy porę na jutrznię albo coś takiego.

- O, nie, zakonnice już mnie opuściły - odpowiada Maisie. - Nie mam teraz dla nich czasu. Obraziły się na mnie.

- To nie bardzo po chrześcijańsku - mówię.

I wtedy zadaję niewłaściwe pytanie. Powinienem zapytać, dlaczego nieistniejące zakonnice obraziły się na Maisie, lecz zamiast tego pytam, czy to nie grzech, że gniewają się na kogoś. Jest to pierwsza szansa, jaką marnuję tego dnia. Pierwsza, lecz nie ostatnia.

Maisie ściąga brwi i zastanawia się chwilę.

- Może grzech, ale nie śmiertelny - oznajmia w końcu. -Dziesięć zdrowasiek pokuty w zupełności wystarczy... - przerywa. - Wybierasz się dziś do wsi, Dan?

Potakująco kiwam głową.

- Mam nadzieję, że Bella czuje się już dużo lepiej - mówi Maisie z wystudiowaną uprzejmością. - Przekaż jej ode mnie serdeczne pozdrowienia...

Potem bierze Dziadka za rękę i wraca z nim do domu, aby udzielić mu lekcji przyrody. Już na schodach zaczyna wykład z teorii przetrwania najsilniejszych

przedstawicielei gatunków. Obserwuję, jak dokonuje codziennego rytuału przejścia przez hol. Dziś jest królową na podłodze szachownicy - przebiega po przekątnej z czarnych płyt i zatrzymuje się dopiero w odległym kącie.

- Szach! - woła do swojego niewidzialnego przeciwnika.

Cięcie. Jest jeszcze wcześnie, koło dziewiątej. Wyruszam do wioski; żwir chrzęści pod moimi podeszwami na ścieżce prowadzącej obok refektarza. Po obu stronach mam wysoką ścianę świerków, nagrzane powietrze między nimi parzy skórę i drażni spojówki.

- Cześć, Dan! - woła Lucas, chociaż w jego pole widzenia wchodzę dopiero po paru sekundach.

Kiedy wyłaniam się zza rogu refektarza, widzę go, jak siedzi

248

na schodach i wygrzewa się w słońcu niczym jaszczurka. Obok niego tkwi Julia, co wprawia mnie w wielkie zdumienie, ponieważ najstarsza siostra Mortland rzadko wstaje przed południem. Palą na spółkę papierosa, nie, jointa, uświadamiam sobie, czując zapach marihuany. Czyżbym coś przerwał?

Nie sposób zgadnąć. Oboje są nieruchomi, pochłonięci oddawaniem czci słońcu; nic nie wskazuje na to, aby czuli się nieswojo, natomiast ja wyczuwam aurę starannie ukrywanych sekretów, jak zwykle, gdy przyłapuję ich samych. Poza Julii, wyciągniętej w słońcu nieco prowokacyjnie, sugeruje kompletne rozluźnienie. Patrzę na tę Danae w minispódniczce, na piękne, luksusowe linie jej ciała - bosc stopy, gołe nogi, odsłoniętą złocistą szyję, zamknięte oczy, wzburzone złote włosy, przegub dłoni, obciążony srebrnymi bransoletkami. Z oddali dobiega warkot kombajnu. Czy Julia spędziła tutaj noc?

Przez otwarte drzwi, wśród cieni, których zawsze pełno jest w refektarzu, widzę oparte o ścianę "Siostry Mortland". Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że malowany sobowtór Julii przywołuje mnie z kpiącym uśmieszkiem; poczułem to już przed tygodniem, kiedy Lucas pierwszy raz pokazał nam portret. Ta iluzja (wiem, że namalowana Julia wcale mnie nie woła) z niewyjaśnionego powodu budzi we mnie gniew.

- Chcesz się sztachnąć? - Lucas zaciąga się i podaje mi jointa.

Julia podnosi się i siada wyprostowana. Dwie pary oczu mierzą mnie rozbawionym spojrzeniem.

- Nie, dzięki, idę do pracy - mówię. - To jeden z dni, kiedy zarabiam pieniądze...

- Jestem pod wrażeniem - wyznaje Julia sennym głosem, co może świadczyć o tym, że jest nawalona, ale wcale nie musi. - Co będziesz robił? Wiązał snopki czy sprzątał czyjaś oborę? Stał za ladą w gospodzie "Green Man" czy wypłacał staruszkom emerytury na pocztę? A może naprawiał traktory? - ziewa. - Jesteś tak kurewsko pracowity, Dan...

249

- A ty jesteś tak kurewsko leniwa, Julio - odpowiadam.

I w tym momencie darzę ją najszczerszą nienawiścią, ta intensywność całkowicie mnie zaskakuje. Nienawidzę za to, że zawsze umie mnie zirytować. Nienawidzę, ponieważ pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni i mamy podobne problemy. Oboje z całego serca pragniemy stąd uciec, oboje jesteśmy głodni sukcesu, oboje mamy wkrótce wyjechać do Londynu, oboje będziemy szukać tam pracy i oboje nie mamy pieniędzy.

Czuję do niej nienawiść, ponieważ wiem, że czeka mnie ciężka walka, natomiast Julia pokona trudności bez specjalnego wysiłku. Miała już trudności, kiedy oznajmiła rodzinie, że zamierza zrobić ostatni rok studiów w Berkeley - nie powstrzymały jej i nie powstrzymają teraz. Wtedy pieniądze na bilet lotniczy wysupłał Dziadek ze swoich topniejących oszczędności; znajomy znajomego znalazł jej mieszkanie. Niezwykle uprzejmy znajomy, redaktor "San Francisco Chronicle", miał cenne kontakty w świecie dziennikarskim i uniwersyteckim. Zapewnił Julii pokój za darmo, podarunki oraz wejście do wspomnianego środowiska. Kiedy już Julia znajdzie się w Londynie i zostanie dziennikarką, można spodziewać się podobnego rozwoju sytuacji - na drodze kobiety tak pięknej zawsze staje pełen podziwu i gotowy przyjść z pomocą mężczyzna, a Julia nie widzi w tym nic złego.

- Nie praw mi kazań - powiedziała mi kiedyś, gdy wygłosiłem krytyczną opinię na temat takiego stylu robienia kariery. - Odpieprz się, Dan. Jeśli sądzisz, że kobieta jest w korzystnej sytuacji z racji swojej płci, to jesteś idiotą. Zamierzam grać zgodnie z moimi regułami.

Rozgniewałem ją wtedy i teraz także. Trzeba bardzo dobrze znać Julię, żeby to wyczuć i dostrzec, ale ja znam ją naprawdę nieźle.

- Dajże spokój! - mówi. - Nie jesteś aż taki ubogi! Wiem, że los sypnął ci groszem, słyszałeś o tym, Lucas? Dan, Bella opowiadała mi przedwczoraj, jak to Joe w sekrecie przez



ładnych kilkanaście lat odkładał pieniądze na książeczkę oszczędnościowej, jak dał ci je w zeszłym tygodniu i wygłosił mowę, życząc powodzenia i wszystkiego najlepszego. Wzruszyło mnie to - tyle ciężko zarobionych szylingów, prawie dwadzieścia lat oszczędzania... Sto funtów, tak powiedziała Bella. To jest dopiero hojność! Za taką sumę można przeżyć w Londynie co najmniej dwa tygodnie, nawet miesiąc, jeżeli zaciśniesz pasa. Mnie sto funciaków wystarczyłoby na co najmniej cztery kiecki... Chciałabym mieć sto funtów!

- Więc ustal stawkę za usługi - odpowiadam z uśmiechem.

Odwracam się i odchodzę. W oddali kombajn wciąż pożera zboże.

Cięcie. Jest już koło południa, jakieś trzy godziny później, a ja wciąż jestem wściekły. Serce pompuje gęsty jad do moich żył. Przed oczami mam rozjarzoną, gorącą mgiełkę i potrafię myśleć wyłącznie o tym, jak ukarać Julię. Nie wybaczę jej tego, co powiedziała. Joe zarabia siedem i pół funta tygodniowo, przy czym dwa funty musi od razu zapłacić za czynsz. Pamiętam jego twarz, zawstydzoną i radosną, kiedy wręczał mi tę książeczkę. Pamiętam tę mowę, pamiętam, jak co parę słów zaciął się ze wzruszenia i doskonale pamiętam swoje poczucie winy. Joe nie ma pojęcia, jak drogi jest Londyn, a ja nie zamierzam mu tego uświadamiać. Mój ojciec nie zdaje też sobie sprawy, jak długo mogę szukać pracy - wysłałem listy do trzydziestu pięciu agencji reklamowych i do tej pory nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Dla Joego sto funtów to majątek. I żeby Julia kpiła z tego, żeby śmiała się z mojego Taty... To nie do zniesienia. Zrobię wszystko, żeby gorzko pożałowała tych słów i już od trzech, prawie czterech godzin zastanawiam się, jak osiągnąć ten cel. Na razie, zraniony i wściekły, nie mogąc ukarać Julii natychmiast, wymierzam karę wszystkim i wszystkiemu, co znajdzie się w zasięgu mojego działania.

Ukarałem Babcie, wpadając do domu jak piorun i krzyżąc na nią.

- Nie opowiadaj Julii o żadnych naszych sprawach! Nie opowiadaj jej o naszym życiu, czy to naprawdę takie trudne?! Cholera jasna, jak mogłaś zrobić coś takiego, Babciu?!

A Babcia, której z samego rana wyrwano ostatni ząb, która przywykła do dwa razy większych od niej mężczyzn, wymachujących rękami i wrzeszczących (wychowała się wśród takich facetów i takiego poślubiła), nawet nie drgnie. Siedzi na krześle przy piecu, w piekielnie gorącej kuchni. Na stole rozłożone są karty tarota, Babcia owinęła

opuchniętą szczękę białą chustką. Wygląda śmiesznie i jest w potwornym nastroju.

- Nie drzyj się na mnie! - odpowiada niewyraźnie, z dziką złością. - Wystarczy, że darł się na mnie twój dziadek! Potrafił być podłym draniem, kiedy coś go napadło, tak samo jak ty, niewdzięczny gówniarzu! Będę mówiła, co zechcę i kiedy zechcę! To naprawdę coś - sto funtów... Dziaśła strasznie mnie bołą, do cholery! Zmiataj stąd, ale już!

W następnej kolejności wymierzam karę oknom, bo tego dnia zajmuję się myciem okien. Wyżymam ścierkę i wyobrażam sobie, że to szyja Julii. Wycieram szyby; czy trę lekko, czy bardzo mocno, ciągle widzę w nich twarz Julii. Słońce odbija się od szkła i kłuje ostro, jak sztylet. Myję okna na plebanii, w nieładnym, oszczędnie zbudowanym z funduszów anglikańskiego Kościoła domu, na końcu oszczędnie wysypanej żwirem ścieżki. Potem atakuję dom państwa Marlow - wyciągam drabinę z garażu i z trzaskiem przystawiam ją do muru, wymierzając karę drabinie i cegłom, gąbce i wodzie w wiadrze. Wysokie okna mają cięte szyby - każdy, kto się nimi zachwyca, powinien spróbować je umyć. Dwadzieścia szybek w każdym oknie, a umyć je trzeba z zewnątrz i od środka! Trwa to bez końca, zupełnie jak recytacja ceremoniału ostatniego namaszczenia w wykonaniu Maisie. Czterysta osiemdziesiąt kawałków szkła - wymierzam karę każdemu z osobna.

252

Myję okna w salonie, pełnym uroku, nieco wyblakłym pokoju, gdzie pani Marlow wytłumaczyła mi, dlaczego nie powinienem dawać Finn wody toaletowej "Taboo" na urodziny. Myję okna w gabinecie, gdzie wciąż czuje się obecność duchów uczonych wielebnych, którzy tu kiedyś przebywali. Myję okna w jadalni - to tutaj, przy tym owalnym mahoniowym stole z lnianymi serwetkami i oszłamiającą liczbą srebrnych sztucców nauczyłem się nie trzymać noża tak jak długopisu i sypać odrobinę soli z boku talerza, nie na wszystko, tak jak beztrudnie robią to Babcia i Joe. Myję okna w sypialniach na górze. Państwo Marlow śpią w dwóch prostych łóżkach, przykrytych pulchnymi kołdrami i narzutami w kratę. Czy uprawiają jeszcze seks? Czy w ogóle kiedyś uprawiali seks? Nie umiem sobie tego wyobrazić. Myję dwa okna w pokoju Nicka, narożnym, tak jak mój w Opactwie. To pokój w stanie przejściowym - można znaleźć dowody, że sypia tu mężczyzna, na przykład niektóre książki, ale w gruncie rzeczy nadal jest to pokój chłopca. Może pani Marlow woli, aby tak było. Panuje tu nienaturalny porządek. Łóżko jest świeżo posłane, ponieważ Nick ma wieczorem przyjechać do domu. Pani Marlow już mi powiedziała, że przez ostatnie trzy tygodnie pracował w klinice Akademii Medycznej na nocną zmianę. Powiedziała mi o tym już w pierwszym zdaniu, ale cóż, pani Marlow żyje od jednej wizyty Nicka do drugiej, a podczas jego nieobecności po trochu umiera.

Tak, Nick miał nocny dyżur w izbie przyjęć pogotowia, a ten dyżur często przedłużał się o kilka godzin, więc Nick przez trzy tygodnie pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeśli wierzyć jego matce. Teraz ma dwa dni wolne i chociaż wcześniej mówił, że zostanie w Londynie i odeśpi nieprzespane noce, teraz zmienił plany i przyjedzie do Wykenfield pociągiem o czwartej po południu, akurat na podwieczorek. Kiedy myję okna w kuchni, jego matka piecze beziki.

Cały ten dom tkwi w cholernej przeszłości, myślę, zabierając się

253

do mycia okien w pokoju Nicka od środka. Nick lubił beziki, to prawda, ale dawno temu, kiedy miał sześć, no, może siedem lat, podobnie jak ja, zawsze głodny jak wilk, gdy wpadałem tu na herbatę. Ale dlaczego miałyby lubić beziki dwudziestopięcioletni student medycyny, kompletnie wyczerpany ciężką pracą, zmęczony zbyt wieloma bliskimi spotkaniami z ludzkim cierpieniem? Z drugiej strony, może jego matka rzeczywiście wie lepiej, może beziki są tym, czego Nickowi potrzeba. Może takie rytuały faktycznie niosą pociechę. Nick ceni sobie domowe wygody; jest dobry dla matki i przyjeżdża do Wykenfield przy każdej okazji.

Minęły trzy tygodnie, odkąd go widziałem. Wrócił do Londynu tego samego dnia, kiedy Mortlandowie pojechali do Elde, a Lucas do Cambridge. Dlaczego Lucas wybrał się wtedy do Cambridge? Powiedział, że chciał wynająć pokój, bo przecież wakacje już się kończą. Mówił, że chodził po mieście i rozmyślał, i w pewnej chwili nagle zobaczył, jak ma dokończyć portret, ale czy ja w to wierzę? Rzeczywiście, kiedy wrócił po dwóch dniach, zaczął malować jak wariat, lecz czy to cała historia? Czy Lucas ma tam jakąś kobietę? Czy pieprzy się z Julią, czy z Finn, czy może zjedną i drugą? Dlaczego nie mogę się zdobyć na to, żeby zapytać go wprost? Ponieważ Lucas i tak nie odpowie, a ja jestem zbyt dumny. Z wściekłością rzucam gąbkę do wiadra i opieram czoło o rozgrzaną szybę. Boli mnie głowa. Boli mnie serce. Patrzę na to muzeum przeszłości Nicka i mojej własnej: dwa wyłysiałe pluszowe misie, robione raz na rok szkolne fotografie... Nicka można rozpoznać nawet na tych najwcześniejszych, tych z pierwszej klasy szkoły podstawowej. A co to za czarny diabeł wygląda zza jego ramienia? To ja, cygańsko pogańskie szczenię Danny, Cyganek Danny...

Półka z modelami firm Meccano oraz Airfix i zwisające od sufitu samoloty z drewna balsa - spitfire, hurricane, dornier, stukas i messerschmitt (ten ostatni to moje dzieło). Półka pełna zaczytanych do zardęcia komiksów, książek Kiplinga, Ransoma,

254

Conan Doyle'a, więcej wyborów poezji, niż spodziewałbym się po Nicku, i więcej powieści. Dużo medycznych podręczników. Zdejmuję jeden z półki i otwieram na ślepo -patrzę na barwny diagram kobiecego układu rozrodczego. Zaskakuje mnie myśl, że kobieta jest najprawdziwszym arcydziełem, arcydziełem wyposażonym w wyrafinowany system hydrauliczny: szkarłatną macicę, dwa połączone, czarno pożyłowane jajniki, podobne do słuchawek audio, granatową waginę...

Stop klatka, zatrzymajmy na chwilę film. Pamiętam, że wpatrywałem się w ten diagram, ale co czułem? Gniew? Tak, gniew nadal się we mnie tlił. Ból? Tak, to bardzo prawdopodobne, ponieważ optymizm wyciekł z tego dnia jak wino z dziurawego bukłaka. Zagubienie? Może. Lęk przed przyszłością, strach, że nie znajdę pracy, że nic mi się nie uda. Była tam także zazdrość, urażona duma, frustracja seksualna -zwykła mieszanka, niewykluczone jednak, że czułem coś jeszcze.

Czy, patrząc na rysunek, dostrzegłem sposób ukarania Julii? Czy jedynie po chwili zamknąłem książkę i wróciłem do mycia okien? Część okien Starej Plebanii wychodzi na cmentarz.

I znowu cięcie. Skończyłem, umyłem czterysta osiemdziesiąt szyb. Pani Marlow wtyka dwa dziesięciofuntowe banknoty do kieszonki mojej koszuli; byłaby głęboko zażenowana, gdyby musiała dać mi je do ręki.

- Upiekłam ciastka - mówi. - Masz ochotę coś przekąsić? Może zjesz też kanapkę i napijesz się czegoś zimnego... Jestem ci bardzo wdzięczna, nikt nie umyłby tych okien lepiej niż ty... - W jej głosie pojawia się nuta wahania. - Niedługo wyjeżdżasz do Londynu... Będzie mi ciebie brakowało, Danny.

Patrzę na nią uważnie. Ekran, na którym oglądam ten zapis pamięci, pokazuje mi obraz kobiety ubranej w tweedowy kostium, ponieważ matka Nicka zwykle tak się ubierała, wiem

255

jednak, że tego ostatniego, upalnego i dusznego dnia musiała mieć na sobie coś innego. Szybko wymieniam tweedowy żakiet i spódnicę na jedną z jej sukienek od Horrocka - letni uniform pań z klasy średniej. Bawełniana sukienka z krótkimi rękawami, skromnym dekoltem, wcięta w pasie, z rozkloszowaną spódnicą, a do tego sznurek pereł, jasnoróżowa szminka, siwiejące włosy - styl wciąż ten sam od 1950 roku. I nagle uświadamiam sobie coś naprawdę ważnego. Ta kobieta, inteligentna, trochę snobka, o dobrym sercu, jest samotna. Jej rodzina uważa, że popełniła megalians, wychodząc za pracującego na prowincji lekarza. Pani Marlow skończyła studia, ale nigdy nie wykorzystała dyplomu. Starzeje się; przewodniczy radzie

parafialnej, towarzystwu pogłębiania zainteresowań i miejscowemu kołu członków Partii Konserwatywnej, lecz mimo tych wszystkich zajęć nie może wykorzystać swoich kwalifikacji i bardzo tęskni za synem. Najchętniej usiadłaby teraz ze mną w kuchni i pogadała o Nicku. Ponieważ nie może rozmawiać z nim, zadowoliliby się pogawędką ze mną, swoim protegowanym. Tutaj, podobnie jak w Opactwie, jestem zastępczym synem.

Jestem głodny i spragniony, mam wielką ochotę na coś słodkiego i kanapkę, sprzedałbym duszę za zimne piwo, a nawet za tę namiastkę piwa czy oranżadę, jaką pewnie by mi zaproponowała, ale nadal kotłuje się we mnie wściekłość i zagubienie. Nie chcę być niczym protegowanym i mam już dosyć roli zastępczego syna. Mam własną matkę, chciałbym krzyknąć. Pamiętacie ją? Leży w całunie z białej satyny na cmentarzu obok, zaraz za tym murem, a w jej białej klatce piersiowej wiją się robaki! Przestańcie przerabiać mnie na coś, czym nie jestem! Nie pasuję do was i waszych domów, cholera jasna, i wcale nie chcę się dopasowywać! Jestem... Jestem kimś innym.

To znaczy kim, Danny? Jakimś chłopkiem roztropkiem, synem ziemi, Cyganem, twardzielem, wykształconym człowiekiem z przyszłością, rewolucjonizującym twórcą kina?

256

Nie mam pojęcia, ale niezależnie od tego, kim jestem, nie chcę bezików ani pieprzonej oranżady. Uważajcie, dobroczyńcy, podtykający mi takie przysmaki, ponieważ kąsam rękę, która mnie karmi.

- Nie, dziękuję - odpowiadam. - Nie mam czasu, jestem już spóźniony. Czeka na mnie pułkownik Edwardes.

Zwykle nie jestem tak obcesowy, szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie zachowałem się w choćby śladowo nieuprzejmy sposób. Pani Marlow rumieni się i niepewnie wypowiada parę miłych uwag. Widzę, że zrobiłem jej przykrość, może nawet ją obraziłem. Teraz na pewno się martwi, czy nie zapłaciła mi za mało. Dobrze jej tak, ją też ukarałem. To zemsta za tamten kupon książkowy dla Finn, myślę z satysfakcją. Pani Marlow najprawdopodobniej zdążyła już zapomnieć o tym incydencie, co także uważam za niewybaczalne.

Cięcie. Ostatnie okna tego dnia, dom pułkownika Edwardesa, hodowcy świń rasy Heavy Hogs. Wielkie domiszcze trzy kilometry pod Wykenfield. Myję piętnaście zapaćkanych okien i jedną szklarnię pełną konających pomidorów. Jest trzecia po południu, kiedy, spocony i brudny, kończę robotę. Teraz czeka mnie droga powrotna

do Opactwa.

Pułkownik Edwardes wyłania się zza rogu. Jest ubrany w kamizelkę i lnianą marynarkę, pachnie wodą kolońską. Nie ufam mu i nie lubię go - to uczucie może być wzajemne, ale nie musi. Nie jestem przekonany, czy pułkownik kiedykolwiek był w Indiach, nie mówiąc już o armii brytyjskiej. Czy w ogóle jest pułkownikiem? Nie wiem. Brzeg kamizelki jest wytłuszczony w miejscu, gdzie dotyka jego chudej szyi. Gdy zaczynałem myć u niego okna, miałem dwanaście lat i byłem niski jak na swój wiek, lecz teraz pułkownik musi podnieść głowę, żeby spojrzeć mi w twarz.

- Umawialiśmy się na osiem, tak? - zaczyna.

- Nie, dziesięć. Uzgodniliśmy, że dostanę dziesięć. Umyłem szklarnię.

257

- Nie moglibyśmy uzupełnić różnicy następnym razem?

- Nie, bo następnego razu już nie będzie. Za dwa tygodnie zaczynam pracę w Londynie. Oszczędzam na okres po przyjeździe, pieniądze są mi potrzebne teraz.

- Oczywiście, oczywiście... Nie pomyślałem, jasne. Wejź do środka, zaraz poszukam pieniędzy... Masz ochotę coś gołnąć?

Pułkownik zawsze ma ochotę coś gołnąć. W jego wypadku "coś" to czysta whisky, w moim piwo. Wchodzimy wejściem dla służby. Stoję przy kuchennym zlewie i piję piwo, podczas gdy on przeszukuje niezliczone kanistry i pudełka, aż w końcu wyciąga skądś brakujące dwa funty, w pensach, i kładzie monety na stole. Krążą plotki, że hodowla świń przynosi straty, pułkownik jest poważnie zadłużony w banku i że dom szybko trafi na rynek. Nikt nie jest do końca pewny, czy Edwardes jest starym kawalerem czy wdowcem - ja stawiam na kawalera, wiecznego kawalera. Na środku wilgotnej, ponurej kuchni stoi stół, a na nim, pod muślinową narzutką, kolacja pułkownika - dwa wieprzowe kotlety, tłuczone ziemniaki z obiadu oraz mała puszka zielonego groszku. Nad talerzem bzyczy mucha.

- Dalej łamiesz serca dziewczynom ze wsi? - pyta pułkownik. - Jak tam twoje życie miłosne, Danielu?

Zawsze zadaje to pytanie, a ja zawsze udzielam mu tej samej odpowiedzi.

- Jakoś leci.

Pułkownik wsypuje monety do koperty, liże jej brzeg i zakleja. Potem jednym haustem wychyla whisky.

- Słyszałem, że ostatnio spędzasz dużo czasu w Opactwie.

Przechyla głowę na bok i rzuca mi porozumiewawcze, łobuzerskie spojrzenie, jak mężczyzna mężczyźnie. Ma lśniące sztuczne zęby i cerę usianą wątrobianymi plamami. Robię to, co w takiej sytuacji zrobiłby Joe - patrzę na niego spokojnie i nic nie mówię.

- Z tą rodziną lepiej uważać - podejmuje pułkownik, najprawdziwszy plotkarz;

258

niezbyt dobrze poinformowany, bo nielubiany, ale zawsze chętnie korzystający ze wszystkich dostępnych źródeł. - Oczywiście mają świetne koneksje, a linia po starszym bracie to bardzo, bardzo zamożni ludzie... Tak, Elde Hall to podobno prawie pałac, choć naturalnie ja nigdy nie byłem tam zaproszony, rozumiesz... Słyszałem, że teraz inwestują w tę szkołę gotowania Stelli... To prawda?

- Skąd miałbym wiedzieć...

- Cóż, ktoś musiał sypnąć im forsa, bo przecież sami nie mają złamanego grosza. Dobrze życzę temu projektowi, to chyba jasne, podobnie jak ty, Danielu... Jeszcze jedno piwo? Nie? Z drugiej strony nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że chyba nie przemyśleli tego do końca... Wykenfield to potworne zadupie, a Stella, chociaż ogromnie ją lubię, nie ma żadnych kwalifikacji, aby prowadzić szkołę, prawda?

Ten rodzaj hipokryzji bardzo mnie męczy. Po co ukrywać zjadliwość pod maską przyjacielskiej troski? Strata czasu. Dlaczego ludzie nie chcą od razu i po prostu przyznać się, że czują najszczerszą Schadenfreude? Dlaczego nie są w stanie powiedzieć: "Nie mogę się doczekać, kiedy ostatecznie okaże się, że ci się nie udało"? Jeżeli szkoła Stelli zbankrutuje, pułkownik Edwardes jako pierwszy będzie klaskał w dłonie z radości.

- Jest bardzo dobrą kucharką. Może takie kwalifikacje wystarczą.

- Nie sądzę, Danielu, nie w dzisiejszych czasach... Ludzie chcą dostawać dyplomy ze szkół Cordon Bleu, i takie tam różne...

Wymawia "bleu" jak "bluuu", a ja nie potrafię określić, czy to afektacja, żart czy ignorancja.

- Poza tym Opactwo jest bardzo zaniedbane. Naprawdę nie widzę, jakim cudem miałyby się im udać, chociaż oczywiście, jak już mówiłem, życzę samych sukcesów...

- Pójdę już.
- Jeszcze słówko... - Pułkownik mruga porozumiewawczo.

259

- Mała podpowiedź, Danielu, mój chłopcze... Bądź ostrożny, Julia i Finn to wspañale, prześliczne dziewczyny, ale biedna Maisie... Cóż, pewne rzeczy są nie do ukrycia, prawda? Któregoś dnia widziałem, jak szła przez wieś, zajęta rozmową z tymi swoimi zakonnkami. Niewidzialne siostrzyczki - to doprawdy tragiczne, tak strasznie smutne... Jej ojciec był dokładnie taki sam, kompletnie sfiksowany, w każdym razie tak mi mówiono. Takie sprawy są dziedziczne, tkwią w genach, rozumiesz? Biedny stary Henry także nigdy nie był do końca normalny, ale jego syn... Przerażające. Naturalnie zatuszowali aferę i nikt o tym nie mówi, ale jest faktem, że Guy Mortland poderznął sobie gardło. Wiesz, wziął brzytwę i podciął gardło od ucha do ucha... Wykrwawił się jak zarżnięta świnia. Znalazła go biedna Stella. Oczywiście musiała już dawno przewidywać, czym się to wszystko skończy... Depresja. Mania prześladowcza. Leczyli go w prywatnych klinikach, absolutnie wszystkimi znanymi medycynie metodami, prochami, elektrowstrząsami, terapią zajęciową. Kosztowało to majątek i nie przyniosło żadnych pozytywnych efektów. Biedak krążył tylko od jednego wariatkowa do drugiego...

- Leczyli go w sanatoriach - przerywam pułkownikowi, gwałtownie zatrzymując się w progu. - W sanatoriach! Miał gruźlicę...

- Och, wiem o tym, ale na gruźlicę zachorował później, zaraził się w którymś z tych szpitali psychiatrycznych. Słyszałem, że gruźlicę dało się zaleczyć, lecz rodzina wykorzystała tę chorobę jako pretekst. Jednak to nie z powodu gruźlicy dostał bezterminowy urlop z RAFu, o, nie... Nie, od początku chodziło o kłopoty z psychiką. Wojna kompletnie go wykończyła. Szok, wstrząs, czy jak to tam zwał. Cierpiało na to wielu chłopców. Wasze pokolenie nie ma pojęcia, jakimi jesteście szczęściami...

Pułkownik zawiesza głos i z przejęciem kiwa głową.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś zachował ostrożność - podejmuje. - Podobno ty i Finn stale trzymacie się razem.

260

Ludzie gadają. Ktoś widział was w nocy w lesie. Niegrzeczne dzieciaki... Oczywiście Finn w tej chwili robi wrażenie całkowicie normalnej, a kiedy chce, potrafi być nawet czarująca, chociaż mnie zawsze traktuje nieco chłodno... Tak czy inaczej, na takie sprawy trzeba patrzeć z pewnej perspektywy... Z takim ojcem, z taką



siostrą, kto wie, co kryje przyszłość... Chciałbyś mieć kiedyś dzieci, prawda, Danielu? No, właśnie, to naturalne, taki przystojny młodzieniec jak ty... Wspinasz się po szczeblach drabiny sukcesu, chcesz zdobywać szczyty, mądrała z ciebie, studiowałaś w Cambridge i tak dalej, powinieneś jednak dokonywać wyboru za pomocą zdrowego rozsądku, oto moja rada. Porozglądaj się trochę dookoła, zanim podejmiesz decyzję. Poza tym ty i Mortlandowie macie zupełnie inne korzenie, co? Nie czujesz się czasami wśród nich jak wyjęta z wody ryba? Na twoim miejscu byłbym bardziej ostrożny, słowo daję... Daniel? Daniel? Dokąd ci się tak śpieszy? Zapomniałeś wziąć pieniądze...

Jestem już na zewnątrz, na ponurym podwórku za domem. Nagrzane powietrze przesiąknięte jest ciężkim odorem świń, gnojówki i chlewu. Pułkownik Edwardes stoi w progu i wymachuje kopertą. Odwracam się i mówię mu, żeby zatrzymał sobie swoje pieniądze.

I znowu cięcie. Jestem na drodze, powoli wracam do wioski. Leje się ze mnie pot. Słońce pali bezlitośnie, przy drodze nie ma żadnych drzew, ani odrobiny cienia. Spod moich butów wzbijają się obłoczki białego pyłu. Biała, zakurzona droga biegnie wzdłuż Black Ditch, między polami Angusa McIvera. Jeszcze niedawno były to łąki, teraz Angus eksperymentuje z burakami cukrowymi. Buraki to wiecznie spragnione rośliny, pochłaniają setki, tysiące litrów wody. Mniej więcej co dwadzieścia metrów ziemię przecinają rury irygacyjne. Mój gniew zniknął. Czuję już tylko smutek i żal. Czy pułkownik powiedział mi prawdę? Czy Finn o tym wie? A jeżeli tak, to dlaczego nigdy mi tego nie powiedziała? Po omacku posuwam się

261

do przodu - prawda czy zjadliwość, prawda czy kłamstwa...

Tę białą drogę zbudowali Rzymianie, a Black Ditch jest jeszcze starsze, pochodzi z okresu przedrzymskiego. Jako mały chłopiec często wyobrażałem sobie Boadiceę, pędzącą tędy rydwanem o kołach uzbrojonych w mordercze noże. Jeszcze dziś słyszę ogłuszający turkot tych kół i czuję, jak ziemia drży pod stopami legionów; słyszę marsz historii, odgłosy tego, co nieuniknione, słyszę, jak mnie doganiają.

Staw Black Ditch, dziedzictwo z epoki żelaza, albo jeszcze wcześniejszej, odbija niebo w nieporuszonej, martwej tafli. Tak, ta droga biegnie bardzo daleko, w jedną i drugą stronę, i czuję, jak z każdym krokiem, jaki na niej stawiam, coś umiera we mnie powoli.

Wiem, co znajduje się na końcu mojego fragmentu drogi. Kiedy dotrę do wioski, zegar na kościelnej wieży wybije godzinę czwartą. Trawę z boku drogi będą skubać

kury. Z oddali dobiega mnie przytłumiony warkot kombajnu i odgłos wystrzału. W naszym domku wszystkie okna są zamknięte -Babcia nie ma zaufania do świeżego powietrza. Na pewno nadal siedzi przy piecu i pielęgnuje obolałe dziaśła. Może, aby nie tracić kontroli, rozkłada tarota. Nie zajrzę do niej, nie dowiem się, co tego dnia mówią karty. Nie spotkam też Joego, który w tej chwili pracuje dwa kilometry dalej, na ostatniej łące McIverów.

Przystaję na chwilę w rynku. Policzę kaczki na stawie i po raz dwutysięczny spojrzę na szyld nad pubem, przedstawiający podstępного lisa i głupią gęś. Kiedy byłem mały, często zadawałem sobie pytanie, którym z tych zwierząt jestem.

Obok pubu znajduje się sklep oraz poczta. To właśnie tutaj raz w tygodniu pracuję parę godzin po południu, wydając w okienku książeczki radiowe i telewizyjne oraz kwity za podatki od posiadanych psów; przyklejam także znaczki na paczkach i wypłacam emerytury miejscowym staruszkom. W oknie sklepu stoją duże słoje z plastikowymi zakrętkami, pełne

262

krówek, gumy do żucia, landrynek i innych słodczy. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy słodczy racjonowano. Nickowi rodzice nigdy nie pozwalali kupować balonowej gumy do żucia. Część witryny zajmuje reklama pastylek miętowych, wykonana z metalu. Widać na niej polarnego niedźwiedzia, który stoi na tafli lodu w kształcie miętówki.

Wyjmuję z kieszeni list, który nosiłem przy sobie cały dzień - trzydziesty szósty list w sprawie pracy, drugi do tej samej agencji reklamowej (na pierwszy nie dostałem żadnej odpowiedzi). Bardzo chciałbym pracować dla tej firmy, lecz list, który właśnie trzymam w ręku, bardzo różni się od wcześniejszych.

- Jesteś zbyt oficjalny - oznajmiła poprzedniego dnia ultraoficjalna Maisie, przeglądając kopie moich poprzednich wysiłków. - Gdybyś napisał tak do mnie, na pewno nie przyjąłabym cię do pracy...
- Dzięki, Maisie, ale takie listy właśnie tak się pisze. Obowiązują pewne zasady i...
- To wszystko brzmi strasznie sztywno, zupełnie jakbyś to nie był ty. I te listy są za długie.

Nieźle, zwłaszcza z twoich ust, Maisie, myślę.

- W porządku - mówię. - Właściwie dlaczego nie, tym razem mogę napisać coś innego. Nie mam nic do stracenia. Powiedz mi tylko, co...

- Przysięgasz, że go wyślesz?

Przysięgłem. Maisie podyktowała mi treść, dokładnie dwa zdania. Czujnym wzrokiem patrzyła, jak przepisuję je na starożytnej maszynie do pisania Stelli. I to właśnie ten list - ten śmieszny list - trzymam w ręku, patrząc na reklamę miętówek. W końcu dotrzymuję słowa i wysyłam go, głównie dlatego, że jest mi już wszystko jedno.

Wrzucam list do skrzynki, skręcam w lewo i ruszam ścieżką pod górę, mijając sad braci Doggetts, gdzie dojrzewają jabłka, i duże pole Acre Field.

Idąc, staram się skoncentrować na następnym zadaniu.

263

Obiecałem Stelli, że odmaluję jedną z sypialni przeznaczonych dla przyszłych studentek Szkoły Gotowania. Obawiam się, że nikt nigdy nie będzie tam spał, ponieważ Stella nie będzie miała żadnych chętnych, nie dostanie żadnych zgłoszeń w odpowiedzi na ogłoszenia, umieszczone w licznych małych czasopismach. Z drugiej strony, lady Violet, alias Żmija, tym razem chyba rzeczywiście próbuje pomóc i razem z jakąś Veronicą, narzeczoną swego wnuka, ma zająć się puszczaniem w obieg informacji o Szkole. Rozsyłają prospekty, które wydrukowaliśmy, i osobiście reklamują nas w modnych i eleganckich dzielnicach Londynu - SW1, SW7 i SW3... Nie rozumiem, dlaczego Żmija podjęła się czegoś takiego, zwłaszcza gdy się zna jej stosunek do Stelli i Dziadka, ale robi to, więc może jednak będą jakieś zgłoszenia, kto wie... Tymczasem w Opactwie czekają na mnie pędzle, wałki i wiadra z białą emulsją.

Przystaję na szczycie wzgórza, w cieniu wiązów. Warkot kombajnu McIverów cichnie w oddali: maszyna jest już w najdalszym kącie pola Holyspring, poniżej zagajnika Nun Wood. Nie mam ochoty ochlapywać ścian sypialni białą farbą, chcę zobaczyć się z Finn, całym sercem pragnę z nią porozmawiać, lecz Finn jest jeszcze w Londynie i wróci najwcześniej koło siódmej wieczorem. Spoglądam na zegarek. Pamiętam, że wskazówki stały na czwartej dwadzieścia pięć. Tępy wzrokiem patrzę na rozciągającą się niżej dolinę. Gdzieś daleko słychać huk wystrzału. Przytomnieję i rozglądam się dookoła. Nikt na polach nie poluje na króliki, to niemożliwe, sezon jeszcze się nie rozpoczął. Jeszcze jeden strzał, tym razem bliżej, chociaż odległość i kierunek strzału zawsze trudno jest oszacować, zwłaszcza w akustycznej misie, jaką jest dolina. Mam wrażenie, że strzelał ktoś w pobliżu Nun Wood.

Odwracam się i patrzę na las, pełen zachęcająco zielonych cieni. Podchodzę do furtki i wyteżam wzrok. Widzę, jak coś porusza się daleko przede mną, coś małego,

jasnego, biegnącego nisko przy ziemi. Znowu rozlega się strzał, tym razem

264

jestem pewny, że huk niesie się od strony lasu. Z wahaniem długo wpatruję się w mroczne cienie. Zauważyłem dziecko czy jelonka? Może była to gra światła? A może kobieta?

Słyszę, że coś szeleści w poszyciu przede mną; gałązki krzewów drżą. Nasłuchuję.

- To ty, Maisie? - wołam cicho. - Wyjdź stamtąd, ktoś strzela w lesie niedaleko stąd!

Nie ma żadnej reakcji, żadnej odpowiedzi. Gałązki drżą. Podejmuję decyzję i wchodzę do lasu. I w tym momencie, kiedy dochodzę do wniosku, że powinienem sprawdzić, co się dzieje, Maisie ma przed sobą niecałe cztery godziny normalnego życia. Dotyczy to zresztą nas wszystkich.

Rozdział Siedemnasty.

LAS NUN WOOD.

To coś, co porusza się przede mną, z pewnością nie jest osobą dorosłą. Nikt nie potrafiłby sunąć wśród tych gęstych zarośli tak lekko i delikatnie. Może to koziołek? W lesie żyją też jelenie, ale są bardzo płochliwe i nigdy dotąd nie udało mi się żadnego napotkać. A może to Maisie, której przyszło do głowy, by się ze mną zabawić? Zarośla tworzą nieprzenikniony ekran - zielone liście, pióropusze zielonobrunatnych witek, miejscami kiście jagód. Krzaki sięgają mi do piersi, do serca; mam metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu, więc ktoś niższy, dziecko lub kobieta, mógłby ukryć się wśród nich bez większego trudu. Widzę, jak gałęzie drżą. Dobrze znam te lasy - Joe zaczął polować tu ze mną na gołębie, kiedy miałem siedem lat. Kiedyś upolowałem tu bażanta dla Stelli. Ale gołębie i bażanty nie ukrywają się w zaroślach, a mój głos na pewno spłoszyłby jelenia. Stąpam cicho, ostrożnie, powoli rozchylając gałęzie, rozglądając się i nasłuchując.

Las jest bardziej zarośnięty niż dawniej. W miarę jak oddalam się od jego brzegu, światło słabnie, a zarośla stają się coraz rzadsze, zdławione iglastymi drzewkami i wysokimi krzaczkami jagód. Patrząc przez zielonkawe cienie, znowu dostrzegam ruch, coś białego pojawia się przede mną i znika. Jestem niemal pewny, że porusza

się za szybko i zbyt cicho, jak na dziecko. Przystaję, waham się, nasłuchuję. Zataczam linię po półokręgu w lewo i odnajduję ścieżkę, którą zapamiętałem.

266

Dróżka wije się między drzewami i kończy na polanie, gdzie wciąż jeszcze widać ruiny budynku wzniesionego przez zakonnice. Ostatni raz byłem w tej części lasu wiele lat temu. Stoję na ścieżce i nie bardzo wiem, co zrobić.

Myślę o zakonnicach. Należały do żeńskiego zakonu reguły cystersów i nosiły białe habity, nie czarne. Myślę o trzech szkieletach noworodków, z różańcami w zaciśniętych piąstkach. Wciąż czuję się związany z tymi moimi pradawnymi krewniakami - las Nun Wood zawsze sprawiał, że czułem się bezbronny i bezradny jak dziecko.

Nick i ja budowaliśmy tutaj kryjówki. Rzucaliśmy sobie wyzwania, staraliśmy się stawiać szałas jak najbliższej miejsca, gdzie znaleziono nieszczęsne dzieci, ale mimo całej swojej szczenięcej brawury nie czuliśmy się tam bezpieczni. Raz, jeden, jedyny raz, spędziliśmy w lesie całą noc - byliśmy już wtedy starsi i postanowiliśmy rozbić obóz na środku polany. Śmialiśmy się ze swojej wcześniejszej lękliwości, ale tylko do zmroku. Po zapadnięciu ciemności nerwy kompletnie nas zawiodły. Leżeliśmy obok siebie w należącym do Nicka skautowskim namiocie, dwaj dorastający chłopcy, sztywni z przerażenia. Sowy pohukiwały, wiatr szeleścił liśćmi, lecz my wcale nie baliśmy się hałasów, które miały znajome, naturalne wytłumaczenie. Nie zdarzyło się kompletnie nic, a w każdym razie nic, co moglibyśmy nazwać, zwerbalizować, a jednak obaj przez całą noc nie zmrużyliśmy oka i za obopólną zgodą nigdy więcej nie powtórzyliśmy tego eksperymentu.

Las milczy. Powietrze drga, poruszone leciutkim wiatrem. Nie mogę oprzeć się nieprzyjemnemu wrażeniu, że drzewa oddychają, że ktoś niewidoczny obserwuje mnie uważnie. Powoli ruszam przed siebie ścieżką: widzę coś w oddali, coś małego i jasnego. Nie znika, lecz drga, jakby zostało schwyte i usiłowało się wyrwać.

Podkradam się na palcach. Nagle dociera do mnie, że ze ścieżki ktoś ostatnio musiał korzystać, i to dosyć często. Jestem zaskoczony. Nun Wood stanowi własność prywatną i ma

267

nie najlepszą reputację - miejscowi uważają, że w lesie straszy i raczej się tu nie zapuszczają. Joe i ja jesteśmy chyba jedynymi, którzy przychodzą do lasku. Czy ktoś zastawiał wnyki na zwierzynę? Czy Lucas tędy chodzi? Lucas spaceruje wszędzie, gdzie mu się podoba, więc jest to możliwe. Nie ulega wątpliwości, że ktoś niedawno

odwiedzał Nun Wood.

Przystaję. Drzewa są nieruchome, nie drży ani jeden listek. Wysoko nad moją głową z rykiem silników przelatuje odrzutowiec z bazy w Deepden. Wpatruję się w ciemne poszycie -nie widzę nic szczególnego, słyszę tylko swój oddech. Polana otwiera się dalej, za następnym zakrętem ścieżki, ale ja widzę ją oczami wyobraźni - krąg otoczony tkwiącymi tu i ówdzie gałkami, niskie rozsypujące się mury, porośnięte pnączami, zielonkawe światło, przedostające się przez gałęzie. Powietrze przesycone odorem pleśniejących i gnijących liści, żyznej gleby. Bujna trawa, gęsty, grubo, szmaragdowozielony mech. Przed przybyciem archeologów wyobrażałem sobie, że kamienie i mech tworzą magiczny pierścień, czarodziejskie miejsce. Teraz już tak nie myślę.

Dotarłem wreszcie do tej małej, drżącej na wietrze rzeczy, której tu szukałem, i widzę, że jest to kawałek materiału, zaczepiony o złamaną gałąź, o boku długości mniej więcej pięciu centymetrów. W pierwszej chwili nie rozpoznaję tkaniny, lecz zaraz uświadamiam sobie, skąd się tu wzięła i mój świat zaczyna się zmieniać. Zdejmuję skrawek materiału z gałęzi i zamykam go w dłoni. Ładna, delikatna bawełna, biała, drukowana we wzór ze szkarłatnych liści i kwiatów. Rysunek jest tak subtelny, że wygląda jak żyły, jak naczynia krwionośne.

Znam tę tkaninę. To kawałek sukienki Finn. Kupiłem ją dla niej pod wpływem impulsu, w Cambridge, parę miesięcy temu. Nie była droga, mogłem sobie pozwolić na tę ekstrawagancję. Znaleźliśmy ją w jednym z nowych sklepów, które zaczęły pojawiać się w całej Anglii, w sklepie z kadzidelkami, kryształami i leczącymi kamieniami. W sklepie dla hipisów,

268

tak chyba trzeba to nazwać. Finn zobaczyła sukienkę na wystawie, a ja namówiłem ją, żeby przymierzyła delikatną szmatkę. Stałem przy ladzie, wdychając dym pachnący jaśminem i paczuli, a Finn schroniła się w ciemnym, zasłoniętym kotarą kącie i po chwili wyłoniła się stamtąd, roześmiana i odmieniona.

- Nie wiem, czy to mój styl, Dan... - powiedziała. - Myślisz, że dobrze mi w niej?

Dlatego pamiętam tę sukienkę, dlatego zapamiętałem także, kiedy Finn miała ją na sobie ostatni raz. Było to trzy tygodnie temu, tamtego wieczoru, gdy jedliśmy kolację na dziedzińcu Opactwa, w dzień przed doroczną wizytą w Elde.

Późno, już w nocy, kiedy niebo rozjarzyło się gwiazdami, Julia zaczęła puszczać płyty, swoje kalifornijskie płyty z psychodelicznymi, żalonymi jękami. Narkotyczna, transowa muzyka, z Grace Slick jako Alicją, goniącą za Królikiem korytarzami

umysłu. Tańczyłem z Finn w rytm tych nierytmicznych utworów, a potem pocałowałem ją w ciemności, zazdrosny i przestraszony, ponieważ widziałem, jak obserwował ją Lucas. Pocałowałem ją w zakazany teraz sposób, głębiej i namiętniej niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Kiedy w końcu oderwaliśmy się od siebie, rzuciła mi pełne bólu, przenikliwe spojrzenie, jakby chciała mi coś powiedzieć, albo próbowała nauczyć się mojej twarzy na pamięć. Potem odeszła, poszła do łóżka. Swojego - nie zdołałem jej namówić, aby przyszła do mnie.

Teraz dociera do mnie, że wcale nie udała się na spoczynek, o, nie. Musiała przybiec tutaj. A skoro znalazła się w tym lesie, w ciemności, to z całą pewnością nie była sama. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Pułkownik Edwardes powiedział, że ktoś widział mnie w lesie, w nocy... Już wtedy powinienem był zrozumieć, w czym rzecz. Nigdy nie przychodziłem tu z Finn - towarzyszył jej ktoś inny. Tępy, bezmyślnym wzrokiem wpatruję się w skrawek cienkiej bawełny. Ma on określone znaczenie, zawiera oczywiste wskazówki.

269

Z jego obecności w tym miejscu wynika jasno, że Finn okłamała mnie, patrząc mi prosto w oczy.

Chowam dowód do kieszeni. Pokażę go Finn później, kiedy wróci, kiedy rzucę jej w twarz oskarżenie, bo już postanowiłem, że tak właśnie zrobię, chociaż nie jestem w stanie jasno myśleć. Dałem Finn tę sukienkę. Dałem jej moje serce. Zawracam, usiłując ponownie odczytać swoją przeszłość. Czy kiedy powiedziała mi to, miała na myśli coś zupełnie innego? Czy mówiąc tamto, chciała powiedzieć coś, czego nie zrozumiałem? Czy wszystkie te lata nie mają żadnego sensu, żadnego znaczenia?

Potykam się. Przechodzę przez furtkę. Przed moimi oczami roztacza się nieznany widok, obca dolina. Milcząca dolina. Daleko w dole kombajn znika za zakrętem drogi prowadzącej do stodoły. Odwracam się i po raz drugi i ostatni tego dnia spotykam Maisie.

Nie jest sama. Zmierza w moją stronę z butelką mleka i bukietem kwiatów w ręku; z jednej strony ma Lucasa, z drugiej swojego dziadka. Patrząc na Lucasa, mojego przyjaciela - jest drobniejszej budowy niż ja i niższy, włosy ma krótsze i ciemnobrązowe, nie czarne, ale zwykle ubieramy się podobnie, dlatego nie dziwi mnie, że w marnym świetle któryś z wioskowych szpiegów mógł nas pomylić. Większość miejscowych w ogóle nie zdaje sobie sprawy z obecności Lucasa, natomiast prawie wszyscy wiedzą, że Finn i mnie coś łączy, więc w pewnym sensie spodziewają się zobaczyć nas razem, zwłaszcza że obserwują nas od lat. Nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Lucas niesie łopatę i kosę, nie wiadomo, po co... Na mój

widok przystaje i uśmiecha się. Wpatruję się w tę zjawę i po chwili powietrze przestaje wibrować. Dociera do mnie, że tych troje naprawdę tutaj jest, że to nie iluzja. Maisie pyta dziadka, która godzina, a on odpowiada, że dochodzi za piętnaście piąta.

Maisie marszczy czoło. Widzę, że Lucas wygląda dość świeżo. Dziadek, obciążony obowiązkiem opieki nad Maisie

270

od ósmej trzydzieści, jest blady ze zmęczenia. Wiem, dokąd idą, ponieważ ja także towarzyszyłem Maisie na podobnych wyprawach - ich celem jest cmentarz psów, położony nieco dalej, w pobliżu północnej krawędzi lasu. Kiedy dotrą na miejsce, skoszą chwasty i oczyszczą z mchów i porostów małe pomniki nagrobne wielu pokoleń psów Mortlandów, a następnie udekorują je kwiatami i wyleją na ziemię odrobinę mleka. Potem Maisie przystąpi do recytacji Listy Psów, na której znajduje się co najmniej dwanaście generacji nieżyjących ulubieńców rodziny - całość trwa naprawdę dość długo. Nie jest to aż tak przerażające jak opis stosunku Kassandry do Apollina oraz związków tego ostatniego z każdym greckim bóstwem, o jakim słyszeliście, niemniej wrażenie jest duże, słowo daję. Kiedy ostatni raz uczestniczyłem w tej ceremonii, czas trwania oceniłem na trochę ponad godzinę.

Na mój widok Maisie przystaje. Zaczyna mówić, i to szybko, co często, choć nie zawsze, zwiastuje kłopoty. Przemowa skierowana jest do powietrza nad moim lewym ramieniem - Maisie rzadko patrzy ludziom w oczy.

- Dan! - woła. - Liczyłam, że cię spotkamy! Dziadzius i ja wspaniale spędziliśmy dzień! Cały ranek czytaliśmy o falach elektrycznych i skorupiakach. Później Dziadzius zrobił mi kanapkę na lunch - Dziadzius robi wspaniałe kanapki, zjadłam prawie całą! I zaczęliśmy pracę przy mojej pergoli, pamiętasz, jak ci o niej opowiadałam? Wykopaliśmy kilkanaście dołków pod tyczki. Nie jest to łatwe, ponieważ ziemia wyschła i jest strasznie twarda, ale zrobiliśmy postępy. Później Dziadzius uznał, że zasłużyliśmy na trochę odpoczynku, więc poszliśmy do refektarza, żeby zobaczyć się z Lucasem. Zaparzył nam bardzo dobrą, orzeźwiająca herbatę. Teraz wybieramy się na cmentarz psów, bo pomniki są okropnie zaniedbane. Tatus nie jest z tego zadowolony. Mówi, że nie powinniśmy zapominać o tych, którzy odeszli, ale szanować ich i okazywać, że zawsze są nam bliscy... - Maisie szybko łapie oddech. - Jeżeli tego nie robimy, zaczynają się niepokoić.

271

Tatus mówi, że czują się samotni i głodni, tam głęboko w ziemi...



Przerwa. Wszyscy milczymy. Ogarnia mnie litość, głęboka i dojmująca, bolesna jak cios w splot słoneczny. Nigdy dotąd nie wspominała w taki sposób o ojcu. Oznacza to, że teraz on także dołączył do niewidzialnych, z którymi Maisie ciągle rozmawia. Napotykam spojrzenie jej dziadka, pełne cierpienia i niepokoju. Starszy pan darzył swego syna bałwochwalczą miłością i przeniósł to uczucie na Maisie. Lucas wzdycha. Nie przywitałem się z nim, nawet na niego nie spojrzałem. Gdybym na niego popatrzył, być może wymierzyłbym mu cios w szczękę, zabił go albo załamał się i rozplakał.

- Maisie, przestań... - mówi Lucas, o wiele łagodniej, niżbym się tego po nim spodziewał. - Widzisz przecież, że robisz przykrość dziadkowi... - Przysiada na piętach i wtedy ich twarze znajdują się na tym samym poziomie; na buzi Maisie maluje się wyraz niezłomnego uporu. - Pamiętasz, o czym wcześniej rozmawialiśmy? Nie ma nieba, nie ma piekła, aniołów ani duchów. Zmarli nie porozumiewają się z nami, doskonale o tym wiesz, prawda?

- Pamiętam tę rozmowę - odpowiada Maisie z pogardą. -Ale przecież ty w nic nie wierzysz, więc co z tego? Mylisz się, zmarli są wszędzie. Gdybyś nie był na wpół ślepy, gdybyś nauczył się korzystać z oczu, też byś ich widział. Właśnie tego brakuje w tym twoim portrecie - zapomniałeś o zmarłych. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy, co? Przyjrzyj mu się uważnie. A zmarli naprawdę ze mną rozmawiają, bo wiedzą, że potrafię zrozumieć i właściwie zinterpretować to, co mają do powiedzenia, potrafię, właśnie że potrafię! Mam rację, Dan, prawda?

Jej twarz jest zaczerwieniona ze złości, całe ciało drży z oburzenia.

- Oczywiście, Maisie - odpowiadam uspokajająco. Kiedy Maisie wybucha, lepiej się jej nie sprzeciwiać. Spoglądam przez ramię na las i myślę, że może rzeczywiście Maisie

272

umie porozumiewać się ze zmarłymi. Nie czuję się normalnie, nie wiem już nawet, co znaczy słowo "normalnie", dlaczego więc miałbym zakładać, że ta mała dziewczynka jest niezrównoważona, nienormalna czy szalona? Czy duchów naprawdę nie ma? Co to właściwie znaczy, że w jakimś miejscu straszy, że jakiś dom jest nawiedzony? Widzę teraz ducha -rozpływającą się w powietrzu Finn, która stoi obok Lucasa i obejmuje go. Nie znałem mojej matki, a przecież jest ona stale obecna w moim życiu.

Moja odpowiedź wywiera pożądany efekt. Maisie się uspokaja.

- Chodź, skarbie - mówi dziadek.

W tej chwili podziwiam go bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ jest stary i ledwo żywy ze zmęczenia. Maisie potrafi zachowywać się jak tyran, a jednak nigdy nie widziałem, by Dziadzius stracił do niej cierpliwość, i teraz też tego nie robi.

- Chodź, kochanie, daj rękę staremu Dziadziusiowi -ciągnie. - Mamy zadanie do wykonania, pamiętasz?

I Maisie odchodzi z nim, najwyraźniej pogodzona z losem. Lucas, ku mojemu zdziwieniu, nie korzysta ze sposobności, aby dać nogę, ale idzie z nimi. Może próbuje w ten sposób uniknąć rozmowy ze mną.

- Kiedy Dziadzius przyjechał tu w 1919 roku, miał spanielkę - zaczyna Maisie, a jej głos powoli cichnie w oddali. -Nadał jej imię "Isabelle", na cześć naszej dalekiej krewnej, która założyła Opactwo... Wołał na nią "Issy". Issy urodziła mnóstwo szczeniąt i żyła trzynaście lat...

Zawracam do domu. Nigdy więcej nie będzie mi dane usłyszeć głosu Maisie. Zdanie, które wypowiedziała jako ostatnie, nie miało oczywiście żadnego głębszego znaczenia, lecz teraz echo przeszłości powtarza je w mojej głowie. Gdy przechodzę przez dziedziniec, zauważam serię malutkich dziurek w trawniku, głębokich na dwa, najwyżej trzy centymetry; w jednej z nich podskakuje szpak. Chwilę przyglądam im się ze zmarszczonymi brwiami, lecz szybko dochodzę do

273

wniosku, że muszą to być dołki pod podpórki do roślin, które mają piąć się po przyszej pergoli Maisie. Rozsiane są po całym trawniku, bez ładu i składu.

Podnoszę wzrok i patrzę w okna biblioteki. Środkowe jest zamknięte, pozostałe otwarte. Wchodzę do holu i idę ku schodom po ułożonych w szachownicę kamiennych płytach. Jest piąta piętnaście - słyszę, jak bije duży szafkowy zegar, stojący w kącie.

Rozdział Osiemnasty.

CO ZA ARCYDZIEŁO...

Pięć minut później jestem na strychu i zgodnie z obietnicą maluję ściany. Białe, wszystko musi być białe. Tabula rasa. Wymazujemy przeszłość, zaczynamy od nowa.

Otworzyłem wszystkie okna, lecz tutaj, tuż pod dachem, panuje nieznośny upał, a powietrze wydaje się kompletnie nieruchome. Zdjąłem koszulę, ale wciąż ociekam potem, lśnię od potu. Pomalowałem połowę kominowej ściany, lecz wałek nie działa zbyt sprawnie i tylko przyska białą farbą po podłodze. Rzucam go w kąt, chwytam pędzel, maluję dwa pasy (trzeba będzie położyć co najmniej dwie warstwy farby, żeby ukryć lata zaniedbania i brudu) i przerywam pracę. Widzę, że jest to beznadziejne zadanie dla beznadziejnej osoby w beznadziejnym świecie...

Straciłem Finn. Finn mnie okłamała. Kłamała, kiedy mówiła: "Daj mi trochę czasu, Dan" i "Nic się nie zmieniło". Myślała o Lucasie i o tym, kiedy znowu spotka się z nim w Nun Wood. Lucas jest moim przyjacielem, więc jak mógł zrobić mi coś takiego? Jak Finn mogła to zrobić? Widzę jednak aż nadto wyraźnie, jak i dlaczego do tego doszło. Lucas ma liczne dary, które Finn podziwiała. Widziałem, jak przygląda się jego pracy, jak pochyla się nad nim, gdy rysuje. Lucas ma w sobie całe pokłady niecierpliwej bezwzględności, której ja nie posiadam w ogóle. Gdyby Finn próbowała z nim

275

walczyć, po prostu by odszedł. Nudzisz mnie, Finn, powiedziałaby spokojnie i to natychmiast doprowadziłoby ją do przytomności. Wszyscy boimy się znudzić Lucasa.

Lucas będzie sławny, wespnie się na szczyt. Nigdy nie mówi nic takiego (nie musi), ale ani przez chwilę nie wątpi w swój wielki sukces. Lucas ma więcej wiary w siebie niż ktokolwiek inny. Jest artystą, co bardzo imponuje rozkochanej w książkach Finn. Gdyby był poetą albo powieściopisarzem, nie miałbym z nim najmniejszych szans, lecz malarz też jest niezły, w każdym razie na pewno bardziej atrakcyjny niż ktoś, kto nie może znaleźć pracy.

Nigdy nie znajdę pracy i nigdy nie ucieknę z tego przeklętego miejsca; jestem tak uwarunkowany i zaprogramowany genetycznie, że na pewno zostanę tu do końca życia. Skończę jako robotnik fizyczny, nikomu bliżej nieznanemu Dan, oracz z dyplomem z Cambridge. Oranie to jest dopiero sztuka, myślę, opierając się o ścianę i myśląc o moim ojcu i jego umiejętnościach. W jedną stronę za pługiem, potem w drugą - idealnie równe linie, idealnie półokrągłe zakręty. Król traktorów firmy Massey Ferguson i wszystkich znanych pługów, jeden z niewielu ludzi, który jako chłopiec pracował z końmi i dziś także umie radzić sobie z tymi zwierzętami. Tak, hodowane w Suffolk konie to wspaniałe zwierzęta, ogromne, inteligentne, łagodne i bardzo silne. Tak, trudno jest prowadzić traktor i pług z taką precyzją jak Joe. Tak, jest to prawdziwa sztuka, ale nie dla mnie...

- To nie dla takich jak my - powiedział Joe, kiedy dostałem się do szkoły średniej.
- Ja w twoim wieku przynosiłem do domu tygodniówkę - pokręcił głową, gdy wyjaśniłem, że nie rzucam szkoły i chcę zdawać egzaminy uprawniające do podjęcia studiów.

Kiedy powiedziałem mu o Cambridge, był dumny, ale jednocześnie oszołomiony i przestraszony.

- Skąd tyle sprytu u tego chłopca, Bello? - zapytał, jak zwykle nawet nie licząc na odpowiedź. - Ciągłe siedzi z nosem

276

w książkach... Ja nigdy nie miałem skłonności do książek, a ty będziesz miał tytuł naukowy, Danny, tylko pomyśl... Magister... I nikt nie będzie mógł patrzeć na ciebie z góry, synu, chociaż na pewno będą próbować, więc uważaj, pilnuj swego narożnika...

Joe pokłada wielką wiarę w moim dyplomie. Ja nie. Papierek z pieczęcią Uniwersytetu Cambridge nie ma żadnego znaczenia dla trzydziestu pięciu agencji reklamowych. A skąd wziął się ten mój spryt? Nie wiem. Żałuję, że przyszedłem na świat ze sporą porcją inteligencji, ponieważ przypomina to chorobę, daje mi tylko uczucie, że jestem inny, obcy, że nie pasuję do długiej linii moich przodków; boję się być taki jak oni, i tu krąg się zamyka - skoro nie jestem do nich podobny, to znaczy, że jestem zdrajcą, że zdradzam swoją rodzinę i klasę społeczną.

Maluję kolejny pas na beznadziejnej ścianie. Po co to właściwie robię, na miłość boską? Dlaczego jestem tutaj, dlaczego konam z gorąca, przecież piętro niżej jest kilkanaście pokoi, które znacznie lepiej nadawałyby się na sypialnie. Tutaj, na strychu, dawno temu sypiały zakonnice, a później, kiedy dom dostał dziadek Julii, Finn i Maisie - służba.

- Jesteś pewna, że chcesz tam urządzić hotelik? - zapytałem Stellę, kiedy wyłożyła mi swój plan.

- Och, tak! - odparła z entuzjazmem. - Kiedy się je odmaluje i trochę odświeży, będą doskonałe. Przeniesiemy tam część porządnych mebli i obrazów, wyłożymy podłogę chodnikami... Pokoje są duże, z okien roztacza się wspaniały widok, a poza tym, tam moi studenci będą mieli odrobinę prywatności, nie będą musieli się niepokoić, że nam przeszkadzają...

Cóż, niby słusznie, tyle że zimą na strychu można po prostu zamarznąć, bo nie ma ogrzewania. Jest jedna łazienka z ogromną zardzewiałą wanną na pazurzastych szponach, ostatni raz używaną koło 1932 roku; kran najprawdopodobniej nie działa,

zresztą nikomu nie przyszło do głowy, żeby

277

sprawdzić, czy nie jest zepsuty. Wiem, dlaczego Stella obmyśliła ten plan, powinienem był wpaść na to wcześniej - w tych pokojach uczniowie Stelli będą daleko od Maisie i przy odrobinie szczęścia może w ogóle nie dowiedzą się o wędrówkach, jakie dziewczynka odbywa nocami.

Maisie lunatkuje, chodzi po całym domu. Raz weszła do mojego pokoju; obudziłem się, ponieważ drapała mnie po dłoni. Wyglądała jak mały duch, jak miniaturowa pani Rochester, drobnutki demon w koszuli nocnej z białego płótna.

- Gdzie jest Dan? - powtarzała w kółko. - Gdzie się podział Dan?

Musiałem zawołać Finn i we dwoje znieśliśmy Maisie do łóżka. Oczy małej były szeroko otwarte i błyszczące. Tak, Maisie jest lunaticzką. O ile mi wiadomo, nigdy nie zapuściła się aż na strych, ale kto może wiedzieć, gdzie chodzi i co odkrywa w czasie tych swoich nocnych wędrówek...

Myślę o napisanym przez Stellę prospekcie, który może właśnie w tej chwili nienormalnie życzliwa Violet rozdaje w jakiejś eleganckiej dzielnicy Londynu. Próbowałem pomóc Stelli, ale kiedy przeczytałem te wszystkie bzdury o rodzinie oraz panującej w Opactwie serdecznej, pogodnej atmosferze, straciłem odwagę. Nie miałem siły protestować i wiedziałem, że w żaden sposób nie uda mi się nakłonić Stelli do wprowadzenia zmian w tekście. Stella właśnie tak widziała Opactwo, natomiast ja widziałem tę zimną, paskudną jadalnię i siedzącą przy stole Maisie, przez godzinę przeżuwigającą jeden listek sałaty; Maisie, rześkim tonem recytującą jedną ze swoich list, zadającą dziwaczne, niepokojące pytania i snującą niesamowite opowieści... Czy Szkoła Gotowania Stelli ma jakiegokolwiek szanse? Boże, co za piekło...

Musi mieć szanse, po prostu musi. Pieniądze się kończą, a Maisie będzie zawsze wymagała opieki, więc nie ma wyjścia. Chcę, żeby Stelli się udało, bo jeśli w życiu istnieje chociaż odrobina sprawiedliwości, powinno jej się udać. Chcę

278

tego, ponieważ kocham tę rodzinę. O, losie, daj im przynajmniej na chwilę odetchnąć, do ciężkiej cholery, myślę, chlapiąc farbą dwa razy szybciej.

Jestem przy oknie, kiedy słyszę kroki. Nie, nie kroki, ale leciutkie uderzenia sandałów o piętę. "Uciekają ode mnie ci, którzy kiedyś szukali mojego towarzystwa; uciekają boso, w pośpiechu...". Od razu odgaduję, kto się zbliża.

To Julia. Odwracam się plecami do drzwi. Przez okno widzę, jak Maisie, jej dziadek i Lucas wracają do domu. Psi rytuał - krótszy niż zwykle - musiał dobiec końca. Najwyraźniej Maisie zdecydowała, że duchy wiernych zwierząt zostały ułagodzone, przynajmniej na razie.

Zerkam na zegarek. Kiedy Julia wchodzi do pokoju, jest za kwadrans szósta. Mniej więcej.

Chyba mówi: "Cześć, Dan" albo "Zastanawiałam się, czy cię tutaj zastanę", czy coś w tym rodzaju. I raczej nie czuje potrzeby wyjaśniania swojej obecności. Taka już ona jest, ta Julia - zawsze wychodzi z założenia, że wszyscy są spragnieni jej towarzystwa.

Maluję dalej. Julia zaczyna spacerować po pokoju. Czuję zapach jej perfum - chłodny i błękitny. Przychodzi mi do głowy, że pewnie cuchnę potem, więcej, jestem tego pewny. Trudno. Nie zapraszałem tu jej i w przeciwieństwie do niej cały dzień pracowałem. Julia chodzi dookoła, ogląda te fragmenty ścian, które już pomalowałem, odrywa małe kawałki tapety z jeszcze niepomalowanych.

- Przestań! - mówię, nie kryjąc irytacji. - Ściany będą wyglądały jeszcze gorzej!
- Przepraszam - odpowiada z roztargnieniem. - Nie wyobrażam sobie, by mogły wyglądać jeszcze gorzej... Boże, jak tu ponuro!
- Właśnie dlatego maluję na biało. Położę dwie warstwy i od razu będzie lepiej.

279

- Skoro tak uważasz... - Julia ściąga brwi. - Próbowałam namówić Stellę, żeby dała sobie z tym spokój, ale nie chciała słuchać. Ma obsesję na punkcie strychu, wciąż powtarza, że wyczuwa tutaj pozytywne vibracje. Chyba dlatego, że kiedyś mieszkały tu zakonnice... To tutaj się zabarykadowała, gdy przyjechaliśmy do Opactwa, wiesz? Wydaje mi się, że właśnie w tym pokoju, chociaż z drugiej strony trudno powiedzieć, bo one wszystkie wyglądają tak samo. Zamknęła drzwi na klucz i nie wychodziła przez cały tydzień. Zostawialiśmy jej drobne podarunki na progu...

- Jakie podarunki?
- Różne. Chcieliśmy

zachęcić ją do wyjścia, więc przynosiłyśmy jej ulubione rzeczy - kwiaty, książki i jedzenie... - Julia robi zabawną minę. - Finn przynosiła powieści, Maisie kwiatki, a ja jedzenie, oczywiście... Rozkładałam koronkową serwetkę na tacy i stawiałam na niej talerzyk z maluteńkimi kanapkami, bez skórki. Stella uwielbiała wtedy kanapki,

żywiła się nimi na okrągło. Och, i nalewałam do kieliszka odrobinę whisky, amerykańskiej whisky... Chyba był to Jack Daniels...

- Przecież Stella w ogóle nie pije whisky!

- Wiem, ale mój ojciec pił, więc myślałam, że może to poprawi jej samopoczucie. Tak czy inaczej, coś musiało podziałać, bo w końcu wyszła.

- Dlaczego to zrobiła? Dlaczego się zamknęła? - Odwracam się, żeby spojrzeć na Julię. Myślę o pułkowniku Edwardesie i bzyczącej musze. - Z rozpaczy?

- Może. Ze Stellą nigdy do końca nie wiadomo... Możliwe też, że zrobiła to ze strachu. Na pewno już wtedy miała jakąś wizję przyszłości, przeczuwała, jak to wszystko może się ułożyć... Niewykluczone, że przeczytała o czymś takim w jednej ze swoich ulubionych powieści, może któryś z jej ukochanych bohaterów literackich kiedyś zachował się w taki sposób, trudno zgadnąć... Skąd zresztą można wiedzieć, dlaczego ktoś inny zachowuje się tak, a nie inaczej? Nienawidzę wyjaśniać,

280

a ty? Zwykle są potwornie płytkie i nudne...

Julia podchodzi do szafy, wbudowanej w ścianę pod ściętym sufitem, otwiera drzwi i znowu je zamyka. Zerkam na nią spod oka i widzę, że zadbała o swój wygląd. Julia wygląda pięknie we wszystkim i niezależnie od okoliczności, ale kiedy dołoży starań, tak jak teraz, efekt jest oszałamiający, trudno wręcz uwierzyć, że ma się przed sobą żywą, oddychającą istotę. Czasami myślę, że wielka uroda jest czymś w rodzaju upośledzenia, bo ona także przesłania wewnętrzne "ja". Gęste, splątane włosy Julii są świeżo umyte i pachnące, opadają na jej gładkie, złociste ramiona grubymi, jasnymi lokami. Julia ma na sobie długą, luźną, jasnoblękitną sukienkę z cieniutkimi ramiączkami, jedną z tych kreacji, które tak chętnie noszą "dzieci kwiaty". Kolor materiału podkreśla granatowe zabarwienie jej tęczówek. Wszystkie trzy siostry mają oczy tego koloru. Sukienka jest prawie przezroczysta, linie ciała Julii rysują się pod nią zupełnie wyraźnie. Odwracam wzrok.

Po co jej tyle bransoletek, myślę. Ma ich co najmniej pięć na każdej smukłej, wyłożonej słońcem ręce. Są to srebrne bransoletki z turkusami, wykonane przez Indian z plemienia Nawaho, ozdobione dziwnymi, niemożliwymi do odczytania runicznymi znakami. Julia dostała je w prezencie od tego niezwykle użytecznego znajomego przyjaciela z Berkeley, znajomego, na którego listy już od pewnego czasu nie odpowiada. Indiańskie bransolety przesuwają się po jej przegubie przy każdym ruchu i cicho podzwaniają o siebie. Nawet kiedy nie patrzę na Julię, wiem, gdzie jest, ponieważ towarzyszy jej ten delikatny odgłos.

- Powiedz mi, co dzisiaj robiłeś - odzywa się. Jest bliżej, niż przypuszczałem.
- Przestań skradać się za moimi plecami! - mamrocze. -Próbuję pomalować tę ścianę, do cholery!
- Widzę, przepraszam...

281

Przesuwa dłonią po moich nagich plecach. Odsuwam się.

- Dobrze ci idzie - mówi. - Jeszcze tylko dwie ściany, jeszcze jedna warstwa farby i jeszcze trzy pokoje... Zanim się obejrzysz, będzie po wszystkim. Chcesz, żebym ci pomogła?
- W tej sukience? Chyba raczej nie, prawda?
- W każdej chwili mogę ją zdjąć... - Znowu dotyka moich pleców, chłodnym palcem muska mięśnie barków. - Ależ jesteś opalony...
- Daj spokój, Julio, nie jestem w nastroju. Jest mi gorąco, ledwo żyję ze zmęczenia, śmierdząc potem...
- Podoba mi się twój zapach, jest świeży i męski. Cały błyszczysz od potu, zupełnie jak gladiator...

Teraz nie mam już cienia wątpliwości, że postanowiła sobie ze mnie zakpić.

- Daj sobie na wstrzymanie, dobra? - mówię. - Potwornie boli mnie głowa, a na dodatek miałem gówniany dzień. Umyłem z piętnaście milionów okien i jestem o dwa funty bogatszy. Zgodnie z twoimi kalkulacjami, powinno to wystarczyć mi na jakieś pięć sekund życia w Londynie. Idź sobie, co ty na to?
- Ach, tak, Londyn... Między innymi dlatego tu przyszłam... Strasznie mi przykro, przepraszam, naprawdę żałuję tego, co powiedziałam rano. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tak się zachowałam, chociaż...
- Chociaż? - odwracam się, żeby na nią spojrzeć.

Nie umiem odczytać wyrazu jej twarzy. W ogóle rzadko mi się to udaje.

- Och, no, wiesz... - Julia wzrusza ramionami. - Byłam zła na Lucasa i w jakiś sposób ta złość przelała się i na ciebie... Poza tym... - na moment zawiesza głos. - Powiedziałeś, że jestem leniwa i to też mnie wkurzyło, bo to nieprawda... Mamy różne podejście do rzeczywistości, i tyle. Ja przez ponad rok opracowywałam swój plan ucieczki. Teraz wszystko jest już gotowe i nie mogę nic więcej zrobić, dopóki



nie wyjadę

282

do Londynu. Po prostu odpoczywam, łapię oddech przed ostatecznym krokiem...  
Chyba mogę zrobić sobie wakacje, nie sądzisz?

- Jasne...

- I jeszcze coś... Widzę, że mnie nie lubisz, więc czasami przychodzi mi do głowy, żeby sprawdzić, jaką reakcję uda mi się u ciebie wywołać... No, nieważne... -

Wyciąga do mnie rękę, bransoletki z cichym brzękiem zjeżdżają aż do łokcia. -  
Przyjąłeś moje przeprosiny? Będziemy przyjaciółmi?

- No, nie posuwajmy się za daleko... - odpowiadam, ale jednak potrząsam jej dłonią.

Ma chłodny, silny uścisk. Śmieje się. Nie ufam jej, lecz nienawiść, ta intensywna nienawiść nagle znika.

- Ja też powinienem cię przeprosić... - zaczynam z wahaniem.

Są sprawy, o które, co dziwne, łatwiej jest zapytać Julię niż Finn. Finn ma ogromny dystans do ludzi, nawet bliskich, i jest bardzo skryta. Źle przyjmuje pytania, nigdy nie chce powiedzieć, czy mnie kocha, zwłaszcza teraz, natomiast Julii można zadać każde pytanie i mieć pewność, że odpowiedź będzie prawdziwa, a w każdym razie bezpośrednia.

- Powiedziano mi dzisiaj coś o twoim ojcu - mówię. -Coś, o czym nie wiedziałem...  
Finn nigdy mi o tym nie mówiła, nie jestem nawet przekonany, czy wie...

Julia nieruchomieje, jej oczy stają się martwe, całkowicie pozbawione wyrazu.

- O tym, jak umarł? - odzywa się po chwili. - Pewnie tak... Lepiej powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

Więc opowiadam jej o oknach, pułkowniku Edwardesie i jego przesiąkniętym wilgocią domu, cuchnącym samotnością i czymś jeszcze gorszym. Mówię jej, że nie mogłem się przemóc, by wziąć od niego pieniądze, opisuję, jak stałem na zewnątrz, a potem wróciłem do Opactwa tą długą, zakurzoną drogą.

Oczy Julii nawet na sekundę nie opuszczają mojej twarzy.

283

Teraz, gdy patrzę w przeszłość, wydaje mi się, że właśnie wtedy podjęła decyzję. Sądzę, że przysłała na strych z pewnym planem, a w czasie mojego opowiadania

postanowiła wprowadzić go w czyn. Instykt podpowiada mi, że tak właśnie było, nie rozumiem jednak, dlaczego i - ponieważ nie mam zaufania do własnej pamięci - nie jestem o tym do końca przekonany.

- Ciekawe, skąd Edwardes ma te informacje - chłodno mówi Julia, kiedy ostatecznie milknę. - Zdenerwowało cię to, widzę... Niepotrzebnie. Edwardes to obrzydliwy, pełen złości facet. Takich ludzi trzeba miażdżyć piętą i iść dalej, w każdym razie ja tak robię...

Przerywa. Na krótką chwilę jej oczy wypełnia cień, potem Julia szybko odzyskuje panowanie nad sobą. Zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek je traci...

- Tak czy inaczej, przedstawił ci niezbyt dokładną wersję wydarzeń - ciągnie. - Ale i nie do końca nieprawdziwą... To nie była brzytwa - ojciec nigdy nie naraziłby Stelli na coś takiego, nawet w ataku najgłębszej depresji. Było inaczej. Pojechał samochodem w góry, w jakieś zaciszne miejsce i podłączył gumową rurkę do rury wydechowej. Znaleźli go gliniarze, a zidentyfikował Dziadzius...

- Finn wie o tym?

- Tak, ale nie pamięta tamtego dnia tak dokładnie jak ja. W ogóle słabo pamięta, co działo się w Nowym Meksyku, tylko oderwane zdarzenia i sytuacje - narodziny Maisie, rozpacz Stelli. Pamięta, jak odwiedzałyśmy Tatę w tej ostatniej klinice, poza tym niewiele. Miała ledwie dziewięć lat, ja jestem dwa lata starsza, a to mimo wszystko duża różnica... - przerywa, jej ciemnoniebieskie oczy spoczywają na mojej twarzy, oceniają moje reakcje. - Na twoim miejscu nie poruszałabym tego tematu w rozmowie z Finn - podejmuje. - Szczerze mówiąc, w tej chwili nie próbowałabym nakłaniać Finn do podejmowania jakichkolwiek decyzji... Wszystko jedno, co myślisz czy czujesz, Dan, na razie zaczekaj...

284

- Nie potrzebuję twoich rad co do postępowania z Finn - odpowiadam sztywno, chociaż dobrze wiem, że Julia ma rację.

Nakłanianie Finn do czegokolwiek po prostu nie ma sensu - trzeba cierpliwie czekać (i czekać), aż sama zrobi pierwszy krok.

- Jak sobie chcesz... - Julia leciutko wzrusza ramionami, nie sprawia jednak wrażenia urażonej. - I nie mów nic Maisie, pamiętaj... Ona wierzy w tę historię o gruźlicy. Nie wie i nie może się dowiedzieć, jak naprawdę było.

- Nie musisz mi o tym mówić! - obruszam się. - Nigdy nie powiedziałbym niczego, co by ją mogło zranić. Lubię Maisie, przecież wiesz o tym!

- Wiem. - Kiwa głową i, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, wspina się na palce i całuje mnie w policzek. Błękitny zapach otacza mnie ze wszystkich stron, jakbym nagle zanurzył się w wodzie. - Co za muskuły... - mówi, opierając chłodną dłoń na moim ramieniu. Uśmiecha się lekko i cofa rękę. -Ależ jesteś silny... - marszczy brwi.

- Wyglądasz wspaniale, Dan, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Jasne, jasne...

- Nie, naprawdę! Zostaw to wszystko, odłóż pędzel, dobrze? Chcę ci coś pokazać, przyszedłam tu głównie z tego powodu i prawie wyleciało mi z głowy... To tajemnica. Chodź ze mną...

Patrzę na nią niepewnie. Przyglądam się, jak srebrne bransoletki przesuwają się po ramieniu, gdy podnosi rękę.

Julia robi parę kroków do tyłu i odwraca się; sandały uderzają o pięty.

- Chodź! - powtarza. - To coś niesamowitego, naprawdę. Musisz to zobaczyć.

I ponagla mnie ruchem dłoni.

Odkładam pędzel. Wycieram o dzinsy poplamione farbą dłonie. Wkładam koszulę i wychodzę za Julią na korytarz, po drodze zapinając guziki. Mijamy drzwi prowadzące do malutkiego

285

pomieszczenia z judaszem i schodzimy na dół. Kiedy wchodzimy do biblioteki, gdzie dwa wysokie okna nadal są otwarte, a kamienne anioły patrzą na nas z macierzyńską troską, jeden z wielu zegarów zaczyna bić. Jest szósta. Niedługo Finn będzie w domu.

Julia idzie przodem, ja za nią, wolniej. Mijam stolik z kobrą i lwią skórę. Spoglądam przez okno - Maisie i Dziadziuś są na dziedzińcu; on siedzi na leżaku, ona szpadlem wygrzebuje kolejną dziurę w ziemi, oczywiście w całkowicie przypadkowym miejscu. Widzę, jak Maisie przysiada na piętach, podnosi wzrok i ze skupieniem patrzy w przestrzeń. Jej wargi się poruszają. Mówi coś do niewidzialnego, uśmiecha się i wraca do poprzedniego zajęcia.

Światło łagodnieje, nad oknem przelatuje jaskółka. Odwracam się i widzę, że Julia obmacuje boazerię w kącie obok kominka. Szuka ruchomego panelu, który, przesuwając się, odsłania schody prowadzące w dół, do króciutkiego przejścia zakończonego starym murem.

- Cholera jasna, jak to się otwiera? - złości się. - Chyba się zacięło...
- Nie, odsuń się, ja to zrobię... Po co chcesz to otworzyć? Co chciałaś mi pokazać? Przecież wiesz, że tam nie ma nic, tylko schody donikąd...

Przyciskam ukrytą dźwignię i panel przesuwa się z cichym skrzypieniem. Z mrocznej głębi wydobywa się fala nieświeżego, wilgotnego powietrza.

- Chodź, musisz to zobaczyć...
- Co? Nie rozumiem... Nie rób sobie głupich żartów, Julio...

Julia z uśmiechem patrzy na mnie przez ramię i przechodzi na drugą stronę, staje na podeście starych schodów. Waham się chwilę i wchodzę tam za nią, a wtedy Julia dotyka czegoś na ścianie. Panel wraca na pierwotne miejsce i znajdujemy się w kompletnej ciemności, ściśnięci na przestrzeni wielkości grobu. Zapada cisza. Nagle ogarnia mnie fala wstydlwego

286

lęku - kiedy byłem mały, Babcia często straszyla, że mnie tutaj zamknie. Wlokła mnie, popłakującego i błagającego o litość, do tego panelu i strasznym szeptem opowiadała o zakonnicach, grzesznych siostrzyczkach, które zamurowano u stóp tych schodów i pozostawiono na pewną śmierć. W jaki sposób umarły? Jak długo to trwało? Czy udusiły się powoli, z braku tlenu, czy przez wiele dni krzyczały rozpaczliwie, konając z głodu i pragnienia? Posłuchaj - słyszysz to skrobanie? To one drą paznokciami kamienie... Chcą cię dopaść, Danny... Ich palce ociekają krwią, zdarły sobie paznokcie do żywego mięsa... Pomyśl o tym... Zostały z nich już tylko kości, ale nadal usiłują się wydostać, chociaż minęło ponad pięćset lat...

Biorę głęboki oddech, napełniam płuca stęchłym powietrzem. Czuję błękitny zapach Julii. Trochę kręci mi się w głowie.

Nadal nie rozumiem, po co mnie tutaj przyprowadziła. Wpatrzony w gęstą ciemność, oszołomiony i niepewny, spodziewam się, że Julia zaraz wyciągnie skądś latarkę. Czekam na coś mało prawdopodobnego - Julia pokaże mi obłuzowany kamień i ukryty pod nim skarb, na przykład kielich mszalny, bezcenny krucyfiks, relikwie lub wyrytą starożytną inskrypcję, którą przypadkiem znalazła. Julia porusza się lekko. Słyszę, jak bransoletki dzwonią, gdy podnosi rękę; moje ciało reaguje sekundę wcześniej niż mózg - i wreszcie rozumiem.

- Nie ruszaj się - odzywa się Julia niskim, drżącym głosem. - Nie ruszaj się zbyt gwałtownie, Dan, nie chcę stracić równowagi... Mogłabym spaść z tych schodów i skrócić sobie kark, a przecież nie o to mi chodzi...

- Mam nadzieję, że wiesz, jak przesunąć panel z tej strony - mówię i nie poznaję własnego głosu. - Liczę na to, bo ja nie umiem tego zrobić...

- Wiem. Ćwiczyłam całe popołudnie...

- Naprawdę? - mrużę.

287

Wydaje mi się, że o wszystkim zdecydowało to jej "ćwiczyłam", tak bezwstydne, wypowiedziane z takim chłodnym rozbawieniem, pełne sugestii i możliwości, które mój ogłupiały umysł badał pięć sekund, może sześć. I nagle czas staje w miejscu, a ja zaczynam pragnąć Julii, pożądać jej całym sobą, chociaż jeszcze przed pięcioma sekundami wcale mi na niej nie zależało.

Powoli, z rozmysłem przenoszę ciężar ciała do przodu i przypieram ją do muru, unieruchamiam. Jest piętnaście centymetrów niższa ode mnie, smukła i dużo słabsza - mogę zrobić z nią wszystko, bez specjalnego wysiłku. Mój penis sztywnieje, ciałem Julii wstrząsa dreszcz. Dotykam jej szyi, odchylam głowę do tyłu, pocieram kciukiem wargi. Z gardła Julii wydobywa się cichy jęk.

- Miałaś mi coś pokazać - mówię, wciąż tym obcym głosem. - Muszę ci powiedzieć, że w tych ciemnościach i tak nic nie widzę, ani schodów, ani ściany, ani ciebie. Mogłabyś być kimkolwiek...

- Nie kimkolwiek... - czuję, jak kąciki jej warg unoszą się w uśmiechu. - Nie jestem mężczyzną, jestem kobietą... I wiem, że to zauważyłeś... Daj rękę. Istnieją różne sposoby widzenia, a ten jest najlepszy... Jestem ślepa i ty także, Dan. Dotknij mnie...

Wsuwa sobie moją dłoń między nogi. Pod sukienką jest kompletnie naga i wilgotna, cudownie mokra. Przez parę sekund powtarzam sobie, że to nie dzieje się naprawdę, lecz ona już rozpina guziki mojej koszuli i dzinsy, i już pragnę poczuć, jak jej chłodna dłoń obejmuje mojego fiuta, pragnę tego tak mocno, tak gorąco, że nie myślę, nie słyszę i nie widzę. Podwijam jej sukienkę i ujmuję pierś, potem schylam się i biorę ją w usta.

- To o tym myślałam tam na górze... - mówi Julia.

- Naprawdę? Naprawdę? - pytam, całując jej wargi.

Gdy moje palce wślizgują się do jej pochwy, głośno wciąga powietrze i zaczyna ocierać się o moją rękę.

288

- Dzisiaj, wczoraj, przez całe lato - odpowiada. - I ty też o tym myślałeś, nie zaprzeczaj...

Z jej piersi wyrywa się ciche westchnienie, przenika ją dreszcz. Wkłada rękę w rozporek moich dżinsów, czując jej chłodne palce wokół penisa.

- Nie, Julio - mówi mężczyzna, którym stałem się w ostatnich minutach, podczas gdy jej dotyk rozpala ogień w moim ciele i umyśle. - Nie myślałem o tobie nawet przez chwilę...

- Ale teraz już będziesz o mnie myślał - mruczy Julia.

Jej miękkie, mokre wargi otwierają się pod moimi i nagle przestają czuć jej bliskość. Myślę, że może upadła, lecz zaraz odkrywam, że tylko uklękła i pieści ustami mojego penisa, i... Nikt nie robił mi tego wcześniej. Czytałem o tym, słyszałem o tym, wyobrażałem to sobie, lecz angielska wieś wciąż pogrążona jest w mrokach średniowiecza i, o ile mi wiadomo, tego rodzaju rzeczy robią tylko dziwki. Jest to tak zakazane, tak intymne, że można doświadczyć tego tylko za pieniądze, nie inaczej. Słyszę swój własny jęk i po prostu nie mogę uwierzyć w niewyobrażalną rozkosz, jakiej doświadczam. Zaczynam dochodzić, szukam w ciemności jej piersi, mocno pocieram sutki, jej wargi i język obdarzają mnie tą zakazaną przyjemnością, lecz w chwili, gdy jestem już na krawędzi (dobrze to oceniła, kiedy się tego nauczyła, Boże, kto ją tego nauczył...) Julia cofa się i podnosi z kolan. Ociera się o mnie ciałem, a jej usta, pachnące mną usta całują moje wargi.

- Pieprz mnie, Dan - mówi. - Biorę pigułki, więc nie ma żadnego zagrożenia. Witaj w raju... Jeżeli musisz, udawaj, że jestem Finn, nic mnie to nie obchodzi...

Więc pieprzę ją. Pieprzę opartą o ścianę, w ciemności, ja, z dżinsami opuszczonymi do kolan, wyszarpanymi z koszuli guzikami, pieprzę Julię w sukience podwiniętej do pasa, w srebrnych bransoletkach, które wrzynają mi się w pośladki, kiedy wprowadza mnie w głąb swego ciała, Julię, która drży

289

i krzyczy. Pieprzę ją w pozycji, o której także dotąd tylko słyszałem, ponieważ zawsze robiłem to leżąc, w pozycji misjonarskiej, po wielu godzinach perswazji i błagań, po całych tygodniach gry wstępnej, po kilkunastu dniach rozpinania stanika i następnych kilkunastu dotykania majtek, oczywiście tylko od zewnętrznej strony. Po sześciu tygodniach co śmielsze dziewczyny ze wsi godzą się obciągnąć fiuta ręką, a w Cambridge... O Cambridge w ogóle nie ma co mówić, bo tam dziewczyny pokazują podwiązki tylko swoim narzeczonym, bez zaręczynowego pierścionka nie da rady... Znam tylko stosunek fizyczny, tajemny akt, któremu towarzyszy poczucie

winy, strach, obłuda i prezerwatywa. Więc tak to się robi w Kalifornii, myślę. To mają na myśli Amerykanie, kiedy mówią o wolnej miłości... I rzeczywiście, moja Ameryko, naprawdę czuję się wolny. Wolny od frustracji, zagubienia, niepewności, lęku przed konfliktem i konsekwencjami, po raz pierwszy naprawdę wolny. Pieprzmy się pod ścianą ołtarza, myślę. Czy właśnie to Julia robi z Lucasem? Nareszcie, myślę. A potem nie myślę o niczym, o niczym, niczym. Pieprzę ją ostro i szybko, tak jak nigdy dotąd, jak nigdy mi się nawet nie śniło, a Julia także mnie pieprzy, odpowiada pchnięciem na każde moje pchnięcie, chociaż nie wiedziałem, że to możliwe, o tym także nie miałem zielonego pojęcia. Pieprzmy się obydwójce i za ten akt nie obowiązują żadna taksa, żadna opłata. Julia jest tak samo rozpalona jak ja. Oboje potrzebujemy tego, oboje tego pożądamy.

Ani razu nie myślę o Finn. Ani razu. Czuję piersi Julii, jej cipkę, jej usta i to jej imię wykrzykuję, kiedy w końcu dochodzę.

W ciemności zapada cisza, którą zakłócają tylko nasze ciężkie oddechy, stłumione jęki Julii i odgłosy, jakie wydają nasze ciała, mokre i przyciśnięte do siebie. Oboje drżymy, kiedy wychodzę z Julii, po jej udach cieknie moje nasienie. Całuję jej otwarte usta. Po omacku błędzę palcami po twarzy.

290

Jest mokra, nie wiem, czy od potu, czy od łez. W ciemności, nie widząc się, szukamy swoich dłoni i odnajdujemy je.

- O, Boże... - odzywa się Julia, kiedy moje palce obejmują jej rękę.

Jej głos brzmi jakoś inaczej, łamie się i drży.

- O, Boże... - powtarza. - Co się stało? Dan, co myśmy zrobili?

Rozdział Dziewiętnasty.

UPADEK.

Julia naciska ukrytą dźwignię, panel przesuwa się i wchodzimy do biblioteki. Światło oślepia nas, mija parę chwil, zanim moje oczy przyzwyczajają się do blasku. Jeden z wielu zegarów delikatnie wydzwaniania pół godziny - jest szósta trzydzieści. Czy ten zegar dobrze chodził?

Stoimy przy oknie, twarzami do siebie; oczy Julii są odwrócone, moje także. Nie odpowiedziałem na jej ostatnie pytanie, ponieważ nie potrafię tego zrobić. Ja także wiem, że coś się wydarzyło, nie wiem tylko co; nie wiem, czy to uczucie jest rezultatem wielu wydarzeń długiego dnia, czy wzięło się znikąd, z powietrza.

Jeszcze minuta, jeszcze dwie i ogarnie mnie nieunikniony wstyd, zaatakują łatwe do przewidzenia wyrzuty sumienia. Uświadomię sobie, że zaraz wróci Finn i będę musiał spojrzeć jej w twarz, ale zanim to się zdarzy, ja, Daniel, ten, który teraz siedzi przy biurku w swoim londyńskim domu, powinienem z bliska przyjrzeć się Julii i sobie, kiedy tak stoimy przy oknie w bibliotece, i przyjrzeć się okolicznościom, bo muszę mieć pewność, absolutną pewność, że ten akt nie mógł być czynnikiem wiodącym do upadku Maisie. Czy to możliwe, że akt seksualny, który odbyliśmy, mógł mieć wpływ na wydarzenie, które dopiero się zbliża, które nastąpi za niecałe dziewięćdziesiąt minut?

Julia i ja stoimy przy oknie. Dwa okna są otwarte, środkowe zamknięte.

292

Czy jestem tego pewny? Tak. Dzieli nas mniej więcej metr. Przed powrotem do biblioteki uporządkowaliśmy ubrania, więc nawet gdyby ktoś zaskoczył nas tam, zrobilibyśmy na nim raczej niewinne wrażenie, w każdym razie na odległość. Ale nikt nie wszedł wtedy do biblioteki. Patrzę w okno. Od tamtej pory jestem skazany na patrzenie w okno i za każdym razem widzę to samo od ponad dwudziestu lat - Dziadka siedzącego na leżaku, trochę bokiem, pogrążonego w drzemce. Maisie nie ma. Szpadel, którego pół godziny wcześniej używała, leży w trawie, metalowe ostrze lśni w słońcu. Na dziedzińcu panuje cisza, zaczyna się letni wieczór. Upał słabnie, ptaki zaczynają śpiewać, cienie się wydłużają, szpaki i jaskółki przemykają po niebie.

Istnieje jednak pewna możliwość, na którą wcześniej nie zwróciłem uwagi, a której teraz chcę się przyjrzeć. Może ktoś, kogo nie dostrzeżliśmy, obserwował nas dwoje, stojących przy oknie?

Jest to możliwe, wiem. Wtedy nie przyszło mi to do głowy, ponieważ gorączkowo myślałem o czym innym. Jeżeli ktoś patrzył na nas z góry, przez judasza, to nie przeczuwaliśmy obecności tej osoby. Jednak nawet jeśli ktoś tam był, a w grę wchodzi tylko dwoje kandydatów - Maisie albo Lucas, dlaczego miałyby to mieć jakiegokolwiek znaczenie? Nie powiedzieliśmy ani nie zrobiliśmy nic, co by nas zdradziło; wagę tej chwili można było wyczytać tylko z naszych oczu.

- Stella i Finn niedługo wrócą - odzywa się Julia po chwili milczenia.

Odwraca się do mnie i obrzuca mnie długim, taksującym spojrzeniem. Słyszę, jak



dzwonią jej bransoletki. Patrzymy na siebie bez słowa; minuty mijają. W końcu Julia przeciąga się i uśmiecha.

- Boże, ależ upał, chyba wezmę kąpiel przed ich powrotem. - Mówi tonem tak zwyczajnym, tak normalnym, że rzeczywistość pęka na tysiąc kawałków.

Może tylko to sobie wyobraziłem, myślę, może ten panel

293

nigdy się nie otworzył i nie zamknął... Julia wychodzi, sandały cicho kłapią na schodach, potem gdzieś daleko trzaskają drzwi. Wracam do mojego pokoju w przeciwległej części domu i słucham, jak stare mechanizmy Opactwa poruszają się i budzą do życia. Rurami spływa woda, rozlegają się znajome szepty, szумы i westchnienia, wskazujące wyraźnie, że ktoś puszcza wodę do wanny. Nagle przychodzi mi do głowy, że może to te całkowicie normalne odgłosy Maisie bierze za modlitwy zakonnice.

Ja także chcę się wykapać, więc klękam w letniej, rdzawej wodzie, głębokiej na jakieś pięć centymetrów i zmywam z siebie dzień. Lustro mówi mi, że tamto zdarzenie w ciemności wcale nie było iluzją - Julia pozostawiła na mnie swój znak. Mogę zasłonić zadrapania, ale nie uda mi się ukryć czy odmienić wyrazu oczu. Usiłuję uśmiechnąć się do kłamcy w lustrze. Wiem, co będzie - Finn wyczuje moją winę, a kiedy spojrzy mi w oczy, jej podejrzenia znajdą potwierdzenie.

Schodzę na dół. W holu zastaję Julię, przebraną, wypachnioną i bardzo spiętą. Nerwowo spaceruje po szachownicy podłogi, w tę i z powrotem.

- Widziałeś Maisie? - pyta.

Spodziewałem się pytań: kobiety zawsze zadają pytania po stosunku, w każdym razie tak zachowują się kobiety z wioski. Nie spodziewałem się jednak takiego pytania. Patrzę na nią i w zmieszaniu marszczę brwi. Czy czuję strach? Raczej nie.

- Maisie? Nie, czemu pytasz? Wcześniej była na dziedzińcu, więc może poszła do refektarza. Pewnie rozmawia z Lucasem, może znowu ją rysuje...

- Nie, nie ma jej tam. Dziadek zasnął, a kiedy się obudził, Maisie nie było. Woła ją i woła, a ona nie odpowiada. Był już w refektarzu. Lucas jest u siebie, przemalowuje fragment tego cholernego portretu. Nie widział Maisie.

- W takim razie niewątpliwie jest w sadzie, karmi kury,

294

albo coś w tym rodzaju. A może poszła do swojego pokoju, może schowała się tam i czyta lub spisuje te swoje listy...

- Sprawdzalam, nie ma jej. Zagladalam do wszystkich pokojow. Dziadek zaczyna panikowac, bo nie mozemy jej znalezc...

- Musi byc gdzieś w pobliżu, nie mogła ujsc daleko. Czasami znika, ale zawsze wraca. Skąd ta panika?

- Bo jest z nią gorzej, cały dzień mówila o Tacie. Dziadek kazal jej obiecac, ze nie odejdzie, a Maisie nigdy nie lamie obietnic, przeciez wiesz...

- To dlatego, ze nie ma Stelli - uświadamiam sobie i Julii. - Maisie źle znosi zmiany. Nieobecność Stelli musiala wyprowadzic ją z równowagi, to wszystko. Dobrze, dobrze, pójdę i poszukam... Ty rozejrzyj się z tyłu domu, ja zobaczę, czy nie ukryła się gdzieś na dziedzińcu albo w pobliżu...

Milknę. Bardzo staralismy się nie patrzeć na siebie, ale teraz nasze spojrzenia się spotykają.

- Julio... - zaczynam.

Jednak Julia uprzedza i powstrzymuje moją starannie obmyśloną litanie tysięcy usprawiedliwień oraz oskarżeń.

- Chcesz, żeby Finn wiedziala? - pyta. Patrzę na nią kwaśno, buntowniczo.

- A jak ci się wydaje? - odpowiadam pytaniem. - Oczywiście, że nie, do cholery!

- Trudno to nazwać odpowiedzią dżentelmena...

- Przykro mi, ale taka jest prawda. Posłuchaj...

- Nie musisz mi nic tłumaczyć. Potrafię przewidzieć, co powiesz... - obrzuca mnie chłodnym spojrzeniem. - Wszystko w porządku, nie przejmuj się. Jeśli o mnie chodzi, nic się nie zdarzyło. Przysięgam milczeć aż po grób. Ty też?

Waham się. Nie chcę kłamać, a zwłaszcza nie chcę oszukiwać Finn. Wiem, że milczenie też może być kłamstwem, ale czy duże kłamstwo ma jakieś znaczenie, skoro i tak codziennie wypowiadam sto drobnych? Dlaczego nie miałbym skłamać tam, gdzie chodzi o moje czyny, jeżeli często zakłamuję

295

obraz samego siebie? Dotykam skrawka materiału, który spoczywa w mojej kieszeni, i natychmiast ogarnia mnie gniew. Dlaczego nie miałbym okłamać Finn? Przecież

ona także mnie okłamała!

- Umieję trzymać język za zębami - odpowiadam. - Mam w tym sporą praktykę...
- Słyszałam... - wyraz twarzy Julii nie zmienia się ani odrobinę. - W takim razie wszystko uzgodniliśmy, a teraz idź szukać Maisie...

Odwraca się.

- Kurwa mać, to nie jest takie proste! - wybucham. - Nie odchodź, zaczekaj! Posłuchaj, ty to zaczęłaś, to twoja wina! Muszę wiedzieć, dlaczego...

Wyciągam rękę i chwytam ją za ramię, lecz ona strząsa moją dłoń.

- Tylko bez pytań, Dan! A jeżeli chcesz je zadawać, to nie licz, że ci odpowiem! Mówiłam ci, że nie znoszę wyjaśnień, a jeszcze bardziej nienawidzę usprawiedliwień! Idź teraz i zajmij się czymś użytecznym. Maisie jest do ciebie bardzo przywiązana, więc pewnie wyjdzie z ukrycia, kiedy usłyszysz, że ją wołasz. Pośpiesz się, musimy znaleźć ją przed przyjazdem Stelli!

Julia rusza w kierunku tylnego wyjścia. Patrząc, jak idzie po białych i ciemnych płytach podłogi szachownicy, słucham, jak sandały cicho uderzają o bosc pięty. Znika, zatraskuje za sobą drzwi. Surowa, twarda, małomówna Julia. O ile mi wiadomo, nie złamała danego słowa, nigdy nie powiedziała nikomu, co się między nami zdarzyło, zresztą ja także. Tak czy inaczej, późniejsze wydarzenia tego dnia usunęły tamto przeżycie w cień, sprawiły, że stało się niczym ledwo zapamiętany sen. Mimo to, chociaż minęło tyle lat, pytania, których nie zadałem, a na które ona z góry odmówiła odpowiedzi, pozostały.

Zdarzało się, że w samolocie czy w czasie oczekiwania na rozmowę telefoniczną nagle przenosiłem się myślami do

296

Opactwa, wracałem do tamtego ostatniego dnia. Obserwowałem młodszego Daniela, który wyszedł na dziedziniec, aby poszukać Maisie. Jest cichy letni wieczór. Mój świat lada chwila zupełnie się zmieni. Zaczynam wołać Maisie, ale jeszcze nie czuję strachu i wciąż jestem skoncentrowany na swoich problemach, nie na zniknięciu Maisie. Przewijam w myśli film z obrazami pełnymi ciemności i gorąca, chłodnej dłoni, rozbawienia i dwuznaczności. Czuję wysoką temperaturę seksu, który sparzył mój umysł.

I już próbuję wyplątać się z tego moralnego pata, już wymyślam wymówki, sam przed sobą tłumaczę się, dlaczego to zrobiłem. Dzięki temu mogę przerzucić winę na

barki Julii. Co za suka, myślę, dziwka, puszczałska... Chcę pójść za nią, znaleźć ją, pieprzyć raz jeszcze i pokazać, kto tu jest panem. Julia sięgnęła po seks, ale tak naprawdę zależało jej na władzy. Cóż, nie tylko ona opanowała reguły tej gry... Wyobrażam sobie inną Julię, jej drugie, uległe, łagodne wcielenie, Julię, która błaga, abym nie odchodził, i prosi o więcej.

Stoję na dziedzińcu i patrzę na sieć cieni łuków na trawie. Wiem, że zdradziłem Finn. Wiem, że zdradziłem siebie. Jeżeli nie określa mnie miłość do Finn, to co mnie określa? Nie zostało mi nic więcej. Jednak jak mogłem zrobić to, co zrobiłem, jeśli kochałem Finn? Kim jestem, myślę. Gdzie jestem, w jakim punkcie? Kim naprawdę jestem?

Idę przed siebie, rozglądając się za Maisie, szukając niewidzialnej dziewczynki. Idę podjazdem, docieram do starego kortu tenisowego, przedzieram się przez krzaki, obchodzę staw, w którym kiedyś zakonnice hodowały ryby. Szukam wszędzie, zaglądam do wszystkich kryjówek z okresu mojego dzieciństwa. Najpierw z irytacją, potem z rosnącą złością. Wołam i wołam.

Zastanawiam się, co tego dnia miała na sobie Maisie, i w końcu przypominam sobie - niebieską sukienkę, tę z fartuszkami, tę, którą dostała od dziadka kilka lat temu. Była to jej "najlepsza" sukienka i Lucas właśnie w niej uwiecznił

297

najmłodszą siostrę Mortland na portrecie: niebieskie niebo, staroświecka, błękitna sukienka, taka, jaką dziś trudno kupić. Teraz Maisie będzie już wiecznie nosiła swoją ukochaną sukienkę...

Wracam na dziedziniec. Podcienia milczą.

- Gdzie jesteś?!-wołam.

W gałęziach kasztana odzywa się ptak. Nikt mi nie odpowiada.

Minęło kilka minut, minęło ponad dwadzieścia lat, a ja wciąż chodzę pod łukami dziedzińca, nawołując Maisie. Rozgarniam gałęzie rosnących pod ścianami krzaków jaśminu i róży, kiedy pojawia się Julia. Wychodzi z Dziadkiem zza rogu domu - nawet z tak dużej odległości wyczuwam ich strach. Twarz Julii jest biała jak prześcieradło, Dziadziuś z trudem łapie oddech, przystaje i opiera się o ławkę, przyciska dłoń do serca i siada.

- Widziałeś ją? - woła Julia, idąc ku mnie.

- Nie. Obszedłem dom i...

- Byłeś nad stawem? - Julia jest już przy mnie i zniża głos, aby Dziadek nie mógł jej usłyszeć.
- Tak. Nie było jej tam, jestem tego pewny.
- Maisie nie umie pływać... O, Jezu Chryste...
- Julio, nie ma jej tam...
- Ale mogła tam pójść! Może być gdziekolwiek! Wszystko mogło się zdarzyć, wszystko! Byliśmy z Dziadziusem w ogrodzie warzywnym i w sadzie, jeszcze raz przeszukaliśmy dom, ale nigdzie jej nie ma... Ani śladu... To nie w stylu Maisie, coś musiało się stać! Gdyby nas słyszała, na pewno już dawno by wyszła...
- Może wróciła do refektarza, co?
- Nie. Usłyszałaby twój głos. Ja cię słyszałam, a przecież byłam daleko, zresztą Lucas i tak by ją wyrzucił. Dziadzius mówi, że pracuje teraz jak szalony, przemalowuje to głupie niebo w tle portretu, chce zmienić jakiś szczegół... Maisie

298

mogłaby wykrwawić się na progu, a on i tak nie zwróciłby uwagi... Nie spodziewaj się pomocy ze strony Lucasa.

- Czy mogła pójść do wsi?
- Bardzo wątpię. Sklep jest zamknięty, więc po co miałyby się tam wybierać? Oni wszyscy tylko gapią się na nią i szepczą, zasłaniając sobie usta rękami... Nienawidzę tych durnych buraków...

Oczy Julii wzbierają łzami. Jestem jednym z tych durnych buraków, myślę.

- Nie płacz - mówię. - Spokojnie... Zastanówmy się chwilę. Musiała odejść niedawno, bo kiedy widziałem ją ostatni raz...
- Kiedy to było? Kiedy widziałeś ją ostatni raz?
- Gdy weszliśmy do biblioteki, zegar bił właśnie szóstą. Wyjrzałem przez okno, a ona siedziała na trawie...

Przerywam. Oboje uciekamy przed sobą wzrokiem.

- A gdy wyszliśmy? - pyta w końcu Julia.
- Wtedy już jej nie widziałem. Był tylko Dziadek.

- Czyli godzinę temu... Nie, więcej! Wracam nad jezioro!
- Nie ma jej tam, Julio, mówiłem ci! Obszedłem całe jezioro i...
- Potrafisz z brzegu zajrzeć pod wodę? - Jej twarz ściąga gwałtowny skurcz. - Masz dar przewidywania, to prawda, ale czy widzisz aż tyle? Raczej nie... Poza tym, sam czujesz, że coś jest nie tak, widzę to w twoich oczach...

I rzeczywiście, wtedy (lęk i złe przeczucia są zaraźliwe) czuję już strach, podobny do podwodnego prądu, który ściąga pływaka na głębie, dalej, coraz dalej od bezpiecznej plaży.

- Dosyć tego, kurwa mać! - mówię. - Idę po Lucasa, niech pomoże nam szukać...

Ale Julia już gdzieś biegnie.

- Dziadku, kochany, zostań tutaj! - prosi. - Zajrzę tylko jeszcze raz do ogrodu! Nie, nie idź ze mną! Jesteś strasznie blady, źle się czujesz... Nie ruszaj się stąd, może Maisie zaraz się zjawi...

299

- Wszystko to moja wina... - Dziadek powoli kiwa głową. - Nie powinienem był siadać, tak jest... Nie był to łatwy dzień, bo Maisie mówiła niemal bez przerwy, więc po prostu odpłynąłem... Idź, Julio, idź... Co teraz zrobimy? Dokąd ona mogła pójść, Dan? Obiecałem Stelli, że nie spuszczę jej z oka, dałem uroczyste słowo... Jeżeli coś jej się stało, nigdy sobie tego nie wybaczę...

Żadne z nas trojga nigdy sobie tego nie wybaczy, myślę. Patrząc, jak Julia biegnie do ogrodu, a stary człowiek z chorym sercem podnosi się z ławki. Coś, co przed chwilą powiedział, budzi we mnie głęboki niepokój. Znam Maisie i wiem, że umie stosować podstępne wybiegi.

- Chwileczkę... - zatrzymuję Dziadka. - Chwileczkę... Czy Maisie coś mówiła, zanim usiadł pan na dziedzińcu? Zanim pan usnął?

- Nie, chyba nie... Byłem potwornie zmęczony, Dan, prawie nie mogłem myśleć. Chciała skończyć tę swoją pergolę i wydaje mi się, że coś o tym mówiła... Zachowywała się bardzo miło i troskliwie. "Jesteś blady ze zmęczenia, Dziadziusiu", powiedziała. "Przyniosę ci leżak, dobrze? Będziesz mógł sobie usiąść i spokojnie popatrzeć, jak kopię dziurki pod tyczki..."

- Gdzie rozłożyła leżak? W cieniu?

- Nie. Chciałem usadowić się w cieniu, ale Maisie się nie zgodziła, uznała, że

zmarzną. Bo rzeczywiście szybko marzną, krążenie mam już mniej sprawne niż dawniej... Ostatecznie postawiła leżak w słońcu. Było mi bardzo ciepło i wygodnie. Maisie umilkła, w ogóle przestała mówić, Bogu dzięki, i zanim się spostrzegłem, już dopadła mnie drzemka...

Nie odpowiadam. Dziadek powoli rusza za Julią. Nie dociera do niego waga tego, co przed chwilą powiedział, i mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do ufnej głowy myśl, iż Maisie działała celowo. Ja jednak widzę, że dziewczynka chciała uciec swojemu łagodnemu strażnikowi i podstępnie i sprytnie, dopięła swego. Dlaczego chciała być sama? Gdzie spędziła

300

ostatnią godzinę? Co teraz robi, na miłość boską? Podnoszę wzrok i patrzę w dwadzieścioro oczu w południowej twarzy Opactwa.

Parę minut później jestem pod refektarzem. Okna są szeroko otwarte, drzwi zamknięte na skobel. Na drzwiach wisi przypięta pinezką kartka: "Poszedłem popływać". Oznacza to, że Lucas dokonał już wszystkich zmian i skończył portret. Lucas rzadko tłumaczy się z nieobecności, więc zaczynam się zastanawiać, do kogo skierowana jest ta mało komunikatywna wiadomość. Do Finn, oczywiście...

Zazdrość i gniew palą gardło niczym fala kwaśnych wymiotów. Podchodzę do łuku w walącej się ścianie, która kiedyś była granicą klasztoru. Stoję tam w ciepłym, rozproszonym wieczornym blasku i wzrokiem szukam na polach błękitnej sukienki. Nad pozostawionym przez kombajn rżyskiem fruują poszukujące ziarna skowronki. Jest to wieczór doskonalenia umiejętności dla kościelnego dzwonnika, który właśnie w tej chwili rozpoczyna "wprawki". Kościół i klasztor pochodzą z tego samego okresu, więc bardzo możliwe, że kiedyś stały tu zakonnice Maisie, jej wiecznie czujne, niezniszczalne siostry. Możliwe, że stały tu i słuchały bicia sześciu dzwonów na chwałę Boga, Boga, w którego wierzyły, w przeciwieństwie do mnie.

W oddali widzę jasną nagą postać nad Black Ditch. Więc to prawda, Lucas rzeczywiście poszedł popływać, myślę. Postać unosi ramiona, skacze i znika. Czy Maisie mogła wrócić do lasu, z jakiegoś powodu jeszcze raz wybrać się na psi cmentarz? Omiatam wzrokiem ścieżkę, krzewy na granicy drzew, miejsca, gdzie byłem tego popołudnia. Ktoś, jakiś mężczyzna, stoi oparty o furtkę.

Porusza się i wtedy widzę, że to Nick. Idzie do Opactwa. Wołam jego imię - odwraca się i podnosi rękę w geście pozdrowienia. Jest za daleko, aby usłyszeć wykrzywane wyjaśnienia i prośby o pomoc, więc na migi daję mu do zrozumienia, żeby się pośpieszył. Nick prostuje się i rusza w kierunku

ścieżki. Nie czekam na niego, ponieważ coś dzieje się z powietrzem - zmienia się w sposób, jaki poznaję i którego się boję. Odbieram praktycznie niezauważalne drgnienia, ruch powietrza jak przy muśnięciu piórkiem, zmiany zachodzące w ułamkach sekund. Znam to uczucie od najwcześniejszego dzieciństwa i z braku lepszej nazwy przyjąłem określenie Belli - taki właśnie jest mój Dar.

Wywołuje gwałtownie uderzenie adrenaliny. W jednej chwili staję się napięty jak struna, która czeka na szarpnięcie. Wracam na dziedziniec, patrzę na zamknięte drzwi, na kartkę z wiadomością i sześć okien, siłą woli próbuję zmusić je, aby do mnie przemówiły. Podbiegam do okna i zaglądam do środka. Wnętrze pachnie farbami olejnymi i terpentyną na dużym blejtramie, opartym o przeciwległą ścianę, czekają "Siostry Mortland". Julia, Finn i dziewczynka w niebieskiej sukience. Maisie patrzy mi prosto w oczy - strach, który mnie nagle ogarnia, jest bardzo intensywny, gęsty.

Biegnę z powrotem do domu i chociaż biegam szybko, dziś mam wrażenie, że poruszam się w ślimaczym tempie, uwięziony między czarnymi ścianami świerków po obu stronach alejki. Wypadam na duży dziedziniec, toczę wzrokiem po wykrwawionych z barw, w jakiś sposób groźnych podcieniach. Widzę chaotycznie wykopane dziurki w ziemi, błysk szpadla. Odwracam się twarzą do budynku, patrzę w dwadzieścia okien południowej fasady i tam, w środkowym oknie dawnej kaplicy, dostrzegam leciutki, poruszający się cień. Nie mam cienia wątpliwości, że to moja matka. Wróciła.

Zakrywam twarz dłońmi. Kiedy znowu podnoszę wzrok, postaci mojej matki już nie ma, widzę tylko szyby i błyski słońca. Znowu się odwracam i jak w szerokim planie ogarniam spojrzeniem cały dziedziniec. Szukam niewidocznego, czegoś, co jest nie tak. Ogarniam spojrzeniem połatanę, pokrojone mury Opactwa, różowawą cegłę, kamień i łupki, garnące się do ścian pnącza i przycupnięte u ich stóp krzewy. W dolinie nadal dzwonią dzwony, słyszę nawoływania Julii

i Dziadka. Wśród podcieni, tu, gdzie stoję, zalega już półmrok, który powoli zaczyna do mnie przemawiać. Najbliższy łuk jest popekany i zniszczony, kamień zaczyna zżerać pleśń i grzyby; w spięciu sklepienia, tam, gdzie kolumna styka się z siatką sufitu, widać ulepione z gliny i gałązek jaskółcze gniazdo, z którego wystaje ledwo widoczny otwarty dziób.

Nigdy wcześniej ani później nie czułem się tak zagubiony, tak bezradny i pełen



rozpaczy. Ile sekund minęło? Jedna, dwie? Trwało to bardzo krótko.

Cofam się, stoję na trawniku pośrodku dziedzińca. I wtedy, kątem oka widzę, jak coś porusza się na marginesie mojego pola widzenia. Przypomina to trochę Ikara ze słynnego obrazu Breughla - maleńki, odwrócony szczegół, drobniutki błąd w odległym kącie świata. Po lewej stronie mam jaskółcze pisklę w gnieździe, po prawej rozpoczyna swój upadek coś małego, milczącego i przerażającego.

Maisie nie wydaje żadnego krzyku, ja także nie. Szok spowalnia jej upadek, więc przez moment mam wrażenie, że powietrze chwyta ją w ramiona, że może jakimś cudem ją utrzyma. Nawet gdy widzę, jak upada na kamienie pod tym okropnym kątem, jak jej ręce i nogi podrywają się w górę pod wpływem siły uderzenia, jak ziemia podrzuca ją, przekręca, przyjmuje i znowu podbija, choć za drugim razem słabiej, nawet wtedy nic nie słyszę i chyba nadal nie rozumiem. Potem w mojej głowie odzywa się kakofoniczny chór głosów. Mój Dar zawiódł mnie, wprowadził w błąd; spodziewałem się bólu, obawiałem się śmierci, ale sądziłem, że na niebezpieczeństwo narażona jest Finn. Biegając przez trawnik, nadal czuję tamten lęk, chociaż wiem, że nie ma on podstaw, bo przecież Finn tu nie ma, to nie Finn ubrana jest w niebieską sukienkę. Zatrzymuję się tuż przy Maisie. Wciąż nic nie rozumiem, ale od razu widzę, jak strasznie jest połamana. Chyba wydaję cichy okrzyk. Klękam. Maisie leży na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami, z zamkniętymi oczami.

Z jej gardła wydobywa się dziwny, niski, miauczący odgłos;

303

potem zapada cisza. Na wargach Maisie pojawiają się różowawe bąbelki, wokół jej ramion zaczyna rozszerzać się błyszcząca plama, trochę podobna do peleryny. Ujmuję jej dłoń i lekko ją pocieram, z trudem wymawiam jej imię. Palce ma ciepłe, więc chyba żyje, ale to ciepło ulatnia się z każdą mijającą chwilą. Z uszu Maisie i spod jej powiek cieknie krew; z jej nozdrzy wypływa bezbarwna ciecz. Nie znam nazwy tej substancji, ale jej widok budzi we mnie lęk: wiem, co to jest.

Pochylam się nad Maisie, pragnę osłonić ją, przykryć, nie mam jednak żadnego koca, szala czy ręcznika. Zaczynam rozpinać koszulę, kiedy słyszę szybkie, bardzo szybkie kroki, potem krzyk Julii i jęk starego, złamanego człowieka, lecz to Nick pierwszy klęka obok mnie.

- Nie dotykaj jej! - mówi. - Nie ruszaj, nie wolno jej ruszać!

Widzę, jak przytyka palce do szyi. Wiem, co zaraz powie, ale tego dnia nie obowiązują żadne zasady, żadne reguły i Nick mówi mi, że Maisie żyje, że oddycha.

- Wezwij pogotowie, Dan! - woła, zrywając z siebie marynarkę. - Już, natychmiast! Pośpiesz się, na miłość boską!

Gdy potykając się, biegnę do domu, podnoszę wzrok i patrzę w okna dawnej kaplicy. Środkowe, to, które wcześniej było zamknięte, teraz stoi otworem. Wpadam do holu i chwytam słuchawkę. Słyszę szmer opon na żwirowanym podjeździe i stłumiony warkot silnika. Stella i Finn właśnie wróciły, wróciły w takiej chwili...

Pośpiesznie wybieram trzecią dziewiątkę. Stojący zegar wydaje cichy chrzęst, zamiera na sekundę i wybija godzinę ósmą.

Część Siódma.

Dziesiątka Mieczy.

Moje najdroższe serce, piszę po kryjomu i w pośpiechu, bo zawsze mnie tu obserwują. Na zegarze jest VIII. Chłopak stajenny przysięga, że dostarczy Ci tę wiadomość. Obiecałam mu całusa i dwie monety - powiedział, że same monety to nie dosyć.

Och, mój ukochany, jakimż okropnym miejscem jest to Opactwo! Dziś już nie mówiłbyś, że mam piękne oczy, bo są tak zapuchnięte, że z trudem je otwieram, a wszystko to z braku snu. Ledwo się położę, żeby o Tobie pomyśleć, a już muszę znowu wstawać, by modlić się w ciemności i chłodzie - poobcierałam kolana od tych modłów. Ale mimo wszystko nie jest to tak ponure miejsce, jak się obawiałam. Pozwolono mi zatrzymać pomarańczową jedwabną suknię, bransolety i tego słodkiego malutkiego pieska, którego mi dałeś, nie muszę też spać w dormitorium ze starymi zakonnkami. Siostra Maria Agnes mówi, że za drobną sumę mogę dostać własny pokój, jak ona, z ogniem w kominku i piękną miękką pościelą; nie mogłam spać na tych parcianych workach, podrapały mi skórę do krwi. Siostra Maria i ja jesteśmy teraz wielkimi sojusznikami, bo nasz los jest podobny - cóż to za przekleństwo, być najmłodszą z sześciorga rodzeństwa, z posagiem tak małym, że nie może zainteresować żadnego miłego młodzieńca, a w jeszcze mniejszym stopniu szlachetnie urodzonego ojca tegoż młodzieńca. Mimo wszystko widzę, że mój ubożuchny posag

bardzo mi się tutaj przydaje; wypełnia też klasztorne kufry...

Najdroższy, pamiętaj, że to więzienie ma drzwi, które łatwo jest otworzyć; w pobliżu znajduje się miejsce, gdzie kochankowie mogą się bezpiecznie spotkać - czy godzina w lesie ze mną sprawi Ci przyjemność, mój miły?

Nie będę tutaj pierwszą ani ostatnią, która pozwoliła sobie na taką ucieczkę, możesz być tego pewny. W przyszłym tygodniu siostra Maria wyjaśni mi wszystkie tajemnice i wtedy znowu do Ciebie napiszę. Bądź gotowy, bo ja nie odzyskam szczęścia, dopóki znowu nie znajdę się w twoich ramionach, najdroższy. Mówię więc to, co zawsze: Przyjedź, przyjedź, przyjedź, mój jedyny, mój ukochany. Strzeż się jednak - od naszego ostatniego spotkania stałam się bardzo cnotliwa i surowa, będziesz więc musiał użyć wszystkich swoich sztuczek, i to wyjątkowo umiejętnie, aby przezwyciężyć moją zakonną skromność. Ach, byłabym zapomniała - obcięli mi tu moje piękne włosy, więc przygotuj się na spotkanie z chłopcem... W ciemności i w nocy...

Czy Ty mnie w ogóle poznasz?

MS SFC Bel 209/83.5 [circa 1450]; autorka i adresat nieznani; kolekcja Belcamp, Archiwum Suffolk, Ipswich (Manuskrypt uszkodzony, tekst miejscami trudny do odczytania; widoczne adnotacje wykonane obcą ręką).

Rozdział Dwudziesty.

CIAŁO FIZYCZNE.

Wróciłem do łóżka w moim domu w Highbury. Leżę, słuchając, jak w Opactwie bije zegar. Jest ciemno i zimno, helikopter przestał patrolować okolicę - w tym świecie nie mam pojęcia, która jest godzina. Wreszcie zamykam oczy i zapadam w sen, sen głębszy niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Śnię. We śnie odbywam długą rozmowę z kobietą, wymianę zdań, po której czuję się uleczony i odświeżony. Wydaje mi się, że dobrze znam swoją rozmówczynię, ale nie jestem pewny, kim ona jest. Kiedy ostatecznie odchodzi, robi to z żalem, wielokrotnie oglądając się przez ramię. Gdy już ma zniknąć, widzę, że jest to cesarzowa, mozartowska królowa nocy. Trzyma w ręku kryształową kulę i berło z kości słoniowej, a ubrana jest w suknię z białej satyny. "Dziesięć tysięcy kartek,

Danny", szepcze. Wyciągam rękę, aby ją zatrzymać, aby ją przywołać i w tym momencie się budzę. Dzisiaj jest pierwszy dzień mojego nowego życia, myślę.

No, dobrze, dobrze, robiłem takie postanowienia już wcześniej, to prawda. Składałem takie obietnice wielokrotnie, nawet pisemnie. Później darłem kartki na drobne kawałki. Ale tym razem jest inaczej. Tym razem jestem przekonany, że mi się uda.

Po pierwsze, nie mam kaca, a przez ostatnie sześć tygodni prawie nie wychodziłem z tego stanu. Czuję się dziwnie skupiony

309

i zdecydowany, powrót do przeszłości, który odbyłem ubiegłej nocy, okazał się bardzo użyteczny. Wiem, co mam dzisiaj zrobić, mam dokładny, szczegółowy program i zamierzam od razu przystąpić do jego realizacji. Mens sana in corpore sano, w zdrowym ciele zdrowy duch, mówię sobie, odkręcając prysznic. Taki jest pierwszy punkt mojego programu: koniec z substancjami, które wywierają wpływ na mózg, koniec z alkoholem, koką, amfą, czerwonymi i niebieskimi prochami. Mam co do tego absolutną jasność w głowie, ale moje Ciało jest recydywistą i zaczyna dawać wyraz pewnym wątpliwościom. Zlewam je bardzo gorącą wodą, potem bardzo zimną i w ten sposób zmuszam do milczenia, każę mu się zamknąć. Wychodzę spod prysznica, golę się i ubieram w czyste rzeczy, a Ciało zaczyna zachowywać się dużo pokorniej. Najwyraźniej gotowe jest negocjować - może by tak kawkę, może papieroska, kieliszek wódki albo chociaż ze dwie łyżki syropu na kaszel, mówi. Dlaczego nie mielibyśmy przechodzić na tę cholerną abstynencję stopniowo, krok po kroku?

Każę Ciału zejść na dół. W holu zarówno mój umysł jak i ciało, ego i istnienie fizyczne po raz pierwszy przypominają sobie, że za drzwiami salonu na mediolańskiej kanapie śpi młoda kobieta. Dziwna, skłonna i zdolna do manipulowania ludźmi młoda kobieta... W tym momencie moje Ciało zaczyna coraz głośniej domagać się wody albo czegoś jeszcze mocniejszego. Zmuszam Ciało, aby zeszło niżej, do kuchni; na widok kuchni Ciało doznaje całkowitej zapaści. Patrzy na przepelnione, kipiące pojemniki na śmieci, na brudne naczynia, zmywarke, która padła na zawał przed kilkoma tygodniami, i robi mu się słabo. Czuję, że najchętniej znalazłoby się znowu w łóżku, ciepło okryte. Nie ma jeszcze nawet piątej, mówi. Co się dzieje, do kurwy nędzy? Oto nowy styl życia, odpowiadam. A to drugi punkt na liście rzeczy do załatwienia - posprzątać w kuchni. No, już, do roboty!

Mirabile dictu, rzecz wręcz niewiarygodna, ale Ciało słucha i rzeczywiście robi to, co mu kazano. Zaczyna od zgromadzenia

zapasu foliowych toreb i wpychania do nich różnych śmieci. Rozprawia się z zielonym od pleśni krojonym chlebem oraz liczącymi mniej więcej miesiąc nieruszonymi kebabami z sosem chilli. Wyrzuca to wszystko i zanim ktokolwiek zdążyłby powiedzieć: "To nieprawdopodobne!", opróżnia lodówkę i szoruje jej wnętrze płynem dezynfekcyjnym o sosnowym zapachu. Potem przechodzi do szafek i wywala z nich (także do foliowych toreb) sosy Nicey Spicey oraz prehistoryczne przyprawy Herby Toppings, które od lat przewoziłem z jednego kawalerskiego mieszkanka do drugiego. Ciało wgryzło się już w procedurę sprzątania i teraz wrzuca brudne naczynia do pełnego piany zlewu. Załatwimy to w pięć sekund, mówi pogodnie, wyrywając ciężko chorą zmywarkę z obudowy, odblokowując zatkaną rurę i wkładając urządzenie na miejsce. I proszę bardzo - zmywarka działa, zdrowiutka jak rybka i gotowa do pracy.

Ten gorączkowy wybuch energii jest doprawdy trochę przerażający. Nie dajmy się zwariować, mówię do Ciała, które biega po schodach jak automat, w tę i z powrotem, wrzucając do metalowych pojemników osiem trylionów toreb ze śmieciami. Nie ma sprawy, facet, odpowiada Ciało. Może by tak jeszcze umyć podłogę? Wyszorować blaty w kuchni? Umyć okna? Daj mi pięć minut, a nie poznasz tego domu, słowo honoru...

Muszę je trochę przyhamować, ale trzeba przyznać, że ten nieprawdopodobny pracuś, ten cholerny wolontariusz z jakiegoś marnego angielskiego filmu o wysiłku wojennym, naprawdę porządnie sprząta. Kuchnia i hol aż błyszczą, ktoś mógłby pomyśleć, że czeka nas surowa inspekcja. Jest tak porządnie, że aż niepokojąco. Szafki puste, lodówka pusta, ostatnia paczka marlboro też pusta, ale nawet ta katastrofa nie przeraża Ciała. Bieg do sklepu pana Patela na rogu ulicy i z powrotem (Ciało naprawdę biegnie!) zajmuje mu dziesięć minut z zegarkiem w rękę. Wraca z torbą pełną łupów, przynosi jaja od nieszczęśliwych kur, bekon z duńskich świnek,

pieczywo (naturalnie to z furą konserwantów), rozpuszczalną kawę oraz płyn do zmywarki, notes i długopis, płatki kukurydziane, mleko, cukier i marmoladę, a także pięć paczek papierosów.

Sadowimy się przy stole, Ciało i ja, uspokojeni świadomością, że blat został starannie umyty cytrynowym świństwem, zdolnym wytruć wszystkie bakterie wszechświata. Jemy płatki z mlekiem, pijemy kawę i na koniec zapalamy papierosa. Gratulujemy sobie serdecznie zapobiegliwości - teraz dysponujemy już środkami, dzięki którym na pewno uda nam się wypchnąć śpiącą na naszej kanapie panienkę z domu.

Oczywiście bardzo uprzejmie. Damy jej śniadanie i pozbędziemy się jej. O ósmej trzydziści (najpóźniej!) już jej tu nie będzie, a my spokojnie zajmiemy się wdrażaniem planu nowego życia. Pojedziemy do Wykenfield, ale wcześniej musimy porozmawiać z Nickiem i zobaczyć się z Lucasem. Patrząc na strony, które zapisałem ubiegłej nocy - widnieją na nich pytania skierowane do Lucasa, pytania, które przyszły mi do głowy, gdy powracałem myślami do Opactwa.

Co więcej, Lucas na pewno odpowie nam na te pytania, jesteśmy o tym absolutnie przekonani. Palimy właśnie drugiego papierosa, Ciało i ja, i jesteśmy całkowicie zgodni co do wszystkiego. Znowu tworzymy zgrany zespół. Najwyższy czas sporządzić listę zajęć; wyjmuję dziewiczo czysty notes, otwieram go i sięgam po długopis. Dzisiaj muszę, piszę i nagle nieruchomieję z długopisem zawieszonym tuż nad kartką.

Maisie robiła listy. Nie tylko je recytowała, ale także spisywała. Wiedzieliśmy o tym, ale nawet Finn i Julia nie zdawały sobie sprawy, ile było tych list i jak metodycznie były sporządzane. Odkryliśmy to dopiero po tym fatalnym skoku w nieznane, który wtedy oficjalnie nazwany został "wypadkiem Maisie".

Znaleźliśmy bibliotekę list i spisów trzy dni po upadku, kiedy Maisie, przewieziona z pierwszego szpitala w Deepden

312

(dawniej wiejskiej przychodni), rozpoczęła medyczną odyseję, która miała dobiec końca w Londynie, na specjalistycznym oddziale dla osób pogrążonych w śpiączce. Tamto było jednak dopiero przyszłością, tymczasem ja w ciągu gorączkowych pierwszych trzech dni po wypadku przystąpiłem do poszukiwań. Byłem przekonany, że upadek Maisie wcale nie był wypadkiem. Przez trzy dni uważnie śledziłem kolejność wydarzeń poprzedzających wypadek i zyskałem pewność, że jeżeli Maisie faktycznie skoczyła z okna z rozmysłem, to musiała zostawić nam jakieś wyjaśnienie - list, notatkę, wskazówkę, cokolwiek. Po trzech dniach dyskusji udało mi się skłonić Finn i Julię, aby pomogły mi szukać tego ukrytego tropu.

Stella i Dziadek spędzali całe dni przy łóżku Maisie, która przebywała już na oddziale intensywnej terapii w Ipswich, gdzie liczba odwiedzających była ściśle ograniczona. Prowadzenie poszukiwań w ich obecności było wykluczone - oboje uparcie trzymali się teorii wypadku i wszelkie próby podważania tej wiary tylko by ich zdenerwowały. Uświadomiłem Finn i Julii, że teraz mamy świetną okazję, której nie wolno nam zmarnować. Gdybyśmy zdołali zrozumieć tok myślenia Maisie, wiedzielibyśmy, co jej powiedzieć, a to była rzecz niezwyklej wagi. Słyszeliśmy o wielu pogrążonych w śpiączce osobach, które wracały do przytomności, kiedy

usłyszały właściwe słowa, utwór muzyczny czy nawet dźwięk, przywołujący niezbędne dla ozdrowienia wspomnienie. Nick potwierdzał to niechętnie, podkreślając jednocześnie, że Maisie odniosła bardzo poważne i rozległe obrażenia, i może w ogóle nie przeżyć. Widziałem, że prywatnie uważa całą tę operację za stratę czasu, być może terapeutyczną dla nas, ale nie dla Maisie, ale to jedynie podbudowywało moją determinację. Dosłownie tonąłem w wyrzutach sumienia i zachowałem się jak ogarnięty obsesją.

Tak więc Finn i Julia przyszły mi z pomocą. Przeszukaliśmy cały ten wielki dom, z milionem kryjówek i zakamarków, od strychu po piwnice i znaleźliśmy tylko, na dodatek na samym początku akcji,

313

notatniki Maisie. Trudno, żebyśmy ich nie zauważyli. Niektóre leżały otwarte na stole, inne, metodycznie opisane, zindeksowane, oznaczone odpowiednimi kolorami, ponumerowane i posegregowane według tematów, stały na półkach przy łóżku. Ssaki i ptaki, bogowie i boginie, czasowniki i przysłówki, gwiazdy i galaktyki, ofiary gilotyny, lotniska, z których w czasie wojny korzystali nasi piloci, etymologia i entomologia, psy z Opactwa, ryt ostatniego namaszczenia ze wszystkimi szczegółami, psalmami, czytaniem i kantykami... Mniej więcej dwieście notatników, raczej więcej niż mniej. Przeczytaliśmy je w milczeniu. Był to język, którym żadne z nas nie umiało się posługiwać.

Kiedy nie znaleźliśmy kompletnie nic - żadnej starannie schowanej koperty, żadnego listu, wetkniętego między kartki notatnika czy zeszytu - zabraliśmy się do książek, podejrzewając, że może wiadomość, która miała nam wszystko wyjaśnić, tkwi w tomie Darwina albo Enid Blyton. Poszukiwania nic nie dały.

- Przegapiliśmy coś. Jestem tego pewny. Maisie jest skryta, sprytna i podstępna. Ukryła tę wskazówkę i to w jakimś nierzucającym się w oczy miejscu. Musimy spróbować myśleć tak jak ona. Wyobraźcie sobie, że jesteście na jej miejscu -gdzie schowałybyście wiadomość?

- Nie jestem pewna, czy w ogóle coś napisała - odparła Julia. - Z początku wydawało mi się, że to możliwe, ale kiedy patrzę na to wszystko...

Zawahała się. Na podłodze dookoła nas kłębiło się morze problemów, ocean notatników.

- Mogła zdecydować się pod wpływem chwili - podjęła Julia. - Ukryła się gdzieś w domu, potem weszła do biblioteki, zobaczyła otwarte okna i skoczyła. Była bardziej nieszczęśliwa, niż sądziliśmy - nigdy już nie poznamy żadnej dokładniejszej

przyczyny tego, co zrobiła. Może zresztą nie ma żadnej konkretnej przyczyny, więc naprawdę dajmy temu spokój...

314

- Nie zgadzam się - powiedziała z uporem Finn. - Moim zdaniem Dan ma rację, ona to zaplanowała. Skoczyła o ósmej, a mówicie, że wcześniej szukaliście jej przez jakieś półtorej godziny. Mogła zrobić to o siódmej trzydzieści, siódmej czy nawet wcześniej, więc dlaczego zdecydowała się właśnie o ósmej?

- Może się bała... - mruknęła Julia.

Wiedziałem, że nie ma najmniejszej ochoty dyskutować o zniknięciu Maisie i umiejscowieniu wypadku w czasie. Sam miałem podobne odczucia.

- Może nie potrafiła się zmobilizować... - dorzuciła Julia. - Nie, nie chcę o tym rozmawiać...

Milczałem. Myślałem o wielu okazjach, kiedy Maisie szczegółowo wyjaśniała mi liturgię godzin swoich zakonnice, i o tych chwilach, gdy przerywałem jej, zniecierpliwiony i zirytowany.

- Ósma wieczorem to pora, kiedy zakonnice wracają do swoich cel - zacząłem powoli. - Tuż przed rozejściem się odprawiają kompletę, ostatnią modlitwę dnia, którą powinny odmówić koło siódmej trzydzieści. Określenie "kompleta" pochodzi od łacińskiego "completorium" i oznacza zakończenie dnia. W luźnym tłumaczeniu słowo to oznacza...

- Stan ukończenia - przerwała mi Julia. - Stan ukończenia jakiejś sprawy czy rzeczy...

- Zakonnice odmawiały kompletę w kaplicy - odezwała się Finn po chwili milczenia. - Maisie świadomie wybrała dzień, godzinę i miejsce. Powinniśmy byli od razu się zorientować. Maisie nigdy nie działała pod wpływem impulsu, była zbyt zdyscyplinowana. A gdyby postanowiła zostawić wiadomość, nie byłaby to ogólna wskazówka, ale szczegółowa informacja. Zaadresowałyby ją do kogoś i zostawiła w miejscu, gdzie ta osoba na pewno by ją znalazła. Ta osoba, nikt inny...

Znowu zapada cisza. Patrzę na Finn i zastanawiam się, czy ma świadomość, że cały czas mówi o Maisie w czasie przeszłym. Pragnę wziąć ją w ramiona. Pragnę tego od trzech dni

315



i nocy. Chcę pokazać jej ten skrawek materiału z sukienki, ale tego także nie mogę zrobić. Chcę z nią porozmawiać. I nie mogę. Czuję, że straciłem do tego prawo, pozbyłem się prawa do rozmów z Finn, poza tym Finn odgradza się ode mnie. Odgradza się od wszystkich, szczelnym, wysokim murem. Patrzy na świat jak osoba w szoku, na jej twarzy wyraźnie wypisane jest ewangeliczne noli me tangere, "nie dotykaj mnie". Widzę, ile kosztuje ją to, że w ogóle funkcjonuje, odzywa się, podnosi rękę, odwraca głowę. Wygląda trochę tak jak Maisie w czasie swoich nocnych, lunatycznych wycieczek. Oczy ma otwarte, ale nie posługuje się zmysłem wzroku. Wygląda tak od powrotu z Londynu, wyglądała tak już w chwili, gdy zatrzymałem ją i jej matkę w holu, czyli jeszcze zanim przekazałem im przerażającą wiadomość o wypadku.

Nie rozumiem tego, lecz wiem, że Finn jest mocniej związana z Maisie niż ktokolwiek inny, mocniej niż Stella czy Dziadek. O wiele większą ufność pokładam w instynkcie Finn niż w racjonalnym postrzeganiu świata, prezentowanym przez Julię, i teraz jej słowa uderzają mnie jako nad wyraz trafne.

- Jeżeli tak, to kim byłaby ta osoba? - pytam. - Ty, Finn?

- Nie wydaje mi się... - Finn odwraca wzrok. - Może kiedyś, ale nie teraz. Zawiodłam Maisie, a ona nie wybaczała ludziom, którzy sprawili jej zawód.

- Dlaczego tak mówisz? - Julia pytająco unosi brwi.

Ja także chcę wiedzieć, ale przeczuwam, jaką odpowiedź usłyszy Julia. I mam rację.

- To nie ma znaczenia. Wiem, że ją zawiodłam i to się liczy. Kilka tygodni temu Maisie potrzebowała mojej pomocy, a ja tego nie dostrzegłam. Zostawmy to...

- Jeśli nie ty, to kto? - odzywa się Julia. - Nie ma wielu kandydatów. Maisie na pewno nie chciałaby zostawić wiadomości Stelli. Potrafiła być okrutna wobec naszej matki i nigdy się jej nie zwierzała, chociaż to akurat nic nadzwyczajnego, bo nie zwierzała się nikomu... Na pewno nie chodzi też o Dziadziusia, Maisie nie zawracałaby sobie nim głowy. Wiedziałyby,

316

że Dziadek nie szukałby żadnej ostatniej wiadomości, a gdyby ją nawet znalazł, to i tak by jej nie zrozumiał. Dziadzius zwykle trzyma się tego, co oczywiste i często fałszywe, i zawsze wybiera najłagodniejsze odpowiedzi.

- To surowa ocena, Julio - mówię.

- Prawda często jest surowa i trudna.

- Wasz Dziadek bardzo ją kocha, dobrze o tym wiesz, więc dlaczego próbujesz go ukrzyżować?

- Wiem, że ją kocha, ale miłość nie wyklucza głupoty. Niestety.

W głosie Julii brzmi zimna, twarda nuta. Czy ta uwaga, trafna i nieprzyjemna, skierowana jest do mnie? Mam wrażenie, że tak. Na jej krótkie spojrzenie reaguję defensywną wrogością. Jak mogłem w ogóle dotknąć tej kobiety, dlaczego to zrobiłem, myślę.

- Więc kogo mogła mieć na myśli? - Julia odwraca się do Finn. - Lucasa? Dużo z nim rozmawiała, kiedy ją rysował, ale... Nie. Na pewno nie chciałaby zostawiać mu żadnej wiadomości po tym, jak zobaczyła portret, bo tego nigdy by mu nie wybaczyła. To musi być Dan. Uwielbiała Dana, zawsze, od początku pobytu w Opactwie.

- Nie - odpowiada z goryczą Finn, pełnym zniecierpliwienia gestem uprzedzając moją reakcję. - Nie Dan. Pomyślcie trochę. Z kim Maisie najczęściej rozmawiała, bo przecież żadne z nas nie miało dość siły ani łagodności, aby długo słuchać jej opowieści? Bo wszyscy przerywaliśmy jej w pół słowa, uciekaliśmy, nie chcieliśmy zrozumieć albo udawaliśmy, że jesteśmy bardzo zajęci czymś innym? Ze zmarłymi. Tak, najczęściej rozmawiała ze zmarłymi. I jeśli coś zostawiła, to w takim miejscu, gdzie mogliby to znaleźć. Pomyślcie o tym, bo to założenie znacznie zawęży pole poszukiwań... -przerywa i patrzy na nas ze smutkiem. - Jeżeli Maisie postanowiła się usprawiedliwić i zostawić ostatnią wiadomość, musiała skierować ją albo do swoich zakonnic, albo do Tatusia, rozumiecie?

317

Pochylam głowę i patrzę na listę moich zadań. Widnieje na niej sześć punktów:

- 1) Nick
- 2) Lucas
- 3) Opactwo
- 4) Finn
- 5) Prochy
- 6) Później

Nie przypominam sobie, kiedy sporządziłem tę listę - musiałem pisać ją na autopilocie. Obserwowałem tamtą scenę, słuchałem tamtej rozmowy w pokoju

Maisie, która kończy się dość nagle. Finn wypowiada ostatnie zdanie, a potem gwałtownie odsuwa krzesło i wstaje. Widzę, że się chwieje, jestem pewny, że zaraz zemdleje i osunie się na ziemię.

- Niedobrze mi... - mówi. - Przepraszam was...

I wychodzi z pokoju. Słyszę jej kroki w korytarzu i odgłosy wymiotowania. Julia i ja patrzymy na siebie w milczeniu. Julia ma ciemnopomarańczową sukienkę, nie nosi żadnych bransoletek. Nie potrafię się zmusić, aby się do niej odezwać, niechęć i obrzydzenie, które czuję, są zbyt wielkie. Kiedy Finn wraca i mówi, że zrozumie, jeśli będziemy chcieli ciągnąć poszukiwania, lecz ona rezygnuje, dochodzę do wniosku, że rozumiem przyczyny tej decyzji. Widzę, w jakim napięciu żyje, że jest chora ze zdenerwowania. Przeklinam swoją własną głupotę, która jeszcze powiększyła jej cierpienie.

Nie mówię ani słowa o tym ani jej, ani Julii. Od tej chwili obie siostry zwierają szeregi. Odmawiają udziału w dalszych poszukiwaniach, jakichkolwiek poszukiwaniach. Ja ciągnę je, z przerwami, bez wielkiej nadziei, wtedy, gdy zdarzy się okazja. Nie znajduję nic i nie dostrzegam, że istnieje druga tajemnica, tajemnica dotycząca Finn, nie Maisie. Minie wiele tygodni, nim zdam sobie sprawę z tego, co Julia wiedziała od dawna - że Finn także stoi w obliczu oceanu problemów, i że była świadoma konieczności ich rozwiązania już przed wyjazdem ze Stellą na zakupy do Londynu.

318

I to tyle, jeśli chodzi o moją własną "Finn ostatnią", jeśli chodzi o wyraz szczerej, niczym nieprzyćmionej radości, który zobaczyłem na jej twarzy tamtego słonecznego poranka, kiedy machałem do niej z podjazdu przed Opactwem. Błędnie odczytałem stan jej ducha, podobnie jak wiele innych rzeczy. Oczywiście istnieje też duże prawdopodobieństwo, że w dalszym ciągu popełniam liczne błędy.

Zadaję sobie pytanie, po co to piszę? Dlaczego staram się uporządkować przeszłość, zrozumieć ją, nadać jej jakiś kształt? Spoglądam na leżący na stole plik kartek A4 - po co dalej bawić się w zgadywanie, po co nakładać własny obraz na obraz prawdziwy, a źle zrozumiany, skoro i tak później spalę to wszystko albo wrzucę do niszczarki? Sądziłem, że piszę sam do siebie, ale teraz zaczynam mieć poważne wątpliwości.

Nagle dociera do mnie, że chyba ja także piszę do zmarłych. Do wszystkich, których kochałem: do Joego; do Belli, która była dla mnie dobra i niedobra; do Donie, której nie dane mi było poznać; do Maisie, która właściwie także jest martwa, bo nie może

(albo nie chce) przemówić i nawiązać z nami kontaktu. I do Finn, przede wszystkim do Finn, która żyje, lecz dla mnie jest stracona. Do Finn, która nigdy nie zjawi się w tym miejscu, gdzie na nią czekam. Do Finn, która nigdy nie zapragnie odnaleźć mnie za wszelką cenę, jak Orfeusz Eurydykę. Do Finn, która każe mi samemu wydobywać się z opalów, ratować się z trudnych sytuacji. Uświadamiam sobie, że piszę listy miłosne do zmarłych, ot co... Siłą powstrzymuję gwałtowne pragnienie, aby podrzeć kartki na drobne kawałki i zająć się sprawdzaniem, czy na pewno zmusiłem Ciało do wylania całego zapasu wódki do zlewu.

I właśnie w tym momencie, gdy stoję na krawędzi najbardziej niebezpiecznej przepaści na świecie, przepaści zwanej Otchłanią Litowania się nad Samym Sobą (uwaga, uwaga: jeden fałszywy krok i spadasz na ostre skały dwa tysiące metrów poniżej), dociera do mnie coś, co należało zauważyć już parę chwil wcześniej - dzwonek przy drzwiach szaleje. Dzwoni długo

319

i głośno, wręcz przeraźliwie. Ktoś oparł palec wskazujący na guziku i nie zamierza go zdjąć.

Ciekawe, bo jest za piętnaście szósta rano. Kto to może być, zastanawiam się, szybko zmierzając w kierunku schodów, żeby ten ktoś nie obudził dziewczyny śpiącej na mediolańskiej kanapie.

Może ściągnąłem tu kogoś siłą woli i myśli. Na przykład Finn, to by dopiero było, chociaż szanse są naprawdę niewielkie. Albo Nicka. A może to mleczarz... Albo komornik... Albo Malc...

Otwieram drzwi. Pod moją furtką w mroku styczniowego poranka połyskuje czarna karoseria wielkiej limuzyny, która spokojnie pompuje spaliny do ziemskiej aury.

A na progu stoi Julia z moją zapomnianą teczką w ręce.

Rozdział Dwudziesty Pierwszy.

PODWÓJNY KŁOPOT.

Uśmiech Julii nie jest zimny, lecz lodowaty.

- To twoje, prawda? - wręcza mi teczkę. - Teraz poproszę zdjęcie mojej siostry. To, które ściągnąłeś z mojej tablicy wczoraj wieczorem.
- Jest na górze - przyznaję się, i to z podniesionym czołem.
- Więc idź na górę i przynieś.

Idę na górę. Wyjmuję fotografię z kieszeni wczorajszego garnituru. Wracam na dół. Nie trwa to długo, najwyżej minutę, lecz w ciągu tej minuty udaje mi się przekonać samego siebie, że wszystko się jeszcze ułoży. Nie jest to dobry początek, prawda, ale jakoś sobie z tym poradzę. Teraz mam szansę zademonstrować Julii, jak bardzo się zmieniłem, jak daleko zaszedłem. Mam szansę naprawić błędy i wszystko wyprostować. Ta zesłana przez Niebiosa możliwość (kto rano wstaje...) jest idealnym, doskonałym darem na pierwszy dzień mojego nowego życia.

Jest to optymistyczna pomyłka, i to taka, jaką zdarzyło mi się już kilka razy zrobić (szczerze mówiąc, robię ją stale i wciąż od urodzenia), więc można by pomyśleć, że zdążyłem się już czegoś nauczyć, ale nie, ja biegam jak szalony po schodach i myślę o Julii, jaką ujrzałem we wspomnieniach ubiegłej nocy. Właśnie ta Julia stoi mi przed oczami - piękna, młoda, o bynajmniej nie prostym, jednoznacznym charakterze. Jesteśmy na strychu w Opactwie. Czuję jej błękitny zapach,

321

słyszę podzwanianie bransoletek. Kiedy wyciągam z kieszeni zdjęcie Finn, właśnie tamta Julia przywołuje mnie zachęcającym ruchem ręki.

Olśniony własną jasnością widzenia, uświadamiam sobie wreszcie, gdzie popełniłem błąd. Jest to absolutnie oczywiste -jak mogłem nie zobaczyć tego wcześniej? Nigdy, nigdy nie powinienem był winić Julii za to, co zdarzyło się tamtego dnia w ciemności; oboje ponosimy za to winę, zresztą po co mówić o jakiejś winie... Jeśli uważnie przyjrzymy się temu, co zrobiliśmy, odrzucając wszystkie trujące opary poczucia winy, jakie na przestrzeni wieków nagromadziły się wokół tego aktu, całą tę pseudochrześcijańską odrazę do seksu i lęk przed nim, kilka tysięcy obłudy, seksualnych stereotypów i uprzedzeń, które z całą pewnością nie są nam potrzebne, jeśli na dodatek pozbędziemy się kłamliwej, paskudnej warstwy werbalnej, czyli takich słów oraz określeń, jak "cudzołóstwo", "grzeszna chuć" i tak dalej, raz na zawsze wyrzucając je na cmentarz bzdur, gdzie ich miejsce, razem z "genialnymi" teoriami Zygmunta Freuda, to co zobaczymy? Zobaczymy młodego mężczyznę i młodą kobietę, oboje stanu wolnego, przeżywających stosunek seksualny. Czyli, po prostu, pieprzających się.

Pieprzających się z wielkim entuzjazmem i doznających głębokiej fizycznej rozkoszy.

Co w tym złego? Nic. Nic. Nic. Dwadzieścia parę lat później, w bardziej oświeconej erze, patrzę na to zdarzenie nowymi oczami i, poza wszystkim, widzę, jak rzadkie było to przeżycie.

Wracam do holu, ściskając w ręku fotografię Finn. Wiem, dlaczego młody mężczyzna, którym byłem, zareagował na Julię w taki, a nie inny sposób, wiem, dlaczego czuł gniew i obrzydzenie. Teraz jestem już jednak nowym człowiekiem, liberałem i lewicowcem, zdeklarowanym, moralnym, seksualnym i politycznym radykałem. Już dawno przestałem być tamtym ciemnym, archaicznym stworzeniem, które zmagало się z demonami. Ten nowy człowiek, nowy Adam, winien jest

322

Julii i wszystkim przedstawicielkom jej płci przeprosiny. I powinien złożyć je już, natychmiast.

Czy w głowie świta mi może myśl, że podczas gdy mój umysł podążał tym przyjemnym torem, umysł Julii odbył zupełnie odmienną podróż? Nie, skądże znowu, nie świta. Cóż, ja naprawdę zwykle nie widzę, dopóki nie jest za późno, że bardzo często nadaję na niewłaściwej częstotliwości, że nie mam kontaktu z resztą świata, że macham do niego jak wariat z innej galaktyki.

- Julio... - mówię, przystając w progu. - Julio, przepraszam cię...

Podaję jej fotografię. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Julia doskonale wie, iż nie przepaszam jej wyłącznie we własnym imieniu, ale w imieniu całej płci męskiej, za całe minione dwa tysiące lat.

- Posłuchaj... - ciągnę. - Przepraszam, że zjawiłem się w twoim domu wczoraj wieczorem, wiedząc, że nie życzysz sobie moich wizyt. Przepraszam, że zepsułem ten ekspres do kawy - kupię ci nowy. Przepraszam za tamtą cholerną kampanię reklamową. Przepraszam, że się w ogóle pokłóciliśmy, przepraszam za wszystkie złe rzeczy, które mówiłem, myślałem i robiłem. Był kiedyś moment, w każdym razie tak mi się wydaje, gdy mogliśmy pójść inną drogą, ale nie zrobiliśmy tego. Nie wydaje mi się, żebyś tego żałowała, no, bo tylko popatrz na mnie, koń, jaki jest, każdy widzi, ale usiłuję się poprawić, staram się zmienić. Pamiętasz tamten dzień w Opactwie, na strychu, kiedy malowałem pokój? Przyjmujesz przeprosiny? Zostaniemy przyjaciółmi? Naprawdę chciałbym, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi, Julio...

Czekam, żeby ujęła dłoń, którą do niej wyciągam. Nic z tego. Moja przemowa najwyraźniej wcale do niej nie trafiła. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby uznała, że nadaję się do zamknięcia na specjalnie strzeżonym oddziale szpitala psychiatrycznego. Bierze zdjęcie, chowa je do torby i wyjmuję z niej coś, czego nie

widzę.

323

Patrzę na nią niepewnie. Nie wygląda najlepiej, szczerze mówiąc, sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie spała. Jest blada i zmęczona, włosy ma w nieładzie, ale nawet bez makijażu, z fioletowymi cieniami pod oczami, nadal jest piękna.

- Pięknie wyglądasz, Julio - mówię.

- Daruj sobie - odpowiada, wracając do rzeczywistości. -Oszczędź mi fajerwerków twojego słynnego uroku... Nie jestem kompletną idiotką. Dlaczego wzięłaś zdjęcie?

- Nie wiem. No, nie wiem, naprawdę. Finn nie odpisuje na moje listy, bardzo za nią tęsknię... To był impuls.

Ta odpowiedź, choć uczciwa, także jej nie przekonuje. Mocno zaciska wargi.

- Rozumiem - mówi. - To też zrobiłaś pod wpływem impulsu? A może wymagało trochę namysłu?

I pokazuje mi tę małą rzecz, którą przed chwilą wyjęła z torby. Jest to zmięta, a następnie starannie rozprostowana karteczka. Na niej, wypisana moją ręką widnieje wiadomość: "Julio, strzeż się! Twój mąż zastanawia się, czy cię nie zostawić".

Robi mi się gorąco.

- Po twoim wyjściu, Dan, miałam mnóstwo sprzątanina -ciągnie Julia spokojnym głosem. - Chyba dobrze zgaduję, że celowo zepsułaś mój ekspres do kawy, który wybuchł zaraz po twojej ucieczce - mam nadzieję, że sprawiło ci to satysfakcję. Fusy były dosłownie wszędzie - na suficie, na ścianach, na podłodze. Kiedy skończyłam je zbierać i myć wszystkie zabrudzone powierzchnie, wrzuciłam brudy (twoje dzieło, mój drogi!) do kosza na śmieci. I tam, pod skorupkami jajek, ponieważ mój dumny mąż zrobił ci jajecznicę i Bóg wie, co jeszcze, znalazłam to. Pomyślałam więc, że wpadnę i zapytam, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tej informacji. Oczywiście spóźnię się na plan i narobię kłopotów całemu zespołowi produkcyjnemu, ale chciałabym to załatwić. Bardzo mnie zaintrygowałaś. Wygląda na to, że korzystasz z jakichś wewnętrznych, ukrytych źródeł informacji. Skąd przyszło ci

324

do głowy, że mój mąż zamierza mnie opuścić? Co powiedział ci Nick?

- Nic. Nic mi nie powiedział, słowo daję, w ogóle o tobie nie rozmawialiśmy...

- W takim razie powiedział ci o tym ktoś inny, tak?
- Nie! Posłuchaj, nie mam pojęcia, dlaczego napisałem tę kartkę, to rzecz kompletnie bez znaczenia! Byłem na lekkim haju i... Wysiliłem się na kiepski żart, to była reakcja na te polecenia, które zostawiłaś dla Juanity czy kogoś tam... Napisałem, potem się zorientowałem, jakie to głupie i wyrzuciłem kartkę do kosza. Nie pomyślałem, że ją znajdziesz... - przerywam, nie mogę złapać tchu. - Julio, uwierz mi - mówię z naciskiem. - To prawda, słowo honoru. Myślałem o tobie przez pół nocy.
- Co za zbieg okoliczności! Ja też myślałam o tobie przez pół nocy. Myślałam o tym, że zawsze miałam przez ciebie same kłopoty i że nigdy, nigdy, nigdy nie pozwolę ci znowu zaistnieć w moim życiu. Myślałam o tym, że nie znoszę cię z całego serca, bo jesteś kłamcą, głupcem i kobieciarzem, i wciąż ci się wydaje, że jeśli włączysz ten swój cholerny urok, to wszystko ujdzie ci płazem. Ale nie, nie tym razem, więc nie kłam, dobrze? Nick coś ci powiedział, prawda? Wiem, że musiał ci coś powiedzieć, przestań go osłaniać, to bez sensu! Od jak dawna to trwa? Kim ona jest? Chryste, jesteśmy małżeństwem z dwudziestoletnim stażem, mamy dwoje dzieci, Tom ma dopiero dziewięć lat! Powiedz mi wszystko, co wiesz, już!

Dzieje się coś strasznego. Głos Julii drży, pod jej słowami płynie, rwie potężna rzeka emocji.

- Daj spokój... - zaczynam. - Cholera jasna... Julio, proszę cię, nie płacz! Nie płacz! Przysięgam, dam ci uroczyste słowo honoru, Nick nic mi nie powiedział...
- I tak mam to gdzieś! - Julia głośno i z trudem przełyka ślinę, dławi się własnym oddechem. - Z tym facetem żyje się jak z pomnikiem, niech wreszcie spierdala...

325

Zamieram i dopiero po chwili dochodzę do siebie po wstrząsie.

- Wcale tak nie myślisz - odzywam się w końcu. - Tylko tak mówisz, naprawdę, uspokój się...

I trochę niezgrabnie, niepewnie, bo po prostu nie wiem, co mam zrobić, otaczam ją ramionami. Julia sztywnieje i przez sekundę wydaje mi się, że zaraz wymierzy mi policzek, lecz nagle z jej oczu zaczynają płynąć łzy. Wzdycha, rzuca jakieś przekleństwo, krztusi się szlochem i z mocno zaciśniętymi powiekami robi krok w moją stronę. Wtula twarz w koszulę i wybucha gorzkim płaczem. Te łzy robią na mnie wrażenie - w ostatnich latach trudno mi było uwierzyć, że alfa Julia, cesarzowa mody, potrafi płakać (chyba że krokodylimi łzami). Wmówiłem sobie, że jest zimną, twardą suką alfa. Był to oczywisty błąd - widziałem już przecież płaczącą Julię.



Byłem świadkiem, jak gorzko szlochała po wypadku Maisie i po śmierci Dziadka, gdy w parę miesięcy później powalił go udar.

Źle znoszę kobiece łzy. Dawniej budziły we mnie gniew, teraz uświadamiają mi, że jako pocieszyciel jestem do niczego. Tak czy inaczej, staram się robić, co w mojej mocy. Mamrocze łagodne, uspokajające uwagi, których wszyscy w takich chwilach potrzebujemy; odkryłem, że są naprawdę niezbędne, ponieważ ostatnio sam kilka razy pragnąłem je usłyszeć, a musiałem nauczyć się ich w ciągu długich miesięcy czuwania przy łóżku Joego. Głaszczę okryte kaszmirowym płaszczem plecy Julii i jej włosy, jej piękne włosy, obcięte, podobnie jak u Finn, krótko, na chłopaka. Wśród tej obfitej, puszystej fali złota tu i ówdzie widać srebrzyste nitki. Ponad głową Julii patrzę na czarną limuzynę z niewidocznym kierowcą, który uparcie nie wyłącza silnika; nieprzyjemny zapach ropy nasącza chwasty rosnące w moim ogródku. Dopiero się rozwidnia. Jest zimno. Z pewnej odległości dobiega szum, warkot ulicznego ruchu, odgłos miasta, wielkiej bestii, jaką jest miasto, głos budzącego się potwora.

Kiedy tak stoję w progu mojego domu, pocieszając Julię,

326

ogarnia mnie uczucie dziwnego prawie spokoju. Powtarzam sobie, że w końcu jestem przydatny, komuś potrzebny. Kobiety lubią mieć kogoś, komu mogą się wypłakać, mawiał Joe. Była to jedna z rzeczy, w które szczerze wierzył, chociaż podejrzewam, że Joe, cnotliwy wdowiec przez pięćdziesiąt lat, niewiele wiedział o kobietach. Moje wysiłki przynoszą jednak pożądany rezultat; patrzę na to z dystansu, jak przez grubą szybę, które to uczucie wynika najprawdopodobniej z braku chemicznych środków stymulujących, ale widzę, że Julia uspokaja się powoli i ja także osiągam stan miłego, kojącego zadowolenia, co, jak sobie mówię, świadczy o pewnych postępach. Nie tak wyobrażałem sobie pierwszy dzień nowego życia, lecz jestem gotowy zmierzyć się z rzeczywistością. Za chwilę Julia weźmie się w garść, odprowadzę ją do samochodu - i będzie po wszystkim. A jeżeli Nick naprawdę ją zdradza, to sam powinien jej to wyznać - ja zamierzam trzymać się z daleka. Gdybym zaangażował się w tę sytuację, tylko bym ją pogorszył, co do tego Julia ma całkowitą rację. Oto jeszcze jedna lekcja, jaką udało mi się opanować, chociaż naprawdę nie rozumiem, skąd ta dziwna zależność, dlaczego moje interwencje zawsze prowokują katastrofalne krótkie spięcia. I dzieje się tak od dnia moich narodzin, na miłość boską...

Julia przestaje płakać.

- Jesteś strasznie wychudzony... - odzywa się stłumionym głosem, nie odrywając głowy od mojego ramienia. - Jesteś potwornie chudy, a kiedyś byłeś taki silny... Co

się z tobą stało?

- Och, sama wiesz, jak to jest... Życie, wiek i tak dalej. Prochy na pewno też nie sprzyjają utrzymywaniu tężyzny fizycznej...

- Przestałeś brać? - Julia odsuwa się ode mnie na długość ramienia, unosi głowę i patrzy na mnie uważnie.

- Wczoraj jeszcze brałem, dzisiaj już nie, ale jest dopiero szósta rano.

327

- Mimo wszystko to już coś - mówi. - Cieszę się, że zamierzasz więcej nie brać...

Przerywa, waha się, robi krok do tyłu. Odgarnia włosy z czoła; na smukłym przegubie jej dłoni połyskuje wąska srebrna bransoletka. Ogarnia wzrokiem ulicę.

- Dość publiczne miejsce... - podejmuje. - Kiedy ostatnim razem trzymałeś mnie w ramionach, nikomu nie rzucaliśmy się w oczy... Naturalnie było to dawno temu. Przyjmuję twoje przeprosiny i także bardzo cię przepraszam. Nie powinnam była napadać tak na ciebie z samego rana. Ostatnio ciężko pracuję, mam mało czasu i prawie nie odpoczywam, wiesz, jak to jest... Żałuję, że... - zawiesza z wahaniem głos. - Muszę już lecieć, Dan...

- Musisz? - słyszę swoje pytanie. - Naprawdę musisz? Czy twój zespół produkcyjny nie mógłby jeszcze trochę poczekać? Zaparzę kawę, Julio, może nawet zrobię ci śniadanie... Zawarlibyśmy pokój nad jajkami na bekonie... Chętnie zjem z tobą śniadanie. Czuję, że moglibyśmy...

Nie kończę zdania. Jeszcze przed sekundą Julia patrzyła na mnie spokojnie, z namysłem i chyba była gotowa przyjąć zaproszenie, lecz teraz jej wzrok przyciąga coś za moimi plecami. Na jej twarzy pojawia się wyraz przerażenia i niedowierzania. Wygląda tak, jakby zobaczyła ducha.

Oglądam się i widzę, że Frankie, dziewczyna od środka na orgazm doskonały, wybrała właśnie tę najgorszą z możliwych chwil, aby zmanifestować swoją obecność. Kompletnie zapomniałem o jej istnieniu, tymczasem ona akurat teraz weszła do holu, leniwie przecierając zaspane oczka. Jest bosa, zdjęła wysprejowane dzinsy i ma na sobie tylko ten cholerny gorset z czarnej koronki i koronkowe majtki. Wygląda jak erotyczne marzenie o nastolatkach wszystkich mężczyzn świata, ale nie moje. Fatalne wejście. Czy zawód i wstyd mogą być śmiertelne? Moim zdaniem tak.

Frankie podwija palce u nóg i wydaje serię cienkich okrzyków, biadając nad kontaktem z zimnymi kafelkami podłogi.

Potem przeciąga się rozkosznie i biegnie ku mnie na paluszkach, radosna jak skowronek. Odwracam się i rzucam jej spojrzenie, którego siła obróciłaby w proch większość kobiet, okazuje się jednak, że Frankie stworzona jest z solidniejszego surowca.

- Czuję się wspaniale, Dan! - obwieszcza. - Teraz wezmę szybciutki prysznic, a potem możemy wskoczyć do łóżka i pieprzyć się jak króliki, co ty na to?

Nagle dostrzega Julię. Obie patrzą na siebie w milczeniu. Krew powoli odpływa z twarzy Julii.

- Fanny? - mówi Julia. - Jezu Chryste... Fanny, co ty tutaj robisz?

- Chyba widać, co ja tutaj robię - odpowiada butnym tonem Frankie. - Spędziłam tu noc i z całą pewnością nie spodziewałam się, że zaraz po przebudzeniu zastanę na progu własną matkę...

Zapada skomplikowana cisza. Bardzo długa cisza.

- Wydaje mi się, że zaszła tu jakaś pomyłka... - odzywam się wreszcie.

Powtarzam to raz, drugi i trzeci.

Jakiś czas później mówię sporo innych mądrych rzeczy, na przykład: "Chwileczkę, chwileczkę...", "Zachowajmy spokój, dobrze?", "Frankie, może byś się ubrała?" i "Julio, naprawdę, dochodzisz do zbyt pochopnych wniosków..." Żadna z nich mnie nie słucha. Prawdopodobnie nic do nich nie dociera, ponieważ krzyczą i wrzeszczą. Wiecie, jakie są kobiety...

Dochodzi do sceny hałaśliwej i epickiej - Sofokles, opera mydlana i Wagner, trzy w jednym. Jeśli chodzi o sąsiadów, to bez wątpienia jest to najbardziej fascynująca rzecz, jaka zdarzyła się w Highbury Fields od 1308 roku. Ludzie, którzy wybrali się na poranny spacer z psem, stają jak wmurowani. Para staruszków, mieszkająca w domu obok, wychodzi na ganek w szlafrokach i z podziwem obserwuje przebieg wydarzeń. Szofer Julii wysiada z samochodu, zbliża się, rozmyśla i wycofuje

na strategiczną pozycję. Malc i jego wesoła kompania nadchodzą alejką, zajmują miejsca w pierwszym rzędzie i gapią się, wykrzykując paskudne komentarze i wulgarnie zachęcając damy do walki.

- O, patrzcie, to ta ładna kobieta z telewizji! - zauważa staruszka sąsiadka.

Wtedy właśnie Frankie, czyli Frances, czyli Fanny Marlow, kompletnie traci panowanie nad sobą.

- Spierdalaj, ty stara wścibska krowo! - wrzeszczy na całe gardło, wybiegając na schody w skąym stroju i wywołując falę obraźliwych, obscenicznych uwag ze strony Malca i spółki. - A wy się odpieprzcie, dupki! Spadajcie, kutasy! - dodaje, wykonując gest pełen tak otwartej agresji i wulgarności, że nawet ja jestem porażony.

No, no, czego to można się nauczyć, kiedy pracuje się w obsłudze zespołu rapowego... Julia o twarzy białej jak prześcieradło, która już z piętnaście razy powtarzała Fanny, aby wreszcie się ubrała i natychmiast zabierała z tego domu, chwyta się za głowę.

- Dostyc tego! - mówi. - Dzwonię do twojego ojca, on sobie z tym poradzi!

Z torby wyjmuje jedną z tych cegieł, z którymi z taką satysfakcją obnoszą się japiszony, jeszcze większą od cegły Malca. Wyciąga antenę i zaczyna wybierać numer.

- No, świetnie, po prostu świetnie, kurwa! - wrzeszczy Fanny. - Ale z ciebie suka! Niszczysz mi życie, ciągle się wtrącasz, gdzie jestem, z kim się widuję, dlaczego nie mogę wrócić na pieprzony uniwersytet i zrobić pieprzonego dyplomu jak każdy normalny, kurwa, człowiek! Nie mogę oddychać, kurwa! Nienawidzę cię! Dlaczego nie miałabym się przespać z Danem?! Bo mógłby być moim ojcem?! I co z tego?! Mam dziewiętnaście lat, kurwa! I co, w tym wieku mam być może dziewicą?! O co ci chodzi?! Wiem, o co - sama go chcesz, chcesz każdego faceta i nie możesz się doczekać, kiedy padnie przed tobą na twarz i zacznie oddawać ci boską cześć, kurwa!

330

Ale ja znalazłam jedyne gościa, który cię nie uwielbia! Nienawidzi cię, zawsze cię nienawidził! Zdziwko, co?! I nie chce ciebie, tylko mnie - możesz powiedzieć to tacie, skoro już i tak, kurwa, do niego dzwonisz!

- Mogę wtrącić słówko? - odzywam się. - Mógłbym coś wyjaśnić?

- Nie, nie mógłbyś, kurwa! - drze się Elektra, podczas gdy Julia zaczyna mówić do cegły. - Nie wtrącaj się, palancie! Znikam stąd, mam już tego powyżej uszu!

Znika, z rozmachem zatrzaszkując za sobą drzwi salonu. Po dwóch sekundach wraca, całkowicie ubrana. Brzęcząc bransoletkami, przepycha się obok mnie, obok Julii i wypada na ulicę. Julia nadal gada do cegły. Nie słyszę, co mówi. Nie słyszę odgłosów ulicznego ruchu ani okrzyków i gwizdów, które wznoszą Malc i jego kompania. Nic nie słyszę, jestem na dalekiej białej pustyni. I to by było tyle, jeśli

chodzi o pierwszy dzień mojego nowego życia, myślę. Tym razem to naprawdę koniec przyjaźni z Nickiem.

Julia kończy rozmowę. Wpycha antenę do środka cegły i wraca do mnie. Obrzuca mnie długim spojrzeniem, jej oczy lśnią.

- Nie mogę uwierzyć, że nawet ktoś taki jak ty jest w stanie upaść aż tak nisko - mówi niebezpiecznym tonem. - Zraniłeś mnie w przeszłości. Ale Fanny? Fanny to jeszcze dziecko! Zawsze cię uwielbiała! Jak mogłeś zrobić coś takiego?!

- Pozwolisz mi to wyjaśnić? - zaczynam. - Dasz mi wtrącić chociaż jedno pieprzone słowo? Przecież nie miałem pojęcia, że to Fanny! Przedstawiła się jako Frankie, jakim cudem mogłem ją poznać? Nie widziałem jej dziewięć lat! Była dzieckiem, kiedy rozmawiałem z nią ostatni raz, ale jeżeli teraz jest dzieckiem, to ja jestem papieżem! Możesz mnie chwilę posłuchać, Julio?

- Och, błagam, nigdy nie słyszałam czegoś tak idiotycznie śmiesznego! Chcesz mi wmówić, że moja córka udawała kogoś innego?!

331

- Tak, tak! Zrobiła to, bo doskonale wiedziała, że gdybym się zorientował, kim jest, natychmiast zadzwoniłbym do Nicka! Posłuchaj, przysięgam, że spędziła noc na kanapie w salonie, sama, chciałbym podkreślić! Spotkałem ją na jakimś przyjęciu blisko rok temu, tylko raz, słowo daję! I nagle wczoraj wieczorem, ni z tego, ni z owego zjawiała się przed moim domem i odegrała rolę godną Oscara, słowo daję! Skłamała, że... - przerywam, przypominam sobie wszystkie te pytania o Finn. - Cholera jasna, nałgała, że aż się kurzyło! Najważniejsze było jednak to, co powiedziała na koniec - że jej chłopak wyrzucił ją na zbitą twarz, i że jeśli nie pozwolę jej tu przenocować, pójdzie na ulicę...

- Nie zamierzam dłużej tego słuchać! - warczy Julia. - Stać cię na lepszą bajkę, Dan! Fanny nie zjawiała się przed twoim domem, bo akurat wczoraj dziwnym zbiegiem okoliczności była w domu, a ty z nią rozmawiałeś, prawda? Kiedy Nick poszedł na górę do Toma i zostawił cię samego, od razu skorzystałeś z okazji i przypuściłeś atak na Fanny! Zagadałeś, włączyłeś dobrze znany nam wszystkim obezwładniający urok i namówiłeś ją, żeby tu przyszła! To takie oczywiste, cholera jasna!

- Co takiego? Własnym uszom nie wierzę! Słuchaj, przecież ja w ogóle nie wiedziałem, że Fanny tam była, na miłość boską! Było tak - przyszedłem do was, Tom był w swoim pokoju z nianią, Nick zrobił mi kolację i usiedliśmy w kuchni, żeby porozmawiać, tylko we dwóch. Potem, koło wpół do dziesiątej niania, której nie widziałem na oczy, zawołała z góry, że...

- Jaka niania?! Niania miała wczoraj wolne, Tomem zajmowała się Fanny!
- Nie wiedziałem o tym, Julio! Nie widziałem Fanny, uwierz mi, nie rozmawiałem z nią...
- Och, daj spokój! - przerywa. - Na pewno umówiłeś się z nią bez trudu, bo zawsze się w tobie podkochiwała, nie udawaj tylko, że o tym też nie wiedziałeś! Umiesz korzystać

332

z chwili, to trzeba ci przyznać! Kiedy wysiadałam z taksówki pod domem, Fanny właśnie się wymykała. Oczywiście okłamała mnie... Powiedziała, że wybiera się do jakiegoś klubu, a ja nie miałam ochoty się z nią wyklócać! Ty wyleciałeś za nią, nic dziwnego, że tak szybko się pożegnałeś! Właśnie tak cenisz sobie pomoc Nicka i jego zaufanie - ledwo wyszedł z kuchni, ty już umówiłeś się na randkę z jego córką!

- Na randkę?! Nie rozumiesz, kiedy się mówi po angielsku, Julio?! Patrz na moje usta - nie rozmawiałem z Fanny u was w domu, nie zapraszałem jej tutaj, kiedy się zjawiała, nie poznałem jej, z czego ona świetnie zdawała sobie sprawę! Była zdenerwowana, w każdym razie tak to wyglądało, więc... Więc po prostu okazałem jej trochę serca! Próbowałem jej pomóc, do cholery! Nawet jej nie dotknąłem! Zrobiłem kawę, dałem herbatniki, i tyle, koniec, kropka!

- No, teraz wreszcie wszystko rozumiem! Twierdzisz, że moja córka jest oszustką i fantastką, tak? I to jej wina, tak? Ależ z ciebie tchórz! Na miłość boską, znam cię na wylot, poznaliśmy się, kiedy miałam jedenaście lat! Zawsze ganiałeś za spódniczkami, pieprzyłeś się z każdą głupią chętną dziewczuchą od Wykenfield po Ipswich! Wszystkie one dosłownie śliniły się na twój widok! Jak ci się wydaje, dlaczego Finn z tobą zerwała?! Bo wiedziała, jaki jesteś, i nie mogła tego znieść! Zresztą, kto by to wytrzymał?! Nigdy się nie zmienisz, do końca swojego smętnego życia będziesz pieprzonym Casanovą z przeceny! Kobiety rozmawiają między sobą, wiesz? Nie chcę nawet myśleć o tym, ile zламаłeś serc i ilu kobietom zniszczyłeś życie przez tę swoją cholerną próżność i wieczne poszukiwanie szybkich, tanich numerków! Robi mi się niedobrze, kiedy na ciebie patrzę! Nienawidzę takich facetów jak ty, gardzę wami! I nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, dlaczego to zrobiłeś! Sprawa jest jasna jak słońce, chodzi o moją córkę! Jak śmiesz stać tu przede mną i opowiadać mi te wszystkie obrzydliwe kłamstwa?! Na własne uszy słyszałam, co do ciebie powiedziała!

333

Julia podchodzi bliżej, teraz jest już na stopniu obok mnie. Nie jestem w stanie dłużej

jej słuchać, jej groteskowe, fałszywe oskarżenia naprawdę mnie ranią.

- Mam dosyć, wystarczy - mówię. - Chcę tylko, żeby jedno było jasne - akurat tym razem nie zrobiłem nic złego. To nie moja wina. Fanny jest... Cóż, Fanny ma pewne problemy, łagodnie mówiąc...

- Słucham?!

- Ma problemy, Julio. Jest zagubiona, nie wie, co robić...

- Chcesz powiedzieć, że moja córka jest nieźrównoważona?!

Z trudem powstrzymuję się przed wyjaśnieniem, że Fanny jest szaloną kocicą z piekła rodem, najbardziej toksyczną nastolatką, jaką miałem nieszczęście spotkać.

- Fanny nie może dojść z sobą do ładu, to rzuca się w oczy - mówię. - Ludziom zdarzają się takie rzeczy, zwłaszcza w tym wieku, chyba o tym wiesz. I nie ma to nic wspólnego ze mną, ja zostałem tylko wrobiony w sytuację, której nawet nie zacząłem jeszcze rozumieć, a to dlatego, że twoja córka wtargnęła do mojego domu, posługując się kłamstwem i sztuką aktorską. Tak, śmiało można powiedzieć, że jest trochę zagubiona i zbuntowana, poza tym bardzo umiejętnie kłamie i manipuluje, bądźmy szczerzy. Wszystko to razem ma związek z twoim stosunkiem do Fanny i vice versa, natomiast żadnego ze mną. Mogłaś o tym pomyśleć, zanim postanowiłaś wciągnąć w tę sprawę Nicka...

- Uważasz, że nie jest to sprawa mojego męża?! Najlepszy przyjaciel Nicka pieprzy się z jego córką, a ja mam starannie unikać angażowania go w tę sytuację?!

- Nie tknąłem jej, Julio, do cholery! Nie chcę ranić Nicka! Cenię jego przyjaźń o wiele bardziej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić...

- Ty żaloszny kłamco! Nie masz zielonego pojęcia, czym jest przyjaźń!

- I właśnie ta przyjaźń sprawia, że nie mam wielkiej

334

ochoty wyjaśniać mu, iż jego córka jest rozwiązłą, kłamliwą małą suką, która o mały włos nie weszła mi do łóżka, ponieważ ma zajoba na punkcie seksu! Że jest dokładnie taka sama jak jej cholerna mamusia, innymi słowami...

Błąd. Julia rzuca mi spojrzenie, które mogłoby obrócić w proch najtwardszą stal i zanim jestem w stanie powiedzieć coś więcej, podnosi uzbrojoną w dość ciężki telefon rękę i mocno, z całej siły wali mnie cegłą w twarz.

## Rozdział Dwudziesty Drugi.

### CO BIERZE BÓG?

Niedługo po tym epizodzie, powoli, z trudem podnoszę się ze schodów, na których spoczywałem w pozycji półsiedzącej. Wstaję, otrzepuję ubranie i zaczynam od początku. W mgnieniu oka wychodzę z domu i wyruszam do Wykenfield.

No, dobrze, przyrzekłem sobie, że będę tu pisał tylko prawdę, więc muszę przyznać, że było inaczej. Miałem przerwę w życiorysie. Nie wiem, jak długo trwała - dziesięć minut, może piętnaście. Kiedy oprzytomniałem, odkryłem, że sprawnie działa tylko jedno z moich oczu, że jestem w stanie zaawansowanego wychłodzenia organizmu i że moja czysta koszula poplamiona jest krwią. Usiadłem, bardzo ostrożnie.

Popatrzyłem na mokry świat. Zorientowałem się, że siedzę na progu własnego domu. Julia zniknęła, razem ze swoją limuzyną. Malc i jego weseli towarzysze także. Po drugiej stronie ulicy stał policyjny radiowóz, a obok niego, odwróceny plecami do mnie, drapiąc się po głowach, dwaj policjanci. Jeden wyglądał na dwunastoletniego chłopca, drugi na karzełka, czyli osobę o ograniczonych możliwościach wzrostu, zgodnie z określeniami stosowanymi przez ludzi poprawnych politycznie. Od razu odgadłem, co się stało. Ktoś wezwał policję - w tej okolicy to odruch - i najprawdopodobniej podał niewłaściwy adres. Teraz przedstawiciele prawa nie bardzo wiedzieli, co robić. Wleźli z powrotem do swojego malutkiego radiowoziku, pojeździli po ulicy, w jedną i drugą stronę,

336

a potem odjechali. Powinienem był poprosić o pomoc, ale tego nie zrobiłem, jak zwykle - oto historia mojego życia w skrócie.

Gdybym był dawnym sobą, wysokim, silnym Danem z lat młodości, cała ta historia w ogóle by się nie wydarzyła. Ale dwie dekady uganiania się za własnym ogonem zrobiły swoje i, jak zauważyła Julia, teraz jestem cieniem dawnego Dana.

Tymczasem Julia nadal jest silna (dam sobie rękę uciąć, że regularnie ćwiczy na siłowni) i supersprawną jak zawsze, więc nieźle przywaliła mi tą cegłą.

Przetrawiałem jeszcze jej oskarżenia - uwaga o "Casanovie z przeceny", zjadliwa nieprawda, dosłownie posłała mnie na deski. Cios Julii całkowicie mnie zaskoczył - nie spodziewałem się go i to mnie wykończyło. W trakcie tego zdarzenia coś



uszkodziło moją czaszkę, na szczęście tylko z zewnątrz; pewnie była to duża metalowa klamka albo płyty posadzki. Złośliwość przedmiotów martwych, nie wspominając już o kobietach, niewahających się przed zadaniem morderczego ciosu, pozbawionych zdolności racjonalnego myślenia i mściwych, jest doprawdy niewiarygodna, cholera, pomyślałem. I nawet piekło nie zna furii podobnej do wściekłości obrażonej kobiety...

Jakiś czas później podnoszę się i robię następujące odkrycia (kolejność nieistotna). Odkrywam, że nie mam żadnych środków przeciwbólowych, ponieważ wszystkie poszły do zlewu razem z wódką. Odkrywam, że lewa strona mojej twarzy ma barwę fowistycznego zachodu słońca i puchnie niczym lśniąca drożdżowa buła. Widzę rozcięcie, o centymetr ominęło oko, którego nie mogę otworzyć, ponieważ jest zbyt spuchnięte. Dowiaduję się, że w czasie gdy leżałem na progu, doświadczając wspomnianej wyżej przerwy w życiorysie, zadzwonił Nick i zostawił wiadomość na sekretarce automatycznej, którą zapomniałem wyłączyć. Słyszę teraz jego głos, mówiący, że musi pilnie zająć się dwoma pacjentami i będzie w szpitalu do południa, a później od razu przyjedzie do mnie, abym wytłumaczył mu się ze swego zachowania.

337

I jeszcze jedna rzecz, ostatni cios - w tym samym czasie odwiedzili mnie goście. Nie zdążyli wyrządzić wielu szkód, ponieważ musieli się spieszyć, nie mieli też właściwie co ukraść, lecz teraz, gdy jestem już londyńczykiem, wiem, że brak łupów tylko ich rozwściecza. I rzeczywiście, kiedy w końcu wchodzę do salonu, odkrywam, że porznęli i wybebeszyli białą mediolańską kanapę, wysprej owali na ścianach rozmaite wulgaryzmy, nasikali do kominka i podarli na drobniutkie kawałeczki kupon książkowy Finn. Szlak białego konfetti prowadzi do kominka - z parapetu zniknęła kula z kości słoniowej.

Długo, bardzo długo wpatruję się w puste miejsce po kuli. Stoję na środku mojego zniszczonego pokoju, mojego splugawionego życia - w każdym z tych dwóch przypadków wiem, kto ponosi winę za ten stan rzeczy, kto za to odpowiada.

Jeszcze później, kiedy odzyskuję odrobinę spokoju, podejmuję decyzję. Wychodzę z domu, niosąc dwa listy i małą torbę z ubraniami, które będą mi potrzebne w Wykenfield. Są to głównie swetry, kilka ciepłych swetrów, ponieważ w domku, który dzierżawiła moja rodzina, nie ma ogrzewania. Ledwo widząc, truchtam przed siebie ulicą i, tak jak miałem nadzieję, spotykam potężnego Malca wraz z pięcioma potężnymi, zakapturzonymi niczym mnisi towarzyszami. Jak zwykle stoją na rogu. Zatrzymuję się, bo nie zamierzam więcej marnować czasu. Pieprzyć kodeks ulicy,

myślę. Miałbym wielką ochotę stłuc Malca na kwaśne jabłko, ale ponieważ nie jest to możliwe - mam inne zajęcia i nie mogę sobie jeszcze pozwolić na gwałtowny zgon - muszę posłużyć się podstępem.

Na początek życzę Malcowi przyjemnego poranka.

- Szacunek, facet - odpowiada.

W odpowiedzi na tę jakże dowcipną uwagę wszyscy uśmiechają się szeroko i otaczają mnie kołem. Malc przedstawia swoją opinię o Fanny i Julii, absolutnie własnymi słowami, które naprawdę nie wymagają cytowania ani komentarza.

Dlaczego odczuwam dziwną, wręcz perwersyjną potrzebę

338

traktowania wszystkiego w lekki, niby to beztroski sposób? Dlaczego udawałem, że Malc jest zabawny? Nie jest. Z bliska dokładnie widać, że Malc to blisko sto kilo żywej wagi niebezpiecznego miejskiego bandziora. Patrząc na mnie z wściekłą nienawiścią i pogardą, które to uczucia w pełni odwzajemniam, Malc sugeruje, że chętnie zająłby się Fanny, Julią, w ogóle wszystkimi kobietami, a także moją już i tak sponiewieraną twarzą. Patrę prosto we wrzące oczy Malca - psychoza w rozkwicie, oto moja diagnoza. Zaawansowana paranoja i chroniczna wściekłość, pewnie w dużym stopniu pod wpływem prochów. Kiedy kumple Malca zaczynają na mnie napierać, przerywam.

- Słuchaj, jakiś dupek przed chwilą zrobił mi paskudny kawał - mówię. - Podczas gdy leżałem nieprzytomny w holu, ten kundel wdarł się do domu, przeskakując moje bezwładne ciało, obsprejował ściany i wykorzystał mój kominek, aby zademonstrować potrzebę znakowania terytorium. Co więcej, ukraść kulę z figurkami, wykonaną z kremowego plastiku, mniej więcej wielkości piłki tenisowej, kapujesz? Moja biedna stara matka podarowała mi ten bezwartościowy przedmiot tuż przed swoją tragiczną śmiercią w męczarniach. Jeśli ten durny błazen, kretyn, obdarzony kompleksem Edypa syn ulicznicy spróbuje sprzedać wspomnianą kulę, to wiesz, ile za nią dostanie? Jakies pięćdziesiąt pensów, najwyżej, a za taką sumę nie kupi zbyt wielu torebek z białym proszkiem, prawda? Mam więc do ciebie prośbę, bracie - gdybyś przypadkiem wpadł na tego gnojka, przekaż mu, że może odsprzedać mi kulę za dwadzieścia funtów, gotówką, bez żadnych pytań, wiesz, o co mi chodzi. To uczciwa propozycja, więcej dać nie mogę.

Wygłaszam ten apel bardzo szybko. Czuję, że jestem odważny i rozzłoszczony, ale na pewno nie jestem kompletnie głupi. Zrozumienie i przetrwanie moich słów trochę trwa, lecz zdrowy argument ekonomiczny w końcu zwycięża, jak miałem nadzieję. I

oto na moich oczach zdarza się cud: jeden

339

z bandziorów właśnie przed sekundą znalazł pod żywopłótem, przy którym stoimy, przedmiot dokładnie odpowiadający przedstawionemu przeze mnie opisowi kuli. Bandzior wręcza mi przedmiot, ja chowam go do torby, wręczam dwudziestkę i oddalam się szybkim krokiem. Podejrzewam, że wrogość, jaką Malc do mnie czuje, od początku atawistycznie głęboka, teraz jeszcze wzrosła. Jego czoło marszczy się, brwi ściągają. Proces myślenia trochę potrwa, ale koraliki zardzewiałego umysłowego liczydła powoli zaczynają się przesuwac. Gdyby Malc zdał sobie sprawę, że zrobiłem go w konia, byłbym w poważnych kłopotach, lecz w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. Tam, dokąd się wybieram, będę poza zasięgiem łap Malca oraz jemu podobnych indywiduów.

Następny punkt planu: muszę odwiedzić Lucasa w Ladbroke Grove i przeprowadzić przesłuchanie. Wcześniej mam jeszcze coś do załatwienia, więc zbaczam z drogi. Szybko pokonuję fragment Upper Street i już po dwóch przecznicach zaczyna brakować mi tchu - przyczyną tego zjawiska w dużym stopniu jest spożycie marlboro, chociaż ból, głęboki emocjonalny kryzys oraz ostatnie traumatyczne doświadczenia też nie są bez znaczenia. Problem ten należy rozwiązać. Utykając, wchodzę do najbliższej apteki i wyjaśniam, w czym rzecz. Dwie ładne i czarujące dziewczyny za ladą przyglądają mi się ze współczuciem.

- Proszę panie o pomoc - mówię, zdając się na ich łaskę.

Sprzedają mi osiem opakowań plastrów niconix oraz osiem paczuszek gumy o tej samej nazwie. Chichoczą, ostrzeliwiają mnie uwodzicielskimi spojrzeniami i zgadzają się zademonstrować, jak najlepiej aplikować wspomniane środki. Jedna podwija mi rękaw koszuli, druga przykleja plaster, poświęcając temu zajęciu dużo więcej czasu niż trzeba. Biorąc pod uwagę stan mojej twarzy, czuję się podniesiony na duchu. Może nie do końca straciłem jeszcze umiejętność podbijania damskich serc, kto wie... Mam gdzieś Julię i jej oskarżenia, bo

340

co w tym złego? Te dziewczyny naprawdę są ładne i rozmowa z nimi poprawiła mi nastrój, na chwilę.

Po wyjściu z apteki dochodzę do wniosku, że jeden plaster to za mało, więc przyklejam jeszcze dwa i próbuję gumy. Ma tak ohydny smak, że po prostu musi świetnie działać. Idę dalej. Do domu Nicka docieram parę minut po dziewiątej - niezły wynik, jeśli się pamięta o komplikacjach i kłódach, jakie tego ranka rzucił mi

pod nogi ten faszysta, siedzący na krześle reżysera. Wchodzę po schodach.

Drzwi otwiera niania - właśnie na to liczyłem. Jest młoda i wcale nie nazywa się Juanita czy Perpetua (w porządku, przyznaję się, wymyśliłem tę Perpetuę), tylko Ingrid. Pochodzi ze Sztokholmu i... I od razu nawiązuje się między nami nić sympatii. Nie ma wątpliwości, że Ingrid wie, kim jestem, i została przede mną ostrzeżona. Czy ma to jakiś wpływ na jej procesy myślowe? Nie. Jako kobieta o niezależnym charakterze i umyśle, zamierza samodzielnie dokonać oceny mojego charakteru. Odbywamy przyjemną dyskusję o Szwecji i tym filmie Bergmana, w którym bohater gra w szachy ze Śmiercią. Zajmuje nam to mniej więcej trzy minuty. Ingrid mówi, że nie wyglądam zbyt zdrowo i że właśnie zamierza zaparzyć sobie kawę, który to napój mógłby i mnie dobrze zrobić. Jestem człowiekiem honoru i nie chcę mnożyć swoich przestępstw, więc dziękuję i odmawiam.

Daję Ingrid dwie koperty, z których każda zawiera krótki list. W tym zaadresowanym do Fanny piszę: Droga Fanny, wiem, że mogę być pewny, iż powiesz prawdę Nickowi i Julii. Wydaje mi się, że naprawdę powinnaś to zrobić, nie sądzisz? Nie mam do Ciebie żalu i życzę szczęścia, Dan.

A oto list do Nicka: Drogi Nicku, zaszło nieporozumienie, które Fanny dokładnie Ci wyjaśni. Wyjeżdżam dziś z kraju - wydaje mi się, że w tej chwili to najlepsze rozwiązanie. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Serdeczne ucałowania dla Ciebie i Julii, Dan.

Biorąc pod uwagę, że napisałem oba w stanie oszołomienia,

341

zakrwawiony i oślepiiony, wydają się jak najbardziej sensowne. Są zwięzłe i rzeczowe - Maisie byłaby ze mnie zadowolona. Przykro mi, że okłamuję Nicka co do mojego wyjazdu, ale nie da się tego uniknąć. Nie chcę, żeby jechał za mną do Wykenfield, ponieważ z czekającymi mnie zadaniami muszę zmierzyć się sam.

Tak więc wręczam listy Ingrid i w chwili, kiedy zamierzam się pożegnać, zdarza się coś, czego kompletnie nie przewidziałem. Zza spódnicy Ingrid wychyla się mała postać.

- Cześć, Dan - mówi cichy głos.

To Tom. Tom, mój chrzestny syn, którego ostatni raz widziałem przed czterema laty. Zawsze darzyłem go serdecznym uczuciem i... I nie jestem przygotowany na to spotkanie. Nie radzę sobie zbyt dobrze, a szczerze mówiąc, w ogóle sobie nie radzę. Nagle odkrywam, że oczy mam pełne łez, których nie potrafię powstrzymać. Mam

ochotę usiąść na progu i zacząć wyc. Zapłakać po wszystkim, co straciłem, co odepchnąłem - przyjaźń, miłość, małżeństwo, dzieci, których nigdy nie będę już miał, sympatię tego małego, smutnego dziecka, z którym nie wolno mi się widywać, tego małego chłopca, którego przynajmniej w pewnym stopniu kocham tak, jak mógłbym kochać własnego syna.

Widzę, że Tom także został przede mną ostrzeżony, albo, co często zdarza się dzieciom, podsłuchał ostrą małżeńską dyskusję rodziców na temat moich wad i niedociągnięć, i w ten sposób dowiedział się, że jestem niekoszerny. W pierwszej chwili jego buzia rozjaśniła się na mój widok, lecz teraz maluje się na niej wahanie. Ingrid uświadamia sobie, że ryzykuje pracę i próbuje zagonić Toma do domu. Aż do tego momentu nie miałem pojęcia, jak czuje się parias; teraz mam wrażenie, że moje serce przebija potężny sztylet rozpaczy o poszarpanym ostrzu.

Patrzę na mojego chrzestnego syna. Jest niski jak na swój wiek i bardzo podobny do Nicka. Ma te same ciemne włosy i oczy, języka na głowie, tak jak Nick w jego wieku, i takie

342

samo poważne, pełne ufności spojrzenie. Opiera się wysiłkom Ingrid, która z wyraźnym zażenowaniem usiłuje nie dopuścić go do stojącego na schodach trędownatego. Tom wygrywa.

- Skaleczyłeś się, Dan - mówi.
- Wiem, wpadłem na drzwi. Idiota ze mnie, często nie patrzę, gdzie idę...
- Trzeba to zdezynfekować i przykleić plaster. Ingrid zaraz przyniesie elastoplast.

Syn lekarza, myślę. Większość ran da się wyleczyć. Czy istnieje bandaż, który można przykleić na złamane serce? Czy można naprawić umysł?

- Nie trzeba, Tom, naprawdę... - zaczynam. - Muszę już lecieć, to nieważne...
- Nie - odzywa się Ingrid, całkowicie mnie zaskakując. - Tom ma rację, pójdę po apteczkę. To rozcięcie może się łatwo zainfekować, na dodatek oko strasznie panu zapuchło. Chwileczkę...

Zostawia Toma w drzwiach, narażając go na wszelkie możliwe choroby, jakie mogłem ze sobą przywlec i znika w głębi domu.

- Nadal mam tego triceratopsa, którego mi dałeś - odzywa się Tom po chwili milczenia. - Trzymam go przy łóżku. Ale teraz bardziej interesuję się komputerami...

- Jasne - odpowiadam załamującym się głosem. - Człowiek musi iść do przodu...

- Dlaczego płaczesz?

- Nie płaczę. To przez to rozcięcie i opuchliznę... Oko mi łzawi, to wszystko.

- Nie trzeba się wstydzić, że płaczesz - mówi Tom poważnie i z przejęciem, lekko marszcząc czoło. - W szkole ciągle mówią, że chłopcy nie płaczą, że to dobre dla dziewczyn, ale tata uważa, że to bzdury. Mówi, że mężczyźni też mogą płakać, kiedy dzieje się coś naprawdę złego... - przerywa i patrzy na mnie niespokojnie. - Na przykład, gdy ktoś umiera - mężczyzna może wtedy płakać. Tata często płacze,

343

widziałem. Wczoraj wieczorem rozmawiał przez telefon, po twoim wyjściu, Dan, i bardzo płakał. Wszedłem akurat do pokoju, bo nie mogłem spać, i powiedziałem, że zawołam mamę, która sprzątała w kuchni po tej kawie, ale tata szybko odłożył słuchawkę i powiedział, że nie warto zwracać мамie głowy, bo to tylko katar sienny. Nigdy wcześniej nie miał żadnego uczulenia, ale ludzie ciągle się na coś uczulają...

- Masz absolutną rację - przytakuję pośpiesznie. - Co drugi człowiek cierpi dziś na alergię. Katar sienny to nic poważnego, nie musisz się martwić. Wywołują go zanieczyszczenia i...

Przerywam.

- Pyłki - uzupełnia Tom, patrząc na mnie smutnymi oczami. - Główną przyczyną takich uczuleń są pyłki.

- Tak jest! - postanawiam podjąć temat. - Winę ponoszą pyłki, a w Londynie nie brak ich nawet o tej porze roku. Nawet w styczniu, Tom. Rośliny nie obumierają, rozumiesz? To efekt zmian klimatycznych. Poza tym pyłki są wszędzie, przedostają się przez najmniejsze szczeliny, pod drzwiami i przez okna...

Widzę, że moja przemowa nie wydaje mu się przekonująca. Nagle nawiedza mnie natchnienie.

- Popatrz, Tom, są nawet tutaj... - wyciągam otwartą, pustą dłoń.

Tom przygląda jej się uważnie. Marszczy brwi. Przypomina sobie. Jego buzia się rozjaśnia. Podnosi wzrok i patrzy na mnie z nadzieją.

- Nic nie widzę, Dan.

- Popatrz - odpowiadam.

I - wciąż potrafię robić sztuczki z kartami i monetami, odziedziczyłem te zdolności, Bella wyszkoliła mnie, a ja nigdy nie zapomniałem jej nauk - wykonuję ten ruch ręką którego celem jest zmylenie oka widza. Po sekundzie Tom trzyma w ręku pięćdziesięciopensową monetę, którą wyczarowałem z powietrza - odwróciłem jego uwagę. Wraca Ingrid. Otwiera

344

duże czerwone pudełko z białym krzyżem i, pod czujnym okiem Toma, aplikuje jakąś kojącą maść na rozcięcie na mojej skroni, a następnie zakleja je różowym, lśniącym elastoplastem. Wspaniale. Niewątpliwie wyglądam teraz jeszcze bardziej idiotycznie.

Jednak te zabiegi chyba trochę mi pomagają, w każdym razie czuję, że doznałem czegoś dobrego. Moje serce zalewa potężna fala uczuć - miłości do Toma, którego nocne niepokoje bynajmniej nie są spowodowane przez szkołę, jak przed chwilą się dowiedziałem, współczucia dla Nicka, którego sytuacja jest poważniejsza, niż przypuszczałem, wdzięczności dla Ingrid, która okazała dobroć obcemu, naglej pewności, że błogosławieństwo dotyka nas wtedy, gdy zdajemy sobie sprawę z jego ulotności.

Dziękuję Ingrid. Całuję Toma w czoło i wypowiadam w myśli życzenie, a może modlitwę, aby jego droga była gładka i prosta, aby dorastał spokojnie i jak najpóźniej doświadczył krzywdy oraz cierpienia. W tej chwili życzę mu wszystkich dobrych rzeczy, jakich ojciec chrzestny może życzyć synowi.

To życzenie wydaje się mieć niezwykłą moc. Dziwne... Odwracam się i przystaję, aby jeszcze raz spojrzeć na Toma.

- Życzę ci dobrego dnia - mówię, zastanawiając się, czy to także zapamięta.

- A ja tobie jeszcze lepszego - odpowiada z szerokim uśmiechem.

Takiej formułki pożegnania nauczyła mnie Ocean, tysiąc lat temu. Mówiła, że jest to tradycyjna cygańska odpowiedź, którą jej przekazała prababka - oczywiście nie wiem, czy było tak naprawdę. Wciąż pamiętam, jak brzmiały te słowa w jej języku, w starym romskim. Wypowiadam je szeptem. Wiem, że nie zobaczę więcej Toma, że jest to nasze ostatnie spotkanie.

- Do widzenia, Tom - dodaję.

Zostawiam go. Widzę, jak macha, kiedy odchodzę ulicą.

Idę na Angel. Jest to moja ulubiona londyńska stacja metra - kiedy przyjechałem z Wykenfield i podjąłem pracę w agencji reklamowej, do której list podyktowała mi Maisie (tak, dzięki temu śmiesznemu listowi dostałem pracę, naprawdę!), znajdowała się najbliżej domu, gdzie razem z Nickiem wynajmowaliśmy marne, zaniedbane mieszkanie. Właśnie z Angel odjeżdżałem codziennie rano, a wieczorem, wyskakując na peron, myślałem: "Jestem w domu".

Bywa tu niebezpiecznie; szczerze mówiąc, stacja Angel cieszy się złą sławą. Większość stacji londyńskiego metra ma ścianę, odgradzającą dwie linie, tymczasem tutaj oddziela je peron. Kiedy czeka się na pociąg, szczególnie w godzinach szczytu, w każdej chwili ktoś może popchnąć cię czy szturchnąć, przeciskając się bliżej krawędzi, pozbawić równowagi i zrzucić na tory. Stojąc tam, czujesz podwójnie ssanie powietrza, coraz silniejsze, w miarę jak pociąg zbliża się do stacji, słyszysz potężny ryk i łomot przetaczający się tunelami oraz dudniące sygnały, wydobywające się z mrocznych ujść. Brzeg peronu od wibrujących elektrycznością torów dzieli niecałe półtora metra, gdyby spadło na nie dziecko, nie miałoby szans.

Gdy wchodzę na opustoszały peron, jest już po godzinie szczytu. Z przyzwyczajenia przyglądam się plakatom i oceniam je - jeden z nich wyszedł spod mojej ręki i jest częścią telewizyjnej, plakatowej i prasowej kampanii, którą zrobiliśmy dla "Garści prochu".

- Może wam się to nie spodoba, ale jest faktem, że ludzie chorują na syndrom znużenia współczuciem - powiedziałem wtedy. - Kiedy pierwszy raz widzą głodujące dziecko, przeżywają szok, ale później widzą ten sam obraz drugi, trzeci i czwarty raz, patrzą na niego, włączając telewizor i otwierając gazetę, i efekt znika. Ślepną na cierpienie, więc jeśli zależy wam, żeby sięgnęli po książeczki czekowe, musimy zrobić coś innego...

Dopiąłem swego. Zwykle osiągałem cel. Nie przedstawiliśmy

zdjęć głodujących dzieci, przerażających ujęć ze szpitali polowych ani informacji, gdzie je wykonano. Sfilmowaliśmy tylko kilka z wielu, naprawdę wielu pogrzebów - małe groby, malutkie trumienki i dłonie matek, w rytualnym geście sypiące grudki ziemi. Ręczna kamera, czarno biały film, ostre cięcia, bez słów, bo w tamtym okresie traciłem już wiarę w słowa. Posłużyliśmy się odgłosami smutku, tym naprawdę międzynarodowym, zrozumiałym dla wszystkich językiem; w tle słychać było zgrzyt łopat, płacz, westchnienia - kroki Śmierci. Na czarno białych klatkach puściliśmy



przerażające dane, a na koniec pytanie: "Pokazać ci strach w garści prochu?"  
Najwyraźniej pokazaliśmy ludziom coś ważnego, bo pieniądze popłynęły wielką rzeką. Nic dziwnego - ludzie mają serca, które zawsze reagują na właściwy dotyk.

Przyjechał mój pociąg. Wsiadam, ale zapominam wysiąść. Podróż trwa całe wieki. Na jednej ze stacji, nie jestem pewny, na której, widzę Finn - widzę ją w chwili, gdy drzwi już się zamykają. Zrywam się, wtykam stopę między panele i wyskakuję na peron. Łąduję u stóp Finn, zaraz jednak odkrywam, że to wcale nie ona, tylko młoda, jasnowłosa Australijka z plecakiem. Z bliska nie jest znowu tak bardzo podobna do Finn sprzed dwudziestu trzech lat, a już na pewno nie przypomina kobiety, jaką Finn jest dzisiaj.

- Wszystko w porządku, gościu? - pyta, pomagając mi się podnieść.

Kiwam głową, widzę jednak, że dziewczyna mi nie wierzy. Nie dziwię się jej. Czuję się nie najgorzej, ale na skroni mam błyszczący różowy plaster z opatrunkiem, a wokół oka obrzmienie w ostrych kolorach zachodzącego słońca, więc czego można się spodziewać...

Wreszcie wysiadam na stacji, która znajduje się w odległości zaledwie stu dwudziestu metrów od domu Lucasa. Pokonuję ten morderczy dystans i zatrzymuję się przed słynnym murem z bramą i furtką. Lucas, podobnie jak ja, mieszka na cyplu między desperacją i luksusową elegancją. Co jakiś czas

347

w gazetach ukazują się ekscytujące artykuły o tym, jakoby właśnie ta okolica była następną na liście nieubłaganego "cywilizowania się"; dziennikarze piszą, że lada chwila pieniądze przeleją się przez mury pobliskich twierdz zamożności, przed każdym domem staną kolorowe huśtawki dla dzieci, a na ulicach te cholerne czołgi z napędem na cztery koła, modne miejskie samochody pseudoterenowe, którymi rodzice będą odwozić dzieci do prywatnych przedszkoli dwieście metrów dalej.

Cóż, w Highbury Fields jeszcze do tego nie doszło, podobnie jak tutaj -jeszcze nie. Na razie Lucas mieszka bardzo blisko tzw. krainy bandytów. Mieszka tu od dwudziestu lat, w odległości dwustu metrów od kładki, pełniącej rolę granicy dwóch dzielnic, a więc za blisko granicy. Poza tym recesja zaciska szpony i bankierzy się wycofują.

Leje deszcz, który zaraz przejdzie w mokry śnieg. Jest zimno, nad ulicami wisi czarne niebo. Styczeń w Londynie - południe, a już prawie ciemno. Przystaję, żeby przyjrzeć się słynnemu murowi. Zawsze to robię, uspokaja mnie to. W przeszłości był to mur historii i dowcipu. To tutaj pierwszy raz zobaczyłem wypisany wielkimi

kulfonymi slogan: MURZYNY WYNOHA. Kilka godzin później w odpowiedzi ukazał się niżej napis wykonany piękną, staranną kursywą: ALE WRÓCĄ W NOCY. Śmiałem się z tego przez blisko miesiąc. Nieodmienną sympatią darzę też odwieczne hasło: PRECZ Z WOJNĄ, a także VIVA CASTRO, później poprawione na VIVA CASTROL (ciekawe, swoją drogą, kim był ten ześwirowany entuzjasta oleju silnikowego...). Podobało mi się: MĘŻCZYŻNA JEST TAK POTRZEBNY KOBIECIE JAK ROWER RYBIE, z dodatkiem, który po paru dniach pojawił się niżej: ALE I MĘŻCZYŻNIE, I KOBIECIE POTRZEBNE JEST FERRARI. Zawsze tak samo lubię napisy: UWOLNIĆ Z BIRMINGHAM 3, 500 LUB 8, WOJNA KLASOWA, POPIERAJCIE GÓRNIKÓW, ŻYCIE TO GÓWNO oraz JEŻELI NAPRAWDĘ TAK MYŚLISZ, CZAS SPRÓBOWAĆ TEGO DRUGIEGO.

348

Ubawiło mnie pytanie: GDZIE WŁAŚCIWIE SĄ TE FALKLANDY wraz z odpowiedzią: PŁYŃ W KIERUNKU ANTARKTYDY, DURNIU I SKRĘĆ W PRAWO. Niezły był też początek dywagacji: SKORO WYŚLALI NA KSIĘŻYC JEDNEGO CZŁOWIEKA, TO DLACZEGO BY NIE WYŚLAĆ TAM WSZYSTKICH? W tym wypadku szczególnie poruszył mnie przecinek i znak zapytania - cieszy mnie, kiedy ludzie zadają sobie trochę trudu i prawidłowo stosują znaki przestankowe.

Często patrzę na te napisy i myślę: Mówię o moim p... p... pokoleniu - to jest moje życie.

Jakiś czas temu z pewną przyjemnością przyglądałem się malutkim szubienicom ze zwisającymi z nich miniaturowymi Margaret Thatcher oraz Ronaldami Reaganami (Żelazne Damy były tak podobne do oryginału, że podejrzewałem o tę działalność Lucasa). Nie mogłem zresztą oprzeć się wrażeniu, że sporo z tych surrealistycznych, heretyzujących dzieł sztuki jest autorstwa Lucasa - wyobrażałem sobie, jak wykrada się z domu po zapadnięciu zmroku, uzbrojony w swój wielki talent, pędzel i pojemniki z farbami.

Zawsze zdecydowanie temu zaprzeczał, a jeżeli nawet kiedyś oddawał się pasji tworzenia napisów, najwyraźniej już to zarzucił. Co się stało z kulturą? Z historią? Z polityką? Ten kraj schodzi na psy. Dziś mur stanowi ekran, na którym wykwitają paskudne twory, pozbawione choćby cienia oryginalności, nie wspominając już o dowcipie i poczuciu humoru. Widać na nim mnóstwo wymęczonych obscenicznych rysunków, przedstawiających głównie penisy, jaja, swastyki i tak dalej. Widoczny jest tylko jeden ze starych napisów, który jest tu, odkąd pamiętam, chociaż gdybym miał sprej, natychmiast bym go zamalował.

BÓG PATRZY, głosi napis umieszczony pod wielkim okiem Opatrzności. Kim jest ten podglądacz i na czym polega jego problem? Dlaczego nie może przestać obserwować, dlaczego przynajmniej czasami nie interweniuje jak Zeus? Nic

349

specjalnego, ot, kilka celnie wymierzonych piorunów, nie proszę o wiele. Trzask, i już po nędzy na świecie. Trzask, i już nie ma wojen, głodu, chorób i plag. Trzask, i koniec z Czterema Jeźdźcami Apokalipsy. Trzask, i mam szansę powrotu do przeszłości - tym razem Finn i Dan pobiorą się, a Maisie nie skoczy z okna. Oko ma czarną źrenicę i kredowobiałą spojówkę. Źrenica jest nienaturalnie rozszerzona, dochodzę do wniosku po bliższej obserwacji. Co bierze Bóg? Wszystko jedno, co to takiego, chętnie wziąłbym działkę.

Opieram się o mur. Moje ubranie jest z każdą chwilą coraz bardziej przemoczone, twarz boli mnie jak cholera. Te plastry niconix to totalna bzdura, bo jeszcze nigdy, nigdy w całym moim marnym życiu nie chciało mi się zapalić tak jak w tej chwili. Z lewej strony muru znajduje się zwieńczona łukiem wąska furtka, przez którą można dostać się do domu Lucasa, całkowicie niewidocznego od ulicy. Ta furtka, zabezpieczona i chroniona przez rozmaite moce technologiczne, wykonana jest z pomalowanej czarną farbą stali i nic, ale to nic, nie można przez nią zobaczyć.

Z drugiej strony furtki jest niewielki dziedziniec. Po prawej stronie stoi osobny budynek, w którym mieści się studio Lucasa z wielkim, wychodzącym na północ oknem i zawsze zamkniętymi drzwiami, po lewej spokojny, cywilizowany i gościnny dom. Kiedy odwiedza się Lucasa, trzeba kierować kroki do domu, w żadnym razie nie do studia. Nawet jeżeli ktoś wie, że Lucas maluje, nawet jeżeli przypadkiem dostrzeże go przez okno, musi udawać, że mistrz jest niewidzialny. Powinien podejść do frontowych drzwi i zapukać. Po pewnym czasie Lucas wyłoni się ze studia, ubrany w jeden z wielu identycznych kombinezonów, w których pracuje, wpuści gościa do domu i zajmie się nim jak najlepszy gospodarz.

Lucas naprawdę jest idealnym gospodarzem, zabawnym i wybitnie inteligentnym. Zdarzało mi się nawet doświadczyć jego dobroci, oczywiście do pewnego stopnia. Często gości doskonałym winem lub świetną whisky - bez względu na to,

350

do czego masz słabość, Lucas na pewno ci to poda. Jedzenie u mistrza jest dość specyficzne, ponieważ Lucas często zapomina, że powinien coś zjeść, zresztą żywność raczej go nie interesuje. Z tego właśnie powodu serwuje potrawy, których wykonanie wymaga jak najmniej czasu; przez wiele lat była to dziwna zupa

pochodzenia środkowoeuropejskiego (wydaje mi się, że przodkowie Lucasa pochodzili z tego regionu, ale nie wiem tego na pewno, bo Lucas z zasady nie rozmawia na tematy osobiste). Jakiś czas później odkrył kuchnię makrobiotyczną i zachwycił się nią- gotował jeden duży garnek ciemnego ryżu raz na tydzień i to mu wystarczało. Ostatnio spodobało mu się sushi, pożywne, łatwe w konsumpcji i niewymagające podgrzewania. Kupuje sushi w nowym, powstałym w pobliżu sklepie o nazwie "PURE", czyli "Czyste" - czystość zawsze miała dla Lucasa duże znaczenie i nadal je ma.

Mógłbym podejść do furtki i zacząć nadawać sygnały. Przybyłem przecież z daleka, mam za sobą duchowy maraton. Lucas wpuści mnie, nakarmi i napoi. Da mi surową rybę do jedzenia, a ja będę mógł zadać mu pytania, które ubiegłej nocy i rano wydawały mi się tak ważne i pilne. Spokojnie, nie zamierzam być wulgarny - nie jestem głupi i miałem sporo czasu do namysłu. Dlatego nie zapytam Lucasa, czy dwadzieścia trzy lata temu był kochankiem nie tylko Finn, ale i Julii. Tak czy inaczej, wydaje mi się, że znam odpowiedź. Nigdy nie planowałem też pytać go, czy tamtego ostatniego wieczoru może przypadkiem widział, jak opuszczaliśmy z Julią naszą średniowieczną kryjówkę. Wiem, że nas nie widział; był wtedy w refektarzu i pracował nad dobrym obrazem, czyniąc z niego wspaniałe dzieło.

Wiem, co zainspirowało go do tych zmian. Posłuchał Maisie, która powiedziała mu, w mojej obecności, co jest nie tak w jego wersji "Sióstr Mortland". Maisie poinformowała Lucasa, że na portrecie brakuje zmarłych, a Lucas postanowił ich tam umieścić i być może oddać im cześć. Właśnie to zobaczyłem i zrozumiałem, kiedy poprzedniego dnia stałem przed

351

obrazem w galerii - na portrecie są trzy siostry oraz tłum zmarłych, wiele pokoleń zmarłych, którzy są z dziewczętami i wewnątrz nich, obok i w środku nas wszystkich. Zmarli są obok mnie i we mnie, głosy przodków przemawiają elokwentnie, ze zrozumieniem i ostrzegawczo w moich genach, krwi, sercu i głowie.

Bezwładnie opieram się o mur. Znowu ogarnia mnie zmęczenie, to samo dziwne uczucie znużenia, które ostatnio często mnie atakuje. Nie mam siły. Mam za sobą taką długą drogę i teraz dociera do mnie, że jestem w niewłaściwym miejscu. To nie Lucasowi powinienem postawić dręczące mnie pytania. Wszystko, co Lucas ma do powiedzenia na temat Opactwa, sióstr, Maisie oraz tamtego szczególnego lata, znalazło się na portrecie. "Siostry Mortland" to jego ostatnie słowo, i słusznie. Powinienem się teraz skupić na swoich ostatnich zadaniach, a to wymaga mojej obecności w Wykenfield, nie w Londynie.

Odrywam się od ściany, rzucam ostatnie spojrzenie na zamkniętą furtkę i odchodzę. Ruszam w drogę powrotną. Deszcz ze śniegiem siecze, zimny wiatr wyje, londyńskie powietrze jest tak wilgotne, że czuję się jak we mgle nad brzegiem morza. Uszedłem mniej więcej pięćdziesiąt metrów, kiedy mijają mnie szybko jadąca czarna taksówka. Samochód opryskuje mnie błotem. Zatrzymuje się gdzieś za moimi plecami i wtedy, na dźwięk zgrzytu hamulców, do życia budzi się mój smętny, niewielki i słaby Dar.

Staję jak wryty i odwracam się. Widzę, jak furtka prowadząca do legowiska Lucasa otwiera się szeroko. Wiem, że to Finn, odgaduję to sekundę, może dwie przed jej wyjściem na ulicę. Finn zatrząskuje za sobą furtkę i biegnie do czekającej taksówki. Ma na sobie płaszcz, ściągnięty w talię paskiem. Jej włosy, rozjaśnione słońcem Afryki, są ostrzyżone na chłopaka, króciutkie jak na zdjęciu; spadają na czoło i gdy schyla się, żeby podać adres kierowcy, odgarnia je do tyłu. Znam ten gest. Nieważny deszcz, nieważne słabnące światło -

352

Finn, moją Finn rozpoznałbym z odległości tysiąca lat, z kosmicznej przestrzeni.

Wykrzykuję jej imię i podrywam się do biegu, ale warkot silnika taksówki tłumi mój głos. Finn wsiada, samochód rusza. Przyspiesza i odjeżdża, zabierając Finn z mojego życia.

Zawracam, biegnę do furtki Lucasa, z całej siły walę w nią pięściami i łomoczę. Po dłuższej chwili cholerny domofon, którego Lucas używa z uporem godnym lepszej sprawy, wydaje serię trzasków.

- Tak? - dobiega mnie głos Lucasa. O co chodzi?

- Lucas, to ja! - wołam. - To ja, Dan! Wpuść mnie, wpuść mnie!

- Nie - odpowiada Lucas. - Przykro mi, ale teraz pracuję.

- Otwórz tę pieprzoną furtkę, do cholery! Cisza.

- Widziałeś Finn? - odzywa się trzeszczący, zniekształcony głos.

- Myślałem, że jest w Afryce, w Mozambiku! Słuchaj, muszę się z nią zobaczyć! Dokąd pojechała? Jak długo tu będzie? Dlaczego do mnie nie zadzwoniła?

- Nie jestem w stanie odpowiedzieć na twoje ostatnie pytanie - mówi Lucas z lekkim zniecierpliwieniem. - A jeśli chodzi o to, jak długo będzie w Londynie, to chyba jeszcze jakąś godzinę. Spóźniła się na samolot. Wydaje mi się, że mówiła coś o Kairze...

- Matko Boska! Z którego lotniska odlatuje?! Z którego lotniska, Lucas?!
- Chyba zHeathrow...

I domofon milknie na dobre.

Pomińmy milczeniem piekło, które przeżyłem później. Czterdzieści pięć minut upłynęło mi na biegu w deszczu i machaniu rękami, aż wreszcie znalazłem jedyną wolną taksówkę w Londynie. W drodze na lotnisko utknąłem w korku. Dwie godziny chodziłem i biegałem po halach Heathrow, upewniając się,

353

czy tego dnia nie ma późniejszych lotów do Kairu, czy Finn zrezygnowała z biletu i czy za sprawą jakiegoś cudownego zrządzenia losu nie siedzi w jednym z czterech terminali, w jednej z sześciu tysięcy kafejek, spokojnie popijając kawę i czekając na mnie, zupełnie jak Julia na swego Romea.

Ta odyseja prawie mnie wykończyła. W końcu, po paru godzinach wróciłem na stację Liverpool Station. Wsiadłem w jeden pociąg, potem w drugi. Jeszcze później chyba jechałem autobusem, a może taksówką. Wreszcie, tuż przed północą, przemarznięty i mokry, znalazłem się w Wykenfield i próbowałem rozpalić ogień pod kuchnią w domu moich przodków.

Ostatecznie moje wysiłki przynoszą oczekiwany efekt. Zapalam świece przed zdjęciami Ocean, mojej prababki. Stawiam kasetkę z prochami ojca we frontowym pokoju, gdzie kiedyś Bella i Joe czuwali przy zwłokach Dorrie. Później przynoszę Joego z powrotem do kuchni, ponieważ pokój sprawiał bardzo smutne wrażenie, i stawiam go na stole, obok kryształowej kuli i talii tarota. Na kasetce kładę cudem uratowaną kulę z kości słoniowej. Kiedy te pełne mocy przedmioty są już na miejscu, siadam, biorę do ręki długopis i znowu zaczynam pisać do zmarłych, kochanych i utraconych.

Piszę przez wiele godzin, Joe. Docieram aż do tego miejsca, Maisie. Przerzywam dopiero na tej stronie, Finn. Potem zasypiam, z głową opartą o stół. Niebo przez całą noc wylewa łzy na ziemię.

Udało mi się przetrwać sobotę. Sobota, imieniny kota, mawiała Julia. Dziś jest nowy ranek, niedziela. Niedziela, dzień wesela. Niebo nadal szlocha, obmywa świat deszczem.

Moja ukochana Finn, najdroższa Finn, zaczekam, aż trochę przestanie i pójdę do Opactwa. Tam znowu połączę się z tobą, przynajmniej w jednym sensie.

Rozdział Dwudziesty Trzeci.

KRAINA NIGDZIE-NIGDY.

Rankiem - nie jestem pewny, o której godzinie, zresztą i tak nie ma to wielkiego znaczenia - wyruszam z domu, niosąc łopatę i plastikową torbę z kasetką, w której znajdują się prochy Joego. Jest to moje najważniejsze zadanie, nie mogę przed nim wiecznie uciekać. Takie zadania wykonują właśnie synowie, nie kto inny - to oni ustalają, gdzie ostatecznie mają spocząć ich rodzice. Jeśli chcą zaangażować w tę operację religię, czyli księdza, pastora czy jakiegoś guru, to w porządku, mogą to zrobić; jeśli nie (ja należę do grupy "nie"), powinni zorganizować jakąś inną ceremonię. Maisie faworyzowała składanie ofiar, ja myślę raczej w kategoriach garści prochu i kilku własnych słów, dodanych do fragmentu Biblii króla Jakuba, dla której, w przeciwieństwie do nowoczesnych, bezsensownych wymysłów, które pojawiły się po niej, żywię najgłębszy szacunek.

Wychodzę na drogę i natychmiast się gubię. Przeżywam kolejny hamletowski moment, tyle że tym razem jestem na murach zamku Elsinore, spowitych w gęstej mgłę, i czekam na pojawienie się ducha mojego ojca, który ma powiedzieć mi, dokąd powinienem się udać. Gapię się na znajomą ulicę, przecinającą wioskę, i odkrywam, że z dnia na dzień stała się kompletnie nieznana, w każdym razie w moich oczach. Z charakterystycznych punktów miejscowego krajobrazu rozpoznaję tylko pub ze sprytnym lisem i durną gęsią na szyldzie. Stawu

355

od dawna nie ma, zniknął po założeniu kanalizacji. Sklep i poczta nie istnieją, podobnie jak szkoła, a miejsce każdej z tych instytucji zajęły szalenie modne, nowoczesne rezydencje. Oczywiście zmiany te nie zaszły w ciągu ostatnich sześciu tygodni - ostatniego lata, kiedy byłem tutaj z Joem, miałem mnóstwo czasu, aby je odkryć i przywitać wybuchem słusznego gniewu, więc dlaczego właściwie ulica wydaje mi się aż tak obca... W końcu dochodzę do wniosku, że chyba chodzi mi o zachowanie drogi, która rozwija się i kołysze pod moimi stopami. Nie podoba mi się to, nie mam ochoty na żadną przejażdżkę, chcę wysiąść.

Marszczę brwi, chwieję się lekko i czekam, aż droga opadnie i się uspokoi. Powoli ruszam w kierunku ścieżki, która biegnie obok Acre Field i prowadzi do Opactwa.

Długi rząd wiązów przestał istnieć kilka lat wcześniej, zabity jakąś drzewną plagą. Widzę mały fragment dachu Opactwa, wydaje mi się nawet, że z kominów unosi się dym. Tam, na wzniesieniu, pada gęsty deszcz, który w jakiś dziwny sposób omija ścieżkę, na której stoję. Podnoszę suchą rękę do mokrej twarzy.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że od Opactwa dzieli mnie ogromny, niewiarygodnie potężny kawał drogi. Nie jestem już taki pewny, czy Joe aby na pewno chce leżeć w okolicy Nun Wood, gdzie przecież straszy, albo w ogrodzie, którego kiedyś sam doglądał, a który dziś zarośnięty jest sięgającymi do kolan chwastami. Może powinienem wybrać jakieś inne miejsce? Idę w stronę pól, tych pól, które tak kochał, uprawiał on, jego ojciec i dziadek, i najzwyczajniej w świecie nie jestem w stanie ich zlokalizować. Nie widzę ani jednej miedzy, żadnego żywopłotu czy furtki; te ciemne, świeżo zaorane gliniaste prerie czepiają się moich butów, nie chcą wypuścić z uścisku moich stóp. Nagle dociera do mnie, że utknąłem na środku jakiegoś strasznego, niczyjzego pustkowia, skąpanego w pestycydach, napompowanego przyszłymi zyskami, nieosłoniętego przed wiatrem, ponurego, bezosobowego i zimnego jak lód.

356

Nie znam tej Anglii. Nie wiem, gdzie jestem. Czy to jest to samo pole, na którym mój sześćioletni dziadek stał przez osiem godzin dziennie za jednego pensa, w takie dni jak ten, odganiając ptaki od świeżo zasianego ziarna? A może znalazłem się w jakiejś koszarnej wiosce, gdzie pole rodzi tylko kamienie? Schylam się i podnoszę kamyk. Czy nagle trafiłem do świata wiejskiej nędzy, w którym rodziców Joego nie było stać na to, aby kupić chłopcu buty? A może jednak jestem na tym polu, gdzie dawno temu leżałem obok Finn, chowając się przed światem w morzu słodko pachnących traw? Na tym polu, gdzie przysięgliśmy sobie miłość, a kiedy zapytałem, czy to na zawsze, ona z powagą pokiwała głową...

Niezależnie od tego, które to jest pole, po jakimś czasie odkrywam, że zostawiłem je za sobą i dotarłem na cmentarz, chociaż zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, w jakich stało się to okolicznościach i jakim sposobem. Poranne nabożeństwo najwyraźniej dobiegło już końca, bo poza mną nie ma tu nikogo. Chodzę między nagrobkami, starając się odnaleźć piętnastoro przedstawicieli rodziny Nunn, z którymi rozmawiałem jako dziecko, bardzo małe dziecko; zawsze słuchali mnie z wielką cierpliwością i skupieniem, i, w przeciwieństwie do Belli, nigdy nie wpadali w złość, nie szczypali mnie i nie bili po głowie. Znajduję pięć, a może sześć nagrobków, ale nie mogę odnaleźć nagrobku mojej matki. Wreszcie wchodzę do kościoła, staję przed porządną, prostą płytą nagrobną Guya Mortlanda i płytą Dziadziusia, którą wmurowano tuż obok. Patrzą na mosiężną figurę, wizerunek



przykładnej żony i matki z epoki Tudorów, tej samej, której rysy uległy prawie całkowitemu zatarciu w wyniku uporczywego polerowania. Wpatruję się w szeroko uśmiechnięte diabły z ostrymi widłami, widniejące na "Dniu Sądu Ostatecznego". Nie ulega wątpliwości, że diabły są bardzo zadowolone ze swojej pracy; jeden z nich, chyba starszy rangą, do złudzenia przypomina Malca.

Gdy posadzka kościoła zaczyna niebezpiecznie falować,

357

osuwam się na ławkę i dłuższą chwilę siedzę z nisko schyloną głową. Raz wydaje mi się, że w kościele panuje piekielny upał, to znów trzęsę się z zimna. Z trudem wychodzę na zewnątrz. Ledwo powłóczę nogami, nie wiem, co się ze mną dzieje, ciało odmawia mi posłuszeństwa, rozlewa się jak magma. Jakimś cudem udaje mi się zmusić je do pielgrzymki trasą obok Starej Plebanii, domów dla ubogich oraz dawnej szkoły, która niedawno przeistoczyła się we wspaniałą rezydencję prywatną.

Z daleka widzę nasz domek - Bella i Joe stoją przy furtce. Kolacja na stole, mówi Bella. Chodź, chłopcze, woła Joe. Moje płuca i serce przenika ból, ponieważ wiem, że oni tam są, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że nie żyją. Nigdy więcej nie usłyszę już tych głosów. Tamten świat przestał istnieć, Bella i Joe także, i jak trudno jest mi dotrzeć do tej furtki, Jezu Chryste...

Przyspieszam kroku, a w każdym razie staram się to zrobić, ale nie daję rady, grudy błota ciężą mi u stóp, są jak kamień młyński u szyi, zdradliwa droga podnosi się i chwytą mnie w ramiona. Nic więcej nie pamiętam. Dopada mnie kolejna przerwa w życiorysie.

Podczas tej przerwy - jednej z kilku podobnych - zostaję uratowany, o czym dowiaduję się dużo później. Na ratunek przychodzi mi Hector McIver, mężczyzna równie silny, odważny i bohaterski jak jego trojański imiennik, Hektor, takiego syna powinien mieć mój ojciec. Flora, matka Hectora, zauważyła mnie, kiedy trzeci raz okrążałem nasz domek i, właśnie za trzecim razem, zorientowała się, że wyglądam jak duch i że coś jest ze mną nie w porządku. Właśnie dlatego Hector, rostry i muskularny jak ja dawno temu, przepasał biodra i pospieszył mi z pomocą. Prawda jest taka, że bez najmniejszego trudu przerzucił mnie przez ramię, zaniósł do naszego domu i, z pomocą kobiet z rodu McIver, zapakował do łóżka.

358

W tym łóżku od dawien dawna spoczywał materac z pierza. Stare puchowe materace są bardzo niewygodne, łagodnie mówiąc; zapadłem się między miejscami kłujące wzgórze i doliny, prosto w objęcia piekieł. Dusłem się, płonałem. Zacząłem wołać

Joego, który przecież powinien być przy mnie i jak w niespokojne noce dzieciństwa, tak i dziś koić moje przestraszone serce samą swoją obecnością. Wołałem też Bellę i z uporem domagałem się pastylek na kaszel, które podawali mi, kiedy dawno, dawno temu, w prehistorycznych czasach zachorowałem na koklusz, bo to lekarstwo zawsze mi pomagało. Chrypiałem i rzeziłem, błagając o szklanekę wody; przywoływałem królową nocy, tę tajemniczą władczynię w sukni z białej satyny, która zawsze czuwała przy moim łóżku. Nie odpowiadała, a po kilku następnych przerwach w życiorysie usłyszałem najbardziej przerażający, najstraszniejszy ze wszystkich dźwięków, głos lekarza w spódnicy. I właśnie wtedy zacząłem walczyć o życie.

Ta okropna kobieta wetknęła mi do ucha jakiś przedmiot, a potem położyła na mojej piersi coś zimnego i ohydneho.

- Trzydzieści dziewięć stopni i pięć kresiek - oświadczyła. - Nawet nie pytam, czy pali. Dlaczego przykleił sobie aż trzy plastry, na miłość boską? Dlaczego jest taki wychudzony? Co z jego twarzą? Hectorze, spróbuj go odwrócić i przytrzymać, dobrze? Muszę dobrać mu się do pośladków, trzeba zrobić zastrzyk domięśniowy... Ostre zapalenie oskrzeli, niewykluczone, że infekcja przejdzie w zapalenie płuc. Myślę, że będziemy musieli przewieźć go do szpitala, nie może przecież zostać tutaj, tu nie ma warunków, sam przecież widzisz...

Igła miała co najmniej cztery centymetry długości, a pod względem grubości przypominała broń na nosorożca albo słonia. Nie znoszę igieł, boję się ich, jeśli mam być szczery, podobnie jak cała mądra męska płeć. Kiedy ta baba wyjęła igłę z mojego pośladka, zerwałem się z łóżka, wściekły i groźny jak bożek gniewu.

- O, nie! - ryknąłem. - Nigdzie mnie nie zabierzecie!

359

W tym domu umarła moja babka i mój ojciec! Nie pójdę do żadnego pieprzonego szpitala! Wiem, kim pani jest, pamiętam panią! Umrę tutaj! Pozwólcie mi skonać w domu! Zabieraj łapy, podła suko!

Cóż, miałem naprawdę wysoką gorączkę... W każdych innych okolicznościach okazałbym kobiecie i profesji medycznej więcej szacunku, to chyba oczywiste. Zaraz potem uspokoiłem się. Gorączka utrzymywała się jeszcze przez kilkanaście godzin; w tym czasie na pewno bredziłem o zielonych polach, łożu śmierci Falstaffa oraz innych podobnych rzeczach. Tak czy inaczej, ten zastrzyk działał cuda. Bóg jeden wie, co w nim było (ciecz w strzykawce przypominała płynne złoto), ale niezależnie od składu chemicznego, efekt był naprawdę niezwykły. De Quincey, Coleridge i wielu innych amatorów morfiny dałoby sobie rękę uciąć, żeby dostać coś takiego. Ta

cudotwórcza substancja przeniosła mnie do świata marzeń sennych i z powrotem.

Dała mi też siedem dni i nocy podróży w czasie. Siódmego dnia miałem wrócić do świata i rzeczywistości, lecz na razie znalazłem się w stanie zawieszenia, w świecie Nigdzie-Nigdy, obdarzony nowymi oczami. Wyraźnie i dokładnie widzę Maisie. Wyraźnie i dokładnie widzę Finn. Doskonale widzę też siebie samego.

Obserwuję dziwne okoliczności częściowego ozdrowienia Maisie; obserwuję i słucham, jak sam oświadczam się po raz pierwszy i ostatni w życiu. I tym razem, dzięki działaniu niezwyklej substancji, całkowicie tracę zdolność wycinania pewnych scen oraz słów, zmieniania oświetlenia oraz barw i wprowadzania poprawek. Przewijam taśmę do tyłu, cofam obrazy i czas; patrzę na wydarzenia po upadku Maisie, patrzę na to, czym się stałem i co zrobiłem.

Cofam się do tamtego dnia, który spędziłem w londyńskim szpitalu, na oddziale, gdzie Maisie wróciła ze świata zmarłych do świata żyjących.

Rozdział Dwudziesty Czwarty.

KOMA.

Pacjenci, którym dane jest wyjść bez większego szwanku ze śpiączki, zwykle odzyskują przytomność w ciągu pierwszych dwóch do czterech tygodni. Maisie nie odzyskała przytomności w tym okresie.

- Czy to zły znak? Co to oznacza? - wypytywałem do znudzenia Nicka.

Dzieliliśmy już wtedy mieszkanie w Islington. Nick pracował w klinice University College, tej samej, gdzie leczono Maisie, lecz nie na tym oddziale, gdzie leżała, podłączona do monitorów, milcząca i nieruchoma.

I Nick odpowiadał i tłumaczył po raz dziesiąty, pięćdziesiąty, setny. Rysował mi diagramy, wyjaśniał, że część mózgu, która odpowiada za funkcje poznawcze wyższego rzędu, musiała doznać uszkodzenia. Chociaż Maisie mogła już oddychać bez pomocy sprzętu medycznego, chociaż jej organizm przeszedł na cykl snu i wybudzania i chociaż czasami uśmiechała się, szlochała i wydawała dziwne miauczące dźwięki, nie oznaczało to, że jej mózg funkcjonuje normalnie i że kiedykolwiek będzie tak funkcjonował.

Nie reagowała na dźwięk, dotyk i światło. Uśmiechy, łzy i grymasy, chwile, kiedy mocno zaciskała palce na dłoni Stelli, jakby w odpowiedzi na coś, co matka powiedziała, wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Nick powtarzał, że są to

361

przypadkowe reakcje mięśni. Maisie utrzymywano przy życiu dzięki wprowadzonej do układu pokarmowego rurze, ponieważ nie była w stanie przelikać. Gdyby rurę usunięto, a w razie dalszego braku poprawy rodzina wcześniej czy później musiała podjąć decyzję, czy usunąć ją, czy nie, Maisie umarłaby z głodu, czy też raczej z odwodnienia. Wycieńczenie spowodowane brakiem płynów, zwykle regularnie dostarczanych organizmowi, doprowadziłoby do końca historii jej życia, choć oczywiście przejście do śmierci zostałoby ułatwione i złagodzone najnowszymi, najlepszymi lekami.

Maisie zapadła w trwały stan wegetatywny, który już wtedy nazywano głęboką śpiączką, komą. Nick twierdził, że stan ten skrywa wiele tajemnic przed medycyną. Diagnozę osiągnano środkami klinicznymi. Rzeczywiście, były przypadki, kiedy pacjenci pogrążeni w głębokiej śpiączce odzyskiwali świadomość - Nick podawał mi dane liczbowe. Krytyczny był pierwszy rok, zwłaszcza pierwsze trzy miesiące; stan zdrowia osiemnastu procent pacjentów spośród tych, którzy wracali do życia w tym czasie, oceniany był jako dobry; trzydzieści trzy procent wracało do życia z różnymi trwałymi upośledzeniami, których stopień i nasilenie wahały się od poważnego do lekkiego. W tym momencie wykładu zawsze mu przerywałem. Myślałem o pozostałych, stanowiących czterdzieści osiem procent, którzy byli żywi, lecz nieświadomi, żywi, lecz martwi; o tych, którzy nigdy nie wypływali na powierzchnię świadomości.

Stella nie przyjmowała do wiadomości wyjaśnień lekarzy, ale cóż, Stella znajdowała się w stanie odrzucania rzeczy oczywistych, w stanie, który dobrze znam.

- Lekarze nie znają Maisie - mówiła mi prawie codziennie. - Tu odchylenie od normalności, tam odchylenie od normalności - pierwszy raz powiedzieli mi, że Maisie nie jest normalna, kiedy miała trzy lata, i od tamtego czasu ciągle mi to powtarzają. Tymczasem Maisie nie jest nienormalna, tylko po prostu inna...

362

- To niedokładnie to samo - odpowiadałem, najłagodniej jak umiałem. - Przecież wiesz...

- Uda mi się przywołać ją do życia - powiedziała mi kiedyś z niezwykłą stanowczością; było to późnym wieczorem, gdy wpadłem do szpitala po pracy. - Uda mi się, jestem tego pewna. Muszę tylko znaleźć właściwe słowa, właściwą książkę - coś, co do niej dotrze...

Zerknąłem na okładkę powieści, którą Stella czytała Maisie, kiedy wszedłem. Była to Jane Eyre, książka, której Maisie nie znosiła. Maisie w ogóle nie lubiła powieści. Lubiła Pismo Święte. I wiersze. I fakty.

- Może gdybyś spróbowała poczytać jej Biblię... - zasugerowałem, udając, że nie widzę łez, spływających po policzkach Stelli. - Albo jakiś słownik językowy, na przykład Palgrave's Golden Treasury, albo książkę historyczną, albo któreś z dzieł Darwina, O pochodzeniu gatunków czy coś w tym rodzaju...

- Masz rację, oczywiście! - Stella objęła mnie mocno. - Ależ jestem głupia! Nie umiem już normalnie myśleć! Tak właśnie zrobię, poproszę Dziadziusia, żeby przysłał mi te książki...

Kiedy przyszedłem następnym razem, Stella siedziała przy łóżku z Biblią na kolanach i Historią Rewolucji Francuskiej na nocnej szafce. Nie czytała jednak, tylko opowiadała Maisie o tym, jak ona, Stella, spotkała swojego męża, Guya Mortlanda, jak poznała go pewnego wieczoru w czasie wojny, w pobliżu refektarza.

Przy okazji moich wizyt w szpitalu wielokrotnie miałem okazję słuchać historii tego nieprawdopodobnego romansu. Równie często wysłuchiwałem szczegółowego opisu jeszcze bardziej niewiarygodnej literackiej pielgrzymki Stelli, która poprzedzała spotkanie z przyszłym mężem. Historia tej pielgrzymki dosłownie napakowana była ciotkami Stelli, starymi pannami, których liczba wydawała mi się nieco podejrzana. Nie miałem jednak prawa kwestionować faktu istnienia tych

363

zaawansowanych wiekiem istot stanu wolnego. Stella nieodmiennie powtarzała tę samą historię, z najdrobniejszymi detalami. Nigdy nie zmieniała jej nawet odrobinę.

I wreszcie, pewnego dnia (było to chyba pod koniec września) Maisie naprawdę zareagowała. Byłem tam, widziałem to na własne oczy. Dotarliśmy właśnie do momentu, kiedy Stella, stojąca przy grobie Jane Austen w katedrze Winchester z egzemplarzem powieści Mansfield Park w ręku, usłyszała w nawie szepty o wybuchu wojny. Na słowo "wojna" twarz Maisie wykrzywił jeden z tych dziwnych, przerażających grymasów - gwałtowny skurcz warg. Spod jej uniesionych powiek wypłynęły łzy, a ręka, którą trzymała Stella, drgnęła.

- Zareagowała, Nick - powiedziałem parę godzin później. - Widziałem to, możesz mi wierzyć. Coś się stało.

- Takie rzeczy się zdarzają - odparł Nick ze zmęczeniem i lekką irytacją - właśnie wrócił do domu po trwającym osiemnaście godzin dyżurze na oddziale onkologicznym. - Najprawdopodobniej nic to nie znaczy. Mówiłem ci, że u Maisie pojawiają się refleksy mięśniowe, skurcze. Patrzysz na to i wydaje ci się, że ruch został spowodowany jakimś słowem czy dotykiem, ale jest zupełnie inaczej. Nie zachodzi tu związek przyczynowo skutkowy. Te rzeczy zdarzają się przypadkiem, bez związku z bodźcami zewnętrznymi - radziłbym ci o tym nie zapominać.

Wystrzegaj się wyobraźni i nadmiernej afektacji, Dan, bo one z pewnością nikomu nie pomagają.

Zawsze miałem problemy z połączeniem przyczyny i skutku, więc nie zamierzam już do tego wracać. Poza tym, nie umiałem zaakceptować diagnozy Nicka, nie potrafiłem jej przyjąć, chociaż nic mu o tym nie powiedziałem. Nosilem w sobie jakieś prymitywne, pierwotne "ja" (wtedy nazywałem to "cygańską duszą"), które rozpaczliwie, ze wszystkich sił, trzymało się innego, głębokiego przekonania. Znałem Maisie od jej najwcześniejszego dzieciństwa. Przez dziesięć lat świadomie lub nieświadomie obserwowałem, jak przebiegają jej

364

szczególne procesy myślowe i co potrafi zdziałać jej żelazna, nieugięta siła woli. Siedząc przy szpitalnym łóżku Maisie, myślałem o jej wiernych towarzyszkach, niewidzialnych zakonnicach oraz o modlitwach i nabożeństwach, których przestrzegały w ciągu dnia. Przypominałem sobie, jak podzielony był ich dzień, jak odmawiały laudesy, czyli modlitwę jutrzni, jak uczestniczyły w eucharystii, mszy świętej, jak modliły się nieszporama i tak dalej. Myślałem też o porze dnia, którą Maisie wybrała na swój skok z okna, o znaczeniu komplety, i wciąż od nowa nabierałem pewności, że lekarze się mylą. Czułem, że Maisie może się odezwać, ale świadomie woli tego nie robić. Siłą wydartą Śmierci, złożyła śluby milczenia. Wcale nie chodziło tu o uszkodzenie jakiejś części mózgu - Maisie zaczęła przestrzegać pewnej dyscypliny, ot co.

Późnym wieczorem pewnego wrześnieowego dnia zostałem z Maisie sam. Stella poszła napić się herbaty, pielęgniarki były na drugim końcu korytarza. Ująłem małą dłoń Maisie i pochylilem się nad łóżkiem. Pachniała szpitalnym mydłem i spirytusem, którym ją nacierano, aby zapobiec tworzeniu się odleżyn. Była tak bledziutka i wychudzona, że serce ścisnęło mi się z żalu.

- Maisie, wiem, że mnie słyszysz - powiedziałem cicho, lecz dobitnie. - Wiem, że

chciałaś umrzeć, wiem... Ale nie umarłaś i twoje milczenie... Twoje milczenie jest straszne. Łamiesz serce Stelli i Dziadziusia, wiesz? Od dnia, kiedy skoczyłaś, twoja rodzina powoli przestaje istnieć. Wszyscy bardzo cię kochają, bardzo, ja także. Bardzo za tobą tęsknimy. Więc wróć z tego miejsca, gdzie się zamknęłaś, gdziekolwiek to jest, wróć i odezwij się. Proszę cię, Maisie... Odezwij się, na miłość boską powiedz coś...

Zamarłem w oczekiwaniu. Nie poruszyła się, nawet nie drgnęła. Jej otwarte oczy pozostały utkwione w jakimś punkcie w przestrzeni. Ta klęska zraniła mnie, napełniła smutkiem i gniewem. Zranieniu uległa też moja marna próżność, moja straszliwa pycha. Przez chwilę wierzyłem, naprawdę wierzyłem,

365

że to właśnie ja dokonam cudu. Dziś sędzę, że Maisie mogła wyczuć duże zaangażowanie wspomnianej pychy i ego, mogła się zorientować, że moja prośba wcale nie była tak czysta, jak chciałem myśleć. Biorąc pod uwagę jej obsesję na punkcie grzechu i jego rozmaitych stopni, wydaje mi się to jak najbardziej możliwe.

Od tamtego wieczoru przestałem ją tak często odwiedzać.

Miesiąc później, na początku października, dwa miesiące po upadku Maisie. Sytuacja w szpitalu bez zmian - brak jakiegokolwiek poprawy. Na zewnątrz mamy już pierwsze skutki upadku. Dziadek doznał pierwszego z dwóch udarów; Finn opiekuje się nim w Opactwie, ponieważ chorego nie można w tym stanie nigdzie przewozić, zaczął się już jednak pierwszy semestr studiów i Finn musi wrócić do Cambridge, do Girton College. Trzeba zatrudnić pielęgniarkę, bo Dziadzius nie poradzi sobie sam; nikt nie wie, skąd wziąć pieniądze na opiekę dla niego, a jest to tylko jeden z samonakręcającej się spirali wydatków.

Stella podziękowała Żmii, która oddała do jej dyspozycji dom przy Eaton Square; Żmija jest niezadowolona. Stella, która potrafi być potwornie uparta, woli pomieszkiwać w pokoju u znajomego, w zaniedbanym domu niedaleko Tottenham Court Road, blisko szpitala. Ten znajomy czy przyjaciel, pisarz, wydaje zjadliwy magazyn literacki o bardzo niskim nakładzie. Stella "zna go od zawsze", "przez lata utrzymywała z nim kontakt" i teraz on uprzejmie pozwala jej płacić sobie siedem funtów dziesięć szylingów tygodniowo za marny pokój, tak ciasny, że trudno się w nim normalnie poruszać - to jest o cały funt więcej, niż Nick i ja płacimy za dwa pokoje w Islington. Podejrzewam, że właściciel domu może być jedną ze starych cioteczek Stelli z okresu przedmałżeńskiej pielgrzymki literackiej, ale oczywiście nikomu o tym nie mówię.

Julia, którą widuję rzadko, ponieważ starannie unikam

366

spotkań, zaczęła pracować w redakcji gazety "Observer", następnie została podkupiona przez "Sunday Times" i powoli zdobywa sławę. Najprawdziwszą wściekłością napelnia mnie odkrycie, że Julia naprawdę umie pisać. Posługuje się piórem, które ocieka jadem - wystarczy wskazać jej jakiegoś sławnego człowieka (szefowie Julii są sprytni i często to robią), a prześliczna młoda dziennikarka oczaruje go jednym spojrzeniem oczu niebieskich jak dzwonki. Kiedy gość jest już kompletnie rozbrojony, oślepiiony i przekonany o jej porażającej głupocie, Julia zdobywa cytaty, które ośmieszają go i rzucają na kolana. Muszę przyznać, że Julia wykazuje się w tym działaniu błyskotliwą złośliwością i nie potrafię jej tego wybaczyć. Moją i tak już głęboką nienawiść jeszcze bardziej pogłębia wiadomość, że Julia mieszka praktycznie za darmo w pięknym mieszkaniu przy Portobello Road. Właścicielami lokalu jest para transwestytów, którym Julia podobno się odwdzięcza, prasując ich koszule, czy też może raczej sukienki. Nie wierzę w ten układ ani w seksualną orientację właścicieli mieszkania, ale oczywiście nikomu o tym nie mówię.

A ja? Cóż, jeszcze nie nakręciłem reklamy, która zwróci na mnie uwagę Hollywood, lecz to tylko kwestia czasu. Pracuję w agencji, którą sobie wybrałem - zajmuję się parzeniem herbaty i kawy, sortowaniem poczty i okazywaniem pokory. W tym tygodniu dostałem pierwsze prawdziwe zadanie - mam napisać teksty do katalogu wysyłkowego. Katalog, którego adresatkami i klientkami mają być damy obfitego ciała, przedstawia tysiąc wariacji przypominających namioty sukienek z krempliny. Nauczyłem się już, że w tego rodzaju tekstach zdania mają się składać z najwyżej piętnastu wyrazów; każde zdanie dłuższe niż dwadzieścia wyrazów zasługuje na opinię dickensowskiego i jest po prostu nie do przyjęcia. Akapity dłuższe niż piętnaście linijek zniechęcają damy o dużych rozmiarach i wszystkich innych czytelników, więc nawet o nich nie myślę. Mam entuzjastyczny stosunek do otrzymanego zadania - chodzę po ulicach i przeprowadzam swoje

367

prywatne badania rynku. Zatrzymuję wspomniane damy pod sklepami i pytam, jakie wymagania stawiają swoim ubraniom. Damy dobrze się bawią; jedna proponuje, żebym poszedł z nią do domu, a wtedy pokaże mi, czego wymaga. W rezultacie przeprowadzonych badań piszę pierwszy tekst: Chcecie czuć się wygodnie i wyglądać jak modelki? Zależy wam, żeby faceci mdleli na wasz widok z pożądania? Chcecie mieć przyjemną, miękką gumkę w talii? Oto odpowiedź...

Raz w tygodniu piszę do Finn. Dzwonię do niej jeszcze częściej, chociaż nie jest to



łatwe. Po pierwsze, Nick i ja nie mamy jeszcze telefonu, bo proces założenia linii oraz aparatu trwa ze trzy lata i wymaga negocjacji skomplikowanych jak labirynt. Po drugie, w Girton jest tylko jeden telefon, stojący na biurku portiera. Muszę więc dzwonić z budki telefonicznej i zanim Finn zostanie zawiadomiona, że ma zejść na dół, aparat pochłania zwykle całą górę monet. Korytarze w Girton są potwornie długie, a odpowiedzi Finn krótkie.

Praca w agencji reklamowej uświadamia mi, że solidnego liftingu domaga się nie tylko wizerunek puszystych dam, ale także mój własny. Przechodzi on tyle transformacji i poprawek, że trudno je wszystkie spamiętać. Pozowałem na Elvisa, na uciekiniera z więzienia, na Jamesa Deana (z paczką papierosów, wetkniętą za podwinięty rękaw koszuli - naprawdę cool!), na rockera i Jaggera, na hipisa. Teraz, biorąc pod uwagę moją pensję, pracuję nad wizerunkiem eklektycznym i w tym celu zwiedzam liczne ciuchlandy. Ciuchland, to jest dopiero moda!

Kiedy więc Stella dzwoni do mnie do pracy na początku października i prosi, żebym następnego dnia przyszedł do szpitala i udzielił jej wsparcia moralnego i nie tylko, zgadzam się bez wahania i od razu zaczynam się zastanawiać, co na siebie włożę. Tak, wiem, wiem, ale młodość często cierpi na obsesję na punkcie rzeczy nieistotnych. Poza tym, ta wizyta może okazać się kluczowym wydarzeniem w moim życiu -będzie tam Finn, której nie widziałem od kilku tygodni. A także Żmija,

368

która wtrąca się w sprawy rodziny i upokarza Stellę od pierwszego dnia po wypadku - Stella obawia się, że Violet zechce zwołać "naradę rodzinną" i postanawia dać temu odpór. Wprost nie mogę się już doczekać, kiedy poznam lady Violet, kobietę, którą od lat darzę nienawiścią na odległość. Zamierzam pokonać tego smoka na oczach Finn i w ten sposób zdobyć niegasnący podziw ukochanej. Planuję, co powiem i wybieram strój odpowiedni do roli. Czy wyglądam jak święty Jerzy? Jak waleczny, gotowy do boju rycerz? Niezupełnie.

Zjawiam się w płaszczu z ciuchlandu, długim, tweedowym, skrojonym przez doskonałego krawca. Pod nim mam welwetową marynarkę firmy Ossie Clark, kupioną w sklepie na King's Road, marynarkę, na którą wydałem dwutygodniową pensję, do tego poszarpane džinsy, niezwykłą koszulę z żabotem i haftowaną kamizelkę. Wspaniały nieład fryzury osiągnąłem po kilku godzinach zabiegów, kosmyki włosów opadają na kołnierzyk.

Wchodzę na pograżony w ciszy oddział. Jedno spojrzenie na Maisie i już zaczynam się wstydzić. Zasłona, która odgradza łóżko Maisie od pozostałych pacjentów, jest zaciągnięta. Finn nie ma, ale jest Julia oraz Stella, ta ostatnia w stanie wyraźnego

wzburzenia. W nogach łóżka stoi kobieta, która nie może być nikim innym jak Żmija. Ma na sobie futro z norek. I perły. I drogi, modny, tweedowy kostium. I buty, oczywiście robione na zamówienie. Jej obecność poraża, jej głos budzi lęk. I ten akcent... Nie sądziłem, że ktoś może jeszcze tak mówić.

Błąd. Ten akcent i towarzyszący mu sposób bycia mają się doskonale. Pierwszy raz w moim mimo wszystko dobrym, przytulnym życiu pojmuję znaczenie określenia "klasa rządząca", "klasa wyższa". Noszę w sercu gotowość do nienawiści - Żmija także. Kiedy wchodzę, przerywa i odwraca się. Jej niebieskie, zimne jak lód spojrzenie ogarnia mnie w ciągu sekundy, od stóp do głów, równie szybko szacuje wartość mojej osoby

369

i ocenia ją jako zerową. Żmija raczej nie wie, kim jestem, Stella, jak zwykle roztargniona i nieprzytomna, nie uprzedziła lady Violet, że w naradzie rodzinnej weźmie udział także Cyganek Danny. Ale wyjaśnienia wcale nie są potrzebne - Violet wyczuwa moje pochodzenie z odległości stu metrów, podobnie jak ja wyczuwam jej pochodzenie. Jesteśmy śmiertelnymi wrogami, chociaż nie zamieniliśmy ani słowa. Violet już wie, skąd się wziąłem, wie, że przekroczyłem wytyczoną wieki temu granicę. Nikt tak marny, tak nisko urodzony jak ja nie powinien trafić przed jej oblicze, ale skoro już znalazłem się w jej obecności, skoro będzie musiała przez chwilę znosić moją chamską bliskość, to musi tylko przypomnieć mi, gdzie jest moje miejsce.

Angielska klasa wyższa jest nieuprzejma i pozbawiona wrażliwości - takie jest moje doświadczenie. A nieuprzejmość Violet oscyluje w granicach górnych stanów normy, co tam, wykracza poza normę. Kiedy Stella zaczyna się gubić i jąkać, próbując mnie przedstawić i wytłumaczyć moje pojawienie się, Violet na moment wsuwa czubki osłoniętych rękawiczką palców pomiędzy moje, cofa dłoń i odwraca się do Stelli.

- Kontynuujmy, moja droga - przerywa jej. - Musisz wziąć się w garść.

Rozmawiałam z lekarzem, który opiekuje się Maisie. Nie zrobił na mnie szczególnie dobrego wrażenia. Trzeba było sprowadzić specjalistę, którego ci rekomendowałam, ale oczywiście nie chciałaś słuchać. Tak czy inaczej, sytuacja jest jasna. Prognozy są marne. Jesteś w stanie przyjąć to wreszcie do wiadomości, Stello?

Ty głupia pizdo, myślę. Ty bogata, zimna, ograniczona cipo...

Twarz Stelli przypomina maskę cierpienia. Jej policzki oblał krwawy rumieniec, oczy wypełniły się łzami. Julia interweniuje natychmiast, trzeba przyznać, o wiele szybciej niż ja.

- Stella jest w stanie znacznie lepiej ocenić stan Maisie niż ty, Violet - mówi. - Ile razy odwiedziłaś Maisie, bo jakoś wyleciało mi to z głowy?

370

- Dwa razy. I to mi wystarczy.

- W żadnym razie nie zmuszaj się do złożenia trzeciej wizyty, bardzo proszę - rzuca Julia.

Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że przy łóżku obecna jest trzecia kobieta, właściwie dziewczyna, która siedzi na stołku, zasłonięta szerokim futrem Violet. Młoda kobieta, której Żmija nie uznała za stosowne mnie przedstawić.

Dziewczyna podnosi się. Widzę, że ma z dziewiętnaście, może dwadzieścia lat i sięgające ramion ciemne włosy, które przytrzymuje aksamitna opaska. Ubrana jest w jedną z tych grzecznitkich bluzeczek z kołnierzykiem, którymi Julia namiętnie gardzi, i różowy rozpinany sweterek. Ma milutką, pozbawioną cech szczególnych twarz i łagodny sposób bycia. Krótko mówiąc, dziewica i debiutantka z lat pięćdziesiątych -ta kategoria.

- Violet, naprawdę nie powinniśmy denerwować Stelli -odzywa się łagodnie, kładąc rękę na rękawie futra z norek. -Ta cała sytuacja jest już i tak bardzo trudna dla niej i dla nas wszystkich...

Najbardziej zdumiewające jest to, że interwencja dziewczyny okazuje się o wiele bardziej skuteczna niż frontalny atak Julii. Violet przerywa i poklepuje ją po miękkiej dłoni.

- No, tak, Veronico, kochanie... - mówi. - Możliwe, że masz rację. Trzeba porozmawiać o tym zupełnie spokojnie, a to z pewnością nie jest odpowiednie miejsce... Przepraszam cię, Stello, przecież wiesz, że zawsze mówię, co myślę... Ostatnie dwa miesiące nie były zbyt łatwe, oczywiście...

Następuje parę chwil wzmożonej aktywności i w rezultacie Violet udaje się namówić Stellę, aby w jakimś spokojnym miejscu porozmawiały w cztery oczy. Julia chce towarzyszyć matce, upiera się przy tym i pokonuje Żmiję. Lady Violet po mistrzowsku wyłącza mnie z dyskusji, wszystko to odbywa się błyskawicznie.

Dziewczyna o miłej twarzy i ja zostajemy przy łóżku milczącej, nieruchomej Maisie. Oczy Maisie tym razem są zamknięte

371

- może śpi, a może nie. Dziewczyna rumieni się, wyciąga rękę i przedstawia się. To Veronica, narzeczona Edmunda Mortlanda, wnuka i spadkobiercy Violet. Nagle zdaje sobie sprawę, że ta łagodna młoda kobieta patrzy na mnie jak zahipnotyzowana, w sposób, który nie jest mi obcy i który bardzo mnie nudzi. Wreszcie przeproszającym tonem proponuje, abyśmy zeszli na filiżankę herbaty do nieprzyjemnej, przygnębiającej szpitalnej kawiarenki.

Schodzimy na dół i docieramy do kawiarni, pokonując labirynt korytarzy.

- Czego właściwie ma dotyczyć ta narada? - pytam, kiedy siadamy przy stoliku. - Czemu ma służyć?

- Violet uważa... Sądzi, że zbliża się chwila podjęcia decyzji... - mówi Veronica z wahaniem. - Decyzji, czy kontynuować leczenie... Próbowałam się z nią spierać... Wciąż mam nadzieję, że Maisie wyzdrowieje, strasznie jest patrzeć na nią w tym stanie... Ale Violet jest bardzo autorytatywna, dosłownie zmiata wszystko, co staje na jej drodze...

Podsuwam cukierniczkę temu dzieciakowi, który znowu mocno się rumieni. Cały czas zastanawiam się, dlaczego Violet zrobiła coś takiego. Tego rodzaju interwencja wydaje się zbyt brutalna i zupełnie nieuzasadniona, chyba nawet w oczach kogoś tak podłego jak Żmija.

Częstuję Veronicę papierosami. Bierze jednego, czeka, aż podam ogień. Nie pali - nerwowe, płytkie pufnięcia natychmiast to zdradzają. Wiem, dlaczego wzięła papierosa. Głupia mała, myślę, i ze zwykłej nudy połączonej z leniwym zaciekawieniem włączam swój urok. Nauczyłem się już to robić. Mija najwyżej pięć minut i widzę, że to działa, nawet tutaj, w tym niemiłym miejscu, gdzie bez przerwy grzechoczą filiżanki i talerzyki, a powietrze przesiąknięte jest odorem tłuszczu i nieświeżego ciasta. Veronica gada jak najęta, obrzucając mnie ostrożnymi spojrzeniami spod rzęs, zupełnie jakbym był egzotycznym stworzeniem, które można zobaczyć tylko

372

w zoo, zwierzęciem, które może okazać się urocze i zabawne, ale także podstępne i śmiertelnie niebezpieczne.

Mówi, że termin jej ślubu ma zostać przesunięty; zamierzali czekać do wiosny i wydać wielkie przyjęcie weselne, lecz w tych okolicznościach wszelka pompa wydaje się niestosowna i dlatego ceremonia odbędzie się w listopadzie, a po niej nieliczni goście będą towarzyszyć młodej parze na cichej, skromnej kolacji.

Nie interesują mnie ślubne plany Veroniki ani nikogo innego. Cierpię. Myślę o Finn i zastanawiam się gorączkowo, dlaczego nie przyszła na rodzinną naradę, chociaż wcześniej obiecała, że na pewno będzie.

- Z początku byłam rozczarowana - mówi Veronica. - Teraz widzę jednak, że Violet miała słuszość, oczywiście. Właściwie tak będzie nawet lepiej dla Edmunda i dla mnie. W podróż poślubną wybieramy się do Paryża, a potem do Rzymu. Jestem strasznie podekscytowana... Nigdy nie byłam w Rzymie...

- Długo znasz Edmunda? - pytam, wracając do rzeczywistości.

- Od zawsze! Edmund jest starszy ode mnie, o osiem lat, ale to przecież nieistotna różnica... Violet i moja babcia są ze sobą bardzo zaprzyjaźnione. - Unosi w górę dwa splecione palce na odczynienie uroku. - Dlatego znam Edmunda od wieków, lecz on jest okropnie nieśmiały, podobnie jak ja, więc trochę to trwało, zanim zrozumieliśmy, co do siebie czujemy... W końcu jednak Edmund zdobył się na odwagę i oświadczył się o moją rękę...

Naiwność tego dziecka jest nawet w pewien sposób fascynująca, chociaż trochę trudno w nią uwierzyć.

- Jak długo czekaliście na to olśnienie? - pytam suchym tonem.

- Och, całe lata... - Veronica rumieni się gwałtownie. - Myślałam, że Edmund oświadczy się, kiedy kończyłam szkołę z internatem, bo kiedy mnie tam wysłano, zawsze okazywał

373

mi mnóstwo serdeczności. Było to potwornie ponure miejsce, wypisz, wymaluj obóz jeniecki... Edmund wiedział, że czułam się tam fatalnie, więc pisał, a czasami nawet przyjeżdżał i zabierał mnie na lunch. Babcia powtarzała mi, że Edmund po prostu za mną szaleje i tylko czeka, aż trochę podrosnę... Jednak zaraz po moich szesnastych urodzinach na całe dwa lata wyjechałam do szkoły w Szwajcarii, a Edmund prawie zupełnie przestał do mnie pisywać, więc straciłam nadzieję. Poznałam zresztą w Szwajcarii kogoś, kto bardzo mi się podobał, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło... - zerka na mnie niepewnie. - Kiedy wróciłam do domu, babcia powiedziała, że ona i Violet zamierzają odbyć naradę wojenną...

Moje milczenie i brak reakcji w końcu do niej docierają. Sama także milknie, po chwili mówi, że przeprasza, bo chyba zanudziła mnie na śmierć. Minęło zaledwie piętnaście minut, odkąd usiedliśmy przy stoliku, a ja już nie mogę znieść tego pustego szczebiotu. Myślę o tym, jak Violet z całą pewnością terroryzuje Stellę,

nawet mimo obecności Julii, i z każdą chwilą coraz bardziej się niepokoję.

- Chyba powinienem wrócić na górę - mówię. - Na pewno skończyły już tę konferencję...

- Och, nie, nie idź jeszcze! - prosi. - Nie masz pojęcia, jak długo Violet potrafi mówić... Nic nie zrobi Stelli, bo Stella jest w gruncie rzeczy dosyć twarda, nie uważasz? Poza tym Stella ma tam Julię, a Julia jest wspaniała, prawda? Taka piękna i inteligentna... Zawsze czuję się przy niej potwornie głupia i niezgrabna...

Przerywa. Milczę, nie podejmuję tematu.

- Na dodatek to niesprawiedliwe... - ciągnie, znowu oblewając się rumieńcem. - Opowiedziałam ci wszystko o sobie, a o tobie dalej nic nie wiem... Skąd znasz Mortlandów? - Chwilę się waha. - Jesteś przyjacielem Julii? Przyszło mi do głowy, że... Pomyślałam sobie, że może...

- Przyjacielem Julii? - powtarzam. - Nie, w żadnym sensie tego słowa, raczej odwrotnie...

374

- Mieszkaś w pobliżu Wykenfield? Masz akcent podobny do irlandzkiego... Jesteś Irlandczykiem?

- Nie. Urodziłem się i wychowałem w wiosce. Mój ojciec pracuje na roli, a babcia sprząta w Opactwie. Julię i Finn znam od dziecka.

Z zacięciem czekam na jej reakcję i nie doznaję rozczarowania. Veronica dochodzi do siebie dopiero po paru sekundach.

- Przepraszam... - krztusi się w końcu. - Nie wiedziałam... Myślałam... Wyglądasz tak... Twój głos... Masz takie ciemne oczy i włosy...

- W moich żyłach płynie cygańska krew - uśmiecham się. - Wychowała mnie babcia, która jest Cyganką, możesz więc dać mi srebrną monetę, Veronica, a ja powiem, co cię czeka...

- Boże kochany! Żartujesz sobie ze mnie? A może kpisz? Naprawdę jesteś Cyganem? Nie wierzę, że potrafisz przepowiadać przyszłość! Nie wierzę w takie rzeczy, to znaczy... Raczej nie wierzę... Z drugiej strony, czasami mam dziwne przeczucie, że coś się zdarzy, albo że ktoś coś zrobi... To bywa bardzo niepokojące...

- Rzuca mi ostrożne spojrzenie spod rzęs. - Tobie też to się zdarza?

- Tak - odpowiadam z całą powagą, chociaż naprawdę trudno mi ją zachować.

Wiem, że powinienem natychmiast przestać, bo przecież to nie jej wina, że mówi tak, jak mówi, zresztą życzę jej jak najlepiej, ale coś mnie kusi, żeby ciągnąć to dalej, żeby sprawdzić, czy syn robotnika rolnego może przewyciężyć dwa lata w szkole dla eleganckich pań w Szwajcarii i proces wychowania, w trakcie którego nauczono ją trzymać się z daleka od takich jak ja. Ta pokusa jest zbyt silna, a możliwości dalszego rozwoju sytuacji zbyt zabawne.

- Wybieraj - mówię. - Przepowiem ci przyszłość, ale ty musisz zdecydować, jaką metodą. Z kart tarota, herbacianych fusów czy z dłoni?

375

- Cóż, herbatę dostaliśmy w saszetkach, a chyba nie nosisz przy sobie talii tarota, prawda? - z uśmiechem kręci głową. - Poza tym karty tarota zawsze budzą we mnie lęk... W szkole była dziewczyna, która ciągle je rozkładała, nie znosiłam tego... Więc wszystko wskazuje na to, że powinieneś powrócić mi z ręki...

I wyciąga do mnie różową dłoń, ozdobioną pierścieniem zaręczynowym z dużym brylantem i szafirem.

- Długo to potrwa? - pyta bez tchu.

- Bardzo wątpię - odpowiadam.

Proszę, żeby podała mi drugą dłoń - jest praworeczna, więc właśnie ta będzie mi potrzebna.

Patrzę na nią uważnie. Wzgórek Wenus jest miękki, pulchny, linia życia długa. Przejrzałem już Veronicę na wylot i jej dłoń nie mówi mi nic nowego. Lekko przekręcam rękę dziewczyny i badam jej krawędź. Nie pokładam dużej wiary w czytaniu z ręki, ale zgodnie z liniami poniżej małego palca Veronica tylko raz wyjdzie za mąż i urodzi tylko jedno dziecko.

- No, no, no... - mówię z westchnieniem. - Jesteś głęboką, tajemniczą osobą... Zaskakujesz mnie, naprawdę...

Bella dobrze mnie wyszkoliła i wiem, że ten wstęp jest po prostu niezawodny. Jako dziecko, Bella przyglądała się, jak Ocean skutecznie stosowała go niemal wszędzie, od Yorkshire po tor wyścigowy w Epsom. W przypadku kobiet ten numer zapewnia absolutne powodzenie. Ja dodaję do tej uwagi mroczne, pełne skupienia spojrzenie - sam udoskonaliłem tę metodę.

Gadam przez jakiś czas. Kiedy kończę, Veronica jest blada i wyraźnie wstrząśnięta.

- Nie mogę... Nie mogę w to uwierzyć... -jaka się. - Nie mogę uwierzyć, że tak dobrze mnie znasz... Dopiero się spotkaliśmy, a mam uczucie, jakbyśmy znali się od lat... To niesamowite! Nigdy w życiu nie spotkałam kogoś takiego jak ty! Jesteś... Jesteś niezwykle! Naprawdę niezwykle...

376

- Pochodzę ze środowiska, które jest ci zupełnie obce -mówię z lekką irytacją. - Pewnie właśnie to wydaje ci się takie niezwykle. Większość ludzi nie widzi we mnie nic nadzwyczajnego.

Dochodzę do wniosku, że zwycięstwo przyszło mi zbyt łatwo. Zaczyna mnie to nużyć.

- Wcale nie o to mi chodziło! - W oczach Veroniki błyska gniew, który sprawia, że przez chwilę czuję do niej odrobinę sympatii. - Nie mów tak, to okropne... Nie jestem snobką, podziały klasowe nic mnie nie obchodzą... To zamierzchła przeszłość.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak... - bierze głęboki oddech. - Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Już teraz znasz mnie lepiej niż większość moich przyjaciół i znajomych. Proszę... - wyjmuję z torebki kartkę i zapisuje coś na niej. - To mój numer telefonu. Mieszkam z dwiema dziewczynami ze szkoły, Victorią i Virginią -ludzie nazywają nas Trzy V... Wynajmujemy cudowny mały domek w Chelsea, tuż obok King's Road. Bardzo by mi zależało, żebyś któregoś dnia wpadł do nas na kolację. Obiecuj, że przyjdiesz, dobrze? Wiem, że świetnie byśmy się bawili... Mógłbyś przynieść swoją talię tarota - nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś to ty mi z niej powróżył... Na pewno w ogóle bym się nie bała i...

Przerywa. Widzi wyraz mojej twarzy.

- Nie specjalizuję się w imprezowych sztuczkach - odpowiadam. - Nie jestem do wynajęcia, przykro mi...

- Nie to miałam na myśli! Dlaczego jesteś taki drażliwy? Proszę, weź tę kartkę, co ci szkodzi... Po prostu weź ją, i już. Jeżeli nie zechcesz, nie zadzwonisz...

Biorę kartkę. W głosie Veroniki brzmi natarczywa nuta, jej twarz przybiera lekko nadąsany wyraz. Spoglądam na zapisany numer telefonu, a potem drę karteczkę na drobne kawałki i wrzucam je do popielniczki.

- To zły pomysł - mówię. - Zły pomysł, wierz mi.



I naprawdę tak jest, chociaż, naturalnie, Veronica wcale mi nie wierzy.

Bez słowa wychodzi za mną z kawiarenki i razem znowu pokonujemy labirynt szpitalnych korytarzy. Przez całą drogę milczymy. Na oddziale zastajemy Violet, Stellę i rozwścieczoną Julię.

- Nareszcie jesteś, Veronica - zauważa Violet. - Zastanawiałam się właśnie, gdzie się podziałas. W kawiarence? No, mam nadzieję, że nie zagadałaś pana... pana...  
Strasznie przepraszam, ale pańskie nazwisko zupełnie wyleciało mi z głowy... Nie chciałybyśmy pana dłużej zatrzymywać...

- Nazywam się Daniel Nunn - odpowiadam. - I nigdzie mi się nie śpieszy.

Lodowato błękitne oczy Violet na dłuższą chwilę zatrzymują się na mojej twarzy. Czuję się tak, jakby zeskanowała mnie i zamknęła obraz w archiwum pamięci. Potem Żmija odwraca się do łóżka, na którym leży milcząca Maisie, w tej samej pozycji co poprzednio, z zamkniętymi oczami, bez ruchu. W podłączonych do jej ciała rurkach pulsują składniki odżywcze, wydzieliny i odchody. Monitor mruga.

- Stello, mówię ci to po raz ostatni - zaczyna Violet. - Zapytaj samą siebie, czy naprawdę chcesz przedłużać to cierpienie. Nie chodzi tu tylko o Maisie. Cała ta sprawa doprowadziła do dramatycznego pogorszenia stanu zdrowia Henry'ego, prawda? Ty także jesteś kompletnie wycieńczona i jeśli nie przestaniesz się przemęczać, skończy się to bardzo poważnym załamaniem. Wszystko to razem jest okropnym przeżyciem dla Julii i Finn. Rozumiesz więc chyba, że będziesz musiała podjąć decyzję, moim zdaniem najpóźniej pod koniec roku. Wiem, że masz skłonność do wiecznego odkładania ważnych rzeczy, ale w tym wypadku nie możesz sobie na to pozwolić. Sytuacja nie ulegnie poprawie, stan Maisie ciągle się pogarsza, co jest absolutnie oczywiste dla wszystkich lekarzy i pielęgniarek.

Jest to zresztą boleśnie oczywiste i dla wszystkich innych, moja droga...

Oczy Maisie otwierają się gwałtownie. Otwierają się szeroko, dokładnie w chwili, gdy Violet kończy przedostatnie zdanie, i nieruchomieją, wpatrzone w stojącą w nogach łóżka Żmiję. Spojrzenie Maisie, czujne, skupione i aroganckie, jest niezwykle mocne, zupełnie jak na obrazie Lucasa. Twarz Maisie przybiera dokładnie ten sam wyraz, co na portrecie - zauważam to dopiero teraz, w trakcie tej przedziwnej podróży w czasie. Nawet Violet, osłonięta tarczą niemożliwej wręcz do pokonania pewności siebie, nie może sobie z nim poradzić. Cofa się o krok i wydaje cichy, pełen

lęku okrzyk.

Powoli, z wielkim wysiłkiem, Maisie odwraca głowę na poduszce i przenosi wzrok na Stellę. Jej wargi poruszają się, chociaż nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Tak, poruszają się. I nagle, w sposób, który sprawia, że po plecach przechodzi mi dreszcz, Maisie zaczyna przesuwając prawą rękę. Porusza nią z trudem, z przerwami (sytuację utrudnia wbita w żyłę igła z kroplówką), ale tego ruchu w żadnym razie nie można nazwać nieświadomym czy przypadkowym. Biała, posiniaczona, chudziutka ręka Maisie pełźnie po białej pościeli z wolna, centymetr po centymetrze. Można odnieść wrażenie, że ta ręka posiada własną wolę, choć na twarzy Maisie maluje się wyraz intensywnego skupienia. Pochylona nad łóżkiem Stella zamiera. Dłoń Maisie niczym krab wędruje w kierunku dłoni matki, nieruchomieje na sekundę i znowu podejmuje podróż. Maisie udaje się ostatnim wysiłkiem lekko podnieść palce, które jak pajak opadają na rękę Stelli i usiłują ją chwycić. Stella przekręca dłoń i palce Maisie zamykają się wokół niej. Z gardła dziewczynki wydobywa się niski, warczący odgłos. Nie potrafię powiedzieć, co może oznaczać ten warkot, ale Stella nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Jestem tutaj! - mówi. - Jestem tutaj, skarbie! Och, wiedziałam, że nas słyszysz! Byłam pewna, że wyzdrowiejesz! -

379

Niezgrabnie chwytając Maisie w ramiona, przytula do niej mokrą od łez twarz. - Julio, Dan, widzieliście to! Byliście przy tym, jesteście świadkami! Szybko, niech ktoś pobiegnie po siostrę oddziałową, po lekarza, już, natychmiast, chcę, żeby sami zobaczyli...

Pielęgniarki i lekarze rozmaitej rangi zjawiają się po paru minutach. Podczas tego całego zamieszania Violet wychodzi, prowadząc za sobą oniemiałą Veronicę. Podchodzę do łóżka, żeby pocałować Maisie w czoło i pożegnać się z nią. Czuję, że ta chwila należy do Julii i Stelli, nie do mnie, poza tym, ostrzeżony przez Nicka, wiem, że nawet tak oczywiste postępy nie wykluczają ponownej zapaści. Nie chcę być świadkiem czegoś takiego i nie chcę, aby Stella wyczuła mój strach.

Kiedy się pochylam, Maisie spogląda mi prosto w oczy. Patrzy na mnie twardo, trochę obco, jakbyśmy witali się po raz pierwszy, jakby w moich oczach dostrzegła kogoś, w kim rozpoznaje swojego współnika czy sojusznika. Oczy Maisie mają nieugięty wyraz, jest w nich coś, co porusza mnie do głębi. Zdaję sobie sprawę, że to tylko sprawa mojej wyobraźni, ale mimo to cofam się gwałtownie.

Wychodzę na szpitalny korytarz. Julia, ku mojemu zaskoczeniu, idzie za mną.

- Jesteś kompletnie niepoprawny, prawda? - zaczyna bez wstępów. - Serdeczne dzięki za pomoc, Dan. Herbatka w kawiarence, co? Biedna dziewczyna wyglądała, jakby ją piorun strzelił... Zostaw Veronicę w spokoju. To słodki dzieciak, zupełnie niewiniątko. Chociaż raz powiedz sobie, że nikomu niczego nie musisz udowadniać. Mógłbyś złamać ją jednym ruchem małego palca, oboje dobrze o tym wiemy.

- O czym ty mówisz, na miłość boską? - odpowiadam. - Wypiłem filiżankę herbaty, to wszystko. A przy okazji o mało nie skończyłem z nudów, warto dodać. Dziewczyna zaraz wychodzi za mąż, spędziła dwa lata w szwajcarskiej szkole dla dobrze urodzonych dziewcząt i opowiadała mi o tym wszystkim także

380

prawie dwa lata. Jeśli sądzisz, że to dziewczyna w moim typie, choćby w przybliżeniu, to naprawdę w ogóle mnie nie znasz. Mało brakowało, a udusiłbym się całą tą jej słodyczą...

- No i dobrze! Była miła dla Stelli, więc nie chcę, żebyś ją zranił. I mimo wszystko znam cię na wylot, Dan! Czytam w tobie jak w otwartej księdze. Świeże podboje to dla ciebie zawsze wielka pokusa...

- Nie, nie znasz mnie! Nic o mnie nie wiesz, do ciężkiej cholery! Nie myślę o Veronice, myślę o Maisie. Co się z tobą dzieje, do diabła? Nie jesteś przypadkiem zazdrosna?

- Spadaj! - warczy Julia i odwraca się na pięcie. Drzwi zamykają się za nią z cichym trzaskiem.

Znowu ruszam przed siebie labiryntem cichych korytarzy. Już po paru minutach zapominam o oskarżeniach Julii. Myślę o Maisie i o tej chwili, gdy jej ręka zaczęła się poruszać. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że był to dziwnie niepokojący moment. Stella była pełna radości i ja powinienem czuć to samo, a jednak stało się inaczej. W tej dłoni, powoli lecz z rozmysłem pełnącej po pościeli, było coś podstępnego, groźnego; nie potrafię określić dlaczego, ale ruch ręki Maisie całkowicie mnie zafascynował i wzbudził we mnie lęk.

W końcu odnajduję drogę do wyjścia i zbiegam po schodach na ulicę. Zapada zmrok. Słyszę szum i warkot silników przejeżdżających dalej samochodów oraz żalostne wycie syreny. Pod bocznym wejściem zatrzymuje się karetka pogotowia, niebieskie światła migają. Od muru odrywa się jakiś cień, podchodzi i pociąga mnie za rękaw. Odwracam się i ze zdumieniem odkrywam, że cieniem jest Finn. Finn, którą z trudem poznaję.

- Dan? - odzywa się. - Czekam tu i czekam... Dokąd moglibyśmy pójść? Muszę z tobą porozmawiać.

Rozdział Dwudziesty Piąty.

FIN.

Nie widzę jej dokładnie - zdaję sobie z tego sprawę dopiero teraz, kiedy tak leżę na materacu z pierza, niepewny, czy to dzień, czy noc, czy jest już jutro, czy jeszcze wczoraj. Czas ciągle się zmienia i chociaż ta pętla - Finn i ja, stojący w zapadającym zmroku, rozświetlanym migającym błękitnym światłem - także się porusza, stale i wciąż, to widzę jej twarz tylko we fragmentach. Widzę jej bladość, dłoni w rękawiczce, opartą na moim rękawie oraz wyraz oczu, błyszczących i ciemnych. Staram się zrozumieć, jak to możliwe, że w ciągu tych paru tygodni, czterech, może pięciu, kiedy jej nie widziałem, aż tak bardzo się zmieniła. Finn przytyła, jej biała twarz wydaje się obrzmiała, widzę też, że przed chwilą płakała. Owinęta jest w kilka warstw wełny: w grubą spódnicę do kostek, sweter, który osłania ją od szyi aż po uda, drugi sweter, luźny i rozpinany oraz obszerny, obwisły tweedowy płaszcz, którym otula się jak kocem. Wewnątrz wszystkich tych ubrań Finn trzęsie się jak osika.

Nie słyszę samego siebie i nie jestem pewny, co mówię. Chyba próbuję się dowiedzieć, co się stało. Prawdopodobnie staram się dociec, dlaczego czekała na mnie pod szpitalem, dlaczego nie przyszła na górę. Mam też wrażenie, że w pewnym momencie musiałem powiedzieć jej o Maisie.

- Nie, nie, nie! - mówi Finn i się cofa. - Nie pójdę tam teraz, nie dam rady... Nie zniosę widoku nadziei na twarzy Stelli.

382

Maisie nie wróci do nas, Dan. Ona nie wróci, wiesz o tym równie dobrze jak ja...

- Tym razem było inaczej niż zwykle, daję ci słowo! Naprawdę było inaczej, widziałem to!

- Inaczej? Czyli jak? - Twarz Finn wyłania się z ciemności na fali niebieskiego światła. - Czy Maisie znowu będzie chodzić, rozmawiać, myśleć? Wiesz, że to

niemożliwe. Pewnych procesów nie da się cofnąć, Nick wyjaśnił mi to jeszcze w Opactwie. Wiele dni spędziłam w uniwersyteckiej bibliotece, chodziłam tam prawie codziennie i czytałam medyczne podręczniki, i wiem, że niektóre rzeczy są nieodwracalne. Nieodwracalne, właśnie tak. Czasami nie ma powrotu do stanu sprzed jakiegoś zdarzenia i nic nie da się zrobić, nic... Tak już po prostu jest...

Zaczyna płakać. Widzę, jak łzy wypływają spod powiek, niebieskie łzy w niebieskim świetle, a potem twarz znowu pogrąża się w ciemności. Znowu czuję jej dłoń na swoim rękawie.

- Słuchaj, gdzie moglibyśmy pójść? - pyta. - W jakieś spokojne miejsce, żeby porozmawiać... Musi tu gdzieś być jakaś mała kawiarnia, tu są setki kafejek, na pewno jakąś znasz...

Sęk w tym, że naprawdę nie znam żadnej kawiarni w tej okolicy. Proponuję, żebyśmy wrócili do szpitala, ale Finn nie chce się zgodzić.

- Nie, nie, tylko nie tam! - protestuje. - Nienawidzę szpitali. Zawsze jest tam tak cicho, a za każdymi drzwiami czai się śmierć. Poza tym moglibyśmy natknąć się na Stellę albo Julię... Czy Julia była u Maisie? Nie chcę widzieć żadnej z nich, nie teraz, jeszcze nie... Pospacerujmy trochę, błagam cię, chodźmy już stąd! Znajdziemy sobie jakąś kawiarnię.

I rzeczywiście, w labiryncie wąskich uliczek znajdujemy grecką kawiarenkę. Kiedy wchodzimy, po panującej na zewnątrz ciemności wewnątrz małego lokalu dosłownie płonie

383

oślepiającym fluorescencyjnym blaskiem. W tym świetle twarz Finn wydaje się pozbawiona wszelkiego koloru. Jesteśmy jedynymi klientami. Siadamy z tyłu, w cieplej mgłę zapachów z kuchni i obłoków pary, wydobywających się z ekspresu do kawy. Otacza nas warkot włączonego ekspresu, brzęk talerzyków i filiżanek w zmywarce, odgłosy cichej rozmowy, prowadzonej w obcym języku między właścicielem a jego pomocnikiem, i przez chwilę czuję się tak, jakbyśmy nagle znaleźli się na bezludnej wyspie, odgradzeni od świata. Tworzy to aurę specyficznej intymności. Siedzimy naprzeciwko siebie przy stoliku z plastikowym blatem w czerwone kropki. Między nami stoi cukierniczka i serwetnik - Finn zaczyna nerwowo bawić się tymi przedmiotami, najpierw cukierniczką, potem szkarłatnymi serwetkami. Układa serwetki w fałdy czy może raczej plisy i kiedy już nie mogę dłużej na to patrzeć, przykrywam jej dłoń swoją.

- Powiedz mi - mówię.

- Zrobiłam coś strasznego - z jej oczu kapią na blat łyż. -Nigdy mi tego nie wybaczysz...

- Nie ma takiej rzeczy, której nie mógłbym ci wybaczyć. Zresztą kwestia przebaczenia nie istnieje, nie między nami. Powiedz mi.

- Czy wyglądam inaczej? - Finn podnosi oczy. - Powiedz mi, co widzisz...

Waham się. Przeczuwam już, co mnie czeka i boję się tak bardzo, że trudno mi wydobyć głos z gardła.

- Nie wyglądasz dobrze - zaczynam powoli. - Jesteś strasznie zdenerwowana, zmęczona i blada...

- Wyglądam jak idiotka? - pyta, przerywając. - Wyglądam jak idiotka? Nie? Ale jestem idiotką! Jestem głupia, głupia, głupia! Dawniej myślałam, że jestem bystra, inteligentna i ludzie to potwierdzali. Miałam umysł, sprawny umysł i z całego serca pragnęłam zacząć studiować w Cambridge, gdzie mieli mnie nauczyć, jak się nim posługiwać. Byłam bardzo szczęśliwa, bo najbardziej pragnęłam właśnie tego.

384

Chciałam studiować, czytać, przez całe trzy lata uczyć się czytać. Wyobraź sobie ten luksus, tę wielką radość... Cóż, zmarnowałam tę szansę, zresztą nie jest to jedyna rzecz, jaką zaprzepaściłam. Straciłam szacunek do samej siebie, ale to nieważne, z tym mogę żyć. Straciłam poczucie, kim tak naprawdę jestem, tak, zgubiłam je gdzieś po drodze... I jeszcze... Och, Dan, przepraszam cię... Nie mogę dłużej mówić. Nie mogę myśleć, nie tak, jak myślałam dawniej. Mój mózg nie działa, kręci się tylko w kółko jak szczur w pułapce. Na dodatek przez to wszystko czuję się taką potworną egoistką... Nie umiem skupić się na Maisie, nie myślę o Stelli ani o Dziadziusiu... O tobie też nie mogę myśleć, w każdym razie nie tak, jakbym chciała, i wiem, że jestem zła, podła, nikczemna...

Ten potok słów wylewa się z niej bardzo szybko. Próbuję za nim nadążyć i coś z tego wszystkiego zrozumieć, poskładać w spójną całość słowa Finn i wyraz jej oczu, i aż mdli mnie ze strachu. Jakaś część mojego umysłu blokuje wszystkie pozostałe i w kółko powtarza: "Nie, to niemożliwe, ona tego nie powie, to niemożliwe!" Wreszcie, trochę niezgrabnie, zmagając się z stołem, Finn podnosi się z krzesła. Rozsuwa fałdy płaszcza, podnosi warstwy swetrów i odsłania zgrubiałą talię i wystającą misę brzucha.

Czy coś wtedy powiedziałem? Nie wiem. Wydaje mi się, że pochyliłem głowę, bo przed oczami mam plastik w czerwone kropki, wśród których gorączkowo i daremnie

staram się znaleźć jakiś motyw. Czyjaś ręka stawia przed nami dwa plastikowe kubki z kawą, czarną, przykrytą kożuszką brązowej piany.

- Czwarty miesiąc - mówi Finn. Słyszę swój głos.

- Czwarty? - powtarzam jak idiota. - Nie, to niemożliwe...

Jak idiota próbuję doliczyć się czegoś, czego i tak nie uda mi się doliczyć. Nic się nie zgadza. Kolejne miesiące zacierają się, bledną, tracą sens.

385

- Czwarty... - mówię. - Ale to by znaczyło... Nie, to niemożliwe... Finn? Początek czerwca? Wtedy byliśmy przecież jeszcze w Cambridge... Jak to możliwe? Myślałem, że byliśmy... Myślałem, że ty...

- Wiem, co myślałeś - odzywa się cicho. - Mój drogi, mój najdroższy, wiem, co myślałeś i wiem, jak cię okłamałam... Tak mi przykro... Wierz mi, jest mi tak strasznie przykro...

Patrzę w jej twarz, której kontury się rozmywają, podobnie jak wnętrze kawiarni. Mam wrażenie, że znalazłem się w pułapce, że oboje zostaliśmy w nią schwytani, Finn i ja. To spotkanie, ta rozmowa zostały rozpisane na role już co najmniej milion razy. Wiem, co ona ma powiedzieć i co ja powiem. I nie chcę tego mówić, chociaż czuję, jak słowa wyrywają mi się z ust. Nie chcę wpadać w złość, nie chcę przesłuchiwać Finn, nie chcę obrzucać jej wyzwiskami, nie chcę błagać ani szlochać, ale wyraźnie widzę zapis naszych ról. Którą kwestię wypowiedzieć? Wszystkie są bezsensowne, upokarzające, oczywiste i nieodpowiednie.

- Czy Lucas wie? - pytam w końcu, z ogromnym trudem.

- Tak, wie.

- Od jak dawna? Kiedy mu powiedziałaś?

- Dwa miesiące temu. Mniej więcej dwa miesiące temu... Zrobiłam badania - wiesz, teraz przeprowadzają takie testy... Wyniki przyszły tego dnia, kiedy pojechałam ze Stellą do Londynu. Powiedziałam mu parę dni później, nie pamiętam, kiedy dokładnie, bo przecież wtedy Maisie... Sam wiesz, co się wtedy działo...

- Kto przeprowadził te badania? Na pewno nie zrobiłaś ich w Wykenfield. Nie poszłaś przecież do doktora Marlowa, do ojca Nicka, prawda?

- Nie, oczywiście że nie... Lucas pożyczył samochód Dziadziusia i zawiózł mnie do Deepden. Tam zrobili badania. Wymyśliłam jakąś głupią historyjkę, podałam

falszywe nazwisko, powiedziałam, że przyjechałam z wizytą do kogoś

386

znajomego z tej okolicy... Oczywiście nie uwierzyli, ale co z tego... Ci lekarze ciągle mają do czynienia z takimi przypadkami. To takie łatwe do przewidzenia... Najtrudniej znieść mi właśnie to, że w oczach innych ludzi moja historia jest wulgarna i przewidywalna... To było okropne, Dan, czułam się później taka brudna, jakbym wytarzała się w błocie... Nigdy w życiu nie byłam tak upokorzona... Teraz już wiem, jak to jest, powoli przyzwyczajam się do upokorzeń. I chyba dobrze, bo wiele mnie jeszcze czeka...

Uśmiecha się krzywo, drżącymi wargami. Bierze do ręki cukierniczkę i patrzy na nią tak, jakby nie miała zielonego pojęcia, do czego ten przedmiot służy; potem potrząsa nią i wsypuje trzy porcje cukru do swojego kubka. Finn nie słodzi kawy, w każdym razie wcześniej nie słodziła. Zastanawiam się, gdzie byłem tamtego dnia, kiedy Lucas zawiózł ją do lekarza w przyzwioicie oddalonym od Wykenfield Deepden. Gdzie wtedy byłem? Myłem okna? Naprawiałem jakiś traktor? A może wypłacałem emeryturę staruszkom na poczcie? Ile godzin miała Finn, aby mnie oszukać...

Więc w końcu zadaję to pytanie. Muszę je zadać, niezależnie od tego, jak bardzo jest nieświeże i przewidywalne, niezależnie od tego, ilu mężczyzn zadało je w podobnej sytuacji przede mną. Staram się panować nad głosem.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie - mówię. - Więcej ci go nie zadam. Kochałaś mnie? Czy w ogóle kiedykolwiek mnie kochałaś?

- Przecież wiesz, że tak... - tłuste łzy płyną po jej policzkach, głos jej się załamuje. - Och, Dan, wiesz, że cię kochałam! Pod pewnymi względami jesteś mi bliższy niż ktokolwiek inny i zawsze tak będzie! Kiedyś myślałam... Wiesz, co kiedyś myślałam. Nie mogłam wyobrazić sobie przyszłości bez ciebie. Byłeś całym moim światem, moim wszystkim... - waha się. - Słońcem, księżycem i gwiazdami... Ale byliśmy wtedy naprawdę bardzo młodzi, przecież wiesz... A później... Później to się stało...

387

- To przez kobiety, prawda? - wybucham, bo nie jestem w stanie się opanować. - Boże, Finn, dobrze wiesz, że gdybyś mi pozwoliła... Tylko raz, tylko jeden raz i nigdy nawet nie spojrzalbym na żadną z nich... Nie dotknąłbym ich. Zresztą nie było ich tak znowu dużo i żadna nic dla mnie nie znaczyła... Z trudem przypominam sobie ich imiona i jak wyglądały. Były mi potrzebne tylko na pół godziny i tylko dlatego, że nie mogłem mieć ciebie, przecież wiesz...



Przerywam. Myślę o Julii. Czy o Julii powiedziałbym to samo?

- Może rzeczywiście wiem... - Finn spuszcza oczy. Nie jest tego pewna, myślę i czuję nienawiść do siebie.

- Powtarzałam sobie, że tak właśnie jest - ciągnie. - Chociaż podobno mężczyźni zawsze mówią takie rzeczy... Tak czy inaczej, nie miało to nic wspólnego z nimi, z tymi dziewczynami. Pewnego dnia obudziłam się i dwa plus dwa to już nie było cztery - czasami wychodziło mi pięć, a kiedy indziej sto. Uświadomiłam sobie, że coś takiego dzieje się z człowiekiem, kiedy się zakocha. Nie jest w stanie myśleć, normalnie rozumować, widzi wszystko zupełnie inaczej... Och, ta rozmowa jest taka przewidywalna, to takie okropne...

- Wyjdź za mnie, Finn - mówię.

Pochyłam się nad stołem, biorę jej dłonie w rękawiczkach między swoje, zmuszam ją, żeby na mnie spojrzała i wygłaszam pierwsze i jedyne oświadczyzny mojego życia. Mówię nieskładnie, jąkam się, zacynam. W uszach wciąż mam słowa Finn - tak, kochała mnie naprawdę - i one mi wystarczają. Czuję, że mógłbym napisać nasze role od nowa, zmienić je tak, jak chcę. Poza tym moja propozycja wydaje mi się całkowicie sensowna: minęły już cztery miesiące, a to znaczy, że Lucas zostawił ją, zresztą trudno sobie wyobrazić, aby zachował się inaczej. Lucas i dziecięcy wózek w holu? Lucas, który stara się malować, podczas gdy w pokoju obok krzyczy niemowlę? Nie, to niemożliwe. Wiem, że Finn także nie mogłaby wyobrazić sobie takiego życia. Finn na pewno nie ma żadnych

388

złudzeń co do Lucasa, nawet jeżeli go kochała. Finn, moja Finn jest na to zbyt inteligentna, zbyt przewidująca.

Wiedziałem, co czeka Finn jako samotną matkę. W Cambridge takie jak ona były źle widziane. Kobiety wyrzucano z uczelni tylko za to, że mężczyzna spędził noc w ich pokoju, podczas gdy przyłapany z kobietą mężczyzna był zawieszany w prawach studenta na parę tygodni. Podwójna moralność, jak zwykle. Tak więc Finn na pewno zostanie wyrzucona i ma przed sobą niepewną, samotną przyszłość. To nie do pomyślenia.

- Wyjdź za mnie - mówię.

Już widzę, jak przenoszę się do Cambridge, znajduję jakąś pracę, wszystko jedno, jaką, w razie potrzeby mogę dalej myć okna. Kiedy Finn mnie poślubi, będzie mogła spokojnie skończyć ostatni rok studiów. Będziemy we dwoje, jakoś podzielimy się

zadaniami, jakoś zaopiekujemy się dzieckiem. A ja będę je kochał, to dziecko, dziecko innego mężczyzny; będę je kochał i wychowywał, będę kochał i opiekował się dzieckiem i Finn. Wiem, że potrafię to zrobić. To proste. Pewne. Oczywiście. Nagle ogarnia mnie wahanie.

- Jest już za późno? - pytam, chociaż bardzo się tego wstydzę. - W czwartym miesiącu jest już za późno, tak?

- Tak sądzę - Finn odwraca wzrok. - Jest to nielegalne, chociaż akurat to nie ma szczególnego znaczenia, bo zawsze znajdą się uprzejmi lekarze, którzy pozbawią cię kłopotu. I nie mówię o rzeźnikach z przedmieścia, ale o lekarzach, takich z prywatnymi klinikami, ze wszystkim. Kosztuje to sto pięćdziesiąt funtów, tak słyszałam. Kobieta idzie na zabieg rano, a po południu wychodzi. Nie wątpię, że robią to w czwartym miesiącu, na pewno i w ósmym, oczywiście za odpowiednią sumę. Ale to nieważne, bo ja nie chcę zabić ani zranić tego dziecka. Kocham je. Chcę je urodzić.

Kładzie dłonie na brzuchu takim gestem, jakby chciała osłonić dziecko przed całym światem. Widzę, jak zmienia się jej twarz, jak w oczach pojawia się wyraz rozmarzonej determinacji,

389

kobiecego, wewnętrznego spokoju, dziwnej, płomiennej radości i skupienia. Spojrzenie Finn zupełnie mnie poraża. Dałbym wszystko, aby ujrzeć taki wyraz jej twarzy i wiedzieć, że to moje dziecko nosi pod sercem.

Po chwili zaczynam się zastanawiać, kto udzielił jej tych szczegółowych informacji i zgaduję bez najmniejszego trudu - Lucas, który uznał, że znajduje się w ślepym zaułku i wybrał najtańsze, najbardziej oczywiste rozwiązanie.

Wtedy wszystko znowu staje się jasne.

- Wyjdź za mnie - powtarzam.

Miłość do niej jest tak głęboka, że na pewno słysząc ją w moim głosie. Mówię i mówię, przekonując ją, przekonując samego siebie, i dopiero po dłuższej chwili dostrzegam, że Finn siedzi nieruchomo, jej blada twarz, zapuchnięta od łez, przybrała dobrze mi znany wyraz, wyraz smutku i niezachwianego uporu.

- Zaufaj mi, uwierz mi - błagam. - Wiem, że nam się uda. Niczego więcej nie pragnę.

- Nieprawda - odpowiada cicho. - Pragniesz wielu innych rzeczy, przecież to oczywiście... Dlaczego miałyby być inaczej?

- Kochanie, posłuchaj mnie! Kocham cię, najdroższa. Wiem, że mogę to zrobić...
- Ale ja nie mogę. Nie tobie, Dan. Zresztą to i tak niemożliwe...
- Nie mów tak! To możliwe, Finn, naprawdę!
- Nie. Jestem już mężatką. Patrzę na nią bez słowa.
- Wczoraj wzięłam ślub z Lucasem - ciągnie pozbawionym wyrazu głosem. - W urzędzie stanu cywilnego w Cambridge... - marszczy brwi. - Nie była to szczególnie uroczysta ceremonia... W wazonie stały plastikowe kwiaty - to mi przeszkadzało, bo były paskudne, ohydne. Dali nam setki głupich formularzy do wypełnienia - imię ojca, zawód ojca, data urodzenia... Kiedy powiedziałam, że mój ojciec nie żyje,

390

urzędnik, niski i gruby, w okularach i w za ciasnym garniturze, który opinał się na brzuchu, odparł: "Szczерze pani współczuję". Po co opowiada takie głupstwa, pomyślałam. Dlaczego miałby mi współczuć? Dlaczego udaje, że go to obchodzi? Ale cóż, trzeba było przejść przez te wszystkie formalności, zresztą podejrzewam, że to jeszcze nie koniec. Cała ceremonia trwała dwadzieścia minut, z zegarkiem w ręku. Więc teraz mogę powiedzieć, że jest już po wszystkim... Popatrz...

Zdejmuje rękawiczki. Na trzecim palcu lewej dłoni widzę coś w rodzaju obrączki, ciemne kółko koloru mosiądzu. Jest na nią za duże i wygląda jak kółko od zasłon. Znajac Lucasa, nie można wykluczyć, że rzeczywiście jest to kółko od zasłon.

Zaprzedałbym duszę diabłu, żeby kupić Finn złoto, brylanty, rubiny, cokolwiek by zechciała. Gdyby zapragnęła wziąć ślub w katedrze świętego Pawła, poruszyłbym niebo i ziemię, żeby spełnić jej życzenie. Jednak Lucas widział całą tę sprawę zupełnie inaczej, to oczywiste. Zawsze miał w głębokiej pogardzie ceremonie, tradycje oraz inne burżuazyjne wymysły, takie jak obrączki, ślub, przysięgę miłości i wierności małżeńskiej.

Ta kawiarnia nazywała się "U Georgia". Nadal tam jest. Mijam ją od czasu do czasu. Nigdy nie wchodzię, nigdy nie spoglądam w okno, nie sprawdzam, czy może tego popołudnia, tego ranka siedzi tam inna para i prowadzi podobną, albo dużo pogodniejszą, szczęśliwszą rozmowę. Szybko przechodzę na drugą stronę ulicy i odwracam wzrok. Jestem w tym dobry. Po mistrzowsku opanowałem sztukę ignorowania tego, co bolesne.

Lecz teraz, gdy leżę tutaj, w tym miejscu, gdzie dwa dziesięciolecia trwają dwie sekundy, a dzień sprzed dziesięciu lat zakończył się wczoraj, odkrywam, że bolesne

wspomnienia wcale nie odpływają tak szybko jak zazwyczaj, więcej, wracają z uporem, nad którym nie mam żadnej władzy. Dlatego

391

muszę patrzeć na to, co zrobiłem później, po tym, jak odprowadziłem Finn na stację King's Cross i stałem na peronie, dopóki tylne światła pociągu do Cambridge nie zniknęły w ciemności. Finn powiedziała, że Lucas wyjdzie po nią na dworzec. Po wyjeździe z Opactwa Lucas wynajął niewielkie mieszkanie przy Green Street, niedaleko naszego starego college'u. Wyobraziłem sobie, jak oboje idą do tego mieszkania. Wyobraziłem sobie ich tam razem, we dwoje.

Potem wychodzę z dworca i idę przed siebie. Nie wiem, dokąd idę ani jak długo to trwa, ale w końcu zatrzymuję się na jakimś rogu, przy budce telefonicznej. Jest już bardzo późno. Umieję robić sztuczki z monetami i wróżyć z dłoni - potrafię też błyskawicznie zapamiętywać cyfry i numery telefonów. Wchodzę do budki i wybieram numer małego domku w Chelsea. Jestem obolały, zraniony, chcę ukarać Finn, cały świat, Lucasa i siebie, lecz na razie zadowolę się zadaniem bólu pierwszej z brzegu istocie, która znalazła się w zasięgu moich rąk, zwłaszcza że to Julia podsunęła mi tę myśl, zwłaszcza że to ona, właśnie ona, ostrzegła mnie, abym tego nie robił.

Słyszę radość w głosie słodkiej Veroniki, a zaraz potem wahanie. Jest sobotni wieczór, Veronica jest sama w domu, ponieważ jej dwie przyjaciółki pojechały na weekend do mieszkających poza miastem rodziców; pora jest późna i Veronica właściwie chciała się już położyć, bo przecież dochodzi jedenasta trzydzieści.

- Teraz albo nigdy - słyszę swój głos. - Masz minutę na podjęcie decyzji.

Veronica decyduje się po trzydziestu sekundach. Pół godziny później jestem w Chelsea, pod domkiem, który kiedyś na pewno należał do jakiejś robotniczej rodziny, a jakiś czas temu został starannie upiękaszony. Nie potrafię powiedzieć, jak wygląda wewnątrz, jak przez mgłę widzę dziewczęce kretoniki, fotografie w srebrnych ramkach, poduszki, całe mnóstwo poduszek z wyhaftowanymi przysłowiami. Na moją cześć Veronica otworzyła butelkę białego wina i zapaliła świece. Pół godziny

392

do mojego przyjścia wykorzystwała na włożenie ładniutkiej różowej sukienki, pomalowanie warg różową szminką, wyszczotkowanie lśniących włosów i uperfumowanie szyi oraz przegubów dłoni.

Jest październik i zapach wiosennych kwiatów budzi we mnie odrazę, dusi mnie. Po

godzinie lądujemy w łóżku. Jeszcze pół godziny i Veronica traci dziewictwo.

Łatwo było ją uwieść, tak łatwo, jak zabrać dziecku cukierek. Znajduję w tym jakąś okrutną przyjemność, odkrywam też, że właśnie narodził się nowy Dan, Dan, którego serce szybko twardnieje. Ten nowy Dan potrafi nie zwracać najmniejszej uwagi na kobiece łzy, wybuchy zazdrości i wyrzuty, i tylko czasami reaguje na nie gniewem. Ten Dan szybko uczy się ciekawej prawdy - im bardziej ignoruje i poniża kobiety takie jak Veronica, tym chętniej wracają one po świeżą porcję upokorzeń. Gdzie byłeś, Dan? Dlaczego nie dzwoniłeś? Z kim byłeś? Masz inną, prawda? Powiedz, że mnie kochasz... Dlaczego nigdy mi tego nie mówisz?! Nienawidzę tej słabości i masochizmu, ale jestem gotowy z nich korzystać.

Romans ciągnie się, z przerwami, przez całe sześć tygodni. Ostatecznie zrywam z nią dwa dni przed jej ślubem, w listopadzie. Zapominam o niej bez najmniejszego trudu, bo wiele kobiet czeka, aby zająć jej miejsce. Poza tym, sam jestem potwornie zajęty. Pochłania mnie wysiłek wyrzucania Finn z pamięci, wspinaczka po drabinie sukcesu, praca, bieganina po Londynie końca lat sześćdziesiątych i gorączkowe szukanie modnych, najmodniejszych miejsc.

Najmodniejszych, najbardziej uczęszczanych. Może to być restauracja, ulica, czyjeś mieszkanie albo rezydencja, sklep, klub, impreza. Najciekawsze jest to, że kiedy już znajdziemy się w samym epicentrum fascynujących wydarzeń, okazuje się, że kultowe miejsce jest już gdzie indziej i trzeba biec dalej, bardzo szybko, żeby nadążyć, żeby nie dać się wyprzedzić innym. Ludzie, z którymi jesteśmy na najmodniejszej imprezie, zaczynają nas męczyć i nudzić, więc uciekamy, wracamy

393

na chwilę do domu i łapiemy oddech. Rano wszystko zaczyna się od nowa. Żyjemy jak w gorączce dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Wyczerpujące. Otepiające.

Parę miesięcy później, pewnego dnia w środku lata, idę w dół King's Cross po ważnym lunchu w najmodniejszej włoskiej restauracji (jakże by inaczej). Tak, prawie na pewno było to następnego lata, bo wiedziałem już wtedy, że Dziadziuś nie żyje, dziecko Finn urodziło się martwe w siódmym miesiącu, a ona i Lucas są podobno nieszczęśliwi, chociaż nadal mieszkają razem. Nie wiem, do jakiego stopnia pogłoski o rozdzwisku w ich małżeństwie są prawdziwe, bo Finn nie chce się ze mną spotkać i nie odpowiada na moje listy. Przez mgłę codziennej gorączki dotarła też do mnie wiadomość, że Maisie została ostatecznie przewieziona do tego domu opieki, w którym mieszka do dziś, domu, gdzie zakonnice opiekują się nią ze spokojnym poświęceniem i wielką cierpliwością. Stan Maisie poprawił się - do pewnego stopnia.

Może sama jeść, z niewielką pomocą. Potrafi przejść kilkanaście kroków, z pomocą, ale większość czasu spędza w fotelu na kółkach. Nie mówi i nie komunikuje się w żaden sposób i jest już jasne, że jeśli nie zdarzy się najprawdziwszy cud, nigdy się nie odezwie.

Tak, musiał to być początek sierpnia. Właśnie zakończyłem przygotowywanie swojej pierwszej dużej kampanii reklamowej i moi klienci postanowili uczcić tę okazję lunchem we wspomnianej restauracji. Wypiłem dwa koktajle i pół butelki doskonałego wina. Idę przed siebie lekkim, sprężystym krokiem -jestem w najprzyjemniejszym ze stanów po spożyciu, ani pijany, ani trzeźwy. Bez pośpiechu wracam do pracy, kiedy przy Sloane Square, pod dużym i modnym sklepem, wpadam na młodą matronę.

- Nie poznajesz mnie? - mówi dama. - To ja, Veronica! Od razu zaczynam opowiadać jej o swojej kampanii.

- To cudownie! - cieszy się. - Wspaniale, że odniosłeś

394

taki sukces! Przyjechałam z Elde na jeden dzień, może dwa, bo chcę zrobić zakupy...  
- zawiesza głos. - Zatrzymałam się w domu Violet, tu za rogiem... Może wpadłbyś, żeby napić się wina i uczcić twoje zwycięstwo...

W ten sposób przekraczam próg rezydencji lady Violet przy Eaton Square. W barku znajduje się wyśmienita brandy. Meble w salonie i sypialni Veroniki obite są przeuroczym materiałem w kwiatuszki.

Niedbale wykonując wszystkie kroki wstępne, zastanawiam się, co stało się z tamtą dziewczyną o słodkiej, niewinnej twarzy. Ta młoda mężatka jest zbyt zdecydowana, świadoma i natarczywa. Nie mogę patrzeć na jej sukienkę, mdli mnie od jej zapachu. Chce mi się rzygać, kiedy czuję dotyk jej napiętego ciała.

- Przepraszam - mówię, staczając się z niej na prześcieradło. - Chyba jednak wypiłem trochę za dużo na lunchu. Dajmy temu spokój, dobrze?

I wtedy ona robi coś przerażającego. Podnosi się, wygładza spódnice.

- Powiedzieć ci, co mam pod sukienką? - pyta, uśmiechając się zalotnie. - Białe majteczki. Czyste. Czyste białe majteczki. Włożyłam je rano. Nie wolno ci ich dotknąć, ale jeśli chcesz, możesz popatrzeć... Pod warunkiem, że będziesz grzeczny, bardzo, bardzo grzeczny... Patrz, Dan... Przyjrzyj się uważnie...

Nie starcza mi czasu, aby ją powstrzymać. Unosi rąbek sukienki niby nieśmiało, niby uwodzicielsko, w sposób, który sprawia, że po plecach przebiega mi dreszcz wstydu i obrzydzenia. Rzeczywiście, ma na sobie białe majtki z wstawką z przejrzystej koronki. Widzę, że zgolila włosy łonowe. To także mnie nie podnieca.

- To nie mój styl, Veronico - mówię. - Nie lubię takich zabaw, odgrywania ról, czy o co ci tam chodzi... Przestań, dobrze?

- Och, jasne - patrzy na mnie dziwnym, pustym spojrzeniem.

395

- Jaki jest twój styl? Co lubisz, Dan? Ach tak, przypominam sobie...

Kiedy zaczyna dotykać mnie i robić mi rzeczy, które naprawdę lubię, zamykam oczy i wymazuję ją, wymazuję ją kompletnie. Czuję świeży, chłodny niebieski zapach i słyszę cichutki brzęk przesuwających się bransoletek, który zawsze wywołuje u mnie erekcję. Potem jest już łatwo. Pieprzę ją i jest w porządku, przeciętnie, ale w sumie nie najgorzej, a gdy osiągam orgazm, ogarnia mnie wielka ulga. Czeka chwilę. Fala niesmaku po stosunku nigdy nie każe na siebie długo czekać, a tym razem przychodzi błyskawicznie. Patrzę na leżącą na łóżku Veronicę o pustej twarzy i w ogóle nie widzę już tamtej miłej dziewczyny. Czy to małżeństwo tak ją zmieniło? A może ja jestem odpowiedzialny za tę zmianę?

Nostalgiczny numerek - najgorszy ze wszystkich, trzeba unikać go za wszelką cenę. Nie warto pieprzyć się ze względu na stare dobre czasy, naprawdę nie warto, bo potem zostaje już tylko smutek i obrzydzenie. Nigdy więcej, przyrzekam sobie. Wstaję z łóżka i myślę już tylko o tym, jak najmniejszą liczbą kłamstw zapewnić sobie bezpieczną ucieczkę.

Ku mojemu zaskoczeniu, Veronica nie robi mi jakichkolwiek trudności. Tym razem oszczędza mi wyrzutów i błagań o telefon - wszystko wskazuje na to, że osiągnęła swój cel. W takim samym stopniu jak mnie zależy jej na spokojnym i szybkim rozstaniu.

Nigdy więcej jej nie spotykam i nie dostaję od niej żadnych wiadomości. Wymazuję ją i ten incydent z pamięci -moja pamięć powoli staje się coraz bardziej wyrozumiała. Przez dwadzieścia lat nie wracałem myślami do niej i tamtego krótkiego spotkania, ale w świecie, do którego teraz trafiłem, dopadają mnie wszystkie moje grzechy. Czas na Bellę, która gaśnie, udręczona chorobą Alzheimera; na Bellę i wszystkie wymówki, jakie wymyślałem, aby tylko jej nie odwiedzić. Słyszę, jak rozmawiam przez telefon z ojcem, sącząc mu truciznę

do ucha, jak traktuję go z góry, z wyrozumiałą pobłażliwością... Słuchaj, Tato, przykro mi, ale nie mogę tak po prostu rzucić swoich zajęć... Babcia i tak mnie nie poznaje, więc co za różnica, czy przyjadę, czy nie... No, wiem. Wiem, wiem, naprawdę! Wiem, że jest ci ciężko. Przyjadę, jak tylko wyrwę wolny dzień, ale na pewno nie w tym miesiącu. Co? No, nic nie mogę na to poradzić - jutro jestem w Mediolanie, w przyszłym tygodniu w Nowym Jorku, a po powrocie mam umówione spotkania od rana do wieczora... Słucham? Co mówisz? Dobrze, postaram się przyjechać za jakieś dwa tygodnie, ale czekają mnie negocjacje z bardzo ważnym klientem i kilkanaście prezentacji, więc nic nie mogę obiecać...

Następne ujęcie: rodzinne święta Bożego Narodzenia, rodzinna Gwiazdka, której nie udało mi się uniknąć, ponieważ Babcia już nie żyje i Joe jest całkiem sam. Przyjeżdżam późno i już po dziesięciu sekundach w domu widzę, ile zadał sobie trudu. W kuchni z belek pod sufitem zwisają kolorowe łańcuchy, na wewnętrznych parapetach piętury się sztuczny śnieg, stół jest przykryty czystym obrusem, w kącie stoi choinka, a pod nią czeka górka nieudolnie zapakowanych prezentów. W piecyku ledwo mieści się olbrzymi indyk (jest nas tylko dwóch, a ta ilość mięsa wystarczyłaby dla legionu), Joe mówi, że już całkiem nieźle radzi sobie z gotowaniem. Flora McIver udzieliła mu wskazówek, co zrobić ze świątecznym ptaszyskiem, o, proszę bardzo, zapisał sobie wszystko na tej kartce... Indyk ma się piec cztery i pół godziny, to wystarczy.

Cholerny ptak piecze się dziesięć godzin, a Joe co parę minut zrywa się z krzesła albo fotela, podlewa truchło sosem i zagląda do swoich notatek.

- Nic nie rozumiem, Danny - powtarza. - Powinien być już gotowy...

Siedzę i patrzę na elegancko opakowane prezenty, które przywiozłem ze sobą i ułożyłem pod choinką. Kto wybrał ten drogi papier, wstążki i kokardy? Nie ja. Zrobiła to jakaś dziewczyna w sklepie, do którego nawet nie zajrzałem. Ja

miałbym się włóczyć po sklepach w grudniu, ja? W żadnym razie. Dałem listę zakupów swojej młodszej asystentce i ona wszystkim się zajęła. Co znajduje się w paczkach? Rzeczy, których Joe nie chce i nie potrzebuje: koszule najlepszych firm, kaszmirowe skarpetki, kalendarz, zbiór popularnych komiksów, jedwabny krawat, portfel z miękkiej skórki oraz jedna z tych męskich zabaweczek, szwajcarski scyzoryk, który otwiera butelki, odkręca i przykręca śrubki, przecina drut i Bóg jeden wie, co jeszcze. Dlaczego kupiłem te rzeczy? Dlaczego kupiłem samochód, który stoi



w stodole McIverów i którym Joe chyba nigdy nie jeździł, chociaż stale wychwala jego rozmaite cechy i ciągle się nim zachwyca? Dlaczego przywlokłem tu te wszystkie rzeczy? Bo męczą mnie wyrzuty sumienia, czuję się winny, tak bardzo winny, że kończę już trzecią szklaneczkę szkockiej. Przepraszam, Joe, że cię zawiodłem, że nigdy mnie przy tobie nie ma, że nie wiem, jak z tobą rozmawiać, kiedy w końcu przyjadę. Przepraszam za pychę, za kłamstwa, przepraszam, że nie jestem takim synem, jakiego powinienes mieć. Przepraszam, Joe. Masz tu ręcznie szytą, bardzo drogą koszulę - może ona wynagrodzi ci moje niedociągnięcia...

Wreszcie, koło dziewiątej wieczorem, po blisko dziesięciu godzinach pieczenia, możemy usiąść do stołu i zjeść tego przeklętego indyka. Jest twardy jak podeszwa. I suchy. Z trudem przelękam kawałki mięsa. Jem też rozgotowaną brukselkę i gliniaste ziemniaki z sosem firmy Bisto. Potem wyjmujemy krakersy, wkładamy zabawne czapeczki i Joe przez dziesięć minut czyta mi marne dowcipy. Podpalamy brandy i podziwiamy świąteczny pudding. Joe nalewa mi kieliszek czegoś nieznośnie słodkiego i podnosi swój, a ja już wiem, co mnie czeka.

- Za nieobecnych bliskich, Danny - wznosi toast.

- Za nieobecnych bliskich - powtarzam z wysiłkiem. Widzę łzy, które Joe stara się powstrzymać, i po prostu nie

398

mogę tego znieść, nie mogę patrzeć na płaczącego mężczyznę, bo przecież mężczyźni nie płaczą. To nie do wytrzymania...

Później wręczamy sobie prezenty.

- Piękna koszula - mówi Joe. - Piękna rzecz, słowo daję. Będę ją nosił od wielkiego dzwonu, tak jest...

A ja wiem, że następnego dnia włoży ją do szuflady, posypie naftaliną i wyjmie dopiero przed moją następną wizytą, aby ucieszyć oczy syna widokiem pięknej koszuli... Otwieram prezenty od Joego, zapakowane z miłością, kupione z miłością, po wielu godzinach oglądania sklepowych wystaw i zastanawiania się, co sprawiłoby mi radość.

- Hej, jakie świetne rękawiczki, tato! - mówię z entuzjazmem, ponieważ potrafie udawać jeszcze lepiej niż on. -Gdzie je wypatrzyłeś? Skąd wiedziałeś, że bardzo mi się przydadzą?

Nigdy nie noszę rękawiczek i w szafie mam już pięć par zupełnie nieużywanych.

Och, jak to wszystko boli, jak boli ta śmiertelna mieszanka miłości i poczucia winy... Wreszcie nadchodzi moment najgorszy ze wszystkich: w śmiesznych czapeczkach siadamy w fotelach, aby spokojnie zapalić i odzipnąć, jak mówi Joe, złapać oddech przed zmywaniem talerzy i garnków, co potrwa najmarniej ze trzy godziny, bo w domu nie ma gorącej wody, więc trzeba gotować ją w czajniku, jeden czajnik po drugim, a Joe zgadza się, że bym kupił mu domek z ciepłą wodą i centralnym ogrzewaniem, z kaloryferami, tato, tak, ludzie mają w domach kaloryfery... Więc siadamy, żeby spokojnie zapalić i odzipnąć, i wtedy Joe patrzy na mnie łagodnie, z miłością, ale też niepokojem.

- Jutro będzie ładny dzień, Danny - mówi. - Piękny dzień, słoneczny. Może poszlibyśmy na spacer, co? Wiem, że McIverowie bardzo chcieliby cię zobaczyć, więc moglibyśmy wpaść do nich na chwilę. Potem zjemy lunch i...

399

A ja, już po czterech szkockich i tym czymś obrzydliwie słodkim, odwracam wzrok i czuję się jak zdrajca.

- Jak to, tato, nie mówiłem ci? - dziwię się. - Nie mogę zostać. Muszę wracać, naprawdę muszę wracać do Londynu...

Joe nie robi mi żadnych wyrzutów. Siedzi naprzeciwko mnie z dużymi, silnymi dłońmi splecionymi na kolanach i z tym lekko nieprzytomnym wyrazem twarzy, świadczącym o tym, że dzieje się tu coś złego i nienaturalnego, coś, czego nie może pojąć. Widzę, że zraniłem go i wiem, co myśli - otóż Joe uważa, że to on zawiódł mnie, tak jest... Właśnie takie myśli krążą po głowie tego człowieka, który nigdy nikogo nie zawiódł, nigdy, a już z całą pewnością nie tego cholernego gówniarza, swojego syna, Danny'ego...

Tato, kocham cię, naprawdę - mówię, ale chyba jednak nie wtedy. Mówię to teraz, jak zwykle za późno, jak zwykle za mało i za późno, leżąc w łóżku, które kiedyś dzieliliśmy i w którym dziś leżę sam, z sercem zżerany przez samotność, szarpanym szponami czarnego kruka cierpienia. Bo nie można cofnąć czasu, nie da się tego zrobić, nie można zmienić przeszłości. Przebacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem...

Mamy tylko jedno życie, a niektóre rzeczy w tym życiu, jak powiedziała Finn, są nieodwracalne.

Tak: wszystko to napływa do mnie falami z tego snu, który stał się (mogłem to przewidzieć, dlaczego nie potrafię niczego przewidzieć, do diabła z tym moim Darem!) sennym koszmarem.

Obrazy zazębiają się i zapętlają - Joe w papierowej koronie, Veronica o pustej twarzy; ich duchy zbliżają się, aby robić mi wyrzuty, razem z Finn w grubych czarnych swetrach i długiej spódnicy, siedzącą przy stoliku z plastikowym blatem w czerwone kropki, razem z Maisie w szpitalnym łóżku, z Maisie, której wychudzona ręka pełźnie po pościeli. Wszystkie te ręce: mocne, kwadratowe dłonie Joego, stwardniałe i pokryte odciskami po latach ciężkiej fizycznej pracy; posiniaczona

400

ręka Maisie; pulchna, miękka dłoń Veroniki, naznaczona słabą linią małżeństwa; szczupła dłoń Finn, wyłaniająca się z byle jakiej, taniej rękawiczki, jej dłoń z wulgarną obrączką ślubną...

Mam dosyć, nie chcę dłużej śnić. Jezu Chryste, pozwól mi wyrwać się z tego miejsca! Wreszcie mojego czoła dotyka chłodna dłoń i głos, głos tej lekarki mówi: "Kryzys mamy już chyba za sobą. Tętno prawie normalne, gorączka spada".

Część Ósma.

DZIEWIĄTKA BUŁAW.

Kiedyś pewna kuzynka opowiadała mi, że w dzieciństwie wpadła do rzeki i znalazła się na krawędzi śmierci (na pewno przekroczyłaby tę granicę, gdyby nie pomoc, która nadeszła w ostatniej chwili); w jednym mgnieniu zobaczyła wtedy całe swoje życie, z najdrobniejszymi wydarzeniami, dokładnie i wyraźnie jak w lustrze. Otrzymała wtedy także zdolność zrozumienia wszystkiego, co jej się przydarzyło, od początku do końca. Wierzę w to, ponieważ z niektórych moich doświadczeń z opium wynika, że takie rzeczy naprawdę się zdarzają. Napotkałem też dwa podobne opisy w niedawno wydanych książkach; obu towarzyszyło spostrzeżenie, o którego słuszności jestem absolutnie przekonany, a mianowicie, że Sąd, którego wszyscy się boimy i o którym mówi Pismo Święte, jest w rzeczywistości sądem naszego umysłu nad nami i naszymi czynami.

Jednego jestem pewny: umysł nie zna zapomnienia, nie jest ono możliwe; tysiąc wydarzeń może zaciągnąć zasłonę między naszą obecną świadomością a sekretnymi inskrypcjami, wyrytymi w umyśle; wydarzenia podobnego rodzaju mogą rozedrzyć tę

zasłone; tak czy inaczej, z zasloną czy bez niej, to, co wryte w umyśle, pozostaje tam na zawsze...

Wyznania angielskiego opiumisty, Thomas de Quincey, 1822.

405

Podobno ostatnie siostry bardzo niechętnie opuszczały Opactwo; było to miejsce tak odległe od oszalałego świata, że uparcie wierzyły, iż będą mogły tu zostać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi... Jednak dość szybko dotarły do nich wieści, najpierw o wyjeździe zakonników z Deepden, a potem o klęsce Pielgrzymki Łaski, o licznych egzekucjach i o śmierci z głodu i pragnienia męża pokoju Roberta Aske, którego zakuto w łańcuchy i powieszono na kościelnej wieży... Wtedy postanowiły odejść z Opactwa. Były to niezwykle smutne chwile, jako że wiele siostr spędziło tu sześćdziesiąt lat i więcej i nagle znalazły się w sytuacji, która napawała je przerażeniem tak wielkim, że wprost trudno to sobie wyobrazić... Wydarzenia te opisywano mi tak żywo i dokładnie, jakby miały miejsce wczoraj; moi świadkowie przymykają oczy na fakt, że to ich pra pradziadowie zniszczyli Opactwo, wrywając z murów kamienie, którymi podpierali swoje skromne chaty i gospodarskie zabudowania, wspinając się na wyżyny godnej podziwu przedsiębiorczości... Tego wieczoru udałem się na przechadzkę w tamtą stronę i napotkałem niereligijną świnię, która załatwiała potrzebę w dawnym refektarzu... Była to jednak piękna, tłusta świnka, więc nie mogę się już doczekać, kiedy spróbuję bekonu, który z niej wykroją.

Wspomnienia proboszcza z Suffolk, William Naismith, 1818.

Rozdział Dwudziesty Szósty.

POCZCIWE DUCHY.

Nie jestem sam w tym domu.

Dociera to do mnie, kiedy opuszczam krainę sennych mar i stawiam pierwsze kroki na ścieżce, którą McIverowie nazywają "drogą do wyzdrowienia". Wydawało mi się, że już o tym wiem, ponieważ dzieję domek z moimi duchami, z Joem, Bellą i długą linią przodków, ale wkrótce okazuje się, że to nie tych współlokatorów ma na myśli Flora McIver, która trzy razy dziennie przynosi mi sycący posiłek, mający jak najszybciej "postawić mnie na nogi". Nie, razem ze mną mieszkają tu gryzonie;

wygląda na to, że dom padł ofiarą mysiej plagi.

Kiedy Flora przynosi mi mocny bulion, kaszę, która dodaje sił jak nic innego na świecie, albo zapiekanekę tak pyszną, że zjadam ją do ostatniego kęsa (mam poczuć się po niej jak nowo narodzony), zawsze sprawdza, co porabiają te bezczelne, bezwstydne stworzenia. Z początku wierzy, że opanowały tylko kuchnię, gdzie wyjadły pół słoika dżemu malinowego, który zrobiła dla Joego (przegryzły woskowany papier, którym był przykryty, wyżarły maliny, a pestki wypluły na półki w spiżarni, wyobrażacie sobie?). Później okazuje się, że wzięły w posiadanie także obie sypialnie i nadgryzły kaptcie Joego, te same, które podarowałem mu na ostatnie Boże Narodzenie, jego ostatnie Boże Narodzenie (piękne kaptcie, Danny, słowo daję).

Szóstego dnia mojej choroby Flora przystępuje do akcji.

407

Przychodzi uzbrojona w pułapki, w których umieszcza żółty ser i czekoladę. Z jej doświadczenia (sporego) wynika, że myszy wolą mleczną czekoladę firmy Cadbury od cheddaru, mają również wyraźną słabość do batoników Wunderbar.

Nie chcę śmierci małych towarzyszy; może i jestem głupio sentymentalny, ale darzę moje myszy ciepłym uczuciem. Joe najwyraźniej także tolerował ich obecność, więc i ja wcale nie życzę sobie, żeby stalowe pręty potrzaskały im karki.

Czekam, aż Flora wyjdzie, a potem ostrożnie spuszczam nogi z łóżka i wsuwam stopy w ponadgryzane kaptcie Joego. Pasują jak ulał, co mnie zaskakuje. Co więcej, zastrzyki pani doktor w połączeniu z bulionami Flory naprawdę postawiły mnie na nogi. Minęło sześć dni i już mogę stanąć, a nawet posuwać się od mebla do mebla bardzo powoli, lecz wystarczająco sprawnie, aby pozatrząskiwać wszystkie pułapki. Chowam czekoladę i ser, dowody mojej perfidii.

Kiedy w końcu chwiejnie wracam do sypialni, spotykam jedną z odważnych myszy. Siedzi na brzegu mojego łóżka i czyści sobie wąsiki. Jest to mysz leśna (*Apodemus sylvaticus*, słyszę szept Maisie), mniejsza niż mysz domowa, o bardziej brązowym futerku. Ma wrażliwy, wydłużony pyszczek, łapki o różowym wnętrzu, duże, ciemne i błyszczące oczka, jedwabiste wąsy. Patrzymy na siebie przyjaźnie i spokojnie. Po chwili mysz zeskakuje z łóżka i znika pod spróchniałymi deskami podłogi. Kiedyś były to twarde wiązowe deski, nie do zdarcia, takie, z których zbijano nawet trumny, lecz teraz są już stare i zniszczone.

Klękam i wsuwam rękę pod obłuzowaną deskę. Dawno temu, jeszcze w dzieciństwie, urządziłem tam sobie schowek na skarby. Znajduję ją, unoszę i odkrywam, że moje cenne łupy nadal tam są. Stawiam na podłodze nocną lampkę i zaglądam do ciemnej

jamy. Myszy zrobiły tu sobie bal, uwiły gniazdo i wydały na świat małe. Usłaly wygodne posłanie z listów, które pisała do mnie czternastoletnia Finn. Pogryzły jedyne zdjęcie Dorrie, jakie miałem, to, na którym widać było

408

jej przedwojenny uśmiech w kolorze sepia. Przyjmuję to bez żalu. Pogryzione, przeżute i zwilżone śliną, posłużyły jako budulec. Rozstaję się z nimi teraz bez bólu serca, dziwne, nawet bez smutku.

Wsuwam dłoń głębiej. Dotykam czegoś twardego, co okazuje się orzechem laskowym. W końcu moje palce zamykają się wokół jedyne go przedmiotu, który myszkom do niczego się nie przydał. Wyjmuję go i oglądam. Jest to mała metalowa talizman, którą wcisnęła mi do ręki umierająca Ocean, moja prababka. Miałem wtedy cztery lata. Talizman jest stary i zniszczony, wyryte na nim znaki, które miały chronić przed złem, są zupełnie nieczytelne. Wkładam go do kieszeni piżamy Joego. Sam nie mam piżamy, ale w tym zimnym domu rzeczywiście można spać tylko w ciepłej, miękkiej flaneli. Joe i ja byliśmy tego samego wzrostu, więc jego rzeczy pasują na mnie, chociaż z powodu mojego anorektycznego wychudzenia piżama wisi na mnie jak na kijku od szczotki. "Musisz być ubrany jak porządny człowiek", oświadczyła Flora, podając mi nocny strój.

Wracam do łóżka. Nie zaciągnąłem zasłon i jasny księżyc zagląda prosto do pokoju. Z dachu zwisają sopele, błyszczące niczym cudowna obietnica. Układam się wygodnie i zaczynam wyciągać z materaca pióra, które przebijają się przez spraną poszwę i drapią skórę - robiłem to zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa. Kacze piórko, gęsie piórko, łabędzie piórko, powtarzam w myśli. Po paru minutach zapadam w głęboki sen.

Kiedy się budzę, jest nowy dzień i już nie muszę siusiać do nocnika, Bogu niech będą dzięki. Mam dość siły, aby dostojnym, wolnym krokiem udać się do wygódki w ogrodzie. Wszystkie chwasty, trawy, drzewa i krzewy pokrywa gruba warstwa szronu, białe, ostre linie wyraźnie odcinają się od błękitnego nieba. Świat, stworzony od nowa w nocy, zachwyca urodą i ciszą.

409

Czuję absolutny spokój. Wracam do domu, stoję w drzwiach kuchni i przez obłok swojego oddechu patrzę na wróbla, który dziobie oszronioną kapustę i fasolę. Joe zasiał warzywa ubiegłego lata, zanim jeszcze choroba przypuściła zdecydowany atak na jego ciało i rozpoczęła powolny, nieubłagany proces destrukcji.

Zamykam drzwi. Gotowość jest najważniejsza, myślę. Mam już jasno wytyczony cel

- gdy odzyskam jeszcze trochę sił, pójdę do Opactwa.

Dwa dni później pani doktor uznaje mnie za prawie zdrowego. W Wykenfield nie ma teraz przychodni, więc musiała przyjeżdżać tutaj aż z Deepden, gdzie prowadzi gabinet razem z kilkoma kolegami po fachu.

To bardzo miłe z jej strony. W ogóle dobra z niej kobieta, z tej pani doktor. W ubiegłym roku ona i jej koledzy okazali dużo serca Joemu, i mnie także. Dzisiaj robi mi ostatni zastrzyk, w przedramię. Potem osłuchuje, mierzy tętno i temperaturę.

- W porządku - mówi. - Wyszedł pan na prostą. Nie będę już panu potrzebna.

Chwila milczenia. Pani doktor chowa stetoskop do torby i spogląda na mnie. Ma jakieś trzydzieści pięć lat, jest atrakcyjna i niezamężna. Kilka razy napotkałem jej pełne namysłu spojrzenie, które wydało mi się znajome. Jestem jednak jej pacjentem, a ona pilnie przestrzega zasad etyki zawodowej. Poza tym, na pewno przyszło jej już do głowy dość oczywiste pytanie: po co kobiecie jeszcze jeden, chodzący i gadający obowiązek? Po co wieszać sobie u szyi taki ciężar? Dziś odnoszę wrażenie, że pani doktor widzi we mnie chyba nieco mniejszy ciężar niż jeszcze przed paroma dniami. Popada w zamyślenie, zastanawia się, a ja patrzę na nią uważnie. W końcu podnosi torbę i żegna się ze mną, szybko i bez wahania. Kiedy jest już w połowie ścieżki do furtki, wołam za nią.

410

- Co było w tych zastrzykach?!

- Antybiotyk - odpowiada, znowu rześka i pogodna. - Ostatnio także witaminy - duża dawka C i B12. Nic więcej, słowo honoru.

Wyruszam do Opactwa, zamierzam zakończyć przerwana misję. Niosę łopatę i foliową reklamówkę, a w niej kasetkę z prochami Joego. Teraz już wiem, gdzie chciałby spocząć.

Jest to jeden z tych zimowych dni, które Joe nazywał "łagodnymi". Nie jest zbyt zimno, wiatr ucichł, na wysokim, jasnym niebie świeci zamglone słońce. Ziemia jest wilgotna, nocny szron znika. Gdy idę wzdłuż Acre Lane, w rowach po obu stronach dostrzegam kępki świeżutkiej, zielonkawej bieli. Przebiśniegi zaraz rozwiną się z pączków; jeszcze ze dwa, trzy tygodnie i zakwitną pierwiosnki, oczywiście jeśli znowu nie zrobi się zimno.

Przechodzę przez bramę na wzgórku i skręcam w stronę nagich drzew Nun Wood. Tu, prawie na brzegu lasu, w miejscu, gdzie latem rosną wysokie trawy, jest polanka, na której Joe zalecał się do mojej matki. Lubię to określenie, chociaż dziś

prawie nikt go już nie używa. Wolę je od nowoczesnych odpowiedników, od języka, którym posługuje się rozmiłowany w pornosach świat. Zalecał się - ten czasownik sugeruje staranność, zabieganie o czyjąś przychylność.

Ostrze łopaty gładko wchodzi w miękką ziemię, przecina korzenie bylin. Czuję, że naprawdę wracam do zdrowia, jestem coraz silniejszy. Zakopuję kasetkę na głębokości mniej więcej pół metra i wypowiadam słowa, jakie wcześniej sobie ułożyłem. Wokół panuje cisza i spokój, nie ma żadnych duchów. W miejscach, gdzie słońce ogrzewa zmarzniętą trawę, unoszą się w górę obłoczki pary. Przez lekką mgłę kątem oka dostrzegam nieruchomy, czujny kształt na granicy linii drzew. Kiedy kształt się porusza, uświadamiam sobie, że to jeleń. Znika cicho, w tej samej chwili. Teraz nie mam już cienia wątpliwości, że jest to odpowiednie miejsce dla ojca.

411

Sięgam po foliową torbę i wyjmuję z niej jeszcze jeden przedmiot, który tu przyniosłem - moją kulę z kości słoniowej. Zostawiam łopatę przy bramie; zabiorę ją w drodze powrotnej. Ruszam przed siebie wysypaną żwirem ścieżką, wąską i zarośniętą chwastami, ścieżką, która biegnie obok refektarza.

Przystaję i patrzę na dolinę. Wioska bardzo się rozrosła, od głównej drogi ciągną się wstążki, złożone z nowych domów, przede wszystkim bungalowów dla emerytów albo młodych rodzin. Największe osiedle, w Orchard Close, zbudowano tam, gdzie kiedyś bracia Doggett pielęgnowali swoje drzewa; nazwa osiedla, w której użyto słowa "sad", jest jedynym pomnikiem, jaki im wystawiono. Mieszkańcy nowych domów nie pracują w wiosce - w Wykenfield nie ma pracy. Farma McIverów, kiedyś licząca czterysta akrów, w latach młodości Joego zatrudniała dwudziestu ludzi. Dziś gospodarstwo rozrosło się do dwóch tysięcy akrów i zatrudnia dwóch pracowników. W lecie pomagają im studenci, pracujący za minimalną gażę; zbierają warzywa, które Hector, zgodnie z kontraktem, hoduje dla jednego z wielkich supermarketów z minimalnym zyskiem.

Kiedy Angus McIver przyjechał do Wykenfield w dobie głębokiej depresji rolnej, uciekając przed głodem ziemi w Szkocji, gdzie bogaci Anglicy często gospodarowali na majątkach liczących dwadzieścia tysięcy akrów i więcej, a drobni farmerzy nie mieli szans ani dokupić ziemi, ani utrzymać przy życiu swoich rodzin i siebie, z niedowierzaniem patrzył na tutejsze zaniedbane, leżące odłogiem pola, które przecież kryły w sobie potencjalne bogactwo. Przesiadujący w pubie starzy farmerzy, wieczni żartownisie (między nimi był i mój dziadek) tylko czekali, kiedy powinie mu się noga. Stawiali mu piwo, rzucali kilka głupich dowcipów na temat Szkotów dokonujących inwazji Suffolk i opowiadali mu, jak marna jest gleba, na której



przyszło im żyć i pracować. Opowiadali o kamieniach,

412

które trzeba usuwać, o suszach, stale psujących się pługach i potrzebie zainstalowania kosztownego systemu nawadniającego. Angus patrzył w ich kpiące twarze błękitnymi, prezbiteriańskimi oczami i mówił, że poradzi sobie z kamieniem i suszą, bo tam, skąd przybył, z ziemi trzeba wydobywać potężne granitowe głązy.

Teraz Hector mówi, że liczące tysiąc akrów gospodarstwo jest praktycznie niedochodowe. Jest za małe; koszty są za duże, a subsydia, jakie można uzyskać, prowadząc szczegółową i wymagającą czasochłonnej pracy dokumentację, nie wystarczają. Dlatego Hector zastanawia się, czy nie pójść w ślady wielu innych gospodarzy, czyli albo sprzedać całą ziemię, albo oddać ją w dzierżawę potężnemu syndykatowi. Jeden z nowych syndykatów zarządza wszystkimi gruntami stąd aż do Deepden, poza farmą McIverów. Ludzie z syndykatu rozumieją pojęcia i pomysły całkowicie obce Hectorowi, czyli na przykład przejęcie żyznych pól, dających obfite plony, i obrócenie je w ugory. Podobno można zarobić w ten sposób duże pieniądze. Można zarobić pieniądze na polach, które leżą odłogiem.

Zmiana polityki rolnej. Zmiana wiary. Reformacja. Najpierw wyklada się biliony na subsydiowanie produkcji zbędnych gór żywności, a potem zmienia się kierunek działania. Patrząc w stronę Deepden -jest gdzieś tam, za błękitnym, jasnym horyzontem. W nocy widać światła, bijące w niebo z amerykańskiej bazy lotniczej.

- I zrobisz to? - pytam Hectora. - Sprzedasz swoją ziemię albo ją wydzierżawisz?

- Może... - odpowiada. - Może i tak...

Ojciec i syn; ciemne łąki i pastwiska; pięć dekad ciężkiej pracy, niezłomnej wiary w plony i nawozy sztuczne. Tam, gdzie kiedyś pasło się bydło, owce i trzoda chlewna, dziś nie ma ani jednego zwierzęcia. Śpiewa mniej ptaków. Odwracam się od doliny mojego dzieciństwa i ruszam ku Opactwu.

413

Przechodzę nad starą fosą po kładce, która wygląda na dość nową potem pod łukiem bramy i przystaję na dziedzińcu. Refektarz jest zamknięty, okiennice zasłaniają okna, wydaje się jednak, że budynek nie doznał uszczerbku. Dach sprawia wrażenie nietkniętego, rynny zostały chyba przetkane i oczyszczone z liści. Jestem zaskoczony - Joe mówił przecież, że Opactwo obraca się w ruinę. Nagle wychwytyję w powietrzu zapach dymu. Podnoszę wzrok i znowu widzę dym, wznoszący się w górę z kominów. Znowu mam halucynacje.

Przecieram oczy. Myślałem, że wyszedłem już z choroby, a jednak widzę to, co niewidoczne, nieistniejące. Patrzę jeszcze raz. Dym naprawdę wznosi się prosto w jasne niebo, nie jest to dzieło mojej wyobraźni czy gorączki.

Rozglądam się ostrożnie. Ktoś (może Julia, bo tylko ona w rodzinie dysponuje odpowiednimi funduszami) najwyraźniej postanowił doprowadzić Opactwo do porządku.

Może zaczęto remont, żeby korzystniej sprzedać majątek. Dom tak długo stał pusty, niezamieszany - może Julia doszła do wniosku, a Finn przyznała jej rację, że Opactwo to tylko nikomu niepotrzebna skarbonka, której trzeba się pozbyć. Może kręcą się tu robotnicy, chociaż wydaje mi się, że Flora albo Hector na pewno by mi o tym powiedzieli. Może Julia znalazła kogoś, kto zajął miejsce Belli, i teraz Opactwo ma nową opiekunkę lub opiekuna. Może ktoś przychodzi tu co jakiś czas, żeby napalić w piecu i wywietrzyć pokoje, zetrzeć kurz ze stołów i szaf, i wytrzepać pokrowce foteli, wypolerować srebrne ramki zdjęć, jak robiła to Bella, i nawoskować "porządne" meble, przywiezione z Elde Hall, te relikty z okresu uprzywilejowanego dzieciństwa Dziadziusia...

Przechodzę alejką między rozrośniętymi żywopłotami, których od dawna nikt nie przycinał - tu nie widać jakiegokolwiek działalności. Przepycham się między sosnami i staję przed domem. Drzwi do holu, tego z posadzką w szachownicę, są szeroko otwarte, nie słyszę jednak żadnych głosów, nikogo nie widzę. Ostrożnie obchodzę wschodni kraniec domu,

414

trzymając się tuż pod ścianą żeby nikt nie zobaczył mnie przez okno. Zamierzam odłożyć kulę z kości słoniowej na dawne miejsce w bibliotece, niegdyś kaplicy Najświętszej Maryi Panny - niech leży obok swoich towarzyszek. Czuję, że powinienem zrobić to teraz, bo nigdy więcej nie odwiedzę już Opactwa. W starej spiżarni było okno, które się nie domykało, i jestem pewny, że uda mi się dostać tamtędy do środka. Kiedy jednak przekradam się na tył domu i ogarniam wzrokiem dżunglę chwastów, które rozpanoszyły się w wypieszczonym przez Joego warzywniaku (dobrze, że tu z nim nie przyszedłem), dochodzę do wniosku, że wszystkie te podchody są zupełnie zbędne. Spokojnie naciskam klamkę kuchennych drzwi, które otwierają się posłusznie i cicho.

Długą chwilę stoję i nasłuchuję. Nie słyszę żadnych głosów, kroków, żadnych dźwięków świadczących o obecności człowieka.

Z panującej w domu ciszy wyodrębnia się jednak mnóstwo innych odgłosów - tupot

mysich pazurków, skrzywienie desek, westchnienia starego budynku. Słuchając uważnie, uświadamiam sobie, że rozróżniam głosy tych mieszkańców Opactwa, z którymi przyjaźniła się Maisie, mężczyzn i kobiet - oni nigdy stąd nie odeszli.

To złudzenie, wiem. A jednak stoję tam i czuję dotyk przeszłości, modlitw powtarzanych dzień po dniu, rok po roku, wiek po wieku; wydaje mi się, że słyszę, niemal na pewno słyszę szepty rodzin, które mieszkały tu po odejściu zakonnic, szepty płynące z chwil ich narodzin, ślubów i śmierci. Słyszę, jak Stella, fałszując, gra na fortepianie Dla Elizy - smutna kadencja nut spływa ku mnie schodami. Słyszę Dziadka, który mówi do mnie: "Popatrz, Dan, znalazłem wspaniałe wino! Myślałem, że skończyło się dawno temu, ale najwyraźniej została jeszcze jedna butelka, specjalnie na taki wieczór jak ten. Otworzymy ją do kolacji, co ty na to?"

I słyszę samego siebie. Stoję w drzwiach kuchni i mówię: "Proszpani, Joe pyta, czy mam pani przynieść ziemniaki..."

415

A Stella, zachwycona widokiem młodych ziemniaków, woła: "Jakie piękne! Jesteś Danny, prawda? Wejdz, zaraz zrobimy herbatę! Musisz zjeść z nami kawałek tego ciasta... Pozwól, że przedstawię ci moje córki - to jest Julia, najstarsza, to Finn, a to najmłodsza, Maisie..."

Od tamtego dnia minęło ponad trzydzieści lat, lecz wciąż pamiętam moje zdumienie. Nikt nigdy nie powiedział mi, że ziemniaki mogą być piękne. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że te trzy dziewczynki, które śledziłem już od paru miesięcy, zerkając na nie zza drzew i krzaków, zza kościelnego muru, zastanawiając się, czy zostaną moimi przyjaciółkami, mogą roztaczać wokół siebie aurę tak silnej energii. Dopiero kiedy stanąłem twarzą w twarz z trzema siostrami o identycznych niebieskich oczach, poczułem intensywną moc ich potrójnego spojrzenia. Oceniają mnie, gardzą mną akceptują czy odrzucają? Nie wiem, nie mam pojęcia...

Nie potrafię ich przejrzeć. Czy one przejrzały mnie?

Przesuwam dłonią po twarzy. Chłopiec znika. Siostry znikają. Napór przeszłości sprawia, że kręci mi się w głowie.

Którą z siedmiu klatek schodowych wybrać? Po jednej klatce na każdy dzień tygodnia... W końcu idę na górę głównymi schodami, tymi, które zaprowadzą mnie prosto do biblioteki, do kaplicy. W połowie kondygnacji staję jak wryty, po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Nie jestem sam w tym domu. W bibliotece rozlegają się kroki, przechadzające się w tę i z powrotem, lekkie kroki, kobiety albo dziecka. To Maisie, myślę i serce przestaje mi na chwilę bić.

Szybko wracam do równowagi, uspokajam się, mówię sobie, że to raczej dochodząca sprzątaczką niż wędrujący duch. Skręcam w prawo i bocznymi schodami idę na drugie piętro, to nad kaplicą. Zawsze czułem się tu jak intruz - tyle drzwi w korytarzu, a za każdym pokój, w którym przed wiekami sypiały zakonnice. Jako mały chłopiec wyobrażałem sobie, że w jednej z dawnych cel mieszka wróżka; wystarczy tylko

416

otworzyć właściwe drzwi, aby popatrzeć na nią, bezbronną i pogrążoną we śnie.

Przede mną niskie wejście, przypominające drzwi do szafy. Otwieram je ostrożnie, bo zawsze skrzypiały, pchnięte zbyt gwałtownie, i już jestem w znajomym, ciemnym miejscu. W ścianie naprzeciwko drzwi, dokładnie na wysokości moich oczu, widnieje kwadratowy otwór. W małej niszy na pewno kryją się pająki, ale ja już od dawna nie boję się insektów, mój lęk budzą natomiast te tajemnicze kroki. Słyszę je teraz wyraźnie, z kaplicy dobiegają też jakieś westchnienia. Teraz już wiem, kogo tam zobaczę, wiem, kto spaceruje tam od ściany do ściany. To moja matka, Dorrie... Zamykam oczy i zaraz znowu je otwieram. Pochyłam się, zachowując absolutną ciszę, i patrzę przez judasza, niezwykle urządzenie, które pokazała mi Bella.

Nie jest to jednak moja matka, ani Maisie, ani żadna zakonnica. W bibliotece jest Finn. Widzę Finn, chociaż wiem, że to niemożliwe. Finn wsiadła do samolotu, lecącego do Kairu. Finn przebywa gdzieś w innym świecie, robi rzeczy, których nie rozumiem, odwiedza miejsca, których nigdy nie widziałem. Nie powinienem był tu przychodzić.

Patrzę na Finn, której nie mogę widzieć, i szybko mrugam powiekami. Tunel judasza musi być pełen pajęczyn, bo widzę Finn jak przez mgłę. Zaczynam pojmować, że ta Finn jest tylko cieniem dawnej, jest duchem, przywołanym do istnienia siłą mojej tęsknoty. To taki wiotki, kruchy duch - gdyby nie jasne włosy, chyba bym jej nie poznał.

Zejdę do niej, myślę ze smutkiem. Zejdę tam i przekonam się, że było to tylko złudzenie, że znowu zostałem oszukany. Finn zniknie, rozwieje się, jak zwykle... I już mam się cofnąć, odsunąć od judasza, kiedy nagle z dołu dobiega jakiś dźwięk. Kobieta duch reaguje, przystaje, splata ramiona w geście napięcia, podchodzi do środkowego okna i otwiera je pośpiesznie, nerwowo, z wyraźnym trudem. Teraz słyszę kroki w holu. Ktoś biegnie, woła. Słyszę głos mężczyzny.

417

- Finn, Finn! Gdzie jesteś?

Finn odwraca się od okna z twarzą rozpromienioną radością i nadzieją. Zamieram, nie mogę się poruszyć. Czuję, że zaraz zobaczę samego siebie, wchodzącego do biblioteki, a moje ciało, to prawdziwe ciało, zostanie tu na zawsze. Kroki mężczyzny zbliżają się do drzwi i Finn szybko rusza w tamtą stronę. Rzuca mu się w objęcia, jego ramiona zamykają się wokół niej. Mężczyzna ma na sobie czarny płaszcz, Finn wtula twarz w jego bark. Jego dłonie ostrożnie, z czułością ujmują jej głowę. Unosi ku sobie jej twarz i całuje wargi. Potem, mocno trzymając ją w objęciach, kołysze lekko. Odwraca głowę i wtedy widzę ból, malujący się na jego twarzy. To mój przyjaciel, mój najdawniejszy przyjaciel, Nicholas Marlow.

Słyszę jego głos, niski, cichy, załamujący się ze wzruszenia.

- Finn, mój skarbie, moja najdroższa miłości... Nie płacz, jestem już przy tobie... Nie zostawię cię, najmilsza...

Cofam się pośpiesznie, głęboko zawstydzony. Nie mam prawa na to patrzeć. Po omacku wychodzę na schody, na palcach schodzę w dół. Zostawiam kulę z kości słoniowej na kuchennym stole i wracam do domu.

W domu odkrywam, że śmiało mogę już zmierzyć się z trudnym zadaniem, jakim jest spakowanie rzeczy Joego i Belli. Zabieram się do roboty ze smutkiem, ale sprawnie. Pracuję jak automat.

Flora i Hector przynieśli roi tekturowe pudła, które napełniam w ciągu mniej więcej trzech godzin. Domek jest teraz nagi. Spakowałem porcelanę z wizerunkami królowej i inne drobiazgi, pozbawiłem komodę barwnych wstążek, którymi była ozdobiona, posortowałem wspomnienia i pamiątki z okresu ponad sześćdziesięciu lat. To pudło dla instytucji charytatywnej, tamto do śmietnika... Kiedy po całej operacji patrzę na rezultat swoich działań, widzę, że Joe, Bella i ja mieliśmy

418

niewiele rzeczy, chociaż każdy z tych przedmiotów ma swoje miejsce w mojej pamięci.

Zabieram tylko dyplomy Joego (te za mistrzowskie osiągnięcia w oraniu pól), fotografie Ocean i malutki talizman, który od niej dostałem. Zostawiam sobie jeszcze jedną z dziewięciu kryształowych kul, wytłuszczone, często używane karty tarota Belli, strzelbę Joego, z której nauczył mnie strzelać, oraz pudełko amunicji.

Kiedy kończę, na dworze zapada zmierzch. Wiem już, że nie zostanę tutaj na noc, że wrócę do Londynu. Moje ostatnie zadanie najlepiej będzie wykonać właśnie tam. Rozkładam talię tarota w celtycki krzyż i - karty czasami mówią bardzo wyraźnie -

odnajduję potwierdzenie słuszności tej decyzji. Jakie dziwne są te karty... Wiele ludzi ich się boi, być może nie bez powodu. Rysują trasę podróży głupca przez świat, podróży, która może prowadzić do mądrości i wewnętrznego poznania, albo odwrócić jego uwagę i skupić ją na innych, mniej istotnych regionach. Patrząc na główne symbole - Cesarzową, Wisielca, Kochanków; jest jeszcze Cesarz - dobra karta, oznaczająca mądry, ojcowski wpływ, autorytet i władzę.

Rozkładałam cztery rozdania: Buławy, znak twórczego działania; Puchary, znak uczuć i doświadczeń emocjonalnych; Miecze, znak intelektu, myśli i rozumu; na końcu mój najslabszy, Pentagramy, znak sił i umiejętności praktycznych. Cała trudność z kartami - abstrahując od oczywistej możliwości, że może w ogóle nic nie znaczą i są tylko zabawką, świadectwem skłonności do przesądu - polega na tym, aby odpowiednio je odczytać. Każda z ponumerowanych kart ma określone znaczenie, które może zaprzeczyć całemu rozdaniu. Każda karta określa pozostałe, niezwykle ważne jest położenie karty i jego interpretacja. Każda kryje w sobie dwa przeciwstawne znaczenia.

Wyciągnąłem Trójkę Mieczy, kartę, która zwiastuje głębokie cierpienie i zdradę, oraz Piątkę Pucharów, zapowiedź straty i porzuconej nadziei. Mam Wieżę, znak nagłej zmiany,

419

symbol fortecy, lecz także więzienia. Oczywiście te karty mogą mówić coś zupełnie odwrotnego, ale szczerze w to wątpię. Rzadko zdarzało mi się widzieć bardziej klarowny układ. Tylko jedna, jedyna karta niesie pocieszenie - jest to Rydwan, oznaczający pewność siebie i determinację w działaniu. Wsuwam karty z powrotem do zniszczonego pokrowca. Wierzę w nie. Nie wierzę w nie.

Ta część mnie, która do końca pozostanie cygańska, ta, która należy do Ocean i Belli, mówi: Odczytaj mądrze, a zrozumiesz. Druga część, ta stworzona w Cambridge, która od początku odżegnywała się od wiary w tarota, wzrusza ramionami: Jakże to ma znaczenie? To tylko sposób nadawania kształtu wydarzeniom, niczym szczególnym nieróżniący się od religii czy filozofii. Fałszywka, i tyle.

Chowam karty do torby. Jeśli teraz wyjdę i zamówię taksówkę, dotrę na dworzec w Deepden tuż przed odjazdem ostatniego pociągu do Londynu. Jeszcze dziś wrócę do Highbury Fields i mojego hotelu "Rozpacz". Tak byłoby najlepiej, ten plan sprzyja moim celom - w Londynie każdy jest anonimowy.

Nie chcę podejmować tu żadnych działań, które rzuciłyby cień na to miejsce i zasmuciły dobrych, serdecznych ludzi, takich jak Hector i Flora McIver. Zgaś

światło, przypominam sobie. I wtedy słyszę kroki na zewnątrz. Do nagiej, pozbawionej wszystkiego co osobiste kuchni wchodzi Nick. Zastanawiałem się, czy do mnie przyjdzie, ten mój honorowy przyjaciel. Byłem ciekaw, czy mój honorowy przyjaciel uzna, że tym razem to on jest mi winien wyjaśnienie swoich czynów.

Rozdział Dwudziesty Siódmy.

NICK.

- Więc to cały czas byłeś ty, Nick?

- Tak - odpowiada.

Siedzi przy stole. Znalazłem butelkę whisky, którą kupiłem dla Joego jeszcze przed jego chorobą, i nalałem Nickowi szklaneczkę - widzę, że przyda mu się coś mocniejszego. Sam piję wodę, nie mogę ryzykować; jeden łyk alkoholu i znajdę się w punkcie wyjścia. Przed Nickiem leży kula z kości słoniowej, którą przed chwilą mi oddał, na prośbę Finn. Widzieli, jak odchodziłem, jak szedłem przez dziedziniec, a kiedy znaleźli w kuchni kulę, którą tam zostawiłem, zrozumieli. Finn pragnie, abym ją zatrzymał. Siadam naprzeciwko Nicka. Widzę ból na jego twarzy i nie czuję gniewu ani goryczy. Byłem oszukiwany przez ponad dwadzieścia lat, większą część mojego dorosłego życia; przez cały ten czas błędnie odczytywałem znaki. Nie winię za to Nicka ani Finn, nie winię nawet siebie. Tak to po prostu bywa.

- Nie Lucas? - słyszę swój głos. - Byłem absolutnie pewny, że chodziło o Lucasa... Ależ byłem głupi...

- Niekoniecznie głupi. Ostatecznie wyszła za niego, prawda?

- To było twoje dziecko, Nick?

- Tak...

Zakrywa twarz dłońmi. Zapada długie milczenie.

- Mało brakowało, a powiedziałbym ci o tym tamtego

421

wieczoru, kiedy byłeś u nas - odzywa się po chwili. -Chciałem ci powiedzieć... Finn

jest umierająca. Zostały jej dwa miesiące, może mniej. Chciała spędzić je tutaj, a ja obiecałem, że będę z nią.

- Umierająca? Finn umiera? - Pochyliam głowę i palcem sunę po drewnianych słojach, po falach i wirach. Mija parę minut, zanim odzyskuję głos. - Więc dlatego byłeś wtedy w galerii... - mówię w końcu. - Dlatego siedziałeś przed portretem... Powinienem być się domyślić, wyczytać to z twojej twarzy... Właśnie wtedy się dowiedziałeś, tak?

- Tak. Przyszedłem tam prosto ze szpitala, wcześniej musiałem powiedzieć jej, jakie są wyniki badań. Oczywiście oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że najprawdopodobniej takie będą, ale jednak mieliśmy jeszcze nadzieję... W zeszłym roku Finn była operowana w Afryce Południowej. Rak piersi. Lekarze zastosowali chemioterapię, przez ostatnie osiem tygodni nadzorowałem jej leczenie tutaj, w Londynie. Niestety, operacja odbyła się za późno, Finn zlekceważyła pierwsze objawy... Trzeba było usunąć także węzły chłonne, a teraz pojawiły się przerzuty.

- Nie ma żadnej szansy, że...

- Żadnej.

- Nick, dlaczego mi nie powiedziałeś? Gdybym wiedział... O, Chryste! I Finn nie chce się ze mną zobaczyć? Chociaż raz, żeby się pożegnać? Jak to możliwe? Pożegnała się z Lucasem, prawda? Widziałem, jak wychodziła od niego...

Teraz sam słyszę gorycz w moim głosie, nie umiem jej ukryć.

- Tak, pożegnała się z nim. Ale łatwiej jej było zobaczyć się z Lucasem niż z tobą, Dan.

- Naprawdę? Niby dlaczego?

- Chyba wolałaby, żebyś zapamiętał ją taką, jaką była. Znałeś ją o wiele lepiej niż Lucas i inaczej będziesz ją oplakiwał... Wiesz, jaki jest Lucas. Wszyscy wiemy.

- Kochałem ją, na miłość boską... - mówię. - Kochałem

422

ją. Przez całe życie... I ciebie także, mojego najbliższego, najstarszego przyjaciela. Byłeś jedynym człowiekiem, któremu zawsze ufałem, zawsze wierzyłem... Tymczasem ty kłamałeś, Finn kłamała, Lucas kłamał... Wszyscy mnie okłamywali... Dlaczego mnie okłamywałeś?

- Bo Finn mnie o to prosiła. - Nick ucieka wzrokiem gdzieś w bok. - To był pierwszy



powód. A drugi... Wstydzilem się. Kiedy raz zaczniesz kłamać, wydaje ci się, że będzie lepiej, także dla tej drugiej osoby, kłamać dalej... W każdym razie tak sobie mówiłem. Siebie także można okłamywać, nie wiesz o tym?

- Nie mogę w to uwierzyć... Nie mogę w to uwierzyć, do cholery! Mieszkaliśmy razem prawie trzy lata! Widywałem cię codziennie, myślałem, że nie mamy przed sobą tajemnic... Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może warto powiedzieć mi prawdę?! Wiesz, co myślałem, co sobie wyobrażałem! Julię też okłamywałeś? Czy może uchyliłeś przed nią rąbka tajemnicy? Na pewno tak! Więc ona także mnie okłamywała! Wszyscy moi przyjaciele! Wszyscy, kurwa!

- Nie, nie... Julię też oszukiwałem. Nic nie wiedziała, chyba nawet nie podejrzewała, chociaż jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat... No, może raz czy dwa, szczególnie ostatnio... - Nick przerywa. - Powiedziałem jej w tym tygodniu, a przez cały poprzedni tydzień zbierałem się w sobie, mobilizowałem odwagę... Finn przyjechała tu tydzień temu i spędziła te dni całkiem sama - obiecałem, że będę z nią, a mimo to nadal zwlekałem, nadal kręciłem... Nie mogłem zdobyć się na odwagę, żeby powiedzieć to Julii i dzieciom... Właśnie takim jestem człowiekiem, takim tchórzem. Teraz rozumiesz, dlaczego nigdy nie było mnie stać na to, aby ci wszystko wyjaśnić?

- Nie, nie rozumiem! I nie chcę zrozumieć. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Nic nie ma znaczenia. Finn umiera.

- Dan, zależy mi, żebyś wiedział... Chciałbym komuś o tym opowiedzieć, zbyt długo obciążało to moje sumienie...

423

- Nie zamierzam zostać twoim spowiednikiem! Znajdź sobie kogoś innego! - odpowiadam ze złością, zrywając się od stołu i odwracając plecami do Nicka.

I to byłoby tyle, jeśli chodzi o moje szczytne postanowienia, myślę chwilę później. W kuchni panuje cisza.

- Nie mam nikogo innego, komu mógłbym o tym powiedzieć - odzywa się Nick. - Kompletnie spieprzyłem swoje życie, zresztą nie tylko swoje. Nie ma nikogo na świecie, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Jesteś jedynym kandydatem na spowiednika... Przepraszam cię, nie powinienem był tu przychodzić...

Patrzę na mojego przyjaciela, na Nicka, któremu nigdy nie było łatwo mówić o sobie, na Nicka, który jest skryty i małomówny, który potrafi ukrywać uczucia i prawdę nie gorzej ode mnie, mistrza świata. Wracam do stołu, siadam.

- Wybacz mi... - mówię. - Opowiadaj, słucham. Zaczyna wyjaśniać, a ja przyglądam się, jak przeszłość

zmienia kształt. Widzę wszystkie wydarzenia, które wcześniej były dla mnie niewidoczne, ukryte za kłamstwami - i za moim egocentryzmem. Nick otwiera drzwi: wychodzę na zalany słońcem dziedziniec Opactwa, ale wszystko wygląda inaczej, cienie są głębsze, pojawiają się w innych, nieoczekiwanych miejscach.

- To było wtedy, gdy Finn powiedziała mi o dziecku -mówi Nick. - Pamiętasz, co napisałeś w liście do mnie? O tym lecie, kiedy wszystko zaczęło układać się nie tak? Dla mnie wszystko zaczęło układać się nie tak, kiedy Finn przyszła do mnie i powiedziała, że prawdopodobnie jest w ciąży... Potrafisz sobie wyobrazić, jak się poczułem? Byliśmy tacy szczęśliwi, tacy... Tak bardzo ją kochałem, Dan. Nasza miłość zaczęła się przed Wielkanocą. Wtedy nagle spojrzałem na nią innymi oczami i nie mogłem... Po prostu chciałem być z nią cały czas, bez przerwy, dzień po dniu i... Później zacząłem przyjeżdżać do niej do Cambridge, kiedy tylko mogłem. Ukrywaliśmy się, bo Finn bardzo bała się ciebie zranić...

424

Zawsze zachowywaliśmy ostrożność, ale któregoś dnia pod koniec letniego semestru... Nie chcę o tym mówić. Wiedziałem, że nie powinniśmy byli ryzykować, potem przez parę tygodni martwiłem się, czy nie będzie konsekwencji... Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem do domu i przychodziłem do Opactwa... Tak trudno było nam znaleźć chwile, gdy mogliśmy być tylko we dwoje, brzydziły mnie te wszystkie kłamstwa i udawanie... Finn raczej się nie martwiła, mówiła, że wszystko będzie dobrze. I wtedy... Pamiętasz ten wieczór przed ich wizytą w Elde? Kiedy jedliśmy kolację na dziedzińcu? Tańczyliśmy do późnej nocy, a potem poszliśmy do Nun Wood, Finn i ja. Chodziliśmy tam czasami, było to jedno z niewielu miejsc, gdzie czuliśmy się bezpieczni - wiedzieliśmy, że nikt nas tam nie znajdzie i nie zaskoczy. Tamtej nocy... To była piękna noc... Kochaliśmy się i... Nie wiem, dlaczego, może sprawiło to wino, które wypiliśmy, może muzyka, którą puszczała Julia, a może to miejsce, cisza, blask księżyca, w każdym razie w końcu ogarnął mnie spokój, przestałem się martwić. Pomyślałem, że wszystko naprawdę będzie dobrze, że niepotrzebnie się tak katowałem... I wtedy Finn mi powiedziała. Była prawie pewna, bo minęły już dwa miesiące. Była pewna, że nosi nasze dziecko... Promieniała radością. Ale ja nie umiałem... Cały mój świat zaczął się nagle walić. Czuję się winny. Byłem wstrząśnięty i przerażony. Nie zrobiłem jeszcze dyplomu, Finn także. Nie mieliśmy pieniędzy ani mieszkania. Moi rodzice nigdy nie lubili Finn, nie wiem dlaczego... Nie miałem cienia wątpliwości, jak zareagują...

Nick się waha. Czy do jego rodziców dotarły plotki o ojcu Finn? Czy to było przyczyną ich antypatii? Wpatruję się w drewniane słoje i widzę, jak zrywam strzępek materiału ze złamanej gałązki w Nun Wood. Milczę.

- Nie mogłem uwierzyć, że dopuściłem do tej sytuacji... Nie miałem pojęcia, co robić, więc spróbowałem spojrzeć na to z racjonalnego punktu widzenia. Wiesz, jaki jestem - lubię wszystko planować. Nie znoszę nagłych zmian, konieczności

425

podejmowania decyzji pod presją, w panice. Wydawało mi się, że nie są to najlepsze okoliczności, jakie mogą towarzyszyć założeniu rodziny, wydaniu na świat dziecka. Pracowałem w Londynie, po osiemnaście godzin dziennie. Nawet gdybyśmy się pobrali i gdyby Finn mogła kontynuować studia, w żadnym razie nie pogodziłaby pisanie pracy dyplomowej z opieką nad dzieckiem. Nie powiedziałem jej tego wtedy. Była jeszcze szansa, że Finn się myli, że to fałszywy alarm, więc namówiłem ją na zrobienie badań. Umówiliśmy się, że Finn wpadnie do mnie do szpitala po wyniki. Było to tego dnia, kiedy przyjechała z matką do Londynu. Zostawiła Stellę w jakimś sklepie i... Wynik był pozytywny.

- To ty namówiłeś ją na zrobienie badań? - powtarzam powoli, jak ostatni idiota.

- Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Nieważne, bez powodu... Po prostu Finn powiedziała mi co innego...

Jak sprawnie mnie oszukała, myślę. Jak umiejętnie okłamała mnie w greckiej kawiarni, przy stole w czerwone kropki... Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Finn może być tak podstępna. Zdaję sobie sprawę, że starała się mnie chronić. Mam także świadomość, że wiedziała, iż jej kłamstwa zmieniają całą moją perspektywę. Byłem w stanie uwierzyć w winę Lucasa, bez wahania ubrałem go w kostium podłego uwodziciela, ale gdybym się dowiedział, że to Nick jest ojcem dziecka, zareagowałbym zupełnie inaczej. I Finn nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Wpatruję się w blat stołu i zadaję sobie pytanie, kim jest kobieta, którą kochałem i nadal Kocham.

- Kiedy zobaczyłem Finn w szpitalu... To było straszne, Dan. Miałem trochę czasu, żeby spokojnie się zastanowić, zaplanowałem sobie, co powiem, ale... Przez trzy tygodnie pracowałem prawie bez przerwy, niemal nie spałem... Wszystko, co próbowałem powiedzieć... Wszystko wychodziło mi niezręcznie, byle jak, nie tak... Chciałem tylko, żeby Finn zobaczyła,

426

że nie jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, że mamy wybór. Oczywiście, gdyby zdecydowała się zatrzymać dziecko, ożeniłbym się z nią, od początku planowaliśmy, że weźmiemy ślub... Zamierzaliśmy odczekać rok, aż Finn obroni pracę dyplomową, a ja zaliczę staż. Powiedziałem jej, że jeśli tego chce, ożenię się z nią od razu, naturalnie, że jakoś damy sobie radę... Że jakoś sobie poradzimy, ale istnieje wybór... Znałem ludzi, którzy byli gotowi nam pomóc, lekarzy, dobrych lekarzy, specjalistów. W dziesiątym tygodniu ryzyko było zerowe, mogłem wszystko załatwić... - Nick pociera twarz ręką. - Widzisz, sam nie wiem, co właściwie czułem. Miałem dwadzieścia pięć lat. Bałem się i... Tak, byłem wściekły, to także... I może w głębi duszy winiłem ją za to, co się stało... Bóg jeden wie... Tak czy inaczej, nie potrafiłem znaleźć właściwych słów i wszystko, co mówiłem, wydawało się tylko pogarszać sytuację. Starłem się mówić rozsądnie i spokojnie, a Finn milczała jak zakłeta. Nie powiedziała ani słowa. Tylko jej twarz się zmieniła. Nie płakała, nie próbowała ze mną dyskutować. Wysłuchała mnie do końca, potem wstała i powiedziała, że nie muszę się fatygować, bo sama wszystkim się zajmie. I wyszła.

Wracam myślami do tamtego dnia. Widzę siebie, myję okna i słyszę, jak pani Marlow mówi mi, że Nick zmienił plany i przyjedzie popołudniowym pociągiem. Widzę, jak później szukam Maisie, jak mimo niepokoju z przyjemnością oddycham chłodnym powietrzem letniego wieczoru. Stoję przy furtce i wzrokiem szukam na polu niebieskiej sukienki. A potem dostrzegam kogoś na krawędzi Nun Wood. To Nick. Macham do niego...

- Rozumiem... - mówię w końcu. - Teraz rozumiem. To dlatego wróciłeś wtedy do Wykenfield...

- Oczywiście. Szalałem z niepokoju, musiałem się z nią zobaczyć, porozmawiać...

- I wtedy Maisie skoczyła z okna...

- I wtedy Maisie skoczyła z okna... - głos Nicka drży. -

427

A później... Później wszystko stało się beznadziejne, kompletnie beznadziejne. Wpadłem w rozpacz... Maisie była w śpiączce, musiałem wracać do Londynu, do pracy, Finn nie chciała ze mną rozmawiać. Kiedy jej dziadek dostał udaru... Wydawało mi się, że wtedy w końcu musi zrozumieć, że nie możemy sobie pozwolić... Że nie udźwigniemy tego... Błagałem ją żeby się zdecydowała, żeby powiedziała mi, co chce zrobić, bo czas ucieka... Ale ona nie chciała słuchać. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że już podjęła decyzję. Podjęła ją tamtego dnia, w szpitalu w Londynie. Zawiodłem ją, a Finn jest bezwzględna, nie wybacza tym, którzy sprawili

jej zawód. Dzwoniłem do niej codziennie, pisałem, błagałem, próbowałem namówić, żeby jeszcze raz ze mną porozmawiała... I w końcu dowiedziałem się, że wyszła za Lucasa.

- Nie ostrzegła cię? Nie sugerowała, co zamierza zrobić?

- Nie. Wiesz, jaka jest - po prostu zrobiła to, i już. Powiedziała mi, że zawarli ściśle biznesową umowę i że Lucas przystał na wszystkie warunki. Dzięki temu mogła dalej studiować... Może chciała mnie ukarać, nie wiem... Wyglądała fatalnie, żyła w strasznym napięciu, obwiniała się za to, co stało się z Maisie, powtarzała, że Maisie wiedziała ojej zdradzie, o tym, jak cię oszukiwała... Nie była w stanie racjonalnie myśleć, zresztą ja także. Dlatego nigdy się nie dowiem, dlaczego za niego wyszła... Teraz nie ma to już znaczenia.

- Mogła wyjść za mnie. Oświadczyłem się jej, Nick.

- Wiem, ale Finn nie chciała cię ranić. Lucasa i tak nie mogłaby zranić, bo on jej nie kochał. Nie jestem nawet pewny, czy kiedykolwiek naprawdę go interesowała...

- Często ją rysował...

- To co innego.

Wstaję. Zaczynam chodzić po zimnej, pustej kuchni. Więc Finn powiedziała mu o moich nieudolnych oświadczeniach. Nick wiedział o wszystkim, znał wszystkie moje sekrety, tylko ja nie wiedziałem nic. Przez ponad dwadzieścia lat błąkałem się ścieżkami labiryntu niewiedzy. Wszystko to działało

428

się, kiedy dzieliłem z Nickiem mieszkanie, a ja nie odgadłem, nie domyśliłem się... Kiedy był spięty, milczący, nieszczęśliwy czy zirytowany, przypisywałem marny stan jego nerwów długim godzinom pracy i jej charakterowi. Mój przyjaciel przeżywał życiowy kryzys, a ja niczego nie zauważyłem... No cóż, teraz moja ślepotą także nie ma już żadnego znaczenia, jest za późno, aby cokolwiek zmienić. Finn umiera. To koniec.

- A później? - znowu wracam do stołu. - Dalej nie rozumiem... Powiedz mi, co było później.

- Co mam ci powiedzieć? Finn wykreśliła mnie ze swojego życia. Po ślubie z Lucasem nie chciała się ze mną spotykać, nie odpowiadała na telefony ani listy. Nawet kiedy dziecko umarło... - Nick zasłania twarz. - Nawet wtedy nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. Zachowywała się tak, jakby to nie było także i moje dziecko,

jakbym nie miał prawa czuć rozpacz... Pojechałem do niej raz, ostatni raz... Zabroniła mi, ale pojechałem. Poszedłem do tego obskurnego mieszkania, które Lucas wynajmował przy Green Street. Lucasa nie było. Wydaje mi się, że wtedy już coraz rzadziej bywał w domu. Finn była sama. Ledwo ją poznałem. W mieszkaniu panował bałagan, Finn była zaniedbana, brudna... Widziałem, że jest chora, że potrzebuje pomocy... Jej twarz miała ten sam wyraz, co twarz Maisie, pamiętasz? Skupiona i całkowicie nieobecna, jakby słuchała, co mówi do niej ktoś inny. Staralem się... Próbowałem rozmawiać, pytałem o dziecko, wiedziałem tylko, że to był chłopczyk i... I w końcu kompletnie się załamałem. Rozpłakałem się, a ona popatrzyła na mnie chłodno, obojętnie. "Dlaczego płaczesz?", zapytała. "On nie żyje. Przecież o to ci chodziło, prawda?" Wtedy coś się ze mną stało, Dan. Nie byłem w stanie wybaczyć jej tych słów. Kazała mi wyjść, więc wyszedłem i... I chyba serce mi stwardniało. Uważałem, że potraktowała mnie bardzo niesprawiedliwie. Postanowiłem zostawić wszystko za sobą, nie wracać do tego, zacząć budować nowe życie... Trzy lata później ożeniłem się z jej siostrą. Zawsze lubiłem Julię. Podziwiałem

429

ją, to imponująca kobieta. A kiedy już zostałem mężem Julii, Finn mi wybaczyła. Rozumiesz coś z tego?

- Wybaczyła ci, kiedy zostałeś mężem Julii? Nie rozumiem...
- Ja też nie, ale tak było. Napisała do mnie miesiąc po naszym ślubie. Znowu się spotkaliśmy, w tajemnicy, bo oczywiście nic nie powiedziałem Julii i... Nadal nie chcę mówić dalej. Finn kiwnęła palcem i wszystko zaczęło się od nowa... Nie umiem... Nie wiem, dlaczego tak jest, ale kiedy Finn mnie woła, biegnę. Nic na to nie poradzę. Gardziłem sobą, nienawidziłem siebie, starałem się zmienić... Nie potrafię, nic z tego. Nie potrafię z nią zerwać.
- Finn o tym wie?
- Oczywiście, zawsze wiedziała. Oboje od początku o tym wiedzieliśmy... - Nick się waha. - Więc nie pytaj mnie o moje małżeństwo. Nie pytaj o Julię. Okłamywałem ją i oszukiwałem przez dwadzieścia lat, z krótkimi przerwami, czyli przez cały czas trwania naszego związku. Były to duże, paskudne kłamstwa, wszystkie te śmieci zdrady - rozmaite alibi, pokoje hotelowe, listy na poste restante, odbywane ukradkiem rozmowy telefoniczne... Finn też okłamywałem. Zdradzałem wszystkich - żonę, Finn, moje dzieci, siebie samego... I nie mogę tego odkręcić. Wiem tylko jedno - teraz jestem tutaj i zostanę w Opactwie tak długo, jak długo Finn będzie mnie potrzebowała. Do końca. Kocham Finn od lat, od zawsze i przynajmniej tyle mogę

dla niej zrobić...

Cisza. Myślę o Julii, która stała na progu mojego domu, żądała prawdy i szlochała w moich ramionach. O Tomie, którego prześladują złe sny, który czuje strach i niepokój, i stara się wierzyć w kłamstwa, które opowiadał mu ojciec. Myślę o moim przyjacielu, człowieku, którego zawsze miałem za zdyscyplinowanego, rozsądnego, prawdomównego, po prostu za wzór cnót, z którym nie mogłem się równać.

- Jezu, Nick... - mówię, nie zdążywszy ugryźć się w język. - Co za szambo... Co za pieprzone dno...

430

- Wiem. To moja wina. Sam zszedłem na dno.

- No, niezupełnie... Powiedziałbym, że ktoś ci pomógł...

- Nie obwiniaj Finn. Nie rób tego, Dan...

Nie winię Finn. Nie winię nikogo. Kochałem kogoś, kogo w ogóle nie znałem, wytwór mojej własnej upartej wyobraźni. Dopiero teraz widzę z całą jasnością, że Finn jest dla mnie stracona, ostatecznie, nieodwołalnie i nieodwracalnie, tak bardzo, że aż trudno mi to objąć umysłem. Naprawdę nigdy jej nie znałem, myślę. Kochałem kobietę, która nie istniała.

Patrzę na Nicka, który chyba ją zna. Jestem otępiąły od bólu i niedowierzania. Nie mogę dłużej wracać do przeszłości, nie chcę, mam tego dosyć. Usiłuję zmusić mózg do działania, wybiec myślą dalej, poza teraźniejszość, wyobrazić sobie, co będzie z Nickiem po odejściu Finn. Chciałbym zapytać go, co zrobi później, czy wróci do Julii, czy ona go przyjmie, co stanie się z jego dziećmi, z moim chrestnym synem... Nie mogę zadać mu tych pytań, nie teraz. Współczuję Nickowi z całego serca, chociaż moje współczucie i troska raczej nikomu nie są potrzebne.

Tym razem milczenie trwało długo. Ta cisza nadal dzwoni mi w uszach. Nick, z pochyloną głową ukrytą w dłoniach, zaczął szlochać. Łzy są zaraźliwe. Mężczyźni nie płaczą... Objąłem go niezgrabnie. Powiedziałem kilka zwyczajnych, pocieszających rzeczy, jakich nauczyłem się przy łóżku Joego, być może pozbawionych znaczenia, ale czasami podnoszących na duchu, przynajmniej trochę. Kiedy Nick się uspokoił, usiadłem naprzeciwko i wyciągnąłem do niego rękę nad stołem. Wciąż czuję, jak mocno chwycił moją dłoń.

- Posłuchaj... - zacząłem. - Jesteś świetnym lekarzem. Ocaliłeś życie Maisie - gdyby nie ty, umarłaby pod tym oknem przed przyjazdem karetki. Uratowałeś życie wielu ludziom, tym się zajmujesz, temu się poświęciłeś, nie zapominaj o tym. Zawsze byłeś

wiernym przyjacielem, jedynym, do którego mogłem się zwrócić o pomoc. Jesteś dobrym przyjacielem, dobrym lekarzem, dobrym człowiekiem i dobrym ojcem...

431

No, może okazałeś się trochę gorszym mężem...

Nick podnosi głowę, patrzy na mnie i uśmiecha się słabo.

- Ale nie jesteś przecież pierwszym niewiernym mężem w historii ludzkości, nie jesteś jakimś durnym Lothariem czy Casanovą - ciągnę. - Wasze małżeństwo nie mogło być kompletnie nieudane, bo gdyby tak było, Julia nie wytrzymałaby z tobą nawet dwudziestu godzin, nie mówiąc o dwudziestu latach... Zdarzają się przypadki, że mężczyzna kocha dwie kobiety jednocześnie, w każdym razie wydaje mi się, że jest to możliwe, tak, jest to możliwe... A Julia jest jedną z bardzo niewielu kobiet, które potrafią zrozumieć taką sytuację... Musicie rozwiązać ten problem we dwoje. Tak czy inaczej, teraz na pewno nie powinieneś tu siedzieć i rozmawiać ze mną, więc na koniec powiem ci tylko jedno - nie jesteś sam. Bez względu na to, jak bardzo czujesz się winny i podły, niczego nie musisz mi wyjaśniać ani się tłumaczyć. Wiem wszystko o niewierności. I o poczuciu winy. Niewierność wobec siebie, niewierność wobec innych - masz do czynienia z mistrzem, Nick, ze specem nad specami. Wypij tę whisky i wracaj do Finn. Powinieneś być z nią, nie tutaj.

Nick wypił whisky i znowu mocno chwycił moją dłoń. Rozmawialiśmy cicho jeszcze przez chwilę, potem wyszedł. Uściskaliśmy się w progu. Dziwne, jak bardzo słabość zbliża ludzi, jak niszczy bariery, które sami między sobą wznieśli... Znałem Nicka całe moje życie, a jednak nigdy nie czułem między nami takiej bliskości, nigdy nie byłem tak pewny naszej przyjaźni jak w tamtej chwili. Było mi z tym dobrze. Nasze ostateczne rozstanie było dobre. Udało nam się uratować coś z ruin.

Rozdział Dwudziesty Ósmy.

NISZCZARKA.

Nie miałem już szans zdążyć na ostatni pociąg do Londynu. Pojechałem pierwszym porannym. Po wyjściu Nicka nie chciałem o niczym myśleć, włączyłem więc telewizor, który trzy lata temu podarowałem Joemu. Przeskakiwałem z kanału na kanał. Moje palce tańczyły po przyciskach pilota. Oglądałem wojska, zbierające się



na pustyni, nocne ataki, naprowadzane laserem pociski, które potrafią przelecieć dwa tysiące kilometrów i wpaść do budynku przez małe okienko. Wiedziałem, że wojna wisi w powietrzu, ale na sześć tygodni zapomniałem o całym świecie; teraz mogłem obserwować początek operacji. Oglądałem fragmenty starych filmów - na którymś kanale złapałem Casablance. Przyglądałem się, jak policja przesłuchuje podejrzanych w jakiejś sprawie, jak ktoś wygrywa duże pieniądze w teleturnieju, oglądałem reklamy i wywiady z ludźmi uzależnionymi, tancerki, aktorów, zagrożone gatunki zwierząt, narodziny polarnych niedźwiadków, fragmenty sitcomów i filmów o obcych cywilizacjach. Potem położyłem się na nagim łóżku Joego i patrzyłem, jak księżyc wschodzi i zachodzi. Słuchałem krzątających się w pustym domu myszy i pohukujących na dworze sów, które tylko czekają, kiedy małe gryzonie wyjdą na zewnątrz.

433

W Londynie, idąc z dworca, postanowiłem przechrzcić przebój "Heartbreak Hotel" na "Hotel Resolution"\*.

[\* Gra słów - Hotel Złamanego Serca, Hotel Determinacja (przyp. red.)].

Po drodze wstąpiłem do sklepu ze sprzętem biurowym.

Efekt końcowy: nowiuteńka, ekstraszybka i ekstrasprawną niszcarka do dokumentów. Nazywa się Super Niszczarka, jakżeby inaczej, takie czasy... To znacznie prostsze rozwiązanie niż ognisko, któremu początkowo zamierzałem powierzyć te kartki. Nie wywoła pożaru, nie przyciągnie niczyjej uwagi, nie zakłóci spokoju sąsiadów. Tnie na strzępy czterdzieści kartek A4 na raz, zdolna dziecinka. Wyprodukowana na Tajwanie, sprawdzona przez CIA. Ma ostre stalowe zęby i wygląda na potwornie wygłodniałą. Od razu podbiła moje serce. Już niedługo, uspokajam ją.

W domu panuje porządek, wszystko jest przygotowane. Wyrzuciłem sznur i brzytwy, ponieważ nie będą mi potrzebne. Nieszczęsnemu mleczarzowi, który od kilku tygodni domaga się zapłaty, obiecałem zapłacić jutro - gdybym nie otwierał drzwi, ma dzwonić do skutku. Na wszelki wypadek przed chwilą wysłałem zwięzłą kartkę do Julii. Nikt inny nie przyszedł mi do głowy. Jeżeli dostanie ją po powrocie ze zdjęć, czy z jakiegoś innego ważnego miejsca, gdzie teraz się znajduje, przyjedzie tutaj i oczywiście wezwie policję. Mam nadzieję, że panowie policjanci w swoich dziecinnych samochodzikach jakoś poradzą sobie z problemem, a jeśli nie, to trudno. Przykro mi, taką wybraliście robotę, chłopaki...

Teraz siedzę sobie spokojnie, z moją ulubioną kawą rozpuszczalną Nescafe i

papierosem Marlboro i wymyślam długie wyrazy na "K", na przykład: konsumpcja, koronografia, kotwicowisko... Koniec.

Z okna, przy którym siedzę, roztacza się panoramiczny widok na skwer i park. Widzę czterech nielegalnych skateboardzistów, dwóch nielegalnych cyklistów i kilku ostrożnych spacerowiczów z psami. Malc i Spółka znowu obstawiają róg.

434

Kiedy jednak naprawdę się skoncentruję, nie widzę tego wszystkiego; nie widzę Malca i jego błaznów, spacerowiczów, cyklistów i tak dalej; nie widzę nawet tego smętnego skweru, który dawno temu był łąką. Widzę ludzi, których kochałem i nadal Kocham, miejsca, które są mi drogie, pola mojego dzieciństwa, łąki, po których chodziłem i gdzie się bawiłem. I gdzie nauczyłem się strzelać.

Hamlet nie potrafił tego zrobić, nie mógł się zdecydować, w każdym razie nie w chwili, gdy wygłaszał słynne "być albo nie być". Dlaczego nie, zastanawiałem się za każdym razem, kiedy czytałem lub oglądałem sztukę; dlaczego nie, zastanawiałem się w Cambridge, kiedy ją reżyserowałem. Dlaczego nie? Ponieważ Hamlet nie wie, co znajduje się po drugiej stronie śmierci i boi się tego, co może go tam czekać. Nazywa to terytorium "nieodkrytą krainą, z której nie wraca żaden podróżnik", lecz w gruncie rzeczy wie, że to nieprawda. Umarli wracają- Hamlet rozmawiał już przecież z duchem ojca i wysłuchał jego polecenia.

Pod koniec ostatniego aktu Hamlet ufnie wychodzi na spotkanie śmierci, przyjmuje ją, przeбитą zatrutym rapierem; dzieje się to w chwili, kiedy i tak jest już gotowy umrzeć, ale wcześniej lęk przed przekroczeniem granicy nieznannej krainy pęta jego wolę. "Jakie sny nawiedzą nas w tym śnie śmierci..."

Jestem posłuszny. Czekam.

Co sam widzę po drugiej stronie, w tej nieodkrytej krainie? Nie niebo ani piekło z Biblii Joego, jedynej książki w naszym domku, chociaż chyba mógłbym uwierzyć w subtelną boską komedię Dantego, w jego wizję raju i piekła. Może widzę terytorium będące lustrzanym odbiciem tego, z którego przychodzimy, jakiś przednarodzeniowy obszar nicości - nie obawiam się go. Czy można bać się pustki niebytu, antydoświadczenia sprzed poczęcia? Wydaje mi się, że nie... Może będzie to coś w rodzaju podziemnego świata z mitologii greckiej -

435

w to trochę wierzę, to przyjąłbym z radością. Styks, który przepływamy w łodzi z Charonem u steru, cienie, stojące na drugim brzegu ciemnej rzeki i podnoszące ręce

w geście powitania... Na drugim brzegu Black Ditch... Może zobaczę Joego, Bellę i moją utraconą matkę, może Ocean już czeka, żeby mnie przywitać... A może Szekspir, przemawiający ustami Hamleta, jak zawsze miał rację, może czeka mnie kraina snu, tak nieprzewidywalna, enigmatyczna, łagodna i przerażająca jak nasze ziemskie sny... Tak, w to także jestem w stanie uwierzyć.

Sen trwający całą wieczność... Prawie czterdzieści sześć lat spędziłem wśród cieni, więc niewątpliwie jakoś sobie z tym poradzę. Tak czy inaczej, kiedy dowiem się, jak to naprawdę jest, nie będę miał już wyboru.

Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał patrzeć na to, co się tutaj dzieje. Bo jeśli po śmierci dusza zostaje wyposażona w oczy i skazana na wieczne oglądanie ludzkich poczynań na ziemi, jeśli miałbym tylko obserwować, nie mając prawa interweniować... Cóż, to byłoby najprawdziwsze piekło. Myśleć i patrzeć, patrzeć uważnie na zło i cholerne krzywdy, jakie zawsze wyrządzamy... Czy ktokolwiek chciałby patrzeć na to, co będzie dalej? Patrzeć, jak umierają dzieci, jak cierpią ukochani? Czy ja chciałbym oglądać ten nigdy się niekończący następny odcinek, dowiedzieć się, jakie okropności czekają Maisie, Nicka, Julię, Fanny i mojego chrzestnego syna Toma? Nie, nie chciałbym. Nie chcę. Jezu Chryste, oszczędź mi tego...

Jeżeli nie dojdzie do jakiegoś kataklizmu, to sytuacja będzie się pogarszać powoli: dziura w powłoce ozonowej będzie coraz większa, morza i rzeki będą coraz bardziej zanieczyszczone i zatrute, gleba chora; Europa przeistoczy się w pustynię; będą wybuchały coraz okrutniejsze wojny; zapanuje głód; nowe choroby będą zbierać obfite żniwo... Pomyślcie tylko o narzędziach, którymi dziś dysponujemy, o naszej głupocie, arogancji, zaślepieniu, okrucieństwie; o wszystkich tych straszliwych

436

rodzajach broni, zgromadzonych w arsenałach... Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach potrafi wyobrazić sobie, że na ziemi będzie lepiej? Ja nie. Co bierze Bóg, no co? Moim zdaniem, musi brać coś naprawdę ostrego, musi być na niebiańskim hajcu, bo w przeciwnym razie już dawno zauważyłby, że stworzona przez niego istota, człowiek, jest po prostu nie do zniesienia. A może Bóg ma dosyć, może ostatecznie machnął ręką, rzucił w kąt tę złowrogą opowieść, może zgubił wątek... Biorąc pod uwagę odwieczne nieludzkie okrucieństwo, z jakim człowiek traktuje drugiego człowieka, nie wspominając już o odwiecznym nieludzkim okrucieństwie, z jakim mężczyzna traktuje kobietę, chyba nie należy się temu dziwić...

Ale z drugiej strony, może rację mają buddyści... Wtedy wrócę tu znowu, najpewniej jako jakaś niska, najniższa forma życia, jakiś robal albo gąsienica. Tym razem poszło

mi tak marnie, że pewnie przybiore jakąś naprawdę obrzydliwą postać, najohydniejszą z ohydnych. O, cholera...

Przed chwilą przetestowałem niszczarkę. Ma wspaniały apetyt. Dzień jest mroczny i ponury, zaczyna padać. W parku zostało już tylko dwóch skateboardzistów i jeden właściciel psa. Nigdy nie uważałem, że to będzie łatwe, ale okazało się trudniejsze pod pewnymi względami, których nie przewidziałem. Ciekawe, czy Maisie też to czuła...

Może się mylę, może cała moja teoria była błędna i wybrana przez Maisie pora samobójczego skoku nie miała nic wspólnego z kompleta... Może Maisie siedziała gdzieś w ukryciu, słuchała, jak jej szukamy, nawołujemy i po prostu starała się zmobilizować odwagę, tak jak teraz ja to robię. A może chciała pożegnać się ze światem w porze ciszy i spokoju. Mógłbym to zrozumieć. Potrafię to zrozumieć.

Teraz już nigdy się nie dowiem, dlaczego skoczyła. I nigdy bym się nie dowiedział. Nawet gdybym znalazł ten wyimaginowany list, to złożone na piśmie wyjaśnienie, którego istnienia

437

byłem tak pewny, co by mi to dało? Co zyskałbym, wiedząc, że Maisie nie mogła dłużej znieść swojej pozycji osoby zawsze trochę obcej, że nie mogła wytrzymać tego, że nie pasowała do ludzkich wyobrażeń na temat dzieci, że była tak bardzo inna? Czy wytłumaczyłaby, jak nieznośne stało się dla niej uczucie osamotnienia i izolacji, które na pewno ją prześladowało?

Czy napisałaby, że czuła, iż jest ciężarem dla swoich najbliższych i postanowiła uwolnić ich od tego jarzma, ponieważ miała taką władzę? Czy oskarżyłaby nas, że byliśmy ślepi na jej cierpienie, że odwracaliśmy się do niej plecami, zniecierpliwieni i znudzeni, kiedy próbowała się z nami porozumieć? Czy wytknęłaby nam, że odwróciliśmy się o jeden raz za dużo? Z pewnością wszyscy byliśmy winni - rzeczywiście, nie dość mocno staraliśmy się dostrzec jej cierpienie, nie dokładaliśmy wysiłków, aby ją zrozumieć. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Jakże ciąży mi teraz grzech zaniedbania... Może Maisie napisałaby coś bardziej konkretnego, może przekazałaby nam jakiś zachęcający przykład związku przyczyny i skutku? Może wyznałaby, że w jakiś sposób poznała prawdę o chorobie swojego ojca, i że to właśnie popchnęło ją do samobójstwa? Nie jest to wykluczone, w Wykenfield zawsze krążyły plotki na ten temat. A może powiedziałyby, że winę ponosi sztuka, że nie mogła dłużej żyć z tą Maisie, jaką zobaczyła na portrecie Lucasa? Skoczyła tydzień po obejrzeniu obrazu... Może istniał jakiś ukryty czynnik,

który wskazałaby nam w tym jakże wygodnym dokumencie jakiś incydent albo czyjś wpływ, coś, czego my, w swojej tępotcie, w ogóle nie zauważyliśmy... A może napisałaby, że pewnego pięknego letniego wieczoru, mając lat trzynaście, doszła do wniosku, że ma dosyć tego świata i postanawia dołączyć do ojca oraz wielu innych przyjaciół, jakich miała między zmarłymi?

Wszystko jest możliwe. Maisie mogła przedstawić którąkolwiek z tych wersji, a my i tak nie zrozumielibyśmy do końca,

438

dlaczego podjęła taką decyzję, nawet gdyby ze wszystkich sił starała się nam to wyjaśnić... Wszyscy patrzymy na swoje życie pod pewnym kątem. Wątpię, czy Maisie naprawdę wiedziała, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Sam nie wiem, dlaczego ani w jaki sposób znalazłem się w tym punkcie i w tej sytuacji, dlaczego siedzę teraz przy stole, piszę ostatnią stronę, patrzę na strzelbę oraz niszczarkę do dokumentów i włączam lampkę w słabnącym świetle styczniowego dnia.

Widzę niektóre etapy mojej podróży i niektóre boczne ścieżki, którymi nie poszedłem, ale nic mnie to już nie obchodzi. Dostrzegam także ostateczną pociechę samobójstwa -w końcu jestem we właściwym miejscu. Tak jak Maisie, nie będę już ofiarą okoliczności i żaden zewnętrzny czynnik nie zdecyduje o tym, jak zakończę życie. Ładujemy broń, otwieramy okno - to nasz wybór. Człowiek w tym stanie czuje się dziwnie czysty, prawda, Maisie?

Nie wolno mi się wahać. Skoro Maisie, dziecko, znalazła w sobie dość odwagi, aby to zrobić, to chyba ja także nie skrewię (rękę mam pewną, to najważniejsze). Słyszę jednak głosy, głosy, które wołają mnie po imieniu i próbują odwieść od postanowienia. To, co chcę zrobić, sprawia ból mojemu ojcu, czuję to... Boże, widzę ich tak wyraźnie, są tak blisko... Nie spodziewałem się tego. Oto Joe, który podnosi mnie i sadza na krzeselku traktora, pierwszy raz... Pierwszy raz orzę zagon, nie umiem tego robić, więc wychodzi mi strasznie krzywo... Oto Bella, która czyta moją przyszłość z rozłożonych kart, a potem szybko zgarnia je, chowa i mówi: "Każdy człowiek ma władzę nad swoim życiem, Danny, trzeba tylko chcieć, przecież wiesz..." A oto i Finn... Bierze mnie za rękę, kiedy idziemy przez Acre Field, i mówi: "Chyba nikt nie może być szczęśliwszy niż ja w tej chwili, prawda, Danny?" I mój brat krwi Nick, który pomaga mi założyć przynętę na wędkę, bo chcę złowić rekiny czyhające w stawie Opactwa, i Maisie, pięcioletnia Maisie... Płacze nad królikami, które dopiero co

439

zastrzeliłem, i mówi: "Dlaczego nie oddychają? Co ty zrobiłeś? Zrób coś, żeby ożyły, Danny, zrób coś, tak cię proszę..." Nie chcę dłużej słuchać tych głosów. Nie chcę patrzeć wstecz - te pola, to słońce, te głosy, ta Anglia sprzed lat, wszystko to sprawia, że serce pęka mi z bólu. To wszystko jest mi zbyt drogie, nie mogę ryzykować.

Dochodzi trzecia. Jest już prawie trzecia. Jakoś sobie radzę. Przepuszczenie tych kartek przez niszczarkę zajmie mi mniej więcej piętnaście minut. A potem...

Część Dziewiąta.

KRÓLOWA PUCHARÓW.

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty.

JAK TO ZROBIŁ.

Patrzę na zapiski Dana. Mam przed sobą tę ostatnią stronę. Ostatnie zdanie kończy zygzak, długa, poszarpana linia, wybiegająca poza krawędź papieru. Pisząc, Dan siedział przy oknie - widziałam go, kiedy zbliżałam się do jego domu. Myślę, że wyrzwał i gdy zobaczył, co dzieje się na ulicy, zerwał się na równe nogi, być może potrącając biurko, i wtedy powstał ten znak. Naturalnie nie mam pewności, że faktycznie tak właśnie było, ale sądząc po zapisanej przez niego godzinie, chyba się nie mylę.

Opowiem wam, co zobaczył. Opowiem wam, co wtedy zrobił. Chcę, żeby ktoś o tym wiedział. Chcę, żebyś ty się dowiedział, jak to było, Nick, i ty, Fanny, i ty, Tom, kiedy trochę podrośniesz. Chcę, żebyś zrozumiał, co się stało, Tom. Byłeś świadkiem części tego zdarzenia, ale nie widziałeś wszystkiego. Ja widziałam wszystko.

Nazywam się Julia. Jestem żoną i matką i, jak zauważył Dan, także cesarzową mody, suką alfa, i tak dalej, i tak dalej. Zostawmy te komentarze, wrócę do nich później. Mam na imię Julia. Jestem naocznym świadkiem. Zapomnijmy, co powiedziałam policji, chociaż muszę przyznać, że wykazałam się sporą inwencją. Oto, co wydarzyło się naprawdę.

Wcześniej tego samego dnia zadzwoniłeś do mnie z Opactwa, Nick. Poprzedniego dnia obiecałeś, że zatelefonujesz.

443

Nie powiem, by twój wyjazd odbył się w spokojnej atmosferze - chyba można się spodziewać pewnych wstrząsów, kiedy żona dowiaduje się, że przed i w czasie trwającego dwadzieścia lat małżeństwa jej mąż miał pokrętny i namiętny romans z jej rodzoną siostrą. Ale moja siostra była umierająca i chociaż doprowadza mnie do szału swoim uporem i ślepym egoizmem, kocham ją, więc nie zachowałam się tak gwałtownie, jak mogłabym się zachować. Kiedy Nick zadzwonił, miałam nadzieję, że powie mi, iż Finn jest już gotowa zobaczyć się ze mną; chciałam popatrzeć na nią, dotknąć jej ostatni raz, ale wiedziałam, że muszę poczekać. Nie można poganiać Finn. Trzeba czekać i czekać, aż sama przyjdzie - nawet Dan dobrze o tym wiedział.

Nick powiadomił mnie, że właściwa chwila jeszcze nie nadeszła. Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że stan Finn jest coraz gorszy. Nie chciał podać mi żadnych szczegółów, a ja nie naciskałam. Powiedział mi, że był u Dana i wreszcie wyznał mu prawdę. Dan spakował wszystkie rodzinne rzeczy, zamierzał wyjechać z Wykenfield na dobre i wrócić do Londynu. Próbowałam wyobrazić sobie tę scenę i nie mogłam.

- Musiało to być trudne dla was obu - powiedziałam niepewnie.

- Naturalnie, że było to trudne - odparł Nick z lekką irytacją (nie powinnam przekraczać granicy tajnego terytorium męskiej przyjaźni). - Ale Dan zachował się bardzo serdecznie, był bardzo wyrozumiały. Nie było tak źle, jak się obawiałem. Dan był o wiele spokojniejszy ode mnie...

Nie skomentowałam tego. Bardzo wątpię, czy rzeczywiście tak było.

Nick potrafi być ślepy jak kret - trzeba przyznać, że u lekarza jest to po prostu zdumiewające. Jego umiejętności diagnostyczne, tak wyostrzone na polu oceny stanu zdrowia pacjenta i stopnia zaawansowania choroby, są znacznie bardziej ograniczone, jeśli chodzi o ocenę ludzkich uczuć. Potrafię zrozumieć, że w tamtych dniach był ślepy, bo nie widział nic

444

i nikogo poza Finn, lecz wiem także, jak bardzo ta rozmowa musiała wstrząsnąć Danem, Danem, który zawsze był mistrzem ukrywania. Ukrywanie uczuć to jego religia. Moja także.

- Czy Dan próbował żartować? - pytam. - Czy w czasie waszej rozmowy żartował?

To pytanie chyba zaskoczyło mojego męża.

- Nie pamiętam... - odparł. - Może pod koniec, tuż przed moim wyjściem... Najpierw powiedział, że może i nie byłem najlepszym mężem, a później, że sam jest specem od niewierności... No, zachowywał się jak Dan, wiesz, jaki on jest...

Wiem. Nicka wcale nie zaniepokoił pozorny spokój Dana, ale mnie tak. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia - ostatecznie to ja zdzierałam Dana ciężkim telefonem komórkowym, nawet jeżeli w ostatniej sekundzie instynktownie osłabiłam siłę ciosu. Nie powinnam była zostawić go wtedy samego, nieprzytomnego, zdanego na łaskę i niełaskę losu. Tymczasem, zamiast sprawdzić, czy nic mu nie jest, wsiałam do samochodu i następne pięć dni spędziłam na planie zdjęciowym, pielęgnując gorzki żal i furję. No i oczywiście zaraz po powrocie, kiedy Fanny w końcu przyszła do mnie skruszona i wyznała całą prawdę, powinnam była napisać do Dana, zadzwonić, zrobić cokolwiek.

Byłam w dziwnym stanie. Miałam kilka przepisów do sprawdzenia, lecz tylko w roztargnieniu spacerowałam po kuchni, skubałam różne rzeczy, rozlałam coś, i kompletnie nie mogłam się połapać, gdzie jestem ani co robię. W końcu - była już prawie druga - uznałam, że nie zniosę tej inercji ani chwili dłużej. Zadzwoiłam do mojej asystentki, kazałam jej odwołać popołudniowe spotkanie, włożyłam palto (dzień był paskudny, szary i mokry) i wyszłam na ulicę. Po mniej więcej stu metrach zmieniłam zdanie i zawróciłam. Pomyślałam, że wezmę ze sobą Toma. Rano zatrzymałam go w domu, bo prawie całą noc nie spał i chociaż fizycznie nic mu nie dolegało, nie miał kataru ani podwyższonej temperatury, widziałam, że czuje się fatalnie. Był chory ze smutku, zdenerwowania i strachu.

445

Nie mógł zrozumieć, dokąd pojechał Nick i dlaczego, nie chciał też uwierzyć, że ojciec wróci, chociaż powtarzałam mu, że wróci na pewno. Za jakiś czas. Kiedyś. Może nie umiem już kłamać tak dobrze jak dawniej, nie wiem. Może Tom nie chciał mi uwierzyć, bo nie kłamałam dość przekonująco. Tak czy inaczej, uznałam, że nie powinnam zostawiać go z Ingrid i przyszło mi do głowy, że może warto byłoby zabrać go ze sobą.

Tak więc opatulam Toma kurteczką i szalikiem, a on jest bardzo zadowolony i podekscytowany, i w ostatniej chwili biegnie jeszcze na górę, po tego plastikowego triceratopsa, którego dostał od Dana. W końcu wychodzimy. Idziemy w dół Upper Street, oboje znacznie weselsi niż jeszcze przed chwilą, śmiejemy się i rozmawiamy. Nagle przystaję i myślę, że może powinnam kupić coś Danowi, jakiś drobiazg na przeprosiny, podpisanie zawieszenia broni, czy coś w tym rodzaju. O mały włos nie



kupuję butelki wina - na szczęście w ostatniej chwili uświadamiam sobie, że byłby to prezent najgorszy z możliwych. Rozglądam się dookoła i nie mogę wymyślić nic odpowiedniego, ponieważ minęliśmy już wszystkie księgarnie. W końcu kupuję pierwszą rzecz, jaka przyciąga mój wzrok swoją urodą - pomarańcze, sewilskie pomarańcze, świeżo przywiezione, dojrzałe, przepiękne. Nie wiem, co Dan z nimi zrobi (nie umie gotować i nigdy nie umiał), ale wpadam na pomysł, że może zrobić z nich dżem - nauczę go robić dżem pomarańczowy. Teraz widzę, że musiałam być bardzo zdenerwowana, bynajmniej nie spokojna i racjonalna jak zawsze.

Kupuję kilogram pomarańczy i idziemy dalej; Tom wymachuje triceratopsem, ja torbą z pomarańczami. I wtedy, na jednym z ulicznych rogów, najgorszym, tuż przed rondem Highbury i Islington, przystaję. Patrzę na potężne ciężarówki i ogarnia mnie fala smutku tak głębokiego, że przez chwilę nie mogę ruszyć się z miejsca. Ten smutek atakuje mnie bez ostrzeżenia - nagle zaczynam bać się przyszłości, własnej

446

i mojego syna. Po prostu stoję tam jak wmurowana, pełna rozpacz i całkowicie bezsilna.

W końcu otrząsam się, wracam do równowagi. Tom łapie mnie za rękę i ruszamy dalej. Wchodzimy na ścieżkę, którą opisuje Dan, przecinającą Highbury Fields - jest to nieprzyjemna, zaniedbana część parku. Potykamy się na popękany asfalcie i o mało nie przewracamy, potrąceni przez dwóch chłopaków na deskorolkach, z których jeden wydaje okrzyk triumfu, najwyraźniej zachwycony swoimi umiejętnościami, wreszcie wychodzimy z parku, jeżeli w ogóle można nazwać to parkiem. Przed nami, trochę w lewo, widzę dom Dana i jego samego. Siedzi przy oknie na piętrze, widzę jego schyloną głowę. W pokoju pali się lampa, chyba taka mała, na biurku; światło widać tylko dlatego, że na dworze powoli się ściemnia, a na dodatek pada drobniutka mżawka. Żyjemy w porze wiecznego styczniowego zmroku, w każdym razie tak jest w Londynie.

Znowu biorę Toma za rękę. Właśnie dotarło do mnie, że nie uda nam się wyminąć tych chłopaków, którzy byli tu także w czasie mojej ostatniej wizyty - to oni obrzucali wyzwiskami Fanny i mnie. Moja córka nie boi się odpowiadać na obelgi; ja też miałabym ochotę powiedzieć parę słów prawdy tym obwiesiom, ale wiem, że to bardzo nierozsądne. Poza tym, teraz jest ze mną Tom, więc tym bardziej się boję. Ściskam rękę Toma i staram się na nich nie patrzeć, nie zaczepiać wzrokiem o twarze ukryte pod tymi okropnymi kapturami. Stosuję się do zasad kodeksu zachowania w niebezpiecznych sytuacjach na terenie miasta - nie patrzeć potencjalnemu agresorowi w oczy, udawać, że jest niewidzialny.

- Jeżeli coś powiedzą, nie odpowiadaj, Tom - szepczę. -Zignoruj ich...

Żałuję, że nie przykryłam głowy - nie chcę, żeby mnie rozpoznali. Idziemy dalej, jakby ich tam nie było, lecz w chwili, kiedy prawie ich wymijamy, poruszają się. Poruszają się w ten płynny sposób, jedyny w swoim rodzaju, jakby tworzyli

447

jeden organizm, jedno ciało, chociaż jest ich pięciu. Nie mówią nic do siebie, nie porozumiewają się żadnymi sygnałami, po prostu zagradzają nam drogę. Nie możemy ich ominąć, bo blokują chodnik na całej szerokości, a gdy schodzimy na jezdnię i próbujemy ich obejść, przesuwają się. Blokują nas. Przystajemy. Dwóch odrywa się od grupy i zajmuje pozycje za naszymi plecami. Źle zrobiliśmy, schodząc na jezdnię, to był błąd. Teraz zaganiają nas w kierunku bramy parku, a w parku jest już całkiem ciemno. Największy z całej piątki, ten, który nazywa się Malc - tak, teraz już wiem, jak ma na imię - wysuwa się naprzód.

- Dokąd? - rzuca.

Chłopcy z deskorolkami zniknęli. Zerkam w stronę otoczonego niskim płotem placzyku po naszej prawej. Nie widzę żadnych spacerowiczów ani rowerzystów. Ulica opustoszała, oświetlenie jest słabe. Mamrocę coś o znajomym, który na nas czeka. Wybuchają śmiechem, ryczą i klepią się, ja jednak wiem, że tak naprawdę wcale się nie śmieją, tylko manifestują swoją siłę. Wiedzą zresztą, dokąd idę i to chyba jeszcze pogarsza sytuację. Dwóch za naszymi plecami przysuwa się bliżej.

- Słuchajcie, śpieszy mi się - mówię. - Mogłabym przejść? Nie podoba im się to, co mówię. Nie podoba im się mój

głos i mój strój. Nie podoba im się mój syn i ja sama. Nienawidzą nas - czuję ogień tej nienawiści. Usiłuję spojrzeć przed siebie ponad ich głowami. Od domu Dana dzieli nas najwyżej dziesięć metrów, nadal widzę światło w jego oknie i jego pochyloną głowę. Koncentruję się i w myśli błagam, żeby wyrzął na ulicę, ale on dalej siedzi spokojnie. Wiem, że nie wolno mi dopuścić, aby wyczuli mój strach, bo to może mnie zgubić. Uważnie patrzę na trzech zakapturzonych drabów, którzy stoją przed nami. Czy są naćpani? Wyglądają groźnie, nawet bardzo groźnie, ale tylko trzech ma mocną, muskularną budowę; ci dwaj za nami to pewnie silni, ale chudzi chłopcy, czternastoletni, nie więcej. Nawet ich przywódca Malc

448

i stojący u jego boku uśmiechnięci dranie są bardzo młodzi. Żaden z nich nie ma więcej niż szesnaście, siedemnaście lat.

Gniewa mnie, złości, że boję się zwykłych chłopców, głupich nastoletnich bandziorów.

- Dajcie mi przejść, proszę - powtarzam, tym razem głośniej.

Tom i ja robimy krok do przodu. Poruszają się, wszyscy jednocześnie, jakby kierował nimi wspólny mechanizm. Jeden chwyta Toma, drugi mnie i zaczynają ciągnąć nas w stronę bramy parku. Krzyczę, Malc uderza mnie w twarz. Padam na ziemię. Upuszczam torebkę, z telefonem komórkowym w środku. Upuszczam pomarańcze, które rozsypują się dookoła.

- Co tam masz, szczawiku? - słyszę.

Tom wydaje cichy odgłos, chyba jęk. Zaczynam się podnosić, szukam ręką torby, żeby wyjąć telefon i wtedy czas zwalnia. Widzę, jak wyrywają Tomowi z ręki plastikowego dinozaura. Biały sportowy but depcze zabawkę i kopniakiem posyła ją w błoto.

Zaczynają rzucać między sobą mojego syna, mojego małego synka, podnoszą go i rzucają sobie z rąk do rąk. Z każdym rzutem coraz bardziej zbliżają się do ogrodzenia parku. Atakuję ich z telefonem w ręku, próbuję uderzyć, lecz mój cios ześlizguje się po kurtce. Nie mogę dosięgnąć Toma, nie jestem w stanie wyrwać go im.

- Bierz telefon, stary! - woła jeden z nich. - Ma telefon, zabierz go, łap...

Nie słyszę, zupełnie ogłuchłam. Czuję, że znowu krzyczę, ale nic nie słyszę.

- Puście go! - chrypię. - To tylko mały chłopiec, puście go! Pójdę z wami, jeżeli go puście...

Musiałam powiedzieć coś takiego, bo ten najstarszy, Malc, podchodzi do mnie, śmiejąc się, wypychając do przodu biodra i wymachując rękami.

- Nie mówiłem, stary? - ryczy. - Słyszeliście? Jest gotowa, błaga o to, pierdolona pizda, błaga!

449

Nie puszczają Toma, wykręcają mu jedną rękę do tyłu. Tom krzyczy z bólu. Jeden z nich przytrzymuje go ramieniem, przyciska je do klatki piersiowej mojego syna. Wloką nas oboje do parku, w ciemność. Tom usiłuje się wyrwać, zaciska ręce na palach ogrodzenia, ale oni szarpiają go, jest za słaby... I wtedy za nami rozlega się głos, którego nie rozpoznaję.

- Postawcie go na ziemi - mówi. - Postawcie go, już, bo was pozabijam, skurwiele!

Nieruchomieją. Zamierają w nienaturalnych pozycjach. Puszczają nas, Tom podbiega do mnie, potykając się. Obejmuję go mocno i zaczynam się cofać.

- Idźcie do domu, Julio - mówi głos. - Drzwi są otwarte.

Odwracam się i widzę Dana, Dana, którego z trudem poznaję. Dan trzyma coś w ręku. Podrywam się do biegu, ciągnąc za rękę Toma, wpycham syna do środka, daję mu telefon i mówię, żeby zadzwonił na policję, żeby zamknął drzwi na zasuwę i nikogo nie wpuszczał.

- Dzwon, dzwon, szybko! - powtarzam drżącymi wargami.

Tom zatrzaskuje drzwi, a ja biegnę z powrotem, biegnę jak szalona, bo już uświadomiłam sobie, co trzyma Dan.

Tamtych pięciu zbiło się w ciasną grupkę, stoją przyciśnięci plecami do ogrodzenia parku. Dan stoi przed nimi, w odległości najwyżej dwóch metrów. Trzyma w ręku strzelbę swojego ojca, trzyma ją pewnie, zupełnie naturalnie, setki razy widziałam go z tą strzelbą na polach, kiedy polował na króliki i gołębie. Dan był kiedyś doskonałym strzelcem, najlepszym w Wykenfield. Nie spuszcza oka z Malca i jego kumpli, trzyma palec na spuście. Zrobił coś z włosami, tak, ostrzygł je bardzo krótko, tuż przy skórze. Na szyi ma coś czarnego i połyskującego, twarz bladą i skupioną. Jest bez kurtki, tylko w białej koszuli. Na dworze jest zimno, ale on nie drży.

- Zrobimy sobie krótką lekcję ortografii, co wy na to? - odzywa się spokojnym tonem, jakby naprawdę chciał z nimi

450

porozmawiać. - Ty zaczynasz, Malc. Przeliteruj mi wyraz skurwiel.

- Facet, no... Kurwa, stary, nie rób sobie...

- Przeliteruj! Chyba że wolisz coś dłuższego, na przykład skurwysyn, popieprzeniec, pierdolnięty gówniarz... No?

Malc próbuje odchrząknąć, zerka w bok.

- Będziecie tak stać i nic nie zrobicie? - pyta. Nikt się nie porusza.

- Będziecie tak stać i pozwolicie mu... No, kurwa, gościu, nie wkurwiał się tak od razu, nie trzeba... Nie rób tego, kurwa...

- Wiecie, jak daleko dziś widzę, chłopcy? - odzywa się Dan. - Bardzo daleko, stąd do wieczności...

Lufa strzelby porusza się i jeden z chłopaków zaczyna się krztusić. To ten najmniejszy. Zgina się w pół i wymiotuje na chodnik.

- To był cytat, Malc - ciągnie Dan. - A właściwie tytuł powieści... Wiesz, co to są cytaty i tytuły? Nie za bardzo, co? No, nieważne... - przerywa, ściąga brwi. - A wiesz, co pocisk z tej strzelby może zrobić przy tak niedużej odległości? Może wyrwać taką dziurę w twojej klatce piersiowej, że właściwie nie będziesz już miał klatki piersiowej, serca, płuc ani żeber. Może też urwać ci łeb. I co ty na to, chłopcze? Jesteś gotowy na śmierć? Jesteś gotowy umrzeć w ciągu następnych dziesięciu sekund?

Cała krew w jednej chwili odpływa z twarzy Malca.

- Facet, spokojnie, dobra? - mówi rozdygotanym głosem. - Nie rób tego, kurwa... Kurwa, przecież nie chciałem zrobić nic złego... Chcieliśmy się tylko chwilę zabawić, kurwa, po co ci ta pukawka, kurwa... Ja pierdziele, gościu... Nie rób tego, popieprzony jesteś, czy jak... Daj sobie luzu, kurwa...

Chwila ciszy. Z oddali dobiega szum ulicznego ruchu. Dan leciutko przesuwając lufę.

- Kurwa mać... - krztusi się chłopak po prawej stronie Malca.

451

W kroczu Malca pojawia się plama, rozlewa się coraz szerzej. Malc osuwa się na kolana.

- Nie rób tego, gościu... - zaczyna błagać. - Kurwa, nie rób tego, mam dzieci! Mam dwoje dzieci, kurwa!

Niemożliwe, myślę, jest za młody. Ale to zwierzę na kolanach błaga i błaga, w kółko powtarza to samo, tylko coraz bardziej bełkotliwie i w końcu, w pewnym momencie tej przemowy, Dan opuszcza strzelbę.

- Ty głupi skurwysynu - mówi. - Ty tchórze... Ale z was dupki, nawet nie była nabita...

Ciska strzelbę na ziemię, słyszę trzask drewna i metalu. Dan stoi nieruchomo, czeka. Wciąż go widzę - stoi z lekko schyloną głową, z opuszczonymi rękami, w pozycji pełnej rezygnacji. Nie sędzę, aby był świadom mojej obecności, zresztą nawet gdyby wiedział, że tam jestem i tak niczego by to nie zmieniło. Czekał na to, co miało nadejść. I nadeszło. Po krótkiej chwili pełnego niedowierzania milczenia tamci się poruszyli, oczywiście wszyscy jednocześnie. Jeden schylił się, podniósł strzelbę, chwycił ją za lufę i zamachnął się. Kolba trafiła Dana w głowę. Potem rzucili się na

niego, otoczyli go ze wszystkich stron, straciłam go z oczu, bo wchłonęli go jak kula z jakiejś ciemnej substancji. Wszystko to działo się bardzo szybko. Zobaczyłam uniesione ramiona, błysk szkła albo metalu. Słyszałam tępe odgłosy ciosów, wycie syren, swój własny krzyk. Skoczyłam do przodu, rzuciłam się na nich, próbowałam chwytać ruchome cienie. Jeden z tych cieni uderzył mnie na odlew. Poleciałam do tyłu, poczułam szorstką powierzchnię chodnika pod policzkiem, a kiedy odzyskałam zdolność widzenia, na ziemi leżało coś, co oni kopali, jeden po drugim. Ostatniego kopniaka wymierzył ten najmniejszy, prosto w gardło. Zobaczyłam czerwoną plamę na nowym białym bucie firmy Nike.

Zaraz potem zamigotały światła policyjnych wozów, niebieskie i żółte. Usłyszałam tupot i już ich nie było, wtopili się w ciemność. Podczołgałam się do Dana, który leżał na plecach,

452

z otwartymi oczami. Dookoła było mnóstwo krwi. Krew na kolbie strzelby, krew na jego koszuli, jego białej koszuli, teraz zupełnie czerwonej. I krew na jego twarzy, zmienionej nie do poznania. Uniosłam jego głowę i położyłam ją sobie na kolanach. Chyba wiedział, że jestem przy nim, a przynajmniej, że nie jest sam. Potem popatrzył mi w oczy i dostrzegłam w jego spojrzeniu błysk rozpoznania. Poruszył wargami. Próbował powiedzieć jakieś słowo, zaczynające się na "D" albo "T".

Może chciał powiedzieć: "Tato..." - może w tamtej chwili widział Joego. Może chciał powiedzieć: "Dobrze...", żebym wiedziała, że sobie z tym poradzi, nawet z tym, tak, to możliwe. Mogło to być cokolwiek, jakiegokolwiek słowo, zaczynające się od "D" lub "T", ale Dan nie dokończył. Zakasłał, bardzo lekko, tak jakby chciał oczyścić gardło przed wygłoszeniem krótkiego przemówienia po uroczystym przyjęciu. Ten wysiłek, to krótkie odchrząknięcie wywołało krwotok. Z ust Dana popłynęła jasna krew. I to był koniec - już nie było żadnych więcej słów, żadnych prób. Jednak dalej patrzył na mnie, a ja podtrzymywałam jego głowę. Nie wiem, ile czasu minęło, ale w końcu podszedł do nas jeden z policjantów, przytknął rękę do szyi Dana i do jego piersi, wykonał jeszcze kilka tych gestów, jakie zwykle widuje się w takich sytuacjach na ekranie telewizora.

- Już nie żyje, kochana - powiedział do mnie. - Niech go pani nam zostawi. Zajmiemy się nim.

Tom wpuścił mnie do domu Dana i razem zaczekaliśmy na policję. Nie chciałam czekać w salonie na dole, bo tam straszyla popruta nożami kanapa, więc zaprowadziłam synka na górę, do pokoju, w którym widziałam Dana, kiedy szliśmy do niego. Lampka nadal się paliła. Na biurku rozsypane były naboje, które - nie

wiem, dlaczego - poukładałam w pudełku. Wtedy się zorientowałam, że dwóch brakuje.

Strzelba była jednak nabita. Policja potwierdziła to później.

453

Po co była Danowi nabita strzelba w Londynie, pytaliby. Wiedziałam po co, domyśliłam się. Nie było to trudne - na biurku leżały także wszystkie rodzinne pamiątki Dana, fotografie Ocean i tak dalej. A obok mała kartka z wiadomością, że Dan chciałby, aby te rzeczy dostał Tom.

Schowałam tę kartkę przed przyjściem policji. Na podłodze obok biurka stała płócienna torba - powiedziałam, że jest moja. Zanim przyszli, włożyłam do niej kartkę, pudełko z nabojami, pamiątki dla Toma i manuskrypt, te kartki, które Dan zamierzał przepuścić przez niszczarkę. Wierzę, że naprawdę chciał to zrobić i zrobiłby to - niszczarka stała na biurku, już włączona, plik kartek leżał obok, tylko ostatnia leżała na środku, tam, gdzie ją zostawił, gdy życie zakłóciło jego plan. Wyjrzał przez okno, zerwał się i wtedy jego długopis zrobił ten zygzak na papierze. Dan zorientował się, że jest inny sposób, że może umrzeć inaczej, lepiej. A ponieważ był gotowy, skorzystał z tej możliwości.

Rozdział Trzydziesty.

DOSTA.

Policja przesłuchiwała mnie trzy razy. Bezskutecznie próbowali wytropić źródło pochodzenia broni. Nie zdziwiło mnie to. Strzelba należała jeszcze do ojca Joego. Bardzo wątpię, aby sam Joe w ostatnich latach często jej używał albo żeby wyrobił sobie na nią pozwolenie. Strzelba była starannie wyczyszczona, naoliwiona i gotowa do strzału - musiał to zrobić Dan. Trzy razy powiedziałam policjantom, że to Malc trzymał ją w ręku. Poinformowali mnie, że mój syn powiedział im co innego. Mój syn ma dziewięć lat, odparłam. Był przerażony, nie mógł zapamiętać szczegółów. Malc miał przy sobie broń, doszło do bójki i Dan wyrwał mu strzelbę. Gdyby tego nie zrobił, nie składałabym teraz zeznań, powiedziałam.

Więc w jaki sposób napastnicy mu ją odebrali, dopytywali się policjanci. Dan nie był człowiekiem, który na co dzień miał styczność z bandytami, odparłam. Kiedy tamci

puścili Toma i mnie, uznał, że wszystko jest już w porządku. Nie zamierzał użyć broni, nie chciał nikogo skrzywdzić. Wiedział, że policja jest blisko, słyszeliśmy syreny. Próbował rozładować napięcie, zaczął wyjmować naboje, kiedy nagle oni rzucili się na niego...

Musiałam to powiedzieć, ponieważ znaleźli ślady amunicji na dłoniach Dana. Kiedy okłamuje się policję, która korzysta

455

z najnowocześniejszych technik, trzeba to robić mądrze i ostrożnie.

Nie pamiętam szczegółów, wszystko to wydarzyło się tak szybko, powiedziałam. Powtarzałam wam to już trzy razy. Musiałam patrzeć, jak mordują bezbronnego człowieka, pięciu na jednego. To był najbliższy przyjaciel mojego męża, ojciec chrzestny mojego syna. Zrobił błyskotliwą karierę, miał za sobą pasmo sukcesów, przed sobą także, miał po co żyć. Ocalił życie mojemu synowi i mnie. To dla mnie tragiczne przeżycie, jestem głęboko wstrząśnięta. Jeśli chcecie dalej mnie przesłuchiwać i dręczyć, zadzwonię po adwokata.

Mieli już Malca, złapali go. Zaraz potem schwytali jeszcze dwóch. Zidentyfikowałam ich przez szybę. Wszyscy trzej zaprzeczali sobie nawzajem, oskarżali się, wymyślali różne kłamstwa. Sąsiedzi, którzy wezwali policję i obserwowali całe zajście zza firanek, przedstawili sprzeczne, mało konkretne zeznania. W zależności od zeznającego, liczba napastników wahała się od pięciu do piętnastu; nie mogli zgodzić się co do wieku, wzrostu, koloru skóry i włosów bandytów, ani tym bardziej ubioru. Każdy świadek i uczestnik wydarzenia przedstawiał inną wersję.

Dobrze się przygotowałam. Kiedy w końcu, rok później, zostałam wezwana na świadka w czasie procesu, moja historia była nie do podważenia. Okazałam się spokojnym, spostrzegawczym, opanowanym, wręcz modelowym świadkiem - sędzia był pod wrażeniem i udzielił mi pochwały. Zależało mi, aby nie było żadnych odwołań od wyroku i żadnych okoliczności łagodzących, a jeśli do oskarżeń o zabójstwo można było dodać zarzut nielegalnego posiadania broni, to tym lepiej. Nie chciałam też, aby sedno sprawy przyćmiły sugestie działania w samoobronie, celowej prowokacji czy planowanego samobójstwa.

Malc, który miał dziewiętnaście lat, dostał dożywocie; mój prawnik poinformował mnie, że za dobre sprawowanie może wyjść po piętnastu latach, ewentualnie trochę wcześniej. Nie

456



podejrzewam, aby w przypadku Malca dobre sprawowanie w ogóle wchodziło w grę. Jego dwóch współników, szesnasto i siedemnastolatek, dostali cztery i pięć lat. Wyroki byłyby surowsze, gdyby udało się dowieść, kto wymierzał ciosy w czaszkę, kto pchnął Dana nożem w gardło i czy wszyscy w tym samym stopniu ponosili odpowiedzialność za śmierć ofiary. Pozostali dwaj, ci chudzielcy (tak czy inaczej najprawdopodobniej nieletni), nigdy nie zostali schwytani ani zidentyfikowani.

Sława bywa czasami użyteczna. Mogę powiedzieć, że w jakimś stopniu zdobyłam sławę, Dan także był dobrze znaną postacią. Dzięki temu sprawa jego śmierci natychmiast trafiła na pierwsze strony gazet i do wszystkich sieci telewizyjnych. Kiedy proces dobiegł końca, zabrałam się do pracy. Udzieliłam kilkudziesięciu wywiadów. Nie odmawiałam nikomu, od gazet i magazynów o zasięgu ogólnokrajowym, po lokalny dziennik "West Suffolk Gazette"; od kanału 1TN po najmniejsze lokalne stacje telewizyjne. Jestem profesjonalistką, więc dałam im wszystko, czego potrzebowali. Raz po raz posługiwałam się określeniem "bohater", a oni powtarzali je jak za panią matką.

Znam również siłę, jaka kryje się w zdjęciach, dlatego zadbałam, aby wszyscy dostali fotografię Dana takiego, jakim był, młodego, u szczytu swojej wyjątkowej męskiej urody. To zdjęcie zrobiłam w Opactwie tamtego ostatniego lata. Zatrzymałam je i zawsze miałam przy sobie. Przedstawia bosego Dana w dzinsach, stojącego na dziedzińcu, z odrzuconą do tyłu głową, opadającymi na czoło ciemnymi włosami, z błyskiem w ciemnych oczach. Dan wygląda na nim tak, jakby wybierał się na podbój świata. Chciałam, żeby ludzie zapamiętali go właśnie takim i udało mi się, teraz rzeczywiście zapamiętają takiego Dana. Fizyczne piękno i odwaga zawsze zapadają ludziom w pamięć, ponieważ prawdziwa uroda i odwaga trafiają się niezwykle rzadko.

457

Rzeczywista historia jest lepsza i świadczy o jeszcze większej odwadze, ale nie mogłam ryzykować - jest zbyt skomplikowana, a media nie radzą sobie z trudnymi, złożonymi opowieściami. Mam nadzieję, że Dan by to zaakceptował. Zrobiłam to dla niego, to coś w rodzaju ostatniej posługi.

Jestem pewna, że moje starania szczerze by go ubawiły. Dan był człowiekiem o subtelnym umyśle, wiedziałby, że w ten sposób oddałam mu cześć.

Wciąż myślę o tym ostatnim słowie, które próbował wypowiedzieć, kiedy trzymałam na kolanach jego głowę. Może faktycznie chciał powiedzieć: "Dobrze...", godząc się z losem, przyjmując ostatnie warunki, a może był to jego ostatni żart, kto wie... Może chciał przywołać swoją matkę Dorrie. W tamtych pierwszych dniach po jego śmierci

wiele bym dała, by zapytać Nicka, Finn albo jeszcze kogoś (kogo?), ale nie mogłam, bo Finn umierała, Fanny znowu gdzieś wyjechała i byłam w domu tylko z Tomem. I ostatecznie właśnie Tom podpowiedział mi rozwiązanie - odkryłam, że on i Dan byli sobie bliżsi, niż sądziłam. Tom uważał, że może chodzić o słowo z języka romskiego. Dan nauczył go kilku już prawie nieużywanych, sekretnych słów, przekazał mu także i takie pamiątki po Ocean, na przykład słowo "dya" - matka. No i słowo "dosta".

Obrzuciłam Toma uważnym spojrzeniem. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, zasłanym pamiątkami po Danie, jego talizmanami, tymi, które odziedziczył Tom. Była tam kryształowa kula Belli, karty tarota, zdjęcia i dyplomy Joego, i dziwny malutki talizman Ocean, który Dan miał na szyi, kiedy wyszedł z domu ze strzelbą. Poprosiłam policjantów, żeby mi go oddali. Zmyłam z niego krew. Tom oglądał te rzeczy bez końca, z wielką przyjemnością.

- Co znaczy: "dosta"? - zapytałam.

- "Dosta" znaczy "dosyć" - odparł Tom. - Dosta... Dan często to powtarzał.

458

Dosta, powiedziałam sobie kilka tygodni później, stojąc na brzegu Nun Wood. Zakwitły już pierwiosniki. Nigdy nie słyszałam, aby Dan używał tego słowa, ale zaufałam synowi. Z pomocą Hectora McIvera i mojego męża pogrzebałam prochy Dana na polance, którą opisał. Chciałam, by spoczął blisko Joego, nie zamierzałam pozwolić, aby rozsypano go w jakimś ogrodzie przy krematorium. Prosiłam Lucasa, żeby przyjechał, ale nie chciał.

Dosta, powiedziałam i pożegnałam się z Hectorem, który wracał do wioski. Podobno miał kupca na domek Nunnów, a także spotkanie z dyrekcją syndykatu, o którym pisał Dan; nadszedł czas, aby Hector złożył podpis na wykropkowanej linii.

- Dokąd się przeprowadzicie? - zapytałam. Spojrzał na dolinę i zmarszczył brwi.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy - odparł. - Może do Szkocji... Matka zawsze tęskniła za swoim krajem...

Nick i ja wróciliśmy do Opactwa. Finn nie chciała leżeć w łóżku, więc Nick, niewolniczo posłuszny każdemu jej życzeniu, urządził jej pokój w kaplicy. Kiedy weszliśmy, odpoczywała na kanapie, obok stolika z kobrą na którym Dziadzius zawsze stawiał swoją wieczorną szklaneczkę whisky. Teraz na blacie piętrzył się stos książek, chociaż Finn szybko traciła wzrok i chyba nie mogła już czytać.

Nie było nas najwyżej piętnaście minut, lecz w tym krótkim czasie w twarzy Finn zaszła wyraźna zmiana. Dostrzegliśmy ją natychmiast, obydwój. Jej oczy były

zwrócone ku oknu. Na zewnątrz był ciepły wiosenny dzień; słońce padało na podłogę i rozświetlało jasne włosy mojej siostry. Jej oczy, te prawie niewidzące oczy, z wielką tęsknotą wpatrywały się w pasmo słonecznego blasku.

Wiedziała, że Finn nie chce umierać. Nie była zrezygnowana, aż do tego ranka ze wszystkich sił walczyła ze śmiercią a siła Finn i jej upór zawsze były ogromne.

459

- Ach, dobry Boże... - cicho powiedział Nick, kiedy zobaczył jej twarz.

Podszedł do niej, uklęknął i wziął ją za rękę. Przytulił twarz do jej szyi i wtedy Finn poruszyła się lekko, leciutko. Nick mówił do niej, mówił jakieś ostatnie słowa, wylewał z siebie poczucie winy, żal i błagania, przeznaczone wyłącznie dla jej uszu.

W tym momencie żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z mojej obecności. Wiedziała o tym, wydawało mi się jednak, że powinnam zostawić ich samych. Zostawiłam więc mego męża i moją siostrę, zesłam na dół i wysłam na dziedziniec.

Tamtego dnia nie byłam cesarzową mody, Dan, ani suką alfa. Nie jestem i nigdy nie byłam kobietą, którą widziałeś, ale teraz nie ma to już znaczenia. Ty miałeś swoją wersję, ja mam swoją. Nie zamierzam się z tobą spierać.

Po pewnym czasie Nick wyszedł do mnie i z jego twarzy wyczytałam, że Finn odeszła. Nie dane mi było porozmawiać z nią ostatni raz. Objęłam Nicka i pozwoliłam mu płakać. Teraz jestem sama, pomyślałam. Jestem ostatnią z sióstr. Dostaniesz wszystko, czego pragnie twoje serce, panienko Julio, przepowiedziała Bella w moje szesnaste urodziny. Tyle że nie powiedziała mi, czy zatrzymam to "wszystko", czy nie. Cóż, Bella nigdy mnie nie lubiła, a ja zawsze podejrzewałam, że jej przepowiednie wprowadzają w błąd. Większość jej wróżb miała podwójne znaczenie. Same róże dla ciebie, mój skarbie, powiedziała tamtego dnia Maisie, wskazując szczęśliwy krzyż na jej dłoni. I w pewnym podwójnym sensie okazało się to prawdą. Lekarze i opiekujące się Maisie zakonnice twierdzą, że nic nie wskazuje na to, aby była niezadowolona ze swego losu. Siostry mówią, że w milczeniu odnalazła szczęście.

Finn chciała mieć cichy pogrzeb. Spełniłszy jej życzenie. Jej prochy spoczęły obok Dziadziusia i naszego ojca, w kościele

460

w Wykenfield. Stella przyjechała na pogrzeb razem z tym swoim malarzem, z którym mieszka w Kornwalii. Facet marnie maluje i rzadko się odzywa, ale jest

całkowicie oddany Stelli, za co jestem mu szczerze wdzięczna.

Moja matka szlochała, lecz szybko uciekła od cierpienia w rozmaite plany i projekty, jak to ona. Co stanie się teraz z Opactwem, pytała. Co zrobimy z majątkiem? Czy przypadkiem Nick i ja nie myślimy, aby się tu przeprowadzić? Z Opactwem łączą się smutne wspomnienia, ale też mnóstwo pogodnych i szczęśliwych, prawda? I Stella zajęła się przerabianiem przeszłości na własną modłę: czy pamiętam tamto wydarzenie, tamten piknik, tamte urodziny, dzień, kiedy Dziadzius zrobił to, a Maisie powiedziała tamto... Czy pamiętam te cudowne lata, które tutaj trwały naprawdę bez końca...

Zauważyłam wyraz na twarzy Nicka, kiedy Stella robiła te wszystkie uwagi.

- Nie martw się - powiedziałam, gdy matka i jej ukochany w końcu odjechali. - Nie snuję planów, aby zamieszkać z tobą gdziekolwiek, a już z pewnością nie tutaj. Jeżeli zechcesz wrócić do mnie i do dzieci, to ty, i tylko ty, podejmiesz tę decyzję. Jeśli zdecydujesz, że tego właśnie pragniesz, chętnie z tobą o tym porozmawiam. A co do Opactwa, to już wiem, co z nim zrobię. Planowałam to od pewnego czasu. Ktoś w tej rodzinie musi być praktyczny.

- Jesteś strasznie twarda - powiedział Nick i na jego twarzy zobaczyłam niesmak. - Zawsze taka byłaś? Kiedy taka się stałaś, Julio?

Mogłam się odciąć, i to ostro. Niedługo po naszym ślubie, mogłam odpowiedzieć. Mniej więcej wtedy, kiedy uświadomiłam sobie, że mój wspaniały, pochłonięty wzniosłymi myślami mąż wcale mnie nie kocha. Mniej więcej wtedy, gdy dotarło do mnie, że pożąda mnie i głęboko wstydzi się tego pożądanego. Kiedy zdałam sobie sprawę, że ani mnie nie szanuje, ani nie zna. Albo później, niedawno, gdy odkryłam, że przez

461

dwadzieścia lat tylko zastępowałam moją siostrę, że byłam czymś w rodzaju substytutu... Tak, to były odpowiednie chwile na utwardzenie serca, Nick.

Nie byłam jednak pewna, czy byłaby to prawda. Może Nick ma rację, może rzeczywiście jestem twarda i zawsze taka byłam... I co wtedy? Kogo miałabym obarczyć winą, jeśli nie mogłabym przypisać jej Nickowi? Mojego ojca, ponieważ zmarł? Moją matkę, która zawsze była niepraktyczna do bólu i rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto stanąłby między nią i światem, co odkryłam na długo przed naszym przyjazdem do Opactwa? Moje siostry? Maisie, która nie z własnej winy rozdarła naszą rodzinę i zniszczyła ją? Czy może Finn, która uciekła na odległy kontynent, harowała jak wół i zostawiła po sobie bardzo dużo, niewyobrażalnie dużo

dobrych uczynków? Upartą, nieustępliwą Finn, która nigdy nie zrezygnowała z władzy, jaką miała nad moim mężem?

A może powinnam winić swoje geny - w mojej rodzinie występuje spore stężenie genu egoizmu... Nieważne. Nie chcę winić nikogo poza sobą. Mam na imię Julia i jestem taką osobą, jaką uczyniły ze mnie okoliczności i moja własna wola.

Dlatego nie zareagowałam na oskarżenie Nicka. Stałam tam i myślałam o przeszłości. Wyszłam za Nicka, bo zachwyciło mnie jego poświęcenie się wyższym celom. Ten zachwyt kompletnie mnie zaślepił. Myślałam o wielu okazjach, kiedy Nick pracował do białego rana, a ja ani razu nie zwątpiłam, że rzeczywiście jest z pacjentami, którym był tak bezgranicznie oddany. Myślałam o wielu okazjach, kiedy twierdził, że musi jechać na jakąś zagraniczną konferencję, a mnie ani razu nie przyszło do głowy, że te nieobecności zapewniają mu pretekst do spotkań z Finn, namiętnych spotkań, które trwały po dwa, trzy dni i podsycaly płomień jego obsesji, aby nigdy nie zgasł. Myślałam o kryzysie w ich romansie, który pojawił się, kiedy byłam w drugiej ciąży i, niczego nieświadoma, niewinna i naiwna, zadzwoniłam do Finn z prośbą, aby została chrzestną matką naszego dziecka.

462

- Znowu jesteś w ciąży? - zapytała Finn po długiej chwili milczenia.

Wcześniej usłyszałam, jak gwałtownie wciągnęła powietrze. Teraz rozumiem; ciekawe, co powiedział jej Nick. Czy ją oszukiwał, wmawiając, że ze mną nie sypia? Jestem tego prawie pewna. Nigdy nie było to prawdą - nie wiem, co takiego dają z siebie w łóżku, ale Nick zawsze tego pragnął. Finn ukarała go wtedy z całą surowością: wyjechała za granicę i złagodziła wyrok chyba dopiero po dwóch, może nawet trzech latach. Mogę pokusić się o te wyliczenia, bo przez pierwsze dwa lata życia Toma Nick i ja byliśmy sobie tak bliscy, jak nigdy wcześniej ani później.

Nie potrafię zrozumieć mojej siostry. Nie wiem, jak czyste czy nieczyste były motywy jej postępowania. Oszczędziła Dana, ale nie oszczędziła mnie. I w końcu, kiedy Tom miał mniej więcej trzy lata, musiała znowu nawiązać kontakt z Nickiem. Finn ustąpiła, mój mąż pobiegł do niej jak po sznurku. Później nawet ja zaczęłam się orientować, że w moim małżeństwie dzieje się coś złego; nawet ja zaczęłam podejrzewać, że jego poświęcenie wyższym celom nie wyklucza romansu. Nawet ja zaczęłam się zastanawiać, czy jego częste wyjazdy, oznaki zniecierpliwienia i irytacji nie wynikają przypadkiem ze związku z inną.

- Masz romans? - zapytałam go kiedyś. - Masz jakąś kobietę?

Popatrzył na mnie w milczeniu, tym osądającym spojrzeniem, które już dawno

znieawidziałam.

- Nie, Julio - odparł. - Nie mam i nigdy nie miałem "jakiejś kobiety"...

Ciekawe rozróżnienie.

Teraz spojrzałam na niego uważnie - był blady jak ściana, prawie nieprzytomny z rozpaczy, niezdolny myśleć o nikim i niczym poza Finn. Nie widział mnie, bo zawsze nakładał na mnie obraz mojej siostry. Nie on jeden robił takie rzeczy... Dotarło do mnie, że nie mam ochoty klócić się z nim ani

463

go oskarżać. Jeżeli uważa mnie za twardą, to niech tak zostanie.

Parę godzin później wyjechał do Londynu, do naszego domu. Nasza przyszłość pozostała w stanie zawieszenia, nieomówiona. Uzgodniliśmy, że najbliższy tydzień spędzi w Londynie, z naszymi dziećmi, a ja zostanę tutaj. Rozdzieleni, spróbujemy podjąć decyzję, co dalej z nami będzie. Patrzyłam, jak odjeżdżał. Po raz pierwszy od wielu lat zostałam zupełnie sama w Opactwie.

Od kilku dni utrzymuje się niezwykle ciepła, łagodna pogoda. Pierwszy raz od dwudziestu lat mogę chodzić spać, kiedy mi się podoba, wstawać, kiedy przyjdzie mi na to chęć, jeść albo nie jeść... Nie mam męża ani dzieci, nie muszę się nimi zajmować ani o nich martwić, nie mam żadnych umówionych spotkań. Nie czeka na mnie żaden zespół programu telewizyjnego, nie mam wywiadów ani zdjęć. Nie muszę wkładać maski, jaką zwykle noszę. W Opactwie nie ma telewizora, nigdy nie było. Starożytne radio przestało działać. Nikt poza moją rodziną nie wie, że tu jestem; nikt nie przynosi mi gazet. Jestem odcięta od świata, od wszystkich wiadomości o dalekiej wojnie. Jestem wolna, mam czas na przemyślenie wielu spraw. Na ponowne przeczytanie sporządzonego przez Dana opisu tamtego ostatniego lata, na zastanowienie się nad jego interpretacją wydarzeń. Wydarzeń, które ja widzę zupełnie inaczej.

Poszłam na strych, do pokoju, który Dan malował tamtego dnia, i odnalazłam cienie naszej obecności. Minęło tyle lat, a ja wciąż czułam siłę jego seksualności. Dan nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest atrakcyjny i jakie wrażenie robi na kobietach. Nie skończył malować tego pokoju, widzę białą linię, miejsce, gdzie przerwał, odłożył pędzel i zszedł ze mną do biblioteki. Z tego okna widział Maisie, wracającą z psiego cmentarza - ostatni raz naprawdę żywą. Później Maisie poszła na dziedziniec, a potem zniknęła na półtorej godziny. Już nigdy

464

się nie dowiem, dokąd wtedy poszła i po co. Na terenie Opactwa można znaleźć tysiąc kryjówek, dobrze o tym wiem.

Ruszyłam do refektarza. Policzyłam w myśli, ile razy spałam tu z Lucasem. Pięć, może sześć, nie więcej. Lucas wolał przychodzić do domu, wślizgiwać się do mojego pokoju wczesnym rankiem, kiedy reszta rodziny była na dole. Nie zostawał długo, był marnym, pośpiesznym kochankiem. Aby poczuć podniecenie, potrzebował dodatkowego bodźca, na przykład zagrożenia, że zostaniemy przyłapani na gorącym uczynku. Zawsze odnosiłam wrażenie, że seks wcale go tak naprawdę nie interesował. Seks był dla Lucasa tylko środkiem do osiągnięcia pewnego celu. Przede wszystkim zależało mu na tym, aby obserwować nas, trzy siostry - bez obserwacji nie namalowałby portretu. Dlatego do każdej z nas szukał innego dojścia, bardzo sprytnie: do Maisie przez historie, jakie mu opowiadała, do mnie przez seks, a Finn po prostu obserwował. Niedługo po ślubie doszedł do wniosku, że już się napatrzył i że Finn nie jest już dla niego cennym materiałem, niezbędnym tworzywem twórczym. Lucas nie umiał zbyt długo koncentrować się na jednym obiekcie. Jego spojrzenie było skupione, intensywne, badawcze, wszechogarniające, ale kiedy już zobaczył to, co było mu potrzebne, natychmiast tracił zainteresowanie. Nie zaskoczyło mnie, że zgodził się wziąć ślub z Finn - małżeństwo nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, lecz dało mu możliwość poobserwowania jej trochę dłużej.

Wszystkie te rysunki, przedstawiające Finn... Podobnie jak Dan, nie sądziłam, że jest ich tak dużo. Jednak Dan mylił się co do "Finn ostatniej" ... Tego portretu Lucas nie narysował zaraz po ślubie, ale w szpitalu Addenbrooke w Cambridge, chyba dwa dni po narodzinach jej martwego synka. Byłam z nią wtedy, pamiętam wyraz jej oczu, pamiętam głębię jej rozpacz. Nie przyszło mi do głowy, że Lucas zapamiętuje wszystkie szczegóły, że wyszedł do poczekalni, aby przenieść twarz Finn na papier.

465

W refektarzu wciąż unosi się lekki, niemożliwy do usunięcia, mdlący zapach terpentyny. Stojąc tam i wracając myślami do chwili, kiedy Lucas odsłonił swoje wielkie dzieło, pomyślałam, że Dan pomylił się również co do "Sióstr Mortland". Nie wierzę, aby Lucas umieścił na portrecie symbole zmarłych i aby te zmiany zainspirowane zostały czymś, co powiedziała Maisie. Lucasa nie interesowali zmarli, lecz my, trzy dziewczęta, trzy prawie kobiety. Namalował nas jako postacie archetypiczne - Martę i Marię, kusicielkę i dziewicę, a obok nas Maisie, kobietę dziecko, na wieki uwięzioną między tamtymi dwoma biegunami. Wydaje mi się, że najbardziej pociągało go nasze fizyczne podobieństwo. Finn i ja byłyśmy do siebie podobne jak bliźniaczki; Maisie przypominała nas obie, oczywiście w miniaturze. To podobieństwo sprawia, że na portrecie Lucasa Finn i ja możemy być sobą oraz

swoimi przeciwieństwami, a na dodatek zamieniać się rolami. Jesteśmy kobietami i dzierzymy w dłoniach tradycyjne kobiece cechy - miłość, seks, troskę, czułość i groźbę. Tak naprawdę nieważne, kim jesteśmy, Julią, Finn czy Maisie - istotne jest to, że jesteśmy kobietami, wieczną kobiecością. Geniusz obrazu Lucasa, a nie da się zaprzeczyć, że jest to obraz wybitny, bierze się ze zdolności wnikliwego postrzegania artysty.

Wróciłam do Opactwa, do kaplicy. Stałam przy środkowym oknie - był łagodny, przyjemny wieczór. Powietrze pachniało budzącą się do życia ziemią. Długo opierałam się pokusie, ale w końcu ulegałam i podeszłam do ruchomego panelu.

Przesunęłam go. Poczulałam odór spleśniałej wilgoci i zajrzałam do środka, w ciemność. Bardzo pragnęłam wtedy Dana. Tamten akt fizycznej miłości był najlepszy w całym moim życiu. Każda kobieta doświadcza czegoś takiego, oczywiście jeżeli ma szczęście. Czasami zwierza się z tego innej kobiecie, ale raczej nigdy mężczyźnie. Ponieważ w ogóle nie lubię zwierzeń, nie powiedziałam o tym nikomu. Jednak teraz Dan nie żyje i mogę powiedzieć to, czego nie potrafiłam powiedzieć mu

466

za życia. Większość stosunków fizycznych nie ma nic wspólnego z czystością, Dan. Zwykle są tak uwikłane w sieć trywialnych spraw, zepsute nieistotnymi rzeczami, przyzwyczajeniami, unikami, nieudolnością i niepewnością (na przykład pytaniem, czy to miłość), że nie można uznać ich za czyste. Ale tamte chwile były czyste. Było to coś niezwykłego. Wspominając tamto popołudnie, w tym miejscu, gdzie tak dotkliwie czułam twoją obecność i nieobecność, długo płakałam za tobą i nad tobą.

Kiedy byłam już prawie na dnie, do równowagi przywrócił mnie telefon od zakonnicy, matki przełożonej domu opieki, w którym znajduje się Maisie.

Napisałam do matki przełożonej kilka tygodni wcześniej, jeszcze przed śmiercią Finn i moim przyjazdem do Opactwa. Dwa dni po jej telefonie, pod koniec mojego tygodnia osamotnienia, przyjechała do mnie swoim małym, zgrabnym, szybkim nissanem. Byłam już dużo spokojniejsza i gotowa na to spotkanie.

Jestem osobą nie tylko sławną, ale i bogatą. Pieniądze nie przedstawiają dla mnie wielkiej wartości, ale je mam. Jestem dobra w zarabianiu czy też wytwarzaniu pieniędzy, a ludzie, których zatrudniam, księgowi, brokerzy i tak dalej, są dobrzy w ich pomnażaniu. Niedawno wpadałam na pomysł, na jaki cel przeznaczyć część mojego majątku. Zakonnice Maisie przez ponad rok szukały budynku, do którego mogłyby przenieść swój dom opieki i inne przedsięwzięcia, ponieważ z obecnego już dawno "wyrosły". Finn zawsze była przeciwna sprzedaży Opactwa, chciała zachować



je jako coś w rodzaju muzeum czy pomnika. Fakt, że dom powoli obracał się w ruinę, raczej jej nie interesował, natomiast niepokoił mnie. Teraz doszłam do wniosku, że Opactwo, oczywiście ze sporą kwotą na remont i prace adaptacyjne, wreszcie może się komuś przydać. Wiedziałam, że matka przełożona, kobieta energiczna i naprawdę imponująca, Irlandka z pochodzenia,

467

od razu mi powie, czy Opactwo nadaje się dla jej zgromadzenia.

Ugotowałam dla niej lunch, bardzo się starałam. Potem poszliśmy na przechadzkę do ogrodu i na dziedziniec. Matka przełożona przyjechała przygotowana jak na egzamin - znała historię Opactwa lepiej ode mnie. Nie zdziwiło mnie to. Jest drobną kobietą tuż po sześćdziesiątce, szybko się porusza i szybko myśli. Nie ma w niej cienia taniego sentymentalizmu i to jest wspaniałe. Pokazałam, jakie prace zapoczątkowałam w ciągu ubiegłego roku - naprawę dachu, okien, rynien, i tak dalej. Z aprobatą kiwała głową, ale znacznie większą uwagę zwróciła na inne sprawy.

Strych bardzo jej się podobał, kuchnia także. W jadalni obejrzała sztuczny sufit (dzieło Dziadziusia) i powiedziała, że trzeba go będzie usunąć. Zaprowadziłam ją na pierwsze piętro, do dawnej kaplicy, wyjaśniłam, że ołtarz znajdował się na miejscu kominka. Pokazałam przesuwany panel, ale cofnęła się gwałtownie i kazała mi go zamknąć. Wspomniałam o judaszu; spojrzała w wysoki, ciemny róg, gdzie ukryte jest to urządzenie, praktycznie niewidoczne z dołu, i oświadczyła, że już je zauważyła, a wcześniej czytała o nim. Najwyraźniej nie wzbudziło jej zainteresowania.

Później podeszła do okien. Jej twarz przybrała wyraz wielkiego skupienia. Chwilę stała przy pierwszym, potem przy drugim i trzecim. Wróciła do środkowego, otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz. W oddali widać było Nun Wood, wioskę i dolinę.

- Ach, tak, rozumiem... - powiedziała i przeżegnała się.

Odwróciła się do mnie i z uśmiechem oznajmiła, że jeśli odpowiednie warunki zostaną spełnione, a muszę pamiętać, że jej zgromadzenie jest ubogie, uzależnione od hojności osób zamożnych, to ten budynek będzie doskonałym miejscem dla jej sióstr oraz podopiecznych.

Znowu wyszliśmy na zewnątrz - podałam podwieczorek na dziedzińcu. Targowała się jak wytrawna handlarka albo doświadczony bankier,

468

ta moja matka przełożona. Wreszcie, wyciągnąwszy ze mnie obietnicę donacji

dwukrotnie wyższej od tej, jaką zamierzałam przekazać jej zgromadzeniu, wdzięcznie przyjęła Opactwo wraz z przynależnym terenem i odjechała zgrabnym, szybkim nissanem, bardzo zadowolona.

Pomachałam jej z podjazdu. W czasie wizyty, kiedy stała przy środkowym oknie, a ja myślałam o Danie, który tam właśnie się urodził i którego matka tam właśnie umarła, wpadłam na pewien pomysł.

Wróciłam do biblioteki. Uważnie przyjrzałam się półkom. Wyciągnęłam zapleśniałe pudła, w których Dziadzius przechowywał pamiątki po moim ojcu. Znalazłam wojenne odznaczenia ojca i skrzydła RAFu, które nosił na mundurze. Znalazłam jego listy do Dziadziusia, wycinki z gazet, doniesienia wojenne oraz szczegółowe informacje o jego dywizjonie. I dokumentację medyczną - to smutna lektura, która na dodatek budzi uśpione lęki.

Nie znalazłam nic więcej. W pudłach nie było tego, czego szukałam.

Siedziałam na podłodze, w powoli słabnącym świetle dnia i myślałam o tym, co powiedziała Finn, zgodnie z zapiskami Dana. Sama prawie nie pamiętałam już tamtej rozmowy, ale bardzo wyraźnie słyszałam głosy zmarłych. Myślałam o Danie, który nie zrozumiał mnie tamtego dnia - moja uwaga o głupocie tych, którzy kochają, nie została wypowiedziana pod jego adresem ani pod adresem mojej siostry. Myślałam o przekonaniu Finn, że jeśli Maisie napisała ostatni list, to napisała go do zmarłych, do swoich zakonnic albo do ojca. Dan nazwał to pisaniem listów miłosnych do zmarłych. Dopiero teraz doskonale rozumiem, co miał na myśli.

Za moimi plecami, na najniższych półkach, leżały albumy z rodzinnymi zdjęciami, a wśród nich te drogie, oprawne w skórę, ze złoceniami, do których zakupu Maisie skłoniła Dziadziusia, kiedy miała osiem czy dziewięć lat. Tamtego

469

ostatniego lata miała prawdziwą obsesję na punkcie albumów. Całymi godzinami wklejała do nich stare fotografie Taty i nawet jego listy do Stelli, listy, które znalazła i wyciągnęła z szuflady z bielizną, gdzie przechowywała je nasza matka. Maisie zawsze była zdolnym małym szpiegiem.

Zdjęłam z półki cztery albumy, które na prośbę mojej najmłodszej siostry kupił Dziadzius. Pamiętnik Maisie był ukryty w trzecim.

Rozdział Trzydziesty Pierwszy.

## ODCZYTYWANIE MILCZENIA.

Przeczytałam ten pamiętnik, ten dziennik, z wielką uwagą i starannością, tak, jak pisała go Maisie. Porównałam jej opis naszego ostatniego lata z opisem Dana i szybko dostrzegłam punkty, w których okazały się zbieżne. Podobieństwa te rzuciły mi się w oczy od razu, w dość niepokojący sposób.

Nie byłam pewna, czy to właśnie jest ta ostatnia wiadomość, list samobójczyny, którego szukał Dan, ponieważ nic na to nie wskazywało aż do ostatnich stron. Nie chciałam też odczytywać pamiętnika pod tylko jednym kątem, chociaż podejrzewam, że moja najmłodsza siostra właśnie tego by sobie życzyła. Znałam jej skłonności do narzucania swojej woli innym, znałam też jej opinie na temat opowiadania historii, zresztą Maisie dała im wyraz w pamiętniku.

Od nowa przeżyłam ostatnią wizytę, jaką złożyliśmy w Elde, obserwowałam, jak siadamy do stołu i jak Maisie wychodzi do ogrodu z Edmundem, zgodnie z ustalonym kilka lat wcześniej rytuałem. Teraz patrzyłam na to nowymi oczami. Jakaś część mnie, wstrząśniętej, przerażonej i rozgniewanej Julii, poddała się narracyjnemu kuszeniu Maisie. Łatwo byłoby obarczyć Edmunda winą za wszystko, co zdarzyło się po tej wizycie. Łatwo byłoby powiedzieć: "Oczywiście, to dlatego skoczyła - nie mogła dłużej żyć z tą ohydą tajemnicą..." Ale czy było tak naprawdę? Nie jestem do końca pewna, nie teraz, kiedy już trochę się uspokoiłam. Ton Maisie bynajmniej

471

nie zachęca do przyjęcia takiego punktu widzenia. Opisała w pamiętniku zdarzenie, które miało miejsce dwa tygodnie przed dniem, kiedy poszła do kaplicy i otworzyła okno. I nie było to pierwsze takie zdarzenie - Maisie mówi to bardzo wyraźnie. Więc czy rzeczywiście to było przyczyną? Czy opowieść Maisie odpowiada na wszystkie pytania, jakie stawiał Dan, jakie wszyscy stawialiśmy? Czy dlatego skoczyła? Czy to był przełomowy moment tamtego lata, dzień, od którego wszystko zaczęło się układać źle?

Aż zbyt dokładnie widzę szkody, jakie Edmund mógł wyrządzić swoimi czynami i słowami. Słowami także, nie należy tracić tego z oczu. Wszyscy tak bardzo staraliśmy się chronić Maisie przed wiedzą o chorobie ojca, tak starannie udawaliśmy, że chociaż nie może chodzić do szkoły, chociaż ciągle musi odwiedzać lekarzy, znosić badania i leczenie, to jednak pod żadnym względem nie jest nienormalna, ale, jak lubiła powtarzać Stella, "wyjątkowa" i "inna". Tak, zdaję sobie

sprawę, co mogło się stać, kiedy ktoś pozbawił ją tych złudzeń. Edmund pokazał jej inną Maisie i to odkrycie musiało sprawić jej ogromny ból. Nie dość na tym, parę dni później Lucas uczynił coś, w gruncie rzeczy, podobnego, zapraszając nas wszystkich na odsłonięcie obrazu. Doskonale pamiętam wyraz twarzy, z jakim moja mała siostra patrzyła na uwiecznioną na płótnie Maisie, na Maisie jeszcze pomniejszoną, nienaturalnie maleńką wciśniętą między dwie starsze dziewczyny, z dziecinnymi nożyczkami w ręku, nożyczkami, które mogły stać się narzędziem autodestrukcji lub bronią.

Tego epizodu Maisie nie opisała. Ukryła go w okresie milczenia, w luce między wizytą w Elde i samobójczą próbą, w tych dwóch tygodniach i pięciu dniach, których postanowiła nie dokumentować. Kiedy drugi raz przeczytałam pamiętnik, wszystko, czego byłam pewna, rozwiało się jak dym. Tam, gdzie wcześniej widziałam przypadkowe powiązania, teraz dostrzegłam celowość. Dlaczego zaczęła swoją historię w takiej chwili, a zakończyła ją w innej? Dlaczego zaczęła

472

od spotkania z Lucasem, w czasie którego bawi go swoją opowieścią, a zakończyła opisem snu, snu o naszym ojcu? Wpatrywałam się w te wszystkie słowa, słowa, słowa i powoli zaczęło docierać do mnie, że muszę odczytywać raczej milczenie niż opisy, podobnie jak było to ze spisana przez Dana historią jego ostatnich dwunastu dni. Ale jak odczytuje się milczenie?

Maisie napisała, że jej tajemnica pozostanie nienaruszona i powiedziała prawdę. Nie wiem, dlaczego skoczyła, podobnie jak nie wiem i nie zgadnę, co zobaczyła w kryształowej kuli Belli, czy też może wmówiła sobie, że zobaczyła. Co ja sama wtedy zobaczyłam? Nic, co dałoby się zapamiętać jako konkret, tylko jakąś mgiełkę, błysk na szkle, odbicia; miałam uczucie, że w tym zwyczajnym pomieszczeniu dzieje się coś niezwykłego, że nagle znalazłam się w innym miejscu. Druga będzie pierwszą, powiedziała Bella do Finn i oczywiście Finn, druga siostra, jako pierwsza z nas zakochała się, zaszła w ciążę i umarła... Jednak ja zawsze odrzucałam wiarę w takie zbiegi okoliczności. Bella była sprytna, podobnie jak wszystkie wróżki. Bardzo się starała, aby jej tak zwane przepowiednie były wieloznaczne i niejasne, bo wtedy pasowały do wszystkich możliwych wersji przyszłości. Jeżeli ktoś chce zarabiać na życie przepowiadaniem wydarzeń, musi być elastyczny i przyprawiać swoje wróżby odpowiednią dozą dramaturgii.

Widzę poświęcenie, powiedziała Bella. Zapomniałam o tej części przepowiedni, dopiero historia Maisie przywołała wyraźny obraz dusznego, zagraconego pomieszczenia, okropnego podwieczorku, onieśmiałego i skrepowanego Dana oraz

złośliwego uśmiechu Belli. Czy słowa o poświęceniu miały jakieś ukryte znaczenie? Ja go nie widzę. Myślę, że była to po prostu jeszcze jedna piosenka ze stałego repertuaru Belli, nic więcej.

Maisie spisała swój pamiętnik w błękitnym notatniku. Zważyłam go w ręce. Podeszłam do okien w kaplicy i wyjrzałam.

473

Położyłam palce w rowkach po pociskach, które opisał Dan. Otworzyłam środkowe okno, jak Maisie, i głęboko odetchnęłam cudownym wieczornym powietrzem. I wtedy coś szarpnęło moim sercem - wszystkie te tajemnice, wszyscy ci Danowie, których nie znałam, wszystkie te Maisie, których istnienia nie podejrzewałam, wszyscy oni przemówili do mnie z panującej w pokoju ciszy, a ja odpowiedziałam im w głębokim, najgłębszym milczeniu.

Pozostała tylko jedna wątpliwość. Rozważałam ją długo, przez większą część nocy, pełnej niepokoju i bezsennej. Czy powinnam podjąć teraz jakieś kroki, zrobić coś z wiedzą, jaką zdobyłam po przeczytaniu historii Maisie i historii Dana? A jeżeli tak, to jakie mogłabym i powinnam podjąć? Od tamtej wizyty w Elde minęło ponad dwadzieścia lat. Maisie była dziwnym dzieckiem i zdarzało jej się mijać z prawdą. Pomyślałam, że może jednak lepiej będzie nic nie robić. Trzeba mieć litość nad zmarłymi.

Następnego dnia odebrałam telefon z Elde, od mojej krewnej, Veroniki Mortland. Ciekawe, bo przecież w nocy gorączkowo się zastanawiałam, czy do niej zadzwonić.

Powiedziała, że chce prosić mnie o radę. Doszła do wniosku, że jedno skrzydło Elde wymaga kompletnego remontu, zmiany mebli i wystroju. Nie była pewna, czy moja firma przyjąłaby takie zlecenie i prosi mnie, żebym wpadła do niej i poradziła, co powinna zrobić. Poza tym, minęło już sporo czasu - co najmniej dwa lata - od naszego ostatniego spotkania na tym przemiłym lunchu w Londynie i bardzo chciałyby mnie zobaczyć... A oto tłumaczenie: Veronica chce porozmawiać o Danie, wypytać mnie dokładnie o okoliczności jego śmierci. Domyśliłam się tego od razu.

Zgodziłam się pojechać do Elde. Przed powrotem do Londynu zamierzałam odwiedzić Maisie - odwiedzam ją regularnie - a dom opieki, w którym mieszka moja siostra, znajduje się niedaleko Elde. To Violet jako pierwsza powiedziała nam o prowadzących dom siostrach i zasugerowała, aby umieścić

474

Maisie pod ich opieką. Teraz już rozumiem, dlaczego Violet tak bardzo zaangażowała

się w sprawę Maisie - wcześniej wydawało mi się to bardzo dziwne. Rozumiem też, dlaczego zależało jej, aby Maisie przebywała w pobliżu Elde, w miejscu, gdzie mogła mieć ją na oku. Jeżeli tak właśnie było, to Violet niepotrzebnie się niepokoiła - Maisie nigdy już nie przemówi.

Veronica zaprosiła mnie na własnoręcznie przygotowany lunch. Uprzedziłam ją, że prosto z Elde wybieram się do Maisie.

Wyruszyłam w niedzielę przed południem. Podróż do Elde zawsze była długa i powolna, częściowo za sprawą naszego potwornie starego samochodu i nie całkiem doskonałych umiejętności Dziadziusia. Minęło ponad dwadzieścia lat, a okazało się, że te kręte wiejskie drogi wciąż są niemal takie same. Prowadzę szybko i dość pewnie, jeżdżę szybkim samochodem, lecz na tych wąskich, wyboistych drogach w ogóle nie można rozwinąć prędkości.

Jadąc, wróciłam myślami do rozmowy telefonicznej, jaką poprzedniego wieczoru odbyłam z moją córką Fanny; myślałam też o czekającej mnie rozmowie z Veronicą. Do jakiego stopnia powinnam być szczerą? Niełatwo jest ocenić, czy prawda pomoże, czy tylko głęboko zrani. Wieczorem powiedziałam Fanny prawdę, nie miałam jednak żadnej pewności, czy postąpiłam mądrze.

Co wieczór dzwoniłam do domu, żeby porozmawiać z dziećmi. Wczoraj Fanny wyrwała słuchawkę Tomowi. Po paru sekundach już uczestniczyłam w dziesięcioaktowym, nigdy niekończącym się melodramacie, jakim jest życie mojej córki. I już po paru sekundach spokój i radość, jakie czułam w czasie rozmowy z Tomem, zniknęły bez śladu. Fanny specjalizuje się w niszczycielskich działaniach. Z punktu zalała mnie potężną falą narzekań i żalów. Oznajmiła, że nigdy nie dojdzie do siebie po tym, co stało się z Danem; że jego śmierć

475

od początku do końca jest jej winą; że jej życie to jedna wielka katastrofa; że rzuciła pracę rzecznika prasowego grupy rapowej, zresztą ci faceci i tak byli bandą nieudaczników i szowinistów; że nie może się zdecydować, czy złożyć podanie o powtórne przyjęcie na studia w Durham University, czy zaczekać i zacząć od nowa w Oksfordzie; że nie wie, czy nie byłoby lepiej, gdyby wyjechała do Patagonii lub Paragwaju albo może zgłosiła się do organizacji "Lekarze bez Granic", *Medicins sans frontieres*, ponieważ nie może pogodzić się nie tylko ze śmiercią Dana, ale i Finn, i czuje, naprawdę czuje, że musi zrobić coś wartościowego i dobrego...

W trakcie tego długiego i głupiego monologu myślałam o mojej córce i jej niewdzięczności, o poświęconych jej wielu trudnych godzinach, i o pogardzie i

wrogości, którymi zostałam przez nią poczęstowana. O biznesowych spotkaniach, które odwoływałam lub skracałam, o długich wakacjach, które kłóciły się z moją pracą, a które stały się torturą, gdy Fanny wkroczyła w wiek dojrzenia, o wakacjach we Włoszech, Francji, Grecji, kiedy to bezustannie wysłuchiwałam lamentów i litanii frustracji: "Boże, jak tu nuuuudno, dlaczego nie mogę od razu wrócić do domu?!" Myślałam o kosztach jej uprzywilejowanej edukacji oraz energii, jaką musiałam zainwestować w ten proces, o organizowaniu pomocy i korepetycji, o pocieszaniu Fanny, kiedy jakiś nauczyciel albo kolega wziął się na nią, o wynajdowaniu rozmaitych zajęć, teatralnych, muzycznych, sportowych, baletowych, czegokolwiek, co mogłoby ją zaciekać na trochę dłużej niż dziesięć minut.

Myślałam o nieprzeciętnej inteligencji Fanny oraz o jej tendencjach autodestrukcyjnych, także nieprzeciętnych, podobnie jak u mnie w tym samym wieku. Myślałam o moim nigdy niegasnącym lęku, nieskrywanym nawet przed Nickiem, że Fanny mogła odziedziczyć jakiś defekt po moim ojcu, jakąś rodzinną złą skłonność, która mogła również stać się przyczyną nienormalności Maisie. Myślałam o tym, jak broniłam Fanny przed Danem, o oskarżeniach, które przeciwko niemu

476

wytoczyłam, o całkowicie fałszywych zarzutach. O tym, jak wyglądała moja ostatnia rozmowa z Danem. Co mogłoby się zdarzyć, gdyby Fanny nie pojawiła się w wybranym przez siebie momencie? Na myśl o tym w moim sercu zatrzasnęły się jakieś drzwi.

- Nie mam zamiaru niczego ci doradzać, Fanny - przerwałam jej. - To bez sensu, bo i tak zawsze postępujesz odwrotnie niż proponuję. Masz prawie dwadzieścia lat. Musisz sama decydować, gdzie jechać i co robić. Jeśli chcesz jechać do Paragwaju, zarób pieniądze na bilet. Jeżeli uważasz, że nie mając żadnych medycznych umiejętności ani nawet intencji ich zdobycia, przydasz się na coś takiej organizacji jak "Lekarze bez Granic", to koniecznie się z nimi skontaktuj. Jedź do Durhamu, do Oksfordu, dokąd chcesz, ale nie obwiniaj innych ludzi za problemy, które sama stwarzasz. Musisz wreszcie stanąć na własnych nogach. Przestań urządzać te manifestacje próżności i hipokryzji, bo niedobrze mi się robi, kiedy cię słucham. I nie śmiej wspominać przy mnie o Danie, nigdy więcej tego nie rób, rozumiesz?

W słuchawce zapanowała długa cisza.

- Co powiedziałaś? - zapytała Fanny niedowierzająco.

- Dorośnij, Fanny. Po prostu dorośnij. I odłożyłam słuchawkę.

Czy postąpiłam mądrze? Powiedziałam prawdę, z którą i tak za długo zwlekałam.

Moja córka jest rozpieszczona i zepsuta. Czy byłam zbyt ostra? Wyczerpałam wszelkie inne możliwości... Nagle dotarło do mnie, że już nie bardzo potrafię przejmować się "tragediami" Fanny.

Dojechałam do wioski Elde. Zostawiłam za sobą ulice z porządnymi, schludnymi domkami i skręciłam w prawo, przez żelazną bramę, za którą zaczyna się dwukilometrowa aleja i podjazd. Czy powinnam być równie szczerą wobec Veroniki? Jej mąż, mój kuzyn Edmund, nie żyje od osiemnastu lat. Zginął w wypadku samochodowym mniej więcej sześć lat po ich ślubie. Wracił do domu z Londynu, po spotkaniu ze

477

szkolnymi kolegami, i nie był trzeźwy. Humphreya także już nie ma, chociaż dożył prawie dziewięćdziesiątki. Nie ma też Violet - wylew zabił ją siedem lat temu. Zostali tylko Veronica i jej syn Edgar, który otrzymał imię po swoim prapradziadku ze strony Mortlandów. Jednak w Elde trudno zauważyć jakiegokolwiek oznaki tych zmian. Utrzymany w osiemnastowiecznym stylu park oraz długa dębowa aleja, a w oddali mała świątynia bogini Artemidy, ze stawem w płytkiej misie trawnika zwanego "dziką łąką", są tak samo zadbane jak zawsze.

Wysiadłam z samochodu i ruszyłam w stronę schodów pod wielkim, pompatycznym portykiem. Właśnie wtedy w drzwiach stanęła Veronica. Popatrzyłam na dziewczynę o niewinnej twarzy, którą przypomniał mi pamiętnik Dana. Zobaczyłam debiutantkę, którą poznał tamtego dnia w szpitalu, i smutną młodą mężatkę, którą spotkał pod sklepem przy Sloane Square następnego roku w sierpniu. Postarzała się, podobnie jak ja. Podniosła rękę i pomachała do mnie z uśmiechem.

Rozdział Trzydziesty Drugi.

KOŁA I KRĘGI.

- To jest lunch według Julii - powiedziała Veronica, całując mnie w policzek. - Pomyślałam, że zjemy w kuchni, nie znoszę tej nadętej jadalni... Popatrz, wystrój kuchni zmieniłam trzy lata temu... Mam nadzieję, że ci się podoba. Ładnie tu teraz, prawda?

Ładnie, to prawda. Ogromna, chłodna kuchnia z kamienną podłogą i dużym piecem.



Ściany pomalowane jedną z moich farb (tak, Dan, to chyba "Skowronek"), szafki pociągnięte "Mchem".

- Bardzo w twoim stylu - Veronica rumieni się lekko. -Podobnie jak lunch, z twojej najnowszej książki, uwielbiam ją. Twoje przepisy są takie niezwykle, eleganckie i świetne, te dania zawsze się udają...

- Są przygotowane tak, żeby nawet ostatni idiota potrafił coś ugotować - odpowiadam.

Veronica czerwieni się jeszcze mocniej. Wcale nie chciałam zasugerować, że jest ostatnią idiotką... To właśnie takie uwagi, rzucane bez zastanowienia, wyrobiły mi opinię jędzy. Cóż, mam ostry język. Mam też nadzieję, że nie jestem złośliwa.

- Piękna kuchnia - mówię szybko, starając się naprawić błąd. - Idealnie ją urządziłaś. I dzięki Bogu, że nie musimy siadać do stołu w tej strasznej jadalni... Ja też zawsze czułam się tam okropnie.

- Miałam nadzieję, że będzie Eddie. - Veronica sieka bazylię

479

i nalewa zupę. - Przyjechał na weekend z Oksfordu, ale z samego rana wybrał się gdzieś z przyjaciółmi. Obiecał, że postara się wrócić przed twoim wyjazdem. Nie widziałaś go od tak dawna, całe wieki, chyba ze dwanaście lat... Mam nadzieję, że lunch mi się udał... Czuję się potwornie skrepowana, gotując dla ciebie... Och, chyba za dużo bazylii, co?

- Dokładnie tyle, ile trzeba - mówię z roztargnieniem, obserwując ją.

Zmieniła się. Ma czterdzieści trzy, może czterdzieści cztery lata. Nie straciła swojej dziewczęcej urody. Trochę za bardzo przybrała na wadze - widzę, że w talii jest teższa niż przy naszym ostatnim spotkaniu. Błyszczące ciemne włosy są krótsze niż dawniej, ale doskonale obcięte i uczesane. Nadal wydaje się łagodna i delikatna, lecz wczesne wdowieństwo dodało jej siły i energii. Dziś Veronica zasiada w radach nadzorczych rozmaitych organizacji i towarzystw, zarządza majątkiem, pracuje dla instytucji charytatywnych, podtrzymuje płomień pochodni Partii Konserwatywnej, uczestniczy w kampaniach reklamowych lokalnych polowań. Jest panią wszystkiego, na co patrzy, i sprawia wrażenie całkiem zadowolonej z tego stanu rzeczy. Myśli konserwatywnie, ubiera się konserwatywnie, bo tak została ukształtowana przez swoje pochodzenie i wychowanie. Myślę o tym, jak Dan opisał ich romans. Veronica i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego.

Wkrótce miałam odkryć, że błędnie oceniałam Veronicę, i to od lat. Popełniłam tę

samą pomyłkę co Dan - w pewnym momencie okazałam się za mało spostrzegawcza, ślepa na cierpienie. Wiele osób cierpi na tę szczególną wadę wzroku. Zjadłam doskonały chłodnik a la Julia, świetną zapiekankę z dziczyzną (z mięsem z bażanta, poza sezonem, czyli mrożonym - wybaczam ci, Veronica) a la Julia, dobrą sałatę z sosem a la Julia i galaretką z soku z limonki z dżinem, także a la Julia, którą wymyśliłam kiedyś w chwili natchnienia wywołanego brakiem innych składników. Galaretka nie miała wprawdzie idealnej konsystencji (dwa listki żelatyny za dużo,

480

Veronico), ale była całkiem niezła. Przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie napiszę już żadnej książki kucharskiej, nawet gdybym miała dożyć setki. Czekałam. Wiedziałam, że temat Dana poruszy przy kawie. Nie pomyliłam się.

- Opowiesz mi, co się stało? - poprosiła, siadając naprzeciwko mnie. - Oczywiście czytałam gazety, ale...

- Na razie nie mogą podawać zbyt wielu szczegółów - powiedziałam.

Muszę tu wyjaśnić, że moja rozmowa z Veronicą odbyła się parę miesięcy przed procesem sądowym.

- Tak czy inaczej, chciałabym usłyszeć to wszystko od ciebie... - podjęła. - Było mi tak strasznie smutno... Nie mogłam w to uwierzyć. Dan był niezwykłym człowiekiem... Powróżył mi kiedyś z ręki, mówiłam ci o tym?

- Nie, nie przypominam sobie - odparłam ostrożnie i zgodnie z prawdą.

- W szpitalu, tamtego dnia, kiedy przyszedłam z Violet odwiedzić Maisie, pamiętasz? Dan zaprosił mnie na herbatę do kawiarenki... Byłam wtedy taka młoda i niedoświadczona... Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale od razu się zorientowałam, że mu się podobam... Oczywiście Edmund i ja byliśmy już zaręczeni, ślub miał się odbyć za parę tygodni, bo Violet nalegała, żebyśmy pobrali się szybciej, niż początkowo planowaliśmy... Chyba się bała, że Edmund się rozmyśli, jeśli będzie miał za dużo czasu... - Veronica lekko ściągnęła brwi. - Ciekawe, że jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że to ja mogłabym się rozmyślić... Że mała Veronica mogłaby się zorientować, że Edmund wcale nie jest taką znowu wspaniałą partią... Tymczasem tak właśnie się stało, byłam bardzo bliska odwołania ślubu... Dan błagał mnie, żebym to zrobiła. Wiesz, co powiedział mi, kiedy czytał z mojej dłoni?

- Trudno mi sobie wyobrazić...

Wszystko wskazywało na to, że Veronica wcale nie chce rozmawiać o śmierci Dana. Jego śmierć w gruncie rzeczy niewiele ją obchodziła.

- Dan powiedział mi o obawach i niepewności, które wtedy czułam - ciągnie Veronica, szeroko otwierając oczy. -Zobaczył to wszystko na mojej dłoni, wyobrażasz sobie? I powiedział, że muszę przestać się bać i wyleczyć się z nieśmiałości - byłam wtedy okropnie nieśmiała - bo mam w sobie mnóstwo siły. Powiedział, że noszę w sobie źródło siły i że pewnego dnia nauczę się z niego czerpać, ale muszę pamiętać, aby robić to mądrze...

Patrzę w stół. Znam ten tekst, wiele razy słyszałam podobne ogólniki z ust Belli. Byłeś dla niej łagodny, Dan, pomyślałam. W każdym razie wtedy...

- Nigdy tego nie zapomniałam. Nigdy. Codziennie powtarzam sobie jego słowa, przywołuję je, ilekroć mam jakieś kłopoty. I myślę o Danie, myślę o nim dzień w dzień, przez dwadzieścia trzy lata. Pewnie będę myślała o nim także przez następne dwadzieścia trzy... Żałuję tylko...

Przerwała. Zobaczyłam, że jej oczy napęcznieją się łzami. Pośpiesznie odwróciłam wzrok - łzy są zaraźliwe.

- Kochałam go... Tak bardzo go kochałam... Powiem ci coś, Julio... Pewnie nie powinnam mówić o tym nikomu, a zwłaszcza tobie, ale miałam romans z Danem, przed ślubem... Mam nadzieję, że cię to nie zabolowało... - zawahała się, rzuciła mi szybkie, ukradkowe spojrzenie. - Bardzo namiętny romans... Dan... Cóż, prawda jest taka, że Dan koniecznie chciał się ze mną ożenić, ale ja nie miałam dość siły, aby zerwać zaręczyny... Za bardzo się bałam, co ludzie pomyślą i jak zareaguje Violet... Tak, bałam się Violet. Dan nie mógł tego znieść, nie mógł sobie z tym poradzić... I dlatego czuję się tak strasznie winna... Ciągle myślę, że gdyby wiedział, jak bardzo go kochałam...

- Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tym aż tak bardzo - przerwałam jej.

Ciekawe, czy naprawdę wierzyła w tę swoją wersję i jak dawno temu ją wymyśliła...

- Nie wątpię, że Dan wrócił do równowagi po tym rozczarowaniu

- dodałam. - Ludzie potrafią sobie radzić z takimi sytuacjami, przecież wiesz. "Ludzie umierali od czasu do czasu i robaki ich żarły, ale to nie z miłości"\*.

[\* W. Szekspir, Jak wam się podoba, przeł. Czesław Miłosz, Warszawa 1999].

- Słucham? - spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi. Poczułam dotyk

wrogości, jaką do mnie czuła.

- To tylko cytat. Dan był wtedy bardzo młody, niewiele starszy od ciebie. W tym wieku serce ma jeszcze dużo siły...

- No, tak, nigdy nie umiałam rzucać cytatami... Nie chodziłam do ambitnej szkoły, nie skończyłam studiów... W przeciwieństwie do ciebie, nie jestem bardzo czytana. Dan ciągle opowiadał, jaka jesteś inteligentna, jak to lubicie te same książki, te same wiersze...

- Opowiadał ci o Finn, nie o mnie. Mylisz mnie z moją siostrą.

- Tak myślisz? Chyba nie... No, nieważne... Cieszę się, że patrzysz na to w taki sposób, Julio, naprawdę... Bałam się, że się zdenerwujesz...

- Bo miałaś romans z Danem? Nie. Dlaczego miałoby mnie to zdenerwować?

- Cóż, zawsze mi się wydawało, że między wami coś jest... Rzucali się to w oczy. Zauważyłam to wtedy w szpitalu... Widziałam, jak na ciebie patrzył. Naturalnie zawsze zaprzeczał, chociaż ciągle go o to pytałam... Nie mogę znieść, że nie znam prawdy, nigdy nie mogłam tego znieść... Nie chodzi o zazdrość, nie jestem zazdrosna i nigdy nie byłam, po prostu lubię, kiedy ludzie są wobec mnie szczerzy...

- W takim razie będę z tobą szczerą - powiedziałam, wstając. - Nie łączyło nas żadne uczucie, nie byliśmy w sobie zakochani. Więcej, Dan raczej mnie nie lubił, podobnie jak wiele innych osób...

Zawahałam się. Wciąż czułam atmosferę wrogości.

- Nie mam dużo czasu, Veronico. Może od razu pójdziemy obejrzeć te pokoje, dobrze?

483

Poprowadziła mnie na górę wysokimi, długimi korytarzami, pod spojrzeniami uwiecznionych na portretach przodków. Szła szybkim krokiem, ja wolniejszym. Myślałam o dowodach; o tym, jak sieje gromadzi, jak porównuje, jak ocenia się zeznania różnych świadków. Ten temat był obecny w moich myślach już wcześniej, ponieważ wtedy dopiero planowałam, co powiem na procesie i jak przekonam sąd, aby przyjął moją wersję wydarzeń.

Myślałam także o dowodach, jakie otrzymałam od Dana, i tych nowych, znalezionych w pamiętniku, dzienniku czy też może ostatnim liście Maisie. Teraz miałam przed sobą jeszcze inną wersję przeszłości. Nie uwierzyłam Veronice, ale

było mi smutno, że powiedziała mi to wszystko teraz, tak niedługo po śmierci Dana. Gdybym mogła uwierzyć, że kierował nią tylko odruch samoobrony, że po prostu chciała podzielić się ze mną historyjką, którą sfabrykowała, mogłabym to zaakceptować. Nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że było inaczej; czułam, że Veronica ma do mnie jakiś zadawniony żal, jakieś pretensje. Miała wyraźną nadzieję, że jej wyznanie sprawi mi ból. Nie pierwszy raz spotkałam się z czymś takim. Wiele kobiet nie darzy mnie sympatią.

- Te pokoje... - Veronica zatrzymała się na końcu zachodniego skrzydła. - Ach, wszystkie te sypialnie i garderoby... Tylko popatrz, czy nie są ohydne? - Z rozmachem otworzyła drzwi. - To była sypialnia Edmunda, "sypialnia pana domu", jak nazywają to ci okropni ludzie z agencji nieruchomości... Tyle że w takim domu jak Elde wszystkie sypialnie są niemal takie same, a jest ich chyba trzydzieści pięć, może nawet więcej... Któregoś dnia powinnam je policzyć...

Weszłam do sypialni nieżyjącego Edmunda. Zachowanie Veroniki trochę mnie niepokoiło, a ten pokój pogłębił to uczucie. Nie rozumiałam, dlaczego nazwała go "ohydnym" - moim zdaniem wcale taki nie był. Jasny, o pięknych proporcjach, z boazerią na ścianach, wysokimi, ładnymi oknami. Nigdzie ani śladu po Edmundzie, wszędzie anonimowość typowa

484

dla pokoju gościnnego. Duże łóżce z zasłonami ze starego, jedwabnego brokatu, ciemnozielonego. Dwie komody, jedna prawie na pewno z warsztatu Chippendale'a. Nie mogłam dopatrzeć się tu niczego w złym guście.

- I te tweedowe garnitury... - Veronica pełnym złości ruchem otworzyła drzwi szafy i zaraz je zatrzasnęła. - Nosił tweedy zimą i latem. Wciąż tu wiszą. Chyba mam nie po kolei w głowie, że to tej pory nie spakowałam tego wszystkiego i nie wysłałam pierwszej z brzegu organizacji dobroczynnej...

- Ten pokój nie wymaga zmiany wystroju - odezwałam się. - Jest bardzo konwencjonalny, ale w takiej rezydencji jak Elde to absolutnie naturalne... Na swój sposób to ładna sypialnia, Veronico, nie wiem, dlaczego miałabyś tu coś zmieniać... Tego rodzaju wnętrza najlepiej zostawić takimi, jakie są...

- Tak uważasz? A to?

Otworzyła drzwi do małego korytarzyka, łączącego pokój Edmunda z drugą sypialnią, w której stało trochę mniejsze łóżce.

- Ta była moja - powiedziała. - Już jej nie używam, ale bezpośrednio po ślubie, za

życia Edmunda, sypiałam tutaj. Co o niej myślisz?

- Nie rozumiem... - zaczęłam. - Bardzo przyjemny pokój... Chyba nie chcesz wprowadzać tu żadnych poważnych zmian...

Rozejrzałam się uważnie. Osiemnastowieczna ręcznie malowana chińska tapeta na ścianach, odrobinę wyblakła, lecz nadal śliczna. W głębokiej wnęce okno z widokiem na park i jezioro, parapet z tapicerskim obiciem, szeroki, wygodny, idealne miejsce do siedzenia. Piękne meble, dywany... Powoli obeszałam pokój dookoła. Obejrzałam zasłony nad łóżkiem, ciemnoczerwone, może trochę za ciemne, ponure... Veronica nie spuszczała ze mnie oka. Zaczęło docierać do mnie, że wcale nie przyprowadziła mnie tutaj z powodu planowanej jakoby zmiany wystroju. Odwróciłam się i dopiero wtedy zobaczyłam wewnętrzny panel drzwi, przez które weszliśmy. Te

485

drzwi łączyły jej sypialnię z sypialnią Edmunda i były uzbrojone w pięć dużych zasuw.

Wróciłam do sypialni mojego zmarłego kuzyna i przystanąłam. Teraz zobaczyłam to, na co od razu powinnam była zwrócić uwagę, a co przeoczyłam w morzu detali architektonicznych i dekoracyjnych. Na stole przy łóżku stała niewielka fotografia, czarno biała, w srebrnej ramce. Podeszłam i wzięłam do ręki zdjęcie Maisie, chyba dziewięcioletniej, zrobione tutaj, w Elde. Stała w długiej alejce między równymi grządkami ziół, które z zapalem hodowała Violet, tymi samymi, z których Maisie wybierała po dziesięć roślin, aby wymienić ich łacińskie nazwy i w nagrodę zainkasować dziesięć funtów od Edmunda.

- Miał obsesję na jej punkcie - odezwała się Veronica, która weszła za mną do pokoju i stanęła za moimi plecami. - Absolutną obsesję... Chciał, żebym była nią...

Długa chwila milczenia. Miałam wrażenie, że w pokoju robi się dziwnie duszno i ciasno. "Dla Edmunda od Maisie", napisała na zdjęciu moja siostra. Tak, to był jej charakter pisma, okrągłe, mocno nakreślone litery.

- I właśnie to chciałaś mi pokazać? - zapytałam, nagle dziwnie słaba i zagubiona. - To miałabym zmienić? Nie jestem w stanie tego zrobić, poza tym jest już trochę za późno, nie sądzisz?

- Chyba tak... - wzruszyła ramionami. - Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego cię tu przyprowadziłam, właśnie teraz... Głupio się zachowałam, masz rację. Te pokoje trzeba zostawić, zamknąć, oddać je molom... W tym przeklętym domu żyją całe kolonie moli, zżerają wszystko... Składają jaja, z których wylęgają się larwy, te jedzą,

co popadnie, potem znowu wszędzie fruują mole i tak w kółko... O, popatrz...

Strzepnęła ręką ciemnozielony brokat, z którego fałd natychmiast wyleciało kilka moli. Zawirowały w pasmach słonecznego światła, usiadły i schowały się w wieńczącym baldachim

486

węzle nad łóżkiem. Mole... *Tineola bisselliella*, usłyszałam szept Maisie.

- Violet doskonale wiedziała, jaki jest Edmund - powiedziała Veronica. - Uważała, że jestem tak głupia i niewinna, iż niczego nie zauważę... Dorosły mężczyzna, czczący małą dziewczynkę, i to w dodatku nienormalną... Nie umiem wybaczyć tego Violet. Zawsze sobie obiecywałam, że odpłacę jej za to, a teraz już jej nie ma...

Jeszcze raz strzepnęła zasłony. Jeden srebrzysty mól wyleciał z tkaniny, rozpaczliwie trzepocąc skrzydełkami. Próbowwała go złapać, ale jej się nie udało. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się trochę.

- Masz rację - podjęła. - Powinnam zostawić to wszystko... Chodźmy na dół. Mamy taki piękny dzień, może napijemy się herbaty przed domem...

- Chyba nie - odstawiłam fotografię na miejsce. - Mówiłam ci, że wybieram się jeszcze do Maisie. Nie chcę się spóźnić.

- Raczej nie zrobi jej to wielkiej różnicy, prawda? Tym razem wyraźnie usłyszałam jad w jej głosie.

- Czy czas ma jakiegokolwiek znaczenie dla Maisie? - ciągnęła. - Czy ona zdaje sobie sprawę, że jest rano albo popołudnie? Przecież nawet cię nie poznaje...

Odwróciłam się i wyszłam na korytarz. Spieszyłam się. Veronica dogoniła mnie na głównych schodach. Złapała mnie za ramię.

- Nie jedź jeszcze! - zawołała. - Nie opowiedziałas mi o Danie... Obiecałaś, że powiesz, jak to się stało...

- Czy naprawdę muszę? Mój syn i ja byliśmy pod domem Dana, i...

- Skąd się tam wzięliście?

- Zamierzaliśmy go odwiedzić. Dan był ojcem chrzestnym mojego syna. Mieszkał niedaleko nas...

Schodziłam po schodach, szybko, Veronica tuż za mną.

- Był ojcem chrzestnym twojego syna? Nie wiedziałam o tym... Często odwiedzałaś Dana?

- Nie. Veronico, muszę już jechać...

- Pisałam do niego listy, wiesz? - zatrzymała się u stóp schodów. - Nie wysłałam ani jednego, ale pisałam je przez wiele lat. Musiałam powiedzieć komuś, jak to jest być żoną Edmunda i mieszkać tutaj... Nadal je mam. Mogłabym ci pokazać...

- Co by nam to dało? - zawahałam się.

Chciałam jak najszybciej wyjść, odjechać z Elde, żałowałam, że w ogóle przyjął zaproszenie Veroniki.

- Później tylko byś tego żałowała - dodałam łagodniej. -To prywatne listy i niech tak zostanie...

- Chodzi ci o to, że najważniejsza jest dyskrecja?

- Można to i tak ująć - odwróciłam się.

- Zawsze jesteś taka pewna siebie... Nigdy się nie wahasz, nie masz wątpliwości. Taka silna, chłodna, opanowana... Nie wiesz, czym jest cierpienie, prawda?

- Gdybym wiedziała, na pewno nie rozpowiadałabym o tym na prawo i lewo. Słuchaj, przykro mi, ale nie mogę się spóźnić. Naprawdę muszę już jechać.

Odsunęłam ją i podeszłam do frontowych drzwi.

- Chciałabym, żebyś zaczekała na Eddiego... Mówiłam mu, że przyjedziesz, Julio, nie jedź jeszcze...

Pobiegła za mną, dopadła mnie na schodach przed domem. Usiłowałam się odwrócić, ale zdążyła zobaczyć moją twarz i moje łzy.

- Wiedziałaś... - oświadczyła, chwytając mnie za ramię. -Okłamałaś mnie wcześniej, wiedziałaś! Dan nie chciał mi tego powiedzieć i ty też nie chcesz... A ja muszę zrozumieć... Nie ukryjesz tego przede mną, masz to wypisane na twarzy! Więc jednak było coś między tobą i Danem, tak?

- Tak, było - odparłam. - Raz się kochaliśmy. I to wszystko. Raz, jeden raz. Pieprzyliśmy się. Nic więcej.



Strząsnęłam jej rękę i zbiegłam po schodach. Wsiadłam do samochodu i szybko odjechałam tą dwukilometrową aleją. Ciągłe wydawało mi się, że za chwilę zobaczę bramę, ale bramy nie było i nie było. Kiedy w końcu do niej dotarłam, o mały włos nie zderzyłam się z innym samochodem, który także jechał dość szybko, tyle że w odwrotnym kierunku. W ostatniej chwili nacisnęłam hamulec i zatrzymałam się, wzbijając fontannę żwiru.

Nie miałam zapiętych pasów i dlatego mocno poleciałam do przodu. Twarzą z całą siłą uderzyłam w ramię, które podniosłam w obronnym geście, drugą rękę przygniotłam ciałem do kierownicy. Wyprostowałam się powoli. Gdzie podziła się brama? Samochód był teraz zwrócony przodem do alei. Osłupiałym wzrokiem wpatrywałam się w drzewa. Musiałam wykonać pełny obrót. Twarz miałam obolałą, ale chyba nie zrobiłam sobie żadnej krzywdy. Tylko siniaki, pomyślałam. Tylko siniaki... I wtedy usłyszałam gniewny, podniesiony głos.

- Co pani wyprawia, cholera jasna?! O mało nas pani nie zabiła!

Podniosłam wzrok i zobaczyłam idącego ku mnie Dana.

Jakimś cudem udało mi się otworzyć drzwi i wysiąść. Z trudem trzymałam się na nogach. Słońce świeciło mi prosto w oczy. Patrzyłam, jak Dan zbliża się do mnie, ubrany w wypłowiałe dżinsy i białą koszulę, młody aż do bólu. Patrzyłam na niego i wiedziałam, że to Dan z tamtego ostatniego lata w Opactwie. Kiedy mnie rozpoznał, na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia i troski. Zrobiłam krok w jego kierunku i zachwiałam się. Chwycił mnie. Gdy otoczył mnie ramionami, usłyszałam, jak mówi moje imię.

- Julio... Julio, to pani, prawda? Jezu Chryste, strasznie przepraszam, ale naprawdę mało brakowało... Może się pani ruszać? Proszę oprzeć się na mnie, pomogę pani...

Usłuchałam go. Pomógł mi podejść do swojego samochodu i usiąść na skórzanym fotelu, z nogami na zewnątrz. Było

489

mi słabo i nie mogłam zrozumieć, dlaczego zwraca się do mnie per "pani".

- Niech się pani schyli, o, tak, głowę niżej... Jest pani okropnie blada... Chyba nie zamierza mi tu pani zemdleć, co?

Posłusznie trzymałam głowę nisko, prawie na kolanach. Widziałam buty Dana i to także mnie dziwiło, bo Dan nigdy nie nosił zamszowych mokasynów.

Wyprostowałam się, niebo nie było już tak oślepiająco błękitne. Ten sam wzrost, ta sama budowa, takie same włosy i oczy... Przysiadł na piętach, tak że nasze twarze

znalazły się na tej samej wysokości.

- Lepiej odwiozę panią do domu - powiedział. - Julio? Pani Marlow? Wygląda pani... Co, uderzyła się pani w głowę? Mocno? Chyba jest pani w szoku... Proszę, niech pani nie płacze... Mam tu gdzieś telefon, zaraz zadzwonię do matki... Jezu, ja też nie jestem bez winy, oboje jechaliśmy za szybko, ale byłem już spóźniony, a obiecałem, że przyjadę, żeby się z panią spotkać, przynajmniej na chwilę...

- I spotkaliśmy się... - wzięłam go za rękę. - Nie, nie dzwoń... Chwileczkę, zaraz się pozbieram...

No tak, mam swoją religię, tę samą co ty, Dan, i po chwili rzeczywiście się pozbierałam. Miałam przed sobą twojego syna, co do tego nie było cienia wątpliwości - wyglądał jak twój bliźniaczy brat, Dan. Kiedy otrząsnęłam się z szoku, szybko wykonałam w myśli konieczne obliczenia. Ten młody człowiek, student ostatniego roku Oksfordu, jak przy lunchu poinformowała mnie Veronica, miał w czerwcu skończyć dwadzieścia trzy lata... Został więc poczęty w sierpniu, w rezydencji Violet przy Eaton Square, dzięki staraniom upartej Veroniki. Nic dziwnego, że tak bardzo nalegała, abym została dłużej i poznała jej syna - chciała, żebym na własne oczy zobaczyła dowód trwałej więzi łączącej ją z Danem. Doskonale wiedziała, że od razu odgadnę, kto był jego ojcem.

Zapamiętałam, co napisałeś, Dan. Sierpień w Londynie: błękitny zapach, cichy brzęk przesuwających się bransoletek.

490

Uważnie patrzyłam na tego chłopca. Tak bardzo pragnęłam powiedzieć mu, kim był jego ojciec. Tak bardzo chciałam opowiedzieć mu o tobie, o Wykenfield, o Joem i Belli, o Ocean. Chciałam opowiedzieć mu te wszystkie historie, a jednocześnie wiedziałam, że nie mam prawa tego zrobić. Takie rewelacje mogą czasami głęboko zranić, a ja w żadnym razie nie chciałam zranić twojego syna. Wypowiedziałam życzenie. Życzyłam mu tego wszystkiego, czego ty niedawno życzyłeś mojemu synowi. Życzyłam mu wszystkiego, co prawie niemożliwe, co tak rzadko dostajemy - trwałego szczęścia, braku bólu i cierpienia w życiu, prawdziwego spełnienia. Z całego serca.

To życzenie wydało mi się potężne, wszechogarniające. Jakie to wszystko dziwne... Wstałam, podziękowałam mu i powiedziałam, że wina leży po mojej stronie, tylko i wyłącznie -to ja jechałam za szybko, zmęczona i roztargniona. Dodałam, że za chwilę będę w stanie usiąść za kierownicą, i że muszę już jechać, bo chcę jeszcze odwiedzić siostrę.

Staliśmy przy moim samochodzie i patrzyliśmy na park, pogrążony w spokojnym wiosennym wieczorze. W oddali widać było jezioro i małą świątynię Artemidy. Młody człowiek wsunął ręce do kieszeni dzinsów i obserwował tę idyllę spod zmarszczonych brwi - najwyraźniej nie był nią zachwycony, w ogóle nie wyglądał na zadowolonego ze swego majątku pana na włościach. Veronica powiedziała mi, że jej syn odziedziczy Elde, gdy skończy dwadzieścia pięć lat.

- Co z tym wszystkim zrobisz? - zagadnęłam, patrząc jak łabędź równą linią przecina lustrzaną taflę jeziora. - To ogromny majątek... Co z nim zrobisz?

- Bóg jeden wie... - wykonał pełen zniecierpliwienia gest. - Ostatnio wpadłem na pomysł, żeby oddać Elde Państwowemu Funduszowi Zabytków. Nie chcę mieć tego kamienia u szyi... - rzucił mi krótkie spojrzenie i uśmiechnął się, zupełnie jak jego ojciec. - Proszę na razie zatrzymać to dla siebie, dobrze? To tylko jeden z moich pomysłów, ale proszę nie wspominać o tym mojej matce, na miłość boską...

491

- Byłbyś w stanie to zrobić? Uważałam, że jest jeszcze bardzo młody.

- Tak mi się wydaje - odparł. - Może... Widziałem, co dzieje się z ludźmi, którzy mają takie majątki.

- A ja widziałam, co dzieje się z ludźmi, którzy nie mają pieniędzy.

- Och, te pieniądze... - uśmiechnął się. - O to się nie martwię. Mam głowę na karku, zawsze mogę wziąć się do roboty i zacząć zarabiać. Tak jak pani, Julio.

Zupełnie jakbym słyszała Dana... Dan rzuciłby mi takie samo ostre spojrzenie.

- Na mnie już czas, Eddie. I tak się spóźnię... Pożegnaliśmy się. Wsiadłam do samochodu, przejechałam

przez bramę i skupiłam się na rozciągającej się przede mną drodze. Nie obejrzałam się ani razu, bo wiedziałam, co zobaczę za sobą- moje życie we wstecznym lusterku. Nie miałam ochoty przyglądać się tej minionej drodze ani rozmyślać, dlaczego nie skręciłam tam, gdzie powinnam była skręcić.

Musiałam uspokoić się przed spotkaniem z Maisie. Maisie nieomylnie wyczuwa niepokój i wtedy potrafi sprawiać problemy. Spokojnie, w równym tempie i bez żadnych niespodzianek pokonałam dwadzieścia pięć kilometrów, dzielących mnie od domu opieki. Naturalnie przyjechałam później, niż planowałam, w środku wiosennego wieczoru.

Siostry właśnie skończyły odprawiać nieszpory. Czekałam w holu, przy figurze Najświętszej Maryi Panny, oparłam rękę na jej szacie z malowanego na piękny błękit gipsu. Powiedziano mi, że Maisie jest na zewnątrz, w ogrodzie, pochłonięta swoją ostatnią obsesją. Dobrze znałam fascynacje Maisie. Przez kilka lat był to kolor czerwony - całymi godzinami malowała czerwoną kredką kartki papieru. Musiały być pokolorowane równo, przy brzegu także; jeśli ktoś próbował jej przerwać, kiedy na papierze były jeszcze białe smugi czy plamy, wpadała w gniew.

492

Po okresie czerwonym nastąpił okres błękitny, a później czarny. Potem były linie równoległe, potem kratki. Obsesja na punkcie krutek trwała długo, prawie pięć lat. Wszystkie czerwone, błękitne i czarne kartki, wszystkie linie równoległe i kratki przechowywane były w starannie uporządkowanych folderach na półkach w pokoju Maisie. Teraz, poinformowały mnie siostry, wskazując, gdzie znaleźć Maisie, przyszedł czas na koła. Wspaniała rzecz, te kółka, powiedziały; Maisie rysuje je godzinami i jest zadowolona. Przez ostatnie lata Maisie zaczęła coraz lepiej panować nad mięśniami i teraz potrafi już samodzielnie kreślić całkiem równe koła. Nie są tak idealne, jak te, które można narysować cyrklem, ale i tak świetnie jej wychodzą. Jedna z zakonnice zapytała, czy wiem, że japońscy mistrzowie zaczynają uczyć rysunku właśnie od kółek - dopiero gdy uczniowie do perfekcji opanują tę technikę, mogą przejść do rysowania bardziej skomplikowanych rzeczy. Czasami mijają lata, zanim japoński uczeń zacznie rysować przedmioty, nie wspominając już o ludziach.

Maisie nigdy nie przebrnie przez ten etap. Wysłałam na taras, a stamtąd na trawnik. Ten budynek, choć rzeczywiście już za mały na potrzeby sióstr, jest bardzo przyjemny i w pewnym sensie kojarzy się z Opactwem. Myślę, że gdyby pokazać komuś zdjęcie, od razu odgadłby, że to Anglia - trawniki przechodzą w zielone pola, dalej widać wąską dolinę z płynącą w dole rzeką. Wieczór był tak spokojny i cichy, że słyszałam szum wody.

Przystanąłam obok Maisie, która siedziała w fotelu na kółkach przy stoliku ustawionym tak, aby na blat padały promienie zachodzącego słońca, w miejscu osłoniętym różanymi krzewami. Maisie pochylila się nad rysunkiem, w rękę trzymała ołówek. Obok leżał plik kartek z prawie idealnymi kołami. Kilkadziesiąt kartek, pokrytych kółkami, krągłymi zerami... Zaczęłam się zastanawiać, ile godzin poświęciła temu zajęciu.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam naprzeciwko Maisie.

493

Moja siostra prawie nigdy nie daje żadnego znaku, że dostrzega moją obecność. Czekałam, zasłuchana w szmer rzeki. Myślałam o swojej przyszłości, o tym, jaką decyzję podejmie Nick i co postanowię ja sama, kiedy już wrócę do Londynu. Myślałam o moich dzieciach, o tym, co Veronica pokazała mi w sypialniach na piętrze i co właściwie miało to znaczyć. Myślałam o synu Dana. Tęskniłam za Danem, moim utraconym Danem. Bardzo za nim tęskniłam.

Mimo sporego wysiłku nie wyciszyłam się do końca i sędzę, że Maisie wyczuła w końcu mój niepokój. Podniosła wzrok. Jej ciemnoniebieskie oczy spoczęły na mojej twarzy bez śladu rozpoznania, jak zawsze. W milczeniu patrzyłam na moją siostrę, która po wypadku nie urosła już ani o centymetr, na moją siostrę, która jest teraz trzydziestosześcioletnim dzieckiem. Nie może mówić ani komunikować się z otoczeniem w żaden inny sposób. Nie trzyma moczu ani kału. Ma sto czterdzieści sześć centymetrów wzrostu. Jej lewa noga, najbardziej połamana, jest spięta klamrami. Stawy lewej ręki zaatakował artretyzm, jest opuchnięta i powykęcana. Na skroniach w jasnych włosach pojawiły się srebrzyste nitki. Spokojna twarz Maisie jest wolna od zmarszczek, spojrzenie wydaje się pogodne, chociaż czasami, jak zauważył Dan i odnotował na płótnie Lucas, bywa wyniosłe, aroganckie. Jej reakcje są nieprzewidywalne, nastroje absolutnie niezrozumiałe; przemykają przez twarz jak chmury po niebie. W tym momencie niebo było bezchmurne.

- Dan umarł - mówię.

Nie planowałam tego, powiedziałam to bez zastanowienia. Myślałam o nim i dlatego jego imię pojawiło się na moich wargach. Maisie nie reaguje. Przeniosła spokojne spojrzenie na jakiś punkt nad moim lewym ramieniem, tylko tyle.

- Pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć - ciągnę bez sensu.

Co jeszcze zrobię? Powiem o śmierci Finn? Opowiem o swoim życiu, o kłamstwach, o labiryncie straconych szans,

494

poproszę o radę, czy się rozwieść, czy spróbować raz jeszcze? Poproszę, żeby wyjaśniła mi znaczenie pięciu zamków na drzwiach sypialni oraz starej fotografii? Zapytam, dlaczego Dan postanowił umrzeć, zanim zdążyłam coś zrobić, zakładając oczywiście, że moja interwencja cokolwiek by zmieniła? Zacznę błagać, żeby w końcu odsłoniła przeszłość, powiedziała mi, co się stało, dlaczego skoczyła, dlaczego tamtego lata wszystko zaczęło układać się nie tak, dlaczego zgubiliśmy drogę? Prosić, aby mi to wszystko wytłumaczyła, wyprostowała, naświetliła? Równie dobrze mogłabym mówić do kamienia albo do powietrza...

- Siostry powiedziały mi, że teraz rysujesz kółka - mówię. - Podobno świetnie ci idzie...

Nienawidzę nuty pobłażliwości i desperacji w swoim głosie. Maisie ma chyba podobne odczucia, chociaż może tylko tak mi się wydaje. Jej twarz przybiera pogardliwy wyraz, który tak dobrze pamiętam. Wciąż wpatruje się w przestrzeń nad moim ramieniem.

Robię kilka kroków do tyłu i zaczynam zachowywać się tak jak zwykle w czasie tych comiesięcznych wizyt. Zaczynam mówić o przeszłości. Przywołuję wspomnienia, bo ta kobieta dziecko nie ma pamięci. Mówię: Czy pamiętasz, jak urządziliśmy sobie piknik nad stawem w Opactwie? Pamiętasz nabożeństwo żałobne za Tatusia i jak Stella ciągle wymyślała nowe teksty i rzeźby na nagrobek? Pamiętasz, jak Stella zamknęła się w pokoju, i jak przynosiłyśmy jej różne drobne rzeczy, żeby wywabić ją na zewnątrz? Kwiaty, książki i jedzenie - pamiętasz, Maisie? Pamiętasz, że to ty pierwsza zobaczyłaś Dana? Tego dzikiego chłopca, który zaglądał do kościoła przez okno?

Pamiętasz, jak szliśmy przez las w moje szesnaste urodziny? Pamiętasz moją nową białą sukienkę na sztywnej halce, z angielskim haftem? Pamiętasz Belle, jej domek, krwawą kizkę i fotografie Ocean? Pamiętasz karty tarota, kryształową kulę, kurczaki i perliczki, i jak Finn nadawała im imiona? Pamiętasz,

495

że przyglądałyśmy się, jak Joe orał i liczyliśmy bruzdy i zagony?

Pamiętasz twoje zakonnice i nasze pierwsze rowery? Pamiętasz, jak Dan uczył nas jeździć na Acre Lane i jak szybko pędziłyśmy? Pamiętasz książki, psy i zapachy, posiłki i rozmowy, plany, nadzieje i obawy? Pamiętasz Wellhead? Pamiętasz Holyspring? Pamiętasz pola, wiązy i skowronki?

Pamiętasz miłość i ból? Pamiętasz, jak strasznie boli utrata miłości? Proszę, pamiętaj to wszystko, Maisie, bo poza mną nie ma już nikogo, kto pielęgnowałby te wspomnienia i kiedy odejdę, nic nie zostanie, wszystko zniknie jak sen... Nikogo nie będzie to obchodzić, bo niby dlaczego miałyby być inaczej... Pamiętaj, Maisie...

Odpowiedz mi, błagam. Odpowiedz mi chociaż ten jeden, jedyny raz, bo teraz ja nie wiem, dokąd pójść i co robić. Nie wiem, kim jestem, nie wiem, kim mam być. Odezwij się do mnie, Maisie...

Słyszę te słowa. Słyszę milczenie, szum rzeki i śpiew ptaków. Dzień był ciepły, ale teraz szybko zaczyna się ochładzać. Patrzę na moją siostrę.

Przestała wpatrywać się w przestrzeń nad moim ramieniem. Pochyliła głowę nad papierem, mocno ściska w ręku gruby ołówek. Jest skupiona, przygryza koniuszek języka. Pewną, zdecydowaną ręką rysuje na czystej kartce idealnie równe koło.

Koniec.